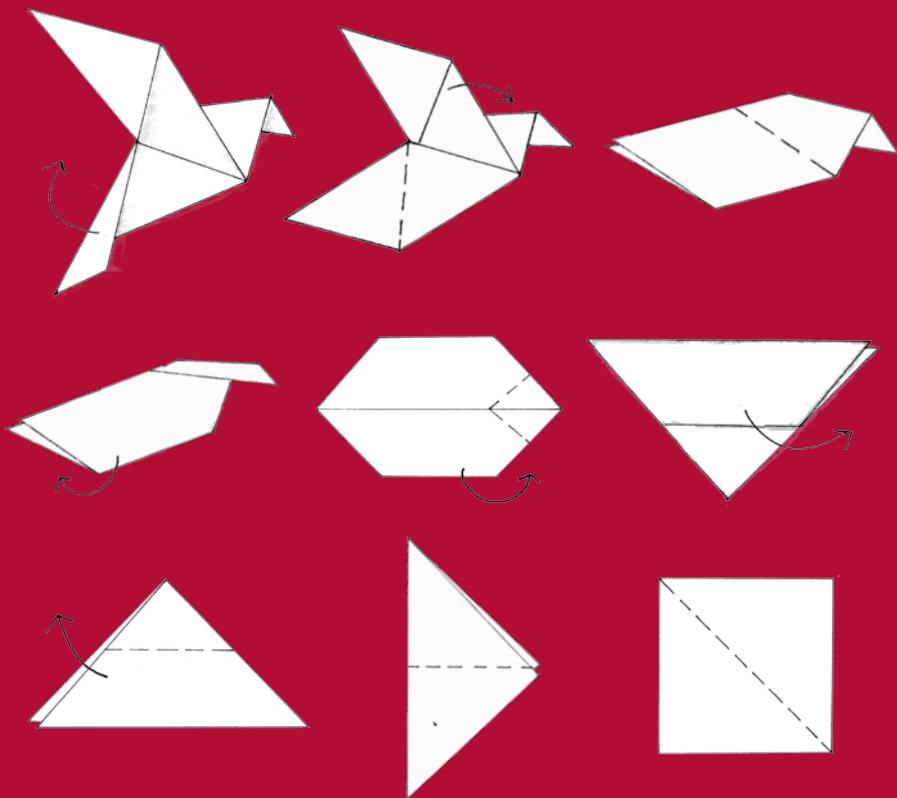


Ronald D. Asmus

# MAŁA WOJNA

KTÓRA WSTRZĄSNĘŁA ŚWIATEM  
GRUZJA, ROSJA I PRZYSZŁOŚĆ ZACHODU



**MAŁA  
WOJNA**



Ronald D. Asmus

# MAŁA WOJNA

KTÓRA WSTRZĄSNĘŁA ŚWIATEM  
GRUZJA, ROSJA I PRZYSZŁOŚĆ ZACHODU

przełożył Jan Tokarski

wstępem opatrzyli  
Radosław Sikorski  
Strobe Talbott

biblioteka res publikii nowej

**respublica**  
NOWA

WARSZAWA 2010







# Spis treści

Wstęp do wydania polskiego – Radosław Sikorski	IX
Słowo wstępne – Strobe Talbott	XV
<b>Wprowadzenie</b>	<b>1</b>
<b>1. Decyzja</b>	<b>33</b>
<b>2. Od zimnej do gorącej wojny na Kaukazie</b>	<b>91</b>
<b>3. Precedens kosowski</b>	<b>149</b>
<b>4. Dyplomatyczna strzelanina w Bukareszcie</b>	<b>187</b>
<b>5. Dyplomacja zawodzi</b>	<b>241</b>
<b>6. Bitwa</b>	<b>285</b>
<b>7. Zawieszenie broni</b>	<b>325</b>
<b>8. Gruzja, Rosja i przyszłość Zachodu</b>	<b>373</b>
Nota bibliograficzna	409
Podziękowania	415
Przypisy	419
Indeks	443



## Wstęp do wydania polskiego

Są takie wydarzenia, o których można z czystym sumieniem powiedzieć, że były przełomowe. Taki charakter miały: czarny czwartek na giełdzie nowojorskiej, wolne wybory w powojennej Polsce czy upadek muru berlińskiego. Konflikt rosyjsko-gruziński 2008 roku faktycznie wstrząsnął Europą i światem. Mała wojna na peryferiach dawnego Związku Sowieckiego niespodziewanie zaburzyła linearny, optymistyczny marsz ku epoce pozimnowojennej, przywołując demony brutalnej konfrontacji między Zachodem a Wschodem. Była jednym z tych przełomów w historii, które pokazują nowy układ sił i nowe tendencje w stosunkach międzynarodowych, podważając dotychczasowe pewniki. Szok był tym większy, że akurat w sierpniu 2008 roku oczy świata zwrócone były na igrzyska olimpijskie w Pekinie. Dziś, nawet w Gruzji, niewiele osób pamięta o trzech gruzińskich złotych medalistach. Trudno tymczasem zapomnieć o tysiącu ofiar, które pochłonęła wojna.

Nic się nie dzieje w życiu przypadkiem. Przed czarnym czwartkiem były szalone lata dwudzieste. Analogicznie, zanim konflikt rosyjsko-gruziński osiągnął swoją gorącą

fazę, przez lata posiadał status „zamrożonego” konfliktu. Zapalnikami było rosnące niezadowolenie Rosji z polityki Zachodu wobec Kosowa oraz z wyraźnej zmiany orientacji geopolitycznej Tbilisi, dokonanej po rewolucji róż w 2003 roku. Ten ostatni czynnik, a zwłaszcza sformułowane otwarcie przez Gruzję aspiracje euroatlantyckie osiągnęły swą kulminację podczas szczytu NATO w Bukareszcie w kwietniu 2008 roku. Treść pisemnej konkluzji szczytu, w której szefowie państw i rządów „uzgodnili, że [Ukraina i Gruzja] staną się członkami NATO”, nie decydując jednocześnie o przyznaniu im MAP-u (Plan działań na rzecz członkostwa, ang. *Membership Action Plan*), stała się dla Rosji jednym z *casus belli*.

Wnioski Rona Asmusa o długiej genezie konfliktu potwierdził m.in. raport Tagliavini. Wskazał, że choć faktyczne walki zaczęły się od gruzińskiego ostrzału Cchinwali, to dramatyczna noc z 7 na 8 sierpnia była tylko kulminacją długiego okresu napięcia i prowokacji. Zaskakując swą determinacją wielu polityków Zachodu, Moskwa podejmowała wcześniej działania, jak ujął to Charles Krauthammer, finlandyzacji Gruzji. Mówiąc o wojnie rosyjsko-gruzińskiej, Zbigniew Brzeziński stwierdził nawet, że „stawką w konflikcie była rola, jaką Rosja ma odgrywać w nowym ładzie międzynarodowym”.

Autor opisuje te wydarzenia niezwykle plastycznie i z wiedzą osoby dobrze poinformowanej, trafnie wskazując na narastające napięcie prowadzące do konfliktu i motywacje poszczególnych podmiotów. Nie ukrywa fatalnych błędów strony gruzińskiej, włącznie z główną decyzją o wkroczeniu do Osetii Południowej. Podkreśla nieskuteczne działania społeczności międzynarodowej.

Pisze też szeroko o motywacjach i działaniach rosyjskich; szkoda tylko, że – jak sam informuje – nie miał możliwości bezpośrednich rozmów z przedstawicielami Rosji, którzy mogliby rzucić światło na wiele faktów.

Kluczowa wydaje się teza Autora, że konflikt rosyjsko-gruziński pokazał słabość norm, zasad i standardów składających się na system bezpieczeństwa europejskiego. Zawiodły też wysiłki dyplomatyczne – nie były w stanie zapobiec wybuchowi konfliktu. Ileż racji jest w stwierdzeniu Rona Asmusa, że w tej wojnie nie było wygranych. Przegrała oczywiście Gruzja, której część terytorium jej wciąż okupowana i która poniosła duże straty ludzkie i materialne. Jeżeli Rosję można określić jako stronę wygrywającą, to było to zaiste pyrrusowe zwycięstwo, obnażające słabość oddziaływania państwa rosyjskiego na sąsiadów (oczywiście oprócz oddziaływania za pomocą środków *stricte* militarnych), słabość rosyjskiej armii, nie mówiąc już o stratach wizerunkowych pogarszających obraz Rosji na arenie międzynarodowej. Przegrały Stany Zjednoczone i NATO, zaskoczone i bezsilne wobec przebiegu wydarzeń. Unia Europejska, choć – dzięki misji mediacyjnej prezydenta Francji, Nicolasa Sarkozy'ego – skutecznie doprowadziła do przerwania walk, nie była w stanie wynegocjować takich warunków zawieszenia broni, jakie stabilizowałyby sytuację w dłuższej perspektywie.

Jako minister spraw zagranicznych miałem sposobność uczestniczyć w niektórych opisywanych wydarzeniach. W trakcie szczytu Sojuszu w stolicy Rumunii wspólnie ze śp. prezydentem Lechem Kaczyńskim argumentowaliśmy jednomyślnie, aby przyznać Gruzji Plan działań na rzecz członkostwa w NATO. Mimo dzielących

nas różnic oraz dużego natężenia konfliktu politycznego w kraju, działaliśmy zgodnie. Obaj uważaliśmy, że Gruzja ma prawo do suwerennych wyborów, a w interesie Polski jest rozszerzać strefę bezpieczeństwa i praworządności.

Chcę dziś wierzyć, że przywrócenie integralności terytorialnej Gruzji, osiągnięte wyłącznie środkami pokojowymi, pozostanie jednym z celów polityki Zachodu. Europa XXI wieku nie może akceptować siły militarnej jako sposobu rozstrzygania sporów oraz instrumentu realizowania narodowych interesów. Okupacja obcego terytorium i dążenie do siłowej zmiany granic powinny zostać raz na zawsze wykreślone z repertuaru działań państw. Jednocześnie należy podjąć wysiłki zmierzające do włączenia państw Kaukazu Południowego do strefy dobrobytu i stabilności. Temu między innymi ma służyć powołane do życia z inicjatywy polsko-szwedzkiej Partnerstwo Wschodnie.

\*\*\*

Wojna gruzińsko-rosyjska nie jest tematem łatwym, zważywszy na to, że problemy, które do niej doprowadziły, nie zostały rozwiązane. Trudno znaleźć ekspertów potrafiących wyjaśnić i zinterpretować przebieg wypadków. Tym większe jest osiągnięcie Rona Asmusa, który jako pierwszy pokusił się o szersze nakreślenie dramatycznych wydarzeń sierpnia 2008 roku. Dał tym samym asumpt do pogłębionej refleksji i przemyśleń. Przeto sądzę, że książka może być ciekawą lekturą nie tylko dla polityków i ekspertów, ale również dla szerszego grona osób zainteresowanych najnowszą historią polityczną i wojskową świata. Obok niewątpliwej rzetelności i profesjonalizmu

oraz zręcznej i wartkiej narracji dzieła, polskiego czytelnika do lektury zachęcać powinna także osoba jego autora. Ronald Asmus to analityk z niebagatelnym dorobkiem badawczym, uznany specjalista w dziedzinie bezpieczeństwa międzynarodowego, człowiek Polsce przychylny i rozumiejący implikacje jej geopolitycznego położenia. Pełniąc funkcję podsekretarza stanu USA ds. europejskich, był jednym z architektów amerykańskiej polityki wsparcia przemian demokratycznych w Europie Środkowo-Wschodniej i rozszerzenia NATO. Za wybitne zasługi w działalności na rzecz przystąpienia Polski do Sojuszu został odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej.

*Radostaw Sikorski*



# Słowo wstępne

**T**rzymacie Państwo w rękach aktualną i ważną książkę, która okaże się pomocna zarówno dla polityków, jak i interesujących się zagadnieniami międzynarodowymi obywateli. Rzuca ona światło na spowity cieniem kluczowy epizod pozimnowojennej ewolucji Europy, Rosji i amerykańskiej polityki zagranicznej. Ujmując rzecz w skrócie, Ron Asmus wpisał tytułową „małą wojnę” w szerokie ramy geopolityki.

Włodzimierz Lenin jest autorem słynnej redukcji historii do kwestii „kto kogo” (jak w zdaniu: „kto kogo zdominuje?”). Kluczowe wydarzenia wewnątrzpaństwowego i międzynarodowego życia politycznego widział jako wypadkową woli politycznego działania i siły zbrojnej. W efekcie zderzenia ze sobą tych czynników jedna strona wygrywa, a druga ponosi porażkę. Podstawowy wniosek, jaki Ron wyciąga ze wspomnianej w tytule „małej wojny”, brzmi jednak tak: nie miała ona żadnych zwycięzców, za to wielu przegranych.

Gruzja przegrała z trzech powiązanych ze sobą wzajemnie powodów: (1) jej faktyczne rozczłonkowanie terytorialne stało się rozczłonkowaniem *de iure*, i pozosta-

nie takim tak długo, jak Rosja będzie uznawała Osetię Południową i Abchazję za pozornie niepodległe państwa i jak długo będzie twierdziła, że jest gotowa bronić ich, zupełnie jakby stanowiły część rosyjskiego terytorium; (2) aspiracje Gruzinów dotyczące wstąpienia do Unii Europejskiej i NATO zostały oddalone i przez długi jeszcze czas mieszkańcom tego historycznie pechowego państwa będzie trudniej aniżeli dotychczas zarówno spełnić kryteria członkostwa w Unii Europejskiej, jak i przekonać do uznania ich kraju za stabilne, zjednoczone państwo, mogące w sposób wiarygodny przyczynić się do wzrostu bezpieczeństwa międzynarodowego w ramach Sojuszu Atlantyckiego; (3) dzisiejsi przywódcy Gruzji, z prezydentem Micheilem Saakaszwilim na czele, zniszczyli swoją reputację na Zachodzie, którego czołowi przedstawiciele dali się z kolei zaskoczyć władzom rosyjskim i premierowi Władimirowi Putinowi.

Stany Zjednoczone również tę batalię przegrały. Administracja George'a W. Busha była gorącym orędownikiem prozachodniego kursu Gruzji oraz możliwości przyjęcia jej do struktur NATO. Jednocześnie, starała się skłonić Rosję do bardziej odpowiedzialnego zachowania na arenie międzynarodowej. Gruzja stanowiła najbardziej ryzykowny i nieobliczalny *a priori* test amerykańskiej zdolności dalszego rozszerzania demokratycznego pokoju w Europie i stworzenia szczerego, wielopoziomowego partnerstwa z Rosją.

Jednak przez wiele miesięcy – a nawet lat – zanim rosyjskie czołgi przejechały przez Tunel Rokijski, potężni gracze w Moskwie szukali pretekstu do podjęcia inwazji, rozpoczęcia okupacji i dokonania realnej aneksji gruziń-

skiego terytorium. Dla wielu Rosjan taki rezultat służyłby potwierdzeniu ich roszczeń do posiadania swojej „sfery uprzywilejowanych interesów” w dawnej przestrzeni sowieckiej. Jednocześnie byłyby również swoistym rewanzem na Stanach Zjednoczonych za to, że doprowadziły do uznania niepodległości Kosowa.

Jak Ron znakomicie pokazuje, podczas gdy stosunki rosyjsko-gruzińskie stawały się w 2008 roku coraz bardziej napięte, amerykańscy dyplomaci niższego szczebla robili co mogli, aby zapobiec konfrontacji zbrojnej. Nie było jednak żadnej odgórnej, całościowej strategii, jakiej wymagała sytuacja.

Przypominam sobie, że w tygodniach poprzedzających inwazję czułem się, jak gdybym oglądał jakiś stary, dobrze znany film. Dziewięć lat wcześniej, w roku 1999, kiedy pracowałem w Departamencie Stanu, byłem zaangażowany w działania zmierzające do zapobieżenia podobnej erupcji napięć pomiędzy Rosją i Gruzją. W tamtym czasie bezpośrednią przyczynę zagrożenia stanowiło pragnienie Rosji, aby dokonać szeroko zakrojonego pościgu za bojówkami czeczeńskimi oraz bombardowań przeciwko nim w Dolinie Pankijskiej, która znajduje się na terytorium Gruzji.

Głębszym, pogarszającym jeszcze sprawę czynnikiem była niechęć Rosjan do Eduarda Szewardnadzego, poprzednika Saakaszwilego, w roli przywódcy Gruzji. Z moskiewskiego punktu widzenia – a zwłaszcza z punktu widzenia rychłego dziedzica Borysa Jelcyna, Władimira Putina – do grzechów Szewardnadzego można było zaliczyć odpowiedzialność za rozpad Związku Radzieckiego. Zakres jego win powiększały dodatkowo jego dobre

relacje z Zachodem. Rosjanie, z którymi się spotykałem, nie czynili tajemnicy z ciągle żywionej nadziei na to, że człowiek określany w Waszyngtonie jako „Shevy” wkrótce, w ten lub inny sposób, zniknie ze sceny politycznej. Istniało nawet szeroko rozpowszechnione podejrzenie, że rosyjskie służby specjalne maczały palce w kilku próbach zamachu na jego życie.

Prezydent Bill Clinton i sekretarz stanu Madeleine Albright wykorzystali swoje dobre relacje z Borysem Jelcynem i Szewardnadzem przy prowadzeniu mediacji. Wysłali mnie do regionu, abym wyraźnie zakomunikował ich przesłanie w Moskwie i Tbilisi, tym samym nie pozwalając, aby sytuacja wymknęła się spod kontroli. Zupełnie inaczej sprawy się miały dziewięć lat później. Administracja Busha już nie była aż tak zaangażowana ani nie poświęcała należytej uwagi temu, co można by nazwać prewencyjną dyplomacją koncentrującą swoją uwagę na obu stronach sporu.

Europejczycy również przegrali, a to dlatego, że byli jeszcze mniej dalekowzroczni i skorzy do działania niż Amerykanie. Całe miesiące przed wybuchem wojny Gruzja bezskutecznie zabiegała w Unii Europejskiej o zapewnienie środków umożliwiających opanowanie sytuacji, zanim doszłoby do erupcji konfliktu. Kiedy już wojna stała się faktem, prezydent Bush – zamiast położyć na szali prestiż Ameryki i użyć całej możliwej energii do powstrzymania konfliktu – ustąpił miejsca prezydentowi Nicolasowi Sarkozy’emu, którego misja w Moskwie stanowiła charakterystyczną kombinację pozornej wielkomocarstwowości oraz tego, co można określić jako „zbyt mało, zbyt późno”. Rezultatem był niesprawiedliwy pokój, pełen we-

wewnętrznych sprzeczności, które Rosjanie od tamtej pory wykorzystywali.

Wreszcie, kolejnym przegranym wojny z sierpnia 2008 roku okazał się jej samozwańczy zwycięzca: Rosja. To prawda, zbrojne zajęcie Osetii Południowej stanowiło, z wojskowego punktu widzenia, spacerek. Jednak zarówno polityczne, jak i ekonomiczne skutki nie były dobre dla Rosji w krótkiej perspektywie czasowej, o długiej nawet nie wspominając. Cała operacja wywołała ogólnoswiatową falę potępienia i obaw dotyczących powrotu Rosji do dawnych złych nawyków sowieckiej (i carskiej) przeszłości. Uszczerbek na rosyjskiej reputacji pogłębiła utrata zaufania wśród inwestorów. Sprzedaż po zaniżonej cenie na rosyjskim rynku papierów wartościowych powiększyła tylko rosyjską wrażliwość na turbulencje wywołane przez światowy kryzys ekonomiczny.

Zysk terytorialny również był wynikiem strategicznej krótkowzroczności. Putinowi i jego towarzyszym mogło się wydawać, że dokonując inwazji na Gruzję, upieką dwie pieczenie na jednym ogniu: ukarzą „czarny charakter” (Saakaszwilego) i jednocześnie wyślą do przywódców (w tym również przyszłych) byłych republik sowieckich wyraźny sygnał pokazujący, co może się stać, jeżeli będą, podobnie jak Saakaszwili, kontynuować swój prozachodni kurs i zabiegać o członkostwo w różnych zachodnich instytucjach, z NATO na czele. W istocie jednak inwazja stanowiła raczej przypomnienie o tym, z jakich powodów sąsiedzi Rosji powinni p r a g n ą ć [podkreślenie w oryginale – przyp. tłum.] bezpieczeństwa wiążącego się z przynależnością do zachodnich instytucji politycznych, ekonomicznych i wojskowych. W tym wymiarze triumf Rosji okazał się pyrru-

sowy i – by użyć oznaczającego w Waszyngtonie to samo, co „głupi”, terminu – przeciwnie.

Powyższe zdanie pozostaje prawdziwe również w innym kontekście. Rosja oddaliła swoje szanse na integrację polityczną z Zachodem. Nie ma znaczenia, że Putin i inni Rosjanie pozostający obecnie za sterem władzy nie przyznają się do takich aspiracji. Jestem na tyle optymistą, by wierzyć, że te zaprzeczenia mają taktyczny charakter. Parafrazując Groucha Marxa, nie chcą przecież dobijać się do drzwi w klubach, które nie zechcą wpuścić ich do środka<sup>1</sup>. Jeśli nie są to ich prawdziwe poglądy, możemy mieć tylko nadzieję, że następcy obecnych władców Rosji któregoś dnia staną się dość realistyczni, by zauważyć, że izolacjonizm (czy też, w jego posowieckim wariacie, euroazjatyzm) nie jest długofalową opcją, a już z pewnością nie tą najbardziej korzystną. Federacja Rosyjska będzie musiała, koniec końców, zintegrować się ze wspólnotą międzynarodową, a to oznacza grę zgodnie z jej zasadami, a nie ich łamanie. W innym przypadku podąży drogą Związku Radzieckiego. Rosjanie mogą bowiem pożałować swojego wsparcia dla separatyzmu w Gruzji w 2008 roku, kiedy tylko ta sama siła podniesie głowę we wnętrzu Rosji, zwłaszcza na północnym Kaukazie. Kryzys czeczeński nie dobiegł końca, pozostaje co najwyżej w stanie uśpienia. Nie jest to również kryzys jedyny w swoim rodzaju – ma swoje „analogie” w innych miejscach północnego Kaukazu, a także poza nim. Jest więc całkiem prawdopodobne, że sierpień 2008 roku nie zraził separatystów zamieszkujących terytorium dzisiejszej Rosji. W istocie rzeczy, mogło stać się dokładnie na odwrót.

Właśnie w kwestii przewidywań dotyczących tego, co będzie działo się dalej, książka Rona wydaje mi się szczególnie trafna i przekonująca. Nie pozostawia on złudzenia, że prawdziwym *casus belli* dla „sierpniowych czołgów” nie było dążenie Saakaszwilego do odzyskania kontroli i suwerenności w Osetii Południowej i Abchazji czy jego pragnienie politycznego połączenia z Zachodem. Redukując do samej esencji kwestię, którą Ron naświetla z ogromnym wyrafinowaniem w podsumowaniu, Rosja nie tyle musi przestać walczyć z tego typu pragnieniami swoich sąsiadów, ile przyjąć je za swój własny cel.

Wreszcie, uwaga o samym Ronie. Od wielu lat jest czołowym twórcą koncepcji politycznych zarówno w ramach rządu, jak i poza nim. Również obecnie, choć mieszka w Brukseli, jego głos jest dobrze słyszany w Waszyngtonie. W latach 90., gdy blisko współpracowaliśmy ze sobą w Departamencie Stanu, odgrywał kluczową rolę przy opracowywaniu i realizacji strategii dyplomatycznej, która pozwoliła wznieść most nad tym, co do niedawna stanowiło żelazną kurtynę oddzielającą środkową i wschodnią Europę, a w szczególności państwa bałtyckie od Zachodu. Od samego początku był zdecydowanym orędownikiem poszerzenia NATO, jak również zmaterializowania palącej potrzeby stworzenia ram współpracy pomiędzy Sojuszem a Rosją. Opowiadał się również za wzmocnieniem takich paneuropejskich stowarzyszeń, jak Organizacja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, co miało doprowadzić do stopniowego wciągnięcia Rosji w orbitę Zachodu. Historię tę opowiedział w swojej wydanej w 2002 roku książce *NATO. Otwarcie drzwi*<sup>2</sup>. Praca, którą wykonał przez ostatnich siedem lat w German Mar-

shall Fund of the United States, stanowiła kontynuację jego pionierskiej refleksji na temat kwestii bezpieczeństwa europejskiego, ze szczególnym uwzględnieniem regionu Kaukazu Południowego i Morza Czarnego.

To, co Ron ma do powiedzenia na kartach tej książki powinno – i jestem przekonany, że tak właśnie się stanie – mieć wpływ na działania administracji Obamy, a także na to, co będzie się działo w Gruzji i Europie. Mogę sobie nawet wyobrazić oddźwięk, jaki książka ta wywoła w Moskwie, gdzie inteligentni i posiadający szerokie znajomości, wysoko postawieni Rosjanie – ostrożnie i po cichu – wchłaniać będą lekcje, konsekwencje i implikacje na przyszłość wynikające dla ich rządu z ciągłego zamieszania w regionie Kaukazu, w szczególności zaś, z poturbowania Gruzji w sierpniu 2008 roku.

*Strobe Talbott*





# Wprowadzenie

**B**ył 7 sierpnia 2008 roku. Przebywałem w Warnie – bułgarskim mieście położonym na zachodnim skraju Morza Czarnego. To miejsce słynnej bitwy z Turkami z 1444 roku, która w swoich dalekich konsekwencjach doprowadziła do upadku Konstantynopola w 1453 roku. Odwiedzałem przyjaciela, Iwana Krastewa, jednego z czołowych europejskich politologów i myślicieli zajmujących się Rosją. Spotkaliśmy się w te upalne letnie dni, aby odpocząć i porównać nasze obserwacje dotyczące bieżących trendów w Rosji – państwie, które obydwaj postrzegaliśmy jako coraz bardziej autokratyczne w sferze wewnętrznej, asertywne na zewnątrz i próbujące na nowo rzucić wyzwanie Zachodowi. Nie wiedzieliśmy jeszcze, że wydarzenia kolejnych pięciu dni podkreślą tylko, jak niezwykle aktualne były to kwestie.

Siedzieliśmy w willi na urwisku, nasycając oczy imponującym widokiem zachodniego brzegu Morza Czarnego. Sceneria była wyjątkowo spokojna, ale na moim BlackBerry pojawiła się cała lawina wiadomości tekstowych i telefonów z Gruzji oraz wschodnich granic tego, co w starożytności Grecy i Rzymianie zwykli określać

mianem „gościnnego morza”. Na tych terenach życie było znacznie mniej spokojne, a kwestia rosyjskich ambicji w polityce zagranicznej – mniej teoretyczna. Gruzja i Rosja stanęły na krawędzi wojny. Od miesięcy napięcie między nimi stopniowo wzrastało. Wzajemne relacje od dawna pozostawały ozięble, jednak Moskwa wzmacniała swój nacisk na Tbilisi od początku roku, po tym jak Zachód uznał niepodległość Kosowa, a w Bukareszcie odbył się szczyt NATO, podczas którego Sojusz Atlantycki zadeklarował, iż Ukraina oraz Gruzja staną się któregoś dnia jego członkami.

Moskwa wielokrotnie ostrzegła Gruzję, że jej pragnienia „ucieczki na Zachód” będą miały poważne konsekwencje oraz że współpraca zmierzająca do pokojowego rozstrzygnięcia konfliktów w Abchazji i Osetii Południowej będzie zależała od uwagi, jaką Tbilisi poświęci rosyjskim żądaniom. Gruzja nie zgodziła się ustąpić przed rosyjskim naporem, Moskwa zaczęła więc podbijać stawkę. Odpowiedziała na uznanie przez Zachód Kosowa oraz sformułowanie wobec Gruzji obietnicy przyszłego członkostwa zacieśnieniem stosunków z separatystycznymi prowincjami. Sprawiało to wrażenie strategii „pełzającej aneksji”. Moskwa przemieszczała również w sposób nielegalny swoje oddziały wojskowe oraz uzbrojenie we wspomnianym regionie, budując w ten sposób infrastrukturę, co do złudzenia przypominało przygotowania do otwartej inwazji. Czyżby – zastanawiano się – imperium szykowało się do kontrataku?

W Tbilisi próbowano bić na alarm. Gruzini zabiegali na Zachodzie o bezpośrednią interwencję w Moskwie, która miałaby powstrzymać dalszą eskalację konfliktu,

a także o zapewnienie, że prawdziwie neutralni obserwatorzy i członkowie organizacji pokojowych znajdą się w niespokojnych regionach, zastępując obserwatorów moskiewskich. Chodziło również o zmianę istniejących warunków, co miało na nowo tchnąć życie w konający proces pokojowy i powstrzymać jego dalsze zsuwanie się w przepaść po równi pochyłej. Jednak Zachód, nieskłonny do wywierania presji na Moskwę oraz niechętny do podjęcia większego ryzyka poprzez powiększenie swojej obecności w regionie, nie zdecydował się na przedsięwzięcie takich środków. Wielu uważało obawy Gruzinów za przesadzone, a Tbilisi postrzegano jako coś w rodzaju „wyjącego wilka”. Inni obawiali się, że wywieranie nacisku na Moskwę, aby uznała nową sytuację w regionie, będzie po prostu zbyt trudne do wykonania. Podczas gdy Rosja faktycznie podgrzewała atmosferę we wspomnianych dążących do separacji prowincjach, żeby w ten sposób destabilizować sytuację w Gruzji, mało kto spodziewał się, że Moskwa posunie się aż tak daleko i dokona realnej inwazji. W pozimnowojennej Europie było to po prostu niemożliwe – a przynajmniej wielu osobom tak się zdawało. W każdym razie, Europa, przygotowująca się do zakończenia okresu wakacyjnego, zajęta była w tym czasie innymi kwestiami, a wielu jej przywódców zmierzało już do Pekinu na ceremonię otwarcia igrzysk olimpijskich.

Nastroje panujące w Waszyngtonie nie były znacząco odmienne. George W. Bush zachowywał się jak ofiara losu i związał powoli manatki, ponieważ znajdował się u kresu swojej drugiej kadencji. Prezydent był zapewne najmocniejszym sojusznikiem Gruzji na Zachodzie, ale uwaga Waszyngtonu została już skierowana gdzie indziej.

Administracja koncentrowała się na podjętej w Iraku „fali”<sup>3</sup>. Chciała również przyspieszyć postępy programu pokojowego na Bliskim Wschodzie w ostatnich miesiącach swojej działalności. Najważniejsze satelity oraz pozostałe zasoby wywiadowcze przeznaczono do realizacji innych priorytetów, w efekcie czego Waszyngton pozostał praktycznie ślepy na to, co działo się na interesującym nas terytorium oraz dawał Moskwie wolną przestrzeń do stwarzania takich warunków, jakie były dla niej korzystne. Wybuch wojny zaskoczył zatem również środowiska związane z wywiadem w Stanach Zjednoczonych, dlatego w początkowej fazie konfliktu nie były w stanie przedstawić jasnego obrazu sytuacji decydentom w Białym Domu.

W wymiarze politycznym kampania wyborcza, w której naprzeciwko siebie stanęli Barack Obama oraz John McCain, nabierała pełni rozpędu. Pochłaniała czas i uwagę dosłownie wszystkich w Waszyngtonie, ponieważ obydwaj kandydaci przygotowywali się do wyborczych konwencji swoich partii<sup>4</sup>. Z oczywistych przyczyn Gruzja nie była więc pierwszą rzeczą, jaka przychodziła im do głowy. W okresie wiosenno-letnim byłem jednym z niewielu komentatorów, którzy publikowali artykuły i raporty namawiające zachodnich przywódców do mocniejszego zaangażowania w gruzińskie sprawy i powstrzymania negatywnego rozwoju wydarzeń. Nie miało to jednak znaczenia. Również Waszyngton nazbyt zajęty był innymi sprawami – a zwłaszcza samym sobą.

W początkach lipca uczestniczyłem w długiej kolacji, w której brał udział prezydent Micheil Saakaszwili. Odbywała się ona na morskim tarasie hotelu Excelsior w dalmackiej części Dubrownika. Działo się to niejako na

marginesie konferencji zorganizowanej przez rząd Chorwacji, mającej na celu dopracowanie jej wniosku o członkostwo w NATO. Przybyli na nią również szwedzki minister spraw zagranicznych Carl Bildt, asystent sekretarza stanu Dan Fried, Bruce Jackson z Project on Transitional Democracies oraz grupa innych czołowych osobowości z różnych ośrodków badawczych z obydwu stron Atlantyku. Gdy słońce chyliło się ku zachodowi, sceneria stała się imponująca – pomimo tego wszyscy koncentrowali się na dyskusji i nierzadko formułowali przenikliwe i niebanalne opinie. Otwarcie rozmawialiśmy o ryzyku rosyjskiej inwazji latem. Saakaszwili kilka miesięcy wcześniej przesłał rosyjskiemu prezydentowi Dmitrijowi Miedwiediewowi tajną propozycję pokojową dotyczącą Abchazji i miał nadzieję spotkać się z nim w najbliższych dniach w Kazachstanie, aby wy badać jego reakcję. Wahał się między pokładaniem wiary w zachodnie inicjatywy dyplomatyczne a próbami zdobycia na czarnym rynku nowoczesnych broni (takich jak rakiety Stinger). To ostatnie na wypadek, gdyby wojna jednak wybuchła. Wszyscy obecni przy stole namawiali go, aby nie dał się wciągnąć w rosyjskie manipulacje i sprowokowany nie rozpoczął wojny, której w żadnym razie nie będzie w stanie wygrać. Saakaszwili zdawał sobie sprawę z ryzyka. Jednocześnie jednak przekonywał, że nie może po prostu stać z boku i nic nie robić w sytuacji, gdyby Rosja zdecydowała się na przejęcie obu separatystycznych prowincji stanowiących integralną część terytorium jego kraju. Amerykańska sekretarz stanu Condoleezza Rice miała pojawić się w Gruzji w najbliższych dniach, żeby raz jeszcze spróbować skierować proces pokojowy na właściwe tory. Saakaszwili zapytał się

nas wtedy, co konkretnego Zachód zamierza zrobić, aby nie dopuścić do wojny. Czy będziemy interweniowali dyplomatycznie w Moskwie, czy też wyślemy niezależnych obserwatorów celem ustabilizowania sytuacji na miejscu? Nikt nie miał na to pytanie dobrej odpowiedzi. Saakaszwili spotkał się ze mną jeszcze kilka tygodni później na Krymie, w Jałcie, na innej międzynarodowej konferencji. Podczas lunchu powiedziałem mu, że najdogodniejszy moment do ataku dla Rosjan przypada na połowę sierpnia. Pomyliłem się o tydzień.

Kiedy więc przebywałem w Warnie 7 sierpnia, mój BlackBerry zasygnalizował odbiór kolejnego połączenia. Dzwonił do mnie Temur Jakobaszwili, gruziński minister odpowiedzialny za zajmowanie się „zamrożonymi konfliktami” w Abchazji i Osetii Południowej – dwóch dążących do separacji prowincji w znacznym stopniu kontrolowanych przez Rosję oraz jej lokalnych pełnomocników – to tam właśnie miała wybuchnąć wojna. W rzeczywistości obydwie enklawy były w znacznej mierze zarządzane przez moskiewskie siły wywiadowcze i wojskowe, stopniowo przetwarzające je w pionki na rosyjskiej szachownicy politycznej – Moskwa używała ich obecnie jako wabika, który wciągnie Gruzję w wojnę. Temur był moim przyjacielem, pracował wcześniej jako aktywista w różnych organizacjach pozarządowych oraz jako analityk w ośrodkach badawczych. Niedawno dołączył do rządu Micheila Saakaszwilego. Gdy zadzwonił, w jego głosie słychać było napięcie. Znajdował się właśnie w drodze do Cchinwali, stolicy Osetii Południowej, gdzie w ramach dyplomatycznej misji *last minute* miał ustalić, co właściwie się dzieje, oraz zapobiec najgorszemu wariantowi wydarzeń. Opisał

mi swoje obawy – przeczuwał, że szykowało się coś ważnego i niedobrego. Był wyraźnie zaniepokojony, jego zdaniem sytuacja wymykała się spod kontroli.

Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że oglądam kiepski film, którego zakończenie było wyjątkowo łatwe do przewidzenia. Jednocześnie miałem nadzieję na to, iż końcowy wynik będzie jednak mimo wszystko odmienny. Zderzenie gruzińsko-rosyjskie dojrzewało od wielu miesięcy, jeżeli nie lat. Obserwowałem to zjawisko z bliska, niemal odczuwałem na własnej skórze w trakcie moich kolejnych podróży do Gruzji oraz do wspomnianych dążących do separacji prowincji. Teraz wreszcie miało się zmaterializować. Tego wieczoru Saakaszwili ogłosił jednostronne zawieszenie broni, aby powstrzymać eskalację konfliktu i opanować sytuację. Czy było to jednak jeszcze możliwe? Po kilku rozmowach telefonicznych z moimi gruzińskimi przyjaciółmi oraz przeszukaniu rosyjskich witryn internetowych przez Iwana, położyłem się spać w Warnie w nadziei, że najgorszy scenariusz wydarzeń jednak nie stanie się rzeczywistością. Kiedy obudziłem się następnego rana, jak się okazało, te nadzieje nie miały już podstaw. Rosja i Gruzja były w stanie wojny.

Rosyjsko-gruzińska wojna z sierpnia 2008 roku trwała zaledwie kilka dni. Przyniosła ofiary nieliczne. Według standardów wojskowych epoki nowożytnej stanowiła małą wojnę. Mimo wszystko była to mała wojna, która wstrząsnęła światem. Spowodowała najpoważniejszy kryzys europejskiego systemu bezpieczeństwa od czasu, kiedy serbski dyktator Slobodan Milošević wypuścił z klatki demony etnicznych czystek w latach 90., stawiając tym samym Rosję i Zachód na krawędzi nowej zim-

nej wojny. Moskwa nie tylko napadła na swojego sąsiada po raz pierwszy od sowieckiej inwazji w Afganistanie w 1979 roku, lecz także złamała żelazną zasadę pozimnowojennego bezpieczeństwa w Europie, zgodnie z którą już nigdy żadna granica nie miała być zmieniana przy użyciu siły. W sierpniu 2008 roku Rosja pokazała światu tę brzydką, neoimperialistyczną stronę swojej polityki; stronę, która – jak wielu miało nadzieję – odeszła już w niebyt. Nikt nie powinien patrzeć na Władimira Putina po wybuchu tego konfliktu w ten sam sposób, w jaki czynił to przedtem. Okazało się, że Rosja ponownie jest gotowa używać siły zbrojnej w stosunkach ze swoimi sąsiadami dla realizacji swoich interesów.

Skutki tej wojny były odczuwalne przede wszystkim w szeroko rozumianym basenie Morza Czarnego. Zachodnia interwencja dyplomatyczna okazała się spóźniona i uratowała demokratycznie wybrany gruziński rząd dopiero w momencie, gdy ten znalazł się na krawędzi rozpadu. Szersza eskalacja konfliktu na cały region bądź stworzenie nowego konfliktu zbrojnego według podziału Wschód – Zachód zostało powstrzymane. W tym sensie zachodni dyplomaci mogą utrzymywać, że udało im się zapobiec zarówno zmianie władzy w Tbilisi, jak również powstaniu nowego kryzysu w relacjach między Wschodem i Zachodem. Jednak Stanom Zjednoczonym i Europie nie udało się odebrać Rosji zdobytych korzyści militarnych ani przywrócić politycznego *status quo ante*, na co początkowo miano nadzieję. Bliski partner Stanów Zjednoczonych oraz kandydat do członkostwa w NATO został zaatakowany, a mimo to ani Waszyngton, ani Sojusz Północnoatlantycki nie zrobiły wiele, by mu pomóc.

Zawieszenie broni zawarte za pośrednictwem Paryża w Moskwie również było niesprawiedliwe. Zachód nie był w stanie wymusić na Rosji, by ta w pełni zastosowała się do wzajemnych ustaleń. Nie uniemożliwił ponadto Rosji suwerennego uznania separatystycznych prowincji wbrew woli społeczności międzynarodowej. W rok po wojnie przyszłość Gruzji pozostaje niejasna, a konflikt pomiędzy Tbilisi i Moskwą trwa w najlepsze. Zraniona, pogruchotana, z niewątpliwie pomniejszonymi szansami na rychłe związanie z Zachodem Gruzja kontynuuje tymczasem swój prozachodni kurs. Moskwa wydaje się tak samo zdeterminowana w swoich staraniach, by doprowadzić do zmiany władzy w Gruzji, a także różnymi środkami zdyskredytować jej prozachodnie aspiracje, jak była uprzednio. Cały region jest obecnie znacznie mniej stabilny aniżeli przed wybuchem konfliktu, zatem możliwość ponownego starcia Rosji i Gruzji pozostaje realna.

Cel tej wojny stanowiła nie tylko sama Gruzja, ale również Waszyngton, NATO, Zachód jako całość. Była ona wymierzona w europejski system bezpieczeństwa, który z rosyjskiej perspektywy zaczął zwracać się przeciwko samemu sobie, a który jednocześnie zachęcał państwa takie jak Gruzja do przyjęcia prozachodniego kursu wbrew interesom Moskwy. Tak więc celem Moskwy było wyeliminowanie wszelkich szans na rozszerzenie NATO o Gruzję bądź o jakiegokolwiek inne państwo w jej [Rosji – przyp. tłum.] strefie granicznej, jak również zniechęcenie innych sąsiadujących krajów do zacieśniania więzów z Zachodem. Przejawia się to we wszystkim: począwszy od tego, jak wojna była przedstawiana w rosyjskiej prasie, poprzez pozostawione przez rosyjskich żołnierzy w Gruzji

graffiti, a skończywszy na sposobie, w jaki rosyjscy oficerowie mówili o swoich działaniach zarówno gruzińskim, jak i zachodnim dziennikarzom. Rosyjska odpowiedź miała być lekcją pokory nie tylko dla Gruzji, ale również dla Zachodu. Miała pokazać, że Moskwa ponownie stanowi siłę, z którą należy się liczyć, oraz że dni rosyjskiego „strategicznego wycofania” dobiegły końca.

Wojna w Osetii Południowej zadziałała jak zimny prysznic jeszcze z co najmniej jednego powodu. Po zniknięciu żelaznej kurtyny dwadzieścia lat wcześniej Zachód i Rosja podjęły współpracę dla stworzenia nowej architektury bezpieczeństwa międzynarodowego w Europie. Jej rezultatem była seria porozumień oraz decyzji politycznych mających zakończyć – z punktu widzenia Zachodu – geopolityczny podział Europy i stworzyć nowy demokratyczny pokój, za pomocą którego można by zamknąć kwestie bezpieczeństwa i stabilności raz na zawsze. Była to próba stworzenia funkcjonalnego odpowiednika nowego traktatu pokojowego, który przypieczętowałby koniec zimnej wojny. Proces ten rozpoczął się od podpisania karty paryskiej<sup>5</sup> i był kontynuowany w serii późniejszych porozumień zawartych w ramach Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (OBWE). W samym centrum tych nowych zasad gry znajdowało się zobowiązanie do tego, by nie dokonywać zmian granic przy użyciu siły. Nie mniejszy nacisk kładziono na konieczność respektowania prawa wszystkich, zarówno wielkich, jak i małych państw, do korzystania z równego bezpieczeństwa oraz swobodnego wyboru swoich porozumień dotyczących tej sfery. Zasady te jednocześnie odrzucały dawny sposób myślenia, oparty na podziale kontynentu według „sfer wpływów”.

Była to swoista „karta praw podstawowych” nowego porządku bezpieczeństwa międzynarodowego. Zarazem była to również próba stworzenia demokratycznego pokoju w całej Europie, który przekraczałby dawne granice geopolitycznej rywalizacji, zastępując je nowymi zasadami partnerskiej współpracy. Rosja była w pełni uprawnionym partnerem i uczestnikiem wspomnianych negocjacji, a wszystkie przytoczone wyżej zasady i ustalenia zostały podpisane przez prezydenta Federacji Rosyjskiej.

Problem z moskiewskiego punktu widzenia polegał na tym, że te właśnie reguły gry stanowiły również uzasadnienie kolejnych etapów poszerzania NATO i Unii Europejskiej. Mając bowiem swobodę wolnego wyboru, niemal wszystkie państwa byłego sowieckiego imperium zdecydowały się zacieśnić swoje więzy z Zachodem i szukać podobnego porozumienia ze Stanami Zjednoczonymi, aby osiągnąć ten sam poziom bezpieczeństwa i dobrobytu, jakim mieszkańcy zachodniej Europy cieszyli się od dziesięcioleci. W odpowiedzi Zachód nakreślił swoją własną dwutorową strategię otwierania drzwi przed nowymi członkami, jednocześnie oferując Rosji zawarcie równoległych porozumień, które również ją przybliżyłyby do Zachodu. Logika stojąca za taką strategią postępowania polegała na tym, by zintegrować środkową i wschodnią część Europy z Zachodem, równocześnie przyciągając w tym samym kierunku Moskwę w takim tempie, jaki wszystkie zaangażowane w ten proces strony byłyby w stanie zaakceptować. Dlatego Zachód zaferował Moskwie zarówno nowe partnerstwo z NATO i Unią Europejską, jak również wzmocnienie OBWE jako organizacji przyczyniającej się do realizacji ogólnej strategii uczynienia Europy zjednoczoną, wolną i pokojową.

Z początku Rosja, choć nie bez pewnej niechęci, przystała na taki plan działania za prezydentury Borysa Jelcyna. Strategia ta jednak w ostatecznym rozrachunku zawiodła. Dlaczego tak się stało? To zagadnienie spróbuję omówić w dalszej części tej książki. Jednak latem 2008 roku Moskwa nie tylko odwróciła się od Zachodu. Problem był w istocie znacznie głębszy: coraz bardziej nacjonalistyczna i rewizjonistyczna Rosja buntowała się również przeciwko europejskiemu systemowi, który nie odpowiadał już jej interesom i który został jej narzucony w chwili słabości. Porozumienia podpisane przez Moskwę na przestrzeni poprzednich dwóch dziesięcioleci, mówiące o tym, że państwa mogą w sposób suwerenny wybierać swoje sojusze, nic już dla Kremla nie znaczyły. Były to tylko świstki papieru, które Moskwa zignorowała, gdy tylko podjęto decyzję, że nie pozwoli swoim sąsiadom związać się z Zachodem.

Innymi słowy, choć wojna rosyjsko-gruzińska była mała, to postawiła wielkie znaki zapytania w kwestii przyszłości bezpieczeństwa w Europie. Oto bowiem system bezpieczeństwa budowany siłami dyplomatów przez dwie dekady zawiodł w sierpniu 2008 roku. Zasady, normy i mechanizmy, które miały zapobiec przyszłym konfliktom, okazały się zbyt słabe, aby nie dopuścić do tego starcia, stanowiącego temat niniejszej książki. Moskiewskie uzasadnienie wojny opierało się na zasadach mówiących o sferach wpływów, właśnie ich powstanie budowany system miał uniemożliwić. Pamiętajmy, że jedną z przyczyn załamania systemów bezpieczeństwa w XX stuleciu była nieumiejętność poradzenia sobie w ich ramach z trudnymi przypadkami – a często dotyczyły one odległych kra-

jów o skomplikowanych nazwach i słabo znanej geografii. Główne mocarstwa nie decydowały się w takich przypadkach na mocny nacisk celem utrzymania zasad z różnych powodów – dlatego że problem był zbyt trudny do rozwiązania bądź ze względu na znikome znaczenie kraju, którego cała sprawa dotyczyła, bądź też przez to, że jedno z mocarstw podjęło już na tyle zdecydowane działania, iż nie było innej opcji, jak przyjąć to do wiadomości. Echa każdej z tych trzech możliwości słychać w przypadku wojny gruzińsko-rosyjskiej.

Niniejszą książkę postanowiłem napisać ze względu na kontrowersyjne zawirowania dotyczące tego, jak doszło do wybuchu tej wojny, jak się ona zakończyła oraz jakie jest jej znaczenie dla przyszłości – by stanowiła zapis wydarzeń, które miały miejsce. Napisałem ją jednak również z powodu głębokiego przekonania, że bardzo potrzebna jest gruntowna analiza problemu: co poszło nie tak i jakie są tego konsekwencje zarówno dla naszej własnej [amerykańskiej – przyp. tłum.] polityki, jak i dla polityki całej Europy. Sporą część mojej kariery zawodowej na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat poświęciłem – najpierw jako obserwator i analityk, następnie zaś osoba realnie zaangażowana w rozwój wydarzeń – kwestiom budowania systemu bezpieczeństwa w Europie, który – jak twierdzę – załamał się w sierpniu 2008 roku. Mam nadzieję, że książka ta pozwoli Zachodowi przyjrzeć się własnemu odbiciu i zrozumieć przyczyny, jakie leżały u podstaw tej poważnej porażki.

Chłodne spojrzenie na amerykańską i europejską strategię jest, w moim przekonaniu, konieczne, jeżeli pragniemy z niedawnych doświadczeń odebrać właściwą lekcję

na przyszłość. Opisywana tu wojna to przejaw poważnego błędu, którego konsekwencje wykraczają daleko poza kwestie Gruzji czy Rosji. Musimy zrozumieć, co i dlaczego miało miejsce. Ta wojna wciąż ma dla nas znaczenie – i to nie tylko ze względu na liczne niezakończone sprawy, jakie po sobie pozostawiła. Ma dla nas znaczenie, ponieważ musimy wyciągnąć z niej odpowiednie wnioski dla dalszego myślenia o bezpieczeństwie europejskim. Stawia ona podstawowe pytania dotyczące sposobu, w jaki Stany Zjednoczone i Europa powinny zachowywać się wobec młodych demokracji, na temat przyszłości zachodnich sojuszy, na temat tego, jak będziemy postępować z bardziej asertywną Rosją gotową na odzyskanie kontroli nad sąsiadującymi z nią państwami. Wreszcie, nakazuje zadać pytanie, czy same zasady bezpieczeństwa europejskiego nie powinny zostać spisane od nowa.

To, co staram się powiedzieć w tej książce, daje się sprowadzić do pięciu głównych tez. Po pierwsze, wojna nie toczyła się o terytorium, prawa mniejszości ani o przyszły status dążących do separacji prowincji Abchazji i Osetii Południowej. Jak utrzymują Rosjanie, inwazja na nie była odpowiedzią na gruzińską agresję w Osetii Południowej i chodziło jedynie o zaprowadzenie pokoju i obronę mieszkańców prowincji przed tą agresją. Bez wątpienia rosyjsko-gruzińskie relacje pozostawały napięte, a wspomniane konflikty są realne. Jednak prawdziwa przyczyna tej wojny tkwi w geopolityce. Gruzja była zdecydowana zbliżyć się do Zachodu, a Rosja była zdecydowana do tego nie dopuścić. W tej walce Moskwa uczyniła ze wspomnianych regionalnych konfliktów coś w rodzaju zakładnika, instrumentalizując je, traktując jak część swojej szerszej

strategii zmierzającej zarówno do zdestabilizowania Gruzji i utrzymania jej zależności od moskiewskiej dobrej woli, jak również do położenia kresu jej prozachodnim aspiracjom. Rosja głęboko przeciwstawiała się gruzińskim pragnieniom wydostania się ze swojej historycznej sfery wpływów i zapuszczenia korzeni na Zachodzie. Obawiano się, że gruziński eksperyment demokratyczny, gdyby zakończył się sukcesem, mógłby rozszerzyć się na Kaukaz Południowy i Północny, a potencjalnie również i na samą Rosję. To, że w takich krajach, jak Gruzja czy Ukraina udało się przeprowadzić prawdziwie demokratyczne wybory (w przeciwieństwie do wybierania będącej u władzy oligarchii), stanowiło z perspektywy Moskwy niebezpieczny precedens. Co więcej, oligarchiczne reżimy sprawujące władze w tych krajach zostały pozbawione władzy przez oddolne rewolucje społeczeństwa obywatelskiego. Jeżeli zaś Ukraina i Gruzja mogły przyjąć zasady liberalnej demokracji i faktycznie stać się częścią Zachodu, to narracja rosyjskiej klasy rządzącej mówiąca o „suwerennej demokracji” panującej na jej terenie oraz odtworzeniu rosyjskiej potęgi na arenie międzynarodowej zaczynała tracić podstawy.

Opisywany tu konflikt był również pochodną odwiecznego problemu polegającego na tym, że Rosja potrafi czuć się bezpieczna jedynie wtedy, kiedy państwa z nią sąsiadujące znajdują się pod jej kontrolą i, w konsekwencji, same nie czują się bezpieczne. Wiązał się również ściśle ze wzrastającym znaczeniem eksportu energii jako instrumentu rosyjskiej polityki zagranicznej. Moskwa postawiła sobie za cel zdominowanie dostaw zasobów energetycznych do Europy, a Tbilisi stanowiła część koalicji starają-

cej się zapobiec takiemu rozwojowi wydarzeń i stworzyć alternatywną nitkę dostaw kaspijskiej energii na Zachód, bez udziału Rosji. Przywódcy na Kremlu otwarcie poinformowali Tbilisi, że Gruzini muszą wybierać między byciem po stronie Moskwy i byciem po stronie państw zachodnich oraz że nastawienie Moskwy wobec „zamrożonych” konfliktów w Abchazji i Osetii Południowej zależało od gruzińskiej odpowiedzi na to zasadnicze pytanie. Gdyby Gruzja porzuciła swoje prozachodnie ambicje i ugięła się pod rosyjskimi żądaniem, najprawdopodobniej nie doszłoby do wojny. Ale Gruzja tego nie zrobiła. W konsekwencji oba państwa znalazły się w sytuacji, w której konflikt był w zasadzie nie do uniknięcia.

To, co stało się 7 sierpnia, stanowiło więc tylko ostatni akt znacznie dłuższego i bardziej skomplikowanego dramatu. Rosja *de facto* wypowiedziała wojnę Gruzji o wiele wcześniej, zanim jej wrogość faktycznie wypłynęła na powierzchnię latem 2008 roku – zrobiła to, gdy tylko spostrzegła, że Tbilisi nie ugnie się pod presją. Działania zbrojne okazały się zatem kulminacyjnym punktem szerszych przemian w rosyjskiej strategii, której siłą napędową były nacjonalizm i petrodolary, jak również pragnienie odzyskania kontroli nad sąsiadami. Odnowiona Rosja była zdeterminowana, by nie „utracić” Gruzji. Pragnęła również na nowo roztoczyć swoje władanie nad Kaukazem Południowym. To właśnie miało miejsce w tym z pozoru niewielkim, pięciomilionowym kraju położonym nad Morzem Czarnym, posiadającym faktycznie dla Moskwy tak ogromne znaczenie. Oto przyczyna, dla czego opór Tbilisi doprowadził do tak radykalnego wybuchu resentymentów i złości na Kremlu. Wreszcie, oto powód,

dla którego (z rosyjskiej perspektywy) demokratyczne eksperymenty podejmowane przez Tbilisi musiały zostać ucięte, wyegzorcyzmowane i w ostatecznym rozrachunku zniszczone.

Po drugie, również Gruzja popełniła liczne błędy, co w konsekwencji doprowadziło do wojny. Niemniej jednak, jak zobaczymy, istnieje wyraźna logiczna argumentacja uzasadniająca decyzję prezydenta Saakaszwilego o podjęciu walk 7 sierpnia. Jego działanie było desperacką reakcją na to, co uznawał za bezpośrednie zagrożenie czystką etniczną dziesiątek tysięcy gruzińskich obywateli, na niebezpieczeństwo utraty raz na zawsze Osetii Południowej i Abchazji, wreszcie, na możliwy atak rosyjski na samą Tbilisi. Jednocześnie decyzje Saakaszwilego wynikały z przekonania, że politycznie brak działania będzie dla niego jednoznaczny z utratą władzy. To oczywiście nie oznacza jeszcze, że decyzja o podjęciu walk z siłami rosyjskimi była mądrym wyborem. Prezydent Saakaszwili zdecydował się na wojnę, przed której rozpoczęciem ostrzegali go jego sojusznicy; wojnę, której nie chcieli poprzeć i której on sam nie mógł wygrać. Oddziały gruzińskie wysłane do boju nie były ani wyszkolone, ani odpowiednio wyposażone, by stawić czoła rosyjskiej armii. Zgodnie ze starym powiedzeniem strategów wojskowych, znacznie łatwiej jest rozpocząć wojnę, aniżeli zakończyć ją z sukcesem – o czym wkrótce przekonali się przywódcy w Tbilisi, w jej efekcie zmuszeni zostali do niesprawiedliwego pokoju, aby w ogóle przetrwać.

Lista gruzińskich błędów jest bardzo długa. Choć relacje Tbilisi z Rosją z natury rzeczy musiały być trudne, mogły jednak wyglądać o wiele lepiej niż w rzeczywistości.

Pełne obojętności wsparcie dla Gruzji, jakiego udzieliła jej Europa, nie było jedynie przejawem polityki *appeasementu*, jak czasami starają się sugerować gruzińscy politycy. Było wyrazem realnych obaw dotyczących zarówno wewnętrznych przemian w Gruzji, jak i niskiej oceny jej dyplomacji. W swoim desperackim dążeniu do rozwiązania „zamrożonych” konfliktów gruzińska strategia wahała się pomiędzy groźbą zdelegitymizowania rosyjskiej pozycji w regionie a oferowaniem Moskwie potajemnych ofert ponad głowami przywódców separatystycznych prowincji. W niektórych swoich działaniach rząd w Tbilisi zdawał się podążać za tym, co Richard Nixon nazwał „teorią szaleńca” w polityce zagranicznej. Taktyka ta polegała na sformułowaniu groźby, że będzie się działało irracjonalnie w celu zwrócenia na siebie czyjejs uwagi. W tym konkretnym przypadku oznaczało to gotowość na wojnę z Rosją po to, by zyskać uwagę Zachodu.

Trzeba jednak przyznać, że Gruzja znajdowała się w wyjątkowo trudnym położeniu. Jej droga do zacieśnienia stosunków z Zachodem musiała być dłuższa, bardziej stroma i kręta aniżeli droga, jaką dekadę wcześniej przebyły państwa środkowej i wschodniej Europy, przyłączając się do struktur NATO i Unii Europejskiej. Tę różnicę dodatkowo powiększało negatywne stanowisko Rosji. Gruzja była również wewnętrznie słabsza i musiała dokonywać bardziej drastycznych reform. Stała się na krawędzi katastrofy tuż przed rewolucją róż w listopadzie 2003 roku. Jej przywódcy w spadku otrzymali do rozwiązania wspomniane problemy „zamrożonych” konfliktów – problemy, których sami nie stworzyli. Abchazja i Osetia Południowa stanowiły rodzaj obroży nałożonej

na gruzińską szyć, czyniącej jej marzenia o zbliżeniu z Zachodem znacznie trudniejszymi do realizacji. Biorąc pod uwagę te przeszkody i ograniczenia, Tbilisi dysponowała więc niewielkim marginesem błędu. Sytuacja wymagała zjednoczenia wszystkich sił przeciw tym przeszkodom, znakomitego przywództwa, a także rozważnej i konsekwentnie wdrażanej długofalowej strategii. Niestety, ani konsekwencja, ani rozważa nie były towarem powszechnie dostępnym w Tbilisi. Tak powstał swoisty paradoks: ten właśnie rząd, który był najbardziej prozachodni i który z dumą używał flagi Unii Europejskiej jako symbolu swoich aspiracji, mógł wprawdzie współpracować ze Stanami Zjednoczonymi, ale nigdy nie był zdolny zbudować na bazie własnych pragnień relacji opartej na wzajemnym zaufaniu w swoich stosunkach z Unią Europejską.

Trzecia teza jest taka: wojna wybuchła, ponieważ istniejące mechanizmy międzynarodowego zaangażowania na terenie Abchazji i Osetii Południowej okazały się kompletnie niewystarczające, by można było zachować pokój, nie wspominając nawet o realnym rozwiązaniu samego konfliktu. Co było również przejawem porażki politycznej woli Zachodu oraz jego strategicznej wyobraźni. ONZ miała swoją misję w Abchazji, a OBWE swoją w Osetii Południowej. Obydwie zostały powołane we wczesnych latach 90. w celu kontrolowania przebiegu zawieszenia broni w obydwu prowincjach. Niestety, żadnej z tych inicjatyw nie udało się przekształcić w taki system wspierania sytuacji w regionie, który doprowadziłby do mającego realne podstawy procesu pokojowego. Przeciwnie: z czasem wspomniane misje zaczęły być wykorzystywane przez Rosję jako rodzaj przykrywkę dla realizacji jej par-

tykularnych celów. Nikt na Zachodzie nie zdecydował się jednak przywołać Moskwy do porządku za te działania. Na tym polegała porażka całej społeczności międzynarodowej, która nie potrafiła przeciwstawić się wydarzeniom i skorygować zarysowujący się coraz wyraźniej trend. Zamiast tego, państwa zachodnie rozszerzały uprawnienia wynikające z porozumienia, wzmacniając w ten sposób rosyjską dominację w regionie oraz pozwalając Moskwie na blokowanie wszelkich inicjatyw, które nie odpowiadały jej preferencjom.

Wystarczy porównać czy raczej wskazać na kontrast między poziomem zaangażowania politycznego Zachodu w rozwiązanie konfliktów na Bałkanach a tych w Gruzji i na Kaukazie Południowym. W pierwszym przypadku społeczność międzynarodowa – ze Stanami Zjednoczonymi i Europą na czele – wykazała inicjatywę i przeprowadziła szeroko zakrojoną akcję zmierzającą do zaprowadzenia pokoju i stabilności w regionie. Był to pełen rozmachu, opatrzony poparciem ONZ wysiłek polegający na działaniach mających na celu utrzymanie pokoju, rozwiązanie konfliktów, a także polityczną i ekonomiczną odbudowę, przeprowadzaną wspólnie przez Stany Zjednoczone, Unię Europejską i NATO. Tymczasem konflikty w Gruzji uzyskały ledwo część tego rodzaju zaangażowania, uwagi czy zasobów. Misje ONZ i OBWE sprowadzały się jedynie do obserwowania toczących się wydarzeń i nie miały żadnej realnej władzy nad nimi ani wpływu na ich bieg. Stworzone struktury mające zapewnić utrzymanie pokoju nie były neutralne, lecz zdominowane przez kraj będący stroną w konflikcie, i w efekcie nagięły wszystkie swoje zasady, w oparciu o które działały, do potrzeb tego kraju.

Państwa zachodnie od zawsze mówiły o równości w kwestii bezpieczeństwa w Europie. Liczne dokumenty OBWE potwierdzają istnienie tej niezmiernie istotnej zasady. W rzeczywistości jednak geografia miała znaczenie dla Zachodu i to, co działo się na Bałkanach, było istotniejsze od wydarzeń w szeroko rozumianym obszarze Morza Czarnego. Gdyby społeczność międzynarodowa podjęła się podobnej w rozmiarach akcji zapewnienia pokoju w Gruzji do tej, jaką przeprowadziła na Bałkanach, do wojny mogłoby w ogóle nie dojść. Mamy tu więc do czynienia z porażką społeczności międzynarodowej. Wystarczy jeden przykład, aby ją odpowiednio zilustrować. Zaraz po wojnie Unia Europejska była w stanie rozmieścić kilkuset swoich funkcjonariuszy, mających patrolować zapalne terytoria i zapewnić w ten sposób trwałość zawieszenia broni. Gdyby zgodnie z ponaglającymi prośbami rządu gruzińskiego siły te zostały tam rozmieszczone poprzedniej wiosny, historia mogłaby się potoczyć zupełnie inaczej. Zamiast tego na przestrzeni piętnastu lat nie udało się przeprowadzić prawdziwego procesu pokojowego. Ciężko znaleźć choć jedną inicjatywę pokojową zgłoszoną w tym okresie przez Rosję. Tbilisi przedstawiła długą listę projektów, z których żadnego konsekwentnie nie zrealizowano, choć kilka niewątpliwie miało realny potencjał. W przynajmniej dwóch przypadkach były to dalekosiężne, tajne propozycje (w 2006 w sprawie Osetii i w 2008 Abchazji), które mogły stanowić fundament poważnych negocjacji. Propozycje te za sprawą przecieków natychmiast przedostawały się do rosyjskiej prasy i tym sposobem były odrzucane, zanim pojawiła się okazja, by na dobre je rozważyć. Część winy z pewnością spada na

stronę gruzińską i sposób, w jaki je przedstawiała. Wszystko wskazuje jednak na to, że rozwiązanie tych kwestii nie leżało w interesie Moskwy, ponieważ umożliwiłoby Gruzji szybszą integrację z Zachodem. To samo można zresztą powiedzieć o separatystycznych sojusznikach Rosji, których przyszłość przedstawiałaby się niewyraźnie, gdyby zapalne regiony nagle otworzyły się na zewnętrzny świat.

Po czwarte, również Zachód musi podjąć refleksję nad sobą. Nasze błędy oraz brak jedności przyczyniły się do wybuchu wojny. Jednym z błędów było uznanie niepodległości Kosowa pomimo ostrzeżeń Moskwy, że wyciągnię z tego ruchu konsekwencje i jednostronnie uzna Abchazję i Osetię Południową za suwerenne państwa. Kolejnym był niewątpliwie sposób, w jaki sformułowano obietnice wobec Gruzji i Ukrainy na szczycie NATO w Bukareszcie wiosną 2008 roku. Posunięcia te stworzyły dla Moskwy podwójny pretekst do działania przeciwko Gruzji. W obydwu przypadkach państwa zachodnie nie miały żadnego planu pozwalającego osłonić Tbilisi przed konsekwencjami prowadzonej przez nie polityki. Oczywiście, wielu komentatorów i polityków będzie wskazywało na błędne posunięcia samej Gruzji bądź na wybuchową osobowość jej prezydenta jako na główne przyczyny, dla których Tbilisi nie zyskała szerszego poparcia międzynarodowego. Obydwa twierdzenia mogą być prawdziwe. Jednak zobowiązania, jakie wypływają z karty paryskiej – prawo do terytorialnej integralności, suwerenności, równego bezpieczeństwa oraz do swobodnego wybierania sojuszników – stanowiły sam fundament pozimnowojennego porządku bezpieczeństwa. Prawomocność tych zasad nigdy nie miała być zależna od osobowości prezydenta,

skuteczności reform wewnętrznych podjętych w danym państwie czy stylu jego dyplomacji. Przeciwnie, zostały spisane właśnie po to, aby chronić mniejsze państwa przed mocarstwowymi zakusami państw większych. Jeżeli pozimnowojenny porządek miał pozostać wiarygodny, zasad tych należało bronić, gdy tylko pojawiła się groźba ich zakwestionowania. Nie zrobiono tego. I stało się tak zarówno dlatego, że obustronne zaufanie Gruzji i Zachodu było zbyt małe, jak i dlatego, że zachodnie mocarstwa nie wykazały należytego zainteresowania całą sprawą.

Na tym polegała zresztą sama istota problemu. Podczas gdy Gruzja i Rosja coraz bardziej zbliżały się do wojny, zbyt nieliczni obserwatorzy i politycy dostrzegali w tym, co się działo, wyzwanie rzucone samym fundamentom pozimnowojennego porządku europejskiego. Niewielu chciało zobaczyć w postawie Moskwy wyraźny gest odrzucenia części zasad mówiących o tym, jak powinno się rozwiązywać narastające problemy pomiędzy państwami europejskimi. Zbyt wielu postrzegało natomiast wspomniany konflikt jako dotyczący dalekiego, egzotycznego kraju, pozbawiony związku z sytuacją w Europie. Wielu nie wiedziało nawet, czy będące istotą sporu prowincje o trudnych do wymówienia nazwach leżały w Europie i czy powinna ona chcieć się nimi interesować. Jednocześnie ci sami ludzie obawiali się konfliktu z Rosją. Nie widzieli potrzeby w tym, by bronić mniejszego państwa. Obawiali się raczej niepotrzebnie narazić na szwank z jego powodu swoje relacje z Moskwą. To, dlaczego tak właśnie kształtowały się te odczucia, jest kolejnym zagadnieniem, którym zajmuję się w tej książce. Słabość Zachodu i brak jego politycznej jedności po interwencji w Iraku, wzrasta-

jąca zależność Europy od rosyjskich dostaw energii oraz zwyczajny brak zainteresowania – wszystkie te argumenty stanowią część odpowiedzi.

Piąty i ostatni wniosek, jaki formułuję w tej książce, brzmi: wojna rosyjsko-gruzińska wydobyla na powierzchnię konieczność ponownego przemyślenia i przebudowania strategii Zachodu wobec Rosji oraz architektury bezpieczeństwa europejskiego jako całości, szczególnie zaś, gdy chodzi o rozszerzenie UE i jej relacje z sąsiadami. Opisywana tu wojna strzaskała stare założenia, które na przestrzeni ostatnich piętnastu lat stanowiły samą istotę polityki państw zachodnich i które doprowadziły do poszerzenia Unii Europejskiej i NATO o pas krajów położonych pomiędzy Morzem Bałtyckim i Morzem Czarnym. Owo rozszerzenie na nowo (i na lepsze) zarysowało mapę Europy oraz pozwoliło wytworzyć najbardziej demokratyczną i bezpieczną sytuację, jaka panowała na całym kontynencie na przestrzeni niedawnej historii. Zbudowanie takiego *status quo* stanowiło samą istotę naszej próby stworzenia nowej, ogólnoeuropejskiej architektury bezpieczeństwa oraz dookreślenia nowego partnerstwa z Rosją, jako równorzędnych elementów budowania nowej, wolnej od podziałów i pokojowej Europy.

Jednak to w okresie tych samych piętnastu lat na scenie pojawiła się nowa, antyzachodnia i rewizjonistyczna Rosja przekonana, że Zachód pragnie ją poniżyć i wykorzystać jej słabość. To, czy taka, a nie inna, postawa Rosji była wynikiem prowadzonej przez państwa zachodnie polityki albo raczej wynikiem wewnętrznej dynamiki politycznej tego kraju, jest kwestią, którą będę rozważał w dalszej części tej książki. Jakkolwiek brzmiałaby od-

powieź na tak postawione pytanie, rosyjsko-gruzińska wojna stanowiła przejaw buntu przeciw wspomnianemu wcześniej nowemu systemowi bezpieczeństwa. Nie było dziełem przypadku, że jednym z pierwszych posunięć nowego rosyjskiego prezydenta Miedwiediewa po zakończeniu wojny gruzińskiej była odmowa spisania na nowo zasad europejskiego bezpieczeństwa międzynarodowego, gdyż postrzegane są one w Moskwie za zbyt euroatlantyczne, za skrojone na potrzeby Zachodu.

Jednocześnie jest jednak rzeczą absolutnie jasną, że również wewnętrzny konsensus między państwami zachodnimi, dotyczący realizowanej dotychczas strategii, coraz bardziej tracił na sile w miarę, jak rozszerzenie postępowoło coraz dalej na wschód. Kolejne państwa o ambicjach członkowskich okazywały się coraz słabsze i mniej atrakcyjne, zaś rosyjska niechęć do poszerzania Zachodu i opór wobec tego stopniowo wzrastały. Co więcej, oznaki zmęczenia rozszerzeniem były wyraźnie widoczne również jeszcze przed wojną gruzińską. Dziś są już niezaprzeczalne. Jeżeli rozszerzenie ma pozostać możliwą do zrealizowania strategią, wymaga dogłębnego przemyślenia i dostosowania do nowo powstałej sytuacji. Potrzebuje też nowego uzasadnienia, praktycznego zestawu zasad, dzięki którym strategia ta mogłaby być realizowana oraz, co najważniejsze, nowego podejścia do stosunków z Moskwą.

Niniejsza książka przedstawia historię przyczyn oraz przebieg wojny w Gruzji. Musi jednak uwzględniać szerszą narrację, objąć stopniowy kryzys w stosunkach transatlantycznych oraz załamanie w relacjach między Zachodem i Rosją. Aby można było to wszystko opowiedzieć, należy przyjrzeć się zarówno przeszłości, jak i przyszłości. Musi-

my zwrócić nasz wzrok wstecz i zbadać nie tylko przyczyny załamania się stosunków po obu stronach Atlantyku, lecz również przyczyny, z powodu których nasze relacje z Moskwą ułożyły się nieprawidłowo. Musimy też spojrzeć w przód: nowa polityka wobec Rosji musi bowiem uwzględniać nową, zachowującą się na arenie międzynarodowej w sposób znacznie bardziej asertywny Rosję, zdecydowaną na to, by kroczyć własną drogą. Zachód potrzebuje strategii zdolnej do zaangażowania Rosji w tych obszarach, w których możemy znaleźć wspólny język i w których jednocześnie nie zdradzamy wyznawanych wartości ani zasad stanowiących naszym zdaniem samą podstawę obecnego pokoju i stabilizacji w Europie. Taka strategia wymagać będzie, by Stany Zjednoczone i Europa ponownie zbliżyły się do siebie i odnowiły sojusz transatlantycki. Wojna gruzińska wybuchła, gdy ów sojusz był w stanie głębokiego kryzysu. Rozpad na przestrzeni ostatniego dziesięciolecia najmocniejszej więzi, jaka kiedykolwiek scalała świat zachodni, również miał swój wpływ na eskalację konfliktu. Wybranie Baracka Obamy na stanowisko prezydenta USA wzbudziło nadzieje na to, że Stany Zjednoczone i Europa mogą ponownie połączyć siły i stawić czoła zagrożeniom nowych czasów. Poza rozwiązaniem kluczowych problemów bezpieczeństwa związanego z Afganistanem i Pakistanem, szeroko rozumianym Bliskim Wschodem oraz wzrostu znaczenia Chin i Azji Wschodniej nowa administracja musi również odbudować nadszarpniętą konstrukcję sojuszu transatlantyckiego oraz zaproponować nową strategię w stosunku do wschodniej części Europy.

W jednej książce nie da się odpowiedzieć na wszystkie te pytania. Postanowiłem więc skupić się na kwestiach

najmocniej związanych z tematem wojny pomiędzy Rosją a Gruzją. Skoncentrowałem również swoją uwagę na zagadnieniach, na których znam się najlepiej w związku z moim doświadczeniem w dyskusjach na temat bezpieczeństwa międzynarodowego w Europie na przestrzeni dwóch ubiegłych dziesięcioleci oraz moim zaangażowaniem w Gruzji oraz w kwestie związane z „zamrożonymi” konfliktami. To, co przedstawiam na kartach tej książki, stanowi więc rodzaj mozaiki – zbioru rozproszonych danych, które wzięte z osobna mogą wydawać się pozbawione znaczenia, ale rozpatrywane razem odsłaniają ukryty wzór wydarzeń. Wydaje mi się, że wyłania się z nich jasny obraz zdarzeń z 7 sierpnia. Ponadto czytelnik ma prawo wiedzieć o moim zaangażowaniu w sprawy gruzińskie przed przystąpieniem do dalszej lektury tej książki.

Opowiadam tę historię z pozycji kogoś, kto miał dość szczęścia, by znać wielu wpływowych przywódców oraz brać udział w wielu debatach, jakie opisuję na kartach tej książki. Było to możliwe dlatego, że mniej więcej dwadzieścia lat temu, jeszcze jako młody człowiek, znajdowałem się w środkowej i wschodniej Europie w chwili, gdy upadał komunizm. Wcześniej podjąłem pracę przy poszerzaniu NATO, a następnie zostałem zrekrutowany przez administrację Clintona w połowie lat 90., aby pomóc wdrażać tę właśnie politykę. Byłem więc zaangażowany w działania dyplomatyczne podczas pierwszej tury rozszerzania, jak również w powstanie aktu założycielskiego Rady NATO-Rosja w 1997 roku i, ogólnie, w wysiłki zmierzające do ściślejszego związania Rosji z Zachodem.

Gdyby ktoś zapytał mnie wtedy, czy Gruzja i Ukraina staną się kiedyś poważnymi kandydatami do członkostwa

w Pakcie Północnoatlantyckim, odpowiedziałbym zapewne, że nie. Nasza wizja w tamtym okresie ograniczała się wyłącznie do Europy Środkowo-Wschodniej, sięgającej od Morza Bałtyckiego po zachodnie brzegi Morza Czarnego. Skupiała się również na budowaniu nowego partnerstwa z Rosją. Tak nakreśloną sytuację zmieniała dopiero rewolucja róż w Gruzji w 2003 roku oraz pomarańczowa rewolucja na Ukrainie, która wybuchła rok później. Obydwa te wydarzenia wzmocniły przekonanie, że demokratyczne przełomy były możliwe w położonych głębiej na wschód rejonach Eurazji i Kaukazu Południowego, w związku z czym musieliśmy przyjąć nową strategię, aby i je uwzględnić.

Wiosną 2004 roku, razem ze Strobem Talbottem, moim dawnym mentorem z Departamentu Stanu, uczestniczyliśmy w lunchu z Mirceą Geoană, byłym ministrem spraw zagranicznych Rumunii i ambasadorem w Waszyngtonie. Geoană wygłosił pełną pasji mowę, przekonując, że rozszerzenie nie może zatrzymać się na zachodnim brzegu Morza Czarnego, na Bułgarii i Rumunii, ale że musi objąć również takie państwa, jak Gruzja i Ukraina. Pamiętam, że siedziałem tam wtedy pełen sprzecznych odczuć. Rozumiałem jego argumenty, ale jednocześnie wiedziałem, że zadanie będzie o wiele trudniejsze aniżeli w przypadku środkowo-wschodniej Europy. Zdawałem sobie również sprawę z tego, że mogło pochłonąć najbliższą dekadę mojego życia. Czy był to więc kolejny, logiczny krok w procesie poszerzania obszaru demokracji, który sam pomogłem stworzyć – czy raczej zadanie nie do wykonania? W kilka miesięcy później po raz pierwszy poleciałem do Tbilisi, aby się o tym przekonać. Jak wielu zachodnich obserwatorów i polityków, od momentu przybycia na lotnisko zastana-

wiałem się, czy Gruzja będzie w stanie dokonać przeskoku od bycia dawną republiką sowiecką do stania się członkiem wspólnoty euroatlantyckiej. W ciągu pierwszych kilku dni spotkałem się z prezydentem Micheilem Saakaszwilim, premierem Zurabem Żwaniją oraz Nino Burdżanadze, szefową parlamentu. Szybko stało się dla mnie jasne, że sami Gruzini nie mieli wielu wątpliwości w kwestii swoich aspiracji, nawet jeżeli państwa zachodnie były ich pełne.

Podróżując po kraju spotkałem wielu młodych ludzi, gorących zwolenników demokracji, którzy gotowi byli na ściślejsze związanie się z Zachodem bez względu na to, jak nikłe byłyby na to szanse lub jak niewielki byłby poziom wsparcia z naszej strony. Przypominało mi to moje wcześniejsze podróże do Europy Środkowo-Wschodniej i do państw bałtyckich w czasach, gdy bardzo wiele osób nie wierzyło w to, że będą one w stanie stać się członkami Unii Europejskiej i NATO. Wkrótce Gruzja urzekła mnie – i to nie tylko wspaniałą kuchnią czy cudownymi górskimi krajobrazami. Urzekła mnie idea, że liberalno-demokratyczna Gruzja, gdyby jej eksperyment faktycznie zakończył się sukcesem, mogłaby otworzyć i przeobrazić cały region Kaukazu Południowego oraz szerokiego basenu Morza Czarnego – co w efekcie doprowadziłoby do powstania zupełnie nowej sfery demokratycznie zreformowanych państw. Wytworzona w ten sposób stabilizacja mogłaby mieć pozytywny wpływ na szerszy strategiczny układ, obejmujący nie tylko Europę, ale również Eurazję.

Jak więc moglibyśmy odmówić im wsparcia? Jak ktoś taki jak ja, kto był jednym z architektów strategii rozszerzania demokracji, mógłby nie zaoferować swojej pomocy? Nie tylko ja myślałem w ten sposób. Spora część tych,

których [ironicznie – przyp. tłum.] zwykło określać się mianem „mafii” – a więc pewna luźna zbiorowość amerykańskich i europejskich dziennikarzy, działaczy organizacji pozarządowych, analityków, a także innych weteranów debat dotyczących rozszerzenia z lat 90. – spotykała się teraz na różnego rodzaju konferencjach i warsztatach w Tbilisi oraz sąsiednich stolicach. Próbowaliśmy ustalić, jak powinna wyglądać odpowiedź Zachodu na gruzińskie aspiracje. Dla wielu z nas wydawało się to logicznym przedłużeniem projektu związania z Zachodem państw Europy Środkowo-Wschodniej.

W kolejnych latach napisałem wiele artykułów oraz byłem redaktorem kilku książek dotyczących strategii Zachodu wobec regionu szeroko rozumianego basenu Morza Czarnego. Pomagałem przy wdrażaniu programu zorganizowanego w ramach German Marshall Fund of the United States, który polegał na sprowadzeniu doświadczonych amerykańskich i europejskich dyplomatów do obszarów „zamrożonych” konfliktów w Abchazji i Osetii Południowej, aby naocznie zbadali sytuację. Udało mi się poznać wielu czołowych przywódców gruzińskich – jasne stały się dla mnie dzięki temu ich przemyślenia i obawy. Te spotkania i wyjazdy pozwoliły mi dobrze zrozumieć mechanizmy gruzińskiej polityki; uporządkować sobie to, co naprawdę zdarzyło się w Abchazji i Osetii Południowej. Dzięki dawnym znajomościom w Waszyngtonie oraz wśród rządów europejskich udało mi się również znaleźć w pierwszym rządzie obserwatorów toczących się debat.

Od samego początku nie można jednak było mieć wątpliwości, że chodzi o Gruzję i południowy Kaukaz, a nie o Pragę czy Tallin. Sytuacja była znacznie bardziej

niespokojna, chaotyczna, miejscami wręcz niebezpieczna. Demokracja nie zdążyła jeszcze w Gruzji zapuścić korzeni, czego nie dało się powiedzieć o regionalnym nacjonalizmie. Skłonność do radykalizmu i przesady stanowiła integralny składnik lokalnej kultury. Ambasador USA w Gruzji John Tefft powiedział mi, że ci, którzy odwiedzają ten kraj po raz pierwszy, w swojej ocenie lokalnej polityki we wszystkim przesadzają przynajmniej o 25% – jeżeli nie więcej. Strategiczne dyskusje z udziałem prezydenta czasami zaczynały się o północy i trwały aż do wczesnych godzin rannych. Atmosfera była więc swoistą mieszanką Dzikiego Zachodu z jednej oraz zimnej wojny pomiędzy Rosją i Gruzją z drugiej strony. W mających co jakiś czas miejsce zamachach panowała zasada wet za wet. Nazywaliśmy tę część Europy nie większą, ale bardziej niespokojną<sup>6</sup> – tak brzmiała politycznie poprawna fraza, przy pomocy której dyplomaci NATO i UE często określali państwa znajdujące się poza granicami obu organizacji. Nawet bar hotelu Marriott w Tbilisi był jakby żywcem wyjęty z powieści Rebecci West<sup>7</sup>. Stłoczeni w nim gruzińscy urzędnicy, dyplomaci i pracownicy wywiadu wspólnie pili alkohol i wymieniali się zasłyszonymi plotkami aż do samego świtu.

Zapewne niektórzy nabiorą przekonania, że moje zaangażowanie w sprawy Gruzji czyni ze mnie stronniczego obserwatora wydarzeń, które próbuję opisać na kartach tej książki. Moim zdaniem jednak zdobyte doświadczenia pozwoliły mi na bezpośredni wgląd w przyczyny i przebieg konfliktu. I to właśnie staram się opisać w tej książce. Los pozwolił mi śledzić wojnę z wyjątkowego punktu widzenia, a to sprawia, że historię tę warto opowiedzieć. Ostateczny osąd w tej kwestii pozostawiam jednak czytelnikowi.



## Decyzja

**P**rezydent Gruzji Micheil Saakaszwili odłożył telefon. W Tbilisi była godzina 23:35. Był 7 sierpnia 2008 roku. Saakaszwili właśnie wydał swoim oddziałom zbrojnym rozkaz ataku na to, co zdaniem gruzińskiego wywiadu było kolumną oddziałów rosyjskich zmierzających z małego miasteczka Dżawa w Osetii Południowej do położonego nieco na południe od granicy gruzińsko-rosyjskiej miasta Cchinwali, stolicy tej niewielkiej separatystycznej prowincji. Druga kolumna wojsk rosyjskich przedostawała się poprzez położony na granicy Tunel Rokijski w stronę terytorium Gruzji. Saakaszwili rozkazał również swoim oddziałom powstrzymanie ostrzału gruzińskich wiosek, czego dokonywały oddziały Osetii Południowej w tych miejscach prowincji, które znajdowały się pod kontrolą gruzińskich sił pokojowych i policji. Ostrzał był kilkakrotnie przerywany i ponawiany na przestrzeni ostatniego tygodnia. Owego wieczoru został wznowiony i to pomimo jednostronnej deklaracji o wstrzymaniu ognia. Wśród gruzińskich cywilów oraz członków sił pokojowych byli ranni i zabici. Prezydent zatrzymał się na chwilę, podniósł słuchawkę raz jeszcze i wydał trzeci rozkaz: „Jak najmniej ofiar cywilnych”.

Saakaszwili zdecydował się na wojnę. Była to doniosła decyzja – do tego stopnia, że jeden z przedstawicieli Niezależnej Międzynarodowej Misji Rozpoznawczej ds. Konfliktu Gruzińskiego (Independent International Fact-Finding Mission on the Conflict in Georgia – IIFFMCG), na której czele stała ambasador Heidi Tagliavini, uznał ją później za nieusprawiedliwioną z punktu widzenia prawa międzynarodowego. Decyzja ta nie tylko sprawiła, że przyszłość Gruzji zawisała na włosku, ale również pchnęła Rosję i Zachód na krawędź największego kryzysu od momentu upadku komunizmu blisko dwadzieścia lat wcześniej. Poprzedniego wieczora Gruzinom udało się przechwycić rozmowę telefoniczną między strażnikami granicznymi Osetii Południowej, którzy dyskutowali o tym, jak rosyjskim strażom granicznym udało się przejąć kontrolę nad Tunelem Rokijskim i terenem nieco na południe od granicy. Wspominali również o tym, że rosyjska kolumna wojskowa przekroczyła te terytoria około czwartej nad ranem. Minister spraw wewnętrznych Iwane „Wano” Merabiszwili brał udział w późnowieczornym spotkaniu, gdy otrzymał tę wiadomość – natychmiast powiadomił Saakaszwilego. Nie było w tym momencie jasne, jak duża była kolumna oddziałów rosyjskich. Napływające wiadomości były jednak niepokojące. Tunel Rokijski ma prawie cztery kilometry długości, a jeden ze strażników na granicy miał stwierdzić, że „jest cały pełny”<sup>8</sup>. Gruziński wywiad dysponował źródłem informacji na miejscu zdarzenia, które donosiło, że wspomniane oddziały liczyły około „stu pięćdziesięciu czołgów”. Osoba ta nie była jednak wyszkolona w dokonywaniu zwiadu wojskowego.

Przechwycone informacje wskazywały również na nazwisko pułkownika, który dowodził 693. pułkiem 19. dywizji 58. armii Federacji Rosyjskiej. Jednostka ta nie miała prawa przebywać na terenie Gruzji. Inne doniesienia sygnalizowały, że również części 135. pułku znajdowały się na tym samym obszarze. Według szacunków gruzińskiego wywiadu w działania mógł być ponadto zaangażowany batalion rosyjskiej piechoty – i to w sile mniej więcej 550 żołnierzy. Nie potrafiiono jednak dokładnie określić miejsca, w którym się znajdował<sup>9</sup>. Mniej więcej w tym samym czasie członkowie gruzińskich oddziałów pokojowych zaobserwowali przejście sił rosyjskich przez drogę objazdową z Jawy w kierunku Cchinwali. Dowódca gruzińskich sił pokojowych, brygadier generał Mamuka Kuraszwili, zadzwonił do swojego rosyjskiego odpowiednika i zarazem głównodowodzącego oddziałów pokojowych, majora generała Marata Kułachmetowa, aby zapytać go, co mają oznaczać manewry tych oddziałów, zwłaszcza, że wyglądały na wyposażone w ciężką artylerię. Strona rosyjska obiecała zbadać tę sprawę i oddzwonić. Nigdy jednak tego nie zrobiła. Był to kolejny niepokojący znak, wskazujący na to, że Moskwa coś planowała<sup>10</sup>.

Gruzja intensyfikowała tymczasem swoje działania rozpoznawcze w ciągu dnia. W ich trakcie w Tbilisi starano się ustalić, dokąd udały się wspomniane oddziały i jakie miały zamiary. Armia gruzińska nie była wolna od niedoskonałości, jednak Tbilisi poczyniła wcześniej inwestycje zwiększające zdolności przeprowadzenia skutecznego rozpoznania, posiadała choćby sprzęt termowizyjny. Ostateczny rozkaz Saakaszwilego przystąpienia do wojny był podyktowany kilkoma czynnikami – brakiem

jakiegokolwiek reakcji ze strony Osetii bądź Rosji na jego jednostronne zawieszenie broni, wznowionym ostrzałem gruzińskich wiosek, przesunięciem oddziałów rosyjskich poprzedniego wieczora, a także najświeższymi danymi wywiadowczymi, mówiącymi o tym, że dodatkowe oddziały rosyjskie szykowały się do przekroczenia Tunelu Rokijskiego po zapadnięciu zmroku. Kroplą, która przełała czarę, było jednak dostrzeżenie przez jeden z przeprowadzających rozpoznanie oddziałów gruzińskich kolumny wojskowej przemieszczającej się od Jawy w stronę Cchinwali. Na podstawie liczby żołnierzy oraz typu uzbrojenia kolumny – czołgów, wozów zbrojnych i artylerii – Gruzini wywnioskowali, że nie mogły to być ani oddziały Osetii Południowej, ani północnoosetyjscy „ochotnicy”. Patrzyli na armię rosyjską. Doniesienie to potwierdziło podejrzenia Saakaszwilego, że jego kraj został zaatakowany przez Moskwę. Późną nocą podjął więc decyzję o kontrataku.

Rosyjska 58. armia, główna siła militarna Moskwy na północnym Kaukazie, znana była ze swojej brutalności z czasów wojny w Czeczenii. Na kilka tygodni przed inwazją uczestniczyła w zakrojonych na szeroką skalę ćwiczeniach letnich pod nazwą „Kaukaz 2008”. Odbływały się one w Osetii Północnej, nieco na północ od granicy z Gruzją. Zgodnie z oficjalną wersją ćwiczenia te dotyczyły „wykrywania, powstrzymywania oraz eliminowania grup terrorystycznych” w terenach górskich. Zgromadzone siły liczyły około 700 wozów bojowych, w ich skład wchodziły także myśliwce oraz część Floty Czarnomorskiej. Ciężko uznać tego typu oddziały za pomocne przy zwalczaniu skrywających się po górach terrorystów. Były za to idealne do dokonania całkiem konwencjonalnej napaści

na państwo sąsiednie. W rzeczywistości chodziło bowiem o próbę generalną przed atakiem, który został w szczególności już wcześniej przygotowany. Scenariusz ćwiczeń obejmował interwencję oddziałów rosyjskich w fikcyjnej byłej republice sowieckiej, na której terenie miałyby one chronić rosyjskich obywateli i stacjonujące tam siły pokojowe. *De facto* były to gry wojenne w inwazję na Gruzję. Żołnierze biorący udział w ćwiczeniach otrzymali na początku materiały zatytułowane *Żołnierzu, znaj swojego potencjalnego wroga!* W materiałach tych mianem wroga określano Gruzję<sup>11</sup>.

Po zakończeniu tych działań przygotowawczych wiele z oddziałów nieznacznie tylko zmieniło swoje położenie, zamiast wrócić do stałych baz. Kluczowe siły wojsk rosyjskich zostały w ten sposób zgromadzone na północ od Tunelu Rokijskiego. Wieczorem 5 sierpnia znajdowało się tam już blisko 12 tysięcy żołnierzy<sup>12</sup> (razem z całym uzbrojeniem i artylerią) gotowych do przypuszczenia ataku na Gruzję. Trzy dni wcześniej, Nikołaj Pankow, zastępca rosyjskiego ministra obrony, razem z Anatolijem Chrułowem, wiceszefem wywiadu i dowódcą 58. armii, bawili z wizytą u przywódców Osetii Południowej. Znajdował się tam również dowódca rosyjskich i północnoosetyjskich oddziałów pokojowych – rzekomo w celu sfinalizowania planu ich działania w najbliższym czasie.

W swoich oficjalnych komunikatach Moskwa utrzymywała, że jej oddziały wkroczyły na terytorium Gruzji dopiero 8 sierpnia o godzinie 14:00. Twierdzenie to jest jednak po prostu niewiarygodne. Dokładny moment, w którym regularne jednostki rosyjskie rozpoczęły infiltrację gruzińskiej granicy, oraz to, jak wiele oddziałów

wkroczyło nielegalnie do Osetii Południowej przed wieczorem 7 sierpnia, są wciąż nieznanne i stanowią przedmiot gorącej polemiki. Pomimo faktu, że obydwie końce Tunelu Rokijskiego znajdują się na terytorium gruzińskim, Moskwa *de facto* kontrolowała ten odcinek. Wielokrotnie odmawiała siłom międzynarodowym zgody na monitorowanie panującej w nim sytuacji. Nie godziła się również na to, by przedstawiciele misji międzynarodowych mogli obserwować, kto właściwie się nim przemieszczał. Andriej Iłarionow w obszernym studium dotyczącym rosyjskich przygotowań wojennych przekonywał, że około 1200 żołnierzy rosyjskich (razem ze służbami medycznymi i łącznikami) zostało zgromadzonych w Osetii Południowej do 7 sierpnia. Kolejnych 12 tysięcy żołnierzy czekało w obwodzie, „gotowi przekroczyć natychmiast granicę i udzielić pomocy siłom pokojowym w Osetii”, jak to określił jeden z [rosyjskich – przyp. tłum.] oficerów<sup>13</sup>. Kolejne źródła oraz raporty prasowe opracowane przez dziennikarzy, którzy znajdowali się w czasie trwania wojny w Osetii Południowej, wskazują również, że części 135. pułku 58. armii oraz 22. Brygady Sił Specjalnych w towarzystwie kilku czołgów wkroczyły na teren prowincji między 2 a 7 sierpnia wieczorem. Niektóre z tych oddziałów zostały później użyte do walk z Gruzinami 8 sierpnia, kiedy wkroczyły do Cchinwali<sup>14</sup>.

To wszystko stanowiło zresztą dodatek do sił północnoosetyjskich, czeczeńskich i kozackich „ochotników”, którzy zostali oficjalnie postawieni w stan gotowości przez Moskwę i zarejestrowani przez rosyjskie władze wojskowe zanim przekroczyli granicę. Już 3 sierpnia część z nich została przypisana do batalionu pokojowego Osetii Północ-

nej<sup>15</sup>. Z działaniami pokojowymi oddziały te nie miały jednak nic wspólnego. Idealnie nadawały się natomiast do dokonywania czystek etnicznych, czym też wkrótce zaczęły się parać. Już po zakończeniu wojny, w rosyjskim czasopiśmie zajmującym się kwestiami militarnymi, zatytułowanym „Krasnaja Zwiezda”, ukazał się artykuł poświęcony zranionemu w starciach kapitanowi 135. Zmotoryzowanego Pułku Strzelców. Przyznawał w nim, że jego batalion znajdował się w Osetii Południowej już 7 sierpnia, zaś w walkach w Cchinwali brał udział dzień później. Wtedy to wspomniany kapitan doznał obrażeń. Jak zwykle w takich przypadkach bywa, historyjka służąca za „przykrywkę” zawiera w sobie najwięcej prawdy. Po tym, jak wspomniany artykuł wzbudził duże zainteresowanie, jego tekst został zmieniony. Gdy pomimo tego sprawa nie ucichła, oficer, którego dotyczyła cała afera, ponownie udzielił gazecie wywiadu, stwierdzając tym razem, że jego oddział wkroczył do Gruzji dopiero 8 sierpnia. Na koniec zaś zniknął z życia publicznego<sup>16</sup>.

Podczas gdy Gruzja *de facto* utraciła kontrolę nad sporymi połaciami Osetii Południowej po walkach, do których doszło jeszcze na początku lat 90., wciąż stanowiły one oficjalnie część terytorium jej państwa. Rosja zaś mogła utrzymywać w strefach konfliktu w Abchazji i Osetii Południowej ograniczony kontyngent „sił pokojowych”, co wynikało z porozumienia zawartego z OBWE i ONZ we wczesnych latach 90. ubiegłego wieku. Rodzaj oraz wyposażenie tych oddziałów zostały jednak ściśle określone – liczba żołnierzy była ograniczona zgodnie z wymogami misji pokojowej. Mieli również odpowiadać przed innym dowództwem [niż regularne oddziały rosyjskie – przyp.

tłum.]. Jakikolwiek zmiany w liczebności kontyngentu powinny być zgłaszane z 30-dniowym wyprzedzeniem. W rzeczywistości jednak Moskwa od dawna łamała te zasady. Przemieszczanie oraz zwiększenie oddziałów rosyjskich stanowiło to pogwałcenie zawartych porozumień. Było więc nielegalne.

Przez cały dzień 7 sierpnia Saakaszwili otrzymywał raporty wywiadowcze mówiące o przesunięciach oddziałów rosyjskich na północ od Tunelu Rokijskiego oraz w okolicach bazy wojskowej Ugardanta, położonej na obrzeżach Dżawy w Osetii Południowej. Baza ta miała zostać opuszczona kilka lat wcześniej. Moskwa przedłużała jednak jej istnienie, dzięki czemu mogła utrzymywać na wspomnianych terenach znacznie liczniejsze oddziały. Również taką postawę ciężko uznać za zwykły przypadek. Jeszcze w połowie lipca wywiad gruziński otrzymał informacje od zaprzyjaźnionych służb zachodnich o przeniesieniu dodatkowych myśliwców rosyjskiej floty powietrznej do północnej Osetii. Rankiem 7 sierpnia dotarł zaś do nich raport mówiący, że między 4 a 5 sierpnia Moskwa przemieściła dodatkowe siły powietrzne, przenosząc je z bazy Iwanowo pod Moskwą do bazy w Mozdoku w Osetii Północnej. Wśród przeniesionych sił znajdował się specjalny samolot wojskowy A-50, umożliwiający dowodzenie działaniami z powietrza<sup>17</sup>. Gruzini uzyskali również informacje, że część rosyjskiej Floty Czarnomorskiej stacjonującej w Sewastopolu wypłynęła z portu przed kilkoma dniami gotowa do poważnej operacji. Również te siły zajęły więc swoje pozycje w przygotowaniach do inwazji.

7 sierpnia zapanował chaos. Gruzini starali się możliwie szybko zrozumieć, co właściwie działo się przy ich

północnej granicy – i dlaczego. Połączenie faktu zwiększenia sił lądowych oraz manewrów rosyjskiej floty powietrznej nie było dobrym prognostykiem. Najważniejsze pytanie, które zadawał sobie prezydent Saakaszwili, brzmiało, czy Rosjanie zbierali swe siły na północy po to, by tam pozostać, czy też po to, by ruszyć na południe w stronę Cchinwali? I jeśli faktycznie skierowaliby się w stronę południową, czy ich celem będzie zajęcie wiosek oraz terytorium gruzińskiego znajdującego się w okolicach tego miasta czy może znacznie większych obszarów? Czy to jeszcze jedna próba wywarcia nacisku, a może przygotowanie do prawdziwej inwazji na Gruzję? Saakaszwili próbował skontaktować się telefonicznie z prezydentem Dmitrijem Miedwiediewem, by porozmawiać o tym, co się działo, ale bezskutecznie.

Gdy oznak wskazujących na wkroczenie rosyjskich oddziałów do Osetii Południowej przybywało, gruziński prezydent stanął przed niezmiernie trudnym dylematem – zgodzić się na to, co się działo, albo stawić opór. Jego zachodni sojusznicy raz po raz namawiali go, aby nie dał się wciągnąć w konflikt z Rosją – bez względu na wszystko. Ale na drodze rzeczonych rosyjskich oddziałów leżały gruzińskie wioski położone w dolinie Didi Liachwi, jak również wspierany przez Tbilisi alternatywny rząd Osetii Południowej w wiosce Kurta. We wspomnianych wioskach znajdowali się więc nie tylko obywatele gruzińscy, których Tbilisi miała obowiązek bronić. Kurta stanowiła samą istotę gruzińskiej strategii, mającej na celu przekonanie lokalnej społeczności do rządu w Tbilisi przy pomocy tzw. *soft power*. Gdyby siły rosyjskie przemaszerowały przez te tereny, mogłoby to doprowadzić do ko-

lejnych czystek etnicznych oraz strzaskać przyjętą przez Tbilisi strategię mającą umożliwić rozwiązanie konfliktu z Osetią Południową przy pomocy środków pokojowych. Saakaszwili był pewien, że po tak poważnej porażce, jego rząd nie mógłby dłużej utrzymać się u władzy.

Gruziński prezydent miał jednak poważniejsze zmartwienia. Od zawsze był przekonany – i mówił o tym otwarcie zagranicznym gościom, w tym piszącemu te słowa – że Moskwa dokonując ataku, nie ograniczy się jedynie do Osetii Południowej. Ta mała enklawa po prostu nie była warta ryzyka, jakie Moskwa musiałaby podjąć. Jeżeli więc Rosjanie zdecydowaliby się na inwazję w Osetii Południowej, to – jak zakładał Saakaszwili – stanowiłoby to tylko pierwszy krok na drodze do bardziej zmasowanego uderzenia, którego celem byłaby Tbilisi. Na południe od Cchinwali rozciągał się przecież płaski jak stół teren, prowadzący wprost do gruzińskiej stolicy. Tak więc istota dylematu gruzińskiego prezydenta sprowadzała się do następującego pytania: czy Rosjanie zatrzymają się w Osetii Południowej, czy też będą kontynuowali swój atak aż do zajęcia samej stolicy Gruzji i schwywania jego samego? Nie było przecież tajemnicą, że Moskwa próbowała pozbyć się Saakaszwilego. Kremłowscy mędracy sugerowali nawet w rosyjskiej telewizji możliwość dokonania zamachu na jego życie<sup>18</sup>. Co więcej, Moskwa podjęła również szereg kroków o charakterze politycznym i ekonomicznym – część zupełnie otwarcie, część możliwie dyskretnie – by doprowadzić do destabilizacji jego rządu. Putin kilkakrotnie osobiście ostrzegał Saakaszwilego, że z jego prozachodniej polityki wyciągnie konsekwencje.

Żadna z tych gróźb nie wpływała na postawę Saakaszwilego – aż do tego momentu. Był zdenerwowany. Przynajmniej od wiosny stosunki pomiędzy Gruzją a Rosją stawały się coraz bardziej napięte, zwłaszcza od czasu ogłoszenia niepodległości Kosowa oraz szczytu NATO w Bukareszcie. Moskwa stopniowo zwiększała swoją presję, podejmując kroki wskazujące na rychłą aneksję obydwu dążących do separacji enklaw. Przygotowywała się również od strony wojskowej, poprzez wspomniane nielegalne przemieszczenia oddziałów. Użyła jako przykrywki swojej roli rzekomego gwaranta pokoju w regionie, aby modernizować infrastrukturę, wysłać do regionu dodatkowe oddziały i dozbrajać siły separatystycznych prowincji. Te z kolei, ze swojej strony, przygotowywały się do ułatwienia oddziałom rosyjskim inwazji. Większość wspomnianych działań miała miejsce w Abchazji, w której napięcia stopniowo nasilały się na przestrzeni wiosny i lata 2008 roku. Czasami Moskwa zdawała się wręcz chęć tym, że łamie ustalone wcześniej zasady – w ogóle nie starała się na przykład ukryć przed zachodnimi mediami faktu, iż w sposób nielegalny wprowadziła uzbrojone rosyjskie oddziały i sprzęt na teren prowincji na początku lata.

Z gruzińskiej perspektywy sens rosyjskich przygotowań był oczywisty. Moskwa *de facto* starała się, kawałek po kawałku, poruszając się jakby w „zwolnionym tempie”, dokonać stopniowej aneksji obydwu zbuntowanych prowincji – jednocześnie sprawdzając, czy Zachód zaprotestuje i czy Tbilisi odważy się spróbować ich powstrzymać. Odpowiedź państw zachodnich była, jeśli spojrzeć na nią oczami Gruzinów, cherława, pozbawiona krzty charakteru. Sojusznicy Tbilisi nawoływali obie strony

do powściągliwości i usilnie prosili Saakaszwilego, aby nie wchodził w konflikt z Rosją i, zamiast tego, polegał na działaniach dyplomatycznych, które miały umożliwić stopniowe rozładowanie sytuacji. Działania dyplomatyczne nie przynosiły jednak rezultatów, a tymczasem Rosja swoimi posunięciami w terenie zmieniała istniejące *status quo*. Gruzja próbowała zawrzeć z nią tajne porozumienie, jednak jej starania spełzły na niczym. Z punktu widzenia Tbilisi dyplomacja zawiodła, a Moskwa szykowała się do ponownego podziału jej terytorium, co w praktyce oznaczałoby, że teoretyczna integralność terytorialna Gruzji byłaby już tylko pozbawioną znaczenia iluzją. Działając w ten sposób, Rosja łamała praktycznie wszystkie podstawowe wytyczne stosunków między państwami respektowane przez społeczność międzynarodową. Jednocześnie rozbudowywała swoją bazę wojskową – młot, przy pomocy którego chciała rozbić Gruzję, gdyby Tbilisi odważyła się stawić opór.

Sierpień, jak wiadomo, to na południowym Kaukazie sezon strzelniczy. W wymianie ognia pomiędzy siłami Osetii Południowej a Gruzji na przełomie lipca i sierpnia było więc coś z corocznego rytuału. Zgodnie z utartym schematem z poprzednich lat ostrzał rozpoczynały oddziały południowoosetyjskie, po czym Gruzini odpowiadali w ten sam sposób. Po kilku dniach jedna ze stron (najczęściej gruzińska, choć nie zawsze) wycofywała się. Jedynym wyjątkiem był rok 2004, kiedy to właśnie strona gruzińska zaostrzyła konflikt i dała zdecydowany odpór, ponosząc zresztą przy tym wyraźne straty. Była to lekcja, o której w Tbilisi nie zapomniano. Spowodowała ona większą powściągliwość w działaniu na przestrzeni kolej-

nych kilku lat. Latem 2007 roku dwa rosyjskie myśliwce zbombardowały gruzińską stację radarową nieopodal miasta Tsitelubani na granicy strefy konfliktu z Osetią Południową. Pocisk nie został całkiem zniszczony podczas eksplozji, dzięki czemu – wbrew zaprzeczeniom Moskwy – zachodnim ekspertom udało się ustalić, że był on rosyjskiego pochodzenia.

Kiedy więc 29 lipca 2008 roku ponownie doszło do wymiany ognia między oddziałami Gruzji i Osetii Południowej, wielu obserwatorów – zarówno w samej Gruzji, jak i poza nią – z początku nie widziało w nich nic nowego ani niepokojącego. Szybko jednak stało się jasne, że schemat walk tego roku przybrał znacznie bardziej niepokojące kształty. Kiedy oddziały Osetii Południowej otworzyły ogień w kierunku gruzińskich jednostek wojskowych i wiosek 29 lipca, ostrzały były znacznie bardziej systematyczne i prowadziły do większej ilości ofiar w ludziach aniżeli w poprzednich latach. Trwały cały dzień aż do późnego wieczora. Używano pocisków artyleryjskich kaliber 100 i 120 mm – a więc ciężkiej broni, oficjalnie zakazanej w całej strefie i wcześniej w niej nieużywanej, a zarazem znacznie potężniejszej od tej, którą wykorzystywano do wzajemnych ostrzałów do tej pory. Nowe uzbrojenie zostało zresztą udostępnione oddziałom południowoosetyjskim przez Rosję. 4 sierpnia dowódca rosyjskich sił pokojowych, major generał Marat Kułachmetow, potwierdził, że broń większego kalibru, aniżeli dopuszczaly to istniejące przepisy, była używana w ostrzale gruzińskich wiosek. Chociaż odmówił wskazania sprawców, Gruzini doskonale wiedzieli, kto stał za wspomnianymi atakami. Przechwycili zapisy rozmów telefonicznych wskazujące na to, że człon-

kowie rosyjskich i północnoosetyjskich misji pokojowych kontaktowali się z bojówkami Osetii Południowej, aby przeprowadzić atak na Gruzinów, a następnie w celu ukrycia dowodów użycia tej niedozwolonej broni<sup>19</sup>.

Było do przewidzenia, że użycie cięższej broni doprowadzi do większej liczby ofiar. Według przygotowanego na miejscu wydarzeń raportu OBWE z 4 sierpnia walki, które rozpoczęły się kilka dni wcześniej, były najpoważniejszym starciem od 2004 roku. Między 29 lipca a 7 sierpnia zginęło sześciu gruzińskich policjantów. Jedenastu żołnierzy sił pokojowych zginęło w trakcie walk, a dwóch kolejnych zmarło później, w wyniku odniesionych obrażeń. Całe wioski po obu stronach zostały dosłownie odcięte od świata, a niektóre z nich kompletnie zniszczone. Gruzini kontratakowali i również doprowadzili do ofiar po stronie Osetii Południowej. Sześciu południwoosetyjskich milicjantów zginęło na przykład w trakcie walk 1 sierpnia (w tym czterech po strzałach snajperów), a trzynastu było rannych (w tym kolejnych siedmiu postrzelonych przez snajperów). Raz jeszcze kierowane przez Rosjan Połączone Siły Pokojowe (Joint Peacekeeping Force – JPKF) zrobiły niewiele, by nie dopuścić do tego typu zdarzeń. Stało się tak pomimo faktu, że wspomniane ataki często skierowane były przeciwko gruzińskim żołnierzom wchodzącym formalnie w skład sił pokojowych, za których bezpieczeństwo ich rosyjski dowódca był osobiście odpowiedzialny.

Południwoosetyjscy separatyści stosowali w działaniach własną wersję znanej doskonale choćby z Bliskiego Wschodu taktyki bojowej – używania ludzkich tarczy. Na Bliskim Wschodzie ludzkie tarcze są często wykorzystywane przez palestyńskich powstańców do obrony przed

Izraelczykami bądź też do sprowokowania ich do działań, w efekcie których śmierć poniosą cywile. To z kolei ma się przełożyć na potępienie ich polityki na arenie międzynarodowej. W tym konkretnym przypadku jednak siły Osetii Południowej korzystały z pomocy rosyjskich i północnoosetyjskich oddziałów pokojowych jako tarczy do osiągnięcia tego samego celu. Ostrzeliwali Gruzinów z pozycji bezpośrednio przylegających do miejsc, gdzie stacjonowały rosyjskie siły pokojowe, czasami znajdując się za nimi, a czasami nawet wewnątrz terenu przez nie kontrolowanego. W ten sposób prowokowano Gruzinów do podjęcia ryzyka zabicia żołnierzy rosyjskich – i wywołania w ten sposób szerszego konfliktu z Moskwą. Było to kolejnym przykładem na to, jak lokalne porozumienia zawarte wcześniej pomiędzy zaangażowanymi w konflikt stronami stawały się farsą.

Ciężko sobie wyobrazić, aby tego rodzaju ataki można było przeprowadzić bez czynnego poparcia ze strony Moskwy bądź chociaż jej biernego błogosławieństwa. Rząd Osetii Południowej, w szczególności zaś krąg głównodowodzących segmentami związanymi z bezpieczeństwem i wojskowością, składał się w przeważającej mierze z rosyjskich urzędników. Tuzin kluczowych postaci separatystycznego rządu w Cchinwali stanowili Rosjanie – włącznie z premierem, ministrami spraw wewnętrznych i obrony oraz głównodowodzącym ds. bezpieczeństwa narodowego. Przywódca Osetii Południowej, Eduard Kokojty był działaczem z rosyjskiego mianowania i przez jego biuro Moskwa miała bezpośredni dostęp do rządu w Cchinwali. Rosyjska kontrola nad nim oraz nad działaniami na terenie prowincji była niemal absolutna – włą-

pliwości można mieć jedynie co do tego, kto dokładnie w Rosji decydował o wszystkim, co się tam działo<sup>20</sup>.

4 sierpnia gruziński wiceminister spraw zagranicznych Grigol Waszadze wsiadł do swojego samochodu, którym następnie udało mu się przedostać do gruzińskiej wioski Nuli, położonej w Osetii Południowej. Jak się okazało, została prawie w całości zniszczona. Kiedy Waszadze wrócił do Tbilisi, zaproponował członkom korpusu dyplomatycznego, aby sami przekonali się, jak naprawdę wygląda sytuacja. 5 sierpnia rząd Gruzji wystosował odpowiednie zaproszenie do wszystkich przedstawicieli dyplomatycznych w Tbilisi, aby udali się na swoistą przejażdżkę po regionie. Biuro specjalnego przedstawiciela Unii Europejskiej na tych terenach, Petera Semneby'ego, raportowało do Brukseli, że faktycznie istniały materialne dowody na dokonanie przez siły Osetii Południowej ostrzału pozycji gruzińskich prowadzącego do ofiar śmiertelnych. Jednocześnie donoszono jednak, że obie strony starały się wykorzystać zaistniałą sytuację na swoją korzyść. „W obecnej chwili – czytamy w konkluzji unijnego raportu – nie wygląda na to, aby którakolwiek ze stron była zainteresowana wybuchem konfliktu zbrojnego o dużej skali, natomiast małe lokalne starcia z ofiarami śmiertelnymi są wysoce prawdopodobne”. Pogląd OBWE na sytuację w regionie, wypracowany na miejscu, był znacznie bardziej pesymistyczny i jednocześnie znacznie bliższy rzeczywistości. Wysyłano jeden alarmujący raport po drugim w ciągu całego tygodnia, co w sumie można uznać za rodzaj dyplomatycznego sygnału SOS – rozpaczliwe ostrzeżenie wskazujące na to, że sytuacja staje się coraz bardziej niebezpieczna. Nikt jednak nie zwracał na to uwagi. Świat

był skupiony na rozpoczynających się w Pekinie 7 sierpnia igrzyskach olimpijskich; względnie, na zbliżających się letnich urlopach.

Tym, co wywołało największe poruszenie w Tbilisi nie była jednak sama intensywność prowadzonych ostrzałów. Separatystyczny rząd Kokojty'ego podjął serię działań wyraźnie wskazujących na to, że Osetia Południowa zamierza wejść na ścieżkę wojenną. 2 sierpnia rząd południowoosetyjski ogłosił ewakuację kobiet i dzieci ze swojej stolicy. Tuż przed wybuchem konfliktu ogromna większość mieszkańców terenów, które miały stać się miejscem bitwy, została ewakuowana do Osetii Północnej. Również propaganda medialna w południowoosetyjskiej i rosyjskiej telewizji stawała się coraz ostrzejsza. Pojawiały się nawet sugestie na temat zbliżającego się konfliktu z Gruzją. W czasie wywiadu udzielonego rosyjskim i lokalnym mediom 7 sierpnia Kokojty ostrzegł, że jego oddziały „wyczyszczą” znajdujące się w regionie siły gruzińskie, jeżeli te nie wycofają się z tych newralgicznych terenów<sup>21</sup>. Prawie pięćdziesięciu czołowych rosyjskich dziennikarzy, reprezentujących najważniejsze stacje telewizyjne i radiowe oraz najważniejsze gazety, przybyło do Cchinwali między 2 a 6 sierpnia<sup>22</sup>. Nie stanowiło to normy. Było więc jasne, że coś wisiało w powietrzu.

A wszystko to działo się dokładnie w momencie, gdy większość przedstawicieli gruzińskiego rządu, przekonana, iż najgorsze momenty kryzysu z wiosny i lata należały już do przeszłości, wyjechała z kraju na wczasy. Poza krajem przebywał gruziński minister obrony, dwaj jego kluczowi zastępcy również szykowali się do urlopu. Gruziańskie siły wojskowe były w najgorszym momencie pod względem

swojego przygotowania, ponieważ ich dowódcy, po całych miesiącach mobilizacji, wreszcie otrzymali pozwolenie za-twierdzenia żołnierzom ich wniosków urlopowych. Sam Saakaszwili również wyruszył na „tłustą farmę” do Włoch, gdzie zamierzał zrzucić nieco nadwagi i cieszyć się czasem spędzonym wspólnie z rodziną. Następnie miał zamiar udać się do Pekinu na otwarcie olimpiady. Gdy siedział w pokoju hotelowym we Włoszech i skakał po kanałach telewizyjnych, natknął się nagle na transmisję rosyjskiej stacji telewizyjnej, która przedstawiała wydarzenia z południowej Osetii. Zaskoczył go poziom wrogości rosyjskich mediów. Wzbudziło to jego podejrzliwość. Postanowił więc powrócić do Tbilisi jak najszybciej, aby opanować sytuację. Działo się to w pierwszych dniach sierpnia.

Wykorzystywanie przez Rosjan Abchazji i Osetii Południowej jako pionków w grze przeciwko Tbilisi nie było niczym nowym. Stanowiło to stały element rosyjskiej strategii mającej na celu z jednej strony trzymać Gruzję w stanie niepewności, z drugiej zaś przypominać światu zewnętrznemu, jak niestabilnym jest krajem, by podciąć w ten sposób jej prozachodnie aspiracje. Celem było również sprowokowanie Tbilisi do podjęcia działań zbrojnych, co utrwaliłoby *image* Saakaszwilego jako przywódcy porywczego, działającego pod wpływem nagłych impulsów. Przez całą wiosnę i lato uwaga skupiała się na Abchazji, tam Moskwa i Tbilisi znajdowały się już na krawędzi wojny. Media rosyjskie kilkakrotnie donosiły nawet, że wojna wybuchnie lada chwila. Wydawało się jednak, iż kryzys minął mniej więcej w połowie lipca.

Siedząc w swoim gabinecie 7 sierpnia, Saakaszwili zdawał sobie sprawę z tego, że zbyt szybko pozwolił, by Gru-

zja opuściła gardę. Teraz znajdował się w położeniu nie do pozazdroszczenia – był zmuszony do podjęcia decyzji, której się obawiał. Konieczność ta była zresztą dla niego wielkim zaskoczeniem. Konflikty z Abchazją i Osetią Południową wisiły nad jego głową niczym miecz Damoklesa. Podczas gdy wielu (kierujących się zresztą dobrymi intencjami) doradców oraz zachodnich obserwatorów sugerowało, by prezydent minimalizował znaczenie „zamrożonych konfliktów” oraz zrzucił winę za faktyczną porażkę w tych kwestiach na swoich poprzedników, Saakaszwili wierzył z całego serca w sprawę terytorialnej integralności Gruzji i uczynił z kwestii dotyczących separatystycznych prowincji integralną część swojego politycznego *credo*. Nie ufał w możliwość pozostania na stanowisku w sytuacji, gdyby nie udało mu się obronić obywateli Gruzji zamieszkujących tereny, które wciąż znajdowały się pod jego kontrolą, lub gdyby utracił wspomniane prowincje. Już samo utrzymywanie *status quo* było złym scenariuszem. Co więcej, od początku roku Moskwa systematycznie obracała ów stan przeciw niemu. Saakaszwili próbował namówić swoich zachodnich partnerów, aby bardziej zaangażowali się w wydarzenia i dali odpór Moskwie – nieskutecznie jednak.

Prezydent Gruzji wiedział zapewne lepiej niż ktokolwiek inny, jak bardzo politycy w Moskwie (a Władimir Putin w szczególności) nienawidzili go, a także to wszystko, co sobą reprezentował. Otrzymywał przecież coraz bardziej złowieszcze sygnały oraz ostrzeżenia pod własnym adresem od Rosji (i Putina osobiście). Stwierdzano w nich właściwie w zupełnie otwarty sposób, co Moskwa mu zrobi, jeżeli nie doprowadzi do zmiany przyjętego po-

litycznego kursu. Choć przyzwyczajony do twardej taktyki Rosjan, Saakaszwili był jednak zaskoczony rozwijającą się przed jego oczami sytuacją. Różnica między prowadzeniem ostrzału gruzińskich wiosek przez oddziały Osetii Południowej a możliwą inwazją rosyjską na terenie całego kraju była przecież zasadnicza. Czyżby Putin zdecydował się zrealizować swoje groźby dotyczące przeprowadzenia zmiany władzy w Gruzji? Czy Rosja była gotowa na podjęcie marszu na Tbilisi, z obaleniem istniejącego rządu jako głównym celem całej wyprawy? Czy też był to raczej dokładnie ten rodzaj pułapki, przed wpadnięciem w którą przestrzegali gruzińskiego prezydenta jego zachodni sojusznicy?

Saakaszwili nie miał wielu złudzeń odnośnie zbrojnej pomocy Zachodu, gdyby zdecydował się na starcie z Rosjanami. Nikt lepiej od niego nie zdawał sobie sprawy z tego, jak często i z jakim naciskiem Waszyngton ostrzegał go, że w razie niebezpieczeństwa kawaleria Stanów Zjednoczonych nie zostanie wysłana na miejsce wydarzeń, aby go ocalić. Domniemania mówiące, że Waszyngton dał Tbilisi w owych dniach jakiś rodzaj „zielonego światła” [do podjęcia działań obronnych przeciw Rosji – przyp. tłum.] zupełnie mijają się z rzeczywistością. Żaden wysoko postawiony gruziński urzędnik nie sugerował nawet, żeby coś takiego miało miejsce. Przeciwnie, wszyscy zgodnie podkreślali fakt wielokrotnego otrzymywania ostrzeżeń od wysokich przedstawicieli dyplomacji amerykańskiej i państw europejskich, by nie dać wciągnąć się w konflikt. Gruzini politycy dodawali jednak również, że także Tbilisi wysyłała swoim zachodnim sojusznikom wyraźne sygnały o treści: jeśli Moskwa przekroczy

pewne „czerwone” linie graniczne, żaden gruziński rząd nie będzie mógł stać z boku i beczynn timer przyglądać się terytorialnej dezintegracji państwa.

Istotą problemu było jednak co innego. Obydwe strony mówiły do siebie różnymi językami. Dla Zachodu sprawę kluczową stanowiło to, aby Gruzja nie wdała się w wojnę z Rosją – i kropka. Dla Gruzji z kolei niewyobrażalne było, by mogła pogodzić się ze stratą separatystycznych prowincji bez podjęcia ze swojej strony jakichkolwiek działań obronnych. Były to zatem dwa zupełnie odmienne punkty widzenia. Saakaszwili pomimo tego, że *de facto* jego rząd kontrolował jedynie niewielki pas terytorium Abchazji oraz mniej niż połowę terytorium Osetii Południowej, wielokrotnie przestrzegał swoich amerykańskich i europejskich partnerów, iż Abchazja i Osetia Południowa były z jego punktu widzenia kwestiami o egzystencjalnym znaczeniu. Podkreślał również w związku z tym swoją gotowość do podjęcia zdecydowanych działań, gdyby groziło mu utracenie tych terenów. Zachód nie chciał ani o tym słyszeć, ani brać takiego scenariusza wydarzeń pod uwagę przy własnych kalkulacjach. Politycy zachodni zawsze mieli w tej kwestii tę samą odpowiedź: nie dajcie się wciągnąć w konflikt – nie macie w nim żadnych szans. Na tym polegała luka w stosunkach między Gruzją i Zachodem, którą Moskwa wykorzystywała do własnych celów. Dzięki niej mogła zastawić swoją pułapkę.

Tak więc nadszedł moment podjęcia decyzji. Gruzijski przywódca był gotowy na dokonanie tego kluczowego rozstrzygnięcia. Nie posłuchał wspomnianych wyżej rad i zdecydował, że zagrożenie gruzińskich obywateli w Osetii Południowej, groźba utraty terytorialnej integralności

państwa, jak również jego własna dalsza kariera polityczna w roli prezydenta wymagały przystąpienia do twardej obrony i odwrócenia dotychczasowego biegu wydarzeń. Co warto zaznaczyć, Saakaszwili nie miał wątpliwości – a utwierdziły go w tym przekonaniu liczne materiały wywiadowcze otrzymane w ostatnich dniach, jak również lata napiętej współpracy z Moskwą – że Rosja dokonywała inwazji na jego kraj. Zamiast ryzykować przejęcie przez Rosjan oraz ich wspólników z separatystycznych prowincji gruzińskich wiosek i przyczółków, by następnie ruszyć na Tbilisi, Saakaszwili zdecydował podjąć działania prewencyjne, mające uniemożliwić Rosjanom ten ruch. Wierzył w to, że obowiązki, jakie spoczywały na nim ze względu na charakter prezydenckiej przysięgi, nie pozwalały mu zrobić niczego innego.

Decyzja ta nie została podjęta w pojedynkę czy bez konsultacji. Choć Saakaszwili często bywa postrzegany jako autokrata, ma swój własny sposób zasięgania opinii innych ludzi oraz dość luźny styl wspólnego podejmowania decyzji w gronie najbliższych doradców. Gruziniński prezydent wielokrotnie rozmawiał z członkami swojego zespołu ds. bezpieczeństwa narodowego w ciągu owego kluczowego dnia. O godzinie 13:00 zwołał spotkanie Rady Bezpieczeństwa Gruzji, aby jak najprędzej przedyskutować wymykającą się spod kontroli sytuację. W zebraniu uczestniczyli minister spraw wewnętrznych Wano Merabiszwili, minister obrony Dawid Kezeraszwili, szef prezydenckiej administracji Zurab Adeiszwili, burmistrz Tbilisi Gigi Ugulawa oraz sekretarz Rady Bezpieczeństwa Gruzji, Aleksander Lomaja. Niektórzy z kluczowych dowódców wojskowych znajdowali się poza krajem, przeby-

wając na wczasach. Tak było choćby w przypadku szefa parlamentu Dawida Bakradzego, zastępcy szefa parlamentarnej komisji ds. bezpieczeństwa i obrony Nicka Rurui, czy zastępcy ministra spraw zagranicznych Gigiego Bokerii. Również minister spraw zagranicznych Ekaterine Tkeszelaszwili oraz szef wywiadu Gela Beżuaszwili byli nieobecni.

Spotkanie odbywało się w specjalnym prezydenckim domu gościnnym w Tserowani – miasteczku położonym pomiędzy Tbilisi i Gori, gdzie Saakaszwili odwiedzał rannych żołnierzy gruzińskich i policjantów w tamtejszym szpitalu. Wspomniana grupa polityków i doradców spotykała się wcześniej już wielokrotnie na wspólnych zebraniach, podczas których dyskutowano, co trzeba będzie zrobić, jeżeli Rosja faktycznie zdecyduje się zaatakować zbrojnie Gruzję. Tym razem dyskusja nie miała już jednak czysto teoretycznego charakteru. Spotkanie trwało mniej więcej godzinę. Minister spraw wewnętrznych Merabiszwili rozpoczął od zdania raportu z doniesień wywiadowczych z poprzedniego wieczoru. Mówiono w nich o tym, że rosyjskie oddziały przeszły przez Tunel Rokijski, a następnie zajęły pobliskie terytoria. Nikt nie mógł wiedzieć z całą pewnością, ile oddziałów rosyjskich wkroczyło na terytorium Gruzji. Według szacunków była to jednak ilość zbliżona do jednego batalionu<sup>23</sup>.

Saakaszwili zapytał zgromadzonych, czy połączenie wszystkich obserwowanych czynników – użycia cięższej broni w samej strefie konfliktu, zwiększenia obecności wojsk rosyjskich i ich floty powietrznej w regionie, doniesień mówiących o rozmieszczeniu rosyjskich oddziałów w Osetii Południowej, przyływu północnoosetyjskich

„ochotników” oraz wiadomości o przejściu i zajęciu przez Rosjan Tunelu Rokijskiego poprzedniego wieczora – czy więc to wszystko wzięte w całości nie potwierdzało faktu, że Moskwa przekroczyła „czerwoną” linię graniczną i faktycznie zagrażała Gruzji. Czy Tbilisi stała w obliczu jakościowo odmiennej sytuacji od tej, do której była przyzwyczajona? – pytał Saakaszwili. W którym momencie suwerenne państwo powinno zacząć się bronić? Według każdego z obecnych w pomieszczeniu członków Rady Rosja naruszyła ową „czerwoną” linię graniczną, a Gruzja znalazła się w zasadniczo odmiennym niż dotąd położeniu. Wszyscy byli przekonani, że Rosja dokonywała swojej „inwazji w zwolnionym tempie”, inwazji pełzającej. Pytanie brzmiało jednak: jak rząd Gruzji powinien odpowiedzieć? Pod koniec spotkania minister obrony Kezeraszwili otrzymał telefon i po wysłuchaniu głosu w słuchawce kompletnie zbladł. Powiedział, że żołnierze z kolejnego oddziału gruzińskich sił pokojowych zostali zabici. Saakaszwili wydał więc rozkaz rozmieszczenia gruzińskich żołnierzy na samej granicy strefy konfliktu – na wypadek, gdyby zaszła potrzeba użycia ich w walkach. O 14:30 minister obrony zarządził mobilizację. Około godziny 18:00 wspomniane siły otrzymały rozkaz zajęcia pozycji na granicy Osetii Południowej – tuż przy terenach, na których toczyły się walki.

Moskwa dobrze zaplanowała swoją inwazję w czasie. Gruzja nie była przygotowana na podjęcie większej operacji wojskowej w Osetii Południowej. Pomimo mobilizacji już wiosną armii gruzińskiej oraz zaniepokojenia możliwością konfrontacji z Rosją uwaga Tbilisi była w całości skupiona na Abchazji. Z przyczyn, które przeanalizujemy

w dalszej części książki, nie istniały żadne gotowe plany wojskowe, w oparciu o które gruzińskie wojska mogłyby walczyć na południu Osetii. Po okresie mobilizacji wiosną wiele oddziałów otrzymało pozwolenie na obniżenie swojego poziomu gotowości zbrojnej, a żołnierze dostali przepustki na wczasy. Tbilisi była zatem najgorzej przygotowana na atak właśnie w pierwszym tygodniu sierpnia. Nawet zastępca ministra obrony Batu Kutelia właśnie wyjeżdżał na wczasy i miał zapakowane w samochodzie narty wodne, gdy otrzymał telefon z rozkazem, aby natychmiast wracać do Gori i opracować plan prowadzenia działań wojennych. Plan ten musiał zostać naszkicowany w ciągu dwudziestu czterech godzin. Co więcej, w momencie, gdy doszło do wojny, wiele z gruzińskich czołgów było właśnie reperowanych i nie nadawały się do tego, by użyć ich w walce.

Również pod względem swojego położenia gruzińskie siły znajdowały się nie tam, gdzie powinny. Elitarna 1. brygada nominalnie miała swoją bazę w Gori – a więc około dwadzieścia kilometrów od stolicy Osetii Południowej, Cchinwali – w chwili rozpoczęcia walk była jednak zaangażowana w misję w Iraku. Została wprawdzie wycofana z niej, gdy tylko rozpoczęły się walki, na miejsce dotarła jednak zbyt późno, by móc odegrać jakąkolwiek rolę. 4. brygada odbywała z kolei szkolenie przygotowujące ją do misji irackiej. Co więcej, Waszyngton prosił nawet najpierw o użycie 2. brygady w Iraku, Gruzini odmówili jednak, ponieważ jej baza znajdowała się w Senaki, nieopodal granicy z Abchazją, zaś napięcia w regionie wciąż narastały. Wybór 4. brygady był więc obustronnym kompromisem.

Wieczorem 6 sierpnia jej dowódca, major Grigorij Kalandadze, brał udział w *suprze* – tradycyjnej gruzińskiej uczcie, podczas której w towarzystwie rodziny i przyjaciół, za stołem obficie zastawionym potrawami i winami, zebrani bawili się, pili i śpiewali do białego rana, czego nieuchronną konsekwencją następnego dnia był potężny kac<sup>24</sup>. Tymczasem nazajutrz Kalandadze otrzymał rozkaz natychmiastowego przerwania treningu swojej brygady przed misją iracką, przeniesienia jej do Gori i przygotowania do walki z Rosjanami. Miał mniej niż dwanaście godzin czasu na dokonanie reorganizacji podległych mu oddziałów w taki sposób, aby były one zdolne podjąć skuteczne działania w południowej Osetii. Wymagało to skontaktowania się z dowódcami, którzy byli nieobecni, dokonania wymiany świeżo nabytych amerykańskich karabinów M4, do których wciąż nie otrzymano amunicji, na stare rosyjskie kałasznikowy – do nich amunicji było pod dostatkiem; następnie zaś przetransportowania całej brygady, kolejną bądź drogami krajowymi, do Gori. Trzy dni później Kalandadze został ranny, dwóch z dowódców w jego batalionie nie żyło, a jego 4. brygada wycofywała się w pośpiechu z Cchinwali w obliczu przeważającej siły rosyjskiego wojska i floty powietrznej. Bez względu na to, jak oceniamy działania wojsk gruzińskich, nie były to oddziały zdolne do przygotowania i przeprowadzenia operacji militarnej na terenie Osetii Południowej, co z uporem utrzymywała później rosyjska propaganda.

Równoległe do zebrania Rady Bezpieczeństwa Gruzji, Saakaszwili zdecydował o przeprowadzeniu swoistej misji dyplomatycznej „ostatniej szansy”, chcąc wyciągnąć gałązkę oliwną do Rosji i zapobiec w ten sposób wojnie.

7 sierpnia wysłał jednego ze swoich najbliższych współpracowników, specjalnego przedstawiciela i ministra re-integracji Temura Jakobaszwilego do Cchinwali, aby spróbował nawiązać bezpośredni kontakt z władzami rosyjskimi oraz południowoosetyjskimi i powstrzymać wymykającą się spod kontroli sytuację. Jakobaszwili podjął się tej misji, po czym przedostał się samochodem do strefy konfliktu. Jego zadaniem było skontaktowanie się z rosyjskimi bądź lokalnymi dowódcami wyższego szczebla, wybadanie sytuacji w terenie, sprawdzenie, czy istniały jakieś możliwości opanowania sytuacji, oraz jak najszybsze zaraportowanie rezultatów misji do centrali. Jakobaszwili już wcześniej kontaktował się z władzami Rosji i Osetii Południowej. Tym razem jednak przedstawiciele Osetii Południowej po prostu nie zgodzili się na spotkanie. Jurij Popow, odpowiednik Jakobaszwilego w rosyjskim MSZ, początkowo przystał na spotkanie w Cchinwali. Kiedy jednak przyszło do ustalenia konkretnego miejsca spotkania, Popow stwierdził nagle, że jego samochód złapał gumę nieopodal Gori, w związku z czym nie będzie w stanie dotrzeć na miejsce. Gdy Jakobaszwili zapytał, czy Popow nie posiada koła zapasowego, ten odparł, że to również okazało się dziurawe. Rosjanom wcale nie spieszyło się do podjęcia dyskusji mających zapobiec dalszej eskalacji konfliktu. Jakobaszwili jednak i tak udał się do stolicy Osetii Południowej. Jedynym Rosjaninem, który zgodził się z nim spotkać, był major generał Kułachmetow, głównodowodzący międzynarodowych sił pokojowych w regionie. Piastując tę funkcję, Kułachmetow dowodził rosyjskimi, gruzińskimi oraz osetyjskimi oddziałami mającymi wspólnie działać na rzecz utrzymania pokoju w te-

renie. Zarówno zachodni obserwatorzy, jak i sami Gruzini widzieli w nim uczciwego profesjonalistę.

Do spotkania doszło przy administracyjnej granicy Osetii Południowej. Rosyjscy żołnierze eskortowali Jakobaszwilego do głównej kwatery Połączonych Sił Pokojowych, położonej na północ od Cchinwali. Co ciekawe, Połączone Siły Pokojowe miały dwie kwatery główne. Jedną określano jako „Niżnij Gorodok”. Położona była na północy i to w niej mieściło się biuro głównodowodzącego. Druga – „Wierchnij Gorodok” – znajdowała się w południowej części miasta. Jakobaszwili znalazł się w tej pierwszej. Na granicy [Osetii Południowej – przyp. tłum.] przed Cchinwali do niedawna stał jeszcze ogromny billboard przedstawiający Władimira Putina. Chociaż było to terytorium gruzińskie, lokalni działacze ostentacyjnie wystawili wielkie zdjęcie ze sloganem: „Putin – nasz prezydent”. Billboard był widoczny z gruzińskiego punktu kontrolnego. W ten mało subtelny sposób pokazywano, że choć Gruzja na papierze zachowywała integralność terytorialną, tak naprawdę to kto inny rozdawał karty w regionie. Plakat zdjęto dopiero wtedy, gdy Miedwiediew zastąpił Putina na stanowisku prezydenta.

Wjeżdżając do Cchinwali, Jakobaszwilego zszokowało to, że w mieście zastał zupełnie puste ulice. Stolica Osetii Południowej przypominała miasto duchów. Pozostało w nim, wedle szacunków, zaledwie trzy, może cztery tysiące obywateli po tym, jak władze prowincji zarządziły ewakuację<sup>25</sup>. Jakobaszwili wszedł do kwatery głównej i usiadł w prywatnym gabinecie generała. Poza nimi w pomieszczeniu nie było nikogo. Kułachmetow włączył urządzenie zagłuszające, aby upewnić się, że nikt nie podsłucha ich

rozmowy. Obydwaj jej uczestnicy otwarcie przedyskutowali rozwój sytuacji. Według relacji Jakobaszwilego, Kułachmetow przyznał, że niektórych ataków na wojska gruzińskie dokonały oddziały znajdujące się w bezpośrednim pobliżu podlegających mu sił, a nawet z wnętrza zajmowanego przez nie obszaru. Przyznał również, że oddziały Osetii Południowej wykorzystywały rosyjskie siły pokojowe w charakterze żywej tarczy. Nie był w stanie jednak zmienić tego stanu rzeczy, gdyż siły południowoosetyjskie znajdowały się poza jego kontrolą. To zaskoczyło Jakobaszwilego. Co właściwie generał starał mu się powiedzieć? Czy chodziło mu o to, że utracił panowanie nad sytuacją, a więc nad wojskami formalnie mu podległymi czy też że działaniami kierowali wyżej postawieni przedstawiciele rosyjskiego rządu? W obydwu przypadkach nie oznaczało to nic dobrego. Według Jakobaszwilego Kułachmetow starał się zapanować nad sytuacją, która stopniowo wymykała się spod kontroli. Jednocześnie było jednak dla niego jasne, że generał nie decydował już o wydarzeniach toczących się na terenie. Przed wyjściem zapytał rosyjskiego dowódcę, co jego zdaniem Gruzini powinni zrobić, aby sprawy nie przybrały jeszcze gorszego obrotu. Kułachmetow odpowiedział, że jedynym wyjściem jest ogłoszenie jednostronnego zawieszenia broni – „i utrzymanie go w mocy tak długo, jak tylko będziecie w stanie”. Zgodnie z jego sugestią powinno ono trwać co najmniej jeden dzień, jeżeli nie dłużej. Jakobaszwili odpowiedział: „Nie mogę panu niczego obiecać, ale spróbuję. Zraportuję wszystko do moich zwierzchników, a oni podejmą decyzję”.

Saakaszwili jak zwykle był zniecierpliwiony. Podczas spotkania Rady Bezpieczeństwa Gruzji trzykrotnie

próbował skontaktować się z Jakobaszwilim telefonicznie, gdy ten przebywał w Cchinwali. Kiedy tylko Jakobaszwili opuścił stolicę Osetii Południowej, natychmiast zatelefonował do gruzińskiego prezydenta, aby poinformować go o odbytych rozmowach. Saakaszwili szybko zgodził się na pomysł zawieszenia broni. Gdy tylko Jakobaszwili dotarł do Tbilisi, zwołał konferencję prasową i ogłosił zawieszenie broni o godzinie 18:40. Tylko w ten sposób Gruzini mogli przekazać swoją propozycję władzom Osetii Południowej, które odmawiały nawiązania jakichkolwiek kontaktów, o mediacji nawet nie wspominając. Sam Saakaszwili potwierdził zawieszenie broni na osobnej konferencji prasowej, która odbyła się pół godziny później. W tym samym czasie wojska gruzińskie były rozmieszczane na granicy objętych konfliktem terenów, czekając na dalsze rozkazy.

Około 21:00 Jakobaszwili udał się na spotkanie z Saakaszwilim do jego kancelarii. Prezydent pragnął ponownie omówić szczegóły jego popołudniowej wyprawy do Cchinwali. Starał się dociec, jakie motywy kierowały Rosjanami. „Rozumie pan, jakiej wagi są to sprawy” – powiedział Jakobaszwilemu. I dodał: „Każdy szczegół ma tu znaczenie”. Saakaszwili przepytывał swojego wysłannika w kwestii nastroju, nastawienia jego rozmówców. Chciał wiedzieć, czy według Jakobaszwilego kłamali czy też mówili prawdę. Prezydent starał się uniknąć konfrontacji z Rosją i wycofać Gruzję z konfliktu. Miał nadzieję na to, że jeśli wstrzymanie ognia powiedzie się, winę za dotychczasowe walki będzie można przypisać oddziałom południowoosetyjskim. Pytanie brzmiało jednak, czy zawieszenie broni zadziała – i co zamierzały zrobić oddziały

rosyjskie znajdujące się właśnie na terytorium Gruzji? Jeżeli otrzymają rozkaz ruszenia naprzód, na jaki skierują się cel – na Cchinwali czy może na Tbilisi?

Telefon w kancelarii zadzwonił ponownie niedługo po 20:30. Tym razem to minister spraw wewnętrznych Merabiszwili informował, że ponownie rozpoczął się ostrzał gruzińskich wiosek. „Nie odpowiadajcie ogniem”, odparł Saakaszwili. Około 22:30 dzwonił również minister obrony Kezeraszwili, by poinformować prezydenta o ostrzale nowych gruzińskich terenów oraz atakach przypuszczonych na gruzińskie siły pokojowe – byli ranni i ofiary śmiertelne. Kezeraszwili powiedział prezydentowi, że jeśli oddziały gruzińskie nie otrzymają zgody na otwarcie ognia, nie będą w stanie dokonać ewakuacji rannych. Zwiększało to również znacząco prawdopodobieństwo dalszych ofiar. Saakaszwili wziął głęboki oddech i odpowiedział raz jeszcze: „Nie odpowiadajcie ogniem”.

Mniej więcej o 23:30 telefon zadzwonił raz jeszcze. Tym razem, według relacji Jakobaszwilego, po wysłuchaniu głosu w słuchawce Saakaszwili zbladł już całkowicie. Nie chodziło bowiem tylko o informacje dotyczące ponownego ostrzału gruzińskich wiosek i oddziałów. Chodziło o dane wywiadowcze, zgodnie z którymi dodatkowe siły rosyjskie zgromadzone poprzedniego dnia w regionie ruszyły przez Tunel Rokijski i otrzymały rozkaz wejścia w głąb gruzińskiego terytorium. Gruzini zwiadowcy donosili, że cała kolumna rosyjskiej armii kierowała się z Jawy w stronę południową, prosto na Cchinwali. Według nich mogły to być te same oddziały, które poprzedniego wieczora przeszły do rosyjskiej bazy w Jawie. W tym momencie Saakaszwili nie miał już wątpliwości,

że szykowała się inwazja na jego kraj. Zatelefonował do gruzińskiego szefa sztabu Zazy Gogawy, któremu wydał dwa rozkazy: po pierwsze, zatrzymania rosyjskich oddziałów zmierzających w stronę Cchinwali przez Tunel Rokijski, po drugie – ograniczenia osetyjskiego ostrzału gruzińskich wiosek i oddziałów w terenie. Po odłożeniu słuchawki Saakaszwili zamyślił się przez chwilę, po czym podniósł ją raz jeszcze i wydał trzeci rozkaz: „Zminimalizować ofiary wśród cywilów”. Była 23:35<sup>26</sup>.

Saakaszwili spojrział następnie na Jakobaszwilego i powiedział: „Zaczęło się. Jak myślisz, skończymy jak Palestyńczycy, czy jak Izraelczycy?”. To pytanie wskazywało wyraźnie na wiarę gruzińskiego prezydenta w to, że Gruzja jakimś cudem przetrwa przypominające walkę Dawida z Goliatem starcie z Rosją. Sugerowało również jako konsekwencję porażki podział państwa, podobny do tego, który Gruzja przeżyła w latach 20. XX wieku. O 1:44 w nocy nowy raport wywiadowczy dotarł do biura prezydenta. Tym razem donoszono, że pierwsze oddziały rosyjskiej 58. armii wkroczyły do Cchinwali<sup>27</sup>. Informacja ta była niezmiernie niepokojąca, ponieważ walki o Cchinwali dopiero się rozpoczynały. Doniesienia te wzmocniły tylko przekonanie Gruzynów, że mieli do czynienia z początkową fazą znacznie szerszej zakrojonej inwazji.

Do dzisiejszego dnia decyzja Saakaszwilego o podjęciu działań budzi rozliczne kontrowersje. Podczas gdy wiele państw zachodnich raz po raz deklarowało swoją solidarność z Gruzją, żadne z nich nie broniło decyzji jej przywódcy o przystąpieniu do wojny. Nawet najbliższy sojusznik Gruzji, Stany Zjednoczone, określając rosyjską inwazję jako „dokonaną z premedytacją”, wspomnianą

decyzję również traktowały jako „błąd”<sup>28</sup>. Wielu widziało w niej potwierdzenie plotek o „gorącym temperamentcie” gruzińskiego prezydenta oraz dowód na to, że Zachód miał rację, popierając go jedynie pod warunkiem niewchodzenia na ścieżkę wojenną z Rosją. Według Moskwy to oczywiście Gruzja dokonała agresji zbrojnej i próbowała przeprowadzić czystkę etniczną w Osetii Południowej, na co Rosja musiała odpowiedzieć wysłaniem w teren swoich wojsk. Jej interwencja miała jednak na celu ochronę znajdujących się tam oddziałów pokojowych i własnych obywateli<sup>29</sup>.

Co zatem właściwie zrobił Saakaszwili? Dokładna analiza całego procesu decyzyjnego prowadzi do kilku wniosków. Po pierwsze, co do tej kwestii nie ma wątpliwości – gruziński prezydent podjął decyzję o przystąpieniu do walk przekonany, że jego kraj w przeciwnym razie padnie ofiarą inwazji. Moskwa znacząco rozbudowała swoje siły w terenie. Raporty dostarczane przez wywiad potwierdzały przekroczenie granicy przez te właśnie oddziały, w wyniku czego tysiące gruzińskich obywateli mieszkających w pobliskich wioskach znalazło się w niebezpieczeństwie. To przekonanie było dodatkowo wzmocnione tym, że konfrontacja z Moskwą stawała się od jakiegoś czasu coraz bardziej prawdopodobna, by nie powiedzieć – nieunikniona. Chociaż więc z taktycznego punktu widzenia Gruzja dała się owego kluczowego dnia zaskoczyć, rosyjska inwazja sama w sobie nie była czymś zaskakującym. Przeciwnie – za przekonaniem o nieuchronności konfliktu stały lata faktycznej zimnej wojny między Moskwą i Tbilisi, rosyjskie wysiłki zmierzające do zdestabilizowania gruzińskiego rządu, osobiste rozmowy Saakaszwilego z Puti-

nem i Miedwiediewem oraz próby dokonania „pełzającej” aneksji niektórych terytoriów, co można było obserwować od wiosny. Sierpniowa wojna staje się niezrozumiała bez uwzględnienia wcześniejszej historii rosyjskich nacisków, nieuznawania gruzińskiej suwerenności, prowokacji, gróźb – wzięte razem, wszystkie one sprawiły, że gruzińscy przywódcy polityczni znaleźli się na krawędzi przepaści.

Bestialstwo prowadzonych ostrzałów gruzińskich wiosek i oddziałów pokojowych w pierwszym tygodniu sierpnia również stanowiło przejaw eskalacji konfliktu. Były one najintensywniejsze od momentu jego wybuchu w 2004 roku. Ostrzałom towarzyszyła agresywna retoryka przywódców Osetii Południowej, która wskazywała wyraźnie, że separatystyczna prowincja szykuje się do wojny. Przez całe miesiące wywiad gruziński mógł obserwować, jak Moskwa nielegalnie przemieszczała dodatkowe uzbrojenie i tworzyła nową infrastrukturę wojskową w strefie konfliktu, jak przeprowadzała akcje zwiadowcze i dokonywała innych kroków potwierdzających faktycznie planowaną konfrontację. Podczas gdy na przestrzeni poprzednich kilku lat miejscem manewrów wojskowych Rosjan były terytoria na północ od granicy, tym razem ćwiczono wariant gry wojennej zakładającej przeprowadzenie bezpośredniej operacji w samej Gruzji. Poczucie obłączenia wzmagaly doniesienia o rozmieszczeniu w pobliżu Gruzji części rosyjskiej floty powietrznej. Raporty mówiące o przejściu przez Rosjan kontroli nad Tunelem Rokijskim, przemieszczaniu się nowych rosyjskich oddziałów przez ten tunel oraz o wymarszu kolejnej kolumny rosyjskich (jak uważano) wojsk z Jawy – wszystko to wskazywało na to, że szykował się zmasowany atak.

Oczywiście, raporty te nie rozstrzygały całej kwestii w sposób definitywny, zaś cały dzień przebiegał bardzo chaotycznie. Gruziński wywiad z pewnością nie był tak dokładny, jak można by sobie tego życzyć. O jakiej dokładnie kombinacji oddziałów rosyjskich, północnoeuropejskich, czeczeńskich i innych była mowa, nie wiedziano – i nie jest to zresztą jasne również dzisiaj. Absolutnie jasne było natomiast to, że obserwowane działania stanowiły pogwałcenie istniejących umów oraz gruzińskiej suwerenności. Zagrozały gruzińskiemu wioskowi oraz oddziałom rozlokowanym na południu Osetii, a potencjalnie również samemu gruzińskiemu rządowi, jeżeli wziąć pod uwagę rosyjskie ostrzeżenia mówiące o potrzebie dokonania zmiany władzy. Pogłębiające się u Gruzinów poczucie obłąkania wzmacniała tylko postawa przedstawicieli Moskwy i Osetii Południowej, którzy nie odpowiedzieli w żaden sposób na deklarację jednostronnego zawieszenia broni ani na wysłanie przedstawiciela mającego omówić z nimi najbardziej palące kwestie. Nie było żadnych dowodów wskazujących na zainteresowanie Moskwy uspokojeniem sytuacji. Przeciwnie – Saakaszwili znalazł się w narożniku właśnie dlatego, że Rosja zdawała się dążyć do maksymalnego wzmocnienia swojego nacisku na Tbilisi, formułując *de facto* rodzaj ultimatum. Gruziński prezydent mógł albo zgodzić się na wtargnięcie rosyjskich sił i utracić na zawsze separatystyczne prowincje, albo podjąć beznadziejną walkę w obronie gruzińskich obywateli i oddziałów pokojowych, co najprawdopodobniej byłoby równoznaczne z miażdżącą porażką. Niewielka nadzieja tkwiła w tym, że szybka demonstracja gruzińskiej siły zbrojnej mogłaby powstrzymać plany Rosjan

oraz zmobilizować Zachód do podjęcia dyplomatycznej interwencji, zanim Moskwa zmiecie gruzińskie oddziały. Właśnie przed takim wyborem stanął Saakaszwili tego pamiętnego dnia.

Był to jednak wybór rozdzierający. Co oczywiste, Rosja mogła zmiażdżyć Gruzję w każdej wojnie, gdyby tylko zechciała. Saakaszwili zdecydował się jednak bronić swojego kraju i jego obywateli, a także integralności terytorialnej państwa. Jak wspomnieliśmy wcześniej, nie wierzył w to, że mógłby pozostać u władzy, gdyby w sytuacji zagrożenia życia tysięcy gruzińskich obywateli w Osetii Południowej nie stawiał czoła niebezpieczeństwu. Obawiał się również inwazji „w zwolnionym tempie”, z którą, jak się domyślał, ma do czynienia, a której ostatecznym celem nie byłaby wcale „tylko” Osetia Południowa, ale upadek jego rządu i rozbitcie w pył gruzińskiego eksperymentu demokratycznego. Dlatego też zdecydował o podjęciu walki. Liczył na to, że uda mu się w ten sposób zyskać nieco czasu potrzebnego, aby społeczność międzynarodowa – w szczególności zaś Stany Zjednoczone i Europa – ocknęła się ze swojej drzemki i interweniowała, by ocalić jego kraj. Można oczywiście utrzymywać, że decyzja ta była błędna. Przyczyny jej podjęcia nie są jednak tajemnicą.

Mimo to do dzisiejszego dnia niektóre kwestie pozostają niejasne. Najważniejszą z nich jest sprawa gruzińskich celów wojennych. Kontrowersja dotyczy wypowiedzi generała brygady Mamuki Kuraszwilego, dowódcy kontyngentu gruzińskich oddziałów pokojowych w Osetii Południowej. Trafił on na pierwsze strony gazet po tym, jak zasugerował późnym wieczorem 7 sierpnia, że celem Tbilisi było „przywrócenie porządku konstytu-

cyjnego w całym regionie”. Stwierdzenie to wskazywało jakoby celem Gruzji było *de facto* ponowne zajęcie Osetii Południowej. To jednak tylko uwaga generała, który wypowiedział się niezręcznie, trochę zaskoczony faktem, że podstawiono mu pod nos mikrofon. Jego opinia nie została przez kogokolwiek potwierdzona jako oficjalne stanowisko Tbilisi. Co więcej, również sam generał nie znał jeszcze wszystkich szczegółów gruzińskiego planu obrony stworzonego poprzedniego dnia. Mimo to jego wypowiedź obiegła cały świat, a sojusznicy Gruzji odczytywali ją ze zgrozą na swoich komputerach i BlackBerrys.

Prawdziwe intencje Saakaszwilego widoczne są w rozkazach, które osobiście wydał. Nie chodziło o „podbicie” Osetii Południowej. Gruzji miały walczyć w wojnie obronnej w okolicach Cchinwali, bronić gruzińskich wiosek znajdujących się w zagrożonej strefie oraz powstrzymać rosyjskie oddziały próbujące przedrzeć się od północnej strony. Gdyby cele faktycznie były ambitniejsze, wymagałoby to zupełnie innego planu działań od tego, który został wdrożony. Gruzji strategia – jej krytycy mogliby powiedzieć: „gruzińska iluzja” – opierała się na założeniu, że pokaz gotowości do zdecydowanej obrony wspomnianych terenów powstrzyma dalszą eskalację konfliktu.

Dobry przykład tego, jakie naprawdę były cele gruzińskich oddziałów wojskowych, stanowi skoncentrowanie niektórych z nich wokół mostu Gupta. Most ten położony jest na południe od Jawy i na północ od pierwszej gruzińskiej wioski. Niedaleko na południe znajdują się również drogi prowadzące wokół i do Cchinwali. Jeżeli planem Gruzinów byłoby zajęcie całego terenu Osetii

Południowej, zdobycie oraz utrzymanie tego mostu byłoby kluczowe dla umożliwienia oddziałom gruzińskim marszu w kierunku północnym. Jednak w rzeczywistości głównym celem operacji było zniszczenie wspomnianego mostu – właśnie dlatego, że prowadzono działania o charakterze obronnym, mające osłonić gruzińskie wioski położone na północ od Cchinwali przed rosyjskimi oddziałami przemieszczającymi się z Jawy w kierunku południowoosetyjskiej stolicy. Szturm na most przeprowadzono aż trzykrotnie, bez pełnego sukcesu. To, że nie udało się go zniszczyć, miało kluczowe znaczenie dla dalszego przebiegu walk. Rosjanie zdołali naprawić go w ciągu zaledwie kilku godzin i ich oddziały mogły przedostawać się dalej w kierunku Cchinwali<sup>30</sup>.

Ograniczone cele działań wojennych po stronie Gruzji znajdują swoje odbicie również w podejmowanych przez Tbilisi inicjatywach dyplomatycznych. Gdy tylko wojna wybuchła, amerykańska sekretarz stanu Condoleezza Rice naciskała na zawarcie trzypunktowego zawieszenia broni. Plan opierał się na natychmiastowym przerwaniu ostrzałów, wycofaniu wojsk rosyjskich i gruzińskich na pozycje zgodne ze *status quo* z 6 sierpnia oraz rozmieszczeniu nowych sił pokojowych na terytorium Osetii Południowej, a także na przeprowadzeniu tam nowych wyborów. Propozycja ta została przedstawiona w momencie, gdy siły gruzińskie przez krótki okres czasu kontrolowały terytorium i okupowały znaczną część Cchinwali. Wspomniany plan był również głównym tematem rozmowy pomiędzy Rice i rosyjskim ministrem spraw zagranicznych, Siergiejem Ławrowem. Saakaszwili zgodził się na tak zarysowaną propozycję, zaznaczając jednak, że nie dopuści do powro-

tu rządu Kokojty'ego. Naciskał na przeprowadzenie nowych wyborów, mających rozstrzygnąć o tym, kto będzie sprawował władzę w regionie. Pomysł ten szybko okazał się jednak nieaktualny. Rosja dokonała eskalacji swoich działań zbrojnych, demonstrując jednocześnie szerszą skalę własnych bardziej ambitnych celów. Wspomniany fakt pokazuje jednak także, że cele polityczne i wojskowe, jakie postawił sobie Saakaszwili, ograniczały się do obrony gruzińskich wiosek w regionie oraz pozycji Gruzji w stolicy Osetii Południowej.

Skierowanie wojsk gruzińskich w stronę Cchinwali wynikało w równym stopniu z taktyki militarnej, jak i z dążeń politycznych. Południowoosetyjska artyleria i siły wojskowe znajdowały się w tym właśnie mieście i stanowiły cel działań zmierzających do zminimalizowania ostrzału pozycji gruzińskich. Przejście przez Cchinwali było również najszybszym sposobem przebicia się do położonych na północy gruzińskich wiosek i dzielnic w północnej części miasta. Saakaszwili polecił swoim oddziałom stworzenie specjalnych korytarzy, umożliwiających ewakuację ludności cywilnej, gdyby zaistniała taka konieczność. Siły gruzińskie niewątpliwie brały pod uwagę psychologiczne znaczenie Cchinwali oraz cieszyły się z tymczasowego wyzwolenia miasta, które było dla nich stolicą wrogiego separatystycznego rządu. Niektórzy przedstawiciele Gori<sup>31</sup> snuli podobno plany zorganizowania w Cchinwali parady zwycięstwa i mieli ściągnąć na miejsce dwie ciężarówki pełne pulpityów do wygłaszania przemówień, czerwonych dywanów oraz gruzińskich i południowoosetyjskich flag na uroczystości, do których – jak mieli nadzieję – wkrótce dojdzie.

Nie zmienia to jednak najbardziej podstawowych faktów, tego, że Gruzja przystąpiła do wojny nieprzygotowana i że nie mogłaby liczyć na zwycięstwo, jeżeli jej cele nie byłyby ograniczone, zarówno w sensie wojskowym, jak i politycznym. Jedną z głównych przyczyn nieskuteczności działań sił gruzińskich podczas wojny był brak planów użycia ich na wspomnianych terenach – a już z całą pewnością nie przeciwko rosyjskiej armii. Pełen pośpiechu, chaotyczny sposób, w jaki wojsko w ostatniej chwili stworzyło swój plan działania, to zapewne najlepszy dowód na to, że cała sytuacja była dokładnym przeciwieństwem realizowania od dawna nakreślonego w szczegółach planu opanowania Osetii Południowej.

Jednym z paradoksów gruzińskich ambicji wejścia do NATO było to, że o ile wzajemna współpraca pomiędzy obydwojma stronami znacząco pomagała unowocześnić armię, o tyle doktryna Sojuszu wymusiła na Tbilisi pomniejszenie znaczenia zagrożenia ze strony Rosji, a większe skoncentrowanie się na kwestiach walki z terroryzmem czy misjach pokojowych, co spowodowało zmniejszenie nakładu pieniędzy na sprawy związane z możliwościami obrony terytorium państwa (i zainteresowania tym tematem). Gruzja zdecydowała się na taki krok, aby zwiększyć swoje szanse zbliżenia z NATO. Ironia losu polegała jednak na tym, że decydując się na taki krok, Gruzini ani nie budowali tak ścisłej współpracy z Sojuszem Północnoatlantyckim, jakiej się spodziewali, ani nie byli przygotowani na stawienie czoła realnemu przeciwnikowi w sierpniu 2008 roku.

Cele wojskowe Rosji oraz stojąca za nimi logika prezentują się znacznie mroczniej. Oficjalnym *casus belli*

dla Moskwy było oczywiście powstrzymanie możliwych „czystek etnicznych”, jakich mieliby dokonywać Gruzini w Osetii Południowej. Rosyjscy i południowoosetyjscy politycy utrzymywali nawet, że blisko dwa tysiące Osetyjczyków zostało wymordowanych w Cchinwali w pierwszych godzinach konfliktu zbrojnego<sup>32</sup>. Doniesienia te przyczyniły się zresztą do wybuchu agresji w mieście i odwetowych zamachów na gruzińskich cywilach<sup>33</sup>. Koniec końców okazały się jednak nieprawdziwe, co dobitnie potwierdził unijny raport Heidi Tagliavini. W grudniu 2008 roku komisja śledcza rosyjskiej Prokuratury Generalnej przygotowała łączną listę ofiar wśród Południowoosetyjczyków obejmującą ogółem 162 osoby. Rosyjska organizacja pozarządowa „Memorial” ustaliła podobną liczbę, podkreślając jednocześnie, że nie istnieje żadna wyczerpująca, w pełni wiarygodna lista ofiar. Przedstawiciele Osetii Południowej utrzymywali, że zginęło ogółem po ich stronie ponad 350 obywateli. Przedstawiony wykaz nie uwzględnia jednak różnicy między żołnierzami a cywilami, zaś niektóre ujęte w nim osoby najprawdopodobniej zmarły z przyczyn niezwiązanych z działaniami wojennymi. Oficjalna liczba ofiar po stronie Gruzji to 412 osób, z czego 184 to żołnierze i policjanci. Rosjanie utrzymują, że w działaniach wojennych stracili 67 żołnierzy<sup>34</sup>.

Kolejnym oficjalnym celem wojny zdaniem Moskwy była ochrona rosyjskich obywateli znajdujących się na południowym terenie Osetii. Nie minimalizując w żadnym stopniu tragedii, jaką w każdej wojnie jest śmierć człowieka, należy podkreślić, że rosyjscy obywatele w Osetii Południowej stanowili *de facto* rodzaj diaspory utworzonej sztucznie przez Moskwę, poprzez bardzo szeroko prakty-

kowane wydawanie rosyjskich paszportów mieszkańcom tych terenów. Przyznawszy w ten sposób rosyjskie obywatelstwo tysiącom ludzi mieszkających na terytoriach należących formalnie do Gruzji, Moskwa mogła teraz twierdzić, że jej działaniami kieruje chęć ochrony jej świeżo upieczonych „obywateli”. Jak jednak słusznie wskazywał unijny raport Tagliavini, tzw. polityka paszportowa Moskwy była w istocie rzeczy nielegalna i otwarcie kwestionowała gruzińską suwerenność oraz prawo Gruzji do niemieszania się przez inne państwa w jej sprawy wewnętrzne.

Jak podkreślało później wielu obserwatorów, przyjęta przez Rosjan doktryna przypominała działania prowadzone przez nazistowskie Niemcy w Sudetach pod koniec lat 30., kiedy to wykorzystywano niemiecką mniejszość narodową do propagandy na rzecz zjednoczenia z Niemcami, a w późniejszym okresie jako usprawiedliwienie rozbioru Czechosłowacji pod pretekstem ochrony Niemców zagrożonych prześladowaniami o charakterze etnicznym (ze strony Pragi, ma się rozumieć). Obrona obywateli znajdujących się poza granicami własnego kraju przypominała również do pewnego stopnia cyniczną argumentację, jaką posługiwał się Slobodan Milošević, uzasadniając prowadzone przez siebie wojny na Bałkanach. Szwedzki minister spraw zagranicznych Carl Bildt stwierdził w owym czasie:

Żadne państwo nie ma prawa do zbrojnej interwencji na obszarze innego państwa z tego tylko powodu, że znajdują się na nim obywatele posiadający paszport wydany przez to pierwsze państwo lub którzy są jego obywatelami. Próby wdrażania takiej doktryny niejednokrotnie pchały już Eu-

ropę ku wojnie – i dlatego jest rzeczą pierwszorzędną wagi, aby ową doktrynę z całą mocą odrzucić. Okazywała się ona już niezmiernie niebezpieczna w wielu sytuacjach. Nie akceptowaliśmy przecież działań zbrojnych Miloševića na terenie byłej Jugosławii, motywowanych jakoby pragnieniem ochrony osób legitymujących się serbskimi paszportami. Mamy również ważne powody, by pamiętać, że Hitler używał wspomnianej doktryny nieco ponad pół wieku temu, aby podważyć stabilność ówczesnego systemu bezpieczeństwa międzynarodowego, a następnie zaatakować spore obszary znajdujące się w samym centrum Europy<sup>35</sup>.

Trzecim i politycznie najbardziej wiarygodnym motywem, na jaki powoływali się Rosjanie, legitymizując swoje działania zbrojne – właśnie ten powód podkreślał prezydent Miedwiediew w swoich rozmowach z prezydentem Bushem oraz innymi zachodnimi przywódcami – była śmierć rosyjskich żołnierzy działających w ramach sił pokojowych. Ten argument wzmacniał w wielu zachodnich stolicach przekonanie, że Saakaszwili popełnił głupi błąd, a Rosjanie mieli dobry powód do podjęcia działań. Również unijny raport Tagliavini krytykował Gruzję za jej ataki na rosyjskie siły pokojowe. Według doniesień rosyjskiego Ministerstwa Obrony, dwóch żołnierzy zostało zabitych już rankiem 8 sierpnia. W sumie ofiar wśród żołnierzy było 15, a kolejnych 49 zostało rannych w trakcie walk. Jednak również wokół tej sprawy pojawia się wiele znaków zapytania.

Prawda jest bowiem taka, że rosyjskie oddziały pokojowe od dawna przestały być na wspomnianych terenach neutralne. *De facto* przestały nawet pełnić funkcję misji

pokojoyej w tradycyjnym rozumieniu tego terminu. Nie powstrzymywały ostrzału gruzińskich wiosek i sił pokojowych przez Południowoosetyjczyków – choć dokonywano ich często z tych samych miejsc, w których wojska te same stacjonowały. Rosyjskie oddziały nie były już również częścią szerszej międzynarodowej misji, mającej na celu zaprowadzenie pokoju w regionie. Stanowiły raczej element partykularnej, imperialnej polityki prowadzonej przez Moskwę, jej cele zaś były sprzeczne z tymi, które powinny przyświecać normalnej misji pokojowej. Rozróżnienia na wroga, przyjaciela i neutralnego przedstawiciela sił pokojowych szybko uległy zatarciu – nic dziwnego więc, że w trakcie działań zbrojnych również okazały się niejasne.

W Tbilisi posiadano świadomość ryzyka zabicia rosyjskich żołnierzy wchodzących w skład sił pokojowych – i podjęto działania mające na celu zminimalizowanie tych ofiar. Przed rozpoczęciem ataku 7 sierpnia wieczorem Kuraszwili telefonował do Kułachmetowa, aby poinformować go, że oddziały rosyjskie nie zostaną zaatakowane tak długo, jak długo pozostaną neutralne. Lista celów gruzińskiej artylerii została stworzona zaś w taki sposób, by ominąć miejsca, na których znajdowały się siły pokojowe. Gruzkańskie wojsko otrzymało jasny rozkaz nieatakowania oddziałów rosyjskich, chyba że te jako pierwsze otworzyłyby ogień. Siły pokojowe były rozmieszczone w czternastu punktach kontrolnych w regionie. W wielu z nich gruzińskie oddziały pokojowe nie ruszyły się z miejsca dopóty, dopóki wojska rosyjskie nie wycofały się. Po skierowaniu przez Gruzinów na początku marszu na Cchinwali (wieczorem 7 sierpnia) ognia za-

porowego przeciw miastu rzecznik rosyjskich oddziałów pokojowych potwierdził, że żaden rosyjski żołnierz nie został zabity do tego momentu.

Pierwsi żołnierze rosyjscy zginęli podczas wymiany ognia, do jakiej doszło około 6:00 rano 8 sierpnia<sup>36</sup>. Było jednak jasne, że owi żołnierze wkroczyli na teren działań wojennych jako jedna ze stron biorących udział w konflikcie. Zgodnie z przepisami prawa międzynarodowego otwarcie ognia przeciwko nim było więc w pełni uzasadnione. Kluczową sprawą jest ustalenie tego, kto do kogo wystrzelił jako pierwszy. Kiedy Kuraszwili telefonował do Kułachmetowa 7 sierpnia wieczorem, żeby powiedzieć mu, że oddziały rosyjskie nie zostaną zaatakowane dopóki pozostaną neutralne, usłyszał w odpowiedzi: „nie tak to powinno wyglądać”<sup>37</sup>. Tuż po otwarciu ognia zaporowego 7 sierpnia wieczorem Gruzini zaczęli podejrzewać, że Rosjanie pomagają Osetyjczykom z południa w przeprowadzaniu ostrzału. Kuraszwili raz jeszcze zadzwonił do Kułachmetowa, żądając zaprzestania przez rosyjskie oddziały pokojowe tych działań. Rosyjski generał odpowiedział jednak: „Oczywiście, że im pomagamy, podając [współrzędne]. Dlaczego myśli pan, że nie powinniśmy tego robić? Walicie w nas tutaj i wydaje się wam, że nic nie zrobimy z tym głównym?”<sup>38</sup>.

Kiedy specjalne oddziały gruzińskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych wkroczyły do południowych części Cchinwali około 6 nad ranem 8 sierpnia, znalazły się pod ciężkim ostrzałem ze strony głównej kwatery rosyjskich sił pokojowych, nazywanej potocznie „Wierchnij Gorodok” (znajdowała się na wzgórzu, skąd doskonale można było obserwować i namierzać zbliżające się oddziały gruziń-

skie). Dach budynku wykorzystywano do prowadzenia ostrzału artyleryjskiego. Doniesienia strony gruzińskiej mówiące o tym, że to Rosjanie jako pierwsi otworzyli ogień, potwierdza wpis na blogu dokonany przez rosyjskiego dziennikarza znajdującego się w Cchinwali w trakcie wojny. Przeprowadził wywiad z dwoma lekarzami, którzy przebywali w bazie „Wierchnij Gorodok” w momencie, gdy rozpoczęły się walki. Obaj twierdzili, że około 4:00 dostali do rąk karabiny i otrzymali rozkaz otwarcia ognia do zbliżających się oddziałów gruzińskich<sup>39</sup>. Tak też zrobili. Znalazłszy się pod ostrzałem, Gruzini odpowiedzieli ogniem. W walce, która się wywiązała, zginęli pierwsi żołnierze rosyjscy oraz kilku z Osetii Południowej. Jednym z zabitych po stronie Południowoosetyjskich był porucznik z jednostki wywiadu artyleryjskiego. Sekcja zwłok wykazała jednak, że zginął kierując ostrzałem artyleryjskim przeciwko oddziałom gruzińskim<sup>40</sup>. Ponadto według Gruzinów rosyjskie wojska pokojowe brały za cel oddziały gruzińskie współpracujące z południowoosetyjskimi. Zaprzecza to wyjaśnieniom Moskwy, zgodnie z którymi strona rosyjska przystąpiła do działań w odpowiedzi na śmierć swoich żołnierzy uczestniczących w misji pokojowej, a więc wypełniających po prostu swoje zadania. Rosyjskie źródła prasowe również potwierdzają, że niektórzy czołowi przedstawiciele dowództwa sił Osetii Południowej szukali azylu w kwaterze głównej rosyjskich sił pokojowych zwanej „Niżnij Gorodok”, a po rozpoczęciu walk podjęli wspólne działania przeciwko znajdującym się na tym obszarze oddziałom gruzińskim.

Tym samym, w świetle prawa międzynarodowego, także główna kwatera rosyjskich sił pokojowych stała się

celem militarnym. W praktyce jednak rozgraniczenie na siły pokojowe i pozapokojowe straciło jakiekolwiek znaczenie w momencie, gdy członkowie rosyjskiego wojska pokojowego oraz innych oddziałów połączyli siły z wojskami Osetii Południowej, by walczyć przeciw Gruzinom. W wywiadzie udzielonym rosyjskiej prasie, Anatolij Barankiewicz, szef południowoosetyjskiej Rady Bezpieczeństwa Narodowego, wyjaśnił dokładnie, jak wojska Osetii Południowej starały się zorganizować swoją obronę, skrywając się w kwaterze głównej rosyjskich sił pokojowych oraz czekając na wsparcie dodatkowych rosyjskich oddziałów. Opisał również, jak wspólnie z kilkoma innymi osobami zdecydował o zabezpieczeniu wejść do kwatery głównej Połączonych Sił Pokojowych oraz przygotowaniu zasadzek na oddziały gruzińskie znajdujące się w pobliżu<sup>41</sup>. Pomimo tego typu ataków, Gruzini w żadnym przypadku nie złamali rozkazu, zgodnie z którymi mieli nie otwierać jako pierwsi ognia do przedstawicieli Połączonych Sił Pokojowych. Istnieją również inne przykłady potwierdzające to, że Gruzini powstrzymywali się od atakowania oddziałów rosyjskich – i że czynili wyjątek jedynie wtedy, gdy wcześniej sami zostali zaatakowani.

Co jest równie niepokojące, zgodnie z twierdzeniami rosyjskich dyplomatów wśród sił pokojowych Rosji pierwsze ofiary zginęły wcześniej, aniżeli faktycznie mogło do tego dojść. Gruziniński wiceminister spraw zagranicznych Grigoł Waszadze był kluczową osobą kontaktową dla rosyjskiego MSZ, mieszkał bowiem wcześniej w Rosji przez wiele lat i posiadał nawet rosyjski paszport. Około godziny 2:00 nad ranem 8 sierpnia Waszadze odebrał telefon od zastępcy rosyjskiego ministra spraw zagra-

nicznych, Grigorija Karasina. Według relacji Waszadzego, Karasin utrzymywał, że gruzińska artyleria doprowadziła do śmierci kilku żołnierzy rosyjskich sił pokojowych oraz że „sprawa była właśnie rozpatrywana przez Sztab Generalny”. Godzinę później rosyjski ambasador w Gruzji, Wiaczesław Kowalenko, przyjechał do ministerstwa, aby złożyć oficjalny protest. Mimo to rzecznik prasowy rosyjskiego Ministerstwa Obrony powtarzał później wielokrotnie zachodnim reporterom, że pierwsi Rosjanie zginęli po godzinie 6 rano, kiedy już oddziały gruzińskie wkroczyły do południowej części Cchinwali. To dodatkowy dowód wskazujący na wcześniejsze zaplanowanie wojny – włączając w to także jej uzasadnienie.

Ostatni zarzut przeciwko Tbilisi polega na tym, że dokonany przez Gruzinów ostrzał artyleryjski Cchinwali odbywał się „na ślepo”. Takie jest też główne oskarżenie sformułowane w przygotowanym przez UE raporcie Heidi Tagliavini. Niewielkie oddziały OBWE przebywały w Cchinwali na specjalnej misji w momencie, gdy doszło do walk. Pomimo znalezienia schronienia w piwnicy w chwili rozpoczęcia ostrzału, były z powrotem na powierzchni ziemi już przed północą. Wielokrotnie raportowały, że nie są w stanie potwierdzić gruzińskich doniesień mówiących o ostrzale wiosek przez wojska Osetii Południowej, co było kluczowym uzasadnieniem działań wojennych z perspektywy Saakaszwilego. Owe raporty stanowiły przyczynę oskarżeń przeciwko Gruzji o przesadę w ocenie zagrożenia i podjęcie nieproporcjonalnej kontrofensywy. Doniesienia te obiegły świat, gdy powołano się na nie na łamach „The New York Times”. Zgodnie z artykułem wydrukowanym w tej gazecie, niektóre z ostrze-

lanych zdaniem Tbilisi wioski wcale nie stały się celem rosyjskiego ataku<sup>42</sup>. Od tego czasu jednak ostrzał wielu gruzińskich wiosek przez stronę południowoosetyjską został potwierdzony nagraniami licznych uchodźców z tych terenów, jak również wynikami pomiarów sejsmicznych obejmujących obszar na północ od Cchinwali<sup>43</sup>. Pełna jasność odnośnie tego, kto dokładnie kogo ostrzeliwał, jest jedną z najbardziej zawikłanych spraw dotyczących przyczyn tej wojny.

Gruzini przeprowadzili ostrzał artyleryjski wieczorem 7 sierpnia. Teren Cchinwali z pewnością należał do ich celów. Większość ognia skierowana była przeciw południowoosetyjskiej artylerii znajdującej się na wzniesieniach we wschodniej i zachodniej części miasta. W samym jego centrum Gruzini uznali za cele budynki wojskowe Osetii Południowej oraz inne miejsca, z których rzekomo prowadzono ostrzał przeciw ich oddziałom (choć takich miejsc nie było wiele)<sup>44</sup>. Gruzini utrzymywali, że nie podjęli zmasowanego ataku przeciwko celom cywilnym w Cchinwali przy użyciu kontrowersyjnego systemu GRAD opartego na broni kasetowej<sup>45</sup>. Służyły im tam przede wszystkim howitzery<sup>46</sup> oraz własna artyleria. Niektóre z wykorzystywanych systemów były wprawdzie stare, zostały jednak wyposażone w nowoczesne systemy pomiarowe, co miało zapewnić celność dokonywanego ostrzału. Nie wiadomo jednak, czy Gruzini zostali odpowiednio przeszkoleni przy wykorzystywaniu tych systemów. Nie jest również jasne, czy posiadali ich najnowsze wersje. Zarówno przedstawiciele OBWE, jak i obserwatorzy na miejscu potwierdzali jednak, że ostrzał Cchinwali tego wieczoru miał zmasowany charakter. Zostało to

również odnotowane w raporcie Tagliavini. Gruzini używali systemu GRAD przy ostrzale oddziałów rosyjskich zbliżających się do Cchinwali, a także do bombardowania kluczowych szlaków komunikacyjnych, jak również przeciw wybranym celom militarnym w mieście (z bazą „Wierchnij Gorodok”, w której Rosjanie trzymali swoje zapasy, włącznie)<sup>47</sup>.

Mimo to stawiany Tbilisi zarzut mówiący, że przeprowadzenie zmasowanego ataku doprowadziło do sporych ofiar wśród cywilów, nie jest prawdziwy. Gruzini na początku okupowali spore części Cchinwali, pozostawiając miasto w znacznej mierze nietknięte. Jasno pokazują to obrazy z gruzińskiej telewizji, na których można było zobaczyć żołnierzy przemieszczających się na tych terenach rankiem 8 sierpnia. Przeprowadzone później przez ONZ badania z wykorzystaniem zapisów satelitarnych również potwierdziły, że zniszczenia były w tym momencie relatywnie niewielkie<sup>48</sup>. Rosjanie natomiast przypuścili natychmiastowe kontrataki, używając własnej artylerii z systemem GRAD oraz sporych sił powietrznych. Jaka dokładnie część zniszczeń w Cchinwali była efektem rosyjskich bombardowań i artyleryjskich kontrataków, a jaka toczących się na ulicach walk, tego niepodobna ustalić.

Nie oznacza to jednak, że działania militarne podjęte przez stronę gruzińską były bez zarzutu – wręcz przeciwnie. Gdy jej szanse na powodzenie zmniejszały się, Gruzini zaczęli korzystać z wszelkich dostępnych środków, podejmując coraz bardziej zdesperowane próby, byle tylko nie dać się zmiążyć. Wiele osób uważa ostrzeliwanie jakiegokolwiek miasta przy użyciu broni kasetowej za nie-

dopuszczalne. Oskarżenia formułowane przez przedstawicieli Osetii Południowej dotyczące nadużyć i błędów po stronie armii gruzińskiej z pewnością muszą zostać gruntownie zbadane. Nie może być jednak wątpliwości co do tego, że najpoważniejsze czystki etniczne w tej wojnie przeprowadzono, gdy południowoosetyjska milicja, wspierana przez nieregularne oddziały Osetii Północnej, wkroczyła do gruzińskich wiosek. Był to zresztą element świadomie realizowanej polityki stworzenia większej i bardziej homogenicznej etnicznie Osetii Południowej. Politykę taką tolerowano, a czasami nawet realizowano przy taktycznym wsparciu ze strony armii rosyjskiej<sup>49</sup>.

Nie ma również dowodów na to, by Saakaszwili otrzymał zielone światło na podjęcie działań zbrojnych ze strony Stanów Zjednoczonych. Przeciwnie: dowody wskazują, że Waszyngton jasno i konsekwentnie ostrzegął Tbilisi przed podjęciem takiej linii działania. Stany Zjednoczone wiedziały oczywiście o scenariuszu wojennym, który Tbilisi również zakładała w swoich przygotowaniach. Podobnie jak pozostali sojusznicy, przyglądały się rozbudowie gruzińskiej armii oraz słyszały zapewnienia ze strony dyplomatów, że w pewnym momencie rozwiązanie zbrojne może stać się realną alternatywą. Niektórzy przedstawiciele amerykańskiego rządu widzieli nawet mapy z planami wojskowymi (kilka prezentował nawet sam prezydent Saakaszwili). Odczytać można było z nich wyraźnie, jak w razie wybuchu konfliktu mogą zachować się wojska gruzińskie.

Zdarzało się również, że Gruzini zwiększali swój nacisk na Waszyngton, aby przekonać się, na ile definitywna była negatywna odpowiedź jego przedstawicieli w kwestii

działań zbrojnych. Próbowano ustalić, czy na przykład udzielono by im poparcia w sytuacji, gdyby na terenie Gruzji dokonywano czystek etnicznych, a rząd musiałby interweniować, aby im zapobiec? Czy Waszyngton nie pomógłby w takich okolicznościach Tbilisi, chociażby w wymiarze dyplomatycznym bądź politycznym? Administracja Busha bardzo otwarcie popierała przecież Gruzję, która była głównym sojusznikiem USA w regionie. Niektórzy Gruzini uważali nawet, że z bardziej progruzińską administracją nie będą mieli już nigdy do czynienia i że należało w związku z tym działać, dopóki Bush piastował swoje stanowisko. Gdyby Stany Zjednoczone, pomimo swoich licznych ostrzeżeń, zdecydowały się jednak na podjęcie działań, mogłyby wesprzeć wojska gruzińskie. Wówczas zaś miałyby one szansę odnieść szybkie zwycięstwo i stworzyć w regionie nową sytuację metodą faktów dokonanych. Czy byłoby to wykonalne w krótkim czasie, w ciągu zaledwie dwóch lub trzech dni? – nad tym zastanawiano się w Tbilisi.

Cała amerykańska administracja, od prezydenta Busha poczynając, a na jej najniższych przedstawicielach kończąc, wysyłała jednak jeden, czytelny sygnał: „Nie róbcie tego”. Bush przekazał takie stanowisko Waszyngtonu głównym przywódcom Tbilisi osobiście, podczas wizyty wiosną 2005 roku. Cała plejada amerykańskich urzędników, doradców i przyjaciół – włączając w to piszącego te słowa – przekonywała Gruzynów przez wiele godzin o nieskuteczności takiej linii działania. Zawsze, gdy rodziło się tylko podejrzenie, iż wiadomość ta mogła zostać źle odczytana przez stronę gruzińską, Amerykanie wysyłali swoich przedstawicieli, aby upewnić się, że tak

się jednak nie stało. Jak przyznawał potem sam prezydent Saakaszwili, nie zabiegał o zgodę żadnego zagranicznego rządu przy podejmowaniu decyzji o obronie gruzińskich obywateli znajdujących się na gruzińskim terytorium. W przełomowym dniu nie rozmawiał nawet z żadnym z przedstawicieli Stanów Zjednoczonych. Nie musiał zresztą. Stanowisko Amerykanów było mu doskonale znane. Słyszał je wiele razy – ostatnim razem z ust sekretarza stanu Rice w połowie lipca.

Problem z polityką prowadzoną przez Zachód nie polegał zatem na tym, że zgodzono się na jakąś nieodpowiedzialną przygodę w postaci operacji militarnej. Sprowadzał się natomiast do tego, że nie doceniano determinacji Rosjan, by ukarać Gruzję; nie rozumiano, iż uznanie Kosowa oraz szczyt NATO w Bukareszcie stworzyły dla Rosji pretekst do odegrania się; wreszcie, że nie przedsięwzięto żadnej inicjatywy dyplomatycznej celem zapobieżenia eskalacji konfliktu ani nie wysłano w teren odpowiednich ilości wojsk, które ustabilizowałyby sytuację. Ostrzeżeniom kierowanym pod adresem Gruzji, by nic nie robiła, nie towarzyszyła w stosunku do Moskwy odpowiednia strategia dyplomatyczna, która nie pozwoliłaby jej zastawić całej pułapki. Innymi słowy, zbyt późno podjęto nie dość zdecydowane kroki, aby powstrzymać wybuch wojny.

Możliwość agresji ze strony rosyjskiej oraz wątpliwości dotyczące tego, co zrobi Gruzja w takiej sytuacji, ciężko uznać za ściśle strzeżoną tajemnicę. Momentami można było nawet odnieść wrażenie, że był to ulubiony temat dyskusji w rozgadanyh świecie klasy politycznej Tbilisi. Roztrząsano go w biurach, podczas wesel, które

trwały aż do białego rana i które nieraz kończyły się w barze hotelu Marriott w Tbilisi. Czy warto było raz jeszcze kupić na czarnym rynku stingery, aby w ten sposób wzmocnić poczucie niezależności? Kiedy mógłby nastąpić idealny moment na przejście do ofensywy, gdyby nie było już innego wyjścia? Tego typu kwestie Gruzini od dawna poruszali między sobą. Może najlepiej byłoby to zrobić w sylwestra, wtedy wszyscy Rosjanie powinni być porządnie pijani – czy raczej latem, gdy masowo wyjeżdżali na wakacje? Amerykanie mogli ostrzegać Gruzinów przed wpadnięciem w rosyjską pułapkę. Ci ostatni przypominali jednak przy takich okazjach, jak ich dziadkowie nie stawiający czoła bolszewikom w 1921 roku, stracili w ten sposób niepodległość na dobre siedemdziesiąt lat. Z pasją perswadowali więc swoim amerykańskim rozmówcom, że żaden gruziński przywódca nie może sobie pozwolić na to, by utracić dążące do separacji prowincje bez walki. Spór sprowadzał się do dylematu, czy lepiej podjąć beznadziejną walkę i zginąć jako patriota czy raczej oddać wspomniane terytoria w sytuacji, gdyby Rosja przeprowadziła atak.

Niejedynym przedstawicielem Zachodu ostrzegającym, że sytuacja stawała się krytyczna. Jednym z pierwszych był Richard C. Holbrooke, który wczesną jesienią 2006 roku pisał na łamach „The Washington Post” o usilnych próbach Moskwy wyeliminowania z gry Saakaszwilego, podczas gdy Stany Zjednoczone koncentrowały całą swoją uwagę na Bliskim Wschodzie<sup>50</sup>. Również inni obserwatorzy po obu stronach Atlantyku formułowali podobne opinie, gdy kryzys stawał się coraz poważniejszy w 2007 i na początku 2008 roku<sup>51</sup>. W okresie ostatnich dziewięciu

miesiący poprzedzających wybuch wojny również ja byłem współautorem przynajmniej trzech artykułów, w których ostrzegałem zachodnich przywódców, że szykowałą się wojna, że należało zbliżyć się do Gruzinów i zapewnić ich w bardziej zdecydowany sposób o naszym poparciu; wreszcie, że należało zaangażować odpowiednie siły w samym regionie, jeżeli mieliśmy zapobiec wybuchowi konfliktu. W ostatnim z owych artykułów, który ukazał się 15 lipca, napisałem: „Wojna między Rosją a Gruzją wisi w powietrzu”<sup>52</sup>.

7 sierpnia to, co do niedawna było ekscytującym przedmiotem teoretycznych spekulacji w barach, kawiarniach i kancelariach, stało się rzeczywistością. Tego dnia Gruzja była niczym mały chłopczyk na podwórku, którego przedrzeźniano i wyprowadzano z równowagi dostatecznie długo, by w końcu uderzył swojego przeciwnika, mimo świadomości, że jest on większy, silniejszy, i że gdy tylko jego prowokacje odniosą zamierzony skutek – z chęcią odda. Dzięki danym wywiadowczy, jakie posiadał, Saakaszwili był przekonany, iż wojska rosyjskie miały go na celowniku. Decyzja o przystąpieniu do działań zbrojnych została podjęta przez gruzińskiego przywódcę w ostatniej chwili, kiedy był dostatecznie zaniepokojony możliwością utraty sporej części terytorium państwa i przeczuciem właśnie nadchodzącej chwili rozstrzygnięcia jego politycznej przyszłości. Tak doszedł do wniosku, że *de facto* nie ma wyboru, że nie ma alternatywy dla podjęcia walki. Miał nadzieję na powstrzymanie zapędów Moskwy i obciążenie winą za cały konflikt separatystycznych prowincji. Liczył również na szybką interwencję dyplomatyczną ze strony Zachodu, a zwłaszcza Stanów Zjednoczonych. Pomylił się

odnośnie pierwszego założenia. Drugie koniec końców faktycznie zmaterializowało się, ale na bardzo późnym etapie całej rozgrywki. Jego rząd znalazł się na krawędzi upadku, a przyszłość Gruzji zawisała na włosku.

Co powinien być zrobić gruziński prezydent? Wielu zachodnich obserwatorów do dziś utrzymuje, że należało po prostu poczekać na ruch strony rosyjskiej, który oznaczałby przyjęcie przez nią wszelkich konsekwencji własnych działań. To miałyby unaocznic całemu światu fakt, iż to Rosja była agresorem. Od tej chwili – sugerowano – wystarczyłoby już tylko czekać na interwencję Zachodu. Saakaszwili nie był jednak gotów na przyjęcie takiej linii działania. Byłoby to jednoznaczne dla niego z niewywiązaniem się z ciężących na nim obowiązków wobec obywateli gruzińskich w Osetii Południowej. Powątpiewał również w możliwość podjęcia przez Zachód szybkiej i skutecznej interwencji w zaistniałej sytuacji. Co więcej, jak uważał, brak działania byłby równoznaczny z końcem jego własnej politycznej kariery. Nie oznacza to, że postępując tak, jak postąpił, podjął właściwą decyzję. Wiedział przecież doskonale o czekającej jego wojska porażce, nie były one w stanie wygrać w starciu z wojskami rosyjskimi. Zdawał sobie też sprawę z tego, że kawaleria Stanów Zjednoczonych nie czekała za wzgórzem, by w ostatniej chwili go uratować. Wieczorem 7 sierpnia czynniki tak różne, jak zagrożenie gruzińskiej integralności terytorialnej, oficjalna rola Rosji jako siły pokojowej w regionie, marginalizacja misji ONZ i OBWE oraz brak politycznej woli działania po stronie Zachodu, sprawiły, że gruziński przywódca znalazł się pod ścianą – i zdecydował o przystąpieniu do wojny.

Gdy siedziałem w biurze prezydenta Saakaszwilego mniej więcej pół roku po jej zakończeniu, zapytałem, jakie były jego przewidywania odnośnie dalszego biegu wydarzeń, jeśliby tamtego dnia, 7 sierpnia, posłuchał rad swoich sojuszników i poczekał, aż reszta świata zobaczy, kto jest agresorem, i przyjdzie mu z pomocą. Jego odpowiedź była jasna: nie pozostałby prezydentem Gruzji, ponieważ gruzińskie społeczeństwo nie pozwoliłoby, aby na jego czele stał ktoś, kto biernie przyglądał się, jak państwo traci terytoria Osetii Południowej i Abchazji. Powątpiewał również, czy Gruzja byłaby wciąż niepodległym państwem. Był natomiast przekonany, że prawdziwym celem Rosji w trakcie wojny pozostawała nie kontrola nad separatystycznymi prowincjami, ale doprowadzenie do upadku jego rządu i uniemożliwienie Gruzji dalszego prowadzenia prozachodniej polityki.

Mimo takiej argumentacji, wciąż można mieć zastrzeżenia odnośnie tej decyzji. Jednak motywy, jakie za nią stały, nie są tajemnicą. Być może powinniśmy zadać inne pytanie, a mianowicie: jak Tbilisi znalazła się w sytuacji, w której została zmuszona wybierać między pozbawioną widoków na zwycięstwo walką Dawida z Goliatem a kapitulacją przed rosyjską strategią „pełzającej” aneksji i potencjalnej zmiany rządu? Jak to się stało, że sytuacja doszła do tak krytycznego punktu? Dlaczego niebezpieczeństwo nie zostało zduszone w zarodku? Gdzie był Zachód i jego instytucje oraz mechanizmy mające chronić przed tego typu konfliktami i wojnami? Aby to zrozumieć, musimy cofnąć się do samych źródeł konfliktu i zobaczyć, jak one ewoluowały, prowadząc do wydarzeń opisanego powyżej, historycznego już dnia.



## Od zimnej do gorącej wojny na Kaukazie

**N**awet latem 2008 roku, w momencie, gdy sytuacja w Gruzji wymykała się spod kontroli, przeciętny czytelnik codziennej prasy w Stanach Zjednoczonych czy Europie miałby zapewne spore trudności z odnalezieniem na mapie separatystycznych prowincji Abchazji i Osetii Południowej. Przypominają się słowa brytyjskiego premiera Neville'a Chamberlaina, który w latach 30. ubiegłego wieku powiedział o Czechosłowacji i niebezpieczeństwie wybuchu wojny na jej terenie, że chodzi o „odległy kraj i spór między ludami, o których nic nie wiemy”. Konflikty między Gruzinami a mieszkańcami Abchazji i Osetii Południowej z pewnością miały swoją fascynującą, skomplikowaną, pełną napięć historię. Nawet po krótkim pobycie na południowym Kaukazie człowiek odwiedzający te tereny mógł z łatwością dojść do wniosku, że cały ten region – położony na przecięciu dawnych imperiów rosyjskiego, perskiego i tureckiego – doświadczył historii nawet w nadmiarze.

To, co czyniło wspomniane konflikty tak wybuchowymi, nie sprowadzało się jednak do historycznych zaszczości. Miało swoje źródła w tym, że manipulowało nimi

zewewnętrzne państwo – Rosja. Tak oto obydwie strony konfliktu stały się pionkami w szerszej geopolitycznej rozgrywce między Moskwą i Tbilisi. Napięcia w stosunkach gruzińsko-rosyjskich zaczęły się na długo przed 7 sierpnia. Obydwa kraje od lat znajdowały się *de facto* w stanie „ukrytej” zimnej wojny. W sierpniu 2008 roku wojna ta nagle stała się gorąca. Iskrą, która doprowadziła do wybuchu konfliktu, nie były jednak aspiracje do większej autonomii czy niepodległości żywione przez przywódców Abchazji i Osetii Południowej – choć aspiracje te niewątpliwie były prawdziwe. Wojna rozpoczęła się i przez cały czas dotyczyła dalszego kierunku strategicznego rozwoju samej Gruzji oraz Kaukazu Południowego jako całości.

Saakaszwili, zuchwały i błyskotliwy, prozachodni przywódca rewolucji róż z listopada 2003 roku, nie ukrywał, że jego pragnieniem było wyswobodzenie państwa spod wpływów rosyjskich i ściślejsze związanie go z Zachodem – najpierw z NATO, a w dalszej kolejności z Unią Europejską. Moskwa była równie zdeterminowana, aby go powstrzymać. W tym starciu konflikty w Abchazji i Osetii Południowej pełniły jedynie rolę pionków na międzynarodowej szachownicy – były elementem szerszej strategii zmierzającej do podkopania prozachodnich aspiracji Tbilisi. W ten sposób przemieniły się w iskrę, która doprowadziła do wybuchu pożaru. Długa i skomplikowana historia wzajemnych relacji gruzińsko-rosyjskich pomaga zrozumieć, dlaczego sprawa ta była aż tak istotna, że doprowadziła do wybuchu konfliktu zbrojnego wieczorem 7 sierpnia.

Gruzja i Gruzini zajmowali szczególne miejsce w rosyjskim i sowieckim imperium. Po raz pierwszy Gruzja została włączona w ramy imperium rosyjskiego w pierw-

szej połowie XVIII wieku, stając się najdalej wysuniętym na południe przyczółkiem ortodoksyjnej Rosji walczącej z Turkami i Persami o wpływy w regionie. Niepodległa republika gruzińska pojawiła się na mapie na krótką chwilę, zaraz po zakończeniu I wojny światowej. Następnie została zmiążdżona przez bolszewików w 1921 roku. Decyzja podjęta wówczas przez rząd w Tbilisi o nieprzystępowaniu do działań wojennych stanowiła istotny element politycznego dziedzictwa, które miało ogromny wpływ na decyzje podejmowane przez Saakaszwilego w 2008 roku. Gruzja potrzebowała siedemdziesięciu lat, by odzyskać niepodległość. Gruzini nie zamierzali utracić jej po raz drugi bez walki.

Kiedy bolszewicy zajęli tereny Kaukazu Południowego, po przejściowym flircie z ideą niepodległości lokalnych państw, stworzyli granice oraz nowe etniczno-polityczne podmioty na północnym i południowym Kaukazie bliskie tym, które dzisiaj znamy. Dokładny kształt linii granicznych ulegał wprawdzie zmianom i przybierał różne formy, zarówno po północnej, jak i południowej stronie Kaukazu. W 1921 roku Moskwa praktycznie odzyskała wszystkie tereny znajdujące się dawniej pod władaniem carów. Początkowo rozważano utworzenie w regionie jednego państwa, obejmującego zarówno Kaukaz Północny, jak i Południowy. Tak została powołana do życia w grudniu 1922 roku Republika Transkaukaska. Jej stolicą była Tbilisi. Jednak w 1936 roku dokonano jej podziału na trzy osobne republiki, wchodzące w skład ZSRR. W Gruzji trzy regiony otrzymały specjalny status: Abchazja stała się osobną republiką socjalistyczną, połączoną specjalnym traktatem z Gruzją, Adżara – autonomiczną

republiką, a Osetia Południowa – niezależną prowincją. Do dziś trwa debata, czy kreśląc w ten sposób mapę regionu, sowieccy przywódcy stosowali klasyczną taktykę „dziel i rządź” czy też raczej decydujące znaczenie miały pseudomarksistowskie przekonania młodego Józefa Stalina, który pełnił w owym czasie funkcję komisarza ds. narodowościowych. To właśnie „Wielki Językoznawca” stworzył wówczas własną koncepcję dotyczącą kryteriów rozróżnienia między „narodami” i „ludami”. Kryterium to służyło za podstawę przy przyznawaniu poszczególnym grupom odpowiedniego statusu. Utworzone w ten sposób granice nie zawsze miały jednak wielkie znaczenie w tak wysoce scentralizowanym organizmie, jakim był Związek Radziecki – centrum kontrolowało przecież praktycznie wszystko. Umożliwiały jednak tworzenie się lokalnych elit oraz budowanie pewnej siły w regionie. Kilka dziesięcioleci później te same elity zwróciły się ku nacjonalizmowi, gdy tylko fundamenty sowieckiej władzy zatrzęsły się w posiadach, a ruchy niepodległościowe przybrały na sile.

W czasach sowieckich Gruzja, z jej pięknymi połączeniami szczytów górskich i plaż, umiarkowanym klimatem i wspaniałą kuchnią, stała się ulubionym miejscem wypoczynkowym rosyjskich i sowieckich elit. Również sami Gruzini odgrywali nieraz pierwszorzędną rolę w historii Związku Radzieckiego. Lista ich wybitnych przedstawicieli w sztuce, wojsku czy polityce jest niezmiernie długa. Na samym jej szczycie znajdują się niektórzy z najokrutniejszych despotów radzieckiej historii – najsłynniejszymi są z pewnością sam Józef Stalin oraz szef jego tajnej policji, Ławrientij Beria. Warto jednak wspomnieć również takie postaci, jak Eduard Szewardnadze, który odegrał ważną

rolę przy zakończeniu zimnej wojny. Kiedy więc państwa bałtyckie oraz Gruzja stanęły na czele ruchu zmierzającego do uzyskania niepodległości i wyjścia poza ramy Związku Radzieckiego w późnych latach 80., w Moskwie odebrano taką postawę jako akt zdrady. Podczas gdy Moskwa nie chciała przyznać się do podpisania tajnych protokołów dzielących terytoria państw bałtyckich w ramach paktu Ribbentrop-Mołotow, wielu Rosjan w prywatnych rozmowach potwierdzało, że zostały one zajęte przemocą oraz posiadały prawo do niepodległości. Utrata Gruzji była znacznie bardziej dotkliwa, ponieważ więzi historyczne łączące Rosję z Tbilisi sięgały znacznie głębiej.

Wielu wysoko postawionych urzędników radzieckich było osobiście związanych z regionem. Gruzini do dzisiejszego dnia stanowią ważną mniejszość w samej Rosji. Wielu Rosjan było więc przekonanych, że tracili nie tylko część dawnego (w przeciwieństwie do niedawnego, tj. sowieckiego) imperium, lecz także naród, który odegrał kluczową rolę w kształtowaniu ich własnej historii. Rosyjscy konserwatyści i nacjonałiści aktywnie działali na rzecz uniemożliwienia Gruzji zdobycia niepodległości w 1990 roku, między innymi poprzez wspieranie i organizowanie ruchów separatystycznych w Abchazji i Osetii. Rosyjscy agenci i żołnierze – działający na różnych szczeblach – dozbrajali, doradzali, a czasami nawet walczyli ręką w rękę z przedstawicielami ruchów separatystycznych na początku lat 90. Tego typu działania wpisywały się w próby zdyskredytowania Gruzji i jej dążeń niepodległościowych.

Wielu Rosjan żywiło również szczególną niechęć w stosunku do Szewardnadzego, który powrócił do swojej rodzinnej Gruzji na początku lat 90. Obwiniano go za to,

że jako minister spraw zagranicznych w rządzie Michaiła Gorbaczowa był odpowiedzialny za rozpad moskiewskiego imperium we wschodniej Europie. Oskarżano go także o kapitulancję w stosunkach z Zachodem, co miało przyczynić się do zakończenia zimnej wojny. Na Szewardnadzego zorganizowano zresztą w Gruzji kilka zamachów. Wszyscy zgodnie przypuszczali, że stała za nimi Moskwa. Pod koniec lat 90. Rosja ponownie groziła Gruzji bezpośrednią interwencją, tym razem pod pretekstem ścigania czeczeńskich uchodźców, którzy próbowali ukryć się na gruzińskim terytorium, głównie w obszarze Doliny Pankijskiej. Starcia między Rosją i Gruzją często miały zresztą nie tylko strategiczny, ale i osobisty charakter.

W tym momencie na scenie politycznej pojawił się Micheil Saakaszwili, mający ambicje dokonania zmian zarówno w kraju, jak i w całym regionie. Wkrótce na Kremlu zaczęto gardzić nim bardziej niż Szewardnadzem. Saakaszwili kreśląc swoje ambitne plany, nie spoglądał na północ, w stronę Moskwy, ale na zachód – to tam tkwiły jego aspiracje. Na swoich idoli wybrał wielkie postaci historyczne – tureckiego przywódcę Kemala Atatürka, fińskiego marszałka Carla Gustawa Mannerheima czy gruzińskiego króla Dawida IV Budowniczego. Atatürk symbolizował odgórnie przeprowadzoną okcydentalizację i demokratyzację. Mannerheim był wybitnym dowódcą okresu II wojny światowej, który zmusił Czerwoną Armię do wycofania się po krwawej wojnie zimą na przełomie 1939 i 1940 roku. Wreszcie, Dawid IV Budowniczy zyskał miano legendarnego króla, gdyż udało mu się powstrzymać tendencje separatystyczne i zjednoczyć Gruzję. Pełen ostentacji, zuchwały, czasami wręcz autokratyczny,

Saakaszwili był zdeterminowany wzorować swoje działania na wybitnych postaciach historycznych. Zainspirowany poszerzeniem NATO w latach 90. starał się, aby Gruzja poszła w ślady państw bałtyckich. Oto dawne części składowe imperium radzieckiego stawały się demokratycznymi państwami. W krótkim czasie potrafiły przeskoczyć głęboką przepaść, jaka jeszcze niedawno oddzielała je od Zachodu. Saakaszwili był więc kolejnym przykładem buńczucznej, zawadiackiej osobowości w regionie, którego specjalnością było produkowanie tego typu postaci<sup>53</sup>.

Istniały również inne aspekty konfliktu między Tbilisi i Moskwą mające wpływ na niezwykłą naturę łączącej je relacji. Na czele rewolucji róż stało młode pokolenie gruzińskich przywódców pragnących dla swojego kraju prawdziwej niepodległości. Nie chcieli już żyć w połowicznie tylko niezależnym państwie. Marzyli, by raz na zawsze wyzwolić się spod rosyjskich wpływów, które, jak byli przekonani, nie pozwalały Gruzji w pełni się rozwinąć; by zerwać z na wpół kolonialną zależnością od Rosji. Nie chcieli brać udziału w grze, w której nominalna suwerenność ich państwa była swego rodzaju przykrywką, mającą ukryć przed światem fakt, że Rosja *de facto* wciąż kontrolowała jego głównych polityków – a czyniła to nie tylko poprzez działania swych służb wywiadowczych, ale również dzięki korupcji i zorganizowanej przestępczości. To jedna z przyczyn, dlaczego młodzi gruzińscy politycy kładli tak wielki nacisk na to, by gruzińskie państwo było dostatecznie silne, żeby mogło bronić swojego stanu posiadania w wypadku zagrożenia konfliktem zbrojnym. Był to również, przynajmniej z ich punktu widzenia, jeden z warunków uzyskania prawdziwej niepodległości.

Marzenia Saakaszwilego nie stanowiło jednak przeobrażenie samej tylko Gruzji, ale całego regionu. Nawijając współpracę z Azerbejdżanem, chciał uczynić z Tbilisi nieusuwalne ogniwo nowego łańcucha dostaw energii. Dzięki temu azerskie złoża transportowano by specjalnym korytarzem. W efekcie surowce energetyczne ze środkowej Azji trafiałyby wprost na Zachód, z pominięciem Rosji. Stworzenie takiego korytarza ogromnie przyczyniłoby się do uzyskania przez niewielkie państwo, takie jak Gruzja, znaczącej niezależności i suwerenności politycznej<sup>54</sup>. Była to również część szerszego planu zakotwiczenia Gruzji w zachodniej chemisferze. Próba przekształcenia połowicznie niepodległego państwa w zreformowanego europejskiego tygrysa, zdolnego stać się katalizatorem szerszych demokratycznych i prozachodnich przemian w regionie Kaukazu Południowego, z niestabilną Rosją na północy i coraz mocniej pogrążonym w radykalizmie Bliskim Wschodem na południu, musiała budzić sprzeciw. Była to zapierająca dech w piersiach wizja, do której Moskwa zapałała szczerą nienawiścią.

Stany Zjednoczone czekała do spełnienia w ramach tej wizji zasadnicza funkcja. Saakaszwili studiował prawo na Uniwersytecie Columbia oraz na Uniwersytecie George'a Washingtona właśnie w USA i stał się wielkim entuzjastą tego kraju. Amerykańska potęga, zasady działania oraz dyplomacja miały jego zdaniem do odegrania kluczową rolę, jeżeli kiedykolwiek on sam miał zrealizować swoje plany. Kiedy odwiedzało się jego biuro, na półkach można było znaleźć zarówno biografie Kennedy'ego czy Jeffersona, jak i Atatürka czy Stalina. Amerykańskie organizacje pozarządowe należały do instytucji najmoc-

niej wspierających rozwój społeczeństwa obywatelskiego w Gruzji, a ich działania okazały się niezmiernie istotne dla umożliwienia rewolucji róż. Sam rząd Stanów Zjednoczonych utrzymywał natomiast mniej jednoznaczne stosunki z Gruzją. Waszyngton miał dobre relacje z poprzednikiem Saakaszwilego, Eduardem Szewardnadzem, ważnym partnerem USA podczas pertraktacji dotyczących zjednoczenia Niemiec. Ambasador USA w Tbilisi, Richard Miles, wysłał nawet wieczorem w przeddzień rewolucji róż w listopadzie 2003 roku słynny telegram do centrali, w którym przewidywał, że Saakaszwili poniesie klęskę. Gdy obudził się następnego dnia, Saakaszwili był już nowym przywódcą Gruzji. Ale Waszyngton szybko nadrobił zaległości spowodowane swą wstępną wstrzeмиęźliwością. Saakaszwili stał się twarzą „programu wolności” administracji Busha i podejmowanych przez niego wysiłków na rzecz rozprzestrzeniania demokracji. Spora grupa Gruzinów, którzy studiowali za granicą albo pracowali na rzecz społeczeństwa obywatelskiego, dołączyła teraz do zespołu zajmującego się reformami, z prezydentem Saakaszwilim, premierem Zurabem Żwanią oraz szefową parlamentu Nino Burdżanadze na czele. Amerykańskie pieniądze napływały teraz do Gruzji szerokim strumieniem, przybywali doradcy oraz przyjaciele, aby pomagać w zreformowaniu kraju. Gruzja stała się głównym beneficjentem amerykańskich programów pomocowych. Twarda walka z korupcją podjęta przez Saakaszwilego pozwoliła mu zdobyć sporą popularność, a jego odważne reformy ekonomiczne uczyniły z Gruzji głównego odbiorcę zagranicznych kapitałów oraz najszybciej rozwijającą się gospodarkę w Europie i Eurazji.

W czasie gry wizerunek Stanów Zjednoczonych na arenie międzynarodowej stawał się stopniowo coraz mniej wiarygodny w związku z wojną w Iraku, Gruzja należała do najbardziej proamerykańskich państw na świecie. W Tbilisi rozumiano doskonale, że poparcie ze strony Ameryki było konieczne dla zbalansowania wpływu Rosji i umożliwienia Gruzji wejścia do NATO. W Waszyngtonie Saakaszwili był witany niczym gwiazda rocka i zawarł bliskie znajomości z ważnymi osobistościami po obu stronach politycznego spektrum, zaczynając od Johna McCaina, przez George'a Sorosa, a na Richardzie Holbrooke'u kończąc. W styczniu 2005 roku senatorowie John McCain i Hillary Clinton wspólnie nominowali go do Pokojowej Nagrody Nobla. Kiedy prezydent Bush odwiedził Tbilisi wiosną 2006 roku, blisko 100 tysięcy Gruzinów witało go na placu Wolności niczym bohatera. Po zakończeniu wizyty prowadzący w stronę lotniska bulwar nazwano nawet jego imieniem.

Gruzja nigdy nie wywoływała podobnego entuzjazmu ani nie zdołała zbudować podobnie bliskich więzi w swoich stosunkach z Europą. Państwa takie jak Francja czy Niemcy miały wprawdzie wiele historycznych więzi kulturowych łączących je z Gruzją, były jednak równocześnie zaniepokojone jej aspiracjami. Korzenie tego, co dziś nazywamy zachodnią cywilizacją, miały swój początek w dawnych cywilizacjach chrześcijańskich skupionych w basenie Morza Czarnego. Kraje te zniknęły jednak z zachodniej świadomości w momencie, gdy stały się częścią Związku Radzieckiego. Nawet gdy potem odzyskały niepodległość, wielu Europejczyków nie było pewnych, czy kraje takie jak Gruzja, wciśnięte tuż obok Turcji, położo-

ne nad Morzem Czarnym, należało traktować jako część Europy. Zmęczenie rozszerzaniem stawało się już bardzo widoczne wśród państw europejskich, a pomysły nowego powiększenia jej terytoriów o południowy Kaukaz wydawały się wysoce ryzykowne. Nie było wcale rzadkością usłyszeć w tym czasie, jak wysoko postawieni politycy europejscy określali Saakaszwilego jako wspieranego przez Amerykanów „narwańca”, który w praktyce oznaczał same kłopoty.

Moje własne wejście w politykę Gruzji również było związane z pragnieniami Tbilisi dotyczącymi zbudowania silniejszego porozumienia z Europą. Chociaż jestem Amerykaninem, postrzegano mnie jako osobę o zdecydowanie proeuropejskim nastawieniu. Moje doświadczenia związane z rozszerzeniem Unii Europejskiej i NATO uznawano za cenne. Zurab Żwania zwrócił się nawet do mnie z prośbą, bym został jego nieformalnym doradcą. Żwania był wtedy premierem Gruzji, drugą połową nierozłącznego tandemu, jaki wspólnie z Saakaszwilim tworzyli w Tbilisi. Gruzini zdawali sobie dobrze sprawę z tego, że Saakaszwili zaprezentował się znakomicie w Stanach Zjednoczonych, ale nie przypadł do gustu wielu politykom w Europie. Gruzja potrzebowała wsparcia ze strony Ameryki, jednak jej prawdziwym celem było przecież zbliżenie z Europą. A to wymagało innej strategii i innego podejścia.

Żwania był zupełnie innym politykiem niż Saakaszwili. Znacznie lepiej nadawał się do nawiązania dobrych stosunków z przywódcami europejskimi, a nawet rosyjskimi. Chciał stać się twarzą Gruzji w jej relacjach z Europą i wprowadzić w ten sposób więcej równowagi do sto-

sunków Tbilisi z Zachodem jako całością. Jesienią 2004 spędziłem z nim weekend w dawnej carskiej posiadłości górskiej nieopodal Borjomi. Przyjechałem wieczorem prosto na kolację (która odbyła się w dawnej willi Stalina) i zostałem poinformowany, że nasze dyskusje mają rozpocząć się o północy i trwać mniej więcej do trzeciej czy czwartej nad ranem. W niewielkiej grupie przeprowadziliśmy burzę mózgów, usiłując wymyślić, jak wzmocnić więzi łączące Gruzję z Europą. Saakaszwili pojawiał się mniej więcej co 20 minut, dorzucając własne pomysły i spostrzeżenia. Miałem okazję obserwować z bliska, jak dwaj gruzińscy przywódcy współpracowali i uzupełniali się nawzajem. Wyjechaliśmy następnego dnia, nie łudząc się, że osiągnięcie celu będzie łatwe, ale mając jednocześnie silne przeświadczenie, że braliśmy udział w planie, który zaczynał nabierać realnych kształtów. Nagła i tajemnicza śmierć Żwani w lutym 2005 roku zepchnęła jednak te wysiłki na boczny tor. Często zastanawiałem się potem, czy historia potoczyłaby się inaczej, gdyby Żwania żył i miał szansę realizowania swoich planów. Bez względu na to, czy w jego śmierci Rosja maczała palce, czy też nie, Gruzja straciła w ten sposób tego właśnie ze swoich doświadczonych polityków, który najlepiej nawiązywał się do budowania relacji i z Europą, i z Rosją, i który odgrywał często rolę przeciwwagi dla silnej osobowości Saakaszwilego.

Piętą Achillesową Gruzji były „zamrożone” konflikty w Abchazji i Osetii Południowej. Spory te miały swoją własną historię i dynamikę, a stopień ich złożoności był nie mniejszy niż w przypadku poplątanych relacji między Gruzją i Rosją. Na Zachodzie o Abchazji i Osetii

Południowej zwykło się mówić jednym tchem, jakby były syjamskimi bliźniętami. Co jest jednak poważnym uproszczeniem. Rzeczywistość, jak zawsze, była znacznie bardziej skomplikowana. Chodziło bowiem o zupełnie różne grupy etniczne, z których każda w całkowicie innych okolicznościach pojawiła się w regionie. Obydwie prowincje cieszyły się pewną dozą suwerenności w okresie sowieckim. Również sama ich natura i status mocno ewoluowały – zwłaszcza w przypadku abchaskim. Wspólny był dla nich problem osłabienia, a następnie załamania się władzy sowieckiej w okresie Gorbaczowskiej pierestrojki. W ostatnich latach Związku Radzieckiego elity lokalnych mniejszości etnicznych w Suchumi i Cchinwali zaczęły obawiać się powstania odrodzonej, niepodległej Gruzji. Niepokój ten był tym większy, im częściej miały okazję oglądać ksenofobiczną stronę gruzińskiego ruchu narodowego.

Przywódcy gruzińscy z kolei byli tak oczarowani wizją odzyskania suwerenności przez ich państwo, że nie byli w stanie bądź też nie chcieli zaproponować przedłużenia dotychczasowej autonomii wspomnianych prowincji, co mogłoby znacząco uspokoić wspomniane niepokoje. Obawiano się raczej, by te regionalne mniejszości nie stały się rodzajem moskiewskiej piątej kolumny, poprzez której działania Rosja będzie starała się zniszczyć kruche podstawy świeżo odzyskanej niepodległości<sup>55</sup>. Taki stan rzeczy otworzył drogę do regionalnych wojen toczonych na początku lat 90. Na czele Gruzji stał wtedy Zwiad Gamsachurdia, znany głównie na Zachodzie jako naukowiec i dysydent. Był jednak również radykalnym gruzińskim nacionalistą. Doszedł do władzy na fali szowinistycz-

nych emocji, których doskonałym wyrazem stało się hasło „Gruzja dla Gruzinów”. Ciemną stroną tej wizji było pragnienie wyrównania rachunków z przywódcami Osetii Południowej i Abchazji, w których widziano beneficjentów dawnej polityki Kremla „dziel i rządź”. Kiedy więc Gamsachurdia spróbował uszczuplić autonomię obydwu prowincji, podpalił beczkę z prochem.

Iskrą zapalną prowadzącą do aktów przemocy w Osetii Południowej stały się wydarzenia z 1990 roku. Lokalni osetyjscy przedstawiciele administracji ogłosili ją niezależną republiką wchodzącą w skład Związku Radzieckiego oraz zdecydowali o jej połączeniu z położoną po drugiej stronie pasma gór Osetią Północną. Osetia Południowa była w tym czasie w dwóch trzecich osetyjska, w jednej trzeciej – gruzińska. W odpowiedzi na to posunięcie Gamsachurdia uznał przywódców prowincji za „agentów Kremla” uczestniczących w rosyjskim spisku zmierzającym do rozbioru Gruzji. Tbilisi odwołała więc status Osetii Południowej jako autonomicznej prowincji i wysłała wojska na jej terytorium. Słabo wyszkoleni żołnierze gruzińscy napotkali jednak zdecydowany opór ze strony milicji południwoosetyjskiej, wspieranej przez nieliczne oddziały rosyjskie oraz nieregularne oddziały wojsk Osetii Północnej. W wyniku wojny zginęło kilka tysięcy ludzi, a około dziesięciu tysięcy zostało uchodźcami, uciekając bądź to na północ, do Rosji, bądź też na południe, na teren Gruzji.

Wojna w Abchazji wybuchła później, ale jej skutki były dla Gruzji jeszcze bardziej katastrofalne. W samej Abchazji Abchazi stanowili bowiem mniej więcej dwudziestoprocentową mniejszość, podczas gdy liczba Gruzinów się-

gała blisko połowy mieszkańców prowincji. Podobnie jak w poprzednim przypadku dynamika historii zdecydowała jednak o dalszym biegu wydarzeń. Dla abchaskich przywódców i elit intelektualnych wyjście Gruzji ze Związku Radzieckiego było jednoznaczne z uszczupleniem ich wpływów w Suchumi. Dojście do władzy Gamsachurdii wzmogło obawy przed marginalizacją i dyskryminacją. Kiedy więc tylko Gamsachurdia wpadł za sprawą swoich coraz wyraźniej autokratycznych i w coraz większym stopniu irracjonalnych działań w tarapaty w sferze polityki wewnętrznej, Abchazi postanowili wykorzystać nadarżającą się okazję i również zawalczyć o niepodległość.

W styczniu 1992 roku specjalna rada wojskowa w Tbilisi pozbawiła Gamsachurdię władzy, w wyniku czego musiał ratować się ucieczką za granicę. Ofertę stworzenia nowego rządu przedstawiono Eduardowi Szewardnadzemu. Szewardnadze został najpierw przewodniczącym rady, a następnie w 1995 roku objął urząd prezydenta. Choć starał się, jak mógł, aby pogodzić ze sobą zwaśnione gruzińskie frakcje oraz wynegocjować odpowiednie porozumienia z Abchazją i Osetią Południową, nie kontrolował jednak w pełni sytuacji. Latem 1992 roku gruziński minister obrony podjął nieuprawnioną decyzję o zaatakowaniu Abchazji. Gruzkańskie wojska i oddziały paramilitarne początkowo odniosły sukces, zajmując stolicę prowincji, Suchumi. Nie zdołali jednak utrzymać się na tych pozycjach, ponieważ Abchazom przybyli z pomocą rosyjscy dowódcy wojskowi. Podobnie uczyniła część przywódców z Osetii Północnej. Do końca 1993 roku wojska abchaskie, wspierane przez oddziały rosyjskie oraz nieregularne oddziały północnoosetyjskie, wyparły słabo przy-

gotowanych Gruzinów z terenów prowincji. Ostateczną klęskę Gruzja poniosła w chwili, gdy Szewardnadze, pragnąc zakończyć wojnę, zgodził się wycofać gruzińskie oddziały i ciężką artylerię z Suchumi w zamian za zawieszenie broni. Abchazi natychmiast złamali porozumienie i wypchnęli resztki gruzińskich oddziałów z miasta aż do rzeki Enguri, oddzielając tym samym Abchazję od reszty Gruzji. Ten stan rzeczy nie uległ zmianie aż do sierpnia 2008 roku. Porażka pociągnęła za sobą wypędzenie z prowincji około 230 tysięcy Gruzinów. Przypominało to czystki etniczne, do których doszło w byłej Jugosławii, gdy w 1991 roku wybuchła tam wojna.

Działania Abchazów nie mogłyby się udać, gdyby nie wsparcie, jakiego udzielili im rosyjscy wojskowi. Zaangażowanie Rosji stało się jasne, kiedy pilotem zestrzelonego przez Gruzinów nieoznakowanego myśliwca okazał się rosyjski oficer floty powietrznej ubrany w mundur swego kraju. Wspomniane przesiedlenie Gruzinów również nie było spontanicznym aktem zemsty, ale świadomie realizowaną strategią, wspomaganą (jeżeli po prostu nie kierowaną) przez zewnętrzną siłę – czyli Rosję. Pod koniec wojny ustanowiono strefę bezpieczeństwa przy wschodniej granicy Abchazji, na terenach, które historycznie zamieszkiwali Gruzini, w owym okresie natomiast były niemal opustoszałe. Pas ten rozciągał się na szerokość dwunastu kilometrów po obu stronach granicy. Za nim znajdowała się (również po obu stronach) kolejna dwunastokilometrowa strefa bezpieczeństwa, do której zakazane było wkraczanie z ciężkim uzbrojeniem.

Rany spowodowane przez tę wojnę okazały się wyjątkowo bolesne. Po obydwu stronach dokonywano po-

twornych zbrodni, a walki toczyły się często między sąsiadującymi ze sobą domami. Gruzini nie byli święci, też je popełniali – splądrowali Suchumi i zniszczyli wiele abchaskich zabytków narodowych. Nawet podczas ewakuacji stosowali brutalną taktykę „spalonej ziemi”. Neal Ascher-son, znany brytyjski korespondent wojenny i autor książki zatytułowanej *Morze Czarne*, opisał bardzo dokładnie, gdy sam znajdował się w Suchumi po zakończeniu walk, zrujnowanie w okresie dziewięciu miesięcy znacznej części abchaskiego dziedzictwa narodowego. Abchazi, jak pisał, stali się wreszcie „panami we własnym domu”. Problem polegał jednak na tym, że dom pozbawiony był dachu, a jego mieszkańcy włączyli się bez celu po jego pustych pomieszczeniach. Dwie perły w koronie tego małego, ale dumnego narodu – Muzeum Narodowe oraz Archiwa Państwowe – zostały zniszczone przez wojska gruzińskie, które obróciły tym samym w proch najważniejsze zabytki abchaskiej historii<sup>56</sup>.

Wizyta w Suchumi czy Cchinwali całą dekadę później wciąż dostarczała mocnych wrażeń. W 2005 roku byłem członkiem niewielkiego zespołu, który działając w ramach German Marshall Fund of the United States, organizował wycieczki badawcze do Gruzji oraz na tereny „zamrożonych konfliktów” w Abchazji i Osetii Południowej. Celem tych wypraw było umożliwienie zachodnim politykom oraz dziennikarzom szerszego zrozumienia owych konfliktów u samego ich źródła. Pamiętam swoją pierwszą podróż do Abchazji, leciałem tam ONZ-owskim helikopterem (okreźną drogą nad Morzem Czarnym, aby uniknąć ryzyka, że zostaniemy zestrzeleni). Pamiętam również lądowanie w miejscu, które niegdyś musiało

być sporej wielkości lotniskiem. Gdy śmigłowiec dotykał ziemi, widzieliśmy palmy i piękne czarne plaże. Chwilę później weszliśmy do opuszczonego, tandetnie wyglądającego terminalu. Droga do miasta była tylko gdzieniegdzie asfaltowa – większość czasu musieliśmy przeganiać krowy zgromadzone licznie wokół opuszczonej drogi.

Populacja Abchazji przed wojną wynosiła około pół miliona ludzi. W jej wyniku została zredukowana do zaledwie 200 tysięcy. Suchumi było tylko częściowo zamieszkane – co jest skutkiem czystek etnicznych i przesiedleń. Widać tam było wyraźnie liczne zniszczenia spowodowane przez wojnę. Nie miał kto zastąpić Gruzinów, którzy zostali wypędzeni lub sami odeszli. Drzewa wyrastały z pozbawionych dachów, na wpół spalonych domów. Gdzieniegdzie pojawiały się samochody BMW i Mercedesy z zaciemnionymi szybami oraz potężnie zbudowanymi ochroniarzami – czytelny znak, że niektóre dziedziny handlu, głównie nielegalne, kwitły. Tzw. abchaskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych mieściło się w małym, opuszczonym budynku. Musieliśmy szukać kogoś, kto mógłby otworzyć drzwi i wpuścić nas do środka. Carl Bildt, weteran wojen na Bałkanach, który wkrótce miał zostać szwedzkim ministrem spraw zagranicznych, dowodził naszą delegacją. Zapytany przez naszych abchaskich gospodarzy o wrażenia, odpowiedział: „Trochę jak na Bałkanach. Może nawet trochę gorzej”. Na ich twarzach pojawił się charakterystyczny grymas.

Osetia Południowa była tworem jeszcze bardziej sztucznym. Liczyła mniej więcej 100 tysięcy ludzi w momencie, gdy upadał Związek Radziecki. Wielu ekspertów utrzymywało jednak, że liczba ta spadła do ok. 60 tysięcy.

cy latem 2008 roku. Podobnie jak na całym Kaukazie, zdobycie dokładnych danych było praktycznie niemożliwe. Wszystko, co dotyczyło regionu, miało głęboko polityczny charakter, stanowiło przedmiot namiętnych debat, a każda ze stron starała się manipulować danymi w sposób odpowiadający jej interesom. Z ekonomicznego punktu widzenia położone na północy pasmo górskie powodowało, że wymiana i handel musiały kierować się na południe, w stronę Tbilisi. Poza rolnictwem, życie gospodarcze regionu sprowadzało się do szmuglowania kontrabandy przez wiodącą na północ drogę, przez Tunel Rokijski, a następnie dalej, do Rosji. Jeden z przedstawicieli OBWE w rozmowie ze mną zasugerował nawet, że wystarczyłoby postawić w Tunelu Rokijskim zwykły urząd celny, aby uzyskać kontrolę nad przemytem i sprowadzić dochody w prowincji do takiego poziomu, iż musiałyby ona faktycznie podjąć działania na rzecz zawarcia pokoju.

Osetia Południowa posiadała jedynie jedną przewagę nad Abchazją, a mianowicie, w przeciwieństwie do Abchazji, wojna z początku lat 90. nie pozostawiła w jej strukturze etnicznej tak głębokich ran. Przeciwnie, Abchazi, Gruzini i Osetyńcy wciąż zamieszkiwali wspólnie jej tereny, pomimo licznych napięć. Cchinwali nie było wprawdzie nigdy tak wieloetnicznym miastem, jak np. Sarajewo. Jednak gruzińskie i osetyjskie wioski przeplatały się nawzajem, tworząc na przestrzeni kolejnych wzniesień i dolin rodzaj etnicznej szachownicy. Lokalne wspólnoty musiały więc jakoś koegzystować, a ilość zawieranych wbrew podziałom małżeństw wcale nie była niewielka. Co więcej, granice administracyjne oddzielające Osetię Południową od właściwej Gruzji były dziurawe.

Sprzyjało to ich przekraczaniu. Południowoosetyńscy mogli więc – i nieraz korzystali z tej możliwości – uzyskać pomoc medyczną w Gori albo pojechać na kolację do Tbilisi. To oczywiście w żadnej mierze nie unieważniało wzajemnej rywalizacji ani nie powstrzymywało ataków wrogości. Do walk dochodziło zresztą całkiem często. Ciężko było jednoznacznie ocenić, czy stanowiły one wyraz szerszej rywalizacji geopolitycznej czy raczej przejaw (skądinąd odwiecznej) lokalnej bijatyki między Pawlakiem i Kargulem. Sama sfera konfliktu ograniczała się *de facto* do nie więcej niż połowy prowincji, obejmując krąg o promieniu około 15 kilometrów, z Cchinwali w samym jego środku. Przynajmniej połowę objętego konfliktem obszaru kontrolowała Gruzja (chodzi o enklawę położoną na północny wschód od Cchinwali oraz terytorium na południu, w kierunku Gori). Nie był to podmiot zdolny do samodzielnej egzystencji. Sytuacja na wspomnianych terenach wyglądała do tego stopnia sztucznie, że wielu ludzi skłonnych było uważać Osetię Południową jedynie za pionek w mającej znacznie szerszy zakres rosyjskiej rozgrywce – pionek, który Rosja gotowa była poświęcić, gdyby w zamian dostała coś lepszego.

Wpływy rosyjskie w Abchazji i Osetii Południowej uległy dalszemu wzmocnieniu, gdy na początku lat 90. zainstalowano na ich obszarze specjalne narzędzia do monitoringu, a także inne urządzenia mające służyć utrzymaniu pokoju. Dokonano tego przy błogosławieństwie i poparciu społeczności międzynarodowej. W praktyce ruch ten okazał się jednak czymś w rodzaju grzechu pierworodnego dotyczącego wspomnianych konfliktów. Jego negatywne konsekwencje państwa zachodnie odczuły bardzo

wyraźnie latem 2008 roku. Podstawową zasadą skutecznego rozwiązywania konfliktów i zaprowadzania pokoju jest to, że siły pokojowe muszą być neutralne i cieszyć się zaufaniem obydwu stron. Nie przestrzegano tej zasady w przypadku gruzińskim. Zachód, gotowy do udzielenia pod auspicjami OBWE lub ONZ pomocy mającej na celu utrzymanie zawieszenia broni, nie był przygotowany na wysłanie własnych sił pokojowych do odległego kraju pozostającego jeszcze do niedawna jedną z republik Związku Radzieckiego. Słynne zdanie, które amerykański sekretarz stanu James Baker wypowiedział na początku lat 90., dotyczące rozpadu byłej Jugosławii – mianowicie, że „nie mamy swojego psa w tej walce” – zdawało się tym bardziej prawdziwe w odniesieniu do sytuacji w Gruzji i na południowym Kaukazie.

Zamiast działać, Waszyngton i jego zachodni sojusznicy zdecydowali się na iście hazardowe rozwiązanie. Mieli nadzieję, że nowa Rosja pod wodzą Borysa Jelcyna i ministra spraw zagranicznych Andrieja Kozyriewa okaże się znacząco odmienna od swoich poprzednich wcieleń, będzie się zachowywała nie jak imperium, ale jak byłe imperium. W tamtym czasie wydawało się zresztą, że nie było wobec takiej linii działania alternatyw. W dwóch odrębnych porozumieniach, jednym zawartym w ramach OBWE, drugim – w ramach ONZ, Zachód zgodził się na to, aby to Rosja stanowiła główną siłę pokojową w regionie, zarówno w Abchazji, jak i w Osetii Południowej. Pozwolono jej trzymać blisko trzy tysiące żołnierzy sił pokojowych w pierwszym z regionów – bez jakiegokolwiek udziału strony gruzińskiej w tychże siłach. W Osetii Południowej zaś utworzono Połączone Siły Pokojowe,

w których skład wchodziły bataliony wojsk rosyjskich, południowoosetyjskich i gruzińskich. Znajdowały się one pod wspólnym dowództwem rosyjskim. Uzgodnienia te miały poparcie Zachodu, a mandat ww. sił pokojowych odnawiany był rokrocznie przez kolejnych piętnaście lat. To hazardowe zagranie nigdy się nie opłaciło. Przeciwnie, błędy zawarte we wspomnianych uzgodnieniach z czasem stawały się coraz bardziej niebezpieczne i przyczyniały się do destabilizacji *status quo*. Latem 2008 roku owe błędy okazały się kluczowym czynnikiem, który doprowadził do wybuchu wojny. Gruzja została zmuszona do stoczenia nierównej bitwy z Rosją, wiedząc z góry, że pokój, który ją zakończy, nie będzie sprawiedliwy. Innymi słowy, zgodzono się, aby lis strzegł kurnika. Kiedy więc rosyjska polityka stawała się coraz bardziej nacjonalistyczna, posiadana przez Moskwę przewaga w regionie była przez nią samą w coraz większym stopniu brutalnie wykorzystywana. Oddziały, które miały stanowić neutralną siłę pokojową, w praktyce okazały się narzędziem imperialnej polityki, a następnie – wojskami dokonującymi inwazji na niezależne państwo. Zachód tolerował tę sytuację udając, że niczego nie widzi. Jego przedstawiciele byli najwyraźniej przekonani o wyborze najlepszej ze złych możliwości działania. Ich zdaniem misje pokojowe OBWE i ONZ na terenie Osetii Południowej były lepsze niż zupełny brak obecności jakichkolwiek sił na tym terenie. Wierzono również w to, że owe oddziały pokojowe mogły przynajmniej zagwarantować najbardziej podstawowy wymiar przejrzystości toczących się wydarzeń i działać jak hamulec w razie możliwej inwazji ze strony Rosji.

Z punktu widzenia Gruzji opisane wyżej porozumienia stwarzały coraz bardziej niekorzystną, a momentami nawet surrealistyczną sytuację. Separatystyczni przywódcy Abchazji i Osetii Południowej żądali przecież pełnej niepodległości – i kropka. Gruzja opowiadała się za daleko idącą autonomią w ramach luźnej konfederacji. Rosja miała tymczasem w ręku międzynarodowy mandat umożliwiający jej zarówno utrzymywanie zawieszenia broni, jak i podjęcie prób wynegocjowania pokojowego rozwiązania konfliktu. Jasne było jednak, że w istocie rzeczy bynajmniej nie była tym zainteresowana. Pod pozorem działań pokojowych mogła jednak prowadzić bardzo swobodną politykę w regionie. Politycy z Tbilisi byli natomiast uwikłani w trójstronne negocjacje, w ramach których ten, kto pełnił pozornie rolę mediatora, otwarcie wspierał jedną ze stron uczestniczących w konflikcie. Rosyjskie siły rozmieszczone we wspomnianych prowincjach były więc „siłami pokojowymi” jedynie z nazwy.

Gdy z czasem polityka rosyjska wobec Gruzji ulegała stopniowemu zaostrzeniu, wspomniani żołnierze zacieśniali swoją współpracę z lokalnymi przywódcami dążących do separacji prowincji, wspierając działania mające doprowadzić do ich oddzielenia od reszty terytorium gruzińskiego. Kiedy zaś Gruzja próbowała nakłonić ONZ i OBWE do przeprowadzenia śledztwa w sprawie dokonywanych naruszeń bądź gdy zwracała się z prośbą o wysłanie w teren bardziej zbalansowanych pod względem swego składu sił pokojowych, jej wnioski każdorazowo były blokowane przez Moskwę, która wykorzystywała przysługujące jej prawo weta, żeby uniemożliwić tego typu posunięcia. Tym sposobem Gruzja znalazła się w pu-

łapce – wszystkie możliwości zmiany *status quo* wymagały zgody Rosji. Ta zaś była zdeterminowana, aby sytuacja nie uległa zmianie.

Taki stan rzeczy Micheil Saakaszwili „otrzymał w spadku”, gdy został gruzińskim prezydentem po rewolucji róż. Był jednak zdecydowany odciąć się od przeszłości poprzez dokonanie dwóch niezwykle istotnych posunięć. Po pierwsze, pragnął, aby Gruzja zwróciła się ku Zachodowi. Obserwował, jak kraje Europy Środkowo-Wschodniej, a co jeszcze ważniejsze, również państwa bałtyckie, pokonały przeszkody leżące na ich drodze i były w stanie zapaść korzenie w zachodnich instytucjach, przystępując do NATO i Unii Europejskiej. Saakaszwili chciał więc powtórzyć to, co zrobiły państwa bałtyckie, i zreformować Gruzję w taki sposób, by Zachód zaczął patrzeć na nią inaczej niż przedtem, a następnie włączył do swoich instytucji jako część szerszej aniżeli dotąd rozumianej wspólnoty państw zachodnich. Mimo że Rosja była bliska bankructwa oraz załamania politycznego w momencie, gdy przywódcy rewolucji róż obejmowali władzę, udało się im w ciągu zaledwie kilku lat, dzięki serii głębokich reform, uczynić z Gruzji jedną z najszybciej rozwijających się gospodarek będących w fazie transformacji. Między 2005 a 2008 rokiem wzrost gruzińskiego PKB wynosił co najmniej 8,5%. Wartość nominalna produktu krajowego brutto uległa potrojeniu, zaś w przeliczeniu na obywatela wzrosła o prawie 150%. Przychody z podatków zwiększyły się o około 400%, wartość waluty obcej wzrosła blisko ośmiokrotnie, a dług publiczny został znacznie pomniejszony. Korupcję udało się ograniczyć tak skutecznie, że jej wskaźniki należały do najniższych w środkowej

i wschodniej Europie<sup>57</sup>. Gruzini żołnierze uczestniczyli w NATO-wskich i kierowanych przez Stany Zjednoczone misjach na Bałkanach i w Iraku. Cel polegający na włączeniu Gruzji do NATO, a w dalszej przyszłości być może również i do Unii Europejskiej, pozostawał wciąż jeszcze bardzo odległy, ale było też już jasne, że nie był niemożliwy do osiągnięcia.

Niemniej jednak z powodu aspiracji dotyczących połączenia z Zachodem Gruzja znalazła się na celowniku Moskwy. Po upadku komunizmu i rozpadzie ZSRR między 1989 i 1991 rokiem państwa zachodnie stanęły przed wyzwaniem zbudowania Europy, która byłaby wolna od podziałów i w której panowałby pokój. Kluczową zasadą tego przedsięwzięcia, wyrażoną wprost w karcie paryskiej i potwierdzoną ponownie dekadę później w *Karcie bezpieczeństwa europejskiego* OBWE, podpisanej w Stambule w 1999 roku, było prawo każdego państwa do bezpieczeństwa, w tym do swobodnego wybierania własnej polityki bezpieczeństwa i zawierania sojuszy. Tak brzmiały założenia pozimnowojennej Europy w postulatach wolnej od wszelkich linii podziału czy sfer wpływów. Rozszerzenie zarówno NATO, jak i Unii Europejskiej stanowiło część wizji ponownego zjednoczenia Europy i pokonania dawnych, mających swoje źródła w okresie zimnej wojny, podziałów. Było również częścią wysiłku, którego cel zakładał ściśle związanie państw środkowej i wschodniej Europy z Zachodem, przy jednoczesnym pogłębieniu współpracy na linii Zachód – Moskwa.

Moskwa z czasem przyjęła do wiadomości rozszerzenie NATO na środkową i wschodnią Europę. Sojusz podjął zaś pierwsze działania mające na celu stworzenie

równoległego partnerstwa między Rosją a Zachodem. Nie było to jednak łatwe zadanie. Prezydent Jelcyn publicznie sprzeciwiał się poszerzeniu NATO, chociaż w prywatnych rozmowach przyznawał, że Sojusz Północnoatlantycki nie był w jego ocenie zagrożeniem, a nawet, że dobrze rozumiał impulsy, które kierowały pragnącymi zacieśnić swoje relacje z Zachodem przywódcami państw Europy Środkowo-Wschodniej. Koniec końców, Rosja również chciała przecież „iść na Zachód”. Jelcyn często podejmował decyzje wbrew doradcom zalecającym mu bardziej asertywne stanowisko w kwestii poszerzenia Sojuszu Północnoatlantyckiego. Tak naprawdę najbardziej obawiał się tego, że będzie ono użyte przeciw niemu w wewnętrznej rosyjskiej rozgrywce o władzę – przez nacjonalistów z prawej strony politycznej sceny lub przez komunistów z lewej. Jelcyn był więc gotowy do zawarcia kompromisu, zgodnie z którym rozszerzenie NATO miało się dokonać jedynie przy odpowiednich gwarancjach – zapewnieniu, że Sojusz nie będzie rozbudowywał armii na terenie nowych państw członkowskich oraz że jednocześnie zacieśni swoje relacje z Moskwą. Takie były polityczne założenia pierwszej tury rozszerzenia NATO oraz aktu stanowiącego NATO-Rosja podpisanego w 1997 roku. Te same zasady zostały potwierdzone na szczycie OBWE w Stambule w roku 1999, kiedy to państwa członkowskie – w tym Rosja – podpisały nową, uaktualnioną wersję karty. Tak się składa, że byłem zaangażowany w negocjacje dotyczące tego dokumentu, który potwierdził „nieusuwalne prawo każdego państwa do swobodnego wyboru lub zmiany swojej polityki bezpieczeństwa, włączając w to zawieranie sojuszy” i jednocześnie odrzucił stosowanie zasady „sfer wpływów” przez

jakiegokolwiek państwo członkowskie OBWE<sup>58</sup>. Gdy rozpoczęła się druga runda poszerzenia NATO, której początek wyznaczył szczyt sojuszu zorganizowany w Pradze w 2002 roku, Moskwa sprzeciwiała się mu w mniejszym stopniu, aniżeli miało to miejsce podczas pierwszej rundy poszerzenia. Stało się tak pomimo faktu, że NATO, przyjmując do swoich struktur trzy państwa bałtyckie, wkraczało w przestrzeń posowiecką. Sojusz postanowił zacieśnić swoją współpracę z Moskwą przed rozpoczęciem wspomnianej drugiej rundy poszerzenia, powołując do życia Radę NATO-Rosja, w której Moskwa zasiadała na takich samych prawach, jak członkowie Sojuszu Północnoatlantyckiego. Nowa Rada zaczęła działać niedługo po szczycie w Pradze. W wymiarze symbolicznym oznaczało to, że Rosja nie znajdowała się już przy stole naprzeciw państw członkowskich Sojuszu – jak wynikało z dawnej formuły „19 + 1”, że użyję NATO-wskiego żargonu. Była jednym z członków klubu „20” – klubu, którego celem było wspólne podejmowanie decyzji i działań.

Kiedy ówczesny sekretarz generalny NATO Lord Robertson został zapytany podczas konferencji prasowej o cel utworzenia Rady NATO-Rosja, odpowiedział, że „chodzi o chemię, nie o arytmetykę”. Prezydent Bush posunął się jeszcze dalej, stwierdziwszy, że powstanie Rady dawało Rosji „szansę stworzenia sojuszu wewnątrz Sojuszu”. W owym czasie prezydent Putin wydawał się zupełnie niezaniepokojony możliwością przyszłej aneksji do Sojuszu kolejnych państw posowieckich. Kiedy na konferencji prasowej po szczycie w Pradze zapytano go o ukraińskie aspiracje związane z członkostwem w NATO, Putin odparł: „Ukraina jest suwerennym, niepodległym państwem

i sama może decydować o swojej polityce bezpieczeństwa”. Po czym dodał: „Tego typu rozmowy [pomiędzy Ukrainą i NATO] byłyby zupełnie naturalne i na miejscu. Z pewnością nie widziałbym w takim posunięciu niczego, co mogłoby rzucić cień na relacje pomiędzy Rosją i Ukrainą”<sup>59</sup>. Z dzisiejszej perspektywy widać wyraźnie, że była to cisza przed burzą. W ciągu kolejnych kilku lat Putin dokonał drastycznej zmiany kursu, zarówno w polityce wewnętrznej, jak i międzynarodowej. Podczas gdy w roku 2000 dochodząc do władzy, kreował swój wizerunek reformatora i szafował hasłem o „zachodnim powołaniu Rosji”, w późniejszym okresie stał się zwolennikiem autokratycznej ideologii kładącej szczególny nacisk na „suwerenną demokrację”. Antyimperialistyczna i prozachodnia polityka, którą w latach 90. prowadził Borys Jelcyn, została odstawiona na boczny tor i zastąpiona znacznie twardszą, nacjonalistyczną postawą. Krok po kroku Putin wycofywał się z polityki integracji z Zachodem oraz faktycznego sojuszu z nim, co było zgodne z zamysłem Jelcyna i w co wpisywała się również jego własna reakcja na zamachy z 11 września 2001 roku. Podczas gdy Jelcyn mówił o upadku Związku Radzieckiego jako o czymś równoznacznym z wyzwoleniem Rosji od komunizmu, Putin w słynnej wypowiedzi z wiosny 2005 roku nazwał rozpad ZSRR „największą geopolityczną katastrofą” XX stulecia<sup>60</sup>.

Głównym celem Rosji nie było już zbliżenie do Zachodu. Zamiast tego Putin zdecydował się na pójście własną, niezależną, euroazjatycką ścieżką. Koncepcja ta nabierała zresztą kształtów na przestrzeni lat. Kiedy jednak Rosja zdecydowała się zrezygnować ze swojego pro-

zachodniego kursu, stało się rzeczą absolutnie konieczną, aby podobnie uczynili jej sąsiedzi. Gdy odpowiednio w latach 2003 i 2004 doszło do rewolucji róż i pomarańczowej rewolucji, na Zachodzie widziano w nich nowe prodemokratyczne przełomy, otwierające szansę kolejnej zmierzającej na wschód fali demokratyzacji. W Moskwie postrzegano je natomiast jako egzystencjalne zagrożenie. Ten sam Władimir Putin, który zaledwie dwa lata wcześniej wydawał się pogodzony z możliwością przystąpienia Ukrainy do NATO, teraz zachowywał się tak, jak gdyby wydarzenia na Ukrainie i w Gruzji stanowiły śmiertelne niebezpieczeństwo dla Rosji. Jak zauważył Iwan Krystew, rewolucja róż i pomarańczowa rewolucja były dla Rosji tym samym, czym dla Stanów Zjednoczonych zamachy z 11 września – wyraźnym sygnałem o powstaniu nowego, niedocenianego dotąd zagrożenia. Możliwość zbudowania w regionie Kaukazu Południowego liberalnych, prozachodnich demokracji, okazała się wyzwaniem rzuconym nowej polityce Putina, opartej na odbudowaniu Rosji jako „suwerennej demokracji” oraz odtworzeniu jej siły i sfery wpływów wśród dawnych sąsiadów. Nowa retoryka rosyjskiego prezydenta trafiła zresztą na podatny grunt, nie tylko w samej Rosji, ale także na północnym Kaukazie, gdzie w separatyzmie widziano już bardzo poważne zagrożenie<sup>61</sup>.

Reakcja Moskwy na rewolucję róż i pomarańczową rewolucję miejscami zahaczała o histerię i surrealizm. Rosyjscy spin doktorzy stworzyli całą serię teorii spiskowych, insynuacji pod adresem Zachodu, a w szczególności Stanów Zjednoczonych, starając się wyjaśnić to, co miało miejsce w Gruzji i na Ukrainie. Amerykańskim organiza-

cjom pozarządowym przypisywano magiczne moce, dzięki którym mogły powołać do życia rewolucyjne ruchy, a wyżsi urzędnicy rządu USA byli określani w rosyjskiej prasie mianem „szarych generałów”, stojących za „kolorowymi” rewolucjami. Moskwa szybko stworzyła więc strategię mającą uniemożliwić zachodzące zmiany i oddalić wpływy Zachodu od swoich granic.

Gruzja – państwo, które najbardziej entuzjastycznie wdrażało prozachodnie reformy oraz szybko staowało się wiodącym kandydatem do przyszłego członkostwa w NATO – w krótkim czasie stała się jednym z głównych celów nowej polityki rosyjskiej. W Moskwie zdawano sobie sprawę, że gdyby Gruzja faktycznie stała się pierwszym udanym przypadkiem zbudowania liberalnej demokracji na terenie Kaukazu Południowego, otworzyłoby to możliwość gruntownej politycznej przebudowy całego tego regionu. Problem polegał na tym, iż Moskwa nie potrafiła zobaczyć w takim przeobrażeniu zarodków nowej stabilizacji, która koniec końców również dla niej byłaby korzystna. Zamiast tego, patrzono na politykę jako na grę o sumie zerowej, w konsekwencji czego w rosyjskiej stolicy opisany trend postrzegano jako negatywny, równoznaczny z utratą posiadanej kontroli i wpływów. Moskwa w stosunkach z lokalnymi rządami wołała polegać na starej i sprawdzonej, imperialistycznej strategii „dziel i rządź”. W ten sposób radziła sobie przecież na południowym Kaukazie od wieków. Stare nawyki nie umierają łatwo.

To napięcie było wyczuwalne od samego początku w kontaktach Putina z Saakaszwilim. Podczas pierwszego spotkania mieli wprowadzić dogadywać się całkiem nieźle. Należy jednak pamiętać, że w owym okresie, gdy głów-

nym oponentem Moskwy w Gruzji był zniechodzony Eduard Szewardnadze, Saakaszwili mógł wydawać się mniejszym złem. Zarodki przyszłych problemów stawały się już jednak dobrze widoczne. Podczas rozmowy Putin poprosił Saakaszwilego o pozostawienie wśród ministrów w jego gabinecie Walerija Chaburdzani – w owym czasie ministra bezpieczeństwa narodowego; polityka skorumpowanego i blisko związanego z Rosją. W praktyce wskazywało to na wciąż żywione przez Moskwę pragnienie, by mieć bezpośredni wpływ na działania gruzińskiego rządu i wgląd w nie. Spodziewano się, że podobnie jak jego poprzednicy, Saakaszwili podejmie grę w kolonię i będzie płacił haracz północnemu sąsiadowi. Właśnie z tego typu działaniami przywódcy rewolucji róż zamierzali jednak zerwać. Saakaszwili w sposób jednoznaczny i zdecydowany odmówił, po czym szybko dokonał zmian w całym ministerstwie, „awansując” Chaburdzanię na inne wysokie, ale już mniej eksponowane, stanowisko. Relacje między obydwojma przywódcami wkrótce miały się pogorszyć.

Kiedy później prezydent Bush bądź inni zachodni przywódcy podejmowali w rozmowach z Putinem kwestię Gruzji, zmuszeni byli często do wysłuchiwanie irracjonalnych tyrad rosyjskiego przywódcy. Doradcy Kremla wspominali nawet w prywatnych rozmowach, że obawiali się poruszać problemy związane z Gruzją w obawie przed reakcją szefostwa. Gdy Putin i Saakaszwili spotykali się twarzą w twarz, ich rozmowy były zawsze niezwykle napięte, pełne wzajemnej złości i podejrzeń. Współpracownicy określali ich relacje jako przesiąknięte niechęcią, acz jednocześnie podszyte nutką wzajemnego podziwu. Obydwaj byli w końcu, w pewnym sensie, przywódcami

rewolucji, którzy chcieli odgórnie dokonać zmiany sposobu, w jaki działały podległe im społeczeństwa. Zmierzali jednak w zupełnie przeciwnych kierunkach. Projekt Putina polegał na zbudowaniu scentralizowanego i autorytarnego państwa oraz rozciągnięciu sfery wpływów poza jego nominalne granice. Saakaszwili chciał natomiast zmienić Gruzję w państwo kapitalistyczne, dążące do integracji z Zachodem.

Świadkowie rozmów między obydwoma politykami zgodnie twierdzą, że Putin i Saakaszwili nieraz zwracali się do siebie w bardzo ostrych słowach bez zbędnych ogródek. Putin z absolutną jasnością stwierdzał, że jeżeli Gruzja chce rozwiązać problemy dotyczące Abchazji i Osetii Południowej, musi dokonać fundamentalnego wyboru i uwzględnić interesy rosyjskie. Musi też zdecydować – jak mówił rosyjski przywódca – czy jest sojusznikiem Rosji, czy przeciwnie. Jeżeli chce być przyjacielem i sojusznikiem Rosji, może liczyć na rosyjską pomoc przy rozwiązywaniu wspomnianych problemów. W przeciwnym wypadku jest to jednak niemożliwe. Chociaż formalnie Rosja uznawała integralność gruzińskiego terytorium, Putin nieraz otwarcie groził uznaniem dążących do separacji prowincji i oderwaniem ich siłą od Tbilisi. Gruzinińscy urzędnicy szczególnie dobrze pamiętają zwłaszcza jedną bardzo bezpośrednią, jeżeli nie po prostu brutalną, wymianę zdań między Putinem i Saakaszwilim, do jakiej doszło w Sankt Petersburgu latem 2006 roku. Saakaszwili musiał wówczas czekać na przybycie Putina dobre trzy godziny. W ten sposób rosyjski przywódca pragnął zademonstrować, kto bardziej był komu potrzebny. Gdy doszło wreszcie do spotkania, Putin w dość otwarty spo-

sób stwierdził, że Gruzja musi dokonać wyboru odnośnie tego, po której jest stronie. Kiedy Saakaszwili oraz inni wysocy przedstawiciele gruzińskiej delegacji zapytali, co bycie przyjacielem bądź wrogiem oznacza w praktyce, odpowiedź brzmiała: „Wiedziecie, co macie robić”. Gruzja miała porzucić swoje prozachodnie aspiracje i przestać zabiegać o członkostwo w NATO.

W rezultacie dokonanego wyboru Gruzja znajdowała się pod stopniowo coraz mocniejszym naciskiem politycznym, ekonomicznym i psychologicznym ze strony Moskwy, próbującej wymusić zmianę jej politycznego kursu. Tbilisi była jednak gotowa do kontrofensywy. Saakaszwili odmówił porzucenia starań o członkostwo w NATO czy rozluźnienia mocnych więzów ze Stanami Zjednoczonymi. Nie dał się zastraszyć Putinowi, którego podobno zwykł określać mianem „Lili-Putina”. (Choć publicznie temu zaprzeczał, dla wielu pogłoski te brzmiały całkiem wiarygodnie). Po wykryciu i szybkim uniemożliwieniu różnych podejmowanych przez Rosjan prób mieszania się w wewnętrzne sprawy Gruzji, jesienią 2006 roku Saakaszwili publicznie wyrzucił z kraju czterech rosyjskich oficerów wywiadu i oskarżył ich o prowadzenie działalności szpiegowskiej. Moskwa odpowiedziała, nakładając na Gruzję embargo ekonomiczne, wstrzymując handel, transport i wszelkie przesyłki pocztowe. Szacuje się, że zainwestowała również miliony dolarów w działalność antyrządową. Rozpoczęła ponadto przypominające dawne pogromy prześladowania Gruzinów mieszkających w Rosji – zamykając prowadzone przez nich sklepy czy deportując zwykłych obywateli<sup>62</sup>. Jeden z oficerów wywiadu, podróżujący po Osetii Południowej wiosną 2007 roku, powie-

dział mi, że na każdym niemal kroku można było zobaczyć przykłady mieszania się przez Rosjan w wewnętrzne sprawy Gruzji. Gdy zapytałem go, jak zareagował rząd jego kraju na te doniesienia, odpowiedział: „Nie mam odwagi raportować o wszystkim, co się tutaj dzieje. Nikt nie chciałby nawet o tym słyszeć, niech mi pan wierzy. Tu jest jak na Dzikim Zachodzie”. W rzeczy samej, momentami cała sprawa przypominała zimnowojenne powieści szpiegowskie Johna le Carré – z tą różnicą, że była o wiele poważniejsza.

Najlepszą bronią, jaką dysponowała Rosja przeciw Gruzji, były właśnie „zamrożone konflikty” w Abchazji i Osetii Południowej. Stanowiły one coś w rodzaju dziury w gruzińskiej zbroi. Gruzja nie miała pełnej kontroli nad mniej więcej piątą częścią swego terytorium. Sprawowała ją Rosja. Sam ten prosty fakt – a wspomniane tereny często stanowiły też centra bezprawia, przemytu i zorganizowanej przestępczości – nie ułatwiał przeprowadzania reform rynkowych, wprowadzania rządów prawa czy pogłębiania demokratyzacji życia publicznego. Zajmowanie się tymi palącymi problemami wymagało czasu, energii, pieniędzy oraz innych zasobów. Nikt nie pragnął ich rozwiązania mocniej od Gruzinów, chcących przyciągnąć do swego kraju zagranicznych inwestorów. Niestabilność sytuacji odstraszała europejskich sojuszników, którzy obawiali się, że zostaną wciągnięci w regionalną wojnę o podłożu etnicznym, w dodatku z Rosją w tle.

Tak zarysowująca się sytuacja rzucała również cień na aspiracje Gruzji dotyczące jej członkostwa w NATO. Jak można było bowiem przyjąć do Sojuszu Północnoatlantyckiego państwo, którego granice nie były bezpiecz-

ne? Jakiego kształtu granic sojusznicy musieliby bronić w przyszłości? Oczywiście, nie były to problemy, których nie dałoby się rozwiązać. W końcu Niemcy przystąpiły do NATO w latach 50. bez swoich wschodnich terytoriów. Państwa bałtyckie zaś przed przystąpieniem do Sojuszu podpisały z Rosją porozumienia dotyczące granic. Nikt nie miał jednak złudzeń. Droga Gruzji do członkostwa w NATO musiała być znacznie trudniejsza. Przypominało to trochę sytuację, w której ktoś ma przebiec maraton z ciężarkami przymocowanymi do kostek. Wspomniane konflikty spowalniały proces dokonywania reform; sprawiały, iż Zachód bardziej wstrzemięźliwie wspierał Tbilisi. Dawały również Moskwie ogromne pole manewru z tej prostej przyczyny, że ich rozwiązanie zależało przede wszystkim właśnie od niej.

Putin podjął zresztą działania mające umocnić jego wpływy na przywództwo separatystycznych prowincji w Abchazji i Osetii Południowej. Gruzja i Osetia Południowa prowadziły negocjacje w sprawie podpisania traktatu pokojowego. W 2000 roku udało im się nawet podpisać wstępny dokument w tej sprawie, zwany planem Badena. Nie rozwiązywał on oczywiście wszystkich problemów, wskazywał jednak kierunek działań mogący doprowadzić do pokojowego rozwiązania zaognionego konfliktu. Tymczasem Putin szybko wprowadził do Cchinwali swojego człowieka – Eduarda Kokojty'ego. Nad Kokojtyem ciążyły zarzuty o powiązanie ze światem przestępczym oraz imienny nakaz aresztowania. Ta zmiana władzy z 2001 roku uniemożliwiła dalsze rozmowy pokojowe między Cchinwali i Tbilisi. Ci, którzy wciąż je popierali, zostali wkrótce wyrzuceni z rządu Osetii Połu-

dniowej. Niedługo po tym, jak Kokojty został prezydentem, miał nawet zwołać specjalne posiedzenie, podczas którego poinformował swoich doradców i współpracowników, że plan Badena przestał być aktualny, a celem Osetii Południowej miało być odtąd uzyskanie niepodległości poprzez starcie wojenne z Gruzją.

Wiele z kluczowych ministerstw w rządzie Kokojty'ego wkrótce przejęli pracownicy rosyjskiego wywiadu, którzy wcześniej mieli niewielkie bądź nawet żadne związki z Osetyjczykami. Abchazji udało się zachować nieco większą autonomię, jednak również na jej terenie Rosja poszerzyła swoje wpływy – dla przykładu, minister obrony oraz szef sztabu byli Rosjanami. Co więcej, pieniądze z Moskwy stanowiły lwią część budżetu obydwu separatystycznych administracji. Począwszy od 2002 roku Putin zdecydował o przeprowadzeniu na ogromną skalę akcji przyznawania paszportów rosyjskich mieszkańcom Abchazji i Osetii Południowej. Miały one ułatwić ludziom z tego regionu swobodne przemieszczanie się, chociaż w praktyce bardzo niewiele osób faktycznie korzystało z możliwości wyjazdu do Rosji. Z punktu widzenia Moskwy cel został jednak osiągnięty – udało się stworzyć sztuczną mniejszość, a wraz z nią – kolejny obszar wpływów. Rozdawszy tysiące paszportów osobom mieszkającym na terenie Gruzji, Moskwa stworzyła dla siebie możliwość powoływania się na prawo do obrony swych świeżo upieczonych „obywateli”.

Nawet przedstawiciele dyplomacji państw zachodnich byli narażeni na gniew Putina, również w ich obecności nie wahał się wypowiadać gróźb dotyczących wykorzystania „zamrożonych konfliktów” przeciwko Tbilisi.

Pod koniec października 2006 roku z wizytą w Moskwie przebywała amerykańska sekretarz stanu Condoleezza Rice. Podczas nieoficjalnej kolacji z Putinem, która odbywała się w domku myśliwskim położonym nieopodal Moskwy, rozmowa zesłała na temat Gruzji. Ton Putina natychmiast uległ zmianie i wygłosił on ostrą tyradę przeciwko Saakaszwilemu. Powiedział Rice, że jeżeli gruziński przywódca kiedykolwiek zdecyduje się na krok przeciwko Abchazji bądź Osetii Południowej, Moskwa natychmiast użyje swej siły zbrojnej oraz uzna rządy w Suchumi i Cchinwali. Według Rice dla wszystkich uczestniczących w sporze stron, w tym dla Rosji, istotne było zachowanie rozwagi, i takiej odpowiedzi udzieliła Putinowi. Podkreśliła wyraźnie, że Stany Zjednoczone wspierają terytorialną integralność Gruzji oraz że pokojowe rozwiązanie zagrożonych konfliktów wymaga nieużywania sił zbrojnych przez żadną ze stron. Dotyczyło to więc również Rosji. Na koniec ostrzegła Putina, że zbrojna interwencja Moskwy w regionie miałaby bardzo poważne skutki dla wzajemnych relacji na linii USA – Rosja. Usłyszawszy te słowa, Putin wściekł się – wstał i wyszedł<sup>63</sup>.

Rosyjskie wpływy na „zamrożone konflikty” w Gruzji miały swoje źródło w wadze, jaką przykładano w Tbilisi do odzyskania objętych nimi terytoriów. Saakaszwili doszedł przecież do władzy, obiecując nie tylko demokrację, ale i zjednoczenie. I pomimo faktu, że odpowiedzialność za utratę Abchazji i Osetii Południowej ponosili jego poprzednicy, obronę terytorialnej integralności Gruzji uczynił najważniejszym punktem swojego inauguracyjnego przemówienia. Dla wielu zachodnich dyplomatów takie podejście sprawiało często wrażenie

promieszaną nowoczesną politykę w amerykańskim stylu z XIX-wiecznymi tradycjami środkowoeuropejskiego czy też bałkańskiego nacjonalizmu. Kiedy przedstawiciele zachodnich rządów sugerowali, by nie zajmować się wspomnianymi konfliktami, Saakaszwili nie tyle wskazywał na liczne akty niesprawiedliwości, na uchodźców czy na bliski załamaniu się stan rzeczy w Abchazji i Osetii Południowej – ile po prostu nie wierzył w to, że jego rząd mógłby przetrwać, gdyby wspomniane tereny zostały bezpowrotnie „utracone”. Według wielu zachodnich obserwatorów właśnie w tym miejscu tkwi sama istota popełnionego przez Saakaszwilego błędu. Przekonują oni, że gruziński prezydent powinien był zrzucić winę za zaistniałą sytuację na swoich poprzedników, zamiast czynić z niej główny problem do rozwiązania dla swojego rządu. Ich zdaniem gruzińskie społeczeństwo znacznie bardziej zainteresowane było zmniejszeniem bezrobocia, aniżeli odzyskaniem wspomnianych obszarów. Nic nie jest jednak aż tak proste. Podczas gdy poparcie dla prozachodniej strategii Saakaszwilego było całkiem wysokie, sięgając około 70 – 80%, poparcie dla odzyskania utraconych ziem było jeszcze wyższe. Gruzkańskie społeczeństwo interesowało się tymi kwestiami znacznie bardziej, niż to się wydaje wielu obserwatorom na Zachodzie. Sam Saakaszwili zaś w żadnym razie nie był gotowy wyrzucić za burtę kwestii odzyskania wspomnianych obszarów, by pozbyć się jej, niczym jakiegoś balastu. Nie pozwalała mu na to ta strona jego osobowości, która utożsamiała się z Dawidem IV Budowniczym.

Jednocześnie, Saakaszwili *de facto* w znacznym stopniu zerwał z nieodpowiedzialną i romantyczną tradycją

gruzińskiej polityki narodowej, tak charakterystyczną dla jego poprzedników. Jego koncepcja obywatelstwa nie opierała się na zasadzie etnicznej. Był republikaninem przez małe „r”. Zakładał dalej posunięte ustępstwa odnośnie przyznania częściowej autonomii Osetii Południowej i Abchazji niż którykolwiek z wcześniejszych przywódców Gruzji, choć jednocześnie sprawa terytorialnej integralności Gruzji miała dla niego absolutnie podstawowe znaczenie. W ciągu kilku pierwszych miesięcy sprawowania urzędu prezydenta Saakaszwili musiał stawić czoła poważnemu kryzysowi politycznemu w położonej na południowym wschodzie Autonomicznej Republice Adżarii, ze stolicą w Batumi. Była to stosunkowo bogata enklawa z dużym portem, którą twardą ręką rządził autorytarny baron narkotykowy Asłan Abaszydze, blisko powiązany z burmistrzem Moskwy, Jurijem Łużkowem. Saakaszwilemu udało się opanować ów konflikt przy pomocy środków pokojowych. Doprowadził do pozbawienia Abaszydzego władzy poprzez zmobilizowanie lokalnej społeczności oraz dzięki użyciu wielu taktyk opartych na oddolnych działaniach ludności, które okazały się skuteczne już wcześniej, w trakcie rewolucji róż. W efekcie Abaszydze musiał ustąpić w maju 2004 roku, kiedy to specjalnym samolotem odleciał do Moskwy w towarzystwie byłego ministra spraw zagranicznych Rosji oraz szefa rosyjskiej Rady Bezpieczeństwa Narodowego, Igora Iwanowa (który sam z pochodzenia był pół-Gruzinem). Saakaszwili z dumą ogłosił dokonanie „drugiej bezkrwawej rewolucji”. Taktyka polegająca na działaniu w oparciu o lokalne społeczności w celu podważenia władzy lokalnych dyktatorów raz jeszcze okazała się skuteczna. Saakaszwili obie-

cywał również, że przyspieszy proces odzyskiwania przez Gruzję kontroli w dwóch pozostałych dążących do separacji prowincjach.

Moskwa zaakceptowała ten rozwój wydarzeń z tej prostej przyczyny, że Abaszydze był tak dalece obrzydliwym typem, iż ciężko było występować w jego obronie. Mimo to z rosyjskiego punktu widzenia taka postawa nie była z pewnością dobrą receptą na „robienie biznesu”. Moskwa wykorzystywała przecież podejście odgórne, oparte na lokalnych władzach – Saakaszwili przeciwnie, chciał stosować taktykę oddolną, której podstawą były lokalne społeczności. Gruziński prezydent wspominał później swoją rozmowę z Putinem, w trakcie której rosyjski przywódca powiedział mu całkiem otwarcie: „Niech pan pamięta, że chociaż nie interweniowaliśmy w Adżarii, nie czekają na pana żadne darmowe prezenty w Osetii Południowej i Abchazji”. W kolejnych latach Putin wielokrotnie odwoływał się do przykładu Adżarii w rozmowach z politykami Zachodu. Pragnął im w ten sposób udowodnić, że w kwestii „zamrożonych konfliktów” nie można mieć do Saakaszwilego najmniejszego zaufania. Był to jeszcze jeden przejaw typowego dla Rosjan działania, które polegało na obróceniu niewielkiego zwycięstwa sił prawa i porządku nad narkotykowym baronem w przykład nieodpowiedzialnego działania gruzińskiego prezydenta. Chciano takim sposobem podkopać zaufanie, jakim darzyli go zachodni partnerzy. Po tym, co miało miejsce w Adżarii, Moskwa była zdecydowana wzmocnić swoją kontrolę nad Abchazją i Osetią Południową.

Strategia Saakaszwilego opierała się na kilku założeniach. Być może najistotniejszym z nich był plan napra-

wy Gruzji. Nikt nie chciał przecież żyć w niemogącym stać na własnych nogach, przeżartym korupcją oraz pozbawionym możliwości rozwoju gospodarczego kraju – a już z pewnością nie życzyłyby sobie tego wyalienowane mniejszości z Abchazji czy południowej Osetii. Jeżeli więc Gruzja miała przekonać utracone wcześniej prowincje do powrotu na jej łono, musiała zbudować bardziej demokratyczne i zamożne społeczeństwo, aby w ten sposób przyciągnąć je do siebie. Koncepcja ta przypominała więc nieco strategię opartą na stworzeniu swoistego pola magnetycznego. Przywódcy gruzińscy zdawali sobie zresztą doskonale sprawę ze ścisłego powiązania kwestii wewnętrznych reform i rozwiązania „zamrożonych konfliktów”. Innymi słowy, mieli nadzieję na to, że elity Abchazji i Osetii Południowej wybiorą raczej członkostwo w luźnych strukturach zarządzanych przez Gruzję, aniżeli zależność bądź nawet przyłączenie do Rosji. Choć kwestia ta nie znajdowała się od samego początku w centrum uwagi, stworzenie dla Abchazji i Osetii Południowej szansy na lepsze życie w ramach luźnej konfederacji z Tbilisi stało się jednym z kluczowych aspektów gruzińskiej strategii.

Drugim założeniem Saakaszwilego było przekreślenie katastrofalnego dziedzictwa jego poprzedników i zapewnienie poszczególnych mniejszości etnicznych o tym, że nie tylko miały one swoje miejsce w państwie gruzińskim, ale i czeka je tam świetlana przyszłość. Choć jego przeciwnicy próbowali przyszyć mu łatę kontynuatora szalonej romantyczno-nacjonalistycznej polityki Gamsachurdii, w rzeczywistości Saakaszwili był gotów na uznanie daleko idącej autonomii obydwu prowincji. Propozycje dotyczyły choćby decentralizacji, stworzenia specjalnych sfer eko-

nomicznych, nadproporcjonalnego przedstawicielstwa w strukturach federalnych, a także konstytucyjnych gwarancji dotyczących spraw języka i kultury. Przedstawiane oferty uwzględniały również swobodne przekraczanie granicy z Osetią Północną, co miały umożliwić specjalne porozumienia z Moskwą w tej sprawie tworzące podstawy prawne dla podwójnego obywatelstwa. Integralność terytorialna Gruzji była sprawą świętą, wszystko inne mogło być jednak przedmiotem negocjacji.

Po trzecie, Tbilisi postrzegało istniejące siły pokojowe mające doprowadzić do pokojowego rozstrzygnięcia konfliktu za jednostronne i stanowiące *de facto* raczej część problemu niż sposób jego rozwiązania. Tu tkwiła sama istota całego zagadnienia. Próby rozwikłania tej kwestii od samego początku miały kluczowe znaczenie dla Saakaszwilego. Gruzja została zmuszona do uznania wspomnianych sił w momencie swojej największej słabości, gdy pragnęła wynegocjować zawieszenie broni. W rezultacie jednak nie mogła już rozwiązać wspomnianych konfliktów własnymi siłami. Musiała zatem doprowadzić do zmiany istniejącej sytuacji, jeżeli faktycznie chciała rozpocząć proces pokojowy z prawdziwego zdarzenia. Tbilisi zmierzała więc do stopniowego zwiększania obecności sił międzynarodowych w regionie oraz do zachęcania społeczności międzynarodowej do większej partycypacji w rozwiązywaniu konfliktu – zaczynając od ONZ i OBWE, a kończąc na Unii Europejskiej. Celem tego planu było przełamanie faktycznego monopolu Rosji. Ale nie tylko. W efekcie zmian, które zaszły w zapalnych regionach, stacjonujące w nich siły pokojowe nie nadawały się już do rozwiązania konfliktu. Służyć natomiast mogły idealnie do wynego-

cjowania traktatu pokojowego oddzielającego wyraźnie od siebie zwaśnione strony. Sytuacja wymagała jednak sił zdolnych stworzyć warunki umożliwiające zbudowanie zaufania pomiędzy stronami konfliktu, a następnie wypracowanie kompromisowego rozwiązania.

Saakaszwili nie wierzył w to, że sytuację pomogą zmienić prośby i dobrotliwe ponaglenia. Potrzebował również przysłowiowego kija. Chciał prowadzić dyplomację, mając w odwodzie możliwość użycia siły. Jedną z lekcji, które wyciągnął z historii Gruzji lat 90. była potrzeba stworzenia silnej armii i silnego państwa, jeżeli Rosja miała się z nimi liczyć. Nie wierzył, że separatystyczni przywódcy w Suchumi czy Cchinwali sami z siebie z chęcią porzucą *status quo*. W jego ocenie w zaistniałej sytuacji było im zbyt wygodnie i czerpali z konfliktów zbyt wiele korzyści, aby było to dla nich opłacalne. Saakaszwili chciał więc przekonać ich, że *status quo* jest nie do utrzymania i że musi w końcu ulec zmianie – w ten lub inny sposób. Było czymś absolutnie jasnym, iż gruziński prezydent wolałby dokonać owej zmiany w sposób pokojowy, w ramach współpracy z aktualnymi antagonistami. Jednocześnie jednak chciał mieć wojska przygotowane na rozwiązanie siłowe pod ręką – choćby po to, by zyskać zainteresowanie bądź wzmocnić własną pozycję w trakcie negocjacji, lub też w celu wykorzystania zgromadzonych sił w momencie, gdyby faktycznie doszło do zbrojnego starcia. Saakaszwili był zdecydowany na wykorzystanie szerokiego wachlarza argumentów, aby mieć taktyczną przewagę nad przywódcami separatystycznych prowincji. W prowadzonych rozmowach potrafił błyskawicznie zmienić ton, przechodząc od wywierania nacisku do przedstawiania propozycji pokojowych wykraczających

daleko poza te kwestie, w których do tej pory zgodzono się ustąpić. Była to jedna z przyczyn dezorientacji wielu polityków goszczących w Tbilisi, po wyjeździe nie wiedzieli dokładnie, jakie są plany gruzińskiego prezydenta ani czy można mu ufać.

Wspomnianym wysiłkom towarzyszyły równoległe starania mające na celu modernizację gruzińskiej armii. Do pewnego stopnia stanowiły one element szerszej strategii polegającej na zbudowaniu silnego, zdolnego do ochrony własnych obywateli państwa. Saakaszwilemu zależało również na tym, aby w wymiarze *stricte* militarnym jego kraj stał się jak najszybciej zdolny do przystąpienia do NATO. Był jednak wyjątkowo zdeterminowany nie dopuścić więcej do sytuacji, w której Gruzja zostałaby z łatwością pobita przez słabo zorganizowane oddziały milicyjne separatystycznych prowincji, jak to miało miejsce na początku lat 90. Chciał także wysłać jasny sygnał w stronę Moskwy, żeby ta widziała odtąd w Gruzji poważne państwo, gotowe bronić się przed potencjalnymi agresorami. Co więcej, w ten sposób ulegałaby zmniejszeniu asymetria sił pomiędzy obu państwami. Saakaszwili pragnął, aby Rosjanie mieli świadomość, że jeśli sprowokują konflikt z jego siłami, te odpowiedzą. Postępować w ten sposób nakazywała mu ta strona jego osobowości, która utożsamiała się z Mannerheimem.

Jak przywódcy Abchazji i Osetii Południowej – a także Rosjanie – zareagowali na tę strategię? Abchazi i Południowoosetyjczycy usztywnili swoje stanowisko, odcięli się radykalnie od Gruzji oraz zacieśnili wzajemną współpracę z Moskwą, zabiegając jednocześnie, aby ta uznała wreszcie ich pełną niepodległość. Kiedy przedsta-

wiciele Tbilisi proponowali im podjęcie poufnych rozmów gdzieś poza terenem kraju, zazwyczaj reagowali na to z niechęcią. Przywódcy separatystycznych prowincji doskonale bowiem zdawali sobie sprawę z tego, że ich władza była ufundowana na sojuszu z Rosją oraz antygruzińskim nacjonalizmie. Ich tożsamość z samej swej natury zwracała się przeciw Gruzji. Gdyby wspomniane enklawy faktycznie otworzyły się na świat, ich przywódcy mieliby niewielkie szanse na pozostanie przy władzy. Potrzebowali więc wzmacniać poczucie bycia oblężoną twierdzą, do czego gruzińskie zagrożenie znakomicie się nadawało. Za każdym razem, gdy tylko politycy z Tbilisi występowali z jakąś propozycją, Saakaszwili był atakowany i demonizowany.

Z punktu widzenia Moskwy ta niejednoznaczna sytuacja była idealna. Z jednej strony Rosja oficjalnie wciąż uznawała przecież terytorialną integralność Gruzji i mogła przedstawiać siebie jako stronę działającą w konstruktywny sposób. W rozmowach z zachodnimi dyplomatami przedstawiciele rosyjscy podkreślali prowadzony przez Abchazów i Południowoosetyjczyków lobbing na rzecz uznania ich niepodległości jako przykład nacisków, jakim podlegała Moskwa. Zaznaczali jednocześnie, jak ciężko było pohamować ambicje owych lokalnych przywódców. Z drugiej strony natomiast istniejące *status quo* dobrze służyło rosyjskim interesom. Rozwiązanie konfliktów oznaczałoby ograniczenie rosyjskich wpływów w regionie, stworzyłoby też możliwości szybkiego połączenia Gruzji z Zachodem. Tak naprawdę stanowiło to więc ostatnią rzecz, jakiej pragnęli Rosjanie. Przez długi czas przedstawiciele Zachodu trwali w przekonaniu, że Moskwę w pełni zadowolili, jeżeli

tylko w południowokaukaskim garnku wciąż będzie bulgotało. Był to najlepszy sposób na zmaksymalizowanie jej wpływów i osiągnięcie celów w regionie.

W efekcie doszło więc do impasu. Podczas gdy Gruzji miała za cel podjęcie kroków zmierzających do otwarcia pograżonych w konflikcie obszarów na świat, przywódcy separatystycznych prowincji pragnęli uznania ich niepodległości. Dla Gruzji brzmiało to jak anatema. Natomiast w czasie gdy lokalni przywódcy czynili wszystko, by scementować *status quo*, Tbilisi dążyła do jego zmiany. Pomimo przedstawienia licznych propozycji pokojowych w ciągu kolejnych lat, obie strony wciąż kręciły się w koło, nie postępując ani o krok naprzód w kwestii rozwiązania konfliktów. Dla Moskwy był to idealny scenariusz wydarzeń. Dla wielu polityków na Zachodzie sytuacja dawała się tolerować. Nawet, co zabawne, przywódcy separatystycznych prowincji mieli swój interes w utrzymaniu *status quo*, mimo że nie było to dla nich rozwiązaniem w pełni satysfakcjonującym. Impas trwał. Sytuacja przypominała rodzaj paragrafu 22. Saakaszwili szukał więc sposobu na wyjście z błędnego koła.

Wielu sojuszników Gruzji, szczególnie tych europejskich, również nie miało pewności w kwestii tego, w jaką stronę podążała polityka prowadzona przez Saakaszwilego. Przerażała ich sama myśl o tym, że mógłby użyć siły, aby odzyskać stracone terytoria. Niepokoiła ich jednak także oparta na *soft power* strategia gruzińska mająca na celu rozwiązanie konfliktu w Osetii Południowej. W rezultacie nie udzielili jej więc nigdy jednoznacznego poparcia. Niepewność brała się stąd, że dotychczasowe plany pokojowe Tbilisi nigdy nie doprowadziły do żadnych

konkretnych rezultatów. Z tym większą niechęcią spoglądano na pomysły wywierania nacisków na Rosję poprzez dokonanie zmiany znajdujących się w regionie sił pokojowych i przysługujących im uprawnień. Nie chciano również słyszeć o wysłaniu tam oddziałów, które miałyby je zastąpić. Najbardziej niepokojąca z europejskiego punktu widzenia była jednak rozbudowa gruzińskiej siły militarnej i oddziałów policji – w szczególności zaś wymachiwanie szabelką i opowieści o tym, jakoby w grę wchodziło odbicie wspomnianych terenów dzięki przeprowadzeniu akcji zbrojnej.

Zaś z gruzińskiego punktu widzenia działania Zachodu sprowadzały się przede wszystkim do pouczeń mówiących o tym, czego rząd w Tbilisi robić nie powinien, zamiast przedstawiania konstruktywnych propozycji odnośnie dalszych działań. Gruzini słyszeli wyraźnie ostrzeżenia dotyczące możliwości użycia siły, kiedy jednak pytali o to, jak mieliby rozwiązać wspomniane konflikty, odpowiedź zachodnich przywódców nie brzmiała zbyt wiarygodnie. Miałem okazję obserwować te dyskusje i związane z nimi dylematy podczas podróży po Gruzji wiosną 2006 roku. Spotkaliśmy się z ówczesnym ministrem obrony Iraklim Okruaszwilim. Był to polityk znany ze swojego gorącego poparcia dla siłowego rozwiązania konfliktów w odłączonych prowincjach. Urodzony w Cchinwali, sformułował nawet – już jako minister – ultimatum, zgodnie z którym chciał ustąpić ze stanowiska z dniem 1 stycznia 2007 roku, jeżeli gruzińskiemu rządowi nie udałoby się do tego czasu rozwiązać zapalnych kwestii.

Odkąd Okruaszwili objął swoje stanowisko wspólnie ze współpracownikami szczegółowo analizował przebieg

kampanii wojennych, w których przy użyciu niewielkich sił oraz dzięki wykorzystaniu elementu zaskoczenia udało się osiągać sukcesy o strategicznym znaczeniu. Przykładem była akcja Izraela z 1967 roku, a także operacja „Burza” z roku 1995, kiedy to chorwackie, bośniackie i bośniacko-chorwackie oddziały zostały wręcz zmiecione przez siły ONZ, dzięki czemu rozbitcie armii bośniacko-serbskiej stało się kwestią kilku dni. To z kolei umożliwiło szybkie zakończenie walk między Chorwatami i Bośniakami. Ile było w tym realnych przygotowań, a ile politycznego blefu – niepodobna stwierdzić. Okruaszwili zwykł zabierać swoich zagranicznych gości na polowania na niedźwiedzie do położonej blisko terytoriów wroga doliny Kodori lub w inne niebezpieczne miejsca. Wielu twierdziło nawet, że jego ostra retoryka oraz ryzykowne działania przyspieszyły wybuch zażartych walk, jakie wstrząsnęły Osetią Południową latem 2004 roku.

Okruaszwili był również uważany za potencjalnego rywala Saakaszwilego. Podobno obydwaj panowie doszli do porozumienia, że nowy minister obrony będzie pełnił rolę „jastrzębia”, podczas gdy sam prezydent miał działać w sposób bardziej wyważony, aby nie zniechęcać zachodnich sojuszników. Jednak ostra retoryka Okruaszwilego trafiła na podatny grunt i wkrótce jego popularność zaczęła rosnąć. Po tajemniczej śmierci Żwani jego szanse na stanie się następcą Saakaszwilego poszły w górę i wkrótce zaczęto dyskutować o tym, że Okruaszwili stał się prawdopodobnym konkurentem Saakaszwilego w walce o prezydenturę. Kiedy spotkaliśmy się z nim w Ministerstwie Obrony, jego relacje z prezydentem były już bardzo napięte.

Okruaszwili zapytał naszą grupę, składającą się z zachodnich dyplomatów, analityków i dziennikarzy, na ile zdeterminowane były państwa zachodnie, aby pomóc Gruzji w odzyskaniu jej straconych prowincji. Jaką strategię moglibyśmy zaoferować – pytał retorycznie – aby pomóc Gruzji pokojowo odzyskać Osetię Południową? Zapadła wymowna cisza. Nikt nie potrafił odpowiedzieć. „W porządku – powiedział minister. – Rozumiem, że dla was nie jest to już palący problem. Możecie żyć tak, jak jest. My nie”. Następnie zaś stwierdził, że jeżeli Stany Zjednoczone i Europa chcą pomóc Gruzji, to powinny zrozumieć, iż Tbilisi może zostać zmuszona do rozwiązania konfliktu własnymi siłami. Przesłanie było jasne – Okruaszawili nie wykluczał użycia sił wojskowych. Kiedy wojna wybuchła w sierpniu 2008 roku przyznał nawet w wywiadzie prasowym, że w czasach, gdy pełnił jeszcze funkcję ministra obrony, wspólnie z Saakaszwilim przygotowali plan zbrojnego zajęcia zarówno Abchazji, jak i Osetii Południowej<sup>64</sup>. W wywiadzie tym Okruaszawili nie wspomniał jednak, że w tym samym czasie podjęto też decyzję o rezygnacji z siłowego rozwiązania problemu Osetii Południowej. Okruaszwili ustąpił ze stanowiska w połowie listopada 2006 roku – a więc mniej niż dwa miesiące przed terminem, który sam wyznaczył na rozwiązanie spornych kwestii w ramach wspomnianego wyżej ultimatum. Wcześniej zaś zdążył posprzeczać się z Saakaszwilim praktycznie o wszystko – od problemów związanych z prowincjami począwszy, poprzez zarzuty o korupcję, a na prawdziwych bądź wyśnionych próbach zostania jego następcą skończywszy. Okruaszwili stał się więc zgorzkniałym krytykiem i ostatecznie uzyskał po-

lityczny azyl we Francji. Problem, który poruszył, sprawując swoją funkcję, jest niemniej jednak wiele mówiący, ponieważ pozwala dokładnie dostrzec nie tylko pokusę rozwiązania zbrojnego, ale i ograniczenia tego pomysłu, powstrzymujące Tbilisi od podjęcia takiego kroku. Jeszcze przed odejściem Okruaszwilego ze stanowiska zdecydowano przecież, że opcja militarna w stosunku do Osetii Południowej nie będzie wchodziła w rachubę.

Starcia z 2004 roku w Osetii Południowej doprowadziły do ważnej debaty w ramach gruzińskiego przywództwa odnośnie tego, czy militarne rozwiązanie konfliktów w Abchazji i Osetii było w ogóle wykonalne. Pomimo ostrej retoryki Tbilisi prawda była taka, że jej możliwości działania były stosunkowo niewielkie. Gruzja nie dysponowała dostateczną ilością wojsk, by móc działać jednocześnie w Abchazji i Osetii Południowej. Również ekonomicznie kraj nie był w stanie podjąć kosztów, jakie wiązałyby się z tego typu operacją. Gruzini przywódcy doskonale wiedzieli, że państwa zachodnie nie poprą takiego ruchu i że nawet próby rozmawiania z nimi o takim scenariuszu wydarzeń podkopywały ich zaufanie do Tbilisi. Niektórzy gruzińscy politycy utrzymywali wprawdzie, że gdyby podjęto szybkie działania wojskowe i zakończono wojnę w błyskawicznym tempie kilku dni, Zachód byłby gotów zaakceptować nowe fakty dokonane i gotowe zwycięstwo. Gdyby jednak te działania się nie powiodły, nikt nie przyszedłby Gruzji z pomocą, co było absolutnie jasne.

Ze względów politycznych, ekonomicznych i strategicznych Abchazja była dla Gruzji oczywiście znacznie ważniejsza niż Osetia Południowa. W rezultacie podjęto decyzję, aby zrezygnować z planów militarne go rozwiąza-

nia kwestii Osetii Południowej, natomiast pozostawić je jako jedną z możliwości w sprawie Abchazji. Przynajmniej trzy argumenty przekonały ówczesną gruzińską administrację do tego, by nie używać siły przeciw Osetii Południowej. Pierwszym była obawa przed sprowokowaniem wojny z Rosją. Drugim – świadomość, że nawet zakończona sukcesem akcja w Osetii Południowej oznaczałaby utratę Abchazji – a obie kwestie, jak już wspominaliśmy, z punktu widzenia Gruzinów nie miały podobnej wagi. Po trzecie wreszcie, tego typu atak oznaczałby przekreślenie szans Gruzji na wejście do struktur NATO. Osobą, która podjęła tę decyzję, był sam Micheil Saakaszwili.

W 2005 roku gruziński premier Zurab Nogaideli zaproponował nowy plan pokojowy dla południowej Osetii. Prawdziwa zmiana w strategii nastąpiła jednak rok później, kiedy Gruzini zdecydowali się postawić na miękką, a nie twardą politykę w swoich relacjach ze wspomnianą prowincją. Pomysł polegał na tym, aby wykorzystać dziurawą jak sito granicę oddzielającą obydwie strony. Chciano zacząć stopniowo wywierać coraz większy wpływ na południowoosetyjskich przywódców przy użyciu lokalnych społeczności. Celem było przekonanie ich, że przyszłość polegająca na związaniu się z Gruzją nie byłaby wcale tak zła, jak zwykli uważać; a nawet, że ich własny los byłby lepszy, gdyby udało się zbudować luźną konfederację ze zreformowaną Gruzją jako motorem napędowym ekonomicznego boomu. Wreszcie, kolejnym argumentem miała być zgoda rządu w Tbilisi na respektowanie kulturowej autonomii prowincji. Aby uczynić swoje działania bardziej przekonującymi, Gruzini powołali do życia alternatywny osetyjski rząd, ze stolicą w Kurcie

– mieście znajdującym się pod gruzińską ochroną położonym na północ od Cchinwali. Zaczęli realizować różnorakie projekty, począwszy od darmowych letnich wczasów, przez przychodnie medyczne, a skończywszy na salonach do rekreacji – wszystko po to, by przekonać do siebie Osetyjczyków z południa. Działania te nazywano projektem Sanakojewa.

Jedną z konsekwencji ściślejszego związania przywódców z Cchinwali z Rosją oraz taktyki działania Kokojty'ego było to, że niektórzy zbuntowani przywódcy wyłamali się z szeregu. Kilkoro usiłowało wynegocjować rozsądne porozumienie pokojowe z Gruzinami, zostali jednak odsunięci od władzy. Niektórzy z tych byłych przywódców udawali się do Rosji, niektórzy jednak, przeciwnie, przynosili się do Tbilisi, gdzie okazywali się niezwykle cennymi osobami dla gruzińskiego rządu. Jednym z nich był Dmitrij Sanakojew. Jako dowódca milicji walczył przeciwko Gruzinom w wojnie lat 1991–1992. Później był faktycznym ministrem ds. bezpieczeństwa i premierem Osetii Południowej. Jako premier zabiegał o to, by zakończyć topór wojenny i rozpocząć dialog z Gruzją. Później został jednak zepchnięty na margines życia politycznego przez Kokojty'ego i wspierających go Rosjan.

Ponieważ Sanakojew posiadał wsparcie ze strony Tbilisi, został szefem rywalizującego z Cchinwali rządu południowoosetyjskiego w Kurcie. Gruzini sporo inwestowali w jego administrację, zapewniając mu w ten sposób niezbędne fundusze, dzięki którym mógł rozbudowywać infrastrukturę oraz tworzyć warunki do lepszego życia dla ludzi mieszkających w tej części Osetii Południowej znajdującej się pod jego kontrolą. Gruzja ze swojej strony ofe-

rowała również możliwość wyjazdu na letnie kolonie i wycieczki rekreacyjne dla południowoosetyjskiej młodzieży, w tym do specjalnie stworzonej w tym celu „Dyskoteki dla pokoju”, do której na tańce chodziła zarówno gruzińska, jak i osetyjska młodzież. Politycy z Cchinwali nie kazali długo czekać na swoją odpowiedź i ogłosili Sanakojewa zdrajcą. Próbowali również wybić z głowy Osetyjczykom znajdującym się pod ich jurysdykcją uczestniczenie we wspomnianych wyżej projektach. „Dyskoteka dla pokoju” wkrótce zaczęła świecić pustkami. Był to namacalny symbol strachu władz Osetii Południowej odczuwanego na samą myśl o tym, że jej młodzież mogła wieczorem wyjść potańczyć i napić się wspólnie z ich gruzińskimi rówieśnikami.

Gruzja zmieniła więc swoją strategię i próbowała zastosować inne postępowanie, otwarcie diskutowane zresztą z przedstawicielami Waszyngtonu. Chodziło o to, by pokojowo odbudować południową Osetię, wzmocnić własną pozycję przez skoncentrowanie się na MAP-ie<sup>65</sup>. Dopiero w takich warunkach należało zacząć szczegółowo rozważać, w jaki sposób dałoby się odzyskać Abchazję. Przynajmniej w okresie wiosny i lata 2007 roku mogło wydawać się, że pole manewru w sprawie Osetii Południowej jest całkiem spore. Gruzja zastanawiała się poważnie nad użyciem siły, porzuciła jednak tę ewentualność. Chciała realizować inną taktykę, która zdawała się dawać jej nowe moce sprawcze. Dyplomaci rosyjscy wskazywali na możliwość zajęcia bardziej elastycznego stanowiska w kwestii południowej Osetii i sugerowali nawet, że być może nadszedł już czas, aby odsunąć od władzy Kokojty'ego.

Tak rysowała się sytuacja, gdy prezydent Saakaszwili zdecydował się na przejęcie dyplomatycznej inicjatywy i przedstawienie swojego najbardziej ambitnego planu rozwiązania konfliktu w Osetii Południowej na warunkach dopuszczalnych z punktu widzenia Moskwy. Pomysł narodził się podczas rozmowy z gruzińskim ministrem spraw zagranicznych, Gelą Beżuaszwilim. Był on jednym z tych pomocników prezydenta, którzy ciężko pracowali nad tym, by komunikacja z przedstawicielami Rosji nie była nazbyt napięta. W czerwcu 2007 roku zaproponował Saakaszwilemu, aby zatelefonował do Putina i przedstawił mu możliwie konkretny plan rozwiązania konfliktu południowoosetyjskiego, oraz zasugerował, że ministrowie spraw zagranicznych obu państw powinni go przedyskutować. Saakaszwili zatelefonował, a Putin wyraził zgodę. Beżuwaszwili zadzwonił więc do rosyjskiego ministra spraw zagranicznych Siergieja Ławrowa, aby uzgodnić podstawowe kwestie dotyczące czasu i miejsca spotkania.

Ministrowie spotkali się na nieoficjalnej kolacji w Stambule 24 czerwca w hotelu Çırağan Palace Kempinski, dawnym pałacu imperium tureckiego położonym na brzegu Bosforu. Gruzkańska propozycja zawierała liczne ustępstwa. Zamiast naciskać na delegitymizację rosyjskiej obecności w południowej Osetii, Tbilisi gotowa była na zmianę kursu i uznanie Rosji za gwaranta pokoju na jej terenie. Co więcej, godzono się także na specjalne rozwiązania prawne umożliwiające łatwiejsze przemieszczanie się między Osetią Północną i Południową. Pakiet zawierał również ważne elementy o charakterze ekonomicznym i mówił o możliwości realizacji projektów dotyczących energii i transportu, w tym sprzedaży energii elektrycznej

do Turcji i Armenii. Kiedy Ławrow zapytał o NATO, Bezuaszwili odpowiedział, że gruzińskie aspiracje w chwili obecnej nie stanowiły części pakietu. Dodał jednak, iż Gruzja mogła zachować dla siebie pole manewru. Oczywiście, w owym momencie strony wzajemnie sobie jeszcze nie ufały. Najbardziej podstawowy poziom zaufania można jednak było zbudować poprzez wspólne rozwiązanie kilku konkretnych problemów.

Kluczową sprawą było jednak to, kto miał rządzić Osetią Południową. Gruzini nie ukrywali, że nie chcieli widzieć w tej roli Kokojty'ego. Nie naciskali jednak również, aby zastąpił go Sanakojew. Zamiast tego proponowali monitorowane przez międzynarodowych obserwatorów wybory oraz umożliwienie udziału w nich różnym południwoosetyjskim przywódcom i ugrupowaniom. Strona gruzińska była gotowa zamienić przedstawiony pakiet w traktat rozwiązujący kwestie granic, przypominający traktat z Karsu zawarty między Turcją i Związkiem Radzieckim w 1921 roku. Był to jeden z tych rzadkich przypadków w historii prawa międzynarodowego, w którym lokalne struktury administracyjne jednego państwa były chronione przez umowę, zawartą z innym państwem. Gruzja proponowała więc Rosji zabranie głosu w kwestii prawnej dotyczącej jej wewnętrznych relacji z Osetią Południową.

Według relacji Bezuaszwilego rozmowa przebiegała w bardzo dobrej, otwartej atmosferze, a minister Ławrow słuchał uważnie i zadawał wiele pytań. Pod koniec kolacji zapewnił, że przekaże odpowiedni raport Putinowi dokładnie opisujący całą propozycję, nie będzie jednak rekomendował swojemu zwierzchnikowi żadnej linii

działania. Było to coś – mówił – o czym Putin, mający przybyć do Stambułu nazajutrz, z pewnością chciałby zdecydować osobiście. Następnego dnia jednak szczegóły gruzińskich propozycji wyciekły do rosyjskiej prasy. Kiedy Bezuaszwili pokazał Ławrowowi doniesienia prasowe, rosyjski minister był równie zaskoczony i wściekły, jak jego gruziński rozmówca. Wyciek był jednoznaczny z udaremnieniem całego planu, bowiem Kokojty podjął natychmiastowe działania mające na celu wzmocnienie swojej pozycji. W Tbilisi spekulowano później, że rozmowa została podana do publicznej wiadomości przez Rosyjskie Służby Federalne, odpowiadające za bezpieczeństwo rozmów telefonicznych wysokich urzędników administracji publicznej. Rozmowa między oboma ministrami musiała więc zostać nagrana, a następnie udostępniona prasie. Uniemożliwiono w ten sposób realizację całego planu<sup>66</sup>.

Mimo to w Tbilisi wierzono dość powszechnie, że Moskwa prędzej czy później zrezygnuje z Osetii Południowej i będzie zainteresowana zawarciem porozumienia. Konflikt był po prostu zbyt sztuczny, a prowincja, której dotyczył – zbyt mała. Gruzja wdrażała już strategię mającą podważyć zaufanie samych Południowoosetyjczyków do ich lokalnego rządu. Ta linia działania zaczynała nawet przynosić pierwsze efekty. Podczas moich wielu wizyt w regionie, w rozmowach dotyczących „zamrożonych konfliktów” wyraźnie wyczuwało się zupełnie inne podejście do kwestii Osetii Południowej niż do Abchazji. Gruzini byli generalnie optymistycznie nastawieni do możliwości rozwiązania konfliktu południowoosetyjskiego i wierzyli, że czas działał na ich korzyść.

Rzecz wyglądała zupełnie inaczej w przypadku Abchazji. Prowincja ta miała większe znaczenie i była twardszym orzechem do zgryzienia. Sam konflikt był o wiele bardziej krwawy i pozostawił głębsze rany. Również pod względem geograficznym region, którego dotyczył, był mocniej odizolowany – Gruzini nie mieli do Abchazji łatwego dostępu. Gra toczyła się o wyższą stawkę, a możliwości eskalacji konfliktu były znacznie większe. Ponadto Tbilisi nie miała wypracowanej strategii wobec prowincji ani nie uważała, że czas działał na jej korzyść. Gruzini mieli gotowe plany na wypadek konfliktu zbrojnego z Osetią Południową, ale nie byli przygotowani na taką ewentualność w Abchazji.

Pomimo nalegań ze strony Waszyngtonu, aby odłożyć całą sprawę na półkę, w kwestii Abchazji Saakaszwili miał problem z zachowaniem cierpliwości. Latem 2007 roku pomógł nawet wypromować przebój o tym, jak Gruzini usiłują odzyskać Abchazję. Samoloty gruzińskich linii lotniczych nazywano nazwami abchaskich miast – samolot, którym zwykł podróżować sam Saakaszwili, ochrzczono jako „Suchumi”. Rozwiązanie zbrojne całej kwestii wchodziło w rachubę. I to właśnie wokół sprawy Abchazji stopniowo narastało napięcie wiosną i latem 2008 roku, kiedy to obie strony znalazły się na krawędzi wojny.

Na horyzoncie pojawiały się również inne sygnały ostrzegawcze. Jesienią 2007 roku Bezuaszwili spotkał się z Ławrowem przy butelce szkockiej whisky w Nowym Jorku, przy okazji corocznego Zgromadzenia Generalnego ONZ. Panowie rozmawiali otwarcie na temat narastających napięć w stosunkach między Rosją i Gruzją. Mówili o ryzyku wybuchu wojny między tymi państwami, jak również o tym, że wkrótce sami, jako ministrowie

spraw zagranicznych, mogą znaleźć się we wrogich sobie obozach. Jak można było odwrócić ten niekorzystny bieg wydarzeń? Według relacji Bezuaszwilego, Ławrow powiedział mu, że Rosja nigdy nie pozwoli na to, aby Gruzja zintegrowała się z Zachodem i została członkiem Sojuszu Północnoatlantyckiego. W Moskwie obawiano się po prostu jednoznacznego z takim ruchem osłabienia rosyjskiej pozycji na południowym i północnym Kaukazie. Bezuaszwili przekonywał, że w istocie sytuacja miała się dokładnie odwrotnie i że Moskwa będzie mogła czerpać zyski z integracji Gruzji z Zachodem oraz prawdziwej stabilności politycznej, do jakiej by ona doprowadziła. Ławrow – mówiąc kolokwialnie – nie kupował jednak tych argumentów. Gruziński minister spraw zagranicznych wyszedł więc ze wspomnianego spotkania pełen obaw, że jego kraj czekało zderzenie z Rosją.

## Precedens kosowski

**D**plomacja ma swój odpowiednik przysięgi Hipokratesa – przede wszystkim nie szkodzić. Przywódcy i dyplomaci, podobnie jak lekarze, muszą mieć świadomość konsekwencji, zamierzonych bądź niezamierzonych, do jakich doprowadzić mogą ich działania i decyzje. Innymi słowy, chodzi o to, by zdawali sobie sprawę z tego, jak działania dyplomatyczne prowadzone w sprawie jednego regionu wpływają na inny region – i o to, aby w razie konieczności dokonywali zmian w owych działaniach lub ograniczali wiążące się z nimi ryzyko. Zasada niezamierzonych konsekwencji w polityce działa dokładnie tak samo, jak we wszystkich innych sferach życia.

Kiedy wiosną 2008 roku zachodni dyplomaci uznali niepodległość Kosowa, nie zastosowali się do wspomnianej zasady, walnie przyczyniając się do zaognienia sytuacji w Gruzji. Wspierano sprawę niepodległości Kosowa, nie podejmując jednocześnie żadnych kroków mających uspokoić sytuację w objętych konfliktami regionach państwa gruzińskiego. Do wybuchu wojny przyczyniła się również postawa państw zachodnich wobec formułowa-

nych przez Ukraińców i Gruzinów propozycji stworzenia dla nich MAP-u wejścia do NATO, co zostało zaproponowane na szczycie w Bukareszcie. W żadnym z tych przypadków intencją Stanów Zjednoczonych czy Europy nie było osłabienie Gruzji. Problem tkwił w tym, że nie doceniono ryzyka, z jakim wiązały się podejmowane decyzje. Co więcej, wspomniane państwa nie były przygotowane na reakcję Moskwy na zaistniały kryzys i jej decyzję o przystąpieniu do działań przeciwko Tbilisi.

Zajmując się kwestią Kosowa, zarówno Stany Zjednoczone, jak i Unia Europejska nie łączyły tego, co działo się na Bałkanach z tym, co mogło się wydarzyć na południowym Kaukazie. Byliśmy nazbyt optymistyczni wierząc, że można oddzielić od siebie te sprawy i rozpatrywać je osobno. Bałkany z oczywistych względów stanowiły dla Zachodu priorytet, a to oznaczało, że rozwiązanie sprawy Kosowa było jednym z głównych zmartwień jego polityki. Gruzja musiała godzić się z konsekwencjami decyzji podejmowanych w sprawie tego obszaru. Poza zapewnieniami, że Kosovo nie stanie się precedensem umożliwiającym podgrzewanie do stanu czerwoności innych „zamrożonych konfliktów”, nie podjęto żadnych działań, aby obie sprawy potraktować jako pewną szerszą całość. Politycy Zachodu nie doceniali po prostu tego, jak głęboka była rosyjska niechęć wobec Kosowa ani jak szybko Moskwa gotowa była odwzajemnić posunięcia państw zachodnich.

Decyzja Zachodu o uznaniu niepodległości Kosowa i zignorowaniu rosyjskich obiekcji mogła być słuszna z punktu widzenia polityki stosowanej wobec samego Kosowa lub nawet całego regionu. Stany Zjednoczone oraz ich główni europejscy sojusznicy mieli z pewnością

dobrze powody, by popierać niepodległość Kosowa. Mięła już przecież cała dekada, od kiedy NATO podjęło się interwencji zbrojnej mającej na celu powstrzymanie dokonywanych przez Serbów czystek etnicznych, podczas której obalony został Milošević. Wtedy to również zaczęto podejmować wysiłki dyplomatyczne zmierzające do ustalenia statusu Kosowa. Również ja sam wspierałem uznanie niepodległości Kosowa przez państwa zachodnie. Pragnienie, aby przeciąć wreszcie ten gordyjski węzeł i doprowadzić do rozwiązania całej sprawy po wielu latach bezskutecznych prób, było z całą pewnością zrozumiałe. Nie na tym polegał problem.

Chodziło raczej o to, że Zachód nie stworzył żadnego planu „B”, który pozwoliłby zapanować nad konsekwencjami, jakie tak zarysowana polityka miała dla sytuacji w Gruzji. Podjęcie wspomnianego kroku uczyniło sytuację w Abchazji i południowej Osetii znacznie bardziej niestabilną w momencie, gdy napięcie i tak było już tam bardzo wysokie. Z czysto dyplomatycznego punktu widzenia przedstawiana przez państwa zachodnie argumentacja mówiąca o wyjątkowości Kosowa była kijem o dwóch końcach – „wyjątkowy” przypadek na Bałkanach musiał prowadzić do znajdowania kolejnych „wyjątkowych” przypadków w innych częściach świata. Jeżeli Zachód mógł sobie pozwolić na bezkarne działanie wbrew oczekiwaniom Moskwy na Bałkanach, Kreml chciał pokazać, że również mógł sobie pozwolić na bezkarne działanie – z tym, że na obszarze południowego Kaukazu. Wszystko to osłabiało pozycję Tbilisi, dając Moskwie do ręki pretekst, który pomógł doprowadzić do eskalacji zbrojnej i wybuchu wojny 7 sierpnia. Po tym, jak Zachód

uznał wstępnie niepodległość Kosowa, rosyjscy przywódcy zupełnie otwarcie oświadczyli swoim gruzińskim partnerom, że poniosą oni konsekwencje polityki państw zachodnich wobec Kosowa. I tak też się stało.

W efekcie nie istniały żadne plany strategii prewencyjnej ani nie było żadnych istotnych sił w terenie czy dyplomatycznych połączeń z Zachodem, które mogłyby ochronić Tbilisi przed tym, co miało się zdarzyć, lub chociaż ograniczyć skalę negatywnych konsekwencji. Wszystko, czym dysponowała Tbilisi, sprowadzało się do dyplomacji. Hazardowe posunięcia nie mogły się udać. Moskwa miała zamiar zrealizować swoje ostrzeżenia – i podjęła w tym celu odpowiednie działania. Nie stworzono po stronie Zachodu żadnej strategii chroniącej Gruzję przed takim scenariuszem wydarzeń. Sami Gruzini nie mieli zaś zbyt wielu kart w tej grze, dzięki którym mogliby doprowadzić do zmiany sytuacji i uniknąć konsekwencji polityki prowadzonej przez państwa zachodnie w innym regionie świata. Zachód mógł tymczasem podjąć kroki zapobiegające takiemu rozwojowi wydarzeń, jaki faktycznie miał później miejsce. Należało ostrzec najwyższe władze w Moskwie, że jakiegokolwiek działania odwetowe przeciw Gruzji, stanowiące odpowiedź na uznanie niepodległości Kosowa, będą uznane za niedopuszczalne i doprowadzą do poważnych konsekwencji w relacjach Rosji ze Stanami Zjednoczonymi, Unią Europejską oraz NATO.

Zarówno Stany Zjednoczone, jak i Unia Europejska mogły również zabiegać o natychmiastowe rozszerzenie obecności obserwatorów międzynarodowych ONZ bądź OBWE w dążących do separacji prowincjach. Znacznie ułatwiłoby to kontrolę nad toczącymi się tam wydarze-

niami. Rozszerzenie obecności obserwatorów międzynarodowych oznaczałoby nie tylko zwiększenie przejrzystości wydarzeń w regionie, ale pomogłoby również zmniejszyć znaczenie decyzji dotyczącej Kosowa oraz ograniczyć wpływ Rosji na całą sytuację. Stany Zjednoczone i Europa mogły ponadto przyjąć bardziej asertywną postawę i pomagać się, aby rozwiązaniem wspomnianych konfliktów zajęto się w ramach swych działań ONZ. Dokładnie w ten sposób państwa zachodnie zachowały się w kwestii Kosowa dziesięć lat wcześniej. Zachód nie podjął jednak ani kroków mających na celu powstrzymanie Rosji, ani nie postarał się o zmianę sytuacji w separatystycznych prowincjach. Uchroniłoby to Tbilisi przed niepożądanymi skutkami decyzji zachodnich państw w kwestii Kosowa.

W Bukareszcie członkowie NATO starali się znaleźć rozsądny kompromis, który zapobiegłby powstaniu wewnętrznych podziałów w sprawie poszerzenia jako takiego, w szczególności zaś stworzenia MAP-u dla przyszłego członkostwa Gruzji i Ukrainy. Kompromis został w końcu osiągnięty i polegał na bezprecedensowej deklaracji politycznej mówiącej, że wspomniane kraje staną się któregoś dnia członkami Sojuszu Północnoatlantyckiego. Takie rozwiązanie odpowiadało potrzebom różnych państw w ramach samego Sojuszu, który nie był co do dalszego poszerzania jednorodny. Udało się zatem zapobiec powstaniu głębszych politycznych podziałów w kwestii Gruzji i Ukrainy. Członkowie Sojuszu liczyli na to, że udało im się z jednej strony wyjść naprzeciw oczekiwaniom Kijowa i Tbilisi, z drugiej zaś – nie zantagonizować zbyt mocno Rosjan i Putina, który ostro sprzeciwiał się stworzeniu dla obojga krajów MAP-u członkostwa w Sojuszu.

To jednak, co tak znakomicie prezentowało się w teorii i co odpowiadało rozbieżnym oczekiwaniom wielu kluczowych państw członkowskich NATO, doprowadziło do zupełnie odmiennych reakcji w samej Moskwie. Zachowanie Putina podczas szczytu oraz jego komentarze na temat zachodnich przywódców, w tym prezydenta Busha, sugerowały wyraźnie, że Moskwa wyciągnęła z zaistniałej sytuacji wnioski przeciwne do tych, których spodziewały się państwa NATO. Rosjanie uznali, że perspektywa przyjęcia Gruzji do struktur Sojuszu była dla nich groźna, bo całkiem realna, choć jednocześnie, ze względu na spore różnice poglądów w tej kwestii w samym Sojuszu, nie spodziewali się zmaterializowania tej wizji w najbliższej przyszłości. Dlatego też powzięli decyzję, by jak najszybciej przystąpić do działania, zanim będzie zbyt późno i proces integracji Gruzji z Zachodem stanie się nieodwracalny. Innymi słowy, zamiast uspokoić Rosjan, zawarty w ramach NATO kompromis jedynie ich rozjuszył. Podobnie jak w przypadku Kosowa to, co wydarzyło się w Bukareszcie, sprowokowało Rosję do podjęcia działań, których efektem była wojna w Gruzji w sierpniu 2008 roku.

Już w połowie 2006 roku było oczywiste, że polityka Moskwy w kwestii Kosowa ulegała stopniowemu zaostreniu, a założenie, że Rosja nie okaże się przeszkodą w rozwiązywaniu tej kwestii, było błędne. Zmiany te stanowiły element szerszej transformacji, do jakiej doszło w rosyjskiej polityce zagranicznej. Polegały one na przyjmowaniu znacznie bardziej zdecydowanej niż dotąd postawy w wielu kwestiach dotyczących Europy. Ani Stany Zjednoczone, ani Unia Europejska nie traktowały jednak

poważnie napływających z Moskwy ostrzeżeń mówiących, że przystąpi ona do działań przeciwko Gruzji, jeżeli państwa zachodnie uznają niepodległość Kosowa. Wszyscy byli przekonani, iż Rosja blefuje. Zachód nie był gotowy na podjęcie ryzyka dalszego braku stabilizacji w Kosowie. Nie chciano ponownie odsuwać w czasie decyzji o uznaniu jego niepodległości. Zdecydowano się więc na podjęcie świadomej gry zakładając, że rosyjskie groźby nie miały pokrycia w rzeczywistości, a w konsekwencji uznając, że można było zmierzać do rozwiązania sprawy Kosowa bez obawy o niepożądane konsekwencje, jakie taki ruch mógł spowodować w Gruzji.

Historia wzajemnych powiązań konfliktów w Kosowie z jednej, a w Abchazji i Osetii Południowej z drugiej strony to skomplikowana epopeja dotycząca prawa międzynarodowego, zmieniających się priorytetów politycznych państw zachodnich, jak również dynamicznej ewolucji odrodzonej, dążącej do rywalizacji ze Stanami Zjednoczonymi i Europą Rosji. Zazwyczaj w mniejszym stopniu chodziło zresztą o meritum sprawy, większy wpływ na nią wywierały zewnętrzne uwarunkowania stosunków między Zachodem i Rosją. Dziesięć lat wcześniej konflikt w Kosowie doprowadził do najpoważniejszego zapewne kryzysu (ale również do momentów najściślejszej wzajemnej współpracy) między obiema stronami od końca zimnej wojny. Dramat politycznych i dyplomatycznych wysiłków, które miały na celu powstrzymanie czystek etnicznych rozpoczętych przez serbskiego dyktatora Slobodana Miloševicia, osiągnął swój punkt szczytowy podczas NATO-wskiej interwencji zbrojnej, przeplatany był jednocześnie przykładami ścisłej współpracy z Rosją.

NATO-wska decyzja o powstrzymaniu czystek etnicznych w Kosowie i brutalnej kampanii Miloševića spowodowała rozbudzenie największych obaw Rosji co do prawdziwych intencji państw zachodnich oraz strategii, którą się one kierowały. Problem z rosyjskiego punktu widzenia polegał na tym, że po raz kolejny Stany Zjednoczone zachowywały się w taki sposób, jak gdyby miały prawo narzucać swoją wolę światu – wywierając nacisk na innych członków Rady Bezpieczeństwa NATO, powołując państwa członkowskie pod broń, wreszcie zmuszając OBWE do działania. Po wydarzeniach w Bośni z 1995 roku poszerzone siły Sojuszu Północnoatlantyckiego dokonywały teraz bombardowań ortodoksyjnych Serbów – narodu, który był niegdyś bliskim sojusznikiem Rosjan i pozostawał oczkiem w głowie rosyjskich panslawistycznych nacjonalistów. Sprawę dodatkowo pogarszał fakt, że NATO przystąpiło do działań bez mandatu Rady Bezpieczeństwa ONZ, demonstrując w ten sposób, iż ewentualne rosyjskie weto było pozbawione znaczenia. Wszystko to dla Rosjan sprawiało wrażenie amerykańskiego ekspansjonizmu, przebranego jedynie dla niepoznaki w szaty interwencji o charakterze humanitarnym. NATO odgrywało w ich oczach rolę globalnego policjanta.

Konflikt wokół Kosowa z końca lat 90. obudził więc najgorsze, uspięne dotąd demony rosyjskich teorii spiskowych. Bardzo niewielu Rosjan wierzyło w to, że Zachód faktycznie działał powodowany względami humanitarnymi czy że NATO chciało zaangażować się w sprawę tak mało istotnego z jego punktu widzenia miejsca, jak Kosowo, i nie było to częścią jakiegoś znacznie szerszego planu. Bardzo wielu Rosjan widziało natomiast w pro-

blemie Kosowa złowróżbną analogię do problemu Czeczenii. Podobnie jak Czeczenia, Kosowo było prowincją zamieszkałą przez muzułmańską większość, znajdującą się na granicy państwa o większości słowiańskiej. Podobnie jak w Czeczenii, aż kipiało tam od separatystycznych nurtów. Choć może brzmi to absurdalnie, im bliżej podjęcia decyzji z wiosny 1999 roku o interwencji w Kosowie znajdował się Sojusz Północnoatlantycki, tym chętniej rosyjscy politycy, wojskowi i komentatorzy spekulowali, iż wojna ta miała być jedynie rozgrzewką przed wojną z Rosją w imię obrony praw człowieka w Czeczenii. Rosyjscy przywódcy bez zbędnych ogródek ostrzegali, że jeżeli Moskwa zgodzi się na interwencję w Kosowie, prędzej czy później sama padnie ofiarą logiki, przy pomocy której tę interwencję uzasadniano. Ani miejsce w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, ani powstające właśnie więzi z NATO nie mogły być gwarancją powodzenia w zawetowaniu działania Stanów Zjednoczonych.

Tak więc sprawa Kosowa stała się dla Moskwy niezwykle drażliwa. Dotykała bezpośrednio wszystkich obaw, które w Rosji żywiono w związku z ekspansją NATO. W owych czasach nie byłem wprawdzie pracownikiem amerykańskiego Departamentu Stanu, miałem jednak okazję zobaczyć na własne oczy, jak głębokie były namiętności powodujące Rosjanami przy roztrząsaniu kwestii Kosowa. Kiedy NATO rozpoczęło swoje bombardowania w marcu 1999 roku Rosjanie zamrozili bądź zerwali praktycznie wszystkie więzi łączące ich z Zachodem, nie licząc kilku wyjątków. Do owych wyjątków należały konsultacje, które miałem przeprowadzić w Moskwie z zastępcą ministra spraw zagranicznych, Jewgienijem Gusarowem,

na temat karty OBWE. Kiedy dotarłem z lotniska do rezydencji ambasadora USA, określanej potocznie jako „Spaso House”, okazało się, że wejście do niej zostało zablokowane przez tuzin samochodów policyjnych. Udało mi się przejść przez korytarz bezpieczeństwa. Zobaczyłem wówczas ambasadora Jima Collinsa wpatrzonemu w strzałę wystającą z jednej z zewnętrznych ścian Spaso. Ambasador wyjaśnił mi, że człowiek na koniu, ubrany niczym Aleksander Newski, zaledwie przed kilkoma minutami zaatakował rezydencję, strzelając z łuku. Protestował w ten sposób przeciwko NATO-wskiej interwencji.

Punkt widzenia państw zachodnich był oczywiście zupełnie inny. NATO zdecydowało się na interwencję i przystąpiło do wojny z wielką niechęcią, nie widząc innego sposobu na powstrzymanie czystek etnicznych i rzezi mieszkańców Kosowa dokonywanych przez brutalną armię Miloševicia. Sojusz działałby również w oparciu o mandat Rady Bezpieczeństwa ONZ, gdyby Federacja Rosyjska nie zagroziła, że zawetuje projekt interwencji. To, co dla Moskwy było pokazem imponującej siły militarnej Zachodu, od środka wyglądało zupełnie inaczej – oto podzielony Sojusz desperacko starał się zapobiec pogłębieniu wewnętrznych podziałów, prowadząc jednocześnie wojnę z wyjątkowo przebiegłym przeciwnikiem i mając *de facto* skrupowaną jedną rękę. Nie był to więc pokaz militarnej potęgi. Przeciwnie, dla bardzo wielu osób podjęta przez NATO kampania była dowodem jego bojaźliwości i niezdolności do podejmowania trudnych decyzji.

Z perspektywy dziesięciu lat trudno jest zdać sobie sprawę z tego, jak niewiele brakowało, aby Rosja i NATO wdały się w bezpośrednią konfrontację zbrojną w związku

z kwestią Kosowa. Swoiste zapasy między dyplomatami obydwu stron nie dotyczyły przecież jedynie problemu, jak położyć kres toczącej się na Bałkanach wojnie. Punktem spornym było to, gdzie dokładnie i na jakich zasadach oddziały rosyjskie miały zostać włączone do prowadzonej przez NATO operacji wojskowej. Moskwa zgodziła się wprawdzie w końcu na propozycje państw zachodnich, ale grupa „jastrzębi” w rosyjskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych w ostatniej chwili i tak próbowała zaskoczyć Zachód dokonaniem potajemnego uderzenia na małe, ale posiadające spore znaczenie strategiczne lotnisko Slatina. Mogło to doprowadzić do podziału w siłach pokojowych, a w dalszej konsekwencji, również do starć zbrojnych między NATO a Rosją. Oddziałom Sojuszu Północnoatlantyckiego udało się przeprowadzić akcję wyprzedzającą, zając lotnisko i tym samym uniemożliwić ewentualną konfrontację. Niemniej jednak zagrożenie w postaci starcia zbrojnego NATO i Rosji było realne. Nigdy od czasów zimnej wojny obie strony nie znajdowały się tak blisko konfliktu.

Moskwa często zdawała się jednak bardziej zainteresowana nie tyle sytuacją panującą w regionie, ile symboliką – powstającym wrażeniem, że Zachód mógł podejmować kluczowe decyzje w sprawach europejskiego bezpieczeństwa bez jej udziału. Wewnętrzne reperkusje NATO-wskiej interwencji wzmocniły znacząco antyzachodnie nurty polityczne, a nawet zachwiały kruchymi podstawami, na jakich opierał się rząd Borysa Jelcyna. Koniec końców Rosja przyłączyła się wprawdzie do całej operacji i pomogła państwom zachodnim w zmuszeniu Miloševicia do zaakceptowania przedstawionych mu warunków

w zamian za przerwanie bombardowania. Nie nastąpiło to jednak bez uprzednich tarć, kryzysu konstytucyjnego w samej Rosji oraz kilku przypadków, w których zbuntowani rosyjscy generałowie ignorowali rozkazy otrzymywane od cywilnego dowództwa. Pomimo rozpoczęcia wojny po drastycznym sprzeciwie Federacji Rosyjskiej do jej szczęśliwego zakończenia doszło w dużej mierze dzięki temu, że prezydent Borys Jelcyn oraz jego specjalny przedstawiciel, Wiktor Czernomyrdin, zdecydowali się w końcu zignorować nawoływania radykałów wewnątrz kraju do podjęcia zdecydowanych działań przeciwko państwu Zachodu i przyłączyli się do amerykańskiej i NATO-wskiej polityki wywierania presji na Miloševiću<sup>67</sup>. Wojna w Kosowie w 1999 roku była więc zarówno najpoważniejszym kryzysem stosunków międzynarodowych w Europie po zimnej wojnie, jak i spektakularnym przykładem tego, jak wiele mogła zdziałać skuteczna współpraca między Stanami Zjednoczonymi a Rosją. Niemniej jednak podczas gdy Zachód przeszedł nad tym, co miało miejsce, do porządku dziennego, po stronie rosyjskiej rany nigdy się nie zagoiły, a poczucie goryczy – pozostało. Doradcą Jelcyna w kwestiach bezpieczeństwa narodowego był w owym czasie były oficer KGB, niejaki Władimir Putin, który brał bezpośredni udział w niektórych działaniach dyplomatycznych tego gorącego okresu, w tym w próbach zajęcia lotniska Slatina przed przybyciem wojsk Sojuszu Północnoatlantyckiego. Jeszcze przed końcem 1999 roku Jelcyn ustąpił ze stanowiska, a Putin został nowym prezydentem Federacji Rosyjskiej.

Chociaż Rosja była później w pełni zaangażowana w posiadające legitymizację ONZ działania mające na

celu polityczną odbudowę Kosowa, a także uczestniczyła w operacjach sił pokojowych NATO, nie zapomniała o swoich przykrych doświadczeniach. W NATO-wskiej interwencji w Kosowie Moskwa widziała niebezpieczny dla siebie precedens, polegający na tym, że państwa Sojuszu przystępowały do działań zbrojnych bez otrzymania mandatu ONZ. Było to równoznaczne z podważeniem siły weta, jaką dysponowała Rosja w Radzie Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych. Szybko więc idea współpracy z Moskwą na Bałkanach okazała się pozbawiona odpowiedniego oparcia. Brakowało również politycznej woli. Dziedzictwo Kosowa, podobnie jak wcześniej w przypadku Bośni, okazało się więc głęboko niejednoznaczne. Z rosyjskiego punktu widzenia Kosowo pozostało oczkiem w głowie rodzimych nacjonalistów – stanowiąc od teraz dodatkowo symbol rosyjskiej niemocy w jej relacjach z Zachodem z czasów Borysa Jelcyna. Stało się przykładem lekceważenia rosyjskiego państwa, które musiało zostać pomszczone, by sytuacja już nigdy się nie powtórzyła. Niektórzy analitycy utrzymują nawet, że operacja NATO w Kosowie miała większy wpływ na zmianę stosunku do Sojuszu Północnoatlantyckiego w Rosji, aniżeli samo poszerzenie jego struktur, oraz że wyznacza symboliczny koniec okresu wzajemnej współpracy między Rosją i Zachodem w okresie pozimnowojennym<sup>68</sup>.

Po pozbyciu się Miloševicia latem 1999 roku Zachód nie był jeszcze gotowy na to, by oficjalnie wspierać aspiracje niepodległościowe Kosowa. Rezolucja ONZ numer 1244 uznała suwerenność serbską, jednocześnie ustanawiając w Kosowie specjalną misję, której zadaniem było stworzenie podstaw dla przyszłego rządu. Brakowało jed-

nak jednoznacznego rozstrzygnięcia sprawy przyszłego statusu Kosowa w wymiarze *stricte* politycznym<sup>69</sup>. NATO przystąpiło przecież do wojny, aby powstrzymać czystki etniczne, a nie w celu uczynienia z Kosowa niepodległego państwa, chociaż bardzo wiele osób wyrażało w owym czasie wątpliwości, czy Serbowie i Kosowianie będą potrafili w ogóle współtworzyć jedno państwo. Wśród wielu polityków w Waszyngtonie oraz w stolicach europejskich rozpowszechniony był pogląd, że to przyszłość Serbii stanowiła klucz do rozwiązania całego problemu. Bez demokratycznej i politycznie stabilnej Serbii niemożliwe było ich zdaniem zbudowanie zjednoczonej, wolnej i pokojowej Europy. Nagrodą za podejmowane trudy miała więc być demokratyczna, rozwijająca się gospodarczo Serbia, która z czasem stałaby się członkiem Unii Europejskiej oraz NATO. Problem polegał na uzgodnieniu tych dążeń z pragnieniem niepodległości Kosowa.

Wydawało się, że istnieje jeden sposób na wyjście z tego błędnego koła. Serbia uwolniona od Miloševicia i demonów nacjonalizmu mogła – jak wierzono – uznać istnienie niepodległego Kosowa. Stany Zjednoczone i Europa liczyły na to, że owa nowa, postmilošewiczowska Serbia dojdzie do jakiegoś porozumienia z władzami w Kosowie bądź też zrezygnuje z uporu w tej sprawie, gdy tylko zauważy, że cały problem przeszkadza jej tylko *de facto* w dalszym rozwoju. Innymi słowy, nadzieja tkwiła w porzuceniu przez Serbię kwestii Kosowa i, zamiast tego rozwiązania, w decyzji zbliżenia się z Unią Europejską oraz NATO.

W pierwszych latach po wojnie w Kosowie państwa zachodnie przyjęły politykę „najpierw standardy, potem status”, licząc na to, że demokratyczne przemiany

w Serbii doprowadzą do pożądaných zmian w jej polityce zagranicznej. Oznaczało to zwiększenie ochrony Kosowa, w szczególności zaś ściślejsze przestrzeganie praw mniejszości. Jednocześnie dawano Belgradowi czas na dokonanie demokratycznej transformacji oraz rozważenie plusów i minusów, które wiązały się z planami zdominowania Kosowa. Zachęcano również Unię Europejską, aby zacieśniła swoje relacje z Serbią, oferując jej perspektywę członkostwa w zamian za postępy w ściganiu zbrodniarzy wojennych oraz rozsądne rozwiązanie kwestii Kosowa. Równocześnie, Organizacja Narodów Zjednoczonych starała się przygotować rozwijające się instytucje państwa kosowskiego na sytuację, w której Serbowie nie zgodzą się jednak na roszczenia Kosowa dotyczące niepodległości, a ta zostanie im przyznana bez zgody Belgradu.

Polityka ta napotkała kilka poważnych przeszkód w 2003 i 2004 roku. Pierwszą było zamordowanie w marcu 2003 Zorana Djindzicia – tego właśnie spośród serbskich polityków, który był najbardziej zdeterminowany przeprowadzić niezbędne reformy wewnętrzne i który dostrzegał również długookresowe korzyści, z jakimi wiązało się zaakceptowanie daleko posuniętej autonomii bądź nawet niepodległości Kosowa. Druga przeszkoda pojawiła się w samym Kosowie, gdzie w marcu 2004 roku doszło do antyserbskich zamieszek. Mocno nadszarpnęły one wiarę Serbów w to, że państwa zachodnie będą zdeterminowane bronić serbskiej mniejszości w Kosowie. Co więcej, w tym czasie kwestie związane z Bałkanami straciły na znaczeniu w polityce międzynarodowej, gdyż po zamachach z 11 września 2001 roku i interwencji w Iraku Stany Zjednoczone stopniowo odwracały swoją uwagę od

Europy, na której koncentrowanie się uważano za „dziedzictwo” administracji Clintona. Wszystko to sprawiło, że idealny moment na rozwiązanie konfliktu minął, a sytuacja w regionie znalazła się w impasie.

Mimo to lata nieudanych prób zmieniły znacząco sposób, w jaki państwa zachodnie myślały o przyszłości Kosowa. Z czasem coraz mocniej zaczęto wspierać uzyskanie przez nie jakiejś formy niepodległości. Na początku swojej drugiej kadencji administracja Busha zdała sobie sprawę z tego, że jej dotychczasowa polityka w kwestii Kosowa nie sprawdziła się i należało ją zmienić. Wspólnie z partnerami z wielu państw europejskich politycy w Waszyngtonie doszli do przekonania, iż Serbowie nie byli w stanie porzucić swojej nacjonalistycznej polityki i nie byli w związku z tym zdolni pogodzić się z utratą Kosowa w przewidywalnej przyszłości. Ponieważ Belgrad przeprowadzał reformy wewnętrzne w ślamazarnym tempie, Unia Europejska nie mogła też wykorzystać przyszłego członkostwa w swoich strukturach jako realnej zachęty. Jednocześnie liczenie na to, że mieszkańcy Kosowa będą w nieskończoność czekali na uzyskanie niepodległości, groziło wywołaniem kolejnych poważnych wstrząsów w regionie.

Uzmysłowienie sobie tych faktów przez państwa zachodnie doprowadziło do podjęcia przez nie szeregu inicjatyw dyplomatycznych, mających zapewnić „miękkie lądowanie” sprawy Kosowa. Wszystko opierało się na założeniu, że społeczność międzynarodowa będzie w stanie odpowiednio zarządzić procesem warunkowego uznania niepodległości Kosowa. Nie chciano ryzykować jednostronnej deklaracji, która z łatwością mogła zaognić i tak napiętą sytuację w regionie. Aby osiągnąć ten cel, państwa

zachodnie gotowe były na daleko posuniętą współpracę z Rosjanami oraz na liczne ustępstwa na ich korzyść, co pozwoliłoby na rozwiązanie problemu Kosowa w ramach Organizacji Narodów Zjednoczonych. Zachód nie był przygotowany na ryzyko destabilizacji sytuacji w regionie. Okazał się jednak gotów na wzięcie lwiej części odpowiedzialności za to, co działo się w samym Kosowie. Zwłaszcza Unia Europejska zaoferowała przejście odpowiedzialności z rąk ONZ, chcąc odegrać kluczową rolę w rozwiązywaniu całego konfliktu, aby z czasem móc zintegrować wspomniane kraje ze swoimi instytucjami. USA i Europa zamierzały blisko współpracować w tym wymiarze z Rosją, spodziewały się jednak, że w którymś momencie Moskwa sama zwróci się do nich w tej sprawie.

Tymczasem Belgrad i Moskwa zmierzały w dokładnie przeciwnym kierunku. Rząd serbski odebrał zmianę polityki państw zachodnich jako ruch prokosowski. W czerwcu 2006 roku jego przedstawiciele podjęli ostatnią próbę przekonania Waszyngtonu i głównych stolic europejskich do przyjęcia innego planu działania. Chodziło o oparcie się na władzach komunalnych w samym Kosowie, by następnie móc wprowadzać kolejne zmiany metodą małych kroków. W Europie i USA odrzucono ten projekt jako spowalniający rozwiązanie konfliktu. W efekcie, Serbowie zrezygnowali z mediacji Waszyngtonu i zwrócili się do Moskwy, aby ta poparła ich stanowisko. W tym właśnie czasie Putin przekierowywał rosyjską politykę na nowe, bardziej autokratyczne i nacjonalistyczne tory i z chęcią przyjął prośbę Belgradu. Opływający w petrodolary rosyjski przywódca zamierzał odbudować potęgę rosyjskiego państwa zarówno w polityce wewnętrznej, jak i między-

narodowej, oraz zrewanżować się za gorzkie doświadczenia lat 90. Bałkany w oczywisty sposób nie znajdowały się w strefie „bliskiego sąsiedztwa” Rosji, na którym Putin koncentrował swoje działania, niemniej jednak Moskwa i tak miała w regionie swoje interesy i zamierzała ich bronić. Jej celem było pokazanie państwom zachodnim, że w kwestii Bałkanów nie mogły one podejmować żadnych decyzji bez jej zgody lub pomimo jej obiekcji.

Różnice i podobieństwa między konfliktami w Serbii o Kosowo i w Gruzji o Abchazję są wciąż przedmiotem gorącej debaty. W obydwu przypadkach chodziło o krnąbrne prowincje, na których czele stali separatystyczni przywódcy chcący oderwać się od rządów centralnych. W obydwu mamy zatem do czynienia z klasycznym zderzeniem między zasadą terytorialnej integralności i zasadą samostanowienia – a więc problemem, który był zmorą dla polityków i prawników od bardzo długiego już czasu. W jakich warunkach określona grupa etniczna ma prawo stworzyć odrębne państwo? Ustalenia dotyczące tego, kiedy i w jakich warunkach można w Europie dokonywać zmian granic, znajdowały się w samym sercu *Aktu końcowego* z Helsinek z 1975 roku i zostały poddane próbie ogniowej w momencie rozpadu Związku Radzieckiego i Jugosławii.

Kiedy jednak zostawimy na boku te teoretyczne podobieństwa i zbliżymy się do realiów, okaże się, że różnice między tymi konfliktami zdawały się często znacznie istotniejsze. Wystarczy wziąć pod uwagę czynniki demograficzne. W Kosowie 90-procentową większość etniczną stanowili Kosowianie. W Abchazji Abchazi stanowili mniejszość. Na początku lat 90. (a więc zanim doszło do czystek etnicznych i zanim w sprawy regionu zaangażo-

wało się zewnętrzne mocarstwo – Rosja) Gruzinów było w prowincji trzy razy więcej niż Abchazów. Podstawowa różnica tkwiła również w przyczynach obydwu konfliktów. Kosowscy Albańczycy byli dyskryminowani przez długie dziesięciolecie zanim doszło do upadku komunizmu. W byłej Jugosławii odmówiono im podstawowych praw, którymi cieszyć mogli się Słoweńcy czy Macedończycy. Abchazi, przeciwnie, korzystali z licznych przywilejów. Przykładem może być choćby fakt, że posiadali nieproporcjonalne wpływy i przedstawicielstwo w czasach Związku Radzieckiego. Przeciwwstawili się Gruzinom, gdy ci odzyskali niepodległość, ponieważ obawiali się utraty tychże wpływów i przywilejów<sup>70</sup>.

Co więcej, kosowscy i abchascy przywódcy polityczni posiadali zupełnie inne wyobrażenia na temat suwerennej władzy. Wprawdzie polityków z Kosowa ciężko uznać za modelowy przykład demokratów, niemniej jednak, przez całe lata poddawani presji ze strony Zachodu przedstawili odpowiednie pakiety zapewniające szerokie prawa serbskiej mniejszości etnicznej mieszkającej na terenie Kosowa. W przypadku Suchumi abchascy przywódcy nigdy nie uczynili niczego podobnego, ponieważ uderzyłoby to w sam fundament ich władzy. Jeszcze przed wojną znajdowali się w mniejszości, o czym wiedzieli doskonale. Rozumieli ponadto, że wyrażenie zgody na to, aby znaczące ilości gruzińskich uchodźców powróciły na teren prowincji, mogło doprowadzić do zachwiania ich władzy u samych jej podstaw. W konflikcie dotyczącym Abchazji to zatem nie Suchumi, ale Tbilisi przedstawiała propozycje daleko idącej autonomii lokalnej, równych praw oraz przyjmowania uchodźców.

Między obydwooma konfliktami istniała również istotna różnica jeśli chodzi o ich moralne uzasadnienie. Po całej dekadzie łamania praw człowieka przywódcy serbscy rozpoczęli pod koniec lat 90. kampanię czystek etnicznych skierowaną przeciw Kosowu, w rezultacie której śmierć poniosło 10 tysięcy ludzi, a około miliona zostało przesiedlonych. Społeczność międzynarodowa i NATO przystąpiły do wojny dopiero po wyczerpaniu wszelkich dostępnych możliwości działania dyplomatycznego, a serbskim przywódcom postawiono zarzuty dokonania zbrodni wojennych. Bez wątplenia Tbilisi realizowała nierozsądną, nacjonalistyczną politykę wobec Abchazji i Osetii Południowej na początku lat 90., a więc tuż po tym, jak Gruzja odzyskała niepodległość. Z pewnością ponosiła część odpowiedzialności za rozlew krwi i okrucieństwa, do jakich wtedy doszło. Nie popełniła jednak nigdy podobnych zbrodni, jak te, których dopuścili się Milošević i Serbowie. Jeżeli spojrzeć na sprawę z pewnym wyczuciem historycznej sprawiedliwości, należy podkreślić, że to Gruzini padli ofiarą przesiedleń i czystek etnicznych, kiedy Abchazom z pomocą przyszli Rosjanie.

Najistotniejsza różnica między omawianymi konfliktami tkwiła jednak w odpowiedzi na pytanie, na ile istotne były obie kwestie z punktu widzenia Zachodu oraz jaką legitymizację posiadały działania podjęte w celu ich rozwiązania. Nie było porównania między polityczną wagą przypisywaną sprawom Bałkanów a wagą kwestii południowego Kaukazu. NATO interweniowało na obszarze Bałkanów dwukrotnie, aby powstrzymać czystki etniczne. Państwa zachodnie zorganizowały jedną z najszerzej zakrojonych akcji pokojowych w dziejach, włączając w nią na początku

również Rosjan. W pewnym sensie można powiedzieć nawet, że współczesne operacje pokojowe, poparte mandatem ONZ i przeprowadzane w ramach NATO, zostały stworzone właśnie na Bałkanach. Misja Organizacji Narodów Zjednoczonych w terenie miała szerokie poparcie i faktycznie sprawowała władzę w regionie. Siły OBWE znacząco rozszerzyły swoje zdolności działania. Unia Europejska uczyniła z ekonomicznej odbudowy i integracji Bałkanów jeden z głównych priorytetów swojej powstającej właśnie wspólnej polityki bezpieczeństwa. Bałkany stanowiły więc doskonały przykład tego, jak ONZ, OBWE, Unia Europejska i Sojusz Północnoatlantycki mogły ze sobą współdziałać. Znajdowało to swoje potwierdzenie zarówno w jakości żołnierzy wysłanych w region konfliktu, jak i w ilości pieniędzy, jakie w nim zainwestowano. Wreszcie, choć nie jest to sprawa pozbawiona znaczenia, zaangażowane w spór kraje miały jasną wizję możliwości zostania z czasem członkami UE i NATO.

Po części ze względu na to, jak bardzo zaangażowany był Zachód, Kosowo od początku znajdowało się w samym centrum dyplomatycznych wysiłków, których celem stało ustalenie jego przyszłego statusu. Proces ten posiadał pełne poparcie Organizacji Narodów Zjednoczonych, miał więc pełną legitymizację międzynarodową. Podejmowanym działaniom nie towarzyszył pośpiech. Wręcz przeciwnie, o wszystkim szczegółowo dyskutowano i próbowano uwzględnić obawy wszystkich kluczowych graczy, w tym członka stałego Rady Bezpieczeństwa ONZ – Rosji. W przypadku Gruzji, Abchazji oraz Osetii Południowej było zupełnie inaczej. Nie stanowiły one ważnego priorytetu dla ONZ, OBWE, NATO czy Unii Europejskiej. Tbi-

lisi wiele traciła na tym braku zainteresowania. W przeciwieństwie do funkcji, jaką misja ONZ pełniła w Kosowie, ta w Abchazji była bardzo niewielka i nie miała żadnego wpływu na sytuację w prowincji. Jej mandat w praktyce ograniczał się do biernego obserwowania wydarzeń. Misja OBWE w południowej Osetii wyglądała zresztą dokładnie tak samo. Próby, które podejmowano w celu wzmocnienia owych misji, były blokowane przez Rosję, a czasami nawet w ogóle nie poddawano ich pod dyskusję, w obawie, że Moskwa z pewnością je odrzuci.

Dla kogoś, kto pojechał najpierw do Kosowa, a następnie do Abchazji czy południowej Osetii, różnica musiała być oczywista. Działania pokojowe w tych ostatnich prowincjach od początku nie miały szans powodzenia, ponieważ dominującą rolę odgrywała w nich Rosja, sama *de facto* zaangażowana w spór jako jedna ze stron. Unia Europejska i NATO poświęcały zaledwie część swojej uwagi i zasobów na rozwiązywanie spraw regionu. Moskwa nie miała żadnego interesu w poszerzeniu ich obecności na wspomnianych terenach. Gdyby społeczność międzynarodowa zaangażowała się w konflikty w Abchazji i Osetii Południowej z podobnym zdecydowaniem, jak miało to miejsce na Bałkanach, mogłoby nie dojść do wojny w sierpniu 2008 roku.

Nawet jeżeli Zachód nie zwracał dostatecznej uwagi na to, jakie mogły być konsekwencje rozwiązania problemu Kosowa dla południowego Kaukazu, kwestii tej z pewnością poświęcano bardzo wiele uwagi w Tbilisi. Zdawano sobie dobrze sprawę z tego, jakie skutki może mieć rozwiązanie kwestii stosunków Serbii i Kosowa dla relacji Gruzji z Abchazją. Istniały paralele między sytuacją

rządu w Tbilisi a położeniem nowych, demokratycznych władz w Belgradzie. Tak jeden, jak i drugi rząd doszedł do władzy na fali „kolorowych” rewolucji i masowego poparcia. Obydwa odziedziczyły w spadku po swoich poprzednikach konflikty, które starano się rozwiązać. Obydwa były również gotowe przyznać, iż popełniono wcześniej liczne błędy oraz zaoferować propozycje daleko idącej autonomii, aby doprowadzić do rozwiązania sporu. Zarówno w Belgradzie, jak i w Tbilisi obawiano się jednak, że tego typu kompromisowy rezultat zostanie uznany za hańbiący przez starą gwardię nacjonalistów, która będących u władzy polityków zacznie uważać za zdrajców. Dostrzegano więc ryzyko załamania raczkującej jeszcze demokracji wiążące się z kompromisowym rozstrzygnięciem wspomnianych konfliktów.

Belgrad i Tbilisi łączyło jeszcze jedno zagadnienie. Obydwie stolice zmagaly się z problemem prowincji; problemem, którego rozwiązanie leżało przede wszystkim w rękach zewnętrznych mocarstw. Pożądane rozwiązanie z punktu widzenia Tbilisi sprowadzało się do uznania szerokiej autonomii Abchazji przy jednoczesnym zachowaniu suwerenności Gruzji jako integralnego terytorialnie państwa. Z punktu widzenia Belgradu idealne rozwiązanie sprawy Kosowa sprowadzało się do tego samego. W Tbilisi brano nawet pod uwagę takie rozwiązanie, w którym Abchazja uzyskaby częściową niezależność terytorialną, w zamian za co Gruzini przejęliby w pełni te części prowincji, gdzie stanowili większość i gdzie pragnęli wracać uchodźcy. Również idea podzielenia Kosowa i oddania północnej części prowincji Serbii często była wspominana podczas dyskusji na temat możliwych sposobów rozwią-

zania konfliktów. Wreszcie, w przypadku obydwu sporów chciano doprowadzić do ich rozwikłania w tym samym mniej więcej czasie.

Saakaszwili pragnął, aby między Belgradem a stolicą Kosowa, Prisztiną, doszło do dobrowolnie zawartego porozumienia. Liczył na to, że taki pozytywny precedens pomoże w zawarciu rozsądnego kompromisu pomiędzy Tbilisi i Suchumi. Ewentualnie – taka była druga możliwość zgodna z zamysłami gruzińskiego przywódcy – dokonanie podziału terytorium pomiędzy Serbów i Kosowian mogłoby stanowić punkt odniesienia dla dalszych planów pokojowych między Gruzinami i Abchazami. Ten drugi wariant Saakaszwili sam zresztą zaproponował w czerwcu 2008 roku. Najgorszym rozwiązaniem z punktu widzenia Tbilisi było przyznanie Kosowu niepodległości. Mogło to bowiem posłużyć jako pretekst dla Moskwy, aby w podobny sposób postąpić również na innych obszarach. Saakaszwili otwarcie mówił o tych obawach przedstawicielom Stanów Zjednoczonych i Unii Europejskiej podczas wielu spotkań. Raz po raz zapewniano go jednak, że Moskwa blefuje bądź stara się stworzyć w ten sposób najdogodniejszą dla siebie pozycję do wywierania nacisku oraz że uznanie Kosowa pozostanie bez wpływu na stanowisko państw zachodnich w kwestii Gruzji.

Zdaniem Zachodu obawy Moskwy co do jej własnej integralności terytorialnej powinny posłużyć jako coś w rodzaju hamulca dla jej zapędów. Przy bardzo wielu okazjach wysocy rosyjscy dyplomaci, publicznie popierając Serbię, w prywatnych rozmowach przyznawali, że nie będą podejmowali żadnych działań zmierzających do powstrzymania tego, co i tak określali jako „nieuniknio-

ne” – niepodległości Kosowa. Zachód nie potrafił jednak należycie odczytać zmieniającej się sytuacji politycznej w Moskwie. Za sprawą Belgradu Moskwa ponownie znalazła się w samym centrum bałkańskiej rozgrywki, a kwestia Kosowa stała się ściśle związana z rosyjskimi kalkulacjami dotyczącymi Gruzji. Na początku 2006 roku Putin wyraźnie zasygnalizował zmianę w swojej polityce zagranicznej, kiedy stwierdził, że koniecznie trzeba stworzyć „uniwersalne zasady”, w oparciu o które należy następnie rozwiązać konflikty w Kosowie czy w Gruzji<sup>71</sup>.

Podczas więc gdy Rosjanie stopniowo zaostrozili prowadzoną przez siebie politykę, zachodni dyplomaci próbowali ustalić, jakie właściwie były oczekiwania Moskwy. Czy chodziło o prestiż, czy też Moskwa faktycznie chciała zablokować proces uzyskania przez Kosowo niepodległości? Twardsza linia postępowania Rosji wzmacniała również nacjonalistów w samej Serbii. Serbscy przywódcy pokroju Borysa Tadicia mieli jednak dość rozsądku by wiedzieć, że zbyt silne poleganie na Rosji było ryzykowne. Działania Moskwy nie były motywowane jej miłością do Serbii, co rozumieli doskonale, lecz chłodnymi kalkulacjami geopolitycznymi – o tym zresztą otwarcie mówiono zarówno w Belgradzie, jak i Tbilisi.

W rezultacie doszło więc do swoistych dyplomatycznych zapasów, w trakcie których Zachód z jednej strony zajmował otwartą postawę wobec Moskwy, z drugiej jednak groził podjęciem samodzielnych działań, jeżeli tylko zajdzie taka konieczność. Wierzano, że taka postawa zmusi Rosję do zawarcia kompromisu. Pierwszym krokiem w tym procesie był więc plan przedstawiony wiosną 2007 roku przez specjalnego przedstawiciela ONZ w Ko-

sowie, Marttiego Ahtisaariego. Według niego ponowna integracja Kosowa i Serbii nie wchodziła już w rachubę, dalsze administrowanie Kosowem przez społeczność międzynarodową również mogło prowadzić do destabilizacji. W efekcie, jedyną dostępną alternatywą było warunkowe i dokonane przy szerokim zaangażowaniu społeczności międzynarodowej, w szczególności zaś Unii Europejskiej, uznanie niepodległości Kosowa<sup>72</sup>.

Rosja nie zgodziła się na udział w tym przedsięwzięciu. Mimo osobistych zapewnień, jakich minister spraw zagranicznych Ławrow udzielił Ahtisaariemu pod koniec 2006 roku, o niepodejmowaniu przez Moskwę działań uniemożliwiających uzyskanie przez Kosowo niepodległości, od tego momentu Rosja *de facto* blokowała realizację wspomnianego planu. Oficjalnie zgłaszano zastrzeżenia, że Moskwa zgodziła się przecież na zasadę „najpierw standardy, potem status”, później zaś wykazała się zdolnością do kompromisu, akceptując również zasadę „standardy i status jednocześnie”. Nie zgadzała się jednak na wariant „najpierw status, potem standardy”. Po tym, jak Putin podczas szczytu G-8 w Heligendamm w czerwcu 2007 roku zaczął naciskać na wprowadzenie jednorodnych standardów, przy pomocy których rozwiązywano by „zamrożone” konflikty na Bałkanach czy na południowym Kaukazie, odpowiedzią państw zachodnich była ostatnia próba wynegocjowania kompromisu w ramach tria Stany Zjednoczone – Unia Europejska – Rosja. Chodzi o inicjatywę zaproponowaną przez francuskiego prezydenta Nicolasa Sarkozy’ego. Udział wzięło w niej trzech doświadczonych dyplomatów: Wolfgang Ischinger jako przedstawiciel UE, Frank Wisner jako reprezentant USA, po stronie rosyjskiej zaś występo-

wał Aleksandr Boczan-Charczenko. Dano im trzy miesiące na znalezienie rozwiązania. Niewiele zresztą brakowało, aby ich prace zakończyły się powodzeniem. Ischinger – korzystając z własnych doświadczeń wyniesionych ze współpracy NRD z RFN i tego, jak udało się wówczas uniknąć problemów związanych ze statusami – zaproponował kompromis, który pozwoliłby Serbii i Kosowu na zachowanie odmiennych stanowisk w kwestii samego statusu, doprowadzając jednocześnie do ich realnej współpracy na samym zapalnym terenie, co stworzyłoby podstawę dla dalszych rozwiązań. Początkowo Moskwa wydawała się akceptować tę propozycję, a rosyjscy dyplomaci sugerowali jej uszczegółowienie. W końcu jednak również i ją Rosja zdecydowała się storpedować<sup>73</sup>.

Im bardziej państwa zachodnie naciskały na przyznanie Kosowu jakiejś formy niepodległości, tym mocniej Rosja była zdeterminowana, by traktować ową kwestię jako rodzaj karty przetargowej. Szła w ten sposób pod prąd oczekiwań Zachodu. Państwa zachodnie chciały bowiem traktować Kosowo jako przypadek jedyny w swoim rodzaju, który w związku z tym nie tworzyłby w stosunkach międzynarodowych żadnych precedensów. Był to od samego początku warunek *sine qua non*, ponieważ wiele państw miało własne problemy z mniejszościami etnicznymi. Zakładano więc, że jeśli Stany Zjednoczone, Unia Europejska i Rosja będą mogły dojść do porozumienia w kwestii wyjątkowości problemu Kosowa, to faktycznie stanie się on tym samym wyjątkowy. Rosja nie zgadzała się jednak na takie postawienie sprawy. Zamiast tego starała się powstrzymać działania państw zachodnich grożąc, że uznanie przez nie Kosowa może zmusić Moskwę do

uznania innych dążących do separacji prowincji znajdujących się pod jej opieką i wpływem.

Moskwa grała twardo. Czy jednak nie blefowała? Czy nie był to sposób na zwiększenie swoich wpływów i uzyskanie korzystniejszego dla siebie porozumienia w sprawie Kosowa? Czy decyzja o przyznaniu mu niepodległości faktycznie miała stać się iskrą, która doprowadziłaby do całej serii jednostronnych deklaracji niepodległości różnych państw nie tylko na Bałkanach, ale również na Kaukazie? Z pewnością była to ryzykowna rozgrywka. Debata dotyczyła tego, co było, a co nie było precedensem z punktu widzenia prawa międzynarodowego. Podobnie jak w kwestii piękna, wszystko zależało od patrzącego<sup>74</sup>. W ostatecznym rozrachunku te szczegółowe zagadnienia nie posiadały chyba jednak decydującego znaczenia. Prawdziwe intencje Moskwy miały niewiele wspólnego z historią, sprawami natury moralnej, zasadami prawa międzynarodowego, chociaż często formułowano je w tych właśnie kategoriach.

Sześć miesięcy później Moskwa odrzuciła wszystkie wspomniane wyżej zasady i wykonała drastyczną wolte, uznając Abchazję i Osetię Południową za niepodległe państwa. Nawet przed tym jeszcze, jak Putin zaczął powoływać się na precedens kosowski, co jakiś czas groził Saakaszwilemu, że zamieni Abchazję w nowy północny Cypr – miał na myśli turecką inwazję na owe tereny z 1974 roku, w rezultacie której północna część wyspy była okupowana pod pozorem ochrony praw mniejszości. Sam ton mógł ulegać zmianie, ale groźba zaistnienia nowych faktów dokonanych w Abchazji – terenie będącym czymś w rodzaju pięty Achilleusa dla Saakaszwilego – stanowiła stały element moskiewskiej taktyki, zmierzającej do destabilizacji sytuacji w Gruzji.

Dyskusje dotyczące prawa międzynarodowego i praw Serbów były tylko przykrywką dla rosyjskich planów maksymalnego zwiększenia wpływów w regionie, który Moskwa uznawała za swoje podwórko. Chodziło również o wysłanie czytelnego sygnału państwom zachodnim, że oto Rosja wróciła i ponownie należało się z nią liczyć. Stawkę w grze stanowiła więc międzynarodowa pozycja Rosji, jej prestiż, zakres wpływów oraz same reguły, w oparciu o które prowadzona była, zwłaszcza przez Stany Zjednoczone, polityka międzynarodowa. Moskwa zawsze widziała bowiem w amerykańskiej interwencji w Kosowie demonstrację siły Waszyngtonu oraz próbę poszerzenia jego strefy wpływów. Uznanie niepodległości Kosowa mimo rosyjskich sprzeciwów stanowiłoby kolejny afront. Utwierdziłoby Rosjan w przekonaniu, że Stany Zjednoczone postrzegają Bałkany jako politycznie podległy sobie obszar, na którym mogły robić praktycznie wszystko, na co tylko miały ochotę.

Tbilisi okazała się doskonałym celem do przeprowadzenia rosyjskiego kontrataku. Moskwa chciała, aby jej odpowiedź była równie bolesna dla Waszyngtonu, jak dla niej samej bolesna była decyzja o uznaniu niepodległości Kosowa. Gruzja doskonale pasowała do podjęcia takich działań, ponieważ znajdowała się w rosyjskiej sferze wpływów, jednocześnie też Moskwa mogła uderzyć w interesy państw zachodnich, w szczególności zaś Stanów Zjednoczonych w regionie. Saakaszwili, w którym widziano osobistego przyjaciela Busha, był wprost idealnym celem.

W Tbilisi doskonale zdawano sobie sprawę z możliwych konsekwencji uznania niepodległości Kosowa. Saakaszwili z wielką uwagą śledził dyskusje, które toczyły się

wokół tej sprawy. Podobieństwa były aż nazbyt oczywiste. Gdyby negocjacje się udały i osiągnięto by kompromis między Belgradem a Prisztiną, powstałby precedens. Gdyby się nie udały, precedens (choć inny) również zostałby tym samym stworzony. Bez względu na to, jakie zdołano by wypracować rozwiązanie (częściową autonomię czy niepodległość), i tak musiało ono mieć konsekwencje dla Gruzji. Saakaszwili dostrzegał w takim stanie rzeczy nie tylko ryzyko, ale i szansę. Częściowa autonomia, obejmująca prawo uchodźców do powrotu na swoje rodzinne tereny pod zwierzchnictwem sił międzynarodowych była przecież możliwością rozważaną również w przypadku Abchazji. Inną możliwością był wynegocjowany podział prowincji; i tego pomysłu Saakaszwili nie odrzucał. W praktyce takie rozwiązanie oznaczałoby stworzenie w Abchazji różnych stref, w których władza sił międzynarodowych, Rosjan i samych Gruzinów byłaby zróżnicowana na poszczególnych obszarach.

Najgorszym rozwiązaniem z punktu widzenia Gruzji była jednostronna deklaracja dotycząca niepodległości Kosowa. W takim wypadku Gruzini byłiby bowiem najbardziej prawdopodobnym celem rosyjskiej odpowiedzi. Uznając niepodległość Abchazji i Osetii Południowej, Moskwa rozbiłaby w pył fikcję, zgodnie z którą społeczność międzynarodowa stała murem za gruzińską integralnością terytorialną. Sęk jednak w tym, że Gruzini nie mieli w ręku żadnych narzędzi, przy pomocy których sami mogliby próbować rozwiązać ten problem. Nie mieli wpływu na to, co państwa zachodnie postanowią zrobić w kwestii Bałkanów. Często dyskutując wspomniane kwestie w rozmowach prywatnych, gru-

zińscy dyplomaci obawiali się poruszać je publicznie. Nieuchronnie sami wzmocniliby bowiem w ten sposób związek między obydwoma sprawami, co nie było zgodne z interesem rządu w Tbilisi.

Saakaszwili kilkakrotnie prosił zachodnich przywódców – w tym prezydenta Busha – aby decydując się na rozwiązanie problemu Kosowa, brali pod uwagę reperkusje, jakie ich postanowienia mogą mieć dla Gruzji. Nie poruszał jednak tej sprawy publicznie. Nie chciał budzić irytacji ani przysparzać problemów przywódcom państw, które były najważniejszymi sojusznikami Tbilisi. Zachodni dyplomaci zapewniali gruzińskiego prezydenta, jak również jego doradców o tym, że ich działania nie będą miały wpływu na międzynarodowe położenie Gruzji. Dzięki tym spotkaniom Gruzini nie dowiadywali się jednak niczego poza tym, jakie były zamiary państw zachodnich w kwestii Kosowa. Prócz czysto werbalnych zapewnień Zachód nie miał do zaoferowania żadnej strategii ani planu działania, który mógłby stanowić ochronę dla Gruzji. Tbilisi musiała więc polegać na zapewnieniach Zachodu, że Rosja blefuje.

Chociaż Stany Zjednoczone i Unia Europejska różniły się w wielu kwestiach podczas dyskusji na temat Kosowa, punkt krytyczny został przekroczony i większość państw uznała, iż mimo napływających z Moskwy ostrzeżeń, z rozwiązaniem nie można dłużej zwlekać. Postanowiono sprawdzić moskiewski blef za pomocą faktów dokonanych w Kosowie. Postanowiono też zrealizować ten plan działania w możliwie delikatny sposób, pozostawiając tym samym Moskwie możliwość wycofania się z twarzą z jej wcześniejszych deklaracji. Nie wierzo-

no w to, że Rosja zdecyduje się na przejście do ofensywy i ogłosi niepodległość Abchazji i Osetii Południowej. Jak obliczano, bardziej korzystne miało być dla niej uznanie Kosowa i zachowanie *status quo* w pozostałych objętych konfliktami regionach. Te kalkulacje okazały się jednak mylne, a nie został stworzony żaden alternatywny plan działania na wypadek popełnienia takiego błędu.

Tymczasem Rosjanie nie blefowali. 10 lutego 2007 roku prezydent Władimir Putin wygłosił przemówienie podczas poświęconej sprawom bezpieczeństwa corocznej konferencji w Monachium – być może najbardziej prestiżowego transatlantyckiego forum. Po raz pierwszy w historii poproszono o to rosyjskiego przywódcę. Siedziałem wówczas wśród słuchaczy, niezmiernie ciekaw tego, co powie Putin. Większość z zebranych oczekiwała, że jego przemówienie będzie miało mocno prozachodni wydźwięk. Konferencje w Monachium zwykło się uważać za swoistą „cytadelę” NATO i zaproszenie do udziału w niej rosyjskiego prezydenta było gestem przyjaźni i partnerstwa. Szybko stało się jednak oczywiste, że Putin miał zamiar wygłosić mocno antyzachodnie przemówienie, zawierające całą listę rosyjskich skarg wobec Stanów Zjednoczonych. Pojawiły się w nim zarzuty o unilateralne działania, jednobiegunowość, poszerzenie NATO, próby stworzenia systemu obrony przeciwrakietowej i – oczywiście – kwestia możliwości uznania niepodległości Kosowa.

Delegacja Stanów Zjednoczonych oraz spora część zgromadzonej publiczności wyglądała na zszokowaną. Gdy Putin wygłaszał swoje przemówienie, napisałem SMS do znajdującego się również na sali Richarda Holbrooke’a pytając, czy jego zdaniem Putin zdawał sobie

sprawę z tego, co robił i jak obraźliwe musiały być jego słowa dla gospodarzy konferencji. Antyamerykańska i antyzachodnia tyrada rosyjskiego przywódcy była zupełnie nie na miejscu. Holbrooke odpisał mi: „To jest świadome działanie”. Po wygłoszeniu przemówienia Putin natychmiast opuścił konferencję, pozostawiając publiczność w stanie głębokiego szoku. Wszyscy zastanawiali się, czy oto nie byli świadkami punktu zwrotnego w historii relacji z Rosją<sup>75</sup>.

17 lutego 2008 roku Kosowo ogłosiło niepodległość. Pięć dni później Putin i Saakaszwili spotkali się na okazji nieformalnej konferencji Wspólnoty Niepodległych Państw, która odbywała się w Moskwie. Dyskusja dotyczyła niedawnej deklaracji niepodległości Kosowa i tego, jaki miało to wpływ na sprawy gruzińskie. Zgodnie z gruzińskim zapisem tego spotkania, Putin powiedział Saakaszwilemu:

Musimy szybko zareagować na to, co stało się w Europie w kwestii Kosowa. Zastanawiamy się obecnie, jak dokładnie rozwiązać ten problem. Niech pan pamięta o tym, że wielki nacisk wywierają na nas przywódcy z Kaukazu Północnego. Musimy w jakiś sposób odpowiedzieć na ich gesty solidarności wysyłane pod adresem Abchazji i Osetii Południowej. Nie rozumiemy, dlaczego Stany Zjednoczone rozpoczęły operację islamizacji Europy. Po tym, jak Albańczycy połączyli Kosowo, będą przecież chcieli poszerzyć swoje wpływy dalej, na Macedonię.

Wie pan doskonale, że musimy jakoś odpowiedzieć Zachodowi na Kosowo. I jest nam bardzo przykro, ale będziecie elementem tej odpowiedzi.

Następnie rosyjski prezydent dodał, że reakcja jego kraju nie będzie prostym odbiciem tego, co zrobił Zachód, ale że Gruzja będzie jej częścią. Zapewnił również o braku w tej kwestii jakiegokolwiek winy Gruzji. „Wasze położenie geograficzne jest, jakie jest” – powiedział. Dalej zaś przedstawił plan, zgodnie z którym Rosja zamierzała znieść embargo nałożone przez Wspólnotę Niepodległych Państw na Abchazję i Osetię Południową w 1996 roku, a następnie zintensyfikować swoje polityczne i prawne kontakty z obydwoma prowincjami. Saakaszwili odpowiedział dość pochopnie: „Z całym szacunkiem, to co pan mówi nie ma sensu. Jaki związek ma sprawa Kosowa z sytuacją w Gruzji? Żadnego”. Następnie zaś ostrzegł Putina, by ten nie miał żadnych złudzeń co do intencji, jakie motywowały przywódcami państw z północnego Kaukazu. Wspierali oni sprawę niepodległości Abchazji i Osetii Południowej jedynie dlatego, że sami również chcieli uzyskać niezależność – z tą różnicą, że chodziło im o uniezależnienie od Rosji. Putin odpowiedział: „To nie jest dla nas wielki problem. Zajmiemy się nim”. I uczynił gest, jakby kogoś dusił. Gruziński prezydent odpowiedział: „Jestem tu po to, byśmy wspólnie rozwiązali nasze spory, nie po to, by je pogłębić lub zaognić. Powinien pan starać się odgrywać bardziej pozytywną rolę w kwestii rozwiązywania problemów całego regionu”. Następnie zaś zaproponował inny wariant działania: „Gruzja mogłaby być jednym z waszych najlepszych sąsiadów. Usiądźmy i porozmawiajmy wspólnie o tym, jak powinniśmy szanować nawzajem swoją suwerenność, integralność terytorialną oraz jak współdziałać, uwzględniając żywotne interesy obydwu stron, w tym

kwestie, o których pan wspomniał”. Było oczywiste, że wszystko znalazło się na negocjacyjnym stole, łącznie z aspiracjami Tbilisi do członkostwa w NATO, jeżeli Moskwa gotowa była na zawarcie porozumienia dotyczącego objętych konfliktami terytoriów.

Putin nie nawiązał jednak w żaden sposób do oferty Saakaszwilego. Zamiast tego, powiedział, że podjął już ostateczną decyzję: „Nie przyjechałem tutaj rozmawiać o koncesjach terytorialnych. Jeśli chodzi o sporne obszary Abchazji i Osetii Południowej, w tej kwestii odpowiemy nie wam, lecz państwu zachodnim – Ameryce i NATO – za to, co zrobiły w sprawie Kosowa. To, co zrealizujemy nie będzie skierowane przeciwko wam, ale będzie naszą odpowiedzią na ich działania”. Dalej rozmowa przebiegała już tylko gorzej. W jej trakcie rosyjski prezydent wygłosił jeszcze jeden wykład na temat możliwości przystąpienia do NATO:

W momencie, gdy NATO rozszerzy się na wschód, a Gruzja dołączy do Sojuszu, będziecie musieli działać w jego ramach w sposób zdyscyplinowany, co oznacza, że staniecie się zagrożeniem dla naszych zdolności militarnych i nuklearnych. Nikt nie będzie przejmował się waszym stanowiskiem [przy podejmowaniu decyzji], tak samo jak nikt nie pyta się Polaków ani Czechów o ich opinie [na temat amerykańskich propozycji rozmieszczenia elementów systemu tarczy antyrakietowej w Polsce i Czechach]. Celem istnienia NATO jest ograniczenie suwerenności Rosji. (...) Condi [Rice] obiecała mi przesłać dokument potwierdzający, że rosyjscy inspektorzy będą mieli prawo do przeprowadzenia inspekcji amerykańskich radarów w dowolnym

momencie, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Gdzie do jasnej cholery jest ten dokument? (...)

Po tym, jak przystąpicie do NATO, wasza suwerenność zostanie ograniczona i staniecie się zagrożeniem dla Rosji.

Zanim spotkanie dobiegło końca, Putin powiedział jeszcze członkom gruzińskiej delegacji: „Myślicie, że możecie ufać Amerykanom i że przyjdą wam z pomocą? NIKOMU nie można ufać. Z wyjątkiem mnie. Ja zawsze dotrzymuję obietnicy – stwierdził z emfazą – Tak to już jest”. Następnie zaś dodał, że Miedwiediew przejmie schedę i będzie odtąd zajmował się tymi sprawami. Podczas konferencji prasowej w ramach szczytu Wspólnoty Niepodległych Państw, Putin publicznie ostrzegł państwa zachodnie, iż uznanie niepodległości Kosowa będzie miało swoje konsekwencje, którymi „dostaną po łbach”<sup>76</sup>.

Gruzińska delegacja wyjechała z Moskwy głęboko zaniepokojona obrotem wydarzeń. Było to pierwsze spotkanie z rosyjskim przywódcą dla Dawida Bakradzego, nowego szefa gruzińskiego parlamentu. Kiedy Saakaszwili zapytał go o wrażenia, odparł: „To wszystko śmierdzi mi wojną”.

Na rosyjską odpowiedź w sprawie uznania niepodległości Kosowa nie trzeba było długo czekać. 4 marca parlament Osetii Południowej wezwał Rosję do uznania jej niepodległości. Trzy dni później Abchazja zrobiła to samo. 6 marca Rosja wycofała się ze swoich jednostronnych sankcji przeciwko Abchazji, nałożonych na prowincję jeszcze w 1996 roku, i od tego momentu mogła budować takie stosunki z władzami w regionie, jakie chciała.

13 marca członkowie rosyjskiej Dumy zebrali się na zamkniętym posiedzeniu, podczas którego dyskutowano na temat raportu o możliwości uznania niepodległości Abchazji i Osetii Południowej. Konstantin Zatulin, zastępca szefa komisji zajmującej się sprawami Wspólnoty Niepodległych Państw ostrzegł, że momentu uznania nie można zbyt długo odsuwać w czasie, ponieważ takie możliwości, jakie stworzyło potwierdzenie przez Zachód niepodległości Kosowa, nie będą wечно dostępne. 14 kwietnia dziennik „Niezawisimaja Gazieta” cytował wypowiedź anonimowego dyplomaty, który miał powiedzieć, że Rosja powinna zdecydować się na uznanie niepodległości Abchazji i Osetii Południowej jedynie pod dwoma warunkami: gdyby Gruzja podjęła poważne starania, by zostać członkiem NATO, lub gdyby doszło do wojny<sup>77</sup>.

Tuż po rozpoczęciu wojny w sierpniu wysoki urzędnik rosyjski spotkał się z byłym członkiem administracji Clintona. Chciał wyjaśnić Waszyngtonowi, dlaczego Rosja przystąpiła do wojny. Jej cele określił następująco:

- uzyskanie pełnej kontroli nad Osetią Południową, wyeliminowanie przyczółków gruzińskiej władzy i zbudowanie na tej podstawie nowej strefy bezpieczeństwa;
- udzielenie pomocy rządowi Abchazji celem wzmocnienia jego władzy nad zdominowaną przez Gruzinów dzielnicą Gali oraz wypchnięcie gruzińskich oddziałów z doliny Kodori;
- utworzenie rosyjskiej strefy bezpieczeństwa po zachodniej stronie granicy między „Gruzją właściwą” i Abchazją w okolicach miasta Zugdidi;
- zmuszenie Gruzinów do podpisania formalnego porozumienia o nieużywaniu sił zbrojnych w regionie;

- pogniębienie Saakaszwilego i zwiększenie nacisku na jego rząd, w efekcie czego z czasem zostałyby on odsunięty od władzy, tak jak udało się to zrobić z Miloševiciem;
- przekreślenie szans Gruzji na wejście do NATO.

Dla każdego, kto choćby w zarysie znał historię konfliktu w Kosowie, podobieństwa między sytuacją na Bałkanach w 1999 roku a tym, co zaczynało się właśnie dzieć w Gruzji w sierpniu 2008 roku, były oczywiste. Odnosiło się wręcz wrażenie, jak gdyby Rosjanie spędzili większą część dekady oddzielającej od siebie obydwie wydarzenia na dokładnym studiowaniu politycznych i wojskowych działań Zachodu na terenie Kosowa i Bałkanów, aby następnie móc dostosować je do własnych celów. Nowy język używany przez Moskwę oraz obronna retoryka stanowiły niemal lustrzane odbicie uzasadnień, na które powoływały się dekadę wcześniej państwa zachodnie. Rosja usprawiedliwiała swoją inwazję na Gruzję, nazywając ją „operacją pokojową”, a za cel jej podając powstrzymanie rządu w Tbilisi przed dokonaniem „ludobójstwa” i przeprowadzeniem „czystek etnicznych” w południowej Osetii. Moskwa starała się stworzyć wrażenie, że Saakaszwili był współczesnym Miloševiciem oraz że przed wkroczeniem wojsk rosyjskich do regionu Południowoosetyjczy doświadczała podobnych cierpień ze strony Tbilisi, co kosowscy Albańczycy ze strony Belgradu. Ta analogia wywierała zarówno tak aktualny stan rzeczy, jak i historię, do góry nogami. Wszystkie działania stanowiły elementy szerszej strategii, którą realizowano już od jakiegoś czasu. Była to zapłata za doznane przez Rosję upokorzenia ze strony Zachodu niecałą dekadę wcześniej<sup>78</sup>.

## Dyplomatyczna strzelanina w Bukareszcie

Uznanie niepodległości Kosowa było pierwszym krokiem zachodnich polityków, który miał doprowadzić do rosyjskiego kontrataku w postaci inwazji na Gruzję. Sześć tygodni później zachodni sojusznicy uczynili w tym kierunku krok drugi – on również bardzo rozgniewał Moskwę i dostarczył jej kolejnego pretekstu do zwiększenia nacisku na swojego niewielkiego, południowego sąsiada. Podczas szczytu NATO w Bukareszcie, odbywającego się w dniach 2–4 kwietnia 2008 roku, sojusznicy w gorączkowej atmosferze debatowali nad kwestią zaproponowania Gruzji i Ukrainie tzw. MAP-u – specjalnego programu działań, który miał pomóc aspirującym do wejścia w struktury Sojuszu państwom lepiej przygotować się do formalnego członkostwa. Wypracowany kompromis polegał na tym, że obydwu państwom nie zaproponowano wprowadzić MAP-u, niemniej jednak sformułowano bezprecedensową deklarację, w której gwarantowano im przyjęcie pewnego dnia do NATO-wskich struktur.

Przedstawiciele Sojuszu Północnoatlantyckiego liczyli na to, że ów kompromis nie tylko zniweluje różnice

pomiędzy poszczególnymi państwami członkowskimi, ale jednocześnie udzieli Gruzji zapewnień, na których tak bardzo jej zależało. Przywódcy NATO mieli również nadzieję na uniknięcie dzięki odrzuceniu opcji MAP-u napięć w stosunkach z Rosją, z czym wiązałoby się takie rozwiązanie. To jednak, co wyglądało sensownie z wewnętrznej, NATO-wskiej perspektywy i co, choć dalekie od ideału, można było sprzedać w Tbilisi i Kijowie jako istotny krok naprzód, było najgorszym możliwym rozwiązaniem z punktu widzenia Moskwy. Koniec końców, celem Kremla nie było przecież niedopuszczenie do stworzenia MAP-u mającego doprowadzić Gruzję i Ukrainę do członkostwa w NATO, ale uniemożliwienie im samego członkostwa. Tymczasem w Bukareszcie uzgodniono coś dokładnie przeciwnego. Członkowie Sojuszu oficjalnie zadeklarowali teraz, że będą realizowali plan, któremu Moskwa głęboko się sprzeciwiała.

Gdyby państwa wchodzące w skład Sojuszu Północnoatlantyckiego faktycznie twardo wspierały cel Rosji, Moskwa naprawdę mogłaby się wycofać. Przy poprzednich rundach rozszerzenia początkowo również wyrażała swój sprzeciw, z czasem jednak, w obliczu konsekwentnej polityki członków Sojuszu, musiała się ugiąć. Jednak Gruzja i Ukraina stanowiły newralgiczny problem, a gorące dyskusje członków NATO w Bukareszcie pokazały, jak bardzo podzielone były państwa Sojuszu w tej kwestii. Deklaracja istniała więc wyłącznie na papierze. Z perspektywy Moskwy ryzyko polegało na tym, że kandydatura Gruzji i Ukrainy z czasem zacznie nabierać rozpędu i nie będzie jej można powstrzymać. Jednocześnie spory wewnątrz NATO wskazywały na pojawienie się idealnej

okazji do zatrzymania całego procesu. Należało jednak działać szybko. Dlatego też, zamiast uspokoić Rosję, decyzje podjęte w Bukareszcie doprowadziły do tego rodzaju eskalacji w jej polityce wobec Gruzji, czego członkowie Sojuszu chcieli uniknąć. W ciągu zaledwie dwóch tygodni od szczytu w Bukareszcie Moskwa rozpoczęła serię działań mających na celu zwiększenie nacisku na Tbilisi.

Jak to się jednak stało, że kwestie związane z czymś tak skomplikowanym, jak tzw. MAP prowadzący do członkostwa w NATO, odegrały tak wielką rolę podczas szczytu w Bukareszcie, pośrednio przyczyniając się do wybuchu rosyjsko-gruzińskiego konfliktu? Tbilisi miała nadzieję na to, że Sojusz Północnoatlantycki pomoże jej w poprawieniu stale pogarszających się relacji z Moskwą. Liczono na zdecydowane poparcie przez sojuszników w Bukareszcie prozachodniego kursu gruzińskiej polityki. Z punktu widzenia Gruzji była to sprawa kluczowa dla utrzymania dobrej atmosfery, pozwalającej kontynuować podjęte reformy wewnętrzne. Jak oczekiwano, takie stanowisko stanowiłoby dla Moskwy czytelny sygnał, pokazujący, że Gruzja będzie kontynuowała swoją prozachodnią politykę bez względu na obiekcje i starania polityków na Kremlu. Wreszcie – a nie było to wcale błahą sprawą – NATO z punktu widzenia Tbilisi miało do odegrania istotną rolę w długofalowej strategii rozwiązywania „zamrożonych” konfliktów. Bliższe więzi z Zachodem pomogłyby w przekonaniu lokalnej ludności, że życie w zmierzającej na Zachód Gruzji będzie lepsze niż w przypadku połączenia się z autokratyczną Rosją, która posiadała długą historię dyskryminowania różnego rodzaju mniejszości.

Zgodnie ze standardami stworzonymi dla nowych państw członkowskich w latach 90. ani Gruzja, ani Ukraina nie były jeszcze bliskie pełnego członkostwa w NATO. Państwa te szukały więc czegoś w rodzaju połowicznego schronienia. Chciały także wysłać do Moskwy czytelny sygnał, że ich zamiarem jest połączyć się z Zachodem, w konsekwencji czego Rosja nie powinna traktować ich jako należących do jej strefy wpływów. Z tych względów kwestia stworzenia bądź niestworzenia MAP-u nabrała politycznego oraz psychologicznego znaczenia, które przekraczało znacząco meritum samego dokumentu. Dla państw znajdujących się pod naciskiem Rosji pokazanie, że przeprowadzane w kraju bolesne reformy pozwalają im zbliżyć się do Zachodu, było sprawą niezmiernie istotną. W efekcie MAP stał się dla nich czymś w rodzaju świętego Graala.

Problem był jednak podwójny. Po pierwsze, dokument zwany MAP-em w zamierzeniach jego twórców nie miał nigdy być odpowiedzią na strategiczne dylematy natury politycznej. Byłem członkiem zespołu, który podczas szczytu NATO w Waszyngtonie w 1999 roku wymyślił ową koncepcję. MAP powstał w oparciu o doświadczenia takich państw, jak Polska, Czechy czy Węgry – doświadczenia, które pokazały, że owe państwa były znacznie gorzej przygotowane do członkostwa, aniżeli można się było tego spodziewać. Ze względu jednak na korzystną sytuację strategiczną oraz wiarę w to, że zachęcanie państw środkowej i wschodniej Europy było istotnym elementem budowania politycznej stabilności na kontynencie, NATO świadomie podniosło poprzeczkę wymagań dla nowych krajów członkowskich w porównaniu do lat 90.

MAP został stworzony dla przyspieszenia przygotowań do członkostwa i skoncentrowania ich na kluczowych sprawach poprzez udzielanie „porad oraz wsparcia” już na bardzo wczesnym ich etapie.

Cel stanowiło oczywiście członkostwo; stąd nazwa – *Membership Action Plan*. Podpisanie MAP-u nie było jednak równoznaczne z jego otrzymaniem. Jak wówczas wyjaśnialiśmy, NATO mogło zaproponować MAP tym państwom, które chciało widzieć w swoich strukturach, ale które do członkostwa nie były jeszcze przygotowane. Przystąpienie do NATO przypominało trochę udział w maratonie. Poszczególne państwa musiały same przebiec całą trasę i dotrzeć do mety. Cały ciężar związany z przygotowaniem spoczywał na ich barkach, członkowie Sojuszu byli jednak zdeterminowani pomóc im w osiągnięciu celu. MAP był więc czymś w rodzaju programu pomocowego dla owych państw. Chodziło w nim o rozwiązanie problemów państw aspirujących do członkostwa, a nie o uniemożliwianie komukolwiek prowadzenia agresywnej polityki, a już z pewnością nie Rosji.

Standardy, które zostały określone w ramach MAP-u, były znacznie bardziej szczegółowe od wszystkiego, co wcześniej przedstawiano zgłaszającym chęć przystąpienia do Sojuszu krajom. Wciąż miały jednak dość ogólnikowy charakter, a sam proces oceniania gotowości kandydatów był otwarty na polityczne wpływy. Takie rozwiązanie stworzono jednak również w pełni świadomie. NATO nie chciało ani opracowywać żadnego automatycznego mechanizmu gwarantującego członkostwo, ani związywać sobie rąk. Koniec końców to, czy dane państwo miało przystąpić do struktur Sojuszu Północnoatlantyckiego

czy też nie, było decyzją polityczną, na której podjęcie znacząco wpływał stopień przygotowania danego kraju, lecz nie rozstrzygał o wszystkim. NATO, ze względu na sprzyjające uwarunkowania, zdecydowało się podnieść swoje wymagania dla przyszłych państw członkowskich – zachowując jednocześnie prawo do ich obniżenia, gdyby sytuacja uległa zmianie. Przedostatnim na liście kryteriów członkostwa było to, czy dany kandydat pasował do ogólnych interesów Sojuszu.

Aby jeszcze bardziej skomplikować sytuację, NATO niemal natychmiast złamało ustanowione przez siebie zasady, świadomie spisane dość ogólnikowo, proponując MAP Albanii w szczytowym momencie kryzysu w Kosowie. Wszyscy zdawali sobie doskonale sprawę z tego, że kraj ten oddzielała od członkostwa w NATO przynajmniej dekada wyteżonych starań. Państwa Sojuszu musiały jednak zapewnić sobie wsparcie Albanii w trakcie wojny w Kosowie. Jeżeli zaproponowanie MAP-u dawało taką możliwość, to na ten właśnie ruch gotowe były zdecydować się państwa Sojuszu. W ten sposób został jednak stworzony precedens, który miał odegrać istotną rolę dziesięć lat później. Skoro bowiem państwa członkowskie NATO już raz nagięły własne zasady, czy nie mogły uczynić podobnie po raz drugi? Wspomniane posunięcie przypomniało wszystkim, że wymagania zawarte w MAP-ach były w praktyce jedynie zaleceniami, które polityczni przywódcy mogli obejść, jeżeli tylko według nich z jakichś przyczyn wymagała tego sytuacja. Ten właśnie argument wykorzystywali Ukraińcy i Gruzini, gdy ich krytycy zarzucali im, że nie są jeszcze odpowiednio przygotowani do wdrażania MAP-u.

Dokładnie w tym punkcie doszło jednak do tarcia – i na tym polegał drugi problem. W rzeczywistości bowiem nie wszystkie państwa członkowskie NATO były przekonane o tym, że rozszerzenie powinno postępować dalej, wchodząc w głąb Eurazji czy obejmując okolice Morza Czarnego. Niektórzy twierdzili również, iż włączenie Gruzji i Ukrainy bynajmniej nie leżało w interesie Sojuszu. Nieprzekonani w kwestii samego celu byli tym bardziej niechętni do podjęcia nawet skromnych działań stwarzających warunki do jego realizacji. Ich sprzeciw wobec MAP-u stał się więc technicznym sposobem zamianifestowania znacznie głębszych wątpliwości o charakterze politycznym i strategicznym. Pod koniec lat 90. poszerzenie NATO stanowiło mało kontrowersyjny pomysł, ponieważ i tak wszystkie państwa członkowskie rozrastającego się Sojuszu były przekonane, że kraje położone między Morzem Bałtyckim i Morzem Czarnym powinny wstąpić do NATO i UE. Jedynie czas, w jakim miało to nastąpić, pozostawał do ustalenia w zależności od indywidualnych kalkulacji każdego z nich. W przypadku Albanii natomiast decyzja o zaproponowaniu jej prowadzącego do członkostwa MAP-u wynikała z potrzeb wojennych oraz z tego, że Sojusz *de facto* przekroczył Rubikon, wierząc, iż państwa bałkańskie prędzej czy później również staną się jego członkami.

Żadna z tych okoliczności nie dotyczyła przypadku Gruzji i Ukrainy. Sojusz jako całość nie podjął jeszcze decyzji o tym, czy chce dalszego rozszerzania w kierunku Eurazji czy południowego Kaukazu. Kiedy tworzono koncepcję poszerzenia NATO w latach 90. nikt (może z wyjątkiem kilku wizjonerów) nigdy nie wyobrażał sobie,

że mogłoby ono sięgnąć aż tak daleko. Kiedy pracowałem nad poszerzeniem Sojuszu w Departamencie Stanu za drugiej kadencji administracji Billa Clintona, koncentrowaliśmy się na krajach z tzw. Grupy Wyszehradzkiej (Czechach, Węgrach, Polsce i Słowacji), położonych w samym sercu Europy. Potem rozszerzyliśmy ową sferę na cały region rozciągający się od Bałtyku aż do Morza Czarnego. Gdy prezydent Bush wygłaszał swoje programowe przemówienie na temat rozszerzenia NATO w Warszawie w czerwcu 2001 roku, oficjalnie potwierdził plany rozciągnięcia granic Sojuszu na wschód, tak by obejmowały one również Estonię, Łotwę i Litwę w części północnej, oraz Bułgarię i Rumunię na południu, dochodząc w ten sposób do brzegów Morza Czarnego. Deklaracja Busha była wyrazem szerszego konsensusu w tej kwestii – osiągniętego nie tylko w samych Stanach Zjednoczonych, ale i w całym NATO<sup>79</sup>.

Przez pierwszą dekadę procesu rozszerzania Sojuszu kwestie związane z potencjalnym członkostwem państw znajdujących się w regionie Eurazji czy na południowym Kaukazie nie były brane pod uwagę. Sojusz próbował stosować taktykę „otwartych drzwi” – pozostawiając możliwość członkostwa młodym demokracjom, które spełniałyby warunki tego członkostwa i których przyjęcie współgrałoby z ogólnymi interesami Sojuszu. Było to więc stosunkowo liberalne podejście, ponieważ NATO nie odmawiało *a priori* żadnemu europejskiemu państwu szans na członkostwo. Wszystko zależało więc od każdego kraju z osobna – a było to prawo wyraźnie zaznaczone w karcie paryskiej OBWE – oraz od samego Sojuszu, do którego należała decyzja o tym, czy dany kraj spełniał odpowied-

nie wymagania i czy jego włączenie do struktur NATO będzie korzystne dla jego bezpieczeństwa jako całości.

Chociaż Gruzja i Ukraina mogły chcieć rozmawiać o swoim przyszłym członkostwie w Sojuszu, tego typu dyskusje uważano za czysto teoretyczne. Żadnego z państw nie traktowano zbyt poważnie, a to ze względu na brak demokratycznych rządów i wewnętrznych reform. Sytuacja uległa zmianie dopiero po przełomie, którym były rewolucja róż i pomarańczowa rewolucja. Oznaczały one, że do władzy doszło nowe pokolenie przywódców oddanych sprawie budowania demokracji i zacieśnianiu więzi łączących obydwie państwa z Zachodem. To, co wcześniej wydawało się mrzonką, teraz stawało się realną możliwością. Powstanie w Tbilisi i Kijowie demokratycznych, prozachodnich rządów, które wyznawały te same zasady, co Zachód, i chciały wstąpić do NATO, stanowiło szansę na podjęcie polityki zmierzającej w tym kierunku i pomagającej im przygotować się do członkostwa w Sojuszu.

W Stanach Zjednoczonych i Europie wydarzenia te doprowadziły do debaty na temat tego, czy oryginalna wizja poszerzenia Unii Europejskiej i NATO nie była zbyt skromna i czy państwa Sojuszu nie powinny zacząć myśleć inaczej, znacznie szerszymi kategoriami – i w efekcie zdecydować się na nową rundę rozszerzenia. Z góry wiedziano o znacznie większej kontrowersyjności takiego posunięcia niż decyzji o włączeniu państw Europy Środkowo-Wschodniej czy nawet państw bałtyckich. Zwolennicy wspomnianej koncepcji przekonywali, że przyjęcie państw położonych w basenie Morza Czarnego nie tylko stanowiło imperatyw moralny ze względu na dokonywane w nich demokratyczne przekształcenia, ale pozwoli-

łoby również osiągnąć znacznie szerszy cel strategiczny, stwarzając podstawy nowej politycznej stabilności w regionie Morza Czarnego i Eurazji. Ogromne znaczenie, jakie miały dostawy ropy i gazu z Morza Kaspijskiego i Azji Środkowej południowym korytarzem, było dodatkowym argumentem przemawiającym za tą tezą. Decydując się na takie posunięcie, jak przekonywali jego zwolennicy, Zachód zabezpieczyłby swoją południową flankę, od strony tzw. szerokiego Bliskiego Wschodu. Moskwa nie popierała oczywiście takiego ruchu, jednak wsparcie udzielone demokratycznym reformatorom w państwach sąsiadujących z Rosją miało w niedługim czasie wpłynąć na demokratyczne przemiany również w samym państwie rosyjskim<sup>80</sup>.

Przeciwnicy nie zgadzali się z tym punktem widzenia. Przekonywali, że takie posunięcie byłoby zbyt pochopne i wiązałoby się ze zbyt wielkim ryzykiem. Podstawowe pytanie dotyczyło ich zdaniem europejskich korzeni wspomnianych państw. Czy faktycznie były one częścią Europy? Według sceptyków demokratyczne doświadczenia tak w jednym, jak i w drugim kraju były wyjątkowo ubogie. W przypadku Ukrainy zdawano sobie powszechnie sprawę z jej strategicznego położenia, jednocześnie podkreślając, jak bardzo podzielone było samo jej społeczeństwo w kwestii ewentualnego członkostwa w NATO. W przypadku Gruzji wskazywano na fakt zarządzenia w listopadzie 2007 roku przez Saakaszwilego stanu najwyższej gotowości po tym, jak protesty opozycji zaczynały wymykać się spod kontroli. Krytycy przekonywali również, że pochopne działania ze strony Zachodu mogły doprowadzić do ponownej erupcji „zamrożonych konfliktów” bądź też

zachęcić Saakaszwilego do radykalnych działań zmierzających do ich rozwiązania. Przede wszystkim obawiano się jednak nowych, znacznie głębszych nieporozumień z Rosją, która i tak stawała się coraz bardziej antyzachodnia.

W efekcie debata na temat stworzenia MAP-u członkostwa dla Ukrainy i Gruzji podczas szczytu w Bukareszcie wcale nie dotyczyła tego, czy wspomniane kraje spełniały techniczne kryteria i luźno określone standardy zawarte w oficjalnej NATO-wskiej doktrynie. Chodziło o przyszłość Sojuszu jako całości oraz jego relacje z Rosją. Spór o MAP stał się *de facto* ersatzem debaty o strategicznym kierunku dalszego rozwoju NATO. Nie chodziło o to, czy Gruzja spełniała odpowiednie standardy ani czy weszła na drogę właściwych reform. Zwolennicy jej członkostwa uważali, że sprawą najwyższej wagi było udzielenie Tbilisi wsparcia, którego potrzebowała w owym krytycznym momencie, gdy tak wiele ważnych kwestii zdawało się wisieć na włosku. Chodziło również o wysłanie jasnego sygnału do Moskwy, aby zaprzestała prób destabilizowania sytuacji. Jeżeli miało być to równoznaczne ze zmianą wymagań członkowskich specjalnie dla Gruzji, to trudno. Sojusz nagiął już własne standardy w przypadku Albanii, mógł więc uczynić to samo raz jeszcze.

Na podobnej zasadzie państwa sprzeciwiające się zaproponowaniu MAP-u używały często argumentacji dotyczącej standardów czy kwestii proceduralnych, aby dać wyraz bardziej podstawowym przekonaniom w politycznych i strategicznych kwestiach. Ich wątpliwości nie dotyczyły jedynie demokratycznych reform czy gotowości do członkostwa Gruzji i Ukrainy w Sojuszu. Wielu polityków było po prostu zdania, że dalsze rozszerzanie

NATO doprowadzi do jeszcze większego rozmycia jego wewnętrznej spójności oraz poirytuje Rosję. Mieli poważne wątpliwości co do wykonania przez Sojusz pierwszego kroku w stronę dalszego poszerzania również ze względu na duże obawy przed uruchomieniem procesu, którego sami nie będą już później w stanie zatrzymać. Nie byli pewni, czy taki rozwój wydarzeń służyłby interesom ich państw, i obawiali się, iż dla całego NATO będzie to „o jeden most za daleko”. Nade wszystko zaś niepokoiła ich możliwość wciągnięcia Sojuszu w nowy konflikt gruzińsko-rosyjski. Stwierdzając, że Ukraina i Gruzja nie są jeszcze gotowe, potwierdzali tym samym, że sami również nie są gotowi do podjęcia decyzji o przyjęciu tych państw do swoich struktur, i to właśnie najbardziej spędzało sen z powiek przywódcom w Kijowie i Tbilisi.

Najbardziej skore do dalszego rozszerzania NATO były Stany Zjednoczone i prezydent Bush, w którego projektach Gruzja i Ukraina zajmowały szczególne miejsce. Waszyngton mógł liczyć na poparcie Wielkiej Brytanii, Kanady, wielu nowych państw członkowskich UE z Europy Środkowo-Wschodniej, jak również mniejszych państw z zachodniej części kontynentu, na przykład Danii. Sceptyczne pozostawały natomiast Niemcy, Francja, Włochy, Hiszpania i kraje Beneluksu. Najbardziej widoczny był jednak rozdzźwięk między Stanami Zjednoczonymi i Niemcami. W latach 90., gdy stawką w grze była kwestia stabilności u ich wschodnich granic, Niemcy były w awangardzie państw starających się przyspieszyć proces poszerzenia Sojuszu Północnoatlantyckiego. Tę ideę jako pierwszy publicznie sformułował zresztą niemiecki minister obrony, Volker Rühle. Kanclerz Helmut Kohl mocno

wspierał ją w czasie kluczowych debat wokół pierwszej rundy poszerzania NATO – również w roku 1997, kiedy to Berlin odszedł od stanowiska zajmowanego przez Francuzów i poparł Stany Zjednoczone podczas dramatycznego szczytu w Madrycie.

Stany Zjednoczone i Niemcy były więc dwiema siłami napędowymi pierwszej rundy poszerzania NATO. Przyjaźń Kohla oraz poparcie, którego udzielał Billowi Clintonowi, miały kluczowe znaczenie dla rozpoczęcia owego projektu oraz ograniczenia go do trzech krajów – Polski, Czech i Węgier – przy jednoczesnym zwiększaniu szans pozostałych kandydatów na uzyskanie członkostwa w późniejszym terminie (dotyczyło to również państw bałtyckich). Waszyngton i Berlin ściśle ze sobą współpracowały również w drugiej części dwutorowej strategii NATO, tj. w inicjatywach zmierzających do zbliżenia z Rosją oraz budowy partnerstwa NATO-Rosja. Poza tym Clinton i Kohl byli dwoma zachodnimi przywódcami, w których towarzystwie Jelcyn czuł się najlepiej.

Dziesięć lat później stanowisko Berlina wyglądało już jednak zupełnie inaczej. Niemcy stały się jednym z największych sceptyków w kwestii dalszego poszerzania Sojuszu Północnoatlantyckiego. Przyczyny, które tkwiły u podstaw tej zmiany, oraz jej konsekwencje miały kluczowe znaczenie dla wewnątrzniemieckiej debaty dotyczącej Gruzji i Ukrainy. Tradycyjnie silne więzi między USA i Niemcami uległy osłabieniu podczas sporu o wojnę w Iraku – przechodząc przez najgorszy kryzys od końca II wojny światowej. Kanclerz Gerhard Schröder uczynił z antywojennych i antyamerykańskich sentymentów kluczowy element swojej kampanii wyborczej w 2002 roku

– i zwyciężył. Frustrację, do której doprowadzała polityków w Waszyngtonie postawa Berlina, najlepiej ukazuje wypowiedź sekretarz stanu Rice z wiosny 2003 roku. Miała ona powiedzieć, że polityka Stanów Zjednoczonych będzie polegała na „ukaraniu Francji, ignorowaniu Niemiec i przebaczeniu Rosji”.

Sprawa rozszerzenia nie stanowiła samego meritum nieporozumień, do których dochodziło na linii Berlin – Waszyngton, niemniej jednak miała ona na nie spory wpływ. Poglądy obu państw w tej kwestii stawały się z czasem coraz bardziej odległe od siebie. Po tzw. rozszerzeniowym „Big Bangu” na szczycie w Pradze w 2004 roku niemiecka wizja stabilnej Europy opartej na poszerzonych strukturach Unii Europejskiej i NATO doczekała się swego spełnienia. W rzeczywistości Berlin był nawet dość sceptyczny wobec przyjęcia państw bałtyckich do obydwu organizacji, później jednak zmienił stanowisko i popierał ich starania. Teraz, gdy Niemcy zostały otoczone szerokim kręgiem przyjaźnie nastawionych państw, politycy w Berlinie doszli do wniosku, że interes narodowy kraju został zrealizowany. Choć w sferze retoryki wciąż popierano zasadę „otwartych drzwi”, tak naprawdę Niemcy były syte. Priorytetem stała się teraz dobra współpraca z Moskwą.

Znaczenie tej ostatniej wyraźnie wzrosło od czasów wojny w Iraku. Cała debata wokół interwencji nie tylko rozpętała nową falę antyamerykańskich emocji, ale zwróciła również zainteresowanie Berlina w kierunku wschodnim. Kiedy kanclerz Schröder przeciwstawiał się wojnie, otrzymał w tej kwestii poparcie zarówno Francji, jak i Rosji, dzięki czemu uniknął izolacji. To, co z początku wyglądało na małżeństwo z rozsądku, teraz okazywa-

ło się mieć głębsze podstawy. Berlin odkrywał dla swojej polityki zagranicznej nowe możliwości. Na ironię historii zakrawa fakt, że wojna w Iraku posłużyła jako pretekst do ponownej legitymizacji prorosyjskiego lobby w niemieckiej polityce. Relacje z Moskwą w coraz większym stopniu wpływały na polityczne wyobrażenia niemieckich elit, nie zaś na to, jak rozszerzyć rodzinę liberalnych demokracji na takie państwa, jak Gruzja czy Ukraina. Stany Zjednoczone i Niemcy, które jeszcze przed dekadą współpracowały ze sobą tak blisko w kwestii poszerzenia NATO, teraz znajdowały się w przeciwnych, zwalczających się nawzajem obozach.

W Waszyngtonie liczono na przewartościowanie priorytetów w niemieckiej polityce zagranicznej, gdy na stanowisku kanclerza Angela Merkel zastąpiła Gerharda Schrödera w listopadzie 2005 roku. Jednym z jej celów miała być naprawa coraz bardziej napiętych relacji Niemiec ze Stanami Zjednoczonymi. Merkel wychowała się w znajdujących się pod władzą komunistów Niemczech Wschodnich; była córką luterańskiego pastora. Miejsce dorastania nie pozwoliło jej mieć odnośnie komunizmu czy samej Rosji wielu złudzeń, które mieli jej rówieśnicy wychowani w innych warunkach. Niektórzy komentatorzy widzieli w niej wręcz „wschodnią Europejkę”, a to za sprawą sposobu, w jaki patrzyła na kwestie rosyjskie. Była również znana z tego, że należała do najtwardszych i najjaśniej formułujących swoje opinie w tym wymiarze polityków europejskich. Merkel była jednym z pierwszych przywódców, którzy wyciągnęli do Busha pomocną dłoń, gdy ten starał się odbudować relacje Waszyngtonu z Europą na początku swojej drugiej kadencji. Wspomnianym

politykom udało się współpracować w atmosferze wzajemnego zaufania i osobistej sympatii.

Różnice między amerykańskim a niemieckim sposobem myślenia o przyszłości poszerzenia NATO nie zostały jednak tym samym wyeliminowane. Merkel, choć miała wyraźnie proatlantyckie nastawienie, nie mogła po prostu odciąć się od emocji niemieckiego społeczeństwa oraz szerszych trendów dominujących w niemieckiej polityce. Jej partia tworzyła koalicyjny rząd wspólnie z niemiecką socjaldemokracją (SPD). Ministrem spraw zagranicznych był polityk z jej ramienia, Frank-Walter Steinmeier, który wyraźnie dystansował się od polityki Busha i proponował, by Niemcy zachowały „równą odległość” od Waszyngtonu z jednej, a Moskwy z drugiej strony. SPD była zdecydowana kontynuować swoją „pokojową” politykę, której kluczowym elementem było zacieśnienie współpracy z Moskwą – to zaś mogło tylko wzmacniać sceptycyzm dotyczący dalszego poszerzania NATO. Niemiecka socjaldemokracja *de facto* kontrolowała to, co działo się w polityce zagranicznej kraju, a MSZ stał się czymś w rodzaju cytadeli, z której nawoływano do zacieśnienia współpracy z Moskwą.

Dodatkowo sprawę pogarszała Tbilisi, krytykując często postawę Niemiec – państwa mającego największy wpływ na politykę wschodnią całego kontynentu. Tytady Saakaszwilego oskarżające kraje europejskie o stosowanie taktyki *appeasementu*<sup>81</sup> były często wymierzone w rząd w Berlinie, w którym gruziński prezydent widział rodzaj rosyjskiego konia trojańskiego w Sojuszu Północnoatlantyckim oraz główną przeszkodę, uniemożliwiającą rządowi w Tbilisi realizację jego prozachodnich aspiracji.

Gruzini nie mieli jednak żadnego pomysłu na to, jak rozwiązać wątpliwości Niemców lub też jak wzbudzić poparcie większości europejskich państw dla swoich starań. Z kolei według polityków w Berlinie Saakaszwili sztucznie rozdmuchiwał sprawę zagrożenia rosyjskiego, aby odciągnąć uwagę Zachodu od faktu, że sam łamał nieraz demokratyczne zasady. W Niemczech obawiano się, iż gruziński prezydent jest „narwańcem” gotowym wciągnąć państwa europejskie w konflikt z Rosją. Nie było więc nawet cienia entuzjazmu dla członkostwa Gruzji czy Ukrainy w NATO, który dawało się odczuć w Waszyngtonie.

Sama kanclerz Merkel w kwestii członkostwa Gruzji w Sojuszu również była sceptyczna. Widziała wspomniane kraje przed upadkiem Związku Radzieckiego i doskonale wiedziała, jak wielkie zadanie czekało przed nimi, jeżeli pragnęły politycznej integracji z Zachodem. Sprawę dodatkowo pogorszyło to, że jej pierwsze spotkanie z Saakaszwilim okazało się prawdziwą katastrofą. Z trudem można sobie wyobrazić większą rozbieżność charakterów od tej, jaka dzieliła spokojną, zdystansowaną panią kanclerz i onieśmielającego swoim zachowaniem, hipertowarzyskiego prezydenta Gruzji. Po raz pierwszy spotkali się na konferencji w Monachium. Podczas owego spotkania, które obydwie strony zgodnie opisywały później jako nieudane, wzajemnie się przekrzykiwali. Merkel starała się podkreślić znaczenie rządów prawa i demokratycznych procedur, zaznaczając, że państwo niemieckie sponsorowało specjalny program szkolenia sędziów. Saakaszwili, który uznawał ów program za nieskuteczny, starał się zapewnić niemiecką kanclerz, iż Gruzja znajdowała się na właściwej drodze. Merkel nie uwierzyła mu. Saakaszwili

z kolei odniósł wrażenie, że kanclerz Niemiec nie rozumiała lokalnych uwarunkowań jego państwa ani tego, co on sam starał się osiągnąć. Doradcy kanclerz Merkel określili później to spotkanie jednym z najgorszych, w jakich kiedykolwiek brała udział.

Bush i Merkel mieli odmienne zdania w kwestii tego, jak najlepiej było uporać się z aspiracjami Gruzji dotyczącymi jej członkostwa w NATO. Po raz pierwszy obszernie przedyskutowali je podczas spotkania w Stralsund u wybrzeży Bałtyku, wiosną 2006 roku. Mimo zacieśniania więzów wzajemnej przyjaźni, różnice w poglądach dotyczących tej sprawy pozostawały niezmiennie na przestrzeni kolejnych dwóch i pół roku. Czasami nawet żartowano z tych rozbieżności. Podczas spotkania na ranczu Busha w Crawford w listopadzie 2007 roku, które odbyło się niedługo po tym, jak Saakaszwili ogłosił stan wyjątkowy w Tbilisi i zdławił protesty opozycji, amerykański prezydent prosił kanclerz by, odnosząc się do demokratycznych instynktów Saakaszwilego, czy też raczej ich braku, nie mówiła: „A nie mówiłam!”. Jednak Bush lubił, a nawet podziwiał Merkel. Uważał, że obydwójce byli jednakowo oddani sprawie poszerzania wolności i demokracji w świecie oraz że, w związku z tym, istniała dobra podstawa do wzajemnej współpracy i osiągnięcia kompromisu w sprawie Gruzji.

Problem, który kanclerz Merkel miała z prezydentem Saakaszwilim, dotyczył podejmowanych przez niego działań – doskonale to rozumieli zarówno Bush, jak i niemiecka kanclerz. Amerykański prezydent wyczuwał, że Merkel była zupełnie innym rodzajem polityka niż niedarzony zaufaniem przez niego minister spraw zagranicz-

nych w jej koalicyjnym rządzie, Frank-Walter Steinmeier. Członkowie administracji Busha w Steinmeierze widzieli kontynuatora polityki Gerharda Schrödera. Byli przekonani, że kładł on zbyt wielki nacisk na to, by nie zrażać do Niemiec Moskwy, zaś za mały na kwestie związane z promowaniem wolności i demokracji w Europie. Mimo to Bush uznawał niemiecką kanclerz za kogoś, kto przeciwstawi się Moskwie, jeżeli tylko będzie przekonana o słuszności sprawy. Uważał również, że razem z Merkel mieli dokładnie te same zastrzeżenia wobec polityki Gruzinów. Nie zgadzali się natomiast w kwestii samego strategicznego położenia Gruzji oraz jej przyszłości.

Istotą problemu był brak zgody co do tego, jak wyglądać miała polityka NATO. Bush sądził, że najlepszym sposobem, żeby Gruzja poradziła sobie ze swoimi trudnościami, było zacieśnienie jej współpracy z Zachodem, a nie trzymanie na dystans i wzmaganie niepewności stojących na jej czele polityków. Prezydent USA nie był naiwny w swoich poglądach w kwestii położenia politycznego Gruzji czy też obchodzenia demokratycznych reguł gry, na co w polityce wewnętrznej pozwalał sobie Saakaszwili. Pytanie, na które szukał odpowiedzi dotyczyło tego, jak najlepiej można poradzić sobie z tymi problemami. Państwa Europy Środkowo-Wschodniej, które wcześniej weszły do NATO również nie były przecież idealne, a niektóre z nich przeżywały bardzo poważne kryzysy na swojej drodze do członkostwa w Sojuszu. Bush był więc przekonany, że najlepszym sposobem na poradzenie sobie z nieobliczalnym Saakaszwilim było udzielenie Gruzji poparcia, a nie zniechęcanie jej. Ten kraj podejmował przecież poważne ryzyko, decydując się

na ściślejsze związanie z państwami zachodnimi pomimo rosyjskich sprzeciwów. Bush wierzył, że prawdziwy przyjaciel i sojusznik powinien trwać przy Tbilisi – stanowiło to dla niego kwestię zasad.

Niemcy nie były jednak jedynym państwem sceptycznie nastawionym (czy wręcz niechętnym) do zaproponowania Gruzji i Ukrainie MAP-u. Kolejnym była Francja. Prezydent Jacques Chirac należał na początku do największych sceptyków w kwestii poszerzenia NATO. Patrząc na rzecz z historycznej perspektywy, Paryż generalnie skłaniał się ku skromniejszej wizji Europy, miał ambiwalentny stosunek do amerykańskich wpływów na kontynencie oraz samego Sojuszu, a własne bliskie relacje z Moskwą widział jako przeciwwagę dla Stanów Zjednoczonych i Niemiec. Poszerzenie NATO było więc dla Paryża jednoznaczne z odrzuceniem tych koncepcji i zwiększeniem wpływów Waszyngtonu. Po okresie sprzeciwu wobec poszerzenia Francja mimo wszystko zmieniała przyjęty kurs po tym, jak Chirac poparł pomysły dokonania kolejnych rund rozszerzania Sojuszu podczas szczytu NATO w Madrycie w 1997 roku. Ze strony Paryża była to jednak próba wyciągnięcia dla siebie jak największych korzyści z działania, do którego francuscy politycy w ogóle nie byli przekonani.

Jednak w maju 2007 roku Chiraca na stanowisku prezydenta zastąpił Nicolas Sarkozy. We wspomnianej kwestii, podobnie zresztą jak w wielu innych, zamierzał on realizować swoje własne koncepcje. Podczas kampanii wyborczej Sarkozy prezentował się jako klasyczny „jastrząb” w kwestiach polityki zagranicznej i obiecywał zerwanie z polityką prowadzoną przez swojego poprzed-

nika. Nigdzie nie było to bardziej widoczne niż w relacjach ze Stanami Zjednoczonymi i Rosją. W trakcie kampanii Sarkozy mówił o konieczności poprawy stosunków z Waszyngtonem oraz najpełniejszego wykorzystania wpływów, które posiadała Francja nie w opozycji do, ale we współpracy z USA. Jednak to w kwestii podejścia do Rosji Sarkozy najmocniej różnił się od Chiraca. W trakcie kampanii nazwał Putina oprychem, człowiekiem „z krwią na rękach”, Chiraca zaś krytykował za przyznanie Putinowi *Légion d'honneur* na zaledwie dwa tygodnie przed zabójstwem Anny Politkowskiej<sup>82</sup>. Nawoływał do tego, aby wolność i prawa człowieka znalazły się w samym centrum francuskiej polityki zagranicznej, co miało być równoznaczne z porzuceniem cynicznej *Realpolitik*, jaką Paryż prowadził w poprzednich latach. Największa różnica między nim samym a Chiracem, jak przekonywał w owym okresie zagranicznych gości, polegała na tym, że podczas gdy Chirac był antibushowski, Sarkozy był anty-putinowski.

Nicolas Sarkozy, którego ojciec był z pochodzenia Węgrem, miał również zupełnie inny niż jego poprzednik stosunek do państw Europy Środkowej i Wschodniej. Skrytykował Chiraca, gdy ten potępił kraje regionu za ich poparcie dla wojny w Iraku i zasugerował, że powinny „siedzieć cicho”. Sarkozy dobrze rozumiał prozachodnie aspiracje takich młodych demokracji, jak Ukraina czy Gruzja. Mówił o tym zresztą w czasie swojej kampanii. Kiedy objął już urząd prezydenta, uczynił ważny gest, odwiedzając stolice państw Europy Środkowo-Wschodniej zanim udał się do Moskwy. Podczas gdy Chirac nie zgodził się na wizytę Saakaszwiliego w Paryżu, Sarkozy przyjął

go na Polach Elizejskich jako jednego z pierwszych zagranicznych przywódców. W przeciwieństwie do Merkel, Sarkozy lubił Saakaszwilego. Jako ktoś, kogo również posądzano o autokratyczne zapędy, Sarkozy nie patrzył pryncypialnie na styl czy niektóre zdecydowane działania gruzińskiego prezydenta. Obydwaj przywódcy mieli wyraziste osobowości i byli przede wszystkim ludźmi działania, gotowymi na pójście drogą na skróty, by załatwić to, co trzeba było załatwić, spychając przy tym na margines formalizmu czy dyplomatyczne uprzejmości.

Wiele z koncepcji Sarkozy'ego szło pod prąd dominujących poglądów francuskiej klasy politycznej i dyplomatów, którzy wciąż nie mogli mentalnie wyzwolić się z gaullizmu. Kluczowe pytanie brzmiało więc, czy bardziej zdecydowane podejście prezentowane przez Sarkozy'ego oraz jego energia były wystarczające, by przełamać tradycje francuskiej dyplomacji, czy też raczej z czasem to sam prezydent miał ulec sile owych tradycji. Fakt, że na stanowisko ministra spraw zagranicznych Sarkozy mianował Bernarda Kouchnera, aktywistę wielu akcji humanitarnych i założyciela Médecins Sans Frontières<sup>83</sup>, człowieka o socjalistycznych poglądach, zdawał się być dowodem na zerwanie z przeszłością. Niedługo po podjęciu tej decyzji Sarkozy żartował nawet wśród przyjaciół, że rozważał wysadzenie w powietrze Quai d'Orsay, czyli miejsca, gdzie znajduje się francuskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Jediną otwartą kwestią było to – kontynuował swój dowcip francuski prezydent – czy pozwolić wcześniej znajdującym się w środku dyplomatom uciec, czy też nie. Jeden z przyjaciół odpowiedział żartując, że pozwolenie im na ucieczkę byłoby niebezpieczne, mogliby bowiem

później sabotować zmiany, które Sarkozy chciał wprowadzić we francuskiej polityce zagranicznej. Sarkozy był więc buntownikiem.

Oficjalnie Francja sprzeciwiała się zaproponowaniu MAP-u Gruzji i Ukrainie i w pełni popierała stanowisko Niemiec. Jednak podczas spotkań z zagranicznymi gośćmi, w tym z Amerykanami, francuski prezydent nie zważał zbyt na tę oficjalną linię polityki. W prywatnych konwersacjach mówił swoim rozmówcom, że lubi Saakaszwilego, że rozumie dobrze gruzińskie aspiracje i chciałby pomóc. Problem nie tkwił w demokratycznych niedociągnięciach rządu w Tbilisi. Sarkozy nie obawiał się również zantagonizowania Moskwy. Problemem były Niemcy. Nie chciał po prostu wchodzić w konflikt z Berlinem w momencie, gdy jego relacje z Merkel i tak były już dość napięte. Wnioski, które w Waszyngtonie – oraz w Tbilisi – wyciągano z tych deklaracji, były jednoznaczne. Sarkozy nie sprzeciwił się zawarciu kompromisu. Gdyby zaś Niemcy i Francja wyraziły zgodę na rozszerzenie, pozostałe sprzeciwiające się tej idei państwa musiałyby ustąpić.

Doradcy w Waszyngtonie również byli podzieleni w kwestii MAP-u. Stanowisko najważniejszych państw europejskich było jasne. Z powodu decyzji Saakaszwilego o wprowadzeniu pod koniec 2007 roku stanu wyjątkowego nawet jego najtwardsi obrońcy nabrali wody w usta. Administracja Busha rozpoczęła właśnie ostatni rok swojego urzędowania, co sprawiało, że jej wpływy w Europie, choć nigdy nie były zbyt duże, stawały się jeszcze mniejsze. Również czołowi urzędnicy najwyższego szczebla mieli swoje zastrzeżenia w tej sprawie. Zarówno

sekretarz stanu Condoleezza Rice, jak i sekretarz obrony Robert Gates z początku gotowi byli pójść na kompromis w kwestii MAP-u, ponieważ sami mieli sporo wątpliwości dotyczących tego, na ile Gruzja była gotowa do członkostwa. Obawiali się także fali sprzeciwu, którą wspomniana decyzja mogłaby wywołać wśród sojuszników USA. Po załamaniu sytuacji w samej Gruzji w listopadzie 2007 roku niektórzy wysoko postawieni amerykańscy dyplomaci zapewnili nawet swoich europejskich partnerów, że dyskusje na temat MAP-u nie są już aktualne. Wypowiadali jednak swoje sądy nazbyt pochopnie, nie zapytawszy wcześniej o zdanie prezydenta Busha. W końcu to jego stanowisko liczyło się najbardziej – tymczasem jego zapatrywania na kwestię MAP-u pozostawały niezmiennie.

Różnice wewnątrz amerykańskiej administracji wypływały na światło dzienne podczas wizyty sekretarza generalnego NATO, Jaapa de Hoop Scheffera w Waszyngtonie pod koniec lutego. De Hoop Scheffer brał udział w kolacji razem z Rice, Gatesem oraz doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego Stephenem Hadleyem 28 lutego 2008 roku, dzień przed swoim spotkaniem z samym prezydentem. Rice i Gates zgadzali się z sekretarzem generalnym, że zaproponowanie Gruzji i Ukrainie MAP-u byłoby zbyt daleko idącym posunięciem. Przekonywali do lepszego rozwiązania, czyli do zawarcia ostrożniejszego kompromisu, odpowiednio jednak „opakowanego”, by rzecz nie wyglądała z zewnątrz na zwycięstwo strony rosyjskiej.

Kiedy więc de Hoop Scheffer spotkał się następnego ranka z amerykańskim prezydentem, jego deklaracja, iż po długich rozważaniach na temat MAP-u poprzedniego wieczoru doszedł do wniosku, że na szczycie w Buka-

reszcie należało go zaproponować, kompletnie zbiła Busha z tropu. Amerykański prezydent zapewnił rozmówcę o gotowości Ameryki do użycia wszelkich swych wpływów, aby zrealizować ten cel. Sekretarz generalny wyszedł z Gabinetu Ovalnego, zastanawiając się, co się właściwie wydarzyło za kurtyną. W rzeczywistości Bush od samego początku skłaniał się ku MAP-owi znacznie bardziej niż jego czołowi współpracownicy. Rice i Gates nie mieli w tej kwestii takiego samego stanowiska, co prezydent, i zdawali sobie z tego sprawę. Członkowie amerykańskiej Rady Bezpieczeństwa Narodowego wiedzieli, że Stany Zjednoczone muszą ustalić, jaką taktykę będą w końcu realizować, oraz sprawić, by wszyscy grali w jednej drużynie. Doprowadziło to do serii spotkań i odpraw wywiadowczych – tzw. *deep dives* – z udziałem prezydenta, które miały rozwiązać problem odmiennych stanowisk oraz przekuć przyjęte założenia w oficjalną politykę rządu Stanów Zjednoczonych.

Jakie powody zdecydowały o tym, że Bush podjął taką, a nie inną decyzję? Z punktu widzenia prezydenta cała kwestia stanowiła przykład problemu politycznego, o którego rozwiązaniu decydować powinni politycy, a nie dyplomaci. To on, nie zaś jego doradcy, miał określić stanowisko Waszyngtonu. Podczas wspomnianej serii spotkań w Białym Domu podważał poglądy swoich doradców, pytając dlaczego właściwie Stany Zjednoczone miałyby decydować się na kompromis w tej sprawie. Z jego perspektywy zarówno Ukraina, jak i Gruzja podejmowały ogromne ryzyko, starając się przystąpić do NATO pomimo rosyjskich sprzeciwów. Skoro Kijów i Tbilisi nadstawiały w tej sprawie karku, czy obowiązkiem Stanów Zjed-

noczonych nie było wspierać je, jak nakazywały zasady? Prezydenta nie przerażały możliwe konsekwencje porażki proponowanej przez niego inicjatywy. Chciał po prostu walczyć o sprawę, którą uważał za słuszną.

Choć Sojusz Północnoatlantycki składał się z aż 27 państw, Bush wiedział doskonale o jego podziale we wspomnianej kwestii na dwie równe części. Rozumiał także, że pomysł dotyczący MAP-u był wyjątkowo kontrowersyjny. Wielu przywódców państw NATO z Europy Środkowej i Wschodniej, odwiedzających amerykańskiego prezydenta w Gabinetcie Ovalnym, przekonywało go, by udzielił tej inicjatywie poparcia. Z perspektywy Busha rzecz sprowadzała się do garstki najbardziej wpływowych państw i osobowości politycznych – niego samego, Merkel i Sarkozy'ego – i tego, kto będzie w stanie przeciągnąć niezdecydowanych na swoją stronę. Amerykański prezydent wyczuwał również pewną chwiejność w stanowisku zajmowanym przez Niemców. Chociaż Merkel i Steinmeier oboje sprzeciwiali się MAP-owi, robili tak z zupełnie odmiennych powodów. Zdaniem Busha Merkel nie obawiała się Rosji, a to znaczyło, że mogła dać się jeszcze namówić na zmianę zdania. Niemiecka kanclerz również wierzyła przecież w sprawę promocji demokracji i wolności i gotowa była przeciwstawić się Moskwie. Amerykański prezydent miał również nadzieję na to, że będzie w stanie osobiście przekonać ją do zmiany stanowiska, niejako ponad głowami jej doradców, zanadto skupionych, w jego ocenie, na Moskwie. Gdyby zaś udało się wpłynąć na Merkel, Sarkozy byłby przeszkodą do wyminięcia. Całe podejście przypominało więc teksański hazard. Prezydent Bush był gotów zaryzykować.

Podczas gdy dyskusja o wadach i zaletach związanych z ewentualnym stworzeniem MAP-u toczyła się na dyplomatycznych korytarzach, w izbach Kongresu, w mediach oraz *think thankach* po obu stronach Atlantyku, Bush milczał na temat swoich zamiarów – i robił to tak konsekwentnie, że wielu sojuszników zaczęło się zastanawiać nad tym, jakie one w istocie były. Na pytanie o to, jakie stanowisko zajmie amerykański prezydent, dyplomaci mieli odpowiadać, że nie powziął jeszcze ostatecznej decyzji. W tym czasie Bush wydał swojej Radzie Bezpieczeństwa Narodowego rozkaz rozpoczęcia dyskretnych, prywatnych rozmów z kanclerz Merkel i prezydentem Sarkozyem w celu znalezienia jakiegoś rozwiązania. Ich rezultaty nie zostały nigdy wdrożone w życie – stanowią więc przykład działań dyplomatycznych, których skutki pozostaną na zawsze w sferze domysłów. Dyskutowano jednak o wstępnej wersji deklaracji – mogła ona wówczas mieć znacznie bardziej kompromisowy charakter aniżeli to, co przedstawiono później w Bukareszcie. Gdyby Merkel prowadziła negocjacje w pojedynkę i nie ograniczały jej posunięcia własnego ministra spraw zagranicznych, Bush mógłby po pierwsze liczyć na to, że zajmie ona bardziej ugodową pozycję, po drugie – łatwiej byłoby mu ją przekonać.

Saakaszwili złożył wizytę w Białym Domu w połowie marca, mniej więcej trzy tygodnie przed szczytem w Bukareszcie. Splotła się ona z kolejnymi dyskusjami między Bushem i Merkel w sprawie MAP-u, prowadzonymi za pośrednictwem wideokonferencji. Zanim Saakaszwili udał się do Białego Domu, odebrał telefon od niemieckiej kanclerz. Tydzień wcześniej publicznie ogłosiła swój sprzeciw wobec propozycji stworzenia MAP-u dla Ukra-

iny i Gruzji – najpierw podczas spotkania z wysokimi przedstawicielami wojska, później zaś również w Moskwie<sup>84</sup>. Członkowie amerykańskiej administracji nie byli zadowoleni z tego posunięcia. Dzwoniąc do Saakaszwilego, Merkel pragnęła podkreślić, że nie ma zamiaru wspierać tego pomysłu, i sugerowała, aby gruziński przywódca szukał kompromisowego rozwiązania podczas swojej rozmowy z amerykańskim prezydentem. Kiedy Saakaszwili spotkał się z Bushem, powiedział mu o swojej rozmowie z Merkel. Bush tylko uśmiechnął się do niego i oświadczył: „Angelę zostaw mi. Ty zajmij się Luksemburgiem”.

Podczas odbywającej się nieco później konferencji prasowej amerykański prezydent przypominał o tym, jakie były gruzińskie aspiracje, oraz o zbliżającym się szczycie w Bukareszcie. „MAP – jak podkreślał – to nie to samo, co członkostwo. To proces, dzięki któremu przyszli członkowie NATO będą mogli odpowiednio przygotować się do członkostwa. Głęboko wierzę w to, że członkostwo Gruzji w Sojuszu przyniesie wymierne korzyści. Wierzę również w korzyści płynące dla Gruzja z przynależności do struktur NATO. Zapewniłem też [gruzińskiego – przyp. tłum.] prezydenta, że z takim właśnie przesłaniem udam się wkrótce do Bukaresztu”. Pełen optymizmu Saakaszwili powiedział: „Muszę panu podziękować, panie prezydencie, za pańskie niezachwiane poparcie dla sprawy naszej wolności, naszej demokracji, naszej terytorialnej integralności oraz za to, że chce pan chronić gruzińskie granice i aktywnie pomagać nam w realizacji NATO-wskich aspiracji naszego kraju”<sup>85</sup>.

Jednym z kluczowych problemów dzielących państwa członkowskie NATO w interesującej nas kwestii była

oczywiście sprawa Rosji i tego, na ile należało liczyć się ze sprzeciwem Moskwy wobec samej propozycji MAP-u oraz przyszłego członkostwa Gruzji i Ukrainy w Sojuszu. Bush nie ignorował tego problemu. Po pierwszym spotkaniu z rosyjskim prezydentem, w czerwcu 2001 roku w Słowenii, wypowiedział słynne zdanie: „Spojrzałem temu człowiekowi głęboko w oczy. Rozmawiał ze mną w bardzo otwarty i wzbudzający zaufanie sposób. Miałem okazję wyczuć, co gra mu w duszy”<sup>86</sup>. Stosunki rosyjsko-amerykańskie uległy wprawdzie pogorszeniu od czasów pierwszej kadencji Busha, niemniej jednak obydwaj przywódcy porozumiewali się wciąż całkiem dobrze, by nie powiedzieć, że po przyjacielsku. Bush nie miał żadnych złudzeń odnośnie autorytarnych zapędów Putina czy coraz twardszej, opartej na ropie i petrodolarach, polityce zagranicznej Moskwy. Jednak również w tym przypadku miał nadzieję na użycie swoich osobistych kontaktów, by zapobiec przekształceniu wzajemnych relacji między oboma państwami w nową fazę zimnej wojny. Motto działań Waszyngtonu w tym wymiarze brzmiało: współpracować z Rosją tam, gdzie tylko było to możliwe, wywierać na nią zdecydowany nacisk, gdzie nie wchodziło to w rachubę.

Jeszcze wiosną 2007 roku Putin miał powiedzieć sekretarz stanu Rice i sekretarzowi obrony Gatesowi, że włączenie Gruzji do NATO będzie przekroczeniem „czerwonej linii”. Moskwa w latach 90. przy użyciu podobnych metafor reagowała co prawda na pomysły poszerzenia Sojuszu o Polskę i inne państwa Europy Środkowo-Wschodniej; ostrzeżenia te nie doprowadziły jednak do żadnych ostrzejszych kryzysów. Mimo to tego typu deklaracje były jeszcze jednym dowodem potwierdzają-

cym tezę o zaostrzeniu przez Rosję swojej politykę wobec Zachodu i własnych sąsiadów. Bush nie zdecydował się jednak zmienić swoich zapatrywań w kwestii Gruzji. Był przekonany, że udzielenie Tbilisi publicznego poparcia może częściowo odstraszyć Rosjan. Wierzył również, że dzięki takiej deklaracji gruzińscy politycy zostaną utwierdzeni w swoich aspiracjach i nie będą podejmowali żadnych pochopnych działań. Strategia amerykańskiego prezydenta była więc dwutorowa: chciał z jednej strony zbliżenia w relacjach z Rosją; z drugiej – naciskać na dalsze poszerzenie NATO. Strategia ta okazała się skuteczna w latach 90. Tym razem jednak Ameryka miała do czynienia z inną Rosją. Plan działania Moskwy również polegał na tym, aby współpracować z Waszyngtonem we wszystkich tych kwestiach, w których oba kraje łączyły wspólne interesy. Ale rosyjska strategia również miała swój „drugi tor” – i ów drugi kierunek działań polegać miał właśnie na zatrzymaniu dalszego poszerzania Sojuszu Północnoatlantyckiego.

Zarówno Putin, jak i Bush poprosili swoje zespoły zajmujące się kwestiami bezpieczeństwa narodowego o przygotowanie specjalnych planów strategicznych na okres ostatnich miesięcy urzędowania amerykańskiego prezydenta. Obydwaj przywódcy chcieli zobaczyć dokument podsumowujący zrealizowane wspólnie cele oraz kreślący plany na przyszłość, które mogłyby być realizowane po tym, jak obydwaj politycy przestaliby piastować swoje urzędy. Zaskakując tym nieco polityków w Białym Domu, Putin zaprosił Busha do kurortu w Soczi na termin przypadający bezpośrednio po szczycie w Bukareszcie, aby na bilateralnym spotkaniu dopracować szczegóły porozu-

mienia. Miała to być dla rosyjskiego prezydenta okazja do pożegnania się z odchodzącym ze stanowiska przywódcą amerykańskim. Przed wyrażeniem zgody prezydent Bush musiał jednak rozważyć dostępne opcje i zastanowić się, jak możliwe scenariusze przebiegu szczytu w Bukareszcie mogą wpłynąć na spotkanie w Soczi.

Paradoksalnie, zarówno sukces, jak i porażka podczas szczytu w Bukareszcie wiązały się z ryzykiem. Gdyby Bushowi udało się przeforsować MAP, istniało niebezpieczeństwo, że Putin odwoła szczyt albo zamieni Soczi w miejsce ostrej konfrontacji, przy której jego wystąpienie w Monachium okaże się dziecięcą igraszką. Bush był gotów zaakceptować zaproszenie jedynie w przypadku, kiedy miałby pewność, że do tego nie dojdzie. Z drugiej jednak strony, gdyby amerykańskiemu prezydentowi nie udało się przeforsować MAP-u dla Gruzji i Ukrainy, a Stany Zjednoczone zostały zmuszone do porzucenia swojego dotychczasowego stanowiska, wizyta w Soczi mająca na celu podpisanie nowego porozumienia z Moskwą sprawiłaby wrażenie, że kwestie dotyczące Gruzji i Ukrainy poświęcono dla poprawy relacji amerykańsko-rosyjskich. Wążąc te ryzyka, prezydent zdecydował się chwycić byka za rogi i porozmawiać bezpośrednio z Putinem. Mniej więcej dziesięć dni przed rozpoczęciem szczytu w Bukareszcie Bush zadzwonił do rosyjskiego prezydenta.

Amerykański prezydent powiedział Putinowi, że byłby gotów przyjechać do Soczi, ale tylko wtedy, gdyby miał pewność, iż Putin nie wykona kolejnej kaskaderskiej sztuczki, podobnej do tej ze szczytu NATO w Monachium. Zadeklarował też wprost swój zamiar wspierania

pomysłu MAP-u w Bukareszcie i zapytał Putina o jego intencje. Według Putina, i tak odpowiedział amerykańskiemu prezydentowi żartując, brzmiało to tak, jak gdyby Amerykanie obawiali się tego, co mógł zrobić. Zmartwienia Busha, które zakomunikował w odpowiedzi, wiązały się z doskonałą wiedzą o tym, że Putin miał wyrobione poglądy w kwestii MAP-u oraz że mógł w związku z tym doprowadzić do ostrego dyplomatycznego starcia podczas szczytu. Gdyby do tego doszło, obydwaj przywódcy musieliby się skonfliktować, w efekcie czego wizyta Busha w Soczi nie byłaby już możliwa. Bush podkreślił więc raz jeszcze zamiar poparcia w Bukareszcie pomysłu MAP-u. Rosyjski prezydent zapewnił, że choć obydwaj przywódcy nie we wszystkim się zgadzają, w Bukareszcie nie dojdzie do żadnej konfrontacji. W oparciu o to zapewnienie Bush zdecydował się na przyjęcie oferty Putina dotyczącej spotkania w Soczi oraz na walkę o sprawę MAP-u podczas szczytu w Bukareszcie.

W ostatnich tygodniach przed szczytem Bush naciskał wciąż na to, by Stany Zjednoczone prowadziły swoją politykę bezpośrednimi kanałami komunikacji, bez wywierania publicznej presji na Niemców w kwestii MAP-u. Kiedy ministrowie spraw zagranicznych obu państw spotkali się na początku marca, zachodnioeuropejscy sojusznicy oczekiwali, że Waszyngton wyłoży wreszcie karty na stół i zdradzi swoje stanowisko w tej sprawie. Zamiast tego, sekretarz stanu Rice kazano zadać serię filozoficznych pytań mających podważyć stanowisko zajmowane przez przeciwników MAP-u. Na podstawie samych tych pytań można było łatwo wywnioskować, po której stronie leżały sympatie Ameryki. Nie była to jednak kampania twar-

dych nacisków, jakich spodziewali się po niej europejscy sojusznicy. Zamiast tego Bush wolał wykorzystywać nieoficjalne kanały komunikacji, szukając możliwości zawarcia kompromisu z kanclerz Merkel. Waszyngton i Berlin nie różniły się wcale w ocenie mocnych i słabych stron MAP-u. Dwa kluczowe punkty, w których ich stanowiska faktycznie były rozbieżne, to z jednej strony kwestia tego, czy zbliżenie tego typu z Tbilisi było rozsądne; z drugiej zaś problem reakcji Rosji na ów sygnał. Waszyngton proponował posługiwanie się w dokumencie takim językiem, jaki przy poparciu MAP-u jednocześnie jasno zapewniałoby Niemców, że nie będzie on równoznaczny z gwarancją członkostwa i że wejście Gruzji do NATO nie nastąpi jeszcze przez długi czas.

Ze swojej strony Berlin proponował użycie takich sformułowań, jakie w praktyce dawałby Gruzji tę samą substancję, którą stanowił MAP, tyle że bez etykiety. Bush nie chciał się jednak na to zgodzić. Był zdecydowany walczyć o MAP. Nie przeszkadzałoby mu nawet, gdyby w rezultacie takiego postawienia sprawy doszło w NATO do sporu i jego propozycja zostałaby przegłosowana (choć tego typu sytuacja w ramach Sojuszu nie miała miejsca od niepamiętnych czasów). Amerykański prezydent wolał walczyć w imię wyznawanych przez siebie zasad. Wierzył w swoje zdolności przekonywania innych oraz w to, że Stanom Zjednoczonym, jak zwykle, uda się przekonać inne państwa Sojuszu do swojego stanowiska.

Ostateczna decyzja o publicznym ogłoszeniu postawy Waszyngtonu w tej sprawie zapadła na pokładzie prezydenckiego samolotu Air Force One, przed jego lądowaniem w Kijowie, gdzie Bush zatrzymywał się w drodze

do Bukaresztu. Z pokładu samolotu doradcy prezydenta dzwoniли do zaprzyjaźnionych sojuszników, informując ich o stanowisku Waszyngtonu oraz pytając o ewentualne poparcie przed tym, co miało okazać się dyplomatycznym odpowiednikiem strzelaniny w O.K. Corral<sup>87</sup>. Przemawiając w Kijowie, Bush potwierdził zdecydowane poparcie Stanów Zjednoczonych dla ukraińskich starań o MAP, następnie dodał: „Jesteśmy dumni z tego, że będziemy was wspierać zarówno na samym szczycie w Bukareszcie, jak i potem”<sup>88</sup>. Po przybyciu na miejsce amerykański prezydent zapytany przez dziennikarzy o swoją ocenę szans Gruzji i Ukrainy na otrzymanie MAP-u odpowiedział:

[MAP] dla Ukrainy i Gruzji to bardzo skomplikowany problem dla przywódców wielu państw biorących udział w szczycie. Ale nie dla mnie. Jestem przekonany, że państwa te mogą już dziś starać się o Aplikację Członkowską. Powiedziałem to podczas pobytu na Ukrainie. Powiedziałem to samo w Ovalnym Gabinetcie gruzińskiemu prezydentowi. I nie zmieniłem w tej kwestii zdania, ponieważ jedną z najwspanialszych cech NATO jest to, że wspiera ono taki rodzaj zachowań na arenie międzynarodowej, dzięki któremu pokój może trwać.

Na pytanie o możliwe reakcje ze strony Rosji Bush odpowiedział zaś w ten sposób: „Zawsze powtarzałem mojemu przyjacielowi, Władimirowi Putinowi, że większa liczba demokratycznych państw wśród jego sąsiadów leży w jego interesie oraz że nie powinien obawiać się NATO. Przeciwnie – powinien wspierać Sojusz, ponieważ jest to sojusz państw oddanych sprawie pokoju”<sup>89</sup>.

Tak oto przygotowana została scena, na której rozegrać miał się o wiele bardziej dramatyczny szczyt NATO, aniżeli można było w owym czasie przypuszczać. Jeszcze kilka miesięcy wcześniej dyplomaci obawiali się nawet, iż będzie on przebiegał w dość ospałej atmosferze. Był to przecież ostatni szczyt z udziałem prezydenta Busha, którego europejscy sojusznicy chcieli godnie pożegnać. Nikt nie odczuwał również potrzeby zgłaszania nowych, ważnych inicjatyw. W rzeczywistości wszyscy czekali już na następcę amerykańskiego prezydenta – i kalkulowali, że nowe pomysły bądź też ewentualne ustępstwa na rzecz Białego Domu najlepiej będzie zostawić na później. Szeroko dyskutowany temat stanowił zawsze Afganistan. Spodziewano się też wystosowania przez NATO zaproszeń dla trzech nowych państw członkowskich z obszaru Bałkanów, tzw. adriatyckiej trójki – Albanii, Chorwacji i Macedonii. Choć wielu miało wciąż wątpliwości co do gotowości tych państw (a dodatkowo toczyła się dyskusja na temat oficjalnej nazwy Macedonii), dominowało jednak przeświadczenie, że nadszedł wreszcie czas na to, by zamknąć kwestię Bałkanów i zająć się poważniejszymi wyzwaniami, jakie stały przed Sojuszem.

Zamiast tego szczyt w Bukareszcie okazał się najbardziej dramatycznym w przebiegu szczytem NATO od spotkania w Madrycie w 1997 roku, kiedy to członkowie Sojuszu debatowali na temat pierwszej rundy jego rozszerzenia<sup>90</sup>. Raz jeszcze kluczowym problemem, wokół którego toczył się spór, była przyszłość i zakres dokonującego się rozszerzenia. W przeddzień szczytu w Bukareszcie na czołówkach gazet pisano przede wszystkim o oficjalnej nazwie jednego z kandydatów do członkostwa, Macedo-

nii, formalnie określanej jako Federalna Jugosłowiańska Republika Macedonii. Spór w tej kwestii toczył się od lat, ponieważ Grecja sprzeciwiała się nazwie „Macedonia”, jako potencjalnie irredentystycznej – Ateny robiły wszystko, co było w ich mocy, by z tej właśnie przyczyny zatrzymać jej kandydaturę. Choć rzecz była niezmiernie ważna z lokalnego punktu widzenia (rządowi obu państw groził upadek w przypadku porażki w tej sprawie), problem miał przede wszystkim charakter historyczny, dotyczył spraw tożsamości i polityki wewnętrznej. Nie chodziło o strategię NATO; wszyscy, nawet Grecy, zgadzali się co do powinności zaproszenia Macedonii do członkostwa. Ewentualny kompromis zakładał, że zostanie ono przedstawione tak szybko, jak tylko kwestia nazwy zostanie rozwiązana. Pomimo tego, to o tej właśnie sprawie dyskutowano najchętniej podczas otwierającej szczyt kolacji, i to ona właśnie nadała powiedzeniu: „wszystko zależy od nazwy” zupełnie nowe znaczenie.

Prawdziwy spór wybuchł jednak o Gruzję i Ukrainę. Stawką nie były kwestie semantyczne, ale strategiczne. Zorganizowano nawet specjalną kolację, aby przywódcom państw i ich ministrom spraw zagranicznych udało się osiągnąć kompromis. Bezskutecznie jednak. Stany Zjednoczone mogły liczyć na poparcie Kanady, Wielkiej Brytanii oraz większości państw Europy Środkowo-Wschodniej. Zbyt długo czekały jednak z wyjawieniem swojego stanowiska i nie przeprowadziły nigdy szeroko zakrojonej kampanii na rzecz przekonania sceptycznie nastawionych krajów. Niemcy również miały krąg państw wspierających ich sprzeciw wobec MAP-u – dziewięć czy dziesięć krajów sceptycznych od samego początku. Były to m.in. Belgia,

Holandia, Grecja, Luksemburg, Włochy, Hiszpania i Turcja. Pozostałe kraje zaś siedziały na płocie, nie mogąc się zdecydować, na którą z jego stron zeskoczyć.

Prawda była taka, że państwa członkowskie NATO podzieliły się w tej kwestii dokładnie pół na pół. Oznaczało to, biorąc pod uwagę panujące w Sojuszu zasady, przewagę państw sprzeciwiających się MAP-owi. Dopóki Berlin trzymał wszystkich w szeregu, o jego przyznaniu można było zapomnieć. Prawdziwe pytanie dotyczyło jedynie tego, czy uda się zawrzeć jakiegokolwiek kompromisowe porozumienie. Wspomniana kolacja nie pchnęła sprawy naprzód. Przywódcy państw członkowskich poprosili sekretarza generalnego sojuszu de Hoop Scheffera, aby przygotował rozwiązanie kompromisowe, które następnego ranka o dziewiątej rano przedyskutowałaby Rada Północnoatlantycka. Podczas nietypowego dla siebie spotkania ze swoimi doradcami w późnych godzinach nocnych prezydent Bush próbował ocenić szanse swojego projektu. Wciąż nie chciał się podać i zgodzić na, jak to określano w żargonie dyplomacji, „najniższy wspólny mianownik”. Hadley oraz Rice zostali wysłani, by reprezentować Waszyngton na porannej sesji, jednak Bush nalegał, żeby niewielka grupa dyskutantów obejmowała również przedstawicieli Polski i Rumunii.

Około wpół do siódmej rano niewielka grupa negocjatorów reprezentujących kluczowe państwa członkowskie NATO zebrała się w celu uzgodnienia treści kompromisowego porozumienia. Byli wśród nich przedstawiciele Stanów Zjednoczonych, Niemiec, Francji i Wielkiej Brytanii – a także Polski i Rumuni. Treść pierwszej propozycji kompromisu przygotowanej przez de Hoop Scheffera

została natychmiast zawetowana przez Niemcy, jako za zbliżona do stanowiska Stanów Zjednoczonych. Druga propozycja została z kolei zawetowana przez USA. Negocjacje szybko skupiły się wokół Stanów Zjednoczonych i Niemiec, polski minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski zaproponował zaś kilka zmian w tekście. W końcu przedstawiono trzecią propozycję. Jej istota sprowadzała się do zadeklarowania przez państwa członkowskie ich poparcia dla Gruzji i Ukrainy; co miało być równoznaczne z rozpoczęciem okresu „intensywnego zaangażowania” NATO w te kraje, w kwestię stworzenia dla nich MAP-u i uzyskania w przyszłości członkostwa w Sojuszu oraz z dokonaniem pierwszej oceny ich postępów podczas kolejnego spotkania na szczeblu ministerialnym przed końcem roku. Tekst został rozdystrybuowany wśród wszystkich delegacji przed posiedzeniem Rady o dziewiątej rano. Rada Waszyngtonu dla progruzińsko nastawionych krajów brzmiała: „Zgódźcie się na to, i tak nie wywalczymy niczego lepszego”.

Jednak zwolenników przedstawienia Gruzji i Ukrainie MAP-u nie dało się zbyć tak łatwo. Po przeczytaniu rozpowszechnionej przez de Hoop Scheffera wstępnej wersji umowy, litewski prezydent Valdas Adamkus głęboko się rozczarował. Z jego punktu widzenia to, co zawarto w dokumencie, było niewystarczające. Wstał z fotela, podszedł do stołu, przy którym siedział Bush oraz delegacja amerykańska, i zapytał, co sądzi o tym sam prezydent. Bush powiedział Adamkusowi: „To jest najlepsze, co udało nam się uzyskać”. Było więc jasne, że Bush nie zamierzał już walczyć o lepsze rozwiązanie. Adamkus, wściekły, wrócił na swoje miejsce. Zdecydował się zaryzykować i podjąć

działania mające nadać dokumentowi bardziej korzystną treść. Również polski prezydent Lech Kaczyński, spojrzawszy na propozycję, natychmiast ją odrzucił. Wsparcie członków Sojuszu dla sprawy ewentualnego członkostwa było w jego ocenie zbyt słabe, zaś okres „intensywnego zaangażowania” nie stanowił nic innego, jak tylko dodatkowy szczebel w drabinie, po której Ukraina i Gruzja miały wspiąć się do członkostwa. Zamiast więc przybliżyć ich do tego celu, dodano kolejną przeszkodę. Prezydent Rumunii Trajan Băsescu siedział w swoim fotelu, czytając uważnie treść propozycji. Był nie tylko jednym z najgorętszych zwolenników MAP-u i gospodarzem całego szczytu, ale odczuwał również szczególną więź z krajami położonymi w bliskim sąsiedztwie, u wybrzeży Morza Czarnego. Z jego punktu widzenia to, co zawarto w propozycji, nie tylko oznaczało odrzucenie MAP-u na szczycie, którego był gospodarzem, lecz także *de facto* nie zawierało żadnej wyraźnej perspektywy rozwiązania problemu. Odwrócił się do swojej delegacji i powiedział: „Nie podoba mi się to. Jest bardzo dalekie od tego, czego się spodziewałem”. Po czym zapytał swojego ambasadora przy NATO, Sorina Ducaru: „Czy nie możemy spróbować przygotować czegoś lepszego?”.

Băsescu wstał i podszedł do Kaczyńskiego, który zasłonięty szefową swojej kancelarii Anną Fotygą oraz ministrem spraw zagranicznych Sikorskim również studiował uważnie treść propozycji. Băsescu zaproponował, by nie akceptować jej w obecnym kształcie i spróbować wywalczyć coś lepszego. „Jestem z panem” – zgodził się Kaczyński. W tym czasie do sceptycznych głosów przyłączył się również prezydent Litwy Valdas Adamkus. Wszyscy trzej

przywódcy byli zdecydowani walczyć o zmianę treści dokumentu i poprosili swoich doradców o propozycje poprawek. Niebawem przywódcy innych państw z Europy Środkowo-Wschodniej dołączyli do ich grona i wyrazili swoje poparcie dla tego stanowiska.

Gdy de Hoop Scheffer rozpoczął zebranie Rady, szybko stało się jasne, że przedstawiona propozycja nie zostanie przyjęta. Sekretarz generalny poprosił więc delegacje o opuszczenie pomieszczenia, aby dalsze dyskusje mogły zostać przeprowadzone w mniej liczonym gronie – przywódców poszczególnych państw, którym asystować miało po jednym doradcy. Podczas gdy przedstawiciele delegacji opuszczali salę, przywódcy państw Europy Środkowo-Wschodniej raz jeszcze zebrali się, aby postanowić, co robić dalej. Spostrzegłszy to, kanclerz Merkel podeszła do nich i zapytała, jak można by było rozwiązać problem i osiągnąć kompromis. Pierwsza propozycja trzech prezydentów brzmiała, by zmodyfikować tekst, gwarantując Gruzji i Ukrainie otrzymanie MAP-u podczas kolejnego spotkania ministrów spraw zagranicznych NATO planowanego na grudzień. Merkel z góry odrzuciła taką możliwość.

Kaczyński powiedział: „Nie możemy pozwolić, aby Rosja miała prawo weta. To nie fair wobec Gruzji i Ukrainy. Nie tak działa NATO”. Merkel odpowiedziała: „Tu nie chodzi o Rosję ani o jej weto. Chodzi o to, czy te kraje są już gotowe, i o to, czy uważamy, że nadszedł dobry czas na podjęcie takiego kroku”. Băsescu włączył się w tym momencie do dyskusji i zapytał niemiecką kanclerz: „Czy w takim razie zgadzamy się wszyscy, że państwa te zasługują, by stać się członkami NATO oraz że nikt nie

posiada prawa weta?”. Merkel zgodziła się, podkreślając jednak, że nie w tym tkwiło sedno sprawy. Adamkus powtórzył pytanie Bănescu: „Czy zgadzamy się wszyscy, że państwa te powinny zostać członkami NATO?”. „Tak, zgadzamy się – odpowiedziała Merkel. – Różnimy się jedynie w kwestii tego, kiedy ma to nastąpić”. Odpowiedź trójki prezydentów była natychmiastowa i spontaniczna: „W takim razie napiszmy to właśnie!”.

W tym czasie dostawiono parę krzeseł i czwórka przywódców siedziała już w swoistym półokręgu. Niewielki tłum zebrał się wokół nich, obserwując bacznie to, co się działo. Słuchając Merkel, przywódcy Europy Środkowo-Wschodniej dostrzegli nadarżającą się okazję. NATO nigdy nie stwierdziło otwarcie, że jakieś państwo stanie się jego członkiem. Żaden z nich nie otrzymał nigdy takiego zapewnienia. Większość ich zachodnioeuropejskich partnerów, podobnie, nigdy nie zdecydowałaby się na przyjęcie takiej linii działania. Wątpliwe, czy uczyniłby to również sam minister spraw zagranicznych Merkel, ale nie było go już na sali. Gdyby Merkel wyraziła zgodę, byłby to ogromny krok naprzód.

Merkel wyciągnęła pióro i napisała na kartce papieru: „Zgadamy się, że Gruzja oraz Ukraina zostaną któregoś dnia członkami NATO”. Przystudiowawszy zapis słowo po słowie, Bănescu powiedział: „Pani kanclerz, w naszej części świata zwrot «któregoś dnia» znaczy tyle co «nigdy»”. „Zgadza się” – wtórował mu Kaczyński. Merkel zgodziła się na wykreślenie sformułowania „któregoś dnia”, obstawała jednak przy tym, żeby na końcu zdania dodać „jeżeli taka będzie ich wola”. Kaczyński, Adamkus, Bănescu i inni przywódcy Europy Środkowo-Wschodniej

naciskali zaś, by treść deklaracji mówiła o tym, że pierwsze sprawdzenie gotowości Gruzji i Ukrainy do członkostwa będzie ostatnim. Merkel odmówiła.

Podczas gdy treść deklaracji była przepisywana, a delegacje w swoim pełnym składzie powróciły na salę, de Hoop Scheffer wznowił spotkanie. W tym czasie delegacja polska zaczęła się wahać. Ktoś zdał sobie sprawę z tego, iż stwierdzenie „jeżeli taka będzie ich wola” mogło z łatwością zostać użyte przeciwko Ukrainie, gdzie społeczne poparcie dla członkostwa w NATO było bardzo słabe. Kaczyński zabrał głos i powiedział, że Polska nie zgodzi się na takie brzmienie dokumentu oraz że Sojusz powinien zachęcać, nie zaś zniechęcać Kijów do członkostwa. Zwrot zdecydowano się wykreślić, również z powodu jego absolutnej oczywistości – żadne państwo nie mogło zostać członkiem NATO wbrew swojej woli. W ten sposób przywódcom Europy Środkowo-Wschodniej udało się wynegocjować z Merkel lepsze brzmienie dokumentu, aniżeli to, które uzyskały Stany Zjednoczone. Brytyjski premier Gordon Brown miał szepnąć Bushowi półzartem na ucho: „Nie jestem pewien, co tu się stało. Nie zgodziliśmy się na MAP, ale wcale nie jestem pewien, czy nie zrobiliśmy z nich [Ukrainy i Gruzji – przyp. tłum.] właśnie nowych członków NATO”.

Pytanie brzmiało teraz, jak zareaguje na takie posunięcie Rosja – i czy dotrzyma danej Bushowi obietnicy niestwarzania problemów na szczycie. Kiedy asystent sekretarza generalnego NATO Martin Erdmann wychodził z sali z ostateczną wersją deklaracji, natknął się na rosyjskiego zastępcę ministra spraw zagranicznych, Aleksandra Gruszka, który nerwowo kręcił się pod drzwiami. Gruszko

zapytał: „MAP? Co z MAP-em?”. Erdmann powiedział mu, że o MAP-ie nie ma ani słowa, ale że w deklaracji znajduje się stwierdzenie, które z rosyjskiej perspektywy może być jeszcze gorsze. Szybko przeczytał mu całe zdanie i czym prędzej odszedł z jedyną kopią kompromisowego tekstu w dłoni. Co dokładnie usłyszał i zrozumiał rosyjski dyplomata, nie jest jasne.

Pierwszy sygnał na temat tego, jaka będzie rosyjska reakcja, został wysłany jeszcze tego samego wieczoru podczas kolacji w Bukareszcie, na której pojawił się Putin. Sytuacja była bezprecedensowa – po raz pierwszy rosyjski przywódca mógł uczestniczyć w szczycie NATO. Jelcyn odmówił przybycia na szczyt w Madrycie w 1997 roku, kiedy to zdecydowano o pierwszej rundzie poszerzenia Sojuszu. Sam Putin zaś nie pojawił się na szczycie w Pradze pięć lat później, gdy zakończono kolejną rundę poszerzenia, zwaną potocznie „Big Bangiem”. Główny publicznie wyartykułowany cel Moskwy stanowiło oczywiście niedopuszczenie do tego, by Gruzja i Ukraina otrzymały MAP. Można jednak było twierdzić, że w efekcie obydwu państwa otrzymały coś znacznie lepszego; coś o znacznie większym znaczeniu – wyrażoną wprost polityczną obietnicę przywódców NATO, iż któregoś dnia wejdą w strukturę Sojuszu. Była to deklaracja bez precedensu. Kiedy Putin wylądował w Bukareszcie tego wieczoru, wydawał się w znakomitym nastroju; świetnie bawił się podczas kolacji. Wielu dyplomatów odetchnęło z ulgą, w przekonaniu, że udało się uniknąć napięcia.

Następnego ranka jednak Putin pokazał swoją twardszą stronę. Spóźnił się na swoje pierwsze spotkanie z sekretarzem generalnym NATO de Hoop Schefferem. Celem

spotkania było podpisanie umowy gwarantującej tranzyt NATO-wskim dostawom przez terytorium Rosji. Putin rozpoczął od pogratulowania de Hoop Schefferowi przeciwwstawienia się Amerykanom i niedopuszczenia do tego, by Gruzja i Ukraina otrzymały MAP. Był to, żartował sobie rosyjski prezydent, ważny krok naprzód, pokazujący, że Sojusz Północnoatlantycki w rzeczy samej stanowi demokratyczną organizacją, w której nawet Stany Zjednoczone nie zawsze mogą zrealizować swoje zamierzenia. Jak próbował wyjaśnić de Hoop Scheffer, taka ocena była błędna, a NATO działa inaczej. Jasno zakomunikował również, jaką przyjęto deklarację w sprawie Gruzji i Ukrainy oraz że oznaczała ona niepewność jedynie w kwestii tego, kiedy owe państwa wejdą do struktur Sojuszu, nie zaś – czy tak się stanie. Putin kontynuował jednak swoją tyradę i, podpisując umowę dotyczącą tranzytu, udzielił sekretarzowi generalnemu wykładu na temat tego, jak bezskutecznie działały w Afganistanie Stany Zjednoczone i ich NATO-wscy sojusznicy.

Przedstawiając swoje uwagi Radzie NATO-Rosja, de Hoop Scheffer powtórzył to, do czego poprzedniego dnia zobowiązali się członkowie Sojuszu, że Ukraina i Gruzja staną się kiedyś jego członkami oraz że pytanie nie dotyczyło już tego czy, ale kiedy to nastąpi. Gdy Putin wygłaszał swoje przemówienie, Bush słuchał uważnie, sprawdzając, czy ich dżentelmeńska umowa zostanie dotrzymana. Rosyjski prezydent przedstawił swój punkt widzenia jasno, ale w umiarkowany sposób. Dyplomaci rosyjscy średniego szczebla rozdali NATO-wskim tłumaczom przygotowaną wcześniej kopię wystąpienia Putina. W porównaniu do tego tekstu jasno było widać, że Putin zdecydował się po-

minąć najbardziej kategoryczne stwierdzenia. W kwestii poszerzenia NATO Moskwa, jak powiedział, ogólnie była zadowolona z faktu niezdecydowania się przez członków Sojuszu na przyznanie MAP-u wspomnianym państwom. Stwierdził, że gdyby ten problem został rozwiązany w jakikolwiek inny sposób, zapewne nie podpisałby porozumienia dotyczącego tranzytu w Afganistanie<sup>91</sup>. W kwestii Kosowa ponownie podkreślił sprzeciw Moskwy wobec przyznania mu niepodległości, dodał jednak, że Rosja działa w odpowiedzialny sposób i chce nadal współpracować z Zachodem. „Postawiliście nas w bardzo skomplikowanej sytuacji, ale staramy się zachowywać ostrożnie, nie chcąc doprowadzić do załamania obecnego stanu i prowokowania konfliktów zbrojnych” – powiedział rosyjski przywódca.

Choć Putin nie doprowadził do dyplomatycznego skandalu, w zdecydowanych słowach wypowiadał się o Gruzji i Ukrainie. Skrytykował przywódców w Tbilisi za wiarę w to, że wejście do NATO rozwiąże spory dotyczące Abchazji i Osetii Południowej. „Żeby je rozwiązać, nie trzeba wstępować do NATO” – powiedział. Zamiast tego, jak przekonywał, potrzeba było w zapalnym regionie nieco cierpliwości oraz otwartego dialogu. Pomimo faktu, że już w tym czasie Rosja zacieśniała więzi z obydwojma separatystycznymi rządami, bezpośrednio podważającymi gruzińską suwerenność, zasugerował taką myśl: [w Rosji – przyp. tłum.] „staraliśmy się pomóc, przywrócić integralność terytorialną państwa gruzińskiego”. Podkreślił również, że nie było celem Moskwy uznanie niepodległości Abchazji czy Osetii Południowej. „Zachowywaliśmy się w bardzo odpowiedzialny sposób

i możemy wam jedynie radzić, byście również zachowywali się odpowiedzialnie”.

Rosyjski prezydent jeszcze ostrzej wypowiadał się na temat polityki Kijowa, nazywając Ukrainę sztucznym tworem oraz państwem, które ostatecznie się jeszcze nie uformowało. Według niego, co podkreślił, ogromne części tego kraju były zdominowane przez etnicznych Rosjan oraz zostały przyznane Ukrainie w ramach arbitralnych posunięć Stalina. Zapytał retorycznie: „Któż mógłby utrzymywać, że nie mamy tam żadnych interesów?”. Sprawa członkostwa w NATO, jak przekonywał, mogła zagrozić samemu istnieniu Ukrainy. „Powinniśmy działać z wielką ostrożnością. Nie mamy prawa zawetować [takiej decyzji]. Chciałbym jednak, żebyśmy decydując o tych sprawach, wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że Rosja ma na tych terenach również swoje interesy”. Podczas konferencji prasowej po spotkaniu Putin był uprzejmy, ale jasno przedstawił swój sprzeciw wobec idei dalszego poszerzania Sojuszu Północnoatlantyckiego. Jak powiedział, Rosja będzie uważała „powstanie potężnego bloku militarnego” u jej granic za „bezpośrednie zagrożenie” swojego bezpieczeństwa. „Deklaracje, zgodnie z którymi tego rodzaju ruch nie miał być skierowany przeciwko Rosji po prostu nie wystarczą – dodawał. – Bezpieczeństwa narodowego nie buduje się na obietnicach”<sup>92</sup>.

Czy zatem przywódcom NATO udało się podczas szczytu w Bukareszcie osiągnąć historyczny kompromis w kwestii dalszego rozszerzania Sojuszu? Czy też raczej popełniono gafę, która częściowo doprowadziła do wybuchu rosyjsko-gruzińskiej wojny cztery miesiące później? Czy decyzja podjęta w Bukareszcie wraz z zadeklarowaniem

niepodległości Kosowa stanowiły punkt zapalny, który wywołał całą lawinę posunięć strony rosyjskiej i reakcji na owe posunięcia strony gruzińskiej, czego końcowym efektem był wybuch wojny 7 sierpnia? Istniała wyraźna tendencja w zaostrzaniu rosyjskiej retoryki i wywieraniu coraz silniejszych nacisków na Gruzję. Kampania Moskwy rozpoczęła się wiosną 2008 roku, trwała całe lato i wreszcie osiągnęła punkt kulminacyjny na początku sierpnia. Tego rodzaju koincydencja czasowa nie wydaje się być dziełem przypadku. Kiedy zaś przyjrzymy się bliżej samej treści decyzji podjętych w Bukareszcie, zobaczymy, jak sformułowane przez państwa członkowskie obietnice mogły przyczynić się do przyjęcia takiej, a nie innej linii działania przez Moskwę.

Zawarty w Bukareszcie kompromis *de facto* sprowadzał się do decyzji o poszerzeniu z czasem NATO o Ukrainę i Gruzję. Pod wieloma względami był on podobny do kompromisu zawartego w styczniu 1994 roku, kiedy to również stwierdzono, że sprawa poszerzania nie polega na pytaniu „czy?”, ale „kiedy?”. Opuszczając Bukareszt, wielu przywódców było przekonanych, iż udało im się zniwelować podziały istniejące w samym Sojuszu; podziały na tych, którzy chcieli przedstawić Gruzji i Ukrainie konkretną ofertę, i na tych, którzy z całym zdecydowaniem przeciwstawiali się pomysłom proponowania tym państwom MAP-u. Udało się – tak przynajmniej myślało wówczas wielu zachodnich polityków – przejść przez prawdziwe dyplomatyczne pole minowe. Wbrew intencjom jego twórców MAP z technicznego programu mającego przyspieszyć i usprawnić współpracę z kandydatami do przyszedłego członkostwa stał się kartą przetar-

gową w polityce Sojuszu; rodzajem fetysza. Podczas gdy niektórzy z NATO-wskich ambasadorów byli przerażeni bezprecedensową deklaracją przyjętą przez przywódców poszczególnych państw, inni uważali, że była to niewielka cena, którą należało zapłacić za utrzymanie głębszej jedności w ramach samego Sojuszu.

Dopiero później, kiedy kurz już opadł, pojawiły się poważne wątpliwości w kwestii zawartego w Bukareszcie kompromisu. W końcu prawdziwym miernikiem tego, czy jakaś strategiczna decyzja podjęta w ramach NATO była sukcesem czy porażką, jest nie to, na ile odpowiadała politycznym oczekiwaniom poszczególnych państw członkowskich, lecz jaki miała wpływ na realnie dziejące się wydarzenia. I to właśnie w tym wymiarze kompromis z Bukaresztu jest najbardziej narażony na krytykę. Sojusz starał się rozwiązać węzeł gordyjski, pragnąc jednocześnie zachęcić Ukrainę i Gruzję do utrzymywania prozachodniego kursu oraz nie „alienować” Rosji. Taka taktyka doskonale wpisywała się zresztą w dwutorową strategię przyjętą jeszcze w latach 90., kiedy to z jednej strony zabiegano o rozszerzenie NATO, z drugiej – o zacieśnienie współpracy na linii Sojusz – Moskwa. Przynosiła ona dobre skutki zarówno w czasach Jelcyna, podczas pierwszej rundy rozszerzania w 1997 roku, jak i w czasach Putina – podczas drugiej rundy rozszerzania, która miała miejsce w Pradze w roku 2002. W samej swojej istocie strategia ta polegała więc na podejmowaniu działań zmierzających do przybliżenia nowych członków do Sojuszu oraz, w końcowej fazie, ich pełnej integracji z jego strukturami, przy jednoczesnym pogłębieniu relacji z Moskwą. Miało to pokazać, że cele stojące za rozszerzeniem nie

były wobec niej wrogie. Chciano także włączyć Moskwę w ten sposób do szeroko rozumianej zachodniej społeczności międzynarodowej.

Ta sama taktyka nie zadziałała jednak po raz trzeci w Bukareszcie w roku 2008. Kompromis osiągnięty przez państwa NATO ani nie podbudował Gruzinów, ani nie uspokoił Rosjan. Reakcje w Tbilisi prześledzimy szczegółowo w kolejnym rozdziale. Wnioski wyciągnięte przez Moskwę różniły się natomiast drastycznie od tego, na co liczyli członkowie Sojuszu. Z punktu widzenia Rosji osiągnięty w Bukareszcie kompromis oznaczał po prostu, że zagrożenie wejścia Ukrainy i Gruzji do NATO stało się bardzo realne. Przywódcy Sojuszu nigdy wcześniej nie zdecydowali się na podobną deklarację w stosunku do jakiegokolwiek państwa-kandydata. Jednocześnie, szczyt w Bukareszcie pokazał jak na dłoni, jak głęboko podzielone były państwa członkowskie oraz jak drastycznie skurczyły się wpływy Stanów Zjednoczonych. Po raz pierwszy, odkąd pamiętano, amerykański prezydent został praktycznie rzecz biorąc zignorowany w kluczowej dla Sojuszu kwestii podczas NATO-wskiego szczytu. Kiedy i w jaki sposób Sojusz miał się uporać z tymi problemami, nie było wiadomo.

W wyniku decyzji podjętych w Bukareszcie nie tylko nie udało się uspokoić Moskwy. Wynik był wręcz dokładnie odwrotny: sprowokowano ją do znacznie bardziej zdecydowanych działań, jakie podjęła w kolejnych miesiącach, doprowadzając koniec końców do sierpniowej wojny. Z rosyjskiego punktu widzenia po szczycie w Bukareszcie dla kandydujących do członkostwa w NATO państw pojawiła się idealna okazja do tego, by znacznie

zbliżyć się z Zachodem, jeżeli tylko nie zostałyby powstrzymane. Moskwa doszła również do wniosku, że państwa Sojuszu były teraz bardziej niż przedtem zdeterminowane, by przyjąć Ukrainę i Gruzję do swego klubu. Nie mogły jednak dokonać tego w krótkim okresie – dopóty, dopóki nie zostaną usunięte pewne wewnętrzne podziały między nimi. Dla Rosji oznaczało to, że pojawiła się szansa na wykorzystanie braku jedności NATO i postawienie przeszkody na gruzińskiej drodze do członkostwa w Sojuszu. Jak długo ta szansa miała być dostępną opcją, nie wiadano. Jeżeli więc Moskwa była zdeterminowana nie dopuścić do gruzińskiego członkostwa w NATO, musiała działać szybko. I jakaż linia działania mogłaby dać w tym wymiarze lepszy skutek, niż takie zwiększanie nacisku na Tbilisi, aby jej przywódcy w końcu – mówiąc kolokwialnie – pękli?

Po sierpniowej wojnie rozpoczęła się gorąca debata na temat tego, czy Rosję dałoby się powstrzymać od przeprowadzenia ataku, gdyby w Bukareszcie przyznano MAP Ukrainie i Gruzji. Czy wywarcie takiego wpływu na postawę Moskwy faktycznie było możliwe? Dziś możemy już jedynie spekulować. Zdaniem autora tej książki wydaje się to wątpliwe. Problem Sojuszu stanowił brak zdecydowania i jedności. Różnice dotyczące Gruzji i Ukrainy były publicznie znane; wszyscy o nich wiedzieli. W NATO nie doceniano również tego, jak bardzo zdeterminowana była Rosja, by nie dopuścić do wejścia Gruzji do struktur Sojuszu Północnoatlantyckiego. Nawet bardziej zdecydowany komunikat wysłany przez skądinąd podzielone w tej kwestii państwa członkowskie NATO, nie mógł mieć większego wpływu na powstrzymanie Ro-

sji. Skutek taki mogłoby wywołać jedynie wysłanie absolutnie jednoznacznego i silnego sygnału, że rozszerzenie było nieuchronne, zaś wszelkie próby jego powstrzymania miałyby poważne konsekwencje. Wątpię, by samo zaproponowanie MAP-u w Bukareszcie stanowiło tego typu sygnał. Prawdziwą istotą problemu były głębokie podziały wewnątrz Sojuszu, za sprawą których NATO nie było w stanie podjąć tego rodzaju zobowiązania.

Nie da się więc w moim odczuciu odrzucić konkluzji, że koniec końców prawdziwym błędem popełnionym w Bukareszcie było to, iż państwom członkowskim NATO nie udało się działać w jednomyślny sposób i zdobyć się na tego rodzaju zobowiązania wobec Gruzji (nie tylko w słowach, ale i w praktyce), jakie odwiódłby Rosjan od podjęcia działań, na które później faktycznie się zdecydowali. Biorąc jednak pod uwagę wspomniany brak zgody, warto postawić pytanie: czy mniej nie oznaczałoby w tym przypadku więcej? Czego właściwie Gruzja potrzebowała najbardziej – zdecydowanej deklaracji o poparciu czy też prawdziwego zaangażowania i pogłębienia dotychczasowej współpracy? Czy nie lepiej z jej punktu widzenia byłoby, gdyby kompromis koncentrował się na stworzeniu praktycznej bazy dla większego zaangażowania i szerszej obecności NATO na jej terenie? Propozycje zawarcia tego rodzaju kompromisu pojawiały się kilkakrotnie podczas przygotowań do szczytu w Bukareszcie. Nazywano je zwykle „MAP-em bez MAP-u” – pakietem, który zapewniłby zarówno Gruzji, jak i Ukrainie realne korzyści płynące z MAP-u, jednak bez samej tej etykiety. Pomysły te określano nawet jako NAP (*National Action Plan – Narodowy plan działania*) lub nawet GAP (*Georgian Action*

*Plan* – Gruzijski plan działania). Czasami w strategii – tak samo zresztą, jak w życiu – mniej znaczy więcej.

Warto wspomnieć o jeszcze jednej sprawie związanej ze szczytem w Bukareszcie, rozumianej zazwyczaj nieco opacznie i uważanej za kontrowersyjną. Chodzi mianowicie o spotkanie w Soczi i szczyt USA – Rosja. Jego celem było podpisanie nowej umowy o strategicznej współpracy. Spotkanie to miało być jednocześnie okazją do osobistego pożegnania Busha przez Putina. Co więcej, sam dokument miał stanowić swoiste podsumowanie tego, co obu przywódcom udało się wspólnie osiągnąć, oraz rodzaj dziedzictwa dla ich następców. Spotkanie przybrało więc wyjątkowo uroczysty charakter. Obaj prezydenci oraz ich delegacje mogli smakować konserwowane dzikie grzyby, bliny i kawior, kulebiaka z łososiem i krabem, podczas gdy Państwowa Akademia Tańca Ludowego z Adygei oraz Kozacki Chór Państwowy zabawiali gości. Z punktu widzenia przedstawicieli Waszyngtonu, nie był to szczyt, na którym spodziewano się trudnych dyplomatycznych negocjacji. Nie był to również dobry czas na rozpoczynanie jakichkolwiek potyczek. Kontrowersyjne sprawy, takie jak te dotyczące Gruzji, zostały omówione w Bukareszcie. Chodziło tylko o to, że Putin chciał po raz ostatni spędzić miły wieczór w towarzystwie swojego przyjaciela George’a Busha, zanim obydwaj przestaną pełnić swoje funkcje.

Kiedy minęło już kilka tygodni zarówno od szczytu w Bukareszcie, jak i spotkania w Soczi, spisano w końcu i udostępniono do wglądu wysokim przedstawicielom amerykańskiej dyplomacji tzw. memorandum (lub też „memcom”), stanowiące zapis rozmowy obydwu przywódców. Jeden z wysoko postawionych pracowników biura

wiceprezydenta, pracujący na co dzień w Białym Domu, który nie brał udziału w spotkaniu w Soczi, zapoznał się z nim dokładnie. Po pierwszej lekturze tekstu był zaskoczony, po ponownym jego przeczytaniu – zaniepokojony. W jego ocenie zapis wyraźnie pokazywał, że Putin w trakcie spotkania używał niezwykle ostrego, pełnego gróźb języka, w czym można było widzieć próbę przetestowania zdecydowania Busha. Tymczasem amerykański prezydent nic nie odpowiadał. W języku dyplomacji – a zwłaszcza, kiedy rozmowy dotyczą najbardziej wrażliwych kwestii, roztrząsanych na najwyższym szczeblu – milczenie zwykle się uznawać za sygnał mówiący, że sugerowany przez jedną ze stron plan działania nie spotka się ze zdecydowanym sprzeciwem tej drugiej, zachowującej w rozmowie milczenie. W rzeczy samej, milczenie pozwala obu stronom zinterpretować wynik rozmowy tak, jak chcą. Spostrzegłszy ryzyko, iż Rosjanie mogą potraktować owo milczenie jako wyrażone nie wprost zielone światło dla rosyjskich działań przeciwko Gruzji, wspomniany urzędnik postanowił zwrócić na ów problem uwagę swoich przełożonych.

Doradcy prezydenta Busha, którzy przebywali razem z nim na spotkaniu w Soczi i którzy sporządzili własne notatki, nie zauważyli w zachowaniu Putina i jego antygruzińskich uwagach niczego, co można by uznać za *novum*. Nie było przecież żadną tajemnicą, że rosyjski prezydent szczerze nie znosił Saakaszwilego i że od jakiegoś już czasu szukał okazji, by przyłożyć Gruzji. Strona amerykańska zdążyła już przywyknąć do tych tyrad, zaś Waszyngton otwarcie wspierał Gruzynów. Czy było to więc tylko „więcej tego samego”, czy sygnał faktycznie dokonującej się zmiany? Czyżby amerykański prezydent, uradowany fak-

tem urzędzenia dla niego przez Putina tak spektakularnego przyjęcia pożegnalnego, niechcący zasygnalizował brak sprzeciwu Stanów Zjednoczonych wobec rosyjskiej ofensywy na Gruzję? Chociaż to Bush był prezydentem, który ukuł slogan „Nigdy więcej Jały!”, niektórzy z czytelników wspomnianego memorandum obawiali się, że prezydent nie wysłał Putinowi czytelnego sygnału, iż powinien trzymać się od Gruzji z daleka.

## Dyplomacja zawodzi

**D**zień po tym, jak dobiegł końca szczyt NATO w Bukareszcie, szwedzki minister spraw zagranicznych Carl Bildt znajdował się w Tbilisi i brał udział w kolacji z prezydentem Saakaszwilim. Ciekawiło go, jak gruziński prezydent oceniał rezultaty szczytu. Pod wpływem lobbingu ze strony Busha, który naciskał Saakaszwilego, by ten przychylnie wypowiadał się na ów temat w mediach, gruziński prezydent oficjalnie nie zgłaszał żadnych zastrzeżeń. Odpowiadając Bildtowi, Saakaszwili wspomniał jednak o braku poparcia ze strony Europy dla sprawy Gruzji i podsumował (jak zresztą robiła to zdecydowana większość komentatorów), że szczyt zakończył się porażką Stanów Zjednoczonych. Kluczowa kwestia – w sprawie tej gruziński prezydent zgadzał się z Bildtem – polegała na tym, jak przełamać europejski, w szczególności zaś niemiecki, sceptycyzm czy nawet niechęć wobec prozachodnich aspiracji Gruzji. Saakaszwili przypomniał sobie o lunchu w Bukareszcie, podczas którego siedział obok Sarkozy'ego. Francuski prezydent powiedział mu, że odrzucenie propozycji MAP-u dla Gruzji nie było jego winą, ale kanclerz Merkel. Być może była to

naiwna reakcja, ale niechęć gruzińskiego prezydenta do Berlina tylko wzrosła.

Bildt przekonywał, że najlepszym sposobem na przekonanie tak sceptycznych sojuszników jak Niemcy było wzmocnienie prodemokratycznych reform – do czego doskonałym wstępem mogło być sprawne przeprowadzenie zbliżających się w maju wyborów parlamentarnych. Przecież główne powody sprzeciwu Merkel wobec MAP-u dotyczyły nie kwestii stosunków z Rosją, ale właśnie kondycji gruzińskiej demokracji. (Choć tego samego nie dało się już powiedzieć o poglądach niemieckiego ministra spraw zagranicznych, Steinmeiera). Saakaszwili odpowiedział, że te wszystkie argumenty były jedynie pretekstem. Nie wierzył w poparcie ze strony Berlina, nawet gdyby Gruzja stanowiła modelowy przykład demokratycznego państwa. Był przekonany, że jego partia poradzi sobie świetnie w wyborach oraz że wśród opozycji brakowało partnerów do współpracy. Jak przekonywał swojego rozmówcę, głosować na jego ugrupowanie nie chcieli jedynie obywatele tęskniący za dawnymi, sowieckimi czasami i przywilejami, z których mogli wtedy korzystać. Innymi słowy, byli to wyborcy, którymi nie należało się przejmować.

Szybko jednak stało się jasne, że głównym problemem zaprzatającym umysł Saakaszwilego było nie członkostwo Gruzji w NATO, lecz możliwość utracenia Abchazji. Co więcej, szczyt w Bukareszcie nie przyniósł niczego, co mogłoby zminimalizować poczucie osaczenia czy wrażenie, że Rosja szykowała jakieś złowrogie działania. Saakaszwili nie dostrzegał żadnego nowego otwarcia w kwestii Abchazji. Nabierał coraz mocniejszego przekonania, że Moskwa powoli, ale konsekwentnie, będzie starała się wykorzystać

powstałą sytuację przeciw niemu. „Sprawa wyglądałaby zupełnie inaczej – mówił – gdybyśmy mieli do czynienia z jakimś wyraźnym *status quo*. Sęk jednak w tym, że *status quo* się rozmywa”. Putin dwukrotnie osobiście groził Saakaszwilemu uczynieniem z Abchazji drugiego północnego Cypru, jeżeli Gruzja nadal będzie próbowała realizować swoje plany zbliżenia z Zachodem. Moskwa wykorzystywała również precedens kosowski przeciwko Gruzinom. Abchascy przywódcy nie wykazywali zainteresowania prowadzeniem politycznego dialogu z Tbilisi. Poza tym, jak przekonywał Bildta Saakaszwili, i tak byli tylko bandą przestępców. Wszelkie próby prowadzenia z nimi negocjacji z góry skazane więc były jego zdaniem na niepowodzenie.

Kluczem do rozwiązania całej sprawy była Moskwa, jak twierdził Saakaszwili. W tym właśnie sęk, że również rosyjscy politycy nie byli zainteresowani znalezieniem rozwiązania. Znieśli embargo ekonomiczne, które wcześniej zostało nałożone na zbuntowane prowincje, teraz zaś prowadzili dyskusje na temat wielkich inwestycji, mających umożliwić zorganizowanie w Soczi zimowych igrzysk olimpijskich w 2014 roku. Byłoby to równoznaczne z dokonaniem ekonomicznej kolonizacji regionu. Gruziński wywiad wykrył również, że personel wojskowy z kilku rosyjskich jednostek został sprowadzony do Abchazji, aby zapoznać się z terenem. Tym, co nastrajało jeszcze mniej optymistycznie, kontynuował Saakaszwili, był fakt, że Unia Europejska nie chciała poruszyć żadnej z tych kwestii. Gruziński prezydent nie mógł pogodzić się z reakcją europejskich partnerów Gruzji – tak ciężko było im zrozumieć to, co faktycznie się działo. Zamiast

głosów zdecydowanego poparcia słyszał z ich ust, że Tbilisi powinna pogodzić się z utratą Abchazji. Gruzja, jak stwierdził dalej Saakaszwili wyraźnie uniesiony emocjami, nigdy, przenigdy nie mogła się na to zgodzić. Następnie podkreślił, że Gruzini wzmacniali swoje zdolności obronne między innymi dzięki pomocy Izraela i Ukrainy. „Co mam robić – pytał retorycznie – jeżeli Abchazi nie chcą z nami rozmawiać, Rosja nielegalnie rozbudowuje swoje siły wojskowe oraz plany zatopienia objętych konfliktami terenów morzem inwestycji i robotników – i w ten sposób w sensie praktycznym dosłownie przejmując nad nimi kontrolę – a Europejczycy mówią nam, że powinniśmy się pogodzić z utratą Abchazji?” Saakaszwili wspomniał dodatkowo o rozmowie na temat powstałej sytuacji z Rice i Bushem podczas swojej wizyty w Waszyngtonie. Wyczuł u nich pewne zrozumienie dla faktu, że Gruzja posiada swoje „czerwone linie”, których przekroczenie było z jej punktu widzenia niedopuszczalne.

Słuchając tego wszystkiego, Bildt zastanawiał się, czy Saakaszwili naprawdę rozważał możliwość podjęcia przez Gruzję działań militarnych przeciwko Abchazji. Co niepokoiło go najbardziej – gruziński prezydent zdawał się interpretować swoje rozmowy z Bushem jako odpowiednik migającego żółtego światła w sygnalizacji drogowej, wnosił z nich, że amerykański prezydent pozostawiał Tbilisi wolne pole działania we wspomnianej kwestii, gdyby tylko sytuacja nadal rozwijała się w tym samym kierunku. Saakaszwili wspomniał nawet o tym, jak podczas szczytu w Bukareszcie triumfujący chorwacki prezydent Stjepan Mesić powiedział mu, pół żartem, pół serio, że Gruzja mogłaby się wiele nauczyć, studiując chorwacką wersję

operacji „Burza”. Podczas wojny w Bośni w połowie lat 90. Zagrzebowi udało się doprowadzić do pewnych zdobyczy terytorialnych siłą nowych faktów dokonanych. Miały one później niebagatelny wpływ na przebieg negocjacji pokojowych i podpisanie porozumień z Dayton. Członkowie NATO protestowali wprawdzie z początku przeciwko tym działaniom. Szybko jednak zdali sobie sprawę, że chorwackie zdobycze terytorialne w praktyce oznaczały zwiększenie możliwości zakończenia całego konfliktu. Dziesięć lat później o krytyce owych posunięć nawet już nie pamiętano i zaproponowano Chorwacji członkostwo w Sojuszu Północnoatlantyckim.

Bildt spędził kolejną godzinę, próbując przekonać Saakaszwilego o błędności takiego rozumowania. Tłumaczył mu, że pomysł z rozwiązaniem militarnym był chimerą, że wojna z Serbami to było coś zupełnie innego niż wojna z Rosjanami oraz że Gruzja miała przed sobą jeszcze całe lata na rozwiązanie swoich regionalnych konfliktów. Jedynym możliwym sposobem działania, podkreślał Bildt, było podjęcie szeroko zakrojonej inicjatywy dyplomatycznej, w ramach której należało następnie stworzyć polityczne rozwiązanie całego problemu. Bośnia i Bałkany stanowiły zupełnie odrębny przypadek. Kluczową sprawą w wojnie było nie zwycięstwo w pierwszej bitwie, co Gruzji mogło się udać, ale zwycięstwo w bitwie ostatniej. A było to przecież coś, czego Gruzini nie mogli dokonać – przewyższyć Rosjan w sile militarnej. Mimo wykorzystania w tej dyskusji wszystkich argumentów Bildt wyszedł z kolacji zmartwiony. Natychmiast powiadomił swoich amerykańskich przyjaciół o przebiegu rozmowy, wspominając o obawach dotyczących tego, że Saakaszwili

błędnie interpretował sygnały wysyłane przez przedstawicieli administracji Busha.

W Waszyngtonie doniesienia Bildta wywołały konsternację. Urzędnicy przeanalizowali uważnie zapis rozmów Busha i Saakaszwilego w Gabinetcie Ovalnym. Prezydent jasno komunikował, że udzieli Gruzji poparcia, w tym także podczas szczytu w Bukareszcie. Podkreślał jednak jednocześnie konieczność unikania zarówno wszelkich niespodzianek, jak i używania siły do rozwiązania powstałych napięć. Mimo to w Waszyngtonie podjęto decyzję o wysłaniu do Tbilisi komunikatu, który miał rozwiązać wszelkie ewentualne wątpliwości. 17 kwietnia amerykański ambasador w Gruzji John Tefft przekazał prezydentowi Saakaszwilemu mocną w swoim wydźwięku informację o sprzeciwie Stanów Zjednoczonych wobec podejmowania działań wojskowych przez którąkolwiek ze stron. Dodał również, że gdyby Tbilisi zdecydowała się na taki krok, zostałaby sama. Według gruzińskiego prezydenta Bildt musiał błędnie zinterpretować ich wspólną rozmowę, ponieważ nigdy nie wydawało mu się, by Bush w jakikolwiek sposób sugerował, że akcja militarna stanowi dopuszczalną alternatywę działania. Saakaszwili podkreślił również, iż Gruzja użyje siły jedynie wtedy, gdy sama zostanie sprowokowana lub zaatakowana.

Rozmowa Bildta z Saakaszwilim była jednym z wielu sygnałów ostrzegawczych, jakie można było zauważyć wiosną 2008 roku, kiedy Gruzja i Rosja zdawały się zmierzać w stronę wojny o Abchazję. Prawda była taka, że Saakaszwili po swojej ostatniej rozmowie z Putinem w lutym 2008 roku (a więc już po uznaniu Kosowa przez państwa zachodnie) nabrał przekonania, iż rosyjski prezydent

szkował się do wojny. Tak właśnie zrozumiał znaczenie słów Putina podczas swojej wizyty w Moskwie. Przez całą wiosnę wśród czołowych gruzińskich przywódców trwała gorączkowa dyskusja na temat tego, jaka powinna być reakcja Tbilisi. Najbliżsi doradcy Saakaszwilego byli podzieleni. Jedna grupa naciskała na przeprowadzenie prewencyjnej akcji zbrojnej, której celem miało być zajęcie strategicznych obszarów w Abchazji. Cała nadzieja tkwiła w tym, że gruzińskie siły mogłyby przejść obok nielicznego wówczas jeszcze kontyngentu rosyjskich wojsk pokojowych, nie nawiązując z nim walki. Dalej miałyby zająć w większości puste tereny w pobliżu Suchumi, a następnie okopać się i spróbować wynegocjować dyplomatyczne porozumienie z pomocą społeczności międzynarodowej. Inni przedstawiciele najściślejszego grona doradców Saakaszwilego byli natomiast przekonani, że zdecydowanie się na taki ruch było równoznaczne z katastrofą. Gruziniński prezydent zajmował pośrednie stanowisko: był sceptyczny w kwestii rozwiązania zbrojnego, ale nie widział dla niego również żadnej zadowalającej alternatywy.

Zagrożenie możliwością wybuchu wojny gruzińsko-rosyjskiej spowodowało szereg dyplomatycznych działań mających w ostatniej chwili nie dopuścić do konfrontacji. Od dawien dawna najlepszym sposobem, praktykowanym często przez dyplomatów, kiedy stawali w obliczu jakiegoś trudnego problemu lub pogłębiającego się kryzysu, było rozpoczęcie procesu dyplomatycznego. Samo zainicjowanie dialogu pomiędzy dążącymi do konfrontacji stronami może odwrócić dotychczasowe tendencje i zapobiec sytuacji, w której kryzys przeistacza się nagle w wojnę. Ludzie są po prostu mniej skłonni zabijać się

nawzajem, kiedy rozmawiają. Oczywiście, choć tego typu dialog nie zawsze wygląda obiecująco, nieraz w czasie jego trwania pojawiają się nowe możliwości, w oparciu o które można następnie próbować zbudować porozumienie. Starą i sprawdzoną taktyką strategów wojskowych jest jednak wykorzystanie toczących się dyskusji dyplomatycznych czy negocjacji jako pozorów, mającego odciągnąć uwagę od realnych przygotowań do wojny. Prowadzenie rozmów i szykowanie się na bitwę bynajmniej się nie wykluczają. W historii nie brakuje na to przykładów.

Podczas gdy napięcie wzrastało stopniowo wiosną 2008 roku, Waszyngton i Berlin – podobnie zresztą jak sama Tbilisi – podjęły dyplomatyczne inicjatywy, mając nadzieje na to, że uda się dzięki nim powstrzymać napędzającą się wciąż coraz bardziej spiralę konfliktu między Rosją i Gruzją. W ostatecznym rozrachunku okazało się, że zostały one przedsięwzięte zbyt późno i oferowały obu stronom zbyt mało. Czy nie udały się jednak dlatego, że Zachód zasnął za kierownicą i nie potrafił odpowiednio wcześniej odczytać docierających doń sygnałów o strategicznym znaczeniu, w związku z czym, kiedy w końcu przystąpił do działań, nie miał już żadnych realnych możliwości powstrzymania Moskwy i Tbilisi? Czy też raczej mieliśmy do czynienia z klasycznym przypadkiem sytuacji, w której Moskwa pozorowała prowadzenie działań dyplomatycznych, w rzeczywistości zyskując w ten sposób czas na przygotowania wojenne? W omawianym okresie rosyjscy dyplomaci używali przecież wszelkich dostępnych im kanałów komunikacji z Zachodem, by przekonać jego przedstawicieli, że ruchy ich wojsk w regionie były powodowane jedynie chęcią odparcia ewentualnego

natarcia gruzińskiego na Abchazję. Według ich relacji posiadali również dane wywiadowcze potwierdzające, że Saakaszwili nosił się z zamiarem przeprowadzenia tego rodzaju ataku. Zupełnie wprost ostrzegli zarówno Stany Zjednoczone, jak i europejskich partnerów, że Tbilisi starała się nimi manipulować, chcąc doprowadzić do sytuacji, w której to ogon będzie machał psem.

W tym samym czasie Gruzini starali się wykorzystać wszelkie sposoby, by świat zewnętrzny zainteresował się bliżej całą sytuacją i użył wypracowanych wcześniej mechanizmów, stworzonych właśnie po to, by radzić sobie z podobnymi sytuacjami. Karta OBWE przyjęta podczas szczytu w Stambule w 1999 roku stwierdzała, że nowy porządek polityczny w Europie zasadał się na dwóch fundamentach – bezpieczeństwa między, ale również wewnątrz państw. Zapis ten był próbą wyciągnięcia wniosków z doświadczeń bałkańskich z lat 90. Problem, przed którym stanęła Gruzja, był z pewnością takim właśnie rodzajem zagrożenia, jaki mieli na myśli autorzy karty. Kiedy jednak Gruzini próbowali uruchomić mechanizmy stworzone w ramach OBWE i uzyskać jej pomoc, nie otrzymali praktycznie żadnej odpowiedzi. Podobnie, gdy w NATO utworzono w 1994 roku Partnerstwo dla Pokoju, w dokumencie założycielskim uwzględniono klauzule mówiące o tym, kiedy poszczególne państwa mogą konsultować się z Sojuszem, aby uniknąć sytuacji kryzysowej. Gdy Gruzini poprosili jednak NATO o formalne zwołanie Rady Północnoatlantyckiej, aby ta zajęła się wymykającą się spod kontroli sytuacją, powiedziano im, że postąpią lepiej, jeżeli nie będą mieszaali państw Sojuszu do całej afery. Kiedy doszło już do wybuchu woj-

ny w sierpniu, Radzie udało się zebrać na jednym tylko posiedzeniu i wydać jedno oświadczenie. Sekretarz generalny Jaap de Hoop Scheffer przerwał swoje wczasy tylko na jeden dzień. Naczelnym dowódcą Połączonych Sił Zbrojnych NATO w Europie w ogóle natomiast nie przerwał swojego urlopu. Jak na Sojusz o ambicjach rozwiązywania kryzysów na całym terytorium Europy, nie był to imponujący wynik. Stanowiło to raczej jeszcze jeden dowód na to, że europejski system bezpieczeństwa, którego celem były uczynienie życia międzynarodowego przejrzystym i szybka identyfikacja potencjalnych konfliktów, a więc i zapobieganie ich eskalacji, wiosną i latem 2008 roku zawiodł na całej linii.

Atrament jeszcze nie wysechł na deklaracji niepodległości Kosowa, kiedy Rosja zdążyła już przystąpić do pierwszych działań mających na celu zwiększanie nacisku politycznego i wojskowego na Gruzję, czego kulminacją był wybuch wojny 7 sierpnia. 6 marca Moskwa uchyliła decyzję Wspólnoty Niepodległych Państw z 1996 roku, zakazującą dostarczania broni oraz udzielania pomocy wojskowej separatystycznym rządóm [w Abchazji i Osetii Południowej – przyp. tłum.], po czym otwarcie zaczęła je wspierać<sup>93</sup>. Dwa tygodnie później, 21 marca, rosyjska Duma przyjęła uchwałę ponaglającą rząd do uznania niepodległości Abchazji i Osetii Południowej oraz wzywającą go do ochrony rosyjskich „obywateli” znajdujących się w tych regionach<sup>94</sup>. 3 kwietnia rosyjski prezydent Władimir Putin wysłał list do przywódców separatystycznych prowincji, w którym zapewniał ich o swoim poparciu mającym „nie tylko deklaracyjny, ale jak najbardziej realny charakter”<sup>95</sup>. Tak wyglądała odpowiedź Moskwy na uzna-

nie niepodległości Kosowa; odpowiedź, przed którą Putin ostrzegał Saakaszwiliego kilka tygodni wcześniej.

W Tbilisi taki rozwój wypadków doprowadził do sytuacji alarmowej. Podjęte przez Rosjan działania groziły przekroczeniem gruzińskich „czerwonych linii” – a to musiałyby oznaczać jakąś odpowiedź, być może nawet zbrojną. Pierwszą taką „czerwoną linią” z punktu widzenia Tbilisi była sprawa uznania niepodległości prowincji w objętych konfliktami strefach. Drugą było dokonanie szeroko zakrojonych czystek etnicznych na gruzińskich obywatelach zamieszkujących te tereny. Mimo że Gruzini stanowili większość w Osetii Południowej, bardziej obawiano się tego, co mogło stać się w Abchazji. Z tej prostej przyczyny, że rząd w Tbilisi nie miał szerokiego pola manewru, gdyby Suchumi podjęła działania przeciw Gruzinom w regionach takich jak Gali znajdujących się poza zasięgiem Tbilisi. Wreszcie, trzecią „czerwoną linią” dla gruzińskich przywódców było konsekwentne rozbudowywanie przez Rosjan swojej obecności militarnej w regionie. Oddziały te *de facto* umożliwiały Moskwie dokonanie aneksji oraz sprawiały, że negocjacje i próby pokojowego rozwiązania konfliktu były skazane na niepowodzenie.

Najgorszy scenariusz właśnie stawał się rzeczywistością – a przynajmniej wszystko na to wskazywało. Dokładnie tego spodziewano się w Tbilisi ze strony Moskwy wiosną i latem 2008 roku. Przez całą wiosnę gruzińscy dyplomaci alarmowali swoich sojuszników, że rząd Gruzji nie utrzyma się przy władzy, jeżeli będzie się biernie przyglądał dokonywanej przez Rosjan aneksji Abchazji i Osetii Południowej. Partnerzy ze Stanów Zjednoczonych i Unii Europejskiej reagowali jednak na te sygnały w ten

sam sposób, wygłaszając swoją starą mantrę o tym, że bez względu na działania podejmowane przez Moskwę, Tbilisi powinna za wszelką cenę unikać wchodzenia w konflikt z Rosją – było bowiem jasne, że w konflikcie takim może tylko przegrać. Obie strony nie słuchały się więc nawzajem. Wszystkie oczy zwrócone były w stronę Abchazji. Powszechnie zgadzano się co do tego, że była tą ważniejszą z dwóch dążących do separacji prowincji oraz że niebezpieczeństwo wybuchu konfliktu na jej terenie było znacznie większe aniżeli w przypadku Osetii Południowej. Takiej właśnie ewentualności dotyczyły plany przygotowane w gruzińskim Ministerstwie Obrony wiosną 2008 roku.

Po szczycie NATO w Bukareszcie antygruzińska kampania Moskwy uległa dalszej intensyfikacji. Putin dotrzymał danej Bushowi obietnicy i nie urządził sceny w Bukareszcie. Nie oznaczało to jednak, że rosyjski sprzeciw wobec decyzji, które tam zapadły, słabł. Rosyjscy dyplomaci mówili o tym zresztą zupełnie otwarcie. Zaraz po opublikowaniu deklaracji z Bukaresztu, Dmitrij Miedwiediew, który w maju został prezydentem Federacji Rosyjskiej, wydał oświadczenie stwierdzające, że Rosjanie „będą udzielali aktywnego wsparcia południowej Osetii i Abchazji w odpowiedzi na decyzję NATO”<sup>96</sup>. Szef rosyjskiego Sztabu Generalnego w podobnym tonie zapewniał: „Uczynimy wszystko [co będzie konieczne], aby uniemożliwić Gruzji wejście do struktur Sojuszu Północnoatlantyckiego”<sup>97</sup>. 16 kwietnia Putin podpisał dekret o nawiązaniu dyplomatycznych i prawnych stosunków z Abchazją i Osetią Południową<sup>98</sup>. Pomimo narastających trudności we wzajemnych relacjach między Moskwą i Tbilisi, Rosjanie zawsze podkreślali swoje poszanowanie

dla gruzińskiej integralności terytorialnej – o czym Putin zapewniał swoich NATO-wskich partnerów dwa tygodnie wcześniej. Wspomniany dekret w praktyce stanowił jednak zaprzeczenie tej zasady i wyraźny dowód na zaostrożanie się rosyjskiej polityki. Unia Europejska, NATO, OBWE i czołowe państwa Zachodu zgodnie potępiły posunięcie Rosjan i nalegały na cofnięcie dekretu, bezskutecznie jednak.

20 kwietnia rosyjski myśliwiec MIG-29 zestrzelił gruziński (choć wyprodukowany w Izraelu) bezzałogowy aparat latający, tzw. UAV (*unmanned aerial vehicle*), który wykonywał lot zwiadowczy nad objętymi konfliktem obszarami. Statki powietrzne typu UAV nie zostały ujęte w porozumieniu dotyczącym zawieszenia broni z lat 90., niemniej jednak ONZ wielokrotnie oddalała zarzuty, że tego typu loty stanowią pogwałcenie zawartego porozumienia. Działanie Rosjan bez wątplenia było zatem aktem agresji wojskowej. Moskwa nie chciała, by Gruzini przyglądali się jej przygotowaniom wojskowym w Abchazji. Początkowo nie przyznawała się do odpowiedzialności za atak, jednak nagranie wideo z samego UAV, które udało się odzyskać, oraz śledztwo ONZ-owskiej misji obserwacyjnej w Abchazji pomogły ustalić, że atak został przeprowadzony przez rosyjski myśliwiec oraz że całą akcją sterowano za pomocą radaru znajdującego się na lotnisku w Suchumi. Do zniszczenia aparatu latającego użyto rakiet przeciwlotniczych uderzających automatycznie we wskazane źródło ciepła (tzw. *heat-seeking missiles*)<sup>99</sup>.

Sytuacja stawała się coraz bardziej napięta. 18 kwietnia separatystyczny rząd w Suchumi zaalarmował, że oddziały gruzińskie zbierają się w pobliżu Wąwozu Kodori. Misja

Obserwacyjna ONZ w Gruzji przeprowadziła śledztwo w tej sprawie, nie udało się jej jednak znaleźć żadnych dowodów potwierdzających wspomniane zarzuty. Walerij Keniakin, specjalny przedstawiciel rosyjski przy WNP zadeklarował mimo to, że Moskwa była przygotowana na „odpowiedź przy użyciu siły zbrojnej”, gdyby w Tbilisi zdecydowano się na zaatakowanie Abchazji. Trzy dni później Moskwa ponownie protestowała, utrzymując, że Gruzini zwiększają swoją obecność wojskową w Wąwozie Kodori i przygotowują się do inwazji. Rosja ogłosiła więc wysłanie do regionu 400 dodatkowych żołnierzy oddziałów spadochronowych z Noworosyjskiej Dywizji Lotnictwa, co miało wzmocnić możliwości obronne Abchazji oraz stworzyć nowe punkty kontrolne w rejonie rzeki Enguri. Krok ten podjęto bez wymaganego w takich przypadkach uprzedniego powiadomienia strony gruzińskiej, w związku z czym stanowił on pogwałcenie porozumienia dotyczącego operacji pokojowych zawartego w ramach Wspólnoty Niepodległych Państw. Na początku maja Moskwa ogłosiła, że jej obecność wojskowa w regionie została zwiększona do 2500 żołnierzy. Gruzini szacowali jednak, że w rzeczywistości liczba ta wynosiła blisko 4000. W tym samym mniej więcej czasie rosyjskie dowództwo lotnicze wydało ogólnokrajowe wezwanie do służby pilotów śmigłowców, mających doświadczenie w lotach nad górzystymi terenami<sup>100</sup>. Jeden z rosyjskich pilotów, którego Gruzinom udało się schwycić już w trakcie trwania wojny, był rezerwistą powołanym do służby zaledwie kilka miesięcy wcześniej, ponieważ znał doskonale tereny objęte działaniami wojennymi – służył na nich jeszcze w czasach sowieckich.

W połowie maja rosyjskie media zaczęły donosić, że wojna w Abchazji jest nieunikniona oraz że Gruzini planowali podjęcie ataku z Wąwozu Kodori i regionu Gali. W rzeczywistości przeprowadzenie przez Gruzinów ataku z Wąwozu Kodori graniczyło z niemożliwością. Zarówno od strony gruzińskiej, jak i abchaskiej osłaniały go pasma górskie o wysokości około czterech tysięcy metrów – były to więc tereny w znacznej mierze niedostępne. Gruzini posiadali tam pewne nieliczne oddziały, stanowiły one jednak odpowiedniki lekkiej piechoty i nie nadawały się do przeprowadzenia akcji ofensywnej. Były natomiast zdolne bronić się na górskim terenie, gdyby same zostały zaatakowane. Z wąwozu ku Abchazji prowadziła tylko jedna droga, którą zgromadzone w okolicy oddziały rosyjskie i abchaskie z łatwością mogły zablokować. Próby przeprowadzenia ataku z Senaki<sup>101</sup> wymagałyby użycia bardziej konwencjonalnych sił i miałyby większe szanse powodzenia. Był to zresztą jeden z możliwych scenariuszy zakładanych przez Tbilisi. Jednak latem 2008 roku, gdy jedna brygada gruzińskich wojsk stacjonowała już w Iraku, druga zaś przygotowywała się do swojej zmiany, Gruzini nie dysponowali siłami zdolnymi do podjęcia szerzej zakrojonych akcji wojskowych w okolicach Senaki.

Działania inicjowane przez Tbilisi stawały się coraz bardziej nerwowe, szarpane. Wybory parlamentarne miały odbyć się 21 maja i nie było pewne, jaki wpływ ich wyniki będą miały na sprawy bezpieczeństwa. Będąca u władzy partia Saakaszwilego prowadziła swoją kampanię pod hasłami tworzenia nowych miejsc pracy i zwiększania emerytur, odsuwając na bok kwestie związane z bezpieczeństwem narodowym. Pomimo tego niebezpieczeń-

stwo wojny migotało ciągle gdzieś w tle. Rozmieszczenie dodatkowych oddziałów spadochronowych utwierdziło Saakaszwilego w przekonaniu, że rosyjska ofensywa wojskowa, której tak się obawiał, jest już przygotowywana. W dniu, gdy ogłoszono tę wiadomość, zadzwonił do sekretarza gruzińskiej Rady Bezpieczeństwa Narodowego, Aleksandra Lomai i powiedział: „Zaczęło się”. Dosłownie za chwilę gruziński prezydent zadzwonił raz jeszcze i stwierdził, że jego poprzedni telefon to fałszywy alarm. Epizod ten znakomicie jednak pokazuje, jak napięta była sytuacja. W wyborach 21 maja partia Saakaszwilego odniosła wyraźne zwycięstwo, zbierając 59% głosów – więcej, aniżeli uzyskał sam jej przywódca w styczniowych wyborach prezydenckich. Niezadowolenie w kraju zwiększało się, opozycja nie była jednak w stanie wykorzystać tej sytuacji i stworzyć jakiejś czytelnej alternatywy. Rosyjskie wymachiwanie szabelką nie wywoływało więc większych efektów<sup>102</sup>.

Moskwa zintensyfikowała swoją antygruzińską kampanię również na innych frontach. Na początku maja przedstawiciele NATO oraz delegat rosyjski spotkali się w Brukseli w ramach stale toczących się konsultacji NATO – Rosja. Rosyjski szef Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych, generał armii Jurij Bałujewskij zaszokował swoich NATO-wskich partnerów ostrzeżeniem, że latem może dojść do wojny przeciw Gruzji, o ile nie zostaną podjęte odpowiednie kroki mające powstrzymać wybuch konfliktu. Namawiał również państwa członkowskie Sojuszu do rezygnacji z planowanych na lato ćwiczeń wojskowych z udziałem sił NATO i USA. W przeciwnym razie groziło im znalezienie się na linii ognia i poniesie-

nie strat w ludziach. Bałujewskij zasugerował również, że rosyjski wywiad dysponuje dowodami potwierdzającymi plany Saakaszwilego co do zajęcia Abchazji siłą, powzięte, aby odwrócić w ten sposób uwagę od wewnętrznych trudności, z którymi borykał się jego rząd. Wypowiedzi Bałujewskiego uznano jednak za kolejny przykład rosyjskiej polityki „prężenia mięśni” wobec Tbilisi. Z perspektywy wydaje się, że był to sygnał ostrzegawczy, którego nie dostrzeżono<sup>103</sup>. Od zakończenia spotkania NATO i Rosja korzystały z nieformalnego kanału komunikacji między Naczelnym Dowódcą Połączonych Sił Zbrojnych NATO w Europie a rosyjskim Sztabem Generalnym. Używano go już wcześniej, w latach 90. Tym razem jednak nie doprowadziło to do żadnych konkretnych działań zmierzających do ustabilizowania sytuacji w zapalnym regionie. Państwa Sojuszu zajęte były problemami w Afganistanie i straciły już sporą część swoich zdolności z okresu zimnej wojny, które pozwalały należycie zinterpretować sygnały o strategicznym znaczeniu, następnie zaś przejść do odpowiednich działań.

30 maja Gruzini podjęli kroki zmierzające do uspokojenia sytuacji. Ambasador Irakli Alasania ogłosił w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, że Tbilisi nie będzie już prowadziła lotów aparatów UAV nad Abchazją. Nadzieje na odpowiedź Rosji symetrycznym działaniem zostały rozwiane kilka dni później, gdyż Moskwa ponownie zwiększyła nacisk, ogłaszając rozmieszczenie dodatkowych 400 żołnierzy w Abchazji w celu „dokonania napraw torów kolejowych i infrastruktury” między Suchumi i Ochamchirą<sup>104</sup>. Było to z jej strony kolejne nielegalne i uczynione w złych intencjach posunięcie. Gruziński wiceminister spraw za-

granicznych, Grigol Waszadze powiedział wtedy, że „nikt nie potrzebuje sprowadzać do jakiegoś terenu żołnierzy, by pracowali na torach, jeżeli nie szykuje interwencji militarnej”<sup>105</sup>. Te słowa okazały się prorocze. Wspomniani żołnierze skończyli swoją pracę na samym początku sierpnia, a więc tuż przed rosyjską inwazją. Odnowione tory kolejowe i drogi pomogły Rosjanom znacznie sprawniej przemieszczać swoje siły wojskowe oraz zaopatrzenie w chwili, gdy dokonywali napaści na Gruzję.

W tym momencie bito na alarm również na Zachodzie. Administracja Busha stanęła przed poważnym problemem. Gruzińskie plany związania się z Zachodem uznawano powszechnie – słusznie bądź nie – za amerykański projekt, którego głównym pomysłodawcą był prezydent Bush. To Waszyngton stanowił również główną siłę sprawczą, która doprowadziła do uznania niepodległości Kosowa oraz forsowała przedstawienie MAP-u Gruzji i Ukrainie. Rosyjskie ostrzeżenia, że taka linia działania Stanów Zjednoczonych w wyżej wymienionych sprawach będzie miała swoje konsekwencje w konfliktach dotyczących Abchazji i Osetii Południowej, zostały zignorowane. Czy jednak Moskwa faktycznie blefowała? Jak uważali niektórzy amerykańscy urzędnicy, swoiste zawieszenie sprawy MAP-u w Bukareszcie może skusić Moskwę do podjęcia zdecydowanych działań przeciwko Gruzji. Niewielu miało wątpliwości co do tego, że Rosjanie wsadzają nos w nie swoje sprawy, próbując sprowokować w ten sposób Saakaszwilego, by popełnił jakiś błąd, który Moskwa będzie mogła następnie wykorzystać. Saakaszwili obawiał się utraty części terytorium kraju i, zdesperowany, brał pod uwagę ewentualność przeprowadzenia ataku

na Abchazję, z czego w Waszyngtonie zdawano sobie również doskonale sprawę.

Matt Bryza był wysokim urzędnikiem amerykańskiego Departamentu Stanu, odpowiedzialnym za prowadzenie spraw związanych z Gruzją. Na nim skupiała się więc cała frustracja strony gruzińskiej. Jednocześnie Bryza był jedyną osobą, która w pełni podzielała obawy Gruzinów. Ci ostatni z nim właśnie prowadzili rozmowy – a także z jego odpowiednikiem z Unii Europejskiej, Peterem Semnebym – na przestrzeni poprzednich lat odnośnie możliwości przeprowadzenia akcji militarnej na terenie Abchazji. Rozmowy te nigdy nie miały jednak oficjalnego charakteru. Zwykle dochodziło do nich w momentach kryzysowych i dotyczyły tego, jak odpowiedzieć na wydarzenia w regionie i chronić gruzińskich obywateli. Czasami jednak rozważano również możliwość zbrojnego zajęcia części Abchazji – głównie obszarów, na których Gruzini stanowili większość. Wielu z nas odnosiło się do tych pomysłów jako do scenariusza „grabieży ziemi”. Wspomniane rozmowy zwykle toczyły się podczas prywatnych spotkań – w domu Saakaszwilego, późną nocą w jego kancelarii bądź podczas jednej z ulubionych czynności Gruzinów – picia alkoholu. Mapy kreśliło się w trakcie tych dyskusji na serwetkach, na nich gruzińscy dyplomaci przedstawiali możliwe scenariusze działania.

Eskalacja napięcia wywołana przez Moskwę wiosną 2008 roku była jednym z momentów, w których szeroko dyskutowano wspomniane kwestie. Amerykańscy urzędnicy wiedzieli o rozmowie Bildta z Saakaszwilim. Dochodziły do nich podobne informacje również z innych źródeł. Odpowiedź strony amerykańskiej była mimo to

zawsze jednakowa: nie róbcie tego, jeżeli dacie się wciągnąć w konflikt militarny z Rosją, zostaniecie zniszczeni. Gruzińskie stanowisko wobec takiej odpowiedzi nie zostało od razu wyrażone w pełni. Najpierw przedstawiciele rządu w Tbilisi przekonywali, że militarnie są w stanie poradzić sobie znacznie lepiej, aniżeli oceniali to Amerykanie. Często dodawano przy korzystaniu z tego argumentu prośbę o dostarczenie Gruzji rakiet Stinger, dzięki którym wojska gruzińskie mogłyby skuteczniej przeciwstawiać się rosyjskim atakom lotniczym. W Waszyngtonie rozważano te prośby, ostatecznie zawsze je jednak odrzucano. Strona gruzińska przekonywała również, że możliwość podjęcia działań ofensywnych właśnie kończyła się, ze względu na rozmieszczenie dodatkowych sił rosyjskich w regionie. Jeżeli zatem mieli podjąć tego typu działania, musieli się na nie zdecydować, zanim będzie za późno.

Politycy w Tbilisi byli z czasem coraz bardziej zdesperowani. Oczyma wyobraźni widzieli już, jak tracą Abchazję raz na zawsze, jak Rosjanie kawałek po kawałku przekształcają ją w podległą sobie prowincję. Gruzińscy przywódcy przekonywali więc, że jeżeli Tbilisi nie zdecyduje się na szybkie działania, szansa na odzyskanie utraconych terenów może minąć bezpowrotnie. Co więcej, również przedłużający się stan napięcia – określany czasami mianem „cichej” albo „niewypowiedzianej wojny” – wzmagął ich niepokój, odstrasząc zachodnich inwestorów. Raz jeszcze w otoczeniu Saakaszwilego dało się więc słyszeć głosy, że najlepszą z dostępnych możliwości działania było natychmiastowe przeprowadzenie ograniczonej operacji militarnej, która ustanowiłaby nową linię podziału w Abchazji i tym samym zakończyła okres nie-

pewności. Kwestię tę dyskutowano podczas wizyty gruzińskiej delegacji w amerykańskim Departamencie Stanu w kwietniu. Jej członkowie spotkali się wówczas z asystentem sekretarza Danem Friedem, który w udzielonym później wywiadzie stwierdził:

Po raz pierwszy powiedziałem wtedy Gruzinom, że jeżeli zdecydują się na przeprowadzenie ataku, zapewne zwyciężą w pierwszej bitwie, a może nawet i w drugiej. Zwycięstwo w ostatniej bitwie musi jednak – jak przekonywałem – należeć do Rosjan, którzy użyją w takiej sytuacji całej swojej mocy, aby zniszczyć gruzińskie wojska. Dodałem, że zrobiliby to z radością. Nie stwarzajcie im takiej okazji, powiedziałem<sup>106</sup>.

W tym samym miesiącu amerykański doradca ds. bezpieczeństwa narodowego Stephen Hadley, zaniepokojony faktem, że sytuacja w Abchazji stopniowo wymykała się spod kontroli, zwołał specjalną serię spotkań w Białym Domu poświęconych tej sprawie. Jego celem było przygotowanie inicjatywy dyplomatycznej, która powstrzymałaby przeobrażenie trwającego od 16 lat lokalnego sporu, dotyczącego dwóch niewielkich prowincji w górzystych regionach Kaukazu, w wojnę z prawdziwego zdarzenia. Wypracowana wówczas w ramach owych spotkań w Waszyngtonie odpowiedź sprowadzała się do próby nowego ujęcia całego zagadnienia. Chodziło o to, aby zrezygnować z sytuacji, w której Tbilisi musiała wybierać między dwiema złymi możliwościami – biernym przyglądaniem się aneksji Abchazji i ofensywą militarną – a zaproponować taką, w której Gruzini widzieliby mi-

goczące światło na końcu tunelu – szansę na pokojowe rozwiązanie konfliktu. Aby udało się to jednak osiągnąć, Waszyngton musiał zmienić swoje podejście do wspomnianych konfliktów, a także, szerzej, do Gruzji jako takiej. Co nie było dla nikogo tajemnicą, wielu zachodnich sojuszników nie ufało Saakaszwilemu i nie chciało z nim współpracować. Obawiano się, że gruziński prezydent jest w większym stopniu częścią problemu, niż częścią jego rozwiązania, zaś mocniejsze związanie rządu Gruzji z instytucjami Zachodu mogło go tylko uczynić jeszcze śmielszym w działaniach.

Waszyngton stał tymczasem na dokładnie przeciwnym stanowisku – mianowicie, że najlepszym sposobem na skłonienie Tbilisi do porzucenia wszelkich planów dotyczących działań zbrojnych było jasne zademonstrowanie poparcia ze strony Zachodu, pokazanie Gruzinom, iż nie jest ono fikcją. Celem USA było zatem doprowadzenie do tego, by Saakaszwilemu udało się uniknąć pułapki, którą zastawiała na niego Moskwa. Pułapka ta polegała na konieczności dokonania wyboru między utratą części terytorium a konfliktem zbrojnym, a jej zastawienie miały uniemożliwić działania dyplomatyczne, kreślące nowe perspektywy rozwiązania zaognionych konfliktów. W Waszyngtonie chciano również mieć pewność, że jeżeli Rosja zdecyduje się na dalsze kroki i uzna Abchazję oraz Osetię Południową, to właśnie ona, a nie Gruzja, znajdzie się w międzynarodowej izolacji.

Amerykański plan składał się z trzech elementów. Po pierwsze chodziło o to, by uzmysłwić zarówno krytykom Tbilisi, jak i jej zaniepokojonym sojusznikom, że Gruzini naprawdę pragnęli pokojowego rozwiązania

konfliktu. Chodziło więc o doprecyzowanie i rozwinięcie planu pokojowego, który Saakaszwili ogłosił wiosną. Plan obejmował bezpośrednio rozmowy z przywódcami z Suchumi oraz Abchazami. Saakaszwili był wprawdzie sceptyczny i nie widział w tych rozmowach większego sensu, Waszyngton otrzymał jednak sygnały mówiące, że Abchazi, choć nie chcieli powrotu do Gruzji, byli również zainteresowani większą niezależnością od Rosji i większą otwartością na Zachód. Nikt nie wiedział na pewno, na ile mocne były te pragnienia ani – biorąc pod uwagę silne wpływy rosyjskie – jak daleko Abchazi mogli się posunąć. Mimo to w Waszyngtonie chciano sprawdzić znaczenie tych sygnałów poprzez rozpoczęcie praktycznej współpracy na niskich szczeblach. Miała ona stworzyć sieć bezpośrednich kontaktów między przedstawicielami obu stron i umożliwić dalsze otwieranie regionu na świat.

Drugim elementem planu było udzielenie Gruzji dalej idących gwarancji w kwestii działań rosyjskich. Kluczem było przede wszystkim zrealizowanie od dawna formułowanego przez Gruzynów postulatu złamania rosyjskiego monopolu na dowodzenie siłami pokojowymi w regionie i utworzenie, krok po kroku, faktycznie reprezentujących społeczność międzynarodową sił. Waszyngton naciskał na Unię Europejską, by ta zaczęła wysyłać na obszar konfliktu swoich szkoleniowców policyjnych i monitorowała ściślej zwiększającą się obecność wojsk rosyjskich w regionie, w tym w górnej części Wąwozu Kodori. Chodziło również o umożliwienie uchodźcom powrotu na ich rodzinne tereny. W zamian za to Gruzini mieliby wydać specjalne oświadczenie mówiące, że przy rozwiązywaniu wspomnianych konfliktów nie będą używali przemocy.

Wreszcie trzeci element strategii sprowadzał się do wyjścia poza dotychczasowe próby negocjowania przyszłego statusu Abchazji. Zarówno w Waszyngtonie, jak i w Tbilisi zgadzano się, że wyczerpały one już swoje możliwości, miały jednostronny charakter i musiały ulec zmianie. Od 1990 roku Grupa Przyjaciół Sekretarza Generalnego ONZ – obejmująca Stany Zjednoczone, Niemcy, Francję, Wielką Brytanię i Rosję – stanowiła główny motor napędowy przy próbach rozwiązania problemów w Abchazji. Waszyngton był jednak zdecydowany wyjść poza tak zakreślone ramy. Amerykańscy politycy chcieli zainicjować serię spotkań *ad hoc*, których celem byłoby wdrożenie nakreślonego przez Gruzinów planu pokojowego. Z czasem miało w ten sposób powstać swoiste forum, oparte na bezpośrednich kontaktach z Gruzinami i Abchazami. Funkcjonowałoby ono bez rosyjskiego nadzoru. Plan uwzględniał również powstanie w dalszej perspektywie nowej rady, która włączyłaby do gry również Unię Europejską. W połowie maja Bryza udał się do regionu, aby przedstawić tak zakreśloną strategię Gruzinom i Abchazom. Pomimo dzielących obie strony różnic, spotkała się ona z zainteresowaniem zarówno w Tbilisi, jak i Suchumi. Wysiłki te wzmocniła jeszcze wizyta gruzińskiego ambasadora przy ONZ, Alasanii, w Abchazji. Inicjatywa zastygła jednak w miejscu, gdy najpierw Saakaszwili, następnie zaś Abchazi nagle się wystraszyli.

W opisanym powyżej planie brakowało czytelnego komunikatu dla Moskwy, mówiącego, że wszelkie jej działania przeciwko Gruzji będą miały dla Rosji poważne konsekwencje – zarówno jeżeli chodzi o jej relacje ze Stanami Zjednoczonymi, jak i szerzej, z Zachodem. Wa-

szyngeon, a zwłaszcza Unia Europejska znalazły już jednak do tego czasu wygodną dla siebie wymówkę i oskarżyły obie strony [tj. Rosjan i Gruzinów – przyp. tłum.] o eskalowanie konfliktu, apelując do obu o zachowanie zdrowego rozsądku w działaniu. Nie można było dojść do porozumienia w kwestii tego, kto ponosił większą odpowiedzialność za zaognianie sytuacji. Nie było również wiadomo, czy rosyjskie prowokacje były prawdziwe czy też zostały spreparowane przez nadpobudliwych i sprytnych Gruzinów. Oczywiście, znacznie łatwiej było realizować twardą politykę wobec Gruzji niż wobec Rosji. Niewiele jest dowodów przemawiających za tym, że Stany Zjednoczone i Europa jasno i konsekwentnie ostrzegały Rosjan na wysokim szczeblu o konsekwencjach rosyjskiej agresji. Chociaż wszyscy doskonale wiedzieli, że Moskwa i Zachód mają zupełnie odmienne poglądy na całą sprawę, w rezultacie rozwoju wypadków doszło do paradoksalnej sytuacji – między zaangażowanymi w spór państwami pojawiła się, jeżeli można tak powiedzieć, zgoda na ów brak zgody. I owa zgoda na brak zgody z Rosjanami w kwestii Gruzji była zaś czymś zupełnie innym niż powstrzymanie działań Moskwy.

Stany Zjednoczone nie były jedynym państwem, które próbowało użyć środków dyplomatycznych, aby zapobiec wybuchowi wojny. Również w Unii Europejskiej panowało coraz większe zaniepokojenie sytuacją w Abchazji. Kiedy Rada Europejska zebrała się w maju, było ono już na tyle duże, że przełamało bliźniaczy strach Europy przed konfrontacją twarzą w twarz z Rosją bądź przed stanieniem się zakładnikiem nieodpowiedzialnych decyzji Saakaszwilego. Zdecydowano się wówczas na równoległe

do tych podejmowanych przez Waszyngton działania dyplomatyczne. Car europejskiej polityki zagranicznej, Javier Solana przebywał z wizytą w regionie na początku czerwca, zaproponował wówczas zwiększenie roli UE w konflikcie, co spotkało się z przychylnym przyjęciem wszystkich zainteresowanych stron. Na przestrzeni kolejnych kilku tygodni Unii Europejskiej udało się stworzyć serię niewielkich wprawdzie, ale niepozbawionych znaczenia dla wzajemnego zaufania inicjatyw: od konferencji w Suchumi i Brukseli przez wysyłanie zespołów pomocy dla straży granicznej aż po organizowanie dodatkowych spotkań w stolicy UE, umożliwiających skonfliktowanym stronom prowadzenie dialogu na jednym forum. Wewnętrzne podziały nie pozwoliły Unii na podjęcie dalej idących kroków, ale był to jakiś początek. Mimo że Abchazi i Południowoosetyjczycy początkowo zgodzili się wziąć w nich udział, w ostatniej chwili wycofali się jednak ze wspomnianych inicjatyw.

Z propozycjami wystąpili Niemcy, chcieli odegrać kluczową rolę w sporze. Berlin to w końcu czołowe mocarstwo, mające największy wpływ na kształt europejskiej polityki wschodniej. Był wprawdzie ściśle powiązany z Rosją i prowadził potężne inwestycje w ramach partnerstwa z nią, ale łączyły go także i historyczne więzi z Gruzją. Niemieccy politycy przewodniczyli również Grupie Przyjaciół Sekretarza Generalnego. Poczuli się więc do odpowiedzialności w sprawach konfliktu abchaskiego i jedynie z niechęcią przekazałoby tę rolę Unii Europejskiej. Również w Berlinie dostrzegano zaognienie sytuacji w regionie. Obawiano się wybuchu konfliktu pomiędzy Gruzją i Rosją, gdyż mógł on popsuć nie tylko europejskie, ale przede wszystkim niemieckie relacje z Moskwą.

Kalkulacje Berlina nie opierały się więc na chęci udzielenia pomocy Gruzji, ale raczej na pragnieniu uniknięcia konfrontacji z Rosją, która negatywnie wpłynęłaby na jej relacje z Zachodem.

Berlin wystąpił więc z własnym planem działania – szybko ochrzczonego mianem „planu Steinmeiera”. Podobnie jak plan Amerykanów, składał się on z trzech elementów, z odmiennie jednak rozłożonymi akcentami. W pierwszej fazie należało zmusić Gruzinów do deklaracji mówiącej o wyrzeczeniu się rozwiązań siłowych (co było podstawowym wymogiem rosyjskim), w zamian za ogólne porozumienie w sprawie możliwości powrotu uchodźców na ich rodzinne tereny oraz obustronne wycofanie się z Wąwozu Kodori. Druga faza miała polegać na stworzeniu podstaw współpracy pomiędzy Gruzinami i Abchazami, szczególnie w wymiarze ekonomicznym. Inicjatywy te miały być wspierane przez konferencje międzynarodowych sponsorów, którzy mieli zająć się finansowaniem poszczególnych projektów. Wreszcie w fazie trzeciej należało dojść do porozumienia w kwestii statusu Abchazji dzięki międzynarodowej mediacji. Kiedy Niemcy przedstawili ten plan swoim sojusznikom pod koniec czerwca, Waszyngton zgodził się, pomimo pewnych zastrzeżeń, na przystąpienie do jego realizacji. Mimo to politycy w Berlinie chcieli wziąć na siebie odpowiedzialność włączenia do planu Rosjan. Byli przekonani, że to, co zaproponowali, dawało się pogodzić z podstawowymi założeniami planu przedstawionego przez Amerykanów. Najważniejszą sprawą było jednak rozpoczęcie całego procesu, a także to, żeby przedstawiciele toczących spór stron zaczęli ze sobą rozmawiać zanim dojdzie do wymiany ognia.

W Tbilisi przyjęto inicjatywę Berlina pozytywnie, choć nie bez pewnych obaw. Niemcy były w końcu poważnym graczem w regionie, zaś ich szczególnie dobre relacje z Moskwą mogły okazać się pomocne dla Tbilisi. Sęk jednak w tym, że Gruzini nie ufali Niemcom – i *vice versa*. Według Saakaszwilego oraz polityków z jego otoczenia politycy w Berlinie byli naiwni w postrzeganiu intencji Rosjan. Obawiali się, że Niemcy będą gotowi zgodzić się na rosyjskie żądania, by Kaukaz stał się ich strefą wpływów. Winili również Niemców za storpedowanie szans na otrzymanie MAP-u podczas szczytu NATO w Bukareszcie. Wreszcie, szczególnym brakiem zaufania darzyli niemieckiego ministra spraw zagranicznych Steinmeiera, w którym widzieli głównego adwokata zacieśnienia stosunków na linii Berlin – Moskwa. Niemcy były ulubionym workiem treningowym prezydenta Saakaszwilego, który chętnie koncentrował się właśnie na Berlinie, ganiąc w swoich tyradach Europę za prowadzenie polityki *appeasementu*. W Tbilisi sądzono również, że przedstawiony przez niemieckich polityków plan był zbyt jednostronny – oczekiwano od Gruzinów znaczących ustępstw, zanim mogli otrzymać cokolwiek w zamian. Ponieważ Niemcy negocjowali swój plan z Rosjanami w Grupie Przyjaciół, zanim został on przedstawiony Tbilisi, politycy w Berlinie mogli być niemal pewni, że Gruzini go odrzucą. Na tym polegał problem ze wspomnianym forum oraz, ujmując rzecz bardziej ogólnie, z całym procesem pokojowym. Rosja była *de facto* stroną w konflikcie, ale jednocześnie traktowano ją jako jednego z mediatorów. W Tbilisi nie chciano jednak ani odrzucać planu Steinmeiera, ani ponosić odpowie-

działności za jego klęskę. Gruzinom było na rękę to, że Niemcy w końcu zainteresowali się problemem i pragnęły zaangażować się w jego rozwiązanie. W Tbilisi liczone więc na to, że kiedy Steinmeier zobaczy na własne oczy, jak wygląda sytuacja w regionie, niemiecki punkt widzenia i linia działania zaczną ewoluować.

Opisane wyżej inicjatywy nigdy nie doszły do skutku z kilku powodów. Pierwszym był brak jedności po stronie państw zachodnich. Żadna ze stron – ani Stany Zjednoczone, ani Europa – nie była w stanie zbudować ustrukturyzowanego planu ani wysłać koherentnego przekazu – czy to do Gruzji, czy to do Rosji. Po obu stronach Atlantyku widziano, że sytuacja wymyka się spod kontroli, nie było jednak zgody odnośnie działań mających zmienić ten stan rzeczy. Podczas gdy w Waszyngtonie uznawano, że najlepszym sposobem na wywarcie skutecznego wpływu na Tbilisi było udzielenie Gruzinom szerszego poparcia, europejscy sojusznicy mieli mniej zaufania do Saakaszwilego i obawiali się, że taka polityka mogłaby – wbrew nadziejom USA – zachęcić go do radykalnych działań. Nie chcieli również, by niecierpliwa i lekkomyślna Gruzja wciągnęła ich w konflikt z Rosją, który był sprzeczny z ich interesami. Byli zszokowani słysząc, jak gruzińscy przedstawiciele spekulowali na temat możliwości podjęcia działań zbrojnych. Niemcy czekali przecież dobre pół wieku na okazję, aby ich „zamrożony konflikt” z NRD mógł w końcu zostać rozwiązany na pokojowych warunkach. Wielu Europejczyków było przekonanych, że również Gruzję stać będzie na tego typu strategiczną cierpliwość. Mieli więc niewiele zrozumienia dla pośpiechu, z jakim działał Saakaszwili.

Z amerykańskiej perspektywy, wstrzeźliwość, do której tak zachęcali Europejczycy, była złym rozwiązaniem. Im bardziej bowiem europejscy sojusznicy dystansowali się od Tbilisi w obliczu tego, co Gruzini uważali za agresywne posunięcia Rosjan, tym bardziej pogłębiały się rozczarowanie Europą i brak zaufania Gruzinów do niej. W praktyce oznaczało to kurczenie się wpływów UE w regionie. Okiełznanie strony gruzińskiej wymagało od państw europejskich nie wycofania, ale większego zaangażowania. Europejczycy zanadto obawiali się również nacisku na Moskwę, zwłaszcza w kwestii dokonywania zmian w dotychczasowych ustaleniach dyplomatycznych dotyczących regionu. Woleli współdziałać z Rosją w ramach istniejących struktur i niejako od wewnątrz poprawiać ich niedoskonałości. Swoje zadanie widzieli raczej w tym, by znaleźć rozwiązanie wspólnie z nią, a nie przeciwko niej. Niektórzy Europejczycy w prywatnych rozmowach przyznawali nawet, że Abchazja i tak *de facto* została już przez Gruzję utracona. Nie chcieli w związku z tym inwestować sporych ilości politycznego kapitału w sprawę, którą uznawali za przegraną.

Ujmując rzecz lapidarnie, Europejczycy oczekiwali, że Waszyngton chwyci za lejce i okiełzna Gruzinów. Byli jednak niechętni w kwestii podjęcia kroków, które stanowiłyby odpowiedź na podstawowe wymagania Tbilisi i, tym samym, pomogły Stanom Zjednoczonym zrobić to, czego od nich oczekiwano. W Waszyngtonie zaś zgadzano się z większością oczekiwań Gruzinów co do ich istoty. Potrzebowano jednak pomocy Europejczyków w ich realizacji. Samym sednem amerykańskiego planu było przecież zwiększenie roli Unii Europejskiej w Abchazji. Opierano

się bowiem na założeniu, że obecność Amerykanów może przyczynić się do zaognienia sytuacji. Sojusznicy niechętnie odnosili się do tego, by wziąć na siebie znacznie większą niż dotąd odpowiedzialność. W połowie czerwca było już jasne, że strategia nie zadziała. Zbyt mało oferowano Gruzji w stosunku do jej oczekiwań, aby w Tbilisi uwierzono w cały plan i aby udało się odwrócić dynamikę zachodzących w regionie wydarzeń. W Waszyngtonie tymczasem Fried spotkał się z sekretarzem stanu Rice, by namówić ją do osobistego zaangażowania w coraz bardziej wymykający się spod kontroli konflikt.

Drugi powód, ze względu na który wspomniana strategia nie odniosła spodziewanego skutku, stanowiła Rosja. Moskwa była bowiem kluczowym członkiem tzw. Grupy Przyjaciół zajmujących się Abchazją oraz – przynajmniej oficjalnie – państwem odpowiedzialnym za postępy w procesie pokojowym w separatystycznych prowincjach. Tak naprawdę nie robiła niczego w tym kierunku. Przeciwnie: konsekwentnie uniemożliwiała i sabotowała wszelkie działania, nad którymi nie sprawowała pełnej kontroli lub które nie budziły jej zaufania. Amerykańscy negocjatorzy raz po raz wpadali we frustrację, kiedy ich rosyjscy koledzy w ostatniej sekundzie wycofywali się z uzgodnionych wcześniej inicjatyw dyplomatycznych pod proceduralnymi pretekstami. Działo się tak za każdym razem, gdy kolejny krok był równoznaczny z częściowym opanowaniem konfliktu bądź prowadził do bezpośrednich rozmów abchasko-gruzińskich lub chociaż umożliwiał budowanie wzajemnego zaufania. Można było wręcz odnieść wrażenie, że w takiej sytuacji Moskwa zawsze znajdzie jakiś sposób na zatrzymanie podejmowanej inicjatywy bądź

wpłyne na zmianę postawy samych Abchazów. Wzmocniało to – przynajmniej w niektórych kręgach – pewność, że prowadzone bez przekonania działania dyplomatyczne mają być jedynie środkiem odciągającym uwagę obserwatorów od przygotowań do ataku zbrojnego.

Czerwiec był kolejnym „gorącym” miesiącem, jeżeli chodzi o proces podejmowania decyzji w samym gruzińskim rządzie. Gruzini szukali bowiem sposobu na to, by dać skuteczny odpór posunięciom wykonywanym przez Rosję. Starano się zmobilizować zachodnich sojuszników do większego zaangażowania w regionie, jednocześnie nie dając Moskwie żadnego pretekstu do dalszej eskalacji działań. Jedną z rozważanych możliwości było unieważnienie mandatu udzielonego rosyjskim siłom pokojowym. Nic chyba nie irytowało Gruzinów bardziej niż to, że Rosjanie wykorzystywali swoją pozycję międzynarodową i realizowali neoimperialne cele pod szyldem „akcji pokojowej”. Technicznie rzecz biorąc, Gruzja musiała wyrazić zgodę na przedłużenie mandatu, by rosyjskie siły mogły nadal pozostawać na gruzińskim terytorium. Zawarte porozumienie gwarantowało obu stronom możliwość odejścia od realizacji jego zapisów dzięki specjalnej klauzuli. Część doradców Saakaszwilego sugerowała, by z niej skorzystać. Takie posunięcie miało postawić Moskwę w niewygodnej dla niej sytuacji – jej siły oficjalnie stały by się bowiem wojskami okupacyjnymi. Wykorzystanie klauzuli uruchomiłoby również zegar – Rosjanie mieliby zaledwie 90 dni na wycofanie się.

Tbilisi nie miała złudzeń co do tego, że oddziały rosyjskie po prostu spakują się i wyjadą do domu. Istniała jednak nadzieja na to, iż nowa sytuacja uwiarygodniłaby

gruzińskie apele i podkreśliła prawne oraz moralne aspekty jej protestów. Z perspektywy Gruzji oznaczałoby to koniec farsy, zgodnie z którą rosyjskie wojska w regionie stanowiły bezstronne siły pokojowe. Nie spodziewano się więc żadnych cudów. Szukano zgodnych z prawem międzynarodowym, pozamilitarnych sposobów na powstrzymanie dokonywanej przez Moskwę eskalacji działań. Chciano wymusić stworzenie nowych mechanizmów rozwiązywania problemów w zapalnych regionach. W Tbilisi nie zdecydowano się koniec końców na to posunięcie po wielokrotnych zapewnieniach i interwencjach Amerykanów i Europejczyków. Obawiali się oni, że kiedy tylko po wykonaniu takiego ruchu opadnie kurz, Gruzja znajdzie się w gorszej, nie zaś lepszej niż dotąd sytuacji. Choć istniejące porozumienia i zasady działania okazały się głęboko niedoskonałe, wierzono, że były mimo wszystko lepsze niż brak jakichkolwiek porozumień i zasad. Obawiano się również, iż wspomniane posunięcie poskutkuje wielkim odliczaniem do konfrontacji z Rosją. Aby powstrzymać Gruzinów przed jego dokonaniem, zarówno Rice, jak i Steinmeier zgodzili się przybyć do Tbilisi w lipcu. Przekaz ze strony państw zachodnich brzmiał jasno: dajcie nam jeszcze jedną szansę na uruchomienie procesu dyplomatycznego.

Również w czerwcu przywódcy Gruzji i Abchazji spotkali się pod auspicjami szwedzkiej organizacji pozarządowej, by przedyskutować szczegóły dotyczące najnowszej wersji planu pokojowego stworzonego wiosną przez Bryzę i Alasanię. Zdawało się, że wzbudza on pewne zainteresowanie w Suchumi. Poza tym była to doskonała okazja dla Gruzinów i Abchazów do nawiązania

dialogu bez obecności Rosjan w tym samym pomieszczeniu. Plan zakładał stworzenie wolnej strefy ekonomicznej, dzięki której strona abchaska mogłaby nawiązać nowe relacje ekonomiczne ze światem zewnętrznym. Możliwe byłoby wówczas również wycofanie oddziałów pokojowych poza linię demarkacyjną oraz stworzenie cywilnych sił policyjnych w tych częściach dzielnic Abchazji, w których Gruzini stanowili większość etniczną i w których szczególnie rozwinięta była przestępczość zorganizowana. Wreszcie, *last but not least*, plan zakładał gruzińską deklarację o nieużywaniu przemocy. Niemniej jednak podczas gdy jeszcze w maju Abchazi wykazywali wyraźne zainteresowanie prowadzeniem dialogu z Gruzinami, tym razem zajęli znacznie twardsze stanowisko. Jednocześnie jasno zakomunikowali unijnym dyplomatom, że z chęcią widzieliby większe zaangażowanie Unii Europejskiej w terenie.

Równoległe w Tbilisi podjęto decyzję o tym, by raz jeszcze spróbować doprowadzić do dyplomatycznego rozwiązania napięć w stosunkach rosyjsko-gruzińskich. Nadzieje pokładano w Dmitriju Miedwiediewie, nowym rosyjskim prezydencie i w tym, że nie będzie żywił w stosunku do Gruzji takiej samej niechęci, jak Putin. Liczono więc innymi słowy na to, że będzie bardziej otwarty na możliwość prowadzenia dialogu i zbudowanie nowego pokojowego rozwiązania konfliktu. Saakaszwili rozmawiał z Miedwiediewem telefonicznie 2 czerwca, następnie zaś spotkał się z nim osobiście 6 czerwca w Sankt Petersburgu przy okazji odbywającego się tam szczytu państw WNP. Strona gruzińska z desperacją wyglądała jakichkolwiek sygnałów potwierdzają-

cych, że rozmowy będzie można kontynuować. Putin odrzucił propozycję Tbilisi dotyczącą zorganizowania szczytu prezydentów Rosji i Gruzji; liczono jednak na nieco więcej otwartości na taki pomysł ze strony Miedwiediewa. Saakaszwilemu towarzyszyli wiceminister spraw zagranicznych Grigol Waszadze oraz sekretarz Rady Bezpieczeństwa Narodowego Aleksander Lomaja. Waszadze sugerował, by Saakaszwili najpierw spróbował znaleźć jakąś płaszczyznę porozumienia z rosyjskim prezydentem, zanim poruszy kwestię konfliktów. Obaj przywódcy z wykształcenia byli prawnikami, Waszadze proponował więc, by zacząć rozmowę od łączących ich wysiłków związanych z przeprowadzaniem reform wewnętrznych w obu państwach.

Saakaszwili postanowił zrealizować ten scenariusz i starał się unikać spraw związanych z konfliktami, koncentrując się zamiast tego na kwestiach reform ekonomicznych i prawnych, a także na tym, jak wiele łączyło obie strony oraz jak istotne było zacieśnienie bilateralnej współpracy. Miedwiediew stał się w końcu niespokojny i sam poruszył problem konfliktów. Saakaszwili wyciągnął wówczas mapę, którą przyniósł ze sobą i rozłożył ją na stole. Pokazał na niej, jak jego zdaniem niedawne posunięcia rosyjskie (takie jak modernizacja kolei) doprowadziły do destabilizacji sytuacji w regionie, oraz nakreślił możliwości ograniczenia powstałych napięć. Obie strony wymieniły się następnie argumentami. Po mniej więcej 45 minutach rosyjski urzędnik zasygnalizował, że spotkanie musi dobiegać końca. Tuż przed jego zakończeniem Miedwiediew stwierdził jednak, iż obydwaj przywódcy potrzebują nieco więcej czasu na przedysku-

towanie tych skomplikowanych zagadnień, i zasugerował odbycie kolejnego spotkania gdzieś na południu Rosji. Saakaszwili zaproponował zorganizowanie dwupaństwowego szczytu jeszcze przed końcem lata. Miedwiediew przyjął tę propozycję. Gruziński prezydent zakładał, że oznaczało to spotkanie w Soczi. Według niego byłoby to doskonałe miejsce, by w końcu przeciąć węzeł gordyjski, jakim był problem Abchazji, o czym powiedział rozmówcy. Dodał również, że Gruzja i Rosja mogłyby nawiązać ściślejszą współpracę, aby przyszłe igrzyska olimpijskie w Soczi okazały się sukcesem. W planowanej tam olimpiadzie gruziński przywódca widział bowiem szansę na stworzenie nowej dynamiki współpracy w regionie, dynamiki powstrzymującej dotychczasową eskalację napięć.

Saakaszwili zastanawiał się nad tym, z jakich interesów w regionie ani Rosjanie, ani Gruzini nie byliby gotowi zrezygnować i jak, w związku z tym, można było wyjść z błędnego koła konfliktu w Abchazji. Z jego punktu widzenia najbardziej kluczową kwestią było uzyskanie dostępu do tych części prowincji, w których Gruzini stanowili większość jeszcze przed wojną, i umożliwienie uchodźcom powrotu na ich rodzinne terytoria. Nie było dla niego natomiast konieczne uzyskanie pełnej kontroli nad Abchazją. Zdecydował więc na przedstawienie w formie pisemnej, w liście wysłanym do Miedwiediewa, pakietu stanowiącego propozycję rozwiązania sporu, którą rozważał już od jakiegoś czasu. Współpracując z Waszadzem w ramach bardzo niewielkiego zespołu, Saakaszwili stworzył swoją najodważniejszą jak dotąd propozycję dotyczącą Abchazji.

W liście, datowanym na 21 czerwca, prezydent Gruzji proponował tymczasowe rozwiązanie kwestii Abchazji sprowadzające się – choć starannie unikano słowa „podział” – do wytyczenia w ramach prowincji dwóch stref: jednej otwartej na gruzińskie wpływy, drugiej zaś w całości podporządkowanej Rosji. W skład tej pierwszej wchodzić miały tereny Gali i Ochamchira. To w nich bowiem Gruzini stanowili większość przed wojną i to tam wciąż znajdowało się ich najwięcej. Miała tam powstać wolna strefa ekonomiczna, zarządzana wspólnie bądź to przez mieszany rząd abchasko-gruziński, bądź też przez administrację międzynarodową, pozwalającą Abchazom na handel ze światem. Tbilisi proponowała również stworzenie mieszanych sił porządkowych, którym asystowałyby oddziały międzynarodowe i obserwatorzy. Miały one zajmować się walką ze zorganizowaną przestępczością oraz rozwiązywaniem problemów w obszarach przygranicznych. W zamian – przywódcy gruzińscy byli gotowi podpisać jednostronną deklarację o nieużywaniu przemocy, zaprzestać wysiłków zmierzających do delegitymizacji sił WNP oraz zaakceptować nowe rozmieszczenie wojsk rosyjskich w regionie. Chcieli również współpracować z Moskwą przy organizacji igrzysk olimpijskich w Soczi – z punktu widzenia Kremla był to bowiem bardzo prestiżowy projekt. Co najważniejsze jednak, Gruzini byli gotowi zaakceptować rosyjską obecność w pozostałej części Abchazji w przewidywalnej przyszłości. Nie była to propozycja oparta na zasadzie „ziemia za pokój” ani dokonanie formalnego podziału prowincji. Chodziło o takie rozwiązanie, które pozwoliłoby obydwu stronom zrealizować swoje najbar-

dziej podstawowe interesy i wyjść z konfliktu z twarzą. Gruzja miałyby pewien (monitorowany przez społeczność międzynarodową) wpływ na lokalny rząd w Abchazji w tych częściach prowincji, które z punktu widzenia Tbilisi były najważniejsze. Chociaż więc Gruzini unikali terminu „miękki podział” oraz oficjalnie nie odstępowali od zasady terytorialnej integralności swego państwa, *de facto* to właśnie zaproponowali Rosjanom.

List dostarczono 23 czerwca. Wziąwszy pod uwagę jego treść, nie chciano korzystać z tradycyjnych kanałów dyplomatycznych. Pierwsza odpowiedź rosyjskiego ministerstwa spraw zagranicznych była uprzejma. Nie wiele trzeba jednak było czasu, by Gruzini przekonali się, że ich nadzieje – raz jeszcze – okazały się płonne. 3 lipca rosyjski wiceminister spraw zagranicznych Grigorij Karasin dostarczył do rąk własnych odpowiedź Moskwy ministrowi Waszadzemu w Tbilisi. Gdy tylko Waszadze otworzył kopertę i przeczytał treść dokumentu, wiedział już, że propozycja była martwa. Rosjanie nie zgadzali się na proponowane przez Gruzinów ustępstwa, choć wcześniej na niektóre z nich sami naciskali. Zamiast tego podnosili poprzeczkę w kwestii warunków wstępnych umożliwiających przystąpienie do dalszych rozmów, dodając nowe wymagania. Bezpośrednio po spotkaniu Waszadze udał się do kancelarii prezydenta. Zajrzał do biura sekretarza Rady Bezpieczeństwa Narodowego Aleksandra Lomai. „Czy w liście jest coś ciekawego?” – spytał Lomaja. „Nie” – odparł Waszadze. „W liście w ogóle nic nie ma. Będziemy mieli gorące lato”. Następnego poranka oddziały Osetii Południowej podjęły próbę zamordowania gruzińskiego sojusznika

Dmitrija Sanakojewa przy pomocy miny lądowej typu IED (*Improvised Explosive Device*), kiedy ten przejeżdżał kordonem samochodowym nieopodal Tbilisi. Zatakowano również gruzińskie autobusy szkolne oraz wozy policyjne. To również było czytelnym sygnałem wskazującym na to, że sytuacja stawała się coraz bardziej napięta.

6 lipca Saakaszwili udał się do Kazachstanu na obchody z okazji 10. rocznicy stolicy – Astany, a także by świętować kolejne urodziny kazachskiego przywódcy, Nursułtana Nazarbajewa. Miał nadzieję na to, że porozmawia tam z rosyjskim przywódcą, który również udawał się do Kazachstanu. Miedwiediew nie chciał się jednak z nim spotykać. Rosyjski prezydent nie wykazał nawet cienia tej otwartości, z jaką rozmawiał z gruzińskim prezydentem miesiąc wcześniej, i odrzucił propozycję oficjalnego spotkania z Saakaszwilim, mimo usilnych starań strony gruzińskiej, by je zorganizować. Kiedy przywódcy wszystkich biorących udział w uroczystościach państw zasiedli do wspólnej kolacji, Saakaszwili próbował porozmawiać z Miedwiediewem nieoficjalnie i ponaglić go w kwestii dwupaństwowego szczytu, na którego zorganizowanie zgodzili się przed miesiącem. Miedwiediew wykręcał się twierdząc, że Gruzja nie jest problemem, który stworzył, ale który odziedziczył – dając w ten sposób do zrozumienia, iż nie chciał się angażować w rozwiązywanie zaognionej sytuacji. Według niego nie było sensu organizować szczyt w momencie, gdy obie strony nie miały żadnych rezultatów, którymi mogłyby się pochwalić – uczestnicy byłiby więc rozczarowani przebiegiem takiego spotkania. Kiedy Saakaszwili

li powiedział, że ciężko wyobrazić sobie, by sytuacja mogła być jeszcze gorsza, Miedwiediew stwierdził: „Może być jeszcze o wiele gorsza”. I odszedł.

Kilka dni później, 9 lipca, sekretarz stanu Condoleezza Rice przybyła z wizytą do Tbilisi. W momencie, gdy jej samolot lądował, cztery rosyjskie myśliwce ponownie wkroczyły w gruzińską strefę powietrzną. Nie była to tradycyjna metoda witania amerykańskiego dyplomaty najwyższego szczebla. Jeszcze w trakcie lotu Rice rozmawiała z Friedem o tym, co chcieli osiągnąć w trakcie wizyty. Sekretarz stanu rozumiała, co czuł Saakaszwili – że znalazł się w narożniku, że Rosjanie przestraszyli go swoimi działaniami oraz, jak mu się wydawało, że bezpowrotnie traci Abchazję. Gruziniński przywódca przestał również ufać państwom zachodnim i nie wierzył już w to, iż Waszyngton i jego sprzymierzeńcy nie pozwolą na dokonanie przez Rosję aneksji. Gruzinom nie odpowiadał ponadto plan Steinmeiera i nie ufali też Niemcom. Pytanie brzmiało więc, czy Rice będzie w stanie przekonać polityków w Tbilisi, z prezydentem Saakawszwilim na czele, że istniała wciąż możliwość na pokojowe rozwiązanie konfliktu w sprawie Abchazji bez konieczności podejmowania działań zbrojnych.

Saakaszwili i Rice spotkali się najpierw w kancelarii prezydenta, następnie zaś kontynuowali swoją rozmowę na tarasie restauracji Kopola, skąd rozpościerał się imponujący widok na Tbilisi. Rice powiedziała prezydentowi, że nie ma innego wyjścia, jak zgodzić się na deklarację o nieużywaniu siły. „To, że pan tego nie robi, donikąd pana nie zaprowadzi – przekonywała. – I tak nie ma szans na wykorzystanie opcji wojskowej – zarówno pan, ja, jak

i Rosjanie wiemy o tym doskonale. Odmowa złożenia tego typu deklaracji niczego więc panu nie daje”. Saakaszwili był gotowy na uczynienie takiego kroku, ale pod warunkiem, że będzie on elementem znacznie szerszego pakietu i takiej udzielił odpowiedzi. Rice zasugerowała, że Fried i jego doradcy mogą nakreślić podstawy takiego pakietu tu i teraz. Przedstawiciele obydwu delegacji zebrali się więc, by opracować zarys dokumentu. Negocjacje przeciągały się i dobiegły końca dopiero po kolacji w hotelu Marriott. Po kilku godzinach uzgodniono zmodyfikowaną wersję planu zaproponowanego przez Niemców, uwzględniając deklarację o niestosowaniu siły. Podczas drogi powrotnej do USA następnego dnia Rice zadzwoniła z pokładu samolotu do Niemców, aby upewnić się, że będą skłonni zaakceptować zmiany, jakich dokonano w planie.

Jeszcze przed odlotem Rice zorganizowała z Saakaszwilim wspólną konferencję prasową, podczas której amerykańska sekretarz stanu podkreśliła poparcie udzielane Gruzji przez Stany Zjednoczone w kwestii zachowania pełnej integralności jej terytoriów oraz próbom pokojowego rozwiązania konfliktów z prowincjami. Skrytykowała niedawne posunięcia strony rosyjskiej, powiedziała, że Waszyngton wciąż jest gotowy na prowadzenie rozmów na forum Grupy Przyjaciół Sekretarza Generalnego oraz że zachęcała i będzie zachęcać Gruzynów do prowadzenia negocjacji z Rosjanami i Abchazami. Saakaszwili z kolei potwierdził swoją wolę prowadzenia dialogu z Rosją. Jednocześnie jednak oskarżył Moskwę, że *de facto* nie przestrzegала już prawa Gruzji do sprawowania jurysdykcji nad jej własnym terytorium oraz że dzia-

łając w ten sposób, rzucała bezprecedensowe wyzwanie pozimnowojennemu porządkowi międzynarodowemu w Europie. „To reakcja na plany dotyczące poszerzenia NATO – powiedział. – Jest to również reakcja Moskwy na ogłoszenie niepodległości Kosowa, na zwiększającą się obecność Stanów Zjednoczonych w regionie. Wygląda to tak, jakby niektórzy nie zauważyli po prostu, że «zimna wojna» już się skończyła”<sup>107</sup>.

Po spotkaniu z Rice sfrustrowany Saakaszwili przygotował swój własny plan awaryjny. Poinstruował Radę Bezpieczeństwa Narodowego, by na nowo nakreśliła plany wycofania się przez Gruzję z istniejących porozumień międzynarodowych z Rosją dotyczących Abchazji. Chciał połączyć takie działanie z jednostronną deklaracją o nieużywaniu siły, która byłaby odpowiedzią zarówno na obawy Zachodu, jak i zastrzeżenia strony rosyjskiej. Taki krok pomógłby również podkreślić fakt, że Tbilisi nie chciała ani nie przygotowywała się do konfliktu zbrojnego. Saakaszwili był więc gotów wydać tego typu oświadczenie, ale na swoich własnych warunkach. Cała papierkowa robota i instrukcje dyplomatyczne zostały wykonane najszybciej, jak było to możliwe. Datę realizacji zakreślonego powyżej planu wyznaczono na 16 lipca.

Wykonanie planu zostało jednak zawieszono w związku z wizytą niemieckiego ministra spraw zagranicznych Steinmeiera w regionie. Politycy w Berlinie nie byli zadowoleni ze zmian wprowadzonych przez Waszyngton do nowej wersji uzgadnianego z Gruzjinami planu. Podczas gdy członkowie administracji Busha byli przekonani, że uzgodnienia, do jakich doszło w Tbilisi, ratowały plan, zapewniając zgodę Gruzinów na wzięcie w nim udziału,

w Berlinie obawiano się, że skutek tych uzgodnień był dokładnie odwrotny. Jednocześnie niemieccy politycy nie mogli jednak winić sekretarza stanu Rice za podjęcie prób zaangażowania strony gruzińskiej w całą inicjatywę. Steinmeier udał się więc z wizytą do regionu, by porozmawiać z Saakaszwilim oraz z przywódcą abchaskich separatystów, Siergiejem Bagapszem, a następnie z rosyjskimi przywódcami w Moskwie. Przy każdym postoju na tak zarysowanej trasie udawało mu się uzyskać pozbawioną wszelkiego entuzjazmu zgodę rozmówców na to, by omówić plan raz jeszcze w Berlinie pod koniec miesiąca. Był to niewielki wprawdzie, ale niezwykle ważny krok, który dawał dyplomatom nadzieje na to, że najgorszy scenariusz wydarzeń jednak nie stanie się rzeczywistością. Działania te przypominały jednak próbę stworzenia grającej zespołowo drużyny z samych indywidualistów. Niemieccy dyplomaci wciąż opracowywali szczegóły porozumienia, przygotowując się na planowane spotkanie, gdy wojna wybuchła.

Wizyty Rice i Steinmeiera przekonały Gruzinów, że udało im się kupić nieco czasu i że bezpośrednie zagrożenie wybuchem wojny minęło. Tak naprawdę była to jedynie cisza przed burzą. Kiedy Gruzini odetchnęli z ulgą, wielu z kluczowych dowódców wojskowych z kręgu Saakaszwilego poprosiło o pozwolenie udania się na zasłużony urlop wypoczynkowy. Nawet sam Saakaszwili udał się do Włoch ze swoją rodziną. Spotkałem się z nim na lunchu w Jałcie, słynnym ukraińskim kurorcie, podczas konferencji organizowanej przez ukraińskiego oligarchę Wiktora Pinczuka. Opublikowałem właśnie artykuł na łamach „The Washington Post”, w którym

ostrzegałem, że groźba wojny wciąż pozostawała realna. Wspólnie z Saakaszwilim dyskutowaliśmy o tym, na ile była prawdopodobna. Razem z nami w lunchu uczestniczył też Elmar Brok, ważny niemiecki europoseł. Opowiedział o tym, jak rozmawiał z Władimirem Czyżowem, ambasadorem Federacji Rosyjskiej przy Unii Europejskiej w Brukseli. Stwierdził wówczas, że zamierza wybrać się z wizytą do Gruzji we wrześniu. Czyżow, jak mówił Brok, tylko uśmiechnął się na te słowa i powiedział: „Chyba lepiej będzie, jeżeli polecisz tam wcześniej. We wrześniu może być już za późno”. Te słowa okazały się prorocze.

## Bitwa

29 lipca 2008 roku siły separatystyczne Osetii Południowej rozpoczęły ostrzał gruzińskich sił pokojowych oraz wiosek. Tydzień później Rosja i Gruzja stanęły na krawędzi wojny. W Waszyngtonie rankiem 7 sierpnia asystent sekretarza stanu Dan Fried przeczytał wiadomość mailową przesłaną mu przez Johna Teffta, ambasadora USA w Gruzji. Był to dla niego ten moment, gdy człowiek mówi do siebie pod nosem „o k...”, zdając sobie nagle sprawę z tego, że stało się coś naprawdę złego. Podczas porannego spotkania sekretarz stanu Rice z wysokimi urzędnikami amerykańskiej administracji Fried ostrzegał przed łatwością, z jaką wydarzenia, do których dochodziło w Gruzji, mogą wymknąć się spod kontroli. Podkreślał również, że kryzys był znacznie poważniejszy od dotychczasowych oraz że sprawa wymagała interwencji najwyższych amerykańskich władz. W czasie gdy Fried wypowiadał te słowa, gruzińskie oddziały zostały już rozmieszczone na samej granicy objętej konfliktem strefy, a Temur Jakobaszwili, specjalny wysłannik Saakaszwilego, znajdował się w Cchinwali, bezskutecznie próbując zatrzymać prowadzącą wprost do wojny lawinę wyda-

rzeń. Gdy w Waszyngtonie powoli zbliżało się południe, w Gruzji wojna już się zaczynała.

Między 7 a 12 sierpnia Moskwa rozmieściła w Gruzji około 40 tysięcy żołnierzy. 20 tysięcy znalazło się w Osetii Południowej, przeszedłszy przez Tunel Rokijski, kolejne 20 zaś zostało umiejscowionych w Abchazji. Suma żołnierzy po stronie rosyjskiej przekraczała ponad trzykrotnie siły, którymi dysponowali Gruzini. Zdolności bojowe tych wojsk zdecydowanie zaś przekraczały to, czego wymagała akcja polegająca na ochronie rosyjskich obywateli w regionie czy spacyfikowaniu dążącej do separacji prowincji wielkości Rhode Island. Oddziały te rozmieszczano w regionie już od dawna i znalazły się tam w zupełnie innym celu. Nie tylko zakres i skala rosyjskich działań w tym wymiarze wskazują zresztą na to, że całą operację przygotowywano od dawna. Wszystko, począwszy od modernizacji baz wojskowych i infrastruktury kolejowej, przez zwiększenie dostaw zaawansowanej technologicznie broni dla samych Rosjan oraz lokalnych separatystów, a skończywszy na rozlokowaniu Floty Czarnomorskiej, wskazywało na to, że całe przedsięwzięcie musiało być planowane od dłuższego czasu.

Od późnej wiosny Gruzini zaobserwowali co najmniej 26 sporej wielkości rosyjskich kontenerów wojskowych przejeżdżających przez teren Abchazji. Przy pomocy tego nielegalnego transportu dostarczono do prowincji między innymi sporą ilość wozów bojowych piechoty typu BMP/BTR, działa D-30 howitazer, systemy przeciwlotnicze SA-11 BUK, systemy rakietowe BM-21 GRAD oraz systemy przeciwlotnicze ZSU-23-4 Shilka. Mniejsze ilości tego rodzaju broni przewieziono również do Osetii Po-

łudniowej i rozmieszczono w dzielnicy Jawa. Pod koniec 2007 roku utworzono nowe, specjalne brygady do walki w górzystych terenach na północnym Kaukazie – 33. brygada stacjonująca w Botlich, w Tadjykistanie, została następnie przeniesiona do Osetii Południowej, a 34. brygada z Zelenchuk do Abchazji. Wysocy rosyjscy urzędnicy państwowi, tacy jak Nikołaj Makarow, szef Sztabu Generalnego, otwarcie przyznawali po wojnie, że najwyżsi dowódcy bardzo starannie dobierali osoby mające dowodzić rosyjskimi oddziałami w walce przeciwko Gruzji<sup>108</sup>. Taki proces zaś wymagał czasu i zaplanowania.

Natarciom sił rosyjskich z lądu, morza i powietrza towarzyszył również atak w cyberprzestrzeni. Po raz pierwszy w historii inwazja przeprowadzana na lądzie, morzu i z powietrza była skoordynowana z ofensywą toczącą się online. Niektórzy analitycy określili to zjawisko nawet mianem „czwartego frontu” przeprowadzonej przez Moskwę inwazji. Podczas gdy przedstawiciele rządów zachodnich byli bardzo powściągliwi w kwestii publicznego stwierdzenia, że to Rosjanie stali za wspomnianymi atakami, w rozmowach prywatnych znacznie bardziej otwarcie przyznawali, jaką rolę faktycznie odgrywała w tym wszystkim Moskwa. Gruzja stała się obiektem ofensywy w cyberprzestrzeni już pod koniec lipca. Jej częścią był atak na oficjalną stronę internetową gruzińskiego prezydenta, który trwał prawie 24 godziny. Prawdziwa fala ataków rozpoczęła się popołudniem 8 sierpnia, kiedy Rosjanie na serio zaczęli blokować dostęp do gruzińskiej cyberprzestrzeni i przejmować nad nią kontrolę. Jedną ze „zdobyczy” w tej ofensywie była strona gruzińskiego prezydenta, na której zaczęto wyświetlać pokaz slajdów ze zdjęciami

Adolfa Hitlera, który zamiast własnej twarzy miał doklejoną twarz Saakaszwilego. Hakerzy przystąpili do bardzo różnorodnych ataków na gruzińską infrastrukturę. Jedna grupa zajmowała się włamaniem na stronę prezydenta i przejściem jej, a inna przeprowadzała podobny atak na systemy instytucji bankowych. Ofensywa objęła również 38 innych ważnych stron internetowych – między innymi Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Banku Narodowego, Parlamentu, Sądu Najwyższego, Krajowej Komisji Wyborczej, a także ambasad USA i Wielkiej Brytanii, lokalnych urzędów czy międzynarodowych agencji informacyjnych.

Za tą serią działań stało kilka celów. Przejęcie kontroli nad stroną prezydenta Gruzji miało upokorzyć gruziński rząd i pokazać, jak słabo chroniona była jego infrastruktura internetowa. Ataki na instytucje rządowe miały uniemożliwić sprawne działanie, poprzez zablokowanie najszybszych kanałów komunikacji – zarówno pomiędzy tymi instytucjami, jak i ze światem zewnętrznym. Sektor bankowy stał się celem w nadziei na to, że uda się również doprowadzić do chociaż częściowej destabilizacji ekonomicznej. Niektórzy z sojuszników Tbilisi, tacy jak Polska czy Estonia, pozwolili Gruzinom korzystać z własnych stron internetowych jako zastępczej platformy komunikacji ze światem zewnętrznym i społeczeństwem.

Opisana powyżej ofensywa w cyberprzestrzeni miała charakter zmasowany, była znakomicie skoordynowana i przeprowadzili ją eksperci. Jednak to atak na sektor bankowy wydaje się być najbardziej ciekawy i pouczający. Do jego przeprowadzenia wykorzystano setki serwerów, aby zatrzeć ślady prowadzące do jego źródła, oraz znacznie

większą ilości komputerów aniżeli, na przykład, do opanowania strony gruzińskiego prezydenta. Wszystkie ataki rozpoczynały się i kończyły w odstępie nie większym niż 30 minut – zaczęły się około 17:15 8 sierpnia, a zakończyły około 12:45 12 sierpnia. Ten drugi termin odpowiada w przybliżeniu momentowi, w którym Rosjanie ogłosili wstępne zawieszenie broni – dając w ten sposób pokaz swojej dyscypliny, organizacji i kontroli.

Nie tylko tutaj Rosjanie zostawili jednak swoje odciski palców. Specjaliści od ataków internetowych, którzy zajmowali się analizą ofensywy przeprowadzonej przeciwko Gruzji w cyberprzestrzeni, potwierdzali, że Rosjanie kładli coraz większy nacisk na skuteczność tego typu działań w swojej strategii. Jeden z głównych forów użytych podczas ataku – portal StopGeorgia.ru – okazał się rodzajem kuloodpornej sieci, założonej przez fikcyjne firmy, co miało zamaskować fakt, że w całej sprawie palce maczał rosyjski wywiad. Analizy przeprowadzone na podstawie danych dostarczonych przez firmy zajmujące się bezpieczeństwem cyberprzestrzeni oraz przez inne źródła sugerują, że opisywane tu ataki były koordynowane przez grupę ludzi ściśle związanych z polityczną i militarną napaścią na Gruzję. Jeżeli połączymy ze sobą czas i zakres ofensywy w cyberprzestrzeni z rozpoczęciem przez Rosjan kampanii wojskowej na lądzie, w powietrzu i na morzu, stanie się jasne, że ataki w internecie stanowiły element znacznie szerszej strategii oraz że miały cele polityczne i wojskowe. Tak szeroko zakrojoną ofensywę, wykorzystującą dogłębną znajomość techniki włamywania się w cyberprzestrzeni, sponsorować mogło tylko państwo<sup>109</sup>.

Dowody potwierdzające, że atak Rosjan na Gruzję był – by użyć określenia sekretarz stanu Rice – „dokonany z premedytacją”, są obszerne i różnorodne. Najlepszym przykładem są szczegółowe przygotowania militarne oraz cyberataki, opisane powyżej. Potwierdza je dodatkowo fakt rozpoczęcia przez Moskwę nacisku na Izrael, aby powstrzymać stale zwiększające się zaangażowanie emerytowanych wojskowych i ekspertów ds. bezpieczeństwa z Izraela w działania modernizujące gruzińską infrastrukturę obronną oraz izraelską technologię i hardware<sup>110</sup> wiosną 2008 roku. Kolejnym dowodem, któremu poświęciliśmy nieco uwagi powyżej, było umieszczenie blisko 50 rosyjskich dziennikarzy w Cchinwali na kilka dni przed rozpoczęciem działań wojennych. Pod koniec lipca gruziński kontrwywiad otrzymał raporty wskazujące na to, że również rosyjscy lekarze byli wysłani do Cchinwali i że pojawili się w lokalnym szpitalu na początku sierpnia. Żadna z tych informacji wzięta z osobna nie jest przekonująca. Każda stanowi jakby osobną mozaikę. Rozpatrywane pojedynczo budzą zaciekawienie. Dopiero jednak wtedy, gdy złożymy je w całość, tworzą spójny, szerszy obraz i układają się w przejrzystą historię. Jest to obraz metodycznie i od dawna przygotowywanej konfrontacji z Gruzją. Szczegóły rosyjskich planów politycznych i celów militarnych pozostaną zapewne na długo zamknięte w kremlofskich archiwach.

Oczywiście również Moskwa nie była w pełni przygotowana na wojnę. Wydaje się, że posunięcie Saakaszwilego z 7 sierpnia wieczorem zaskoczyło zarówno prezydenta Miedwiediewa, jak i premiera Putina. Putin znajdował się oczywiście w Pekinie, a Miedwiediewowi udało się zwołać

posiedzenie rosyjskiej Rady Bezpieczeństwa Narodowego w południe 8 sierpnia. Pomimo szeroko zakrojonych przygotowań ruch Saakaszwilego był taktycznie niespodziewany, spekulowano więc później, że swoje właściwe uderzenie Rosjanie najprawdopodobniej planowali na kilka dni później. Ów element zaskoczenia musi być jednak postrzegany w szerszym kontekście strategicznych planów rosyjskich, które były realizowane od wielu miesięcy.

Jakie były rosyjskie cele militarne? W ramach planu minimum obejmowały zapewne doprowadzenie do niepodległości Abchazji i Osetii Południowej – co stanowiłoby najprawdopodobniej jedynie preludium do ich włączenia do Federacji Rosyjskiej. Putin ostrzegął przecież gruzińskich przywódców przy niejednej okazji, formułując swoje myśli mniej lub bardziej otwarcie, że ceną za próby zbliżenia się z Zachodem wbrew woli Moskwy może być utrata tych terytoriów. Bardziej fundamentalne pytanie brzmi: czy miało to być koniec czy jedynie początek znacznie bardziej ambitnej strategii polegającej na dokonaniu zmiany władzy w Tbilisi? Wydaje się mało prawdopodobne, by Moskwa zaangażowała tak pokaźne siły zbrojne i przeprowadziła tak długotrwałe przygotowania jedynie po to, by zdobyć dwie niewielkie separatystyczne prowincje, nad którymi i tak w mniejszym bądź większym stopniu sprawowała już kontrolę. Jednocześnie politycy w Moskwie mogli jednak mieć nadzieję na to, że zdobycie owych terytoriów wywrze tak potężny nacisk na rząd w Tbilisi, iż w jego efekcie utraci on legitymizację i upadnie – co równałoby się dokonaniu zmiany władzy metodą pośrednią.

A może była to pułapka? W Moskwie doskonale zdawano sobie sprawę z tego, jak zażarte dyskusje toczono

w Tbilisi na temat rodzaju działań, jakie Gruzini mieli podjąć, gdyby Rosja realizowała strategię „pełzającej aneksji”. Nie było również wielką tajemnicą to, że Saakaszwili nie wierzył w możliwość utrzymania się u władzy, gdyby wspomniane prowincje padły łupem Rosjan. Gruzini nie zawsze korzystali z odpowiednio zabezpieczonych kanałów komunikacji, a rozpracowanie koncepcji kręgu wąskich doradców Saakaszwilego należało do najważniejszych zadań rosyjskiego wywiadu. Być może Moskwa stawiała Saakaszwilego przed nienazwanym przez nikogo po imieniu wyborem: albo zgodzisz się na strategię „pełzającej aneksji” i zaryzykujesz utratę władzy, albo zdecydujesz się walczyć i zostaniesz rozbity w pył. Tak wyglądał narożnik – czy też pułapka, w którą Moskwie udało się wpędzić Tbilisi. Taka była też kara, jaką Rosja pragnęła wymierzyć Gruzji za jej pragnienie stania się niepodległym państwem oraz za to, że chciała korzystać z przynależnego jej prawa do swobodnego zawierania sojuszy, o czym mówiły zgodnie karty OBWE z Paryża i Stambułu.

Paweł Felgengauer, posiadający mnóstwo znajomości korespondent niezależnej rosyjskiej gazety „Nowaja Gazieta”, wielokrotnie pisał potem w rosyjskiej prasie, że „było rzeczą absolutnie oczywistą, iż Rosjanie zaplanowali wszystko z góry”. Ponadto według jego sugestii na Kremlu już w kwietniu zdecydowano o rozpoczęciu działań wojennych w sierpniu. Plan ten, jak przekonywał, zakładał, że „Osetyjczycy sprowokują Gruzinów”, których „jakakolwiek odpowiedź – ostra bądź łagodna – zostanie wykorzystana jako pretekst do przystąpienia do ataku”<sup>111</sup>. Dalej zaś dodawał: „Do wojny doszłoby bez względu na to, co zrobiliby Gruzini. Czy odpowiedzieliby na prowokacje,

czy też nie, inwazja i tak miała nastąpić. Celem było zniszczenie rządu w Tbilisi, pokonanie gruzińskiej armii oraz zatrzymanie gruzińskiego marszu w stronę NATO”<sup>112</sup>.

Zaskakujące było jednak to, że do wojny doszło w południowej Osetii. Wszystkie dowody zebrane w ciągu lata, jak również samo rozmieszczenie rosyjskich oddziałów wskazywały tymczasem raczej na Abchazję. Była przecież o wiele ważniejsza ze strategicznego punktu widzenia. Stanowiła główne zmartwienie Gruzinów; problem, dla którego w Tbilisi nie potrafiono znaleźć strategicznego rozwiązania. To na tej prowincji skupiały się gruzińskie plany obronne, to tutaj rozlokowywano dodatkowe siły wojskowe. Tutaj również Saakaszwili rozważał możliwość przeprowadzenia własnej ofensywy wojskowej. W czerwcu gruziński wywiad sporządził prognozy dotyczące ewentualnej konfrontacji wojskowej z Rosją o Abchazję. Zgodnie z przewidywaniami, miała ona nastąpić jesienią<sup>113</sup>. Nie doszło do niej jednak w Abchazji. Możemy jedynie spekulować, dlaczego tak się stało. Być może chodziło o to, że od Abchazji oddzielała Rosjan strefa buforowa. A być może nieco prawdy zawierały niepotwierdzone raporty, w których sygnalizowano, że rząd abchaski posiadał pewną niezależność i nie chciał zgodzić się na rolę prowokatora przypisywaną mu według moskiewskiego scenariusza. Oddziały gruzińskie i abchaskie nie były aż tak wymieszane, jak siły Osetii Południowej – więcej nawet, oddzielała je od siebie rzeka. Ponadto były bardzo ograniczone, zarówno pod względem liczebności, jak i sprzętu. Trudniej było rozpocząć działania wojenne w Abchazji, jeżeli miałyby się zacząć od eskalacji lokalnych napięć. Ktoś musiałby przecież wykonać pierwszy ruch. Tymczasem dla Gru-

zinów od wiosny 2008 roku pokusa użycia siły stopniowo malała. Rozmieszczenie przez Rosję nowych oddziałów wojskowych w regionie oznaczało, że dogodny dla Tbilisi czas na przejście do ofensywy upływał.

Bez względu na konkretne przyczyny lipiec był w Abchazji wyjątkowo spokojnym miesiącem, chociaż od wiosny sytuacja zdawała się wisieć na włosku. Dwa tygodnie później drastycznie złego obrotu nabrały wydarzenia w południowej Osetii. Rząd Eduarda Kokojty'ego łatwiej dawał sobą manipulować. Był również słabszy, a jego przywódcy obawiali się, że któregoś dnia padną ofiarą targu między Moskwą i Tbilisi. Mogli więc widzieć w konflikcie zbrojnym cyniczny sposób na to, by – paradoksalnie – zapewnić sobie przetrwanie. Ponadto w południowej Osetii, w związku z wymieszaniem grup etnicznych i sił zbrojnych, łatwiej można było zainscenizować prowokacje, które pogłębiłyby kryzys, a następnie doprowadziły do wojny. Wszystko, co Osetia Południowa musiała zrobić, to zacząć strzelać i zabijać gruzińskich cywilów oraz żołnierzy sił pokojowych – i patrzeć, jak Tbilisi na to zareaguje.

Doskonałego wglądu w rosyjskie myślenie i plany strategiczne dostarcza przebieg kolacji, która odbyła się 15 sierpnia w Gori. Udział wzięli w niej m.in. generał Wiaczesław Borysow (główny zastępca dowódcy rosyjskich sił powietrznych) oraz jego zastępca, Aleksandr Kołpaczenko (dowódca 76. Dywizji Powietrznodesantowej z Pskowa), a także wysocy urzędnicy gruzińscy. Po pomyślnym zakończeniu wojny Borysow stał się dowódcą wojsk okupujących Gori oraz, z braku cywilnych władz w regionie, *de facto* człowiekiem sprawującym tam władzę. Należał do starej gwardii rosyjskich generałów – pił

hektolitry wódki, kłął jak szewc i wygłaszał antyzachodnie tyrady. Gruzini chcieli utrzymać dobre relacje z nim oraz jego otoczeniem. Byli mocno uzależnieni od Rosjan w tak prozaicznych sprawach, jak dostarczanie pożywienia do okupowanych wiosek czy ewakuowanie rannych żołnierzy bądź starców.

Tego wieczoru lokalni urzędnicy z Gori zaprosili Borysowa i Kołpaczenkę na kolację. Dołączyli do nich dwaj inni rosyjscy generałowie, Aleksander Lomaja – gruziński sekretarz Rady Bezpieczeństwa Narodowego, a także kilka innych osób. Jedzenie nie należało do najbardziej wykwintnych – bochenek chleba, trochę sera, puszka ryb z pomidorami, parówki, kilka butelek lemoniady i – jakżeby inaczej – butelka wódki. Podczas kolacji Lomaja zapytał dwóch generałów, czemu znaleźli się w Gruzji i jakie otrzymali rozkazy. Kołpaczenko zdawał się nie być zaskoczony takim pytaniem. Można było wręcz odnieść wrażenie, że czekał, aż ktoś w końcu mu je zada. Podniósł prawą dłoń i wskazał na nią palcem drugiej ręki. Spójrzcie, powiedział, to jest Gruzja, kraj rozciągający się od zachodu do wschodu. Kraj ten, mówił dalej, „jest łatwo dostępny”. Wystarczy zatem pociąć go na kilka kawałków, atakując położoną od strony zachodniej Abchazję lub znajdującą się na wschodzie Osetię Południową, zbombardować głównie porty i lotniska, by odciąć tym samym armię od niezbędnych zasobów. Następnie wystarczy już tylko patrzeć i czekać aż dotknięte tymi działaniami społeczeństwo doprowadzi do zmiany rządu. Lomaja odpowiedział generałowi, że wyrażał się z rzadko spotykaną szczerością. „Jestem tylko prostym żołnierzem” – odparł generał, a na jego twarzy zarysował się niewyraźny grymas uśmiechu<sup>114</sup>.

Saakaszwili wydał rozkaz o ataku 7 sierpnia o 23:35. Gruzińskie oddziały musiały wziąć udział w starciu, na które nie były przygotowane ani do którego nie zostały wyszkolone. Plany strategiczne przygotowywane w Ministerstwie Obrony koncentrowały się przede wszystkim na Abchazji. To bowiem właśnie tam, jak oceniano w Tbilisi, prawdopodobieństwo wybuchu konfliktu było największe. Od 2006 roku, a więc od rezygnacji Okruaszwilego, nie powstały żadne nowe plany awaryjne na wypadek zaostrzenia konfliktu w Osetii Południowej. Dla pracowników Ministerstwa Obrony głównym frontem była Abchazja. Zakładano co prawda, że Rosjanie i Południowoosetyjczycy mogą wspólnie zdecydować się na stworzenie drugiego frontu w Osetii Południowej. Gruzińskie cele w przypadku zmaterializowania się takiego scenariusza ograniczały się jednak wyłącznie do działań obronnych mających uniemożliwić polityczny przewrót. Większość sił nawet wtedy miała koncentrować się na Abchazji. Kiedy więc do gruzińskich strategów zajmujących się kwestiami obrony narodowej po południu 7 sierpnia dotarł rozkaz dotyczący przygotowania schematu możliwego uderzenia na Osetię Południową, zerknęli na zarysy planów leżące na półkach i uznali, że na nic się nie zdadzą. Były nieaktualne i bezużyteczne. Wszystko trzeba więc było nakreślić od zera<sup>115</sup>.

Innym bardzo istotnym czynnikiem ograniczającym gruzińską swobodę manewru był fakt, że Tbilisi dysponowała ilością żołnierzy pozwalającą na prowadzenie skutecznych działań tylko na jednym froncie. Gruzini mieli do swojej dyspozycji pięć brygad. Elitarna 1. Brygada Piechoty znajdowała się właśnie w Iraku, stanowiąc jeden

z największych nieamerykańskich kontyngentów wojskowych w tym kraju – a wszystko po to, by wzmocnić gruzińskie więzi z Waszyngtonem i zwiększyć szanse na wejście do NATO. 2. brygada zakończyła swoją misję w Iraku i zdążyła powrócić do swej bazy w Senaki w zachodniej Gruzji, niedaleko od granicy z Abchazją. 3. i 4. brygada znajdowały się w Kutaisi, gdzie przechodziły szkolenie przygotowujące je do misji w Iraku. 5. brygada była natomiast wyłącznie brygadą szkoleniową. Gruzja mogła więc rozmieścić tylko dwie brygady do walki w południowej Osetii i użyć trzeciej, przenosząc ją z Senaki – jednak za cenę zupełnego odstonięcia frontu abchaskiego. Sytuację dodatkowo pogarszało to, że kilka tygodni wcześniej – po całych miesiącach działania w stanie podwyższonego zagrożenia – wydano rozkazy pozwalające obniżyć stopień gotowości bojowej do najniższego z dopuszczalnych poziomów. W efekcie na wypoczynek udało się – w zależności od brygady – nawet do połowy wchodzących w ich skład żołnierzy. Co więcej, znaczna część gruzińskich czołgów została wysłana do Tbilisi, gdzie przechodziły okresowe przeglądy i częściową modernizację. W praktyce oznaczało to jednak, że w momencie wybuchu wojny nie można było użyć ich w boju.

Najpoważniejsze ograniczenie militarnych zdolności Gruzynów polegało jednak na tym, że ich żołnierze nie byli po prostu ani odpowiednio przeszkoleni, ani odpowiednio wyposażeni, by móc stawić czoła takiemu przeciwnikowi, jak armia rosyjska. Do takiego stanu rzeczy, co zakrawa na ironię losu, częściowo przyczyniły się wysiłki Tbilisi zmierzające do przyspieszenia jej członkostwa w NATO. Choć Gruzini bez wątplenia właśnie w Rosji widzieli naj-

poważniejsze dla siebie zagrożenie, pragnęli również wejść do struktur Sojuszu Północnoatlantyckiego. Aby móc to osiągnąć, musieli jednak przyjąć pewne obowiązujące w NATO doktryny obronne i standardy, które kładły coraz mniejszy nacisk na zdolność ochrony własnego terytorium, coraz bardziej zaś koncentrowały się na zdolności uczestniczenia w misjach budowania i utrzymywania pokoju. Tbilisi dopasowała więc swoją ocenę istniejących zagrożeń do wymagań wynikających z NATO-wskich standardów, minimalizując ryzyko konfliktu z Rosją. Program szkoleń dla żołnierzy również koncentrował się na takich celach. W żadnym innym przypadku zjawisko to nie było tak wyraźne, jak w przypadku relacji Gruzji ze Stanami Zjednoczonymi – jej najpoważniejszym politycznym sojusznikiem, który jednocześnie z ogromną skrupulatnością podchodził do jej planów szkoleń obronnych. Aby nie prowokować Moskwy, Amerykanie specjalnie organizowali Gruzinom takie szkolenia, które w żaden sposób nie wiązały się z obroną terytorialną państwa<sup>116</sup>. Przygotowany w Waszyngtonie *Program wyszkolenia i uzbrojenia Gruzji* (GTEP – *Georgia Train and Equip Program*) był z początku reakcją na żądania Moskwy pragnącej, by Gruzini umożliwili jej ściganie czeczeńskich terrorystów w Dolinie Pankijskiej w 1999 roku. Przeprowadzone szkolenia dotyczyły specyficznych metod zwalczania terroryzmu oraz koncentrowały się na przygotowaniu oddziałów gruzińskich do udziału w misji irackiej. USA oraz inne państwa członkowskie NATO nie zgodziły się również, by Gruzja dokonała modernizacji swojego uzbrojenia, obawiając się, że strona rosyjska odbierze to jako prowokację. I tak na przykład w Tbilisi chciano

zakupić rakiety Stinger, które dawało się wystrzelić z ramienia i które stanowiły doskonały rodzaj broni obronnej – bezskutecznie. Mogłyby one mieć ogromne znaczenie przy stawianiu oporu rosyjskim śmigłowcom i innym siłom powietrznym. Gdy Gruzini złożyli zamówienie na ten rodzaj broni wiosną 2007 roku, amerykański Departament Obrony wysłał do regionu specjalny zespół, którego celem było określenie, czy Gruzini byli w stanie zapewnić, że broń ta nie zostanie skradziona, a następnie odsprzedana terrorystom. Raport przygotowany przez ów zespół potwierdził możliwość udzielenia przez Gruzinów niezbędnych gwarancji. Pomimo tego sprzedaż systemu, który znacząco podniósłby gruzińskie zdolności obronne, została jednak zablokowana. Stany Zjednoczone i Rosja zawarły między sobą porozumienie ograniczające sprzedaż tego typu systemów i Waszyngton nie był skory do uczynienia wyjątku od tej reguły.

Kiedy więc gruzińskie wojska ruszyły naprzód raniem 8 sierpnia, nie były w pełnej gotowości bojowej, a plan, zgodnie z którym przeprowadzały swoje działania, został pośpiesznie nakreślony w ciągu poprzednich 24 godzin i nie był nigdy przeciwiczoney. Poszczególnych oddziałów odpowiednio nie przeszkolono i nie było wiadomo na przykład, jak mają współpracować ze sobą, podejmując działania w ramach całej brygady. Co więcej, wojska te miały przed sobą silnego przeciwnika – armię rosyjską – do walki przeciw niej nie zostały również odpowiednio wyposażone. Rosjanie byli tym wrogiem, którego od zawsze obawiano się najbardziej, jednak gdy Gruzja podjęła wysiłki zmierzające do członkostwa w NATO, stali się również tym przeciwnikiem, na którym nie mogły

koncentrować się plany obronne. Z pewnością nie był to dobry sposób na rozpoczęcie wojny.

Południowoosetyjska stolica, Cchinwali, przypomina miskę – jest otoczona wzgórzami od wschodu i zachodu. Gruziński plan opierał się na natarciu z trzech kierunków – przez samo centrum miasta oraz z górzystych terenów na jego obrzeżach. Głównym zadaniem oddziałów poruszających się środkiem miasta było dotarcie do jego północnej części, gdzie znajdowało się wiele wiosek zamieszkałych głównie przez ludność gruzińską. Realizacją tak zakreślonego planu działania zajmował się generał Mamuka Kuraszwili. Odszedł on niedawno ze stanowiska w dowództwie Połączonych Sił Pokojowych i doskonale znał zarówno samo miasto, jak i jego okolice. Oddziały, którymi dysponował, stanowiły mieszankę różnych jednostek zebranych w pośpiechu – nigdy nie współpracowały wcześniej ze sobą. Towarzyszył im oddział specjalny gruzińskiej policji, ponieważ działania Gruzinów miały ograniczyć się do wybranych uprzednio celów i ściśle określonych operacji.

Kuraszwili nie dysponował praktycznie żadnym stanowiskiem dowodzenia, a jego radiostacje nie mogły nawiązać łączności z pozostałymi brygadami prowadzącymi działania na obrzeżach miasta. Opanowanie strefy zachodniej było zadaniem 4. brygady, mającej jednocześnie za cel ochronić wioskę zamieszkiwaną przez etnicznych Gruzinów – Awnewi, położoną na wzgórzach na zachód od Cchinwali, z której siły południowoosetyjskie dokonywały ostrzału gruzińskich wiosek i sił pokojowych. 3. brygada miała zaś bronić kontrolowanych przez Gruzję wiosek we wschodniej części miasta, zabezpieczać wzgó-

rze, a także zniwelować południowoosetyjski ostrzał artyleryjski w tym rejonie.

Podczas pierwszej próby zabezpieczenia Cchinwali i przebicia się przez miasto ku położonym na północy wioskom gruzińskie oddziały starły się z siłami Osetii Południowej, rosyjskimi oraz północnokaukaskimi, które albo już wcześniej znajdowały się w mieście, albo też właśnie do niego dotarły. Z Cchinwali ewakuowano większość ludności cywilnej, znajdowało się tam jednak znacznie więcej oddziałów południowoosetyjskich i rosyjskich, aniżeli zakładali Gruzini. W skład wspomnianych oddziałów rosyjskich najprawdopodobniej wchodziły również jednostki, których wymarsz z Jawy zaobserwowały poprzedniego dnia gruzińskie siły wywiadowcze, co, jak pamiętamy, nie pozostało bez wpływu na decyzje prezydenta Saakaszwilego. Duże siły wroga spowodowały, że Gruzini musieli ściągnąć do miasta posiłki ze swoich dwóch pozostałych brygad, włączając te, których zadaniem miało być zabezpieczenie głównych dróg prowadzących do miasta przed rosyjskim atakiem z północy.

4. brygada, skierowana do północnozachodniej części miasta, stoczyła lwią część walk o Cchinwali, jakie odbyły się w pierwszym dniu wojny, i poniosła w ich efekcie najpoważniejsze straty. Jeden z jej oddziałów otrzymał rozkaz utrzymania kluczowej drogi przelotowej prowadzącej przez Dżawę w kierunku północnym od Cchinwali, skąd rosyjskie siły próbowały przedostać się do miasta. Kiedy główne oddziały Kuraszwilego w mieście wpadły w poważne tarapaty, niektóre oddziały 4. brygady zostały wycofane celem ich wzmocnienia. Jednym z nich był 41. batalion. Kierując się do Cchinwali z północy, natknął się

on na grupę uzbrojonych żołnierzy rosyjskiej piechoty, wchodzących w skład sił pokojowych – czego znakiem było niebieskie koło z wpisanymi w nie cyrylicą żółtymi literami „MC”. Zgodnie z otrzymanymi rozkazami siły gruzińskie miały zakaz otwierania ognia do sił pokojowych, o ile te uprzednio ich nie zaatakowały. Dowódca gruzińskiego batalionu Szalwa Dolidze polecił więc swoim żołnierzom, by przepuścili żołnierzy rosyjskich sił pokojowych. Był to ostatni rozkaz, jaki wydał. Rosjanie podeszli do gruzińskiego oddziału i nagle otworzyli ogień, zabijając Dolidzego oraz kilku innych żołnierzy.

Gruzińskie wojska musiały radzić sobie z wieloma problemami. Jednym z najpoważniejszych z nich była utrata dowództwa i kontroli nad działaniami już na początku walk. Badania przeprowadzone po wojnie wykazały, że zarówno komunikacja, jak i wywiad były nieefektywne. Radiostacje nie działały jak należało, a poszczególni dowódcy często musieli kontaktować się ze sobą przez telefony komórkowe lub nawet bezpośrednio – twarzą w twarz. W działania wojsk nagminnie mieszały się również politycy. Błędem było również to, że nie znaleziono czasu, by przeszukać pojedyncze budynki w Cchinwali w czasie, gdy gruzińskie oddziały przemieszczały się coraz dalej na północ. W niektórych z nich skryły się jednostki wroga i udało im się zająć Gruzinów od tyłu. Wojska gruzińskie kilkakrotnie przedzierały się na północ, by na miejscu przekonać się, że utraciły łączność ze sztabem dowodzenia, lub by – otrzymawszy pewne posiłki – dostać rozkaz wyruszenia z powrotem w kierunku południowym.

Mimo to Gruzini odnosili początkowo pewne skromne sukcesy. Tbilisi udało się przesunąć część swych oddzia-

łów artyleryjskich do gruzińskiej enklawy Tamaraszeni, położonej na północ od Cchinwali, dzięki czemu znalazły się one w pobliżu Tunelu Rokijskiego. Czeskie armaty Dana oraz zbudowane przez Izraelczyków GRADLAR-y wystrzeliwujące pociski kasetowe siały spustoszenie w kolumnie rosyjskich wojsk przemieszczających się z Tunelu w kierunku południowym. Gruzkańska artyleria poczyniła znaczne szkody wśród oddziałów rosyjskich przemieszczających się z Jawy w kierunku Cchinwali. Rosjan powstrzymała również awaria sprzętu, do której doszło na jedynej drodze prowadzącej do miasta od strony północnej. Rankiem 8 sierpnia wojska gruzińskie kontrolowały znaczne części Cchinwali, jak również otaczające miasto wzgórze.

Ciężkie walki, stoczone w ciągu dnia, zmusiły jednak Gruzów do wycofania z powrotem w głąb miasta tych oddziałów, których zadaniem było osłaniać północną jego część. Dzięki temu rosyjska artyleria i siły powietrzne odzyskały konieczną do przeprowadzenia ataku przestrzeń i wspólnie z siłami Osetii Południowej przeprowadziły kontruderzenie. Udało im się dotrzeć do samej granicy miasta, gdzie zostały ponownie zaatakowane przez gruzińską artylerię. Bitwa zaczęła się na dobre – obie strony to przeprowadzały nowe ataki, to cofały się na poprzednio zajmowane pozycje. O zmierzchu dokonano niezbędnych przegrupowań. Największym problemem była sama ilość wojsk rosyjskich nacierających z północy. Nieustające naloty z powietrza myśliwców i śmigłowców również odegrały istotną rolę.

W tym czasie w Waszyngtonie starano się ustalić, co właściwie się działo. Stany Zjednoczone wycofały wcześniej większość swoich jednostek wywiadowczych z obsza-

ru Kaukazu do Iraku i Afganistanu. W efekcie amerykańskie oczy i uszy w terenie nie były na początku w stanie stworzyć żadnego przejrzystego obrazu rozgrywających się wydarzeń ani choćby potwierdzić szczegółowych doniesień dotyczących walk. W sytuacji braku jasnego obrazu sytuacji dyskusje wśród osób odpowiedzialnych za kierunek amerykańskiej polityki zagranicznej dotyczyły przede wszystkim tego, czyje błędy doprowadziły do takiego obrotu sytuacji oraz jak daleko byli gotowi posunąć się Rosjanie. Co więcej, Amerykanie mieli w regionie blisko setkę doradców wojskowych, którzy pomagali w przygotowywaniu armii gruzińskiej do misji w Iraku. Również ich bezpieczeństwem trzeba było się zająć. Politycy w Waszyngtonie byli wściekli na to, że Gruzini zdecydowali się na uderzenie pomimo ustawicznego powtarzania im od wielu miesięcy, by tego nie robili. Inni urzędnicy zastanawiali się zaś, czy problem nie tkwił w niedocenieniu zagrożenia, które stanowiła Rosja, i czy gruzińskie doniesienia z poprzednich miesięcy nie okazały się w perspektywie nowych wydarzeń w pełni uzasadnione.

Wielu wysokich urzędników w amerykańskiej administracji liczyło wciąż w tamtym momencie na to, że konflikt będzie jeszcze można poważnie ograniczyć; że nie stanie się niczym więcej, jak podjętą przez Rosjan próbą wypchnięcia Gruzinów z Osetii Południowej. Nadzieje te szybko zostały jednak rozwiane. Prezydent Bush znajdował się w Pekinie na otwarciu igrzysk olimpijskich. (Niedługo omówimy jego rozmowy z Putinem). Jedna rzecz była oczywista. Administracja Busha uczyniła ze sprawy budowania zjednoczonej, wolnej Europy od Morza Bałtyckiego aż po Czarne kluczową część swojego politycznego

go dziedzictwa. Bez względu na to, jakie błędy popełniono w Tbilisi, Moskwa pogwałciła najbardziej fundamentalne zasady, w oparciu o które wznoszono gmach nowego europejskiego systemu bezpieczeństwa. W Waszyngtonie obawiano się, że pomimo tego Rosja wykorzysta do końca błąd Saakaszwilego i uderzy na Gruzję z całej siły. Jak powiedział jeden z wysokich urzędników amerykańskiej administracji: „Wiedzieliśmy dobrze, że Rosjanie wyczekiwali na taką okazję od dawna. Nasza polityka musiała polegać na tym, by ich powstrzymać”.

Bez odpowiedniej pomocy ze strony Stanów Zjednoczonych Gruzini zostaliby rozbici w pył w ciągu kilku dni. W Waszyngtonie szybko nakreślono więc kilka najważniejszych celów do osiągnięcia. Pierwszym było zahamowanie toczących się walk i jak najszybsze ograniczenie rosyjskich zdobyczy terytorialnych. Drugim – powstrzymanie ewentualnych prób dokonania zmiany władzy w Tbilisi, obalenia demokratycznie wybranego rządu Micheiła Saakaszwilego. Trzeci cel stanowiło wreszcie uświadomienie Rosjanom, że przyjdzie im zapłacić cenę za dokonany atak, oraz przekonanie ich, że – w końcowym rozrachunku – nie było to działanie, które przyniosłoby im korzyści. Innymi słowy, w Waszyngtonie chciano wybić Rosji z głowy angażowanie się w podobne przedsięwzięcia w przyszłości – czy to na południowym Kaukazie, czy w relacjach z Ukrainą, czy nawet przeciwko członkom NATO, takim jak państwa bałtyckie. Nieważne jakie korzyści odniosła Moskwa w terenie w wyniku swoich działań militarnych, i tak musiała – takie przynajmniej były plany Waszyngtonu – zapłacić dostatecznie wysoką cenę polityczną i ekono-

miczną, aby w przyszłości nie była skora do tego typu działań wobec któregokolwiek ze swoich sąsiadów.

Jednocześnie pracownicy administracji Busha nie chcieli podejmować unilateralnych działań ani ryzykować przekształcenie konfrontacji w konflikt rosyjsko-amerykański, prowadzący do czegoś w rodzaju nowej zimnej wojny, która potencjalnie mogłaby nawet przeobrazić się w konflikt zbrojny. Z punktu widzenia amerykańskiego prezydenta spór nie dotyczył stosunków rosyjsko-amerykańskich *per se*. Byłoby więc poważnym błędem, gdyby uległo to zmianie. Pracownicy amerykańskiej administracji szybko dostrzegli takie ryzyko – i podjęli działania mające zachęcić europejskich sojuszników do współdziałania. Wszyscy zdawali sobie sprawę zarówno z tego, że Bush wciąż nie należał do najpopularniejszych polityków na Starym Kontynencie, jak i z istniejących problemów z uzyskaniem zgodnej, jednomyślnej odpowiedzi wszystkich partnerów. Takie były konsekwencje kryzysu w stosunkach transatlantyckich, do którego doszło w związku z kontrowersyjną wojną w Iraku.

Bush obawiał się również, że media bardzo szybko tematem przewodnim swoich serwisów informacyjnych uczynią nie rosyjski atak na Gruzję, ale możliwość nowego konfliktu na linii Waszyngton – Moskwa. Mogło to nie tylko znacząco utrudnić rozwiązanie realnie istniejących problemów, ale również stać się rodzajem samopełniającej się przepowiedni. Busha niepokoiło, że Putin zdołałby wykorzystać zdecydowaną odpowiedź strony amerykańskiej do spotęgowania antyamerykańskich nastrojów w rosyjskim społeczeństwie. Ujmując rzecz wprost, amerykańska administracja chciała odpowiedzieć

w zdecydowany sposób, ale jednocześnie pragnęła, aby to Europa wzięła na siebie główny ciężar odpowiedzialności. Chciała się zatem zaangażować, ale pozostając niejako za kurtyną, żeby ograniczyć w ten sposób ryzyko przekształcenia konfliktu w spór rosyjsko-amerykański.

Podjęta w Waszyngtonie decyzja o wycofaniu się z pierwszego szeregu i nieodgrywaniu typowej dla USA roli lidera miała niezwykle istotne konsekwencje dla Gruzji i wpłynęła znacząco na sposób, w jaki doprowadzono do końca wojny. W Waszyngtonie zdawano sobie sprawę, że przyjęcie takiego scenariusza działania oznaczało ograniczenie własnego wpływu na rozwój sytuacji, ale zdecydowano się na podjęcie tego ryzyka. Nie była to stereotypowa Bushowska reakcja, jakiej spodziewali się krytycy. Czy była jednak słuszna? – rozstrzygną historycy. Jak powiedział były doradca ds. bezpieczeństwa narodowego Steve Hadley – „Komunikat, który chcieliśmy przesłać Rosjanom, brzmiał: To nie Stany Zjednoczone i ich sojusznicy wymierzają wam karę. To odpowiedź XXI-wiecznego systemu bezpieczeństwa międzynarodowego, która ma pokazać wam, że zasady rodem z XIX wieku nie zdadzą już egzaminu”. Innymi słowy, Waszyngton chciał więc, by politycy w Moskwie doszli do wniosku, że cały świat jednoczył się przeciwko działaniom rosyjskiej armii, pragnął podkreślić w ten sposób, jak daleko była Rosja od wpasowania się w zasady panujące w stosunkach międzynarodowych w nowym stuleciu<sup>117</sup>.

Przez pierwszych 48 godzin liczone na to, że wojnę pomiędzy Rosją i Gruzją uda się ograniczyć. Chociaż prezydent Miedwiediew był wyjątkowo brutalny w słowach, w jakich wyrażał się o Saakaszwilim podczas telefonicz-

nej rozmowy z prezydentem Bushem, oficjalne rosyjskie żądania przedstawiały się całkiem skromnie, a urzędnicy w Waszyngtonie uważali nawet, że będą mogły służyć za podstawę tymczasowego zawieszenia broni. Jak wysoce rangą przedstawiciele rosyjscy zapewniali polityków w Waszyngtonie, celem Moskwy nie było doprowadzenie do zmiany władzy, ale odbudowanie poprzedniego *status quo*. W administracji Busha chętnie uwierzono by w te zapewnienia. Było jednak czymś absolutnie jasnym, że Rosjanie wykorzystywali całą armadę swoich wojsk nie tylko po to, aby w pełni opanować sytuację w Osetii Południowej. W Waszyngtonie szukano więc sposobu na zduszenie konfliktu w zarodku, na jego ograniczenie, zanim dojdzie do zupełnej eksplozji bądź zanim sukcesy strony rosyjskiej tak rozbudzą apetyty w Moskwie, że ulegnie ona pokusie i przeprowadzi próbę pozbawienia Saakaszwiliego władzy.

Rice i jej odpowiednicy z wielu państw europejskich spędzili większą część czasu 8 i 9 sierpnia na rozmowach zarówno z Gruzinami, jak i z Rosjanami, próbując doprowadzić do zakończenia walk i rozwiązania kryzysu. Waszyngton przedstawił plan opierający się na natychmiastowym zawieszeniu broni, wycofaniu rosyjskich i gruzińskich wojsk do położenia zgodnego ze *status quo* z 6 sierpnia, wprowadzeniu na teren Osetii Południowej nowych sił pokojowych oraz przeprowadzeniu w prowincji nowych wyborów. Saakaszwili zgodził się z zarysem takiej propozycji. Rice omówiła jej szczegóły telefonicznie z rosyjskim ministrem Ławrowem. Ławrow z początku zdawał się przychylnie nastawiony do wspomnianej koncepcji i powiedział sekretarz Rice, że jeżeli tylko Gruzini przestaną walczyć, Moskwa odpowiednio zareaguje. Nie

zgodził się jednak na przyjęcie propozycji. Sytuacja militarna w terenie szybko obracała się w tym czasie na niekorzyść strony gruzińskiej, za to po myśli Rosjan.

Premier Putin przybył do Władykaukazu, stolicy Republiki Północnej Osetii – Alanii i przejął osobiste dowództwo nad całą operacją. Początkowo miał być zresztą, według niektórych doniesień, zszokowany faktem, że rosyjskie wojska nie były w stanie zdobyć Cchinwali, awarią rosyjskich czołgów wyjeżdżających z Tunelu Rokijskiego, a także zasadzką, w którą wpadł zraniony rankiem 9 sierpnia dowódca 58. armii, generał Anatolij Kurylew. Gruzjińskie oddziały zaatakowały kolumnę Kurylewa (w której wprost roіło się od dziennikarzy) z zaskoczenia, gdy ta zbliżała się do Cchinwali, poważnie raniąc jej dowódcę, niszcząc kilka pojazdów oraz zabijając kilku oficerów i żołnierzy. Zdjęcie walącego pięściami w ziemię generała, wokół którego leżały trupy, wrzeszczącego wniebogłoso, że cały jego oddział został zniszczony, zostało zrobione przynajmniej przez jednego z rosyjskich dziennikarzy podróżującego wraz z kolumną. Nie był to obraz, jaki Kreml chciałby pokazywać światu.

Gruzinińscy urzędnicy i dyplomaci utrzymują, że to przybycie Putina doprowadziło do eskalacji rosyjskiego natarcia oraz wysłania istotnych wzmocnień na tereny toczących się walk. Twierdzą również, że to rosyjski premier podjął decyzję o poprowadzeniu natarcia przy użyciu 76. Brygady Lotniczej z Pskowa, zamiast, jak planowano, 58. armii; że to on doprowadził do wycofania paramilitarnych oddziałów znakomicie radzących sobie z terroryzowaniem lokalnej ludności, ale nie potrafiących osiągnąć celów militarnych, jakie przed nimi postawiono;

że to on wreszcie zarządził mobilizację części najlepiej wyszkolonych rosyjskich oddziałów, których wcześniej nie wykorzystano w walkach. Miał również podjąć decyzję o intensyfikacji nalotów powietrznych. W sumie rosyjskie samoloty zrzuciły około 400 różnego rodzaju bomb na 36 celów w całym kraju w ciągu trwającej w sumie pięć dni wojny, z czego 120 bomb zrzucono 9 sierpnia. Niektóre cele znajdowały się ponad 300 kilometrów od Cchinwali, co tylko podkreśla skalę rosyjskich działań zbrojnych.

Niektórzy analitycy po stronie rosyjskiej nie zgadzają się jednak z taką oceną wydarzeń. Utrzymują, że plany Moskwy wyłaniały się stopniowo z wojennej mgły. Tbilisi odczuła pełen ciężar podjętej przez Rosję operacji, gdy oddziałom tej ostatniej w końcu udało się przedostać przez Tunel Rokijski i wejść do południowej Osetii<sup>118</sup>. W każdym razie, rozmieszczone w ten sposób posiłki dały Moskwie miazdzącą przewagę liczebną w toczących się walkach. Dysponując jedynie swą drugą, trzecią i czwartą brygadą, Gruzini praktycznie rzucili na front wszystko, co posiadali. Ostatnia z brygad ich wojska – piąta – przechodziła właśnie szkolenie przed wyjazdem do Iraku i nie była gotowa do uczestniczenia w walkach.

Sytuację dodatkowo pogarszały doniesienia wywiadu z 10 sierpnia, zgodnie z którymi Rosjanie mogli otworzyć drugi front walk, w Abchazji, gdzie nie doszło jak dotąd do żadnych starć. Rosjanie mieli zgromadzić w regionie podobną ilość wojsk, jakich użyto w Osetii Południowej. Gruzini na bieżąco otrzymywali informacje o działaniach Floty Czarnomorskiej oraz 58. armii biorącej udział w ćwiczeniach wojskowych w poprzednich miesiącach, o których pisaliśmy wcześniej i które tak bardzo przypominały

przygotowania do inwazji. Rosyjska marynarka wojenna przybyła niebawem do abchaskiego portu Ochamchira. Żołnierze z 20. Wołgogradzkiej Dywizji Strzelców Zmotoryzowanych dotarli do regionu dzięki zmodernizowanej kolei, a oddziały 7. Dywizji Lotnictwa wylądowały w Suchumi. W sumie Rosjanie skoncentrowali w Abchazji wojska w sile 20 tysięcy żołnierzy. 10 sierpnia uzbrojona kolumna przekroczyła rzekę Enguri i wkroczyła do Gruzji od zachodniej, abchaskiej strony. Wojska gruzińskie wycofywały się przed nią i nie stawiały oporu. Rosjanie zajęli Zugdidi, port w Poti oraz kluczową gruzińską bazę wojskową w Senaki.

Armia gruzińska była po prostu zbyt mała, by móc prowadzić wojnę na dwóch frontach. Asymetria sił pomiędzy obydwoma stronami wzrastała z godziny na godzinę, gdy kolejne rosyjskie posiłki docierały na teren Gruzji przez Tunel Rokijski lub drogą powietrzną i morską do Abchazji. Intensyfikacja wojny powietrznej była tak duża, że przekraczała znacznie zdolności obronne gruzińskiego systemu obrony przeciwlotniczej, wzmocnionego niedawnymi zakupami (izraelskiego Rafael Spyder oraz ukraińskiego SA-11). Według Tbilisi w ramach działań wojennych udało się Gruzinom zestrzelić 17 obiektów latających wroga – 14 samolotów, jeden bombowiec strategiczny Blackjack Tupolew 22M3 oraz dwa śmigłowce. Mimo to systemy obronne Gruzji nie były w stanie skutecznie stawić czoła natarciu. Jeden z urzędników Ministerstwa Obrony wspominał potem, że rankiem 9 sierpnia gruzińskie cele atakowało w sumie około 28 rosyjskich myśliwców. Rosjanie używali wyrzutni SS-21 Toczka i pocisków SS-26 Iskander. Wieczorem 9 sierpnia gruzińskie

Ministerstwo Obrony otrzymało telefoniczne ostrzeżenie od amerykańskiego Pentagonu, iż sześć strategicznych bombowców rosyjskich wystartowało z Moskwy i zmierzano w kierunku Gruzji. Pracownicy Pentagonu podali współrzędne – z ich obliczeń wynikało, że bombowce dotrą do celu w ciągu 22 minut. Kiedy Gruzini sprawdzili współrzędne, celem bombowców okazała się Tbilisi.

W ciągu weekendu Fried otrzymał raport dotyczący całej sytuacji, przygotowany przez przebywającego na miejscu zdarzeń, w Tbilisi, ambasadora Teffta. Zdaniem Teffta (jak wynika z raportu przygotowanego przez niego w sobotę rano) celem rosyjskich działań nie było ani zajęcie Osetii Południowej, ani rewanż za atak na kolumnę rosyjskich sił pokojowych. Kiedy Moskwa zaczęła bombardować gruzińskie porty oraz inne cele na terenie całego kraju, Tefft domyślił się, że może chodzić tylko o jedno – o doprowadzenie do upadku rządu Micheila Saakaszwilego. Doniesienia mówiące o przechodzeniu przez Tunnel Rokijski kolejnych pokaźnych oddziałów rosyjskich wzmocniały tylko to przypuszczenie. Kiedy więc ambasador wraz ze swoim zespołem przeprowadzał w sobotę rano gruntowną analizę wydarzeń, było dla wszystkich jasne, że mieli do czynienia z wojną nieograniczoną. Moskwa chciała zniszczyć Gruzję. Tefft wysłał więc do Waszyngtonu komunikat, w którym informował o możliwości zaprzepaszczenia w wojennej poźodze wszystkich interesów Stanów Zjednoczonych w regionie, jeżeli Zachód nie podejmie – i to szybko – zdecydowanych działań.

10 sierpnia o świcie gruzińskie oddziały otrzymały rozkaz wycofania się i zajęcia pozycji na południe od Cchinwali. Tam ponownie stały się celem nieustających

ataków rosyjskich z powietrza. Używano przeciw nim również pocisków balistycznych SS-21 Toczka i SS-26 Iskander. Jednocześnie we wczesnych godzinach 10 sierpnia politycy w Waszyngtonie doszli do wniosku, że cele Rosjan nie ograniczały się do odbicia Osetii Południowej. Chodziło o zniszczenie Gruzji – i temu właśnie służyło bombardowanie infrastruktury na przestrzeni całego kraju. Wczesnym rankiem doradca sekretarz stanu Bryza powiedział Rice, że podejmowane przez Rosjan działania mogą łatwo przerosnąć gruzińskie możliwości obrony. „Waszyngton musi podjąć jakieś kroki, zanim będzie za późno” – odpowiedziała sekretarz stanu. Zdecydowała się zadzwonić do rosyjskiego ministra spraw zagranicznych Ławrowa. Ta rozmowa była punktem zwrotnym w sposobie oceniania całej sytuacji w Waszyngtonie.

Podczas rozmowy rosyjski minister domagał się już nie tylko, by gruzińskie wojska wycofały się do swoich baraków, a rząd w Tbilisi wydał oświadczenie o nieużywaniu siły. Teraz – po raz pierwszy ktoś po stronie rosyjskiej formułował takie żądanie – dodatkowym warunkiem zakończenia wojny z punktu widzenia Moskwy było odwołanie od władzy Micheila Saakaszwilego. Rosyjski cel – doprowadzenie do zmiany rządu w Gruzji – został więc w ten sposób sformułowany zupełnie otwarcie. Zgodnie z relacją byłej sekretarz stanu Rice, natychmiast odpowiedziała Ławrowowi, że takie oczekiwanie było zupełnie niedopuszczalne, ponieważ Saakaszwili był demokratycznie wybranym prezydentem swojego kraju. Ławrow zaprotestował i podkreślił poufny charakter rozmowy, Rice odparowała jednak: „Amerykańska sekretarz stanu i minister spraw zagranicznych Federacji Rosyjskiej nie

będą prowadzić żadnych poufnych konwersacji na temat obalenia demokratycznie wybranego rządu trzeciego państwa. Bezpośrednio po zakończeniu tej rozmowy chwytam za słuchawkę i powiem każdemu, do kogo uda mi się dotrzeć, że celem prowadzonej przez Rosjan wojny jest obalenie gruzińskiego rządu”<sup>119</sup>. Ławrow wpadł we wściekłość. Rice zaś faktycznie wykonała serię telefonów do swoich najważniejszych sojuszników w Europie, informując ich o przebiegu rozmowy z rosyjskim ministrem spraw zagranicznych. Jeszcze tego samego dnia Stany Zjednoczone zwołały posiedzenie Rady Bezpieczeństwa ONZ, na którego forum ambasador USA przy tej organizacji Zalmaj Chalilzad publicznie oświadczył – pomimo protestów rosyjskiego ambasadora – że strona rosyjska domaga się obalenia istniejącego rządu w Gruzji<sup>120</sup>.

Czy to Stany Zjednoczone dały się zwieść rosyjskim zapewnieniom, że cele wojenne Moskwy mają ograniczony charakter? Czy może cele, które stawiano sobie w Moskwie, zmieniły się wraz z rozwojem wydarzeń? Specjalny przedstawiciel Unii Europejskiej w regionie, Peter Semneby, znajdujący się w tym czasie w Tbilisi, w wysłanym do Brukseli drogą elektroniczną liście informował, że gruzińskie wojska prawdopodobnie nie będą w stanie wytrzymać rosyjskiego natarcia dłużej niż przez kolejne 24 godziny. Dodawał także, że Rosjanie, jeżeli tylko podejmą taką decyzję, będą w stanie zająć Tbilisi w ciągu kolejnych 24 godzin. Od tego momentu wszystko było już jasne – rosyjskie cele nie ograniczały się tylko do Osetii Południowej. Podległe rządowi w Moskwie oddziały przekroczyły granice regionalnych stref konfliktu i stanowiły zagrożenie dla gruzińskiego państwa jako całości. Prze-

prowadzały bombardowania celów oddalonych od miejsc, w których toczyły się walki o setki kilometrów. Chodziło więc o obalenie istniejącego rządu w Tbilisi. W Brukseli zarówno przedstawiciele NATO, jak i Unii Europejskiej w mało skoordynowany sposób próbowali wydać oświadczenia wzywające do natychmiastowego przerwania walk. Również politycy w zachodnich stolicach zdali sobie sprawę z tego, że nie doceniali powagi całej sytuacji.

Następnego ranka – 11 sierpnia – oddziały gruzińskie otrzymały rozkaz wycofania się, najpierw do Gori, potem zaś do Tbilisi, gdyby zaszła konieczność obrony gruzińskiej stolicy. Saakaszwili stanął w tym momencie przed swoją drugą najpoważniejszą decyzją w trakcie wojny (obok decyzji o podjęciu walki z Rosjanami z 7 sierpnia). Tbilisi ogłosiła jednostronne zawieszenie broni i wycofała swoje oddziały z południowej Osetii. Pomimo tego, rosyjskie oddziały przemieszczały się wciąż po gruzińskim terytorium, a zarówno do Osetii Południowej, jak i Abchazji nadciągnęły ogromne posiłki z północnego Kaukazu oraz innych części Rosji. Rosyjskie siły powietrzne przeprowadzały bombardowania na terenie całej Gruzji. W rękach Moskwy znajdowała się teraz zachodnia część gruzińskiego państwa, a jej oddziały mogły spokojnie zająć miasto Zugdidi – dokonując tym samym inwazji na tereny Gruzji właściwej. Innymi słowy, Rosjanom udało się przekroić państwo gruzińskie na dwie części i byli w doskonałej pozycji, by kontynuować ofensywę. Gruzkańska linia obrony została przełamana. Jej armia była w odwrocie i zajmowała pozycje wokół Tbilisi, na wypadek, gdyby Rosjanie zdecydowali się przeprowadzić atak na samą stolicę.

Pytanie brzmiało więc: co powinni zrobić Gruzini w takiej sytuacji? W momencie, gdy rosyjskie czołgi znajdowały się niecałe dwie godziny drogi od stolicy, należało zdecydować, czy wyjściem była obrona Tbilisi – symbolu gruzińskiej państwowości – do ostatniej krwi, czy przygotowanie się do wojny partyzanckiej, przypominającej działania znane z Czeczenii i Afganistanu. Czy też należało raczej spróbować zawrzeć wreszcie pokój, ocalić resztki armii i mieć nadzieję na to, że Zachód zdoła wyrzucić na Rosjan odpowiedni nacisk zanim będzie za późno? Środkowa część Gruzji to teren płaski jak stół, z porozsypywanymi tu i ówdzie wzgórzami – a zatem znakomite terytorium dla czołgów. Gruzini nie mieli najmniejszych szans na powstrzymanie rosyjskich sił w takich warunkach. Niedaleko na północ od Tbilisi droga prowadząca do Gori przechodzi przez strome wzgórze, na którym położona była starożytna gruzińska stolica Mccheta. Jest to zapewne jedyne miejsce, z którego można skutecznie bronić się przeciwko przeważającym siłom wroga. Do 12 sierpnia gruzińskie dowództwo wojskowe zgromadziło większość dostępnych mu sił na ostatniej możliwej linii obrony.

Był to krytyczny moment – przyszłość Gruzji wisiała na włosku. Państwo nie było jednak przygotowane do podjęcia tego rodzaju walki. Nie istniał żaden plan obrony Tbilisi czy Mcchety, nie przygotowano również żadnych stanowisk, z których można by stawiać opór rosyjskim czołgom, ani bunkrów, gdzie można by się schować przed atakami z powietrza. W samej Tbilisi rozważano możliwość prowadzenia wojny partyzanckiej, a minister spraw wewnętrznych podjął nawet pewne działania mające umożliwić realizację takiego scenariusza. Saakaszwili

zdawał sobie jednak sprawę z tego, że nawet gdyby udało się zadać poważne straty rosyjskim siłom zbrojnym, takie rozwiązanie byłoby równoznaczne z kompletnym zniszczeniem gruzińskiego państwa i końcem jego marzeń o świetlanej przyszłości. Nie chciał, by Gruzja stała się kolejną Czeczenią. Zdecydował więc, że spróbuje zawrzeć pokój, ocalić gruzińską armię i zwrócić się do społeczności międzynarodowej, aby ta – poprzez wywarcie odpowiedniego nacisku – powstrzymała ofensywę Moskwy.

Saakaszwili wystąpił z odezwą do narodu wieczorem 11 sierpnia podczas sesji Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Gdy ją wygłaszał, ciągle istniały obawy, że Rosjanie będą chcieli zdobyć Tbilisi. Powiadomił swoich obywateli o niezmiernie poważnej sytuacji i ostrzegł, iż celem Rosji było zajęcie i zniszczenie Gruzji – położenie kresu jej niezależnej państwowości<sup>121</sup>. Przewodniczący parlamentu, Dawid Bakradze, również wydał oświadczenie, sugerując możliwość utworzenia powszechnego ruchu oporu, w razie gdyby Rosjanie kontynuowali swój marsz na teren zachodniej Gruzji. Była to kolejna podjęta w ostatniej chwili próba wysłania sygnału do Moskwy, że Gruzini pragnęli zaprzestania walk i zawarcia pokoju. Gdyby jednak Rosjanie na jego zawarcie się nie zdecydowali i rozpoczęli czystki etniczne w samym centrum Gruzji, Tbilisi nie będzie miała innego wyboru, jak walczyć. Zapanowało w stolicy ogólne napięcie i nastrój podenerwowania. Ludzie tłoczyli się przed bankomatami i na stacjach benzynowych, przygotowując się do opuszczenia miasta.

Bryza dotarł do Tbilisi wieczorem jeszcze tego samego dnia. Po krótkiej konferencji prasowej na lotnisku ochroniarze poinformowali go, że należy się wycofać, po-

nieważ zgodnie z najświeższymi doniesieniami, rosyjskie czołgi zbliżają się do gruzińskiej stolicy. Bryza spotkał się z Carlem Bildtem, który przybył do regionu w związku ze sprawowaniem przez Szwecję rotacyjnej funkcji przewodniczącego Rady Europy. Razem z Teffttem i Semnebym spędzili większość wieczoru w kancelarii gruzińskiego prezydenta, rozmawiali z wysokimi urzędnikami rządowymi oraz otrzymywali najświeższe raporty na temat rozwoju sytuacji. Gruziniński rząd był w rozsypce. Dysponowano jedynie szczątkowymi informacjami na temat tego, co dokładnie robili Rosjanie. W jednej z ciekawszych, ale nieoficjalnych, wiadomości wywiadowczych donoszono, że choć rosyjscy żołnierze masowo pojawiali się zwykle na różnego rodzaju pchlich targach, by sprzedawać nadwyżki benzyny i zarobić w ten sposób nieco grosza, tego poniedziałkowego dnia nie chcieli jednak tego zrobić, tłumacząc swoim potencjalnym klientom, że oczekiwali na rozkazy rozstrzygające ostatecznie, czy mają ruszyć na Tbilisi czy też nie. Nie był to dobry sygnał.

Gruziniński rząd zdawał się sparaliżowany rozwojem sytuacji; był niemal na granicy rozpadu. Siedząc przed kancelarią prezydenta i usiłując jakoś pomóc, Bildt, Tefft, Semneby i Bryza zauważyli, że na korytarzach pozdejmowano wiszące tam zdjęcia. Najwyraźniej szykowano się do przeniesienia w inne miejsce – w jakie, nie wiadomo. Urzędnicy stawali się coraz bardziej zrozpaczeni, a niektórzy znajdowali się nawet w stanie szoku, po tym, jak otrzymano doniesienia o dokonywanych przez Południowoosetyjczyków, a czasami również przez Rosjan, czystkach etnicznych na gruzińskich obywatelach. W pewnym momencie przestały nawet działać wszystkie telefony ko-

mórkowe i BlackBerry. Czy łącza po prostu zostały przeciążone, czy może był to zaplanowany elektroniczny atak, stanowiący element przygotowań do rosyjskiego natarcia? Bildt, Bryza i Tefft szybko zdali sobie sprawę z faktu, że jeżeli Rosjanie faktycznie zamierzali wkroczyć do Tbilisi, to budynek, w którym obecnie przebywali, z całą pewnością znajdował się bardzo wysoko na rosyjskiej liście celów – ich życie było zatem w niebezpieczeństwie.

Dawid Bakradze wpadł w pośpiechu do kancelarii Saakaszwilego i natknął się na siedzącego w poczekalni Bryzę. Bakradze był znany z tego, że należał do najspokojniejszych, najbardziej opanowanych osób w gruzińskim rządzie. Tym razem był jednak wyraźnie podenerwowany i rozczarowany postawą państw zachodnich, w szczególności zaś Stanów Zjednoczonych. Spojrzał na Bryzę i powiedział: „Ostrzegaliśmy was, że może do tego dojść! Gdzie byliście? Czemu nie zrobiliście nic więcej, żeby do tego nie dopuścić? Co robicie w celu odwrócenia zaistniałej sytuacji w tej chwili?”. Bryza odpowiedział, że Gruzja nie jest państwem członkowskim NATO, że USA nie miały zatem obowiązku jej bronić oraz że Waszyngton, w tym on sam osobiście, wielokrotnie przestrzegał Tbilisi przed przystąpieniem do wojny z Rosjanami. W amerykańskich deklaracjach podkreślano również, dodał Bryza, iż w przypadku takiego rozwoju wydarzeń Waszyngton nie przyjdzie Gruzji z pomocą, zaś sama jego obecność w Tbilisi była już dowodem starań Stanów Zjednoczonych, by dyplomatycznie wesprzeć Gruzynów. Pomoc humanitarna docierała właśnie do kraju pierwszym amerykańskim samolotem C-17. Chociaż Moskwa wydała ostrzeżenie nakazujące samolotom USA natychmiastowe

opuszczenie tej strefie powietrznej, gdyż w innym przypadku zostaną zaatakowane, wykonywały one swoje loty, a wspomniany C-17 dotarł już na miejsce.

Bakradze, wysłuchawszy tego, co miał do powiedzenia Bryza, wykrzyknął: „Co?! Czy nie zdaje pan sobie sprawy z tego, że wycofanie tego samolotu będzie dla Rosjan równoznaczne z wyrażeniem zgody na to, żeby nas zaatakowali? Co nam po waszej humanitarnej pomocy, jeżeli już dziś wieczorem do Tbilisi wtargnąć mogą rosyjskie czołgi?”. Po czym dodał: „Zdecydowaliśmy się pozostać na miejscu i bronić miasta. Zanim tu przyjechałem pożegnałem się z żoną i rodziną. Mogę ich już nigdy nie zobaczyć – a pan opowiada mi o pomocy humanitarnej?”. Bryza był szokowany. Na prośbę prezydenta Saakaszwilego znalazł się w centralnym punkcie rosyjskiego ataku, by pokazać Gruzinom, że Ameryka wciąż stała po ich stronie i udzielała im wsparcia. Ryzykował własnym życiem. Istniała jednak ogromna przepaść między tym, czego oczekiwała strona gruzińska, a tym, co faktycznie robili Amerykanie – Bryza odczuł to na własnej skórze. Zachodni dyplomaci wrócili do Marriottu, gdzie spotkali się z przedstawicielami innych państw i czołowymi politykami gruzińskimi, którzy wymieniali się zaślyszonymi informacjami, jednocześnie mając nadzieję na to, że zachodni hotel okaże się jednym z bezpieczniejszych miejsc, jeżeli Rosjanie faktycznie zdecydują się zająć Tbilisi.

Gdy gruziński rząd stanął na krawędzi przepaści, a rosyjscy żołnierze byli zaledwie kilka godzin drogi od Tbilisi, tocząca się w Waszyngtonie debata na temat tego, co zrobić z problemem Gruzji, osiągnęła swój punkt kulminacyjny. Bush regularnie rozmawiał z Saakaszwilim, sta-

rając się dodać mu otuchy. Amerykanie pomogli w przetransportowaniu gruzińskich wojsk z Iraku do Tbilisi 10 sierpnia. Jednak gruziński przywódca był coraz bardziej zdesperowany i podczas kilku rozmów telefonicznych domagał się znacznie szerszego wsparcia wojskowego ze strony Stanów Zjednoczonych. Chodziło mu choćby o udostępnienie rakiet Stinger lub zapewnienie symbolicznej, ale mogącej zdziałać wiele, by powstrzymać przeciwnika, fizycznej obecności oddziałów amerykańskich w regionie. Sama skala podjętych przez Rosjan działań skłoniła niektórych z doradców wojskowych w Białym Domu do wzięcia pod uwagę możliwości przeprowadzenia niewielkiej akcji zbrojnej. Menu dostępnych scenariuszy działania zawierało bombardowanie i zamknięcie Tunelu Rokijskiego, a także punktowe uderzenia mające na celu ograniczenie rosyjskiego natarcia na siły gruzińskie.

Takie dyskusje toczyły się równoległe do rozmów na temat tego, czy Gruzja stanowiła jedynie pierwszy cel znacznie szerszej ofensywy, której zasięgiem objęty zostałby również Krym, a być może i państwa bałtyckie. Jeżeli tak miałyby się stać, pytanie brzmiało, w jakim miejscu Amerykanie powinni nakreślić swoją linię graniczną, której przekroczenie byłoby równoznaczne z przystąpieniem do wojny? Doradca ds. bezpieczeństwa narodowego Hadley przekonywał jednak, że celem Rosji była tylko i wyłącznie Gruzja. Hadley należał do najbardziej progruzińskich członków administracji Busha, jednocześnie jednak był bardzo sceptyczny, jeżeli chodziło o samego Saakaszwiliego, i przypuszczał, że przyczyną wojny były raczej złe relacje gruzińsko-rosyjskie niż próba realizacji przez Moskwę jakichś szeroko pojętych interesów

geopolitycznych. Nikt jednak nie mógł być pewien, że tak właśnie było. Inni członkowie administracji amerykańskiego prezydenta, jak choćby wiceprezydent Cheney, mieli bardziej zdecydowane poglądy na motywacje strony rosyjskiej – z czego Hadley również zdawał sobie sprawę. Zarówno współpracownicy Hadleya, jak i Cheneya sugerowali rozważenie możliwości użycia siły. Hadley naciskał, by rzecznicy takiego rozwiązania uświadomili sobie jego potencjalne konsekwencje. Był bowiem przekonany, że w efekcie doprowadziłoby ono do rosyjsko-amerykańskiej konfrontacji zbrojnej.

Bush uznał za kluczowe poznanie stanowiska grona jego najbliższych współpracowników – w szczególności Cheney’a – i otwarte przedyskutowanie dalszego planu działania. Podczas spotkania tzw. Komitetu Głównego w poniedziałek, 11 sierpnia, Hadley przedstawił więc rozwiązanie zbrojne jako jedną z możliwości, aby zorientować się, czy spotka się ono z poparciem członków Komitetu. Takiego poparcia nakreślonej przez niego propozycji nie udzielono. Prezydent uznał, że jeżeli Stany Zjednoczone podjęłyby jakiegokolwiek działania natury militarnej, musiałyby być przygotowane na ich eskalację, a zatem, w końcowym rozrachunku, musiałyby być gotowe na konfrontację z Rosją. Wszyscy zgodzili się, że taki scenariusz wydarzeń mógłby z łatwością doprowadzić do nieobliczalnych konsekwencji, a to nie było zgodne z amerykańskim interesem narodowym. Prezydent Bush zdecydował jednak, że amerykańskie wojsko ma do odegrania w Gruzji kluczową rolę, jeżeli chodzi o dostarczenie pomocy humanitarnej. Chciał zademonstrować w ten sposób, pośrednio, amerykańską siłę oraz wyrzec pewien

wpływ na ograniczenie działań zbrojnych. Nalegał jednak na to, by uczynić to w przejrzysty, transparentny sposób, aby uniknąć ryzyka eskalacji konfliktu.

Stany Zjednoczone poważnie rozważyły więc możliwość użycia siły – i nie zdecydowały się na podjęcie takiego kroku. Zamiast tego, członkowie Komitetu Głównego poprosili Biały Dom o przemyślenie możliwości przeprowadzenia ewakuacji Saakaszwilego i jego otoczenia z zagrożonych terenów w przypadku, gdyby sytuacji nie udało się opanować. Przemawiając w Ogrodzie Różanym jeszcze tego samego dnia, prezydent Bush wyrażał się w ostrych słowach o tym, że Rosja zagraża Tbilisi, był głęboko poruszony tymi doniesieniami. „Wydaje się – powiedział prezydent – że cała ta akcja ma na celu obalenie demokratycznie wybranego rządu gruzińskiego”. Tego rodzaju działanie, dodał, było „niedopuszczalne” i zachęcał Moskwę do zmiany przyjętego kursu. „Podjęte kroki – podkreślał w zakończeniu – będą miały fatalny wpływ” na pozycję, jaką Rosja zajmuje w świecie, i jeżeli nie zostaną wstrzymane, nadszarpną również przyszłe relacje Moskwy ze Stanami Zjednoczonymi i Europą<sup>122</sup>. Oznaczało to, że USA polegały odtąd na dyplomacji w swoich wysiłkach powstrzymania Moskwy.

Wojna *de facto* dobiegła już jednak końca. Gruzinińska armia została pokonana, a państwo przecięte na pół wtargnięciem wojsk rosyjskich. Rząd chwiał się w posadach, a drogi prowadzące do Tbilisi stały otworem. Pytanie dotyczyło jedynie tego, jaki będzie ostatni akt tego dramatu i czy rząd Saakaszwilego wyjdzie cało z opresji. Zarówno w Waszyngtonie, jak i w wielu stolicach europejskich dyplomaci usilnie pracowali nad komunikatami mającymi

powstrzymać ofensywę Moskwy. Kiedy Bryza i Tefft wracali do amerykańskiej ambasady tego wieczora, mieli spore problemy z przedostaniem się przez korki – ludzie tłoczyli się bowiem przy stacjach benzynowych bądź próbowali uciec z miasta. Mijały ich ciężarówki z gruzińskimi żołnierzami wycofanymi do stolicy. „Wyglądają na pobitych” – pomyśleli zgodnie Bryza i Tefft.

Tefft – który był młodym dyplomatą w Jerozolimie w 1973 roku, gdy doszło do wojny Jom Kippur – zastanawiał się, czy powinien zarządzić ewakuację pozostałego na miejscu amerykańskiego personelu dyplomatycznego. Ambasada była położona przy jednej z głównych dróg prowadzących ku północnej stronie miasta, było więc prawdopodobne, że właśnie tędy Rosjanie będą próbowali wtargnąć do Tbilisi. Z drugiej strony, gdyby Amerykanie zarządziли ewakuację, doprowadziłoby to najprawdopodobniej do masowego exodusu również z innych placówek dyplomatycznych i wyglądałoby na to, iż najbliżsi sojusznicy opuszczają Gruzinów w chwili najcięższej próby. Dopiero w samym środku nocy Tefft otrzymał telefon od gruzińskiego wiceministra spraw zagranicznych, Gigiego Bokerii, który poinformował go, że spodziewany atak Rosjan najprawdopodobniej jednak nie nastąpi.

## Zawieszenie broni

**P**rezydent Saakaszwili wydał 7 sierpnia wieczorem rozkaz przystąpienia do działań wojennych. Chciał zapewnić ochronę gruzińskim wioskom, uprzędzić znacznie szerzej zakrojone działania Rosjan oraz zyskać nieco czasu – czasu, który był mu potrzebny, by ewakuować gruzińskich obywateli z zagrożonego obszaru Osetii Południowej i by świat zdążył opowiedzieć się po jego stronie. Decydując się na ten krok, uruchomił jednak proces prowadzący do ostrzejszych starć aniżeli te, które Gruzini faktycznie byli w stanie wygrać. Wywołał w ten sposób lawinę wydarzeń, ale nie był w stanie utrzymać jej pod kontrolą. Jest takie stare powiedzenie powtarzane wśród generałów: łatwiej jest rozpocząć wojnę, niż zakończyć bitwę. Od samego początku politycy w Tbilisi pokładali swoje nadzieje w dyplomatycznej i politycznej interwencji swoich zachodnich sojuszników, którzy doprowadzić mieli do zakończenia działań zbrojnych. Gruzja nie była w stanie dokonać tego własnymi siłami. Jej los zależał od woli i zdolności Zachodu, by ją uratować.

W momencie wybuchu wojny Prezydent Bush znajdował się w Pekinie na uroczystościach otwarcia igrzysk olim-

pijskich. Szykował się właśnie do wyjścia na te uroczystości, gdy do jego współpracowników dotarły pierwsze raporty wywiadowcze mówiące, że Rosjanie rozpoczęli ostrzał gruzińskich pozycji. Pracownicy amerykańskiej administracji szybko starali się ustalić, co właściwie się działo. Bush przez krótką chwilę rozmawiał z Putinem. Nie było jasne, co tak naprawdę się wydarzyło, a amerykańskie dane wywiadowcze miały szczątkowy charakter. Bush i Putin spotkali się ponownie następnego dnia. Choć nie jest dostępny żaden oficjalny zapis tej rozmowy, wiadomo, że była ona wyjątkowo napięta. Pewne jest również to, że Bush wyszedł z niej przekonany o ogromnej determinacji Putina, by ukarać Saakaszwilęgo. Kiedy wrócił do Waszyngtonu z uroczystości otwarcia olimpiady 13 sierpnia, natychmiast zwołał specjalne posiedzenie, na którym zamierzał przedyskutować sprawę Gruzji, oraz wygłosił oświadczenie na temat wojny w Ogrodzie Różanym.

Zanim jednak Bush powrócił do Waszyngtonu, zdecydował, że Stany Zjednoczone nie będą odgrywały roli lidera, ale podejmą próby zyskania jak najszerzego poparcia dla sprawy gruzińskiej wśród zachodnich sojuszników. Prezydent był zdecydowany uniknąć niebezpieczeństwa przekształcenia konfliktu gruzińsko-rosyjskiego w starcie amerykańsko-rosyjskie, co groziłoby nową zimną wojną. Był to imperatyw dla całego zespołu zajmującego się bezpieczeństwem narodowym w Białym Domu. Amerykański prezydent chciał, aby to społeczność międzynarodowa, w szczególności zaś Unia Europejska, wzięła na siebie główny ciężar powstrzymania Rosji. Był gotów na to, by Stany Zjednoczone odegrały aktywną rolę – ale raczej jako siła udzielająca dodatkowego wsparcia, niewidoczna, działająca

gdzieś z tyłu sceny, zza kurtyny. Był to kluczowy moment, wręcz punkt zwrotny, który określił sposób dyplomatycznego rozwiązania konfliktu gruzińsko-rosyjskiego. Od dawna Stany Zjednoczone zakładały bowiem, iż Europa nie jest jeszcze ani dostatecznie silna, ani dostatecznie zjednoczona, aby potrafiła sama skutecznie przeciwstawić się Rosji. Po zakończeniu zimnej wojny w Rosji nie widziano już wroga, jednak w Waszyngtonie wciąż dominowało przekonanie, że to na Amerykanach spoczywało zadanie rozwiązania strategicznych, najbardziej kontrowersyjnych kwestii w relacjach Zachodu z Rosją. Zdawano sobie również doskonale sprawę z faktu, że poparcie Europy dla Gruzji było znacznie bardziej ograniczone niż poparcie USA. Bush odłożył jednak na bok wspomniane założenia i obawy. Rolę przywódcy w rozwiązaniu konfliktu przekazał sprawującej właśnie prezydenturę w Unii Europejskiej Francji.

Wysocy urzędnicy administracji Busha utrzymują, że było to z ich strony zamierzone działanie, którego celem było uniknięcie konfrontacji na linii USA – Rosja. Nie chcieli również ułatwiać Europejczykom uchylania się od odpowiedzialności. Przeciwnie, pragnęli pokazać Rosji, że nie tylko Stany Zjednoczone, ale też cała społeczność międzynarodowa były przeciwko niej. Dzięki ociepleniu stosunków francusko-amerykańskich za prezydentury Nicolasa Sarkozy'ego politycy w Waszyngtonie czuli się komfortowo z faktem, że to właśnie Paryż weźmie na siebie rolę lidera, co byłoby nie do pomyślenia w czasach, gdy na Polach Elizejskich przebywał wciąż Jacques Chirac.

Zarówno krytycy amerykańskiej administracji, jak również większość rządów europejskich inaczej jednak tłumaczyli podjęte przez Amerykanów działania. Prezy-

dent Bush zbliżał się do końca swojej kadencji i był po prostu zbyt słaby, by móc skutecznie działać. Stosunki z zachodnimi sojusznikami nigdy nie zostały do końca odbudowane po sporach wokół interwencji w Iraku. Waszyngton nie miał już również tego rodzaju wpływu na Rosję, dzięki któremu mógłby przewodzić państwom Zachodu bądź też stawiać jej czoła. Chociaż osobiste relacje Busha z Putinem były serdeczne, stosunki amerykańsko-rosyjskie coraz bardziej pobrzmiwały pustymi tonami. Także współpracownicy Busha nie mieli tego typu zażyłości w stosunkach ze swoimi rosyjskimi odpowiednikami, które pozwoliłyby na efektywne przeprowadzenie pertraktacji z Moskwą. Dla przykładu, relacje sekretarz stanu Rice z ministrem Łagrowem zawsze były bardzo napięte. Dziesięć lat wcześniej, gdy Rosjanie niezmiernie nerwowo reagowali na sprawę Kosowa, wysocy pracownicy amerykańskiej administracji nie tylko pozostawali w stałym kontakcie ze swoimi rosyjskimi odpowiednikami, ale udali się również do Moskwy, by porozmawiać z nimi twarzą w twarz i zapewnić, że sytuacja nie wymknie się spod kontroli. Dziesięć lat później nie było już po prostu między nimi tego typu relacji – i amerykańscy politycy doskonale zdawali sobie z tego sprawę.

Bez względu jednak na motywy Waszyngtonu, podjęta przez Busha decyzja miała dalekosiężne konsekwencje. Była równoznaczna z tym, że najpotężniejszy sojusznik Gruzji nie stanie w pierwszym szeregu i nie spróbuje doprowadzić do jednomyślnej reakcji Zachodu czy negocjacji z Moskwą. Ponadto NATO nie odegra kluczowej roli przy rozwiązywaniu kryzysu. Decyzja USA powodowała też jednocześnie wykluczenie z dyskusji jakiegokolwiek for-

my reakcji zbrojnej, ponieważ tylko Stany Zjednoczone dysponowały odpowiednią siłą militarną, aby móc powstrzymać działania Moskwy. Oznaczała wreszcie, że Tbilisi musiała polegać na działaniach Unii Europejskiej, tak wyraźnie podzielonej w kwestii udzielenia poparcia pragnącej ściślej związać się z Zachodem Gruzji. Czy, biorąc pod uwagę te rozbieżności, Unia Europejska była w stanie stawić czoła Rosji lub wymusić na niej wycofanie się z terenów, które udało się jej już zbrojnie zająć?

Fakt, że Stany Zjednoczone nie stanęły w pierwszym szeregu, by powstrzymać działania podejmowane przez Rosję, oznaczał także, iż Gruzja zmuszona była polegać na Francji, która pełniła właśnie rotacyjną funkcję prezydencji Unii Europejskiej. Francja stanowiła jedno z najsilniejszych państw europejskich – to dobra strona tej sytuacji – i, gdyby odpowiednio skoncentrowała swoje wysiłki na jakimś celu, miała spore szanse na jego osiągnięcie. Co więcej, na jej czele stał Nicolas Sarkozy. Francuski prezydent wprost uwielbiał być w centrum uwagi i zależało mu, aby Francja i UE zabłysnęły na arenie międzynarodowej. Gorszą stroną powstałej sytuacji było natomiast to, że Francuzi nie zajmowali się dotąd zbyt blisko kwestią Gruzji. Szeroko rozumiany obszar Morza Czarnego nie znajdował się na liście francuskich priorytetów, gdy Paryż latem objął prezydencję w Unii Europejskiej. W czerwcu jeden z wysoko postawionych pracowników francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych w prywatnej rozmowie w następujący sposób określił, na ile ważne z francuskiego punktu widzenia były sprawy Gruzji i południowego Kaukazu: „Gruzja nie jest, nigdy nie była i nigdy nie będzie priorytetem dla Francji. Naszym celem jest zapew-

nienie, by Gruzja nie stała się przyczyną sporów w ramach samej Unii Europejskiej. Naszym zadaniem będzie zatem znalezienie «złotego środka» pomiędzy oczekiwaniami tych, którzy chcą, byśmy jak najaktywniej pomagali Gruzinom, a tych, którzy zajmują przeciwne stanowisko”.

Sam Sarkozy również znajdował się gdzieś w środkowej części europejskiego spektrum opinii na temat Gruzji. Znacznie lepiej rozumiał położenie państw takich jak Ukraina czy Gruzja niż jego poprzednik na Polach Elizejskich. Co więcej, w przeciwieństwie do kanclerz Angeli Merkel jego stosunki z Saakaszwilim nie były napięte. Wielu komentatorów wskazywało wręcz na podobieństwa osobowości obu przywódców – zamiłowanie do patosu oraz skłonność do zdecydowanych i nie zawsze w pełni przemyślanych działań. Niemniej jednak chociaż Sarkozy w otwarty sposób krytykował Putina i rosyjski zwrot ku autokracji, utrzymanie bliskich stosunków z Rosją stanowiło jedno z kluczowych zadań francuskiej dyplomacji – była to wręcz tradycyjna metoda maksymalizowania francuskiego wpływu na zdarzenia w Europie oraz poza nią.

Podobnie jak w pozostałych państwach Zachodu, w Paryżu nie spodziewano się tej wojny. Ponieważ jednak doszło do jej wybuchu na francuskiej warcie, to właśnie na Paryżu spoczęła odpowiedzialność określenia, jaka będzie odpowiedź Unii Europejskiej. Wielu Europejczyków wciąż jeszcze pamiętało klęskę, którą zakończyły się próby powstrzymania rozlewu krwi na Bałkanach na początku i w połowie lat 90. Gdyby więc Unia Europejska ponownie zrobiła niewiele lub wręcz nic w momencie, kiedy Gruzja miała zostać starta na proch przez najeźdźców, byłoby to równoznaczne z katastrofą francuskiej polityki

zagranicznej. Z drugiej strony, gdyby UE zdała egzamin, poczytano by to właśnie za zasługę Francuzom. W rzeczywistości więc Sarkozy nie miał żadnego wyboru – musiał zaangażować się w toczący się konflikt. Od tego zależała wiarygodność Francji i Unii Europejskiej. Nie była to jednak decyzja pozbawiona ryzyka.

Sarkozy, podobnie jak Bush, próbował rozmawiać z Putinem podczas ceremonii otwarcia igrzysk olimpijskich w Pekinie 8 sierpnia. Podobnie jak amerykański przywódca został przez rosyjskiego premiera odprawiony z kwitkiem. Francuski prezydent poprosił o dwa dni czasu na przeprowadzenie mediacji pokojowych. Putin odmówił. Sarkozy poprosił więc o jeden dzień. Putin odmówił raz jeszcze. Sarkozy doszedł więc do wniosku, że rosyjskiemu przywódcy bynajmniej nie zależało na szybkim zakończeniu konfliktu i że jego celem było udzielenie Saakaszwilemu gorzkiej lekcji pokory. W Paryżu zaczęto się więc obawiać, iż Putin będzie chciał wykorzystać zaistniałą sytuację, by raz na zawsze rozbić Gruzinów. Sarkozy wrócił do Paryża, by tam zdecydować o dalszych działaniach.

Standardowym zachowaniem sprawującego w UE prezydencję państwa byłoby w takiej sytuacji przeprowadzenie szczegółowych konsultacji w ramach samej Unii, zbudowanie pewnego konsensusu wokół planu działania, następnie zaś ostrożne przystąpienie do jego realizacji. Nie było jednak na to czasu. Taki tryb działania nie stanowił również typowego dla Sarkozy'ego *modus operandi*. Francuski prezydent doskonale zdawał sobie sprawę, że posunięcie Gruzinów [z 7 sierpnia – przyp. tłum.] okazało się niebezpieczne nie tylko dla samej Gruzji, ale i dla całej Europy. W Paryżu wielu dyplomatów było wściekłych na

Tbilisi z tego powodu i obarczyło Saakaszwilego odpowiedzialnością za doprowadzenie do wybuchu wojny. Gdy doszło już do zakończenia walk zbrojnych, francuski prezydent podsumował to, co się zdarzyło, stwierdzając, że „miała miejsce interwencja gruzińskich sił zbrojnych, która była błędem. Reakcja rosyjska okazała się jednak nieproporcjonalna do podjętych przez Gruzinów działań”<sup>123</sup>.

Taka interpretacja tego, co w omawianej wojnie było skutkiem, a co przyczyną, jest być może nazbyt wąska, a zapewne nawet błędna. Kiedy jednak francuscy politycy zostali postawieni przed faktami dokonanymi, nie mieli wiele czasu na przeprowadzenie szczegółowego śledztwa i określenie, kogo można było winić za wybuch wojny. Mimo to nie ma wątpliwości co do faktu, że w trakcie całego kryzysu myślenie i dyplomatyczne działania polityków francuskich determinowało przekonanie o popełnieniu przez stronę gruzińską tego najpoważniejszego, decydującego błędu. Politycy z Tbilisi i tak mieli szczęście, że prezydencję w UE pełnił akurat silny kraj, z wyrazistym przywódcą, jakim niewątpliwie był Sarkozy, na czele. Paryż pozostawał jednak jednocześnie sceptycznie nastawiony do Gruzji – nie było to zagadnienie bliskie sercom francuskich dyplomatów, a zarówno sam Sarkozy, jak i jego doradcy niewiele o Gruzji wiedzieli, a często jeszcze mniej dbali o to, co się tam wydarzy. Francuski prezydent obawiał się, że powstała sytuacja może doprowadzić nie tylko do politycznego załamania w samej Gruzji, ale również do długofalowych napięć na linii Rosja – Europa. Kluczową sprawą było więc zakończenie trwającego konfliktu – i kropka. Francja była zdeterminowana nie dopuścić do kompletnej porażki czy też okupacji Gru-

zji. Najważniejsze z punktu widzenia Paryża było jednak niedopuszczenie do powstania czegoś w rodzaju nowej zimnej wojny pomiędzy Rosją i Zachodem. Europejskie interesy w Rosji oraz relacje ze wschodnim mocarstwem stanowiły stawkę w toczącej się grze.

Po tym, jak Putin odprawił Sarkozy'ego z kwitkiem w Pekinie, prezydent Francji zdecydował się nawiązać kontakt z prezydentem Miedwiediewem. Poprzedniej wiosny francuski minister spraw zagranicznych Bernard Kouchner po powrocie z Moskwy powiedział Sarkozy'emu, że Miedwiediew to przedstawiciel nowego pokolenia na rosyjskiej scenie politycznej; człowiek, z którym można by załatwić wiele spraw. Podczas serii spotkań z francuskimi intelektualistami i dziennikarzami wiosną 2008 roku Sarkozy opisywał swoje plany skupienia się na współpracy właśnie z Miedwiediewem, a nie Putinem, w ramach bilateralnych relacji z Rosją. W ten właśnie sposób chciał pogodzić antyputinowską stronę swojego programu politycznego, którą otwarcie prezentował w trakcie kampanii wyborczej, z pragnieniem bycia przywódcą potrafiącym porozumieć się z Rosjanami<sup>124</sup>.

Kiedy więc Paryż zasugerował, że Sarkozy może przybyć do Moskwy w celu podjęcia negocjacji na temat zawieszenia broni, Miedwiediew natychmiast zareagował pozytywnie. Sytuacja pozostawała jednak wyjątkowo napięta. Armia gruzińska była w rozsypce, a oddziały rosyjskie znajdowały się zaledwie kilka godzin drogi od Tbilisi. Żądania Miedwiediewa dotyczące zakończenia wojny nie mówiły jak dotąd nic o dokonaniu zmiany władzy w Gruzji. Rosyjski prezydent sugerował nawet, że Moskwa była gotowa zgodzić się na powrót do *status quo* sprzed rozpo-

częcia walk. Pracownikom francuskiego wywiadu udało się jednak przechwycić rozmowy między Moskwą a rosyjskimi generałami w Gruzji. Ci ostatni potwierdzali, że droga do Tbilisi stała otworem i prosili o pozwolenie przeprowadzenia ataku na gruzińską stolicę. Wydawało się, że w samej Moskwie zdania odnośnie tego, co należało uczynić w tej sytuacji, były podzielone. Podobnie jak Waszyngton, Paryż nie był pewien, jakie właściwie były cele Moskwy. Gdyby francuski prezydent, udawszy się do rosyjskiej stolicy, stanął przed faktem dokonanym zajęcia przez Rosjan Tbilisi, byłaby to katastrofa. Z drugiej jednak strony, dopuszczenie do tego, by gruzińska stolica została zdobyta bez jakichkolwiek wysiłków ze strony Unii Europejskiej zmierzających do powstrzymania Rosjan, również było niezmiernie niekorzystne. Doradca prezydenta ds. bezpieczeństwa narodowego Jean-David Levitte sugerował Sarkozy'emu tę pierwszą linię działania, choć obawiał się, że w Moskwie francuski prezydent zostanie jedynie zapoznany z nowymi *fait accompli*.

Z Paryża wysłano więc do Moskwy następujący komunikat: francuski prezydent jest gotów przyjechać do rosyjskiej stolicy, ale nie w celu udzielenia błogosławieństwa działaniom, które podejmowała Rosja. Celem wizyty Sarkozy'ego miało być znalezienie rozwiązania konfliktu oraz zakończenie wojny na warunkach możliwych do zaakceptowania z punktu widzenia Europy. Sarkozy i Miedwiediew czterokrotnie rozmawiali ze sobą telefonicznie, a ich najbliżsi doradcy pozostawali ze sobą w stałym kontakcie. Sarkozy naciskał na spełnienie dwóch warunków. Po pierwsze, by do czasu, gdy pojawi się na miejscu, w życie weszło zawieszenie broni. Po drugie, Moskwa miała

zadeklarować, że nie zaatakuje Tbilisi. Miedwiediew zapewnił francuskiego prezydenta, że nie zaprasza go do Rosji po to, by postawić go w kompromitującej sytuacji. Obiecał, że obydwa warunki zostaną spełnione. Pytanie brzmiało jednak: kto tak naprawdę po stronie rosyjskiej decydował o tym, co miało miejsce – Miedwiediew, Putin czy może rosyjscy generałowie? Gdy samolot z prezydentem Sarkozym wystartował z Lazurwego Wybrzeża 12 sierpnia rano, nikt nie miał pewności, czy obietnice rosyjskiego prezydenta faktycznie zostaną spełnione.

W tym czasie Bernard Kouchner udał się do Gruzji, by zobaczyć na własne oczy, jak wygląda sytuacja. Francuski minister spraw zagranicznych miał doświadczenie w radzeniu sobie z kryzysami humanitarnymi i problemami uchodźców. Chciał więc z bliska ocenić wydarzenia. Razem z nim na pokładzie samolotu przebywał również reprezentujący OBWE fiński minister spraw zagranicznych Alex Stubb. Był to młody i pełen charyzmy człowiek, ironicznie określający sam siebie mianem „unijnego nudziarza”, szeroko znany za sprawą prowadzonego przez siebie bloga. To jednak właśnie OBWE, a nie Francja dowodziła misją obserwatorską w południowej Osetii – i to przedstawiciele OBWE dobrze znali owo terytorium. Posiadali również na miejscu wyjątkowo przydatne w zaistniałej sytuacji wozy opancerzone, którymi można było w miarę bezpiecznie się poruszać. 7 sierpnia na swoim blogu Stubb napisał: „Obawiam się najgorszego”. Następnego ranka doszło do wybuchu wojny. Stubb szybko skontaktował się z Kouchnerem i obydwoj zgodzili się udać do Gruzji jako przedstawiciele OBWE i Unii Europejskiej. Kiedy dotarli na miejsce 9 sierpnia, Rosja zrzu-

cała już swoje bomby na terenie całego kraju. Niektóre z nich spadły nawet blisko międzynarodowego lotniska na niecałą godzinę przed tym, jak wylądował na nim samolot z obydwoma ministrami.

Zaraz po przybyciu Kouchner i Stubb zostali przewiezieni na spotkanie, a następnie na kolację z prezydentem Saakaszwilim. Siedząc na tarasie restauracji Kopola wspólnie ze swoimi doradcami, zastanawiali się nad możliwością doprowadzenia do natychmiastowego zawieszenia broni. Sceneria robiła wrażenie nierealnej – w Gruzji toczyła się wojna, ale Tbilisi była nietknięta, ludzie bawili się i cieszyli życiem, jak gdyby nic się nie działo. Kiedy Kouchner i Stubb zwrócili na to uwagę gruzińskiego prezydenta, Saakaszwili zaproponował, by udali się do Gori, żeby zobaczyć, jak naprawdę wygląda wojna. Była już pierwsza w nocy, więc obydwaj ministrowie zdecydowali się poczekać. Następnego ranka zespoły OBWE dowodzone przez Francuzów i Finów przygotowały wstępną wersję porozumienia w sprawie zawieszenia broni. Chwilę po 10 rano doszli do ugody co do jego treści z gruzińską minister spraw zagranicznych Ekaterine Tkeszelaszwili, która objęła to stanowisko wiosną, zastępując na nim Gelę Beżuaszwilego.

Pojawił się jednak problem. Na dokumencie potrzebny był podpis Saakaszwilego, zanim można było udać się z nim do Moskwy. Notoryczny nocny marek, Saakaszwili nie spał całą noc – rankiem odrabiał więc zaległości. Jego współpracownicy nie chcieli go budzić, nawet w tak ważnej sprawie. Zrobiono to dopiero dwie godziny później – gruziński prezydent podpisał wstępną wersję porozumienia o zawieszeniu broni dokładnie o 12:14. Kouch-

ner i Stubb pojechali do Gori, gdzie zobaczyli zniszczenia, do których doprowadziły rosyjskie bombardowania. W tym momencie i tak były one stosunkowo niewielkie. Nie powstrzymało to jednak Gruzinów od wykorzystania wizyty przedstawicieli OBWE i nagłaśniania jej przed kamerami. Wojna z Moskwą trwała również na froncie public relations.

Kouchner i Stubb planowali spotkać się ponownie, tym razem już w samej Moskwie, i przekazać Rosjanom propozycje porozumienia w sprawie zawieszenia broni. W międzyczasie jednak Kouchner odbył burzliwą rozmowę z Paryżem. Jak przyznał z pewnym zakłopotaniem Stubbowi, po stronie francuskiej wystąpił mały „problem administracyjny”. Okazało się, że jego zwierzchnicy na Polach Elizejskich chcieli, by Kouchner przeprowadził misję rozpoznawczą. Nie życzyli sobie natomiast, by jakiegokolwiek porozumienie dotyczące zawieszenia broni zawarte z Gruzinami ograniczało pole manewru w negocjacjach pokojowych. Sarkozy zdecydował się udać na owe negocjacje do Moskwy osobiście i nie chciał mieć rąk związanych dokumentem, który wynegocjowano w Tbilisi – bez jego bezpośredniego udziału – z kimś, kogo Rosjanie darzyli szczerą nienawiścią. Stubb natychmiast zdał sobie sprawę z tego, że rola OBWE i Finlandii właśnie dobiegła końca. Mimo to był przekonany, iż Finom udało się pomóc w przygotowaniu zarysu dokumentu mającego być podstawą zawieszenia broni. Drugi tego typu dokument przygotowywał równolegle w Paryżu Jean-David Levitte, doradca Sarkozy’ego ds. bezpieczeństwa narodowego – Stubb nie wiedział jednak o tym.

Prawdziwym problemem miało się jednak okazać uzyskanie zgody Moskwy na podpisanie jakiegokolwiek dokumentu mówiącego o zawieszeniu broni. Kouchner po opuszczeniu Tbilisi udał się do Władykaukazu, stolicy Osetii Północnej, a jednocześnie historycznej rosyjskiej fortecy, z której Moskwa ruszyła na swój pierwszy podbój południowego Kaukazu. Spotkawszy się wcześniej z gruzińskimi uchodźcami w Gori, Kouchner pragnął teraz porozmawiać również z tymi, którzy uciekli przez granicę, by schronić się w Rosji. Usłyszał tam mrozące krew w żyłach historie o nocnych atakach gruzińskiej artylerii, włączając w to opowiadania o wrzucaniu przez lufcików w suficie granatów do pomieszczeń, w których skrywali się uchodźcy. Opowieści te wydały mu się wiarygodne; nie miał zresztą powodów nie wierzyć w ich prawdziwość. Stanowiły również część prawdy o wojnie. Umocniło to Kouchnera w przekonaniu, że strona gruzińska dokonała pochopnego ataku i utraciła moralną przewagę nad przeciwnikiem.

W drodze do obozowisk uchodźców francuska delegacja widziała długie kolumny rosyjskich wojsk przemieszczających się na południe, w stronę Tunelu Rokijskiego i Gruzji. Był to imponujący widok. Gdy delegacja francuska przybyła do Władykaukazu, zadzwonił francuski ambasador w Gruzji, Eric Fournier, donosząc o najnowszych informacjach na temat rozwoju wydarzeń. Zasugerował, by członkowie delegacji wzięli do rąk mapę Gruzji, znaleźli na niej dwie małe miejscowości i nakreślili między nimi linię prostą. Pokazywała ona pozycje wojsk rosyjskich – i przecinała terytorium Gruzji na dwie połowy. To, na co patrzono na mapie, w połączeniu z maszeru-

jącymi w stronę Gruzji kolumnami wojsk, które ledwie przed chwilą minięto w drodze do miasta, było aż nadto plastycznym i namacalnym przypomnieniem o tym, jak potężnym militarnie państwem była Rosja i komu musieli stawić czoła Gruzini. Jeżeli w Moskwie podjęto by decyzję o wykorzystaniu tej potęgi – los Tbilisi byłby przesądzony.

Gdy później tego samego popołudnia prezydent Sarkozy udał się na spotkanie z Miedwiediewem i Putinem, dwa czynniki najmocniej kształtowały francuską perspektywę oglądu całej sytuacji. Gruzja znajdowała się w ogromnym niebezpieczeństwie i trzeba było ją ratować. Jednakże Paryż był jednocześnie przekonany, że to Saakaszwili doprowadził do wybuchu konfliktu, potwierdzając tym samym etykietę polityka nieobliczalnego, jaka od dawna do niego przyłgnęła. Z francuskiego punktu widzenia Tbilisi ponosiła więc przynajmniej częściową odpowiedzialność za zaistniałą sytuację. W efekcie celem misji Sarkozy'ego nie było odzyskanie dla Saakaszwilego tego, co stracił w trakcie trwania działań wojennych, ale doprowadzenie do końca wojny, ocalenie Gruzji i niedopuszczenie do rozpoczęcia nowej zimnej wojny między Zachodem i Rosją z powodu kwestii gruzińskiej. Spostrzeżenie, że tak właśnie zdefiniowano w Paryżu dyplomatyczne cele, jest kluczowe dla zrozumienia tego, co się wydarzyło w Moskwie owego popołudnia.

Przed wylotem Sarkozy'ego Paryż był oczywiście w ścisłym kontakcie ze swoimi partnerami z Unii Europejskiej i Waszyngtonu. Głównym tematem dyskusji było to, jakie cele miał osiągnąć Sarkozy oraz na jak dalekie ustępstwa gotowe były państwa zachodnie. Nikt nie wiedział do końca, co chcieli zyskać Rosjanie. Im bardziej

rosyjskie wojska przesuwają się jednak w głąb Gruzji, tym większe było ryzyko wzrostu apetytów Moskwy. Państwa zachodnie zgadzały się co do tego, że nie można było dopuścić do obalenia obecnego rządu w Tbilisi. Nie było również kontrowersji w kwestii powrotu wojsk rosyjskich na pozycje *status quo ante*. Mimo ostrych wypowiedzi o Saakaszwilim, Miedwiediew przyznał zarówno Sarkozy'emu, jak i Bushowi, że jest gotów zgodzić się na tak nakreślone warunki. Zadanie polegało więc na tym, aby nakłonić rosyjskiego prezydenta do podpisania formalnego zobowiązania o tej treści, a następnie wyegzekwować jego zapisy w praktyce, zanim będzie za późno na odwrócenie biegu wydarzeń. Trzecim (i ostatnim) celem było wreszcie niedopuszczenie do szerszego kryzysu międzynarodowego oraz przekonanie Rosji o popełnieniu przez nią błędu. Miało to stanowić rodzaj gwarancji, że Moskwa nie wykona podobnych ruchów również przeciwko innym swoim sąsiadom.

Rozstrzygając te kwestie, Waszyngton i Paryż ściśle ze sobą współpracowały. Zgodą Busha na to, by to Europa odegrała kluczową rolę przy rozwiązywaniu konfliktu, nie oznaczała, że politycy w Waszyngtonie nie starali się wywierać wpływu na wydarzenia niejako zza zasłoniętej kurtyny. Można powiedzieć, że w pewnym sensie Stany Zjednoczone zachowywały się jak przysłowiowy zły glina, zajmując publicznie bardzo twarde stanowisko *vis-à-vis* Moskwy; Paryż zaś byłby tym bardziej umiarkowanym, dobrym gliną. Obie strony uzgadniały i koordynowały swoje działania. Sarkozy i Bush rozmawiali ze sobą aż trzykrotnie, aby upewnić się, że po obu stronach Atlantyku w podobny sposób patrzono na kryzys. Wysocy urzędni-

cy amerykańskiej administracji przekonywali Francuzów o swoim pełnym poparciu dla wizyty Sarkozy'ego w Moskwie. Ostatnie słowa francuskiego prezydenta z jego trzeciej rozmowy z Bushem brzmiały: „George, bardzo się cieszę, że odbyliśmy tę rozmowę. Nie ma między naszymi punktami widzenia żadnej różnicy”<sup>125</sup>.

W dyplomacji jest jednak taka stara zasada: ten, kto kontroluje spisującego negocjowany dokument na papierze, lub też ten, kto bierze bezpośredni udział w negocjacjach, ma ostatnie słowo. W rzeczywistości Waszyngton odgrywał jedynie rolę „kierowcy z tylnego siedzenia” – z wszystkimi ograniczeniami, jakie wiązały się z tą figurą. Faktyczny ciężar wynegocjowania z Rosjanami zawieszenia broni i wycofania ich wojsk spoczywał bowiem na Paryżu i zależał od przebiegu bezpośrednich rozmów przywódców Francji i Rosji w Moskwie. Przedstawiciele Stanów Zjednoczonych nie uczestniczyli w tych negocjacjach. Waszyngton zdecydował się na *outsourcing* – rozwiązanie tego kryzysu pozostawił Paryżowi oraz Unii Europejskiej. Gdy Sarkozy wylatywał do Moskwy, wśród urzędników amerykańskiej administracji panowało przekonanie, że Biały Dom był tak mocno zaangażowany w podejmowane działania dyplomatyczne, jak to tylko było możliwe w tej sytuacji. Zdawano sobie sprawę z tego, że Sarkozy był silnym i potrafiącym efektywnie działać przywódcą. Wiedzano jednak również, iż czasami stawał się kimś w rodzaju politycznego showmana, któremu poczucie własnej wielkości przesłaniało kluczowe niuanse dyplomatycznej rozgrywki. Obawiano się również braku zgody między francuskim prezydentem i jego współpracownikami z Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Prezydent Sarkozy przybył do Moskwy tuż przed południem 12 sierpnia. Dosłownie chwilę przed tym, jak jego samolot wylądował, Rosjanie ogłosili zawieszenie broni wśród swoich wojsk. Również Tbilisi wciąż utrzymywała w mocy swoją wcześniejszą, jednostronną deklarację. W sensie technicznym Rosjanie dotrzykali więc danego słowa. Do francuskiej delegacji bardzo szybko zaczęły jednak dobiegać doniesienia mówiące, że mimo deklaracji o zawieszeniu broni, rosyjskie oddziały wciąż zbliżały się do Tbilisi. Sarkozy najpierw spotkał się z Miedwiediewem. Jako prezydent Rosji i, przynajmniej oficjalnie, głównodowodzący wojsk rosyjskich to właśnie on był, zgodnie z protokołem, tą osobą, z którą Sarkozy powinien rozmawiać.

Choć to Miedwiediew był negocjatorem, wszyscy doskonale wiedzieli, że to do Putina tak naprawdę należało ostatnie słowo. Przedstawiciele francuskiej delegacji zostali zatem poinformowani o dołączeniu wkrótce do negocjacji rosyjskiego premiera. Zwiększyło to dodatkowo dramatyzm sytuacji. Sarkozy wiedział już co najmniej od czasu rozmowy w Pekinie, że Putin chciał odsunięcia Saakaszwilego od władzy. Warunek taki postawił również minister Ławrow. Groźba obalenia rządu w Tbilisi wciąż wisiała więc w powietrzu. Później tego samego dnia jeden z moskiewskich spin doktorów, Gleb Pawłowski, powiedział w wywiadzie dla radiostacji „Echo Moskwy”, że podczas „ważnego spotkania” wśród rosyjskich decydentów, do którego doszło tego dnia, formułowano opinie, by nie akceptować zawieszenia broni, kontynuować marsz na Tbilisi, a „być może nawet jeszcze dalej”. Dodał jednak zaraz, że nie zgadzał się z osobami popierającymi

takie stanowisko, ponieważ tego typu działania miałyby negatywny skutek dla relacji Rosja – Zachód oraz zaprzęściłyby marzenia prezydenta Miedwiediewa o modernizacji zachodniej części Rosji<sup>126</sup>.

Gdy rozpoczęły się rozmowy, Kouchner odkrył ku swojemu zaskoczeniu, że zarys porozumienia, który przygotował w Tbilisi wspólnie ze Stubbem, zupełnie nie był brany pod uwagę. Chociaż został wysłany do Paryża, doradca ds. bezpieczeństwa narodowego Levitte uznał, że nie stanowi on dobrego punktu odniesienia do rozpoczęcia rozmów w Moskwie oraz że byłoby poważnym błędem prezentowanie Rosjanom tekstu, który wcześniej został wynegocjowany z Saakaszwilim. Francuska Rada ds. Bezpieczeństwa Narodowego stworzyła więc drugi dokument, ale również on został odrzucony, jako niemożliwy do zaakceptowania. Zamiast tego dyskusja z Rosjanami rozpoczęła się od rozłożenia przez nich na stole wielkiej mapy z zaznaczonymi miejscami, w których Rosjanie chcieli stworzyć strefy bezpieczeństwa w południowej Osetii, aby w ten sposób ochronić ją przed przyszłymi atakami. Spełnienie tych postulatów dałoby Rosjanom kontrolę nad wszystkimi głównymi szlakami komunikacyjnymi łączącymi wschodnią i zachodnią część kraju, w tym do Tbilisi. W praktyce oznaczało to, że Moskwa byłaby w stanie błyskawicznie „zawetować” wszelkie szanse na ekonomiczną odbudowę Gruzji. Co ciekawe, mówiono między innymi o tej samej drodze postępowania, którą Moskwa wykorzystwała podczas swojej inwazji na Gruzję w roku 1921, w efekcie czego ta ostatnia utraciła wówczas niepodległość. Rosjanie dotrzymali więc danego słowa w tym sensie, że nie chcieli zajmować samej Tbilisi.

Wciąż chodziło im jednak o uzyskanie pełnej dominacji nad Gruzją; o rzucenie jej, zarówno w wymiarze politycznym, jak i gospodarczym, na kolana. W konsekwencji doprowadziłoby to do upadku obecnego rządu, choć już nie dzięki użyciu presji militarnej, lecz politycznej i ekonomicznej. W trakcie toczących się rozmów przedstawiciele strony francuskiej otrzymywali na bieżąco informacje potwierdzające, że wojska rosyjskie nadal zbliżają się do gruzińskiej stolicy. Tbilisi wciąż znajdowała się więc w niebezpieczeństwie. I w tym właśnie momencie Putin dołączył do negocjacji – podobno przyszedł na spotkanie wprost od dentysty i był w fatalnym nastroju. Nie było tylko jasne, za jaką część gniewu odpowiadał dentysta, a za jaką – Gruzini.

Jasne było natomiast, że w ten lub w inny sposób rosyjski premier chciał wyeliminować Saakaszwilego z gry. Między Sarkozym i Putinem doszło do następującej, ostrej wymiany zdań, upublicznionej później przez francuską prasę:

- Putin powiedział: – Chcę powiesić Saakaszwilego za jaja.  
– Powiesić go? – wtrącił się zdziwiony Sarkozy.  
– Czemu nie? – odparł Putin – Amerykanie powiesili Sad-dama Husajna.  
– Naprawdę chce pan skończyć jak Bush? – zapytał Sarkozy.  
Putin zamyślił się i po chwili milczenia odpowiedział:  
– Ach, faktycznie. Tu ma pan rację<sup>127</sup>.

Sarkozy odparł na to: „Pozwólmy, by gruzińskie społeczeństwo zdecydowało o tym, jakiego chce mieć przy-

wódcę. Żyją w demokratycznym państwie, sami podejmą decyzję. To po prostu nie pański interes. Jeżeli obawia się pan o sprawy bezpieczeństwa w związku z atakiem [gruzińskim z 7 sierpnia – przyp. tłum.], porozmawiajmy o nich. Po to tu przyjechałem”.

Trzej przywódcy udali się następnie na lunch, podczas gdy ich ministrowie spraw zagranicznych i doradcy ds. bezpieczeństwa rozpoczęli prace nad nowym tekstem porozumienia w sprawie zawieszenia broni. Różnice były jednak tak poważne, że nie udało im się uzgodnić jakiegokolwiek tekstu, który następnie przywódcy obu stron mogliby przedyskutować. Rozmowy utknęły w martwym punkcie. Sarkozy i jego delegacja zmuszeni zostali do podjęcia niezwykle ryzykownej decyzji – zagrozić wyjazdem całej delegacji, godząc się na ryzyko, jakie wiązało się z podjęciem takiego kroku, albo podwoić wysiłki i spróbować wynegocjować kompromis, nawet jeżeli nie spełniałby on wszystkich warunków postawionych sobie wcześniej przez państwa zachodnie.

Politycy z Paryża zdawali sobie doskonale sprawę z tego, że Moskwa pogwałciła kardynalną zasadę pozimnowojennego porządku politycznego w Europie – przekroczyła granicę innego państwa przy użyciu siły. Z francuskiego punktu widzenia było to niedopuszczalne działanie. Dyplomaci doszli jednak do wniosku, że podczas wizyty w Moskwie nie można było odwrócić czy cofnąć wspomnianych wydarzeń. Ani Francja, ani Unia Europejska nie dysponowały niczym, co mogłoby skłonić Rosjan do przystania na zawieszenie broni na warunkach proponowanych przez państwa zachodnie. Z wojskami gotowymi do zbrojnego zajęcia Tbilisi to Moskwa miała

mocniejsze karty w rękę. W efekcie Sarkozy i jego doradcy zdecydowali się wyeliminować najbardziej bezpośrednie zagrożenie – powstrzymać rosyjską ofensywę i ocalić Tbilisi – nie pozwalając, by lepsze stało się wrogiem dobrego. Taka była cena za uchronienie Tbilisi przed totalną klęską i okupacją. Jak ujął to później Kouchner: „Chcieliśmy powstrzymać marsz rosyjskiej armii. Taki był główny cel naszych działań. A żeby tego dokonać, musieliśmy uznać, że to oni [Rosjanie] zwyciężyli w Abchazji i Osetii Południowej, następnie zaś zażądać, by zatrzymali marsz swoich wojsk”<sup>128</sup>.

W pewnym momencie rozmów Sarkozy powiedział Miedwiediewowi: „Dobra, spróbujemy rozwiązać ten problem we dwóch”. Wyciągnął pióro i własnoręcznie zapisał tekst propozycji, która zamykała się w kilku punktach. Nie było w nich mowy o terytorialnej integralności Gruzji, co było kluczowym elementem dokumentu podpisanego przez Saakaszwilego w Tbilisi. Cztery punkty zawarte w propozycji Kouchnera-Stubba zostały przedstawione w nieco zmienionej formie. Dodano jednak również dwa nowe. Były one odpowiedzią na naciski Moskwy i dotyczyły wprowadzenia dodatkowych środków bezpieczeństwa w strefach konfliktów, jak również żądania przeprowadzenia rozmów w sprawie przyszłego statusu Abchazji i Osetii Południowej. Propozycja spisana przez Sarkozy’ego została przekazana do sekretariatu przez Jeana-Davida Levitte’a i Siergieja Prichodkę, doradców Sarkozy’ego i Miedwiediewa, przepisana, następnie zaś przetłumaczona na język rosyjski. Niestety, nikomu nie przyszło do głowy sprawdzić, czy rosyjskie i francuskie wersje były identyczne.

Po trwającej w sumie blisko cztery godziny debacie obydwaj przywódcy uzgodnili brzmienie porozumienia w sprawie zawieszenia broni. Składało się ono z sześciu punktów. Sarkozy i Miedwiediew przedstawili je razem podczas konferencji prasowej. Brzmiały one następująco:

- zakaz uciekania się do użycia siły;
- całkowite zaprzestanie działań zbrojnych;
- umożliwienie przeprowadzenia interwencji humanitarnej;
- siły zbrojne Gruzji mają wycofać się na swoje stałe pozycje;
- siły zbrojne Federacji Rosyjskiej mają wycofać się na linię, na której znajdowały się przed rozpoczęciem walk; przed stworzeniem odpowiednich mechanizmów międzynarodowych rosyjskie siły pokojowe zastosują dodatkowe środki bezpieczeństwa;
- odbędzie się międzynarodowa debata na temat przyszłego statusu Osetii Południowej i Abchazji.

Język porozumienia był mało klarowny i zawierał kilka niejasnych punktów, co łatwo można było dostrzec nawet okiem mało doświadczonego dyplomaty. Zakrywano w ten sposób różnice w dążeniach, które dzieliły Francję i Rosję. Podczas swojego wystąpienia na konferencji prasowej Miedwiediew nie wspomniał ani słowem o niepodległości czy suwerenności państwa gruzińskiego – ani o jego integralności terytorialnej. Sarkozy przerwał rosyjskiemu prezydentowi, by podkreślić kluczowe znaczenie dwóch pierwszych punktów porozumienia – i poprosił rosyjskiego przywódcę o potwierdzenie, że jego stanowisko było

identyczne. Sarkozy chciał, aby Miedwiediew publicznie wyraził swoje poparcie dla tych punktów. Natychmiast zadano obu politykom pytanie o to, dlaczego w dokumencie nie było mowy o terytorialnej integralności Gruzji. Miedwiediew nie udzielił odpowiedzi. Sarkozy natomiast odparł, że jego celem nie było rozwiązanie wszystkich problemów regionu, lecz doprowadzenie do zawieszenia broni. „Mamy dwie możliwości – powiedział. – Możemy próbować rozwiązać wszystkie sporne zagadnienia już teraz i nie osiągnąć żadnego rezultatu albo możemy próbować przywrócić pokój, nawiązać dialog i na tej podstawie budować długofalowe rozwiązanie. Zdecydowaliśmy się na ten drugi wariant”<sup>129</sup>. Miedwiediew w końcu został zmuszony do przyznania, że uznaje gruzińską niepodległość i suwerenność. Zaraz jednak dodał: „nie oznacza to, iż suwerenne państwo ma prawo robić wszystko, na co tylko ma ochotę”. Zapytany, czy Gruzini, Południowoosetyńcy i Abchazi będą mogli kiedykolwiek pokojowo zamieszkiwać w jednym państwie, stwierdził: „jest to pytanie, z którym należy się zwrócić bezpośrednio do zainteresowanych stron, tylko one bowiem mogą udzielić na nie odpowiedzi. Ani Rosja, ani żadne inne państwo nie może tego za nie zrobić”. Po czym dopowiedział: „W ostatnich latach prawo międzynarodowe stworzyło wiele niezmiernie skomplikowanych precedensów, przyznając pewnym ludom prawo do samostanowienia i godząc się na pojawienie się na mapie nowych państw. Było tak choćby w przypadku Kosowa”. Moskwa grała więc dokładnie tą samą kartą, której wcześniej używał Zachód w sprawie Bałkanów. Okazuje się, że w dyplomacji po latach niektóre rzeczy mogą zupełnie niespodziewanie odbić się czkawką.

Sarkozy i Kouchner opuścili Moskwę w przekonaniu, że udało im się osiągnąć zamierzone cele. Zapobiegli dalszemu rozwojowi wojny i rosyjskiej ofensywie militarnej. Według nich to Saakaszwili popełnił błąd, decydując się na akcję zbrojną, a Gruzja *de facto* przegrała całą rozgrywkę. Ich celem przez cały czas trwania negocjacji było uniknięcie oskarżeń pod adresem Rosji, że to właśnie ona była agresorem. Nie mieli również zamiaru odzyskiwać dla Gruzji tego, co utraciła w trakcie działań wojennych. Chętnie przyjęli do wiadomości, jak mocno ograniczone były ich własne wpływy, zwłaszcza, jeżeli brało się jeszcze pod uwagę rosyjskie możliwości wojskowe. Celem Sarkozy'ego i Kouchnera było więc po prostu zakończenie wojny i uniknięcie w ten sposób sytuacji, w której powstałaby zadra w relacjach między Moskwą a Zachodem. Udało im się ocalić Gruzję, zachować dobre stosunki na linii Rosja – Europa, a także pokazać całemu światu, że Unia Europejska była w stanie skutecznie zarządzać kryzysem o tak wielkiej skali na peryferiach Europy pod francuskim przewodnictwem. Byli więc przekonani o swoim sukcesie. Wracając samolotem z Moskwy do Tbilisi, świętowali.

Sojusznicy Francji nie okazali się jednak w swoich wrażeniach i ocenach aż tak jednostronni. Gdy pracownicy amerykańskiej administracji zobaczyli tekst porozumienia, byli – by użyć słów jednego z nich – „przeżeraeni”. Zawieszenie broni powinno zawierać konkretne daty i dokładnie określać miejsca, o których mówiono w dokumencie. Tekst był tymczasem bardzo ogólny i dawało się go interpretować przynajmniej na kilka sposobów. Mówiono w nim o wojskach rosyjskich, nie czyniąc rozróżnienia na rosyjskie siły pokojowe i oddziały, które

przeprowadziły inwazję. Co w praktyce oznaczało sformułowanie mówiące o „dodatkowych środkach bezpieczeństwa”? Jeżeli pozostawiono by tę kwestię do rozstrzygnięcia Rosjanom, byłoby to równoznaczne ze stwierdzeniem, że mogą w Gruzji robić, na co tylko przyjdzie im ochota. Jak wyobrażano sobie działanie „międzynarodowych mechanizmów”, o których pisano w dokumencie – i ile czasu potrzebowano na ich stworzenie? Były to potężne luki, które Moskwa mogła wykorzystać, pozostawiając swoje wojska w kluczowych ze strategicznego punktu widzenia częściach terytorium Gruzji.

Jednak politycy w Waszyngtonie sami postawili przeciw na Paryż. Przedstawiciele amerykańskiej administracji nie brali udziału w negocjacjach, ciężko było im w związku z tym ocenić, co było, a co nie było możliwe do przeforsowania. Tak oto znaleźli się w sytuacji, w której nie mieli już wyboru: Francji musiało się udać, jeżeli Stany Zjednoczone miały osiągnąć swoje cele. Administracja Busha była gotowa na przyjęcie krytyki dotyczącej nie dość zdecydowanych działań ze swojej strony. Jej pracownicy byli przekonani, że to Europa musiała odgrywać kluczową rolę w przypadku tego kryzysu, a Francuzi kierowali się tymi samymi celami, co Amerykanie. Kiedy więc okazało się, że wynegocjowane porozumienie nie spełnia oczekiwań Waszyngtonu, nie było innego wyjścia, jak przełknąć tę gorzką pigułkę i powstrzymać się od krytyki.

Do dzisiejszego dnia trwa debata dotycząca oceny porozumienia w sprawie zawieszenia broni, które zawarli Sarkozy i Miedwiediew. Czy francuski prezydent wykazał się odwagą, udając się do Moskwy, i czy osiągnął najlepszy z możliwych rezultatów? Czy może raczej nie

potrafił wyrzucić na Rosjanach dostatecznie mocnej presji i w konsekwencji powstał marnej jakości dokument, którego liczne luki i niejasne zapisy do dzisiaj utrudniają rozwiązanie całego problemu? Czy Paryż zrobił wszystko, co w tych warunkach było do zrobienia – czy też Sarkozy, skoncentrowany na tym, by bez względu na wszystko podpisać porozumienie, przystał na niekorzystny i pełen niedomówień tekst? Czy Francji i Unii Europejskiej zabrakło siły, by zmusić Rosję do podpisania bardziej kompromisowego dokumentu? Czy bliższa współpraca między UE i Ameryką, a także bardziej widoczne zaangażowanie Stanów Zjednoczonych w negocjacje zmieniłyby coś w przebiegu wydarzeń – czy raczej doprowadziłyby do napięć w stosunkach rosyjsko-amerykańskich, których starano się uniknąć? Historycy będą zapewne roztrząsali te kwestie jeszcze przez długi czas.

Ze swojej strony Francuzi zapewniali, że uczynili wszystko, co było w ich mocy, zważywszy na niezmiernie trudne warunki, w jakich przyszło im prowadzić pertraktacje. Podczas gdy urzędnicy w Waszyngtonie utrzymywali, iż Amerykanie przez cały czas pozostawali w ścisłym kontakcie z Paryżem, przedstawiciele Francji byli w swoich relacjach mniej życzliwi i przyznawali, że Stany Zjednoczone były „poza grą”, a Europa w pojedynkę prowadziła negocjacje z Moskwą. Jak powiedział potem francuski minister spraw zagranicznych Kouchner: „Amerykanów tam w ogóle nie było. Nie brali w niczym udziału. Dzwonili do nas, a my oddzwanialiśmy do nich. Wysłali jeden ze swoich okrętów marynarki wojennej do regionu Morza Czarnego, ale co z tego? Nic! Musieliśmy więc sami powstrzymać Armię Czerwoną [*sic!* tak w oryginale – przyp.

tłum.] i to było naszym głównym, a nawet jedynym celem – nie pozwolić Rosjanom na zdobycie stolicy [Gruzji]”.

To, co Francuzi uznawali za sukces, odbierano jednak zupełnie inaczej w Tbilisi. Saakaszwili i jego współpracownicy w pierwszej chwili wpadli w konsternację, gdy tylko Bush powiedział im, że Stany Zjednoczone nie będą przewodziły w negocjacjach i że rola ta przypadnie Francji. Mimo to wylot Sarkozy’ego do Moskwy przyjęto przychylnie. Saakaszwili doskonale rozumiał, że potrzebny był ktoś, kto nakłoni Rosjan do zakończenia wojny. Jeżeli Waszyngton nie był gotowy na podjęcie tego wyzwania, to nie było alternatywy dla Unii Europejskiej. Kiedy jednak przedstawiciele gruzińskiego rządu oglądali konferencję prasową Miedwiediewa i Sarkozy’ego, nie mogli uwierzyć własnym uszom. Saakaszwili podpisał przecież poprzedniego dnia zawieszenie broni, które zawierało wyraźny warunek *sine qua non* – potwierdzenie integralności gruzińskiego terytorium. Teraz tymczasem mieli do czynienia z nowym tekstem, w którym ten zapis się nie pojawiał i do którego dodano dwa nowe, zupełnie niejasne punkty. Fakt, że dokument ten był właśnie ogłaszany na konferencji prasowej w Moskwie, oznaczał zaś brak praktycznie żadnych szans na zmianę jego treści.

Podczas gdy członkowie francuskiej delegacji, zmierzając do Tbilisi, cieszyli się na pokładzie samolotu ze swojego sukcesu, Saakaszwili zadzwonił do kilku dyplomatów, aby zbadać, jaka była ich reakcja. Był wściekły z powodu zmienionej treści dokumentu mówiącego o zawieszeniu broni. Pytał swoich rozmówców o to, jak należy ją interpretować, oczekując jednocześnie na przybycie francuskiego prezydenta. Z punktu widzenia Tbilisi

na Gruzję dokonano inwazji, którą poprzedziła cała seria agresywnych posunięć ze strony Rosji, na co Zachód praktycznie nie zareagował. W odpowiedzi na wojnę państwa zachodnie ograniczyły się, według Gruzinów, jedynie do głędzenia. Zamiast w sposób jednoznaczny potępić rosyjską agresję, skrytykowano Moskwę za „nieproporcjonalne użycie siły”, co sugerowało, że działanie o mniejszej skali byłoby uzasadnione. Choć przywódcy w Tbilisi byli rozczarowani postawą Waszyngtonu, wiedzieli jednak również, że Stany Zjednoczone były ich najpotężniejszym sojusznikiem. To Europa zawiodła ich najbardziej. A to właśnie od pomocy Francji byli uzależnieni w chwili, gdy na włosku zawisała sprawa ocalenia gruzińskiego państwa.

Poprzedniego dnia Saakaszwili wezwał obywateli na manifestację jedności narodowej pod budynek gruzińskiego parlamentu. Próbował w ten sposób podbudować społeczne morale. Sarkozy przybył do Tbilisi w momencie, gdy manifestacja właśnie się odbywała. Kolumna samochodów, w której jechał, kierowała się w stronę parlamentu, gdzie przemawiał Saakaszwili. Kiedy zbliżyła się do budynków parlamentu, tłum zaczął skandować: „Sarkozy! Sar-ko-zy!”. Saakaszwili zaproponował Sarkozy’emu wygłoszenie przemówienia do zebranych, ale Sarkozy odmówił stwierdzając, że przyjechał w celu zakończenia wojny, a nie dla publicznych wystąpień. Francuska delegacja obawiała się prób manipulacji nią ze strony Saakaszwilego. Jej członkowie zdawali sobie również sprawę z tego, że cokolwiek Sarkozy powie publicznie, będzie bardzo dokładnie analizowane, zwłaszcza w Moskwie.

Sytuacja pogorszyła się, gdy obie strony próbowały znaleźć odpowiednie miejsce, w którym mogłyby poroz-

mawiać. Wstępnie zaplanowano spotkanie w kancelarii Saakaszwilogo, ale w związku z manifestacją i późnym przybyciem francuskiego prezydenta musiano dokonać pewnych zmian. Na wizytę Francuzów nie przygotowano tymczasem żadnego alternatywnego miejsca. Gruziński prezydent dysponował apartamentem wyłącznie do swojego użytku w budynku parlamentu, ale zdecydowano się go nie wykorzystywać. Nie było w nim klimatyzacji, a napoje odświeżające musiałyby zostać specjalnie sprowadzone na tę okazję. Co więcej, nikt nie zajął się przetłumaczeniem tekstu deklaracji z francuskiego i rosyjskiego na angielski. Saakaszwili mówił przyzwoicie po francusku, lecz wielu z jego kluczowych proamerykańskich doradców – nie.

Wkrótce po rozpoczęciu spotkania na miejsce przybyli również prezydenci Polski – Lech Kaczyński, Estonii – Toomas Ilves, Litwy – Valdas Adamkus oraz łotewski premier Ivars Godmanis. Zjawili się, by zademonstrować swoją solidarność z Gruzją. Chociaż rosyjskie siły powietrzne umożliwiły Sarkozy'emu bezpieczne przemieszczenie gruzińskiej przestrzeni powietrznej, nie pozwoliły przedostać się na miejsce w ten sam sposób polskiej delegacji, w efekcie czego musiała ona lądować awaryjnie w Azerbejdżanie i dopiero stamtąd przedostawać się do Tbilisi samolotem. Saakaszwili wyszedł ze spotkania z Sarkozyem, aby przywitać gości i zaprowadzić ich na manifestację. Później zaś dosłownie zbiegł ze sceny i pobiegł z powrotem na spotkanie z francuskim prezydentem, zostawiając ich oszołomionych na wprost około stutysięcznego tłumu gruzińskich obywateli. Z pewnością nie był to idealny początek wizyty.

W Sarkozym i Kouchnerze Gruzini widzieli, a raczej chcieli widzieć, bliskich przyjaciół, którzy przybyli z pomocą w chwili najcięższej próby. Pragnęli zrozumieć, co właściwie wydarzyło się w Moskwie oraz w jaki sposób i z jakiego powodu dokument podpisany przez nich dwa dni wcześniej został w tak drastyczny sposób zmieniony. Liczyli na to, że podjęty zostanie w tej sprawie dialog oraz ustalone zostaną konkretne działania mające na celu zminimalizowanie negatywnych aspektów dokumentu. Z punktu widzenia Francji zadanie przedstawiało się jednak zupełnie inaczej. Sarkozy nie chciał rozpoczynać żadnych rozmów opartych na transakcji „coś za coś”, na co liczyła strona gruzińska. Pragnął jedynie przekonać swoich rozmówców, że nie mieli innego wyboru, jak zaakceptować dokument, który powstał w wyniku niezwykle trudnych negocjacji i w niezmiernie skomplikowanej sytuacji politycznej. Przylatując bezpośrednio z Moskwy, Sarkozy nie mógł jeszcze wiedzieć, czy zawieszenie broni faktycznie powstrzyma działania rosyjskich armii czy też generałowie mimo wszystko zdecydują się na podjęcie ataku. Zarówno reputacja Francji, jak i jego własna zależały od dalszych wydarzeń. Gdyby zawieszenie broni nie zadziało, miałyby to głęboko negatywne skutki dla jego własnego wizerunku.

Ujmując rzecz w skrócie, Sarkozy oczekiwał, że Tbilisi podpisze dokument zapewniający przetrwanie gruzińskiego państwa oraz doceni jego własną rolę jako faktycznego twórcy pokoju. Psychologiczny rozdźwięk między obydwoma stronami w sposobie, w jaki odbierały dokument mówiący o zawieszeniu broni, bardzo szybko stał się jednak oczywisty. Przesłanie Sarkozy’ego było ab-

solutnie jednoznaczne: musicie podpisać ten dokument, w przeciwnym razie rosyjskie czołgi znajdują się w Tbilisi w ciągu kilku najbliższych godzin. Chociaż treść dokumentu była bardzo ogólna, a w wielu miejscach daleka od doskonałości, pozostawał on jedynym sposobem na zakończenie wojny i ocalenie Gruzji. Pozostałymi sprawami można było zająć się później. Gruzini, ze swojej strony, chcieli natomiast stawiać pytania, naciskać na wyjaśnienie brzmienia konkretnych sformułowań, badać możliwości ewentualnej zmiany przedstawionego dokumentu. Sarkozy był już zmęczony po niezwykle ciężkim i obfitym w wydarzenia dniu. Niecierpliwy i poirytowany, wciąż atakował stronę przeciwną i głośno, na wpół krzyczącym głosem pytał swoich gruzińskich rozmówców: „Gdzie jest Bush? Gdzie są Stany Zjednoczone? Nie pojawią się, by was uratować. Europa również się nie pojawi. Jesteście sami. Jeżeli nie podpiszecie tego dokumentu, wkrótce zjawią się tu rosyjskie czołgi”.

Gruzini byli przestraszeni, ponieważ doskonale wiedzieli, że Sarkozy mógł mieć rację. Dane dostarczane przez wywiad potwierdzały wciąż niezmienną gotowość Rosjan do przeprowadzenia ataku. Jednocześnie jednak wydawało im się, że francuski prezydent przesadzał. Chciał ogłosić zakończenie swojej misji pełnym sukcesem i wrócić do domu, co było dla nich oczywiste. Zbyt wiele pytań pozostawało jednak bez odpowiedzi. Nie byli pewni, czy Francuzi w pełni rozumieli powikłaną kwestię południowoosetyjskich granic. Nikt nie potrafił również powiedzieć, w jaki dokładnie sposób dokument miał zostać wdrożony w życie. Na to wszystko nakładało się jeszcze poczucie własnej niemocy. Gruzini obawiali się, że jeżeli

będą zbyt mocno naciskali, Sarkozy wpadnie w furję, stanie po stronie Rosjan i zarzuci im brak woli współpracy.

Z punktu widzenia Tbilisi z dokumentem wiązały się trzy podstawowe problemy. Po pierwsze, zniknęła z niego wzmianka o terytorialnej integralności gruzińskiego państwa. Francuzi odpowiedzieli, że ponowne uwzględnienie tego punktu nie było już możliwe. Drugim problemem był punkt piąty, dotyczący bezpieczeństwa w strefie buforowej. Został on bardzo ogólnikowo sformułowany i gruzińscy politycy obawiali się, że Rosjanie będą mogli w oparciu o jego treść próbować okupować militarnie objęte konfliktami części gruzińskiego terytorium. Sarkozy zaoferował napisanie dodatkowej deklaracji, która streszczałaby intencje, jakie przyświecały zawartym w dokumencie zapisom, stanowczo nie zgodził się jednak na dokonywanie jakichkolwiek zmian w samym dokumencie. Politycy z Tbilisi zaakceptowali takie rozwiązanie. Trzeci, najważniejszy problem stanowił jednak punkt szósty, w którym była mowa o przyszłych dyskusjach na temat statusu Abchazji i Osetii Południowej. W Tbilisi natychmiast zauważono paralele do sytuacji Kosowa i zinterpretowano ten zapis jako chytrą sztuczkę Rosjan. Gdyby zgodzono się na takie jego brzmienie, byłby to wielce wymowny precedens: Gruzja po raz pierwszy zaakceptowałaby zapis otwarcie kwestionujący jej terytorialną integralność. Z punktu widzenia Saakaszwilego i jego doradców takie rozwiązanie było nie do zaakceptowania. Francuzi przekonywali z kolei, że wydźwięk zapisu był dokładnie odwrotny i że Rosjanie zgadzali się na rozwiązanie problemu statusu Abchazji i Osetii Południowej poprzez wielostronne rozprawy międzynarodowe. To najbardziej korzystna formuła, stanowiąca jed-

nocześnie najprawdopodobniej jedyny sposób na pozostawienie kwestii statusu wspomnianych prowincji otwartej i powstrzymanie Moskwy przed jednostronnym uznaniem ich niepodległości. Słowo „status” oznaczało zaproszenie do otwartej, niezakładającej z góry żadnego rozwiązania dyskusji z udziałem społeczności międzynarodowej, która mogłaby pomóc Gruzinom. Sarkozy wypowiadał się w tej sprawie bardzo klarownie: „Siedzimy tu teraz razem i staracie się negocjować każde słowo i każdy przecinek w tym porozumieniu. Mogę was jednak zapewnić, że jeżeli go nie zaakceptujecie, Rosjanie zjawią się tutaj w ciągu kilku godzin – jestem o tym przekonany. Tak więc wasz wybór sprowadza się do następującej alternatywy: albo zgadzacie się, by oni zdobyli Tbilisi, albo podpisujecie ten dokument, zapominając o kwestii doboru słów. Tym możemy zająć się później, jeżeli tylko zajdzie taka potrzeba. Nigdy nie uznamy niepodległości Abchazji i Osetii Południowej”.

Gruzini nie chcieli jednak dać za wygraną. Z ich punktu widzenia zgoda na wspomniany zapis była równoznaczna z kapitulacją. W końcu Sarkozy przystał na propozycje Gruzinów i powiedział: „Dobrze, porozmawiam z Miedwiediewem i może uda nam się zmienić to jedno słowo”. Bakradze, szef gruzińskiego parlamentu, dysponował w swoim gabinecie specjalną linią komunikacyjną, przy użyciu której próbowano połączyć się z Kremlm. Było już po północy. Najpierw dodzwoniono się do operatora. Francuski prezydent przedstawił się i poprosił, by połączono go z Miedwiediewem. „Oszalałeś?” – spytała operatorka. Sarkozy poinstruował ją, by nie zwracała się do niego per „ty”, i powtórzył raz jeszcze, że jest prezydentem Francji i że chce rozmawiać z rosyjskim prezydentem. Odpowiedź

nie uległa jednak zmianie – Miedwiediew spał i nie można było go budzić. Nawet po to, by zakończyć wojnę.

W efekcie obie strony (gruzińska i francuska) zdecydowały się zrobić przerwę. Saakaszwili wyszedł na zewnątrz, by przemówić do zebranych pod budynkiem parlamentu tłumów – manifestacja wciąż trwała. Podczas przerwy członkowie francuskiej delegacji próbowali połączyć się z Moskwą, używając własnych znajomości i kontaktów. Udało im się niemal natychmiast. Sarkozy rozmawiał z Miedwiediewem, który wyraził zgodę na usunięcie słowa „status”. Francuzi natychmiast poinformowali Gruzinów o tej dobrej wiadomości – ci odebrali to jednak jako kolejny dowód na to, że Rosjanie starali się załatwić pewne sprawy za ich plecami. Sarkozy i Saakaszwili odbyli krótką, zorganizowaną naprędce konferencję prasową, po czym francuski prezydent odleciał z Tbilisi.

Po wylocie francuskiej delegacji po stronie gruzińskiej zaczęło dominować poczucie, że podpisane porozumienie odbije się przysłowiową czkawką. Saakaszwili w końcu spotkał się z prezydentami Estonii, Litwy i Polski na późnej kolacji, podczas której w skrócie opowiedział o wszystkim, co się wydarzyło. Trójka prezydentów, wraz z prezydentem Ukrainy Wiktorem Juszczenką, czekała kilka godzin w pokoju sąsiadującym z tym, w którym toczyły się rozmowy francusko-gruzińskie. W pewnym momencie Sarkozy pojawił się w nim na chwilę, by przywitać się z pozostałymi prezydentami, nie po to jednak, by spotkać się z nimi w szerszym gronie. Nie było to z pewnością przykładem manifestacji unijnej solidarności. Kiedy prezydenci poznali szczegóły negocjacji oraz samego zawieszenia broni, tylko wzmocniło to ich obawy.

Następnego dnia prezydent Bush położył na szali cały autorytet Stanów Zjednoczonych, udzielając poparcia zawieszeniu broni. Podkreślił swoje zaniepokojenie tym, że rosyjskie oddziały wciąż posuwały się naprzód oraz że nadal istniało w związku z tym zagrożenie przeprowadzeniem przez nie ataku na Tbilisi. „Przywódcy rosyjscy stwierdzili otwarcie, iż doprowadzenie do zmiany władzy nie jest ich celem – powiedział. – Stany Zjednoczone oczekują od Rosji dotrzymania słowa”. Amerykański prezydent ogłosił również rozpoczęcie przez wojska USA akcji pomocy humanitarnej w regionie oraz podkreślił uzależnienie przyszłych relacji na linii Waszyngton – Moskwa od tego, co się stanie. Odnotowując fakt, że Rosja w ostatnich latach próbowała stać się kluczowym partnerem NATO i Unii Europejskiej, Bush ostrzegął Rosjan, iż „narażają swoje aspiracje na szwank, podejmując działania stojące w sprzeczności z zasadami, w oparciu o które działają wspomniane instytucje”. Moskwa musiała dotrzymać obietnicy złożonej Bushowi przez Miedwiediewa. „Aby można było rozpocząć naprawę relacji Rosji ze Stanami Zjednoczonymi, Europą oraz innymi narodami – konkludował prezydent – Rosja musiała dotrzymać danego słowa i podjąć działania zmierzające do zakończenia kryzysu”<sup>130</sup>. Sekretarz obrony Robert Gates był w swoich wypowiedziach jeszcze bardziej dosadny: „Jeżeli Rosja nie zawróci z obranego przez siebie agresywnego kursu wobec Gruzji, relacje łączące ją z USA zostaną poważnie osłabione na bardzo wiele lat”<sup>131</sup>.

Wojna gruzińska niemal natychmiast stała się elementem toczącej się w Stanach Zjednoczonych kampanii wyborczej, w której rywalizowali ze sobą senatorowie

Barack Obama i John McCain. McCain był przyjacielem Saakaszwilogo, rozmawiał zatem z nim telefonicznie i znał bardzo dobrze punkt widzenia gruzińskiego prezydenta. W jego odczuciu w postawie Białego Domu brakowało zdecydowania i woli działania. Podczas kampanii mówił nawet, że w trakcie rozmowy z gruzińskim prezydentem zapewnił go: „Dziś wszyscy jesteśmy Gruzinami” – co powtórzył również w artykule opublikowanym dwa dni później na łamach „Wall Street Journal”<sup>132</sup>. W tekście tym McCain posunął się jeszcze dalej i skrytykował Biały Dom za „przypominającą czasy Cartera postawę słabości”<sup>133</sup>. Pierwsza reakcja senatora Obamy – oparta na zdawkowych doniesieniach z Białego Domu – była bardziej stonowana. Kandydat wzywał obie strony do ostrożnych działań. Jednak i on bardzo szybko wyostrzył swoje przesłanie, gdy tylko stało się jasne, co właściwie działo się w Gruzji. Na krótką chwilę Gruzja stała się centralnym punktem politycznej debaty oraz testem politycznych umiejętności dla przyszłego przywódcy Stanów Zjednoczonych na jego drodze do Białego Domu.

Saakaszwili nie podpisał tak naprawdę porozumienia podczas wizyty Sarkozy’ego. Za bardzo niepokoiły go niejasne zapisy i błędy zawarte w dokumencie, a wśród jego doradców panowało przekonanie, że strona gruzińska była zmuszana do zawarcia niesprawiedliwego pokoju. Poproszono więc o nieco czasu do namysłu, chociaż rosyjscy żołnierze znajdowali się zaledwie kilka godzin drogi od Tbilisi, a zagrożenie inwazją na gruzińską stolicę wciąż było realne. Zarówno Gruzini, jak i Francuzi zwrócili się w tym momencie do Waszyngtonu, w nadziei, że amerykańscy politycy pomogą zakończyć rozmowy na

temat porozumienia. Jednym z pomysłów, które rozważano od pobytu Sarkozy'ego w Tbilisi, było napisanie na marginesie dokumentu mówiącego o zawieszeniu broni listu interpretującego niejasne części dokumentu. Sekretarz stanu Rice znajdowała się właśnie w drodze do Tbilisi, ale najpierw zatrzymała się w południowej Francji (był 15 sierpnia), by spotkać się z Sarkozym i porozmawiać z nim na temat możliwych poprawek w deklaracji zawieszenia broni.

Obydwie strony zdawały sobie doskonale sprawę z tego, że dzięki przygotowanemu dokumentowi udało się powstrzymać Moskwę przed zajęciem Tbilisi. Jednak sposób, w jaki mówiono o tym, gdzie rosyjskie siły będą mogły, a gdzie nie będą mogły się znajdować, był nazbyt ogólnikowy. Pozostawiało to Rosji pewną swobodę działania i dawało jej możliwość doprowadzenia do zmiany władzy w Gruzji przy użyciu innych, a więc pośrednich środków. Obydwie strony przygotowały wstępną wersję listu, który zawierałby tak istotne z gruzińskiego punktu widzenia dodatkowe uściślenia. Rice zgodziła się wziąć go ze sobą do Tbilisi, podczas gdy Paryż miał zadbać o to, by uściślenia zostały zaakceptowane również przez stronę rosyjską. Kiedy po przybyciu do Tbilisi Rice pokazała Gruzinom wstępną wersję aneksu, ich pierwsze pytanie dotyczyło tego, ile mają czasu, zanim będą musieli się zdecydować. Wciąż odczuwali niepewność związaną z przebiegiem spotkania z prezydentem Sarkozym. Rice odpowiedziała, że będą mieli tyle czasu, ile będą potrzebowali. Amerykanie i Gruzini spędzili dobrych osiem godzin, szczegółowo omawiając wszelkie problematyczne zapisy. Strona gruzińska zadawała pytania dotyczące przebiegu

dokładnych linii demarkacyjnych i wprowadzała poprawki do listu, zaś sekretarz Rice kontaktowała się telefonicznie z Levitte'em, aby uzgodnić ostateczne brzmienie listu również ze stroną francuską. Amerykańska sekretarz stanu uważała na tym etapie za swoje najważniejsze zadanie przekonanie Gruzinów, aby zgodzili się na propozycję dotyczącą zawieszenia broni w jej obecnym kształcie, pomimo licznych niedoskonałości dokumentu. Zależało jej jednak na tym, aby uczynić to w sposób, który nie byłby dla strony gruzińskiej poniżający. Gdy Rice wraz z Saakaszwilim udawała się na konferencję prasową bezpośrednio po zakończeniu pracy nad dokumentem, zasugerowała nawet mu, że weźmie na siebie odpowiedzi na najtrudniejsze pytania, by on mógł przyjąć rolę tej bardziej zdystansowanej i powściągliwej osoby.

Kilka pierwszych odpowiedzi Saakaszwilego można uznać za bardzo dobre. Nie trzeba było jednak długo czekać, ażeby jego frustracja, złość na Europę oraz z tego powodu, że to w nim widziano sprawcę całego zamieszania, wypłynęły na powierzchnię. Gruzini przywódca oskarżył Europę o sprowokowanie całej sytuacji poprzez nieprzyznanie MAP-u Gruzji i nazwał nawet szczyt NATO w Bukareszcie „nowym Monachium”. Wspomniał również o agresywnych działaniach, jakie podejmowali Rosjanie w ciągu wiosny i lata, oraz o tym, że Zachód zajmował wobec tych działań absolutnie bierną postawę. Konkluzja była następująca:

Więc co jest przyczyną tych wszystkich kłopotów? Kto je na nas ściągnął swoją arogancją? Kto doprowadził do śmierci niewinnych? Kto? Bo przecież odpowiedzialni są

nie tylko ci, którzy się tego dopuścili, ale również ci, którzy ich nie powstrzymali. I kto szuka teraz pierwszej lepszej wymówki, jak ta, że wszystko stało się przez Gruzinów? Przepraszam bardzo! Dwanaście tysięcy czołgów wdarło się na terytorium Gruzji w ciągu zaledwie kilku godzin. Nie jest możliwe zmobilizowanie takich sił w tak krótkim czasie, jeżeli nie były one wcześniej odpowiednio przygotowane do operacji. Jeszcze na kilka dni przed wybuchem wojny z Rosji ściągnano emerytów wojskowych, by pilotowali samoloty. To była przygotowana inwazja...

I niestety, również dzisiaj patrzemy diabłu prosto w oczy. A w dniu dzisiejszym zło jest potężne i bardzo, ale to bardzo niebezpieczne – dla wszystkich, nie tylko dla nas... Chciałbym, aby świat wiedział, że Gruzja nigdy, przenigdy nie zgodzi się na to, by okupowano choćby kilometr kwadratowy jej terytorium. Nigdy, przenigdy<sup>134</sup>.

Gdy po konferencji prasowej Rice i Bryza znajdowali się już w samochodzie, sekretarz stanu odwróciła się do niego i stwierdziła z konsternacją, jak głęboko negatywne skutki będą miały słowa gruzińskiego prezydenta. Gruzja i Saakaszwili bardzo potrzebowali przecież europejskiego poparcia. Potrzebowali Unii Europejskiej, która wymusiłaby na Rosji przestrzeganie warunków zawieszenia broni, Francuzom zaś należało się uznanie za ich starania, pomimo licznych niedoskonałości wynegocjowanego tekstu. Spoglądając na te wydarzenia wstecz, z kilkumiesięcznej perspektywy, Rice powie później, że wspomniana konferencja prasowa była drugą co do trudności w całej jej karierze sekretarza stanu<sup>135</sup>. Po wizycie amerykańskiej sekretarza stanu w Tbilisi pojawił się również senator Joseph

Biden<sup>136</sup>, który zainicjował akcję pomocy finansowej dla Gruzji mającą wynieść miliard dolarów.

Historia nie dobiegła jednak jeszcze końca. Zasady zawarte w uzgodnionym przez Miedwiediewa i Sarkozy'ego porozumieniu należało rozpisać na bardziej szczegółowy plan działania. Miał on zawierać informacje dotyczące wycofania wojsk rosyjskich na pozycje, które zajmowały przed wybuchem walk, jak również rozmieszczenia w terenie licznych obserwatorów z ramienia Unii Europejskiej. W kolejnych tygodniach strona rosyjska wielokrotnie wykorzystywała jednak na swoją korzyść mglisty zapis piątego punktu zawartego porozumienia, otwierając nowe punkty kontrolne na gruzińskim terytorium, najczęściej w pobliżu miejsc istotnych z gospodarczego punktu widzenia, na przykład portów, dramatycznie zwiększając w ten sposób koszty ubezpieczenia transportu wodnego oraz prowadzenia biznesu. Im dłużej owe punkty kontrolne tkwiły na gruzińskim terytorium, tym większe koszty ponosiła strona gruzińska i tym trudniej było jej dokonać zarówno politycznej, jak i ekonomicznej odbudowy państwa. Stopniowo stawało się dla wszystkich jasne, że Moskwa liczyła na to, iż uda jej się doprowadzić do zmiany władzy w Gruzji poprzez wywołanie tam zapaści gospodarczej<sup>137</sup>.

Rosjanie wykorzystywali również zaistniałą sytuację w wielu innych wymiarach. Paryż liczył na to, że uda się postawić całe zagadnienie na forum ONZ i tam potwierdzić poprzednie rezolucje organizacji mówiące o zachowaniu terytorialnej integralności Gruzji. Kreml zablokował jednak szybko możliwość wykonania takiego manewru. 26 sierpnia prezydent Miedwiediew uznał

Abchazję i Osetię Południową za niepodległe państwa. By usprawiedliwić takie posunięcie, powoływał się na (nieprawdziwe) doniesienia wskazujące, że Gruzini planowali przeprowadzenie czystek etnicznych w obydwu prowincjach na obywatelach rosyjskich<sup>138</sup>. W artykule opublikowanym 27 sierpnia na łamach „Financial Times” Miedwiediew uzasadniał swoją decyzję, odwołując się do niedawnej historii regionu, do pragnień uzyskania niepodległości zarówno przez Południowoosetyjczyków, jak i Abchazów; wreszcie, do wydarzeń z początku sierpnia oraz do precedensu kosowskiego<sup>139</sup>. Z kolei w wywiadzie udzielonym 31 sierpnia rosyjski prezydent poszedł jeszcze dalej w racjonalizowaniu dokonanej przez jego kraj inwazji na Gruzję, wyliczając pięć podstawowych założeń rosyjskiej polityki zagranicznej. Pierwsze trzy nie stanowiły żadnej nowości. Czwarty punkt mówił jednak o ochronie rosyjskich obywateli „gdziekolwiek by się oni nie znajdowali”. Piąty punkt stanowiło natomiast wyrażone otwarcie dążenie do odbudowy rosyjskiej sfery wpływów wokół granic Rosji. „Rosja – jak przekonywał Miedwiediew – podobnie jak inne państwa na świecie, posiada regiony, w których jej pozycja jest uprzywilejowana. Chodzi o regiony, gdzie znajdują się państwa będące z nią w dobrych stosunkach”. Zapytany, czy mówiąc o owej strefie wpływów, ma na myśli państwa bezpośrednio sąsiadujące z Rosją, Miedwiediew odparł: „Chodzi o naszych sąsiadów, ale nie tylko”<sup>140</sup>. Bez względu na to, co myśleli o tym politycy w Tbilisi, Gruzja z pewnością znajdowała się w tak zdefiniowanej strefie. Dwa dni później Miedwiediew oświadczył, że Moskwa uznaje Saakaszwilę za *persona non grata*: „Z naszego punktu widzenia

rząd gruziński upadł, a prezydent Saakaszwili nie odgrywa najmniejszej roli. Jest politycznym trupem”<sup>141</sup>. W ten sposób próbowano doprowadzić do faktycznej zmiany władzy – Moskwa postanowiła ignorować rząd w Tbilisi, jednocześnie podejmując w terenie działania zmierzające do jego obalenia.

Powyższe wydarzenia zarysowały tło, na którym doszło do drugiej, równie dramatycznej co poprzednia, wizyty prezydenta Sarkozy’ego w Moskwie. Miała ona miejsce 8 września. Od podpisania zawieszenia broni minął już prawie miesiąc, tymczasem w objętym konfliktem terenie nie nastąpiły praktycznie żadne zmiany. Strona francuska liczyła, że uda się przenieść dyskusję nad problemem gruzińskim na forum ONZ, gdzie potwierdzone zostaną poprzednie rezolucje mówiące o zachowaniu terytorialnej integralności państwa gruzińskiego. Plan upadł jednak w momencie, gdy Rosja uznała niepodległość Abchazji i Osetii Południowej. Ten krok, jak również ostentacyjne rozmieszczenie nowych punktów kontrolnych w głębi gruzińskiego terytorium spowodowały pojawienie się pierwszych sygnałów sugerujących konieczność wprowadzenia sankcji przeciwko Moskwie, a nawet zawieszenia rozmów na temat traktatu UE – Rosja. Cel, którym było przywrócenie politycznego i wojskowego *status quo ante*, wciąż wydawał się bardzo odległy, tymczasem kolejny szczyt UE – Rosja zaplanowano na połowę listopada. Przemawiając na konferencji prasowej 6 września, Kouchner ostrzegł, że „z sześciu punktów [porozumienia dotyczącego zawieszenia broni – przyp. tłum.] tylko dwa, a w najlepszym razie dwa i pół, zostały faktycznie zrealizowane”<sup>142</sup>.

Raz jeszcze stawką w grze był prestiż Francji. Paryż starał się więc zadbać o to, żeby wynegocjowane przez Sarkozy'ego porozumienie zostało wdrożone w życie. Waszyngton zalecał nazwać sprawę po imieniu i wskazać winnego – a więc po prostu zwrócić Rosjanom uwagę na to, że nie wywiązywali się z warunków zawartego zawieszenia broni, przed społecznością międzynarodową. Z amerykańskiego punktu widzenia bowiem to Rosjanie bardziej potrzebowali Europy niż *vice versa*. Jednak celem Paryża było zażegnanie rozognionych konfliktów bez doprowadzenia do poważnych napięć w stosunkach pomiędzy Europą a Rosją. Problem Gruzji wymagał rozwiązania – i to szybkiego – jeżeli rozmowy na linii UE – Moskwa miały nadal posuwać się do przodu. Politycy z Moskwy początkowo sugerowali, by Sarkozy, podobnie jak poprzednim razem, pojawił się na negocjacjach sam bez unijnego zaplecza. Paryż upierał się jednak przy tym, że Unia Europejska musi być w pełni reprezentowana, w związku z czym wraz z francuskim prezydentem do Moskwy udali się również przewodniczący Komisji Europejskiej José Manuel Barroso oraz wysoki przedstawiciel UE Javier Solana.

Po czterogodzinnych dyskusjach na zamku Meien-  
dorf, położonym na obrzeżach Moskwy, francuski przy-  
wódca obwieścił podpisanie „doniosłego” porozumienia  
ze stroną rosyjską, zgodnie z którym Moskwa miała w cią-  
gu tygodnia usunąć wszystkie wprowadzone przez siebie  
dodatkowe punkty kontrolne na terytorium gruzińskim,  
w ciągu miesiąca – wycofać swoje oddziały wojskowe z re-  
jonów przylegających bezpośrednio do Abchazji i Osetii  
Południowej, a także pozwolić 200-osobowej misji obser-  
wacyjnej UE na rozpoczęcie działań w terenie. Miała rów-

nież rozpocząć rozmowy na forum międzynarodowym odnośnie przyszłego statusu obydwu prowincji w ciągu najbliższego miesiąca. Przedstawiciele francuskiej delegacji nie czynili tajemnicy z faktu, że w pewnym momencie rozmowy znalazły się w impasie i pojawiła się realna groźba ich zerwania. Sarkozy zagroził wówczas natychmiastowym zaprzestaniem dalszych negocjacji. „Wszystkie kwestie nie zostały jeszcze rozwiązane. Doskonale zdajemy sobie z tego sprawę. To, co udało nam się jednak uzgodnić, opiera się na rozsądnych i mocnych podstawach” – powiedział potem na konferencji prasowej, dodając, że Unii Europejskiej i Rosji udało się uniknąć wejścia w stan „zimnej wojny, który nikomu nie byłby na rękę”<sup>143</sup>. Podczas konferencji prasowej w Tbilisi jeszcze tego samego dnia francuski przywódca podkreślił w bardziej dobitny sposób fakt przystania przez Rosję na zaproponowane przez niego warunki porozumienia. Zapytany, czy miał pewność, że Rosjanie wypełnią swoje zobowiązania i wycofają wojska na tereny, na których znajdowały się one przed 7 sierpnia, Sarkozy odpowiedział:

Mamy jasne zobowiązanie, mamy konkretny termin. Jako jedna z osób, które negocjowały brzmienie tego tekstu, mogę państwa zapewnić, że został on przygotowany z absolutną, matematyczną wręcz precyzją. 15 października ani jeden rosyjski żołnierz nie może znajdować się na terenach, na które Rosjanie wkroczyli 7 sierpnia. Ten zapis jest jasny i prosty. Albo zostanie zrealizowany, i wtedy wszystkie strony dotrzymają swoich zobowiązań, albo nie zostanie zrealizowany, i wówczas, w pięć dni później, Europa wyciągnie z takiej sytuacji odpowiednie wnioski<sup>144</sup>.

Spytany o to, czy unijni obserwatorzy będą mieli dostęp do stref objętych konfliktem, Sarkozy potwierdził, że będą mieli takie prawo i będą w stanie pomagać uchodźcom w powrocie do ich domów. Zaznaczając, iż żadne porozumienie nie może być doskonałe, francuski prezydent dał jednocześnie wyraz temu, jak bardzo był dumny z faktu powstrzymania przez Europę wojny w ciągu mniej niż dziesięciu dni oraz uzyskania zgody Rosjan na wycofanie swoich wojsk z zajętych w trakcie konfliktu terenów w miesiąc. Jak podkreślił: „żadna inna polityczna siła poza Unią Europejską nie byłaby w stanie tego zrobić”<sup>145</sup>.

W rzeczy samej, Francuzom udało się osiągnąć przynajmniej dwa kluczowe cele. Wojna w Gruzji zakończyła się, a prezydent Saakaszwili wciąż znajdował się u władzy. Udało się uniknąć nowej zimnej wojny w stosunkach Unii Europejskiej z Rosją i rozmowy UE – Rosja wciąż mogły postępować. Unia wyraziła zgodę na wznowienie rozmów na temat nowego partnerstwa pomiędzy obydwoma stronami podczas szczytu w Nicei w połowie listopada 2008 roku. Wysyłane wcześniej sygnały dotyczące możliwości wprowadzenia sankcji szybko ucichły. Unia Europejska trwała przy zasadzie nienaruszalności terytorialnej Gruzji oraz określała uznanie przez Rosjan niepodległości Abchazji i Osetii Południowej jako „niemożliwe do zaakceptowania”. Rozmowy międzynarodowe dotyczące przyszłości obydwu prowincji rozpoczęły się w Genewie i trwają do dzisiaj. Unijni obserwatorzy znaleźli się w Gruzji w ciągu niecałego miesiąca, nie otrzymali jednak takiego dostępu na teren Abchazji i Osetii Południowej, jakiego oczekiwano.

Również w kilku innych ważnych obszarach państwom zachodnim nie udało się osiągnąć swoich celów

– na przykład zrealizować wszystkich postanowień wynegocjowanych przez Sarkozy'ego i Miedwiediewa o zawieszeniu broni. Rosyjscy żołnierze wycofali się wprawdzie w uzgodnionym terminie z terenów przylegających do Abchazji i Osetii Południowej, jednak nie na pozycje, które rosyjskie siły pokojowe zajmowały zanim doszło do wybuchu wojny. Zachodowi nigdy nie udało się przekonać Rosjan do powrotu do politycznego i militarnego *status quo ante*. W kilku kluczowych dolinach zarówno w Osetii Południowej, jak i w Abchazji, gdzie wcześniej znajdowała się większość gruzińska, która kontrolowała sytuację, doszło do czystek etnicznych i teraz dominowali na nich Rosjanie oraz siły południowoosetyjskie i abchaskie. Bardzo niewielu gruzińskim uchodźcom udało się powrócić do swoich domów. Nie ma również nadziei na to, że inaczej będzie w przypadku tych spośród nich, którzy zamieszkiwali zrównane z ziemią podczas działań wojennych wioski położone na północ od Cchinwali. W rzeczywistości bowiem Rosja w sposób jednostronny dokonała zmiany granic jednego z członków OBWE oraz pozwoliła na przeprowadzenie czystek etnicznych na ludności gruzińskiej na obszarze Osetii Południowej i Abchazji, aby stworzyć w ten sposób homogeniczne pod względem etnicznym państwo. Co więcej, Moskwa nie respektowała także w pełni porozumienia mówiącego o zawieszeniu broni – i robiła to wszystko nie ponosząc za swoje działania żadnych konsekwencji.

Do dzisiejszego dnia oddziały rosyjskie zajmują terytoria, nad którymi wcześniej w Abchazji i południowej Osetii kontrolę sprawowali Gruzini. Oddziały te nie wykazują najmniejszej woli wycofania się z owych terenów

– by zacytować raz jeszcze treść zawieszenia broni Sarkozy-Miedwiediew – „na linię, na której znajdowały się przed rozpoczęciem walk”. Ilość wojsk rosyjskich w regionie znacząco przekracza tę sprzed wojny, stanowiąc jednocześnie potencjalne zagrożenie kolejną ofensywą. Pytanie, czy Rosja porzuciła myśl o obaleniu obecnego rządu w Tbilisi, pozostaje otwarte. Wojna dobiegła końca, ale walka o przyszłość Gruzji i jej miejsce w świecie trwa nadal. To, czy państwom Zachodu faktycznie udało się sprawić, że Moskwa zapłaciła cenę za swoje działania, przekonać Rosjan, że inwazja była błędem, oraz usunąć pokusę wykonywania kolejnych agresywnych kroków w stosunku do ich sąsiadów w przyszłości – co było przecież kolejnym kluczowym celem działań państw zachodnich – pokaże przyszłość.

## Gruzja, Rosja i przyszłość Zachodu

**G**ruzińsko-rosyjska wojna z sierpnia 2008 roku była małą wojną, która wstrząsnęła światem. Jej wybuch zaszokował pogrążone w beztróskim zadowoleniu państwa zachodnie, przekonane, że wojny w Europie należały już do przeszłości. To właśnie to przekonanie pozwoliło im ignorować sygnały wskazujące na stopniowe zaognianie się konfliktu między Moskwą a Tbilisi. Wojna zakwestionowała również relacje Zachodu z Rosją – państwem, które wielu polityków uważało za trudne we współpracy, ale bardzo niewiele oceniało jako zdolne do podjęcia militarnej ofensywy przeciwko któremuś ze swoich sąsiadów. Co jednak chyba najistotniejsze, wspomniana wojna naruszyła u samych podstaw zasady, w oparciu o które budowano nową politykę bezpieczeństwa w Europie, stawiając tym samym pod znakiem zapytania jej przyszłość. W efekcie, wspomniana mała wojna wstrząsnęła fundamentem przekonania, że demokracja oraz duch wzajemnej współpracy odniosły w Europie ostateczne zwycięstwo po tym, jak dwadzieścia lat wcześniej upadła żelazna kurtyna, a myślenie kategoriami geopolitycznych sfer wpływów, prowadzące do konfliktów i rozlewu krwi, zostało odesłane do lamusa.

Rdzeniem wywodu, który staram się przedstawić w tej książce, są dwa twierdzenia. Po pierwsze, uważam, że przyczyną wojny nie były skomplikowane lokalne napięcia etniczne pomiędzy Gruzinami z jednej a Abchazami czy Południowoosetyjczykami z drugiej strony ani nawet kwestia przyszłego statusu owych prowincji. Te problemy były oczywiście jak najbardziej realne. Z pewnością mogły doprowadzić do wybuchu konfliktu i rozlewu krwi, już raz to zrobiły na początku lat 90., tuż po rozpadzie ZSRR. Były to jednak problemy o podobnym stopniu złożoności jak te, z którymi państwa Zachodu musiały sobie poradzić choćby na Bałkanach. Konflikt wokół południowej Osetii mógł, moim zdaniem, zostać rozwiązany na drodze zagwarantowania odpowiednich mechanizmów współudziału we władzy, zapewnienia praw mniejszości czy zintensyfikowania kontaktów i współpracy transgranicznej. Wiele z tych elementów zostało nawet zawartych w tajnej propozycji przedstawionej Moskwie w 2007 roku przez Tbilisi; propozycji, której jednak nigdy nie udało się zrealizować, ponieważ działania zmierzające w tym kierunku skutecznie sabotowała strona rosyjska.

Abchazja stanowiła bardziej skomplikowany problem. Rany wojenne były tu znacznie głębsze, a jej ustalone w latach 90. *status quo* – mniej jednoznaczne. Ciężko powiedzieć, czy rozwiązanie tej kwestii powinno było polegać na przyznaniu prowincji luźnej autonomii w ramach państwa gruzińskiego czy na jakimś rodzaju podziału władzy albo warunkowej niepodległości. Poważna debata na ten temat nigdy nie została jednak zainicjowana, ponieważ wielu uczestników sporu, w szczególności zaś strona rosyjska, nie miało interesu w tym, by doprowadzić

do rozwiązania konfliktu. Zachód zaś nie był gotowy na podjęcie tak zdecydowanych działań, jak faktycznie wymagała sytuacja, by rozpoczął się prawdziwy proces pokojowy z udziałem społeczności międzynarodowej, mogący doprowadzić do realnych przemian w regionie. Gdyby jednak zaangażowano w rozwiązanie tej kwestii tyle samo politycznej woli i zasobów, co w przypadku Bałkanów, to jestem przekonany, że mimo wszystko dałoby się osiągnąć spore postępy w rozwiązywaniu zaognionego konfliktu.

Niejasny status Abchazji i Osetii Południowej nie był jednak prawdziwą przyczyną wybuchu wojny. Prawdziwym jej powodem był konflikt pomiędzy Rosją i Gruzją narastający wokół starań Tbilisi o wyzwolenie się ze swojej *quasi*-kolonialnej podległości wobec Moskwy i połączenie z demokratycznymi państwami Zachodu. Doszło do tej wojny, ponieważ Gruzini pragnęli zagwarantować sobie bezpieczeństwo, suwerenność i niepodległość poprzez zbliżenie z Zachodem, wejście do struktur NATO, a później Unii Europejskiej. Moskwa była tymczasem w równym stopniu zdeterminowana, aby nie dopuścić do takiego obrotu wydarzeń i by utrzymać Gruzję w swojej strefie wpływów. Kreml był więc gotów wykorzystywać i manipulować konfliktami dotyczącymi Abchazji i Osetii Południowej, żeby skutecznie sabotować prozachodnie aspiracje Gruzynów, osłabić demokratycznie wybrany rząd Micheila Saakaszwilego oraz doprowadzić do zmiany władzy. W ten sposób chciano powstrzymać to, co w Moskwie postrzegano jako poszerzenie sfery wpływów państw zachodnich aż do południowych granic Rosji.

Powyższe wnioski prowadzą nas do mojego drugiego kluczowego twierdzenia. Opisywana tu wojna wcale

nie rozpoczęła się 7 sierpnia 2008 roku. Rosyjska agresja nie była również skierowana wyłącznie przeciwko Gruzji. Obydwa państwa znajdowały się w stanie swoistej zimnej wojny już od wielu lat. Z łatwością zapominamy, jak wrogo nastawiona była Moskwa wobec poprzednika Saakaszwiliego na stanowisku prezydenta Gruzji, Eduarda Szewardnadzego, który do dzisiaj jest bardzo szanowany na Zachodzie i równie mocno nienawidzony na Kremlu. Próby przeprowadzenia zamachu na jego życie i zdominowania Gruzji jeszcze przed wybuchem rewolucji róż pokazują wyraźnie, że napięcia pomiędzy obydwojma państwami nie były rezultatem personalnych animozji pomiędzy Micheilem Saakaszwilim z jednej a Władimirem Putinem z drugiej strony. Pomimo tego, rosyjsko-gruziński konflikt z pewnością stał się bardziej napięty od momentu wybuchu rewolucji róż i będącego jej efektem dojścia Saakaszwiliego do władzy. Choć styl gruzińskiego prezydenta nieraz sprzyjał zaognianiu wzajemnych stosunków, prawdziwą przyczyną eskalacji konfliktu były przemiany zachodzące w Gruzji, zmierzające do przekształcenia jej w państwo mogące zostać członkiem Sojuszu Północnoatlantyckiego. Im więcej sukcesów w tych staraniach odnosiła Tbilisi, tym bardziej wrogo nastawieni i zaniepokojeni stawali się politycy w Moskwie.

Tbilisi zdecydowała się na zacieśnienie stosunków z Zachodem w tym samym momencie, gdy Moskwa postanowiła przyjąć kurs dokładnie odwrotny i zrezygnować ze swoich prozachodnich aspiracji, formułowanych przez Jelcynga jeszcze w latach 90. i z początku przyjętych również przez Władimira Putina. Kiedy więc Rosja zaczęła zmierzać w stronę antyzachodniego autorytaryzmu, dla

polityków na Kremlu sprawą pierwszej wagi stało się to, by sąsiedzi Rosji nie chcieli pójść w dokładnie przeciwnym kierunku. Moskwa koncentrowała się więc coraz bardziej na tym, żeby odzyskać geopolityczną kontrolę nad przyległymi do niej obszarami i odbudować swoją strefę wpływów z czasów Związku Radzieckiego. Euroazjatyzm stawał się w ten sposób alternatywą dla *stricte* prozachodniej orientacji. Ta zmiana w rosyjskiej polityce zagranicznej nastąpiła w okresie, gdy za sprawą rewolucji róż i pomarańczowej doszły do władzy w Tbilisi i Kijowie nowe polityczne elity, pragnące, by ich kraje rozwijały się w dokładnie przeciwnym niż Rosja kierunku.

Opisywana tu wojna nie ograniczała się zatem do Gruzji – miała wpływ na cały Zachód. To Gruzja stanowiła fizyczny przedmiot ofensywy, ale my [Zachód – przyp. tłum.] również byliśmy wplątani w jej polityczny wymiar. Tbilisi stała się czymś w rodzaju chłopca do bicia, na którym Rosjanie mogli wyładować wszelkie swoje kumulowane od lat żale i resentymenty żywione do Stanów Zjednoczonych, NATO czy innych państw wspierających Gruzję. Widać to bardzo wyraźnie właściwie we wszystkich wymiarach omawianego tu konfliktu – począwszy od tego, jak rosyjskie media przedstawiały wojnę, poprzez wypowiedzi rosyjskich wojskowych na temat podjętych przez nich działań w trakcie krótkiej okupacji kraju, a kończąc na graffiti, które pozostawiali po sobie rosyjscy żołnierze. Te resentymenty dotyczyły przede wszystkim Stanów Zjednoczonych i Unii Europejskiej, ale nie zawężyły się tylko do nich. Rosyjscy żołnierze z lubością niszczyli flagi UE, podobnie jak wszelkie symbole obecności USA czy NATO w regionie. Rosyjska propaganda nie tyl-

ko stronę gruzińską obarczała odpowiedzialnością za wywołanie wojny, ale też zupełnie wprost wskazywała, że to Amerykanie stworzyli, a później podsycali cały konflikt.

Wielu polityków Zachodu próbowało wycofać się z całej sprawy udając, że wojna gruzińsko-rosyjska była lokalnym konfliktem, który ich w żaden sposób nie dotyczył. Niewątpliwie jednak z rosyjskiego punktu widzenia owa wojna oznaczała początek realizacji nowej strategii – wypierania i powstrzymywania – wypierania zachodnich wpływów oraz powstrzymywania przyszłej ekspansji zachodnich instytucji w pobliże rosyjskich granic. Innymi słowy, Moskwa ogłaszała, że okres jej strategicznego wycofania właśnie dobiegł końca. Chciała wysłać do wszystkich państw Zachodu możliwie jasną i czytelną wiadomość: Gruzja to nasze podwórko, trzymajcie się z daleka. Sygnał ten był równoznaczny ze stwierdzeniem, że Rosja była gotowa przystąpić do agresywnych działań, by powstrzymać dalsze przybliżanie się Zachodu do jej granic, w szczególności zaś – rozszerzenie NATO. W tym sensie mieliśmy do czynienia z pierwszym pozimnowojennym konfliktem zbrojnym między Wschodem i Zachodem.

Rosja nie tylko sprzeciwiała się gruzińskim aspiracjom dotyczącym zbliżenia Tbilisi z Zachodem, ale też, roszcząc sobie prawo do posiadania pewnej sfery wpływów i interesów, protestowała przeciwko samym zasadom nowego systemu bezpieczeństwa w Europie, który, z jej perspektywy, przyspieszał i legitymizował rozszerzanie struktur Sojuszu Północnoatlantyckiego i Unii Europejskiej – teraz zaś zakładał przybliżenie tych instytucji do południowej granicy państwa rosyjskiego. Ujmując rzecz możliwie lapidarnie, Moskwa buntowała się przeciwko europejskiej architekту-

rze bezpieczeństwa międzynarodowego, która z punktu widzenia Zachodu skutecznie rozwiązywała problem geopolitycznego podziału Europy, lecz z perspektywy Rosji była równoznaczna z przechyleniem się geopolitycznej szali na jej niekorzyść. Było to więc zderzenie między XXI-wiecznym światem zachodnim, dla którego rozszerzanie sfery demokratycznych instytucji w pobliżu Moskwy było krokiem naprzód w budowaniu większej stabilności międzynarodowej, a powracającą do swoich XIX-wiecznych nawyków myślenia o polityce w kategoriach siły Rosją, która powyższe zmiany odbierała jako zagrożenie.

Moskwa podpisała oczywiście całe tuziny ważnych dokumentów i deklaracji, w których kodyfikowano nowe zasady europejskiego systemu bezpieczeństwa na scenie międzynarodowej. Raz po raz uznawała prawo każdego kraju do bezpieczeństwa oraz swobodnego zawierania sojuszy. Ale te zobowiązania i dokumenty nie miały już najwidoczniej żadnego znaczenia. Kiedy bowiem jakieś państwo próbowało wdrożyć w życie owe stanowiące samą istotę pozimnowojennego porządku międzynarodowego zasady, spotykało się to z wyraźną dezaprobatą Moskwy. Na Kremlu zawsze wyciągano w takich sytuacjach ten sam wniosek: cały nowy system europejski został stworzony po to, by osłabić rosyjskie wpływy. Wojna z Gruzją z sierpnia 2008 roku była więc również manifestacją Moskwy, która pragnęła pokazać, że wspomniane zasady już nie obowiązują. Z tego właśnie powodu bezpośrednio po zakończeniu wojny zarówno sam prezydent Miedwiediew, jak i inni rosyjscy politycy zaczęli wzywać do radykalnej przemiany sposobu działania instytucji międzynarodowych i zarządzania bezpieczeństwem w Europie.

Z wojny gruzińsko-rosyjskiej z sierpnia 2008 roku żadnej ze stron nie udało się osiągnąć wymiernych korzyści. Pod wieloma względami nie miała ona zwycięzców, a jedynie przegranych. Największym przegranym była oczywiście Tbilisi. Gruzini zdecydowali się na wojnę, chcąc bronić swoich obywateli znajdujących się na linii ognia, powstrzymać znacznie szerszą inwazję oraz uniknąć kompromitacji na wewnętrznej scenie politycznej, czym byłaby utrata bez walki Abchazji i Osetii Południowej. Te działania spotkały się z niewielkim, a właściwie rzecz biorąc, z żadnym zrozumieniem na Zachodzie. Wielokrotnie były nawet określane jako nielegalne, jak miało to miejsce choćby w przygotowanym przez UE raporcie Tagliavini. Gruzja przegrała wojnę w wymiarze militarnym, jednak udało jej się przetrwać na poziomie politycznym – choć nie przyszło to łatwo. Prezydent Micheil Saakaszwili wciąż stoi na czele kraju i ma spore szanse na dotrwanie do końca kadencji, mimo coraz silniejszej opozycji w parlamencie. Jednak jego pozycja i reputacja zostały mocno nadszarpnięte, a ambicje Tbilisi odnośnie zbliżenia z Zachodem – odsunięte w czasie. Gruzja straciła również swoją pozycję w obydwu separatystycznych prowincjach, a dziesiątki tysięcy Gruzinów padło ofiarą czystek etnicznych i zostało wypędzonych ze swoich domów. Dziś Tbilisi nie ma żadnego wpływu na Abchazję i Osetię Południową ani żadnej nad nią kontroli.

Otwarta pozostaje jednak sprawa tego, czy wspomniane prowincje znajdują się w lepszym niż przed wojną położeniu. Zgodnie z moimi przypuszczeniami, gdy tylko pył wojenny opadnie, okaże się, że i one znalazły się po stronie przegranych. I Abchazja, i Osetia Południo-

wa zostały uznane przez Moskwę za niepodległe państwa, nie wiadomo jednak, co dokładnie oznacza to w praktyce. Społeczność międzynarodowa zgodnie potępiła krok Rosji i nie poszła w jej ślady – z wyjątkiem Nikaragui i Wenezueli, które uznały niepodległość prowincji w momencie, gdy ta książka była oddawana do druku<sup>146</sup>. Stanowisko Zachodu nie ulegnie najprawdopodobniej zmianie w przewidywalnej przyszłości, ponieważ – inaczej niż miało to miejsce w przypadku Kosowa – uznanie niepodległości obydwu minipaństw nie było rezultatem szerokiego procesu międzynarodowego prowadzonego w ramach Organizacji Narodów Zjednoczonych, ale jednostronnym aktem politycznym Moskwy.

Chociaż lokalni przywódcy separatystycznych prowincji mogą obecnie cieszyć się uzyskaną niepodległością, przyszła legitymacja oraz zdolność do trwania tych wyizolowanych prowincji jako niezależnych państw wydaje się wątpliwa. To, czy abchascy i południowoosetyjscy obywatele zyskają na wojnie, również będzie można ocenić jedynie z perspektywy czasu. Doświadczenia niewielkich narodów żyjących pod dominacją Moskwy – zarówno w nominalnie niepodległych państwach, jak i w Federacji Rosyjskiej – nie nastrajają zbyt optymistycznie. Moskwa może pożałować swojego posunięcia z sierpnia 2008 roku, kiedy to zdecydowała się udzielić poparcia separatystycznym tendencjom w obu prowincjach, jeżeli tylko owe separatystyczne siły podniosą swoje „paskudne łby” również na terenie samej Rosji, choćby na północnym Kaukazie. Długofalowe efekty wywołanej przez Moskwę w sierpniu 2008 roku wojny mogą bowiem doprowadzić do wzmocnienia tendencji separaty-

stycznych na terenie samej Federacji Rosyjskiej. Można postawić spore pieniądze na to, że zarówno Kaukaz Południowy, jak i Północny okażą się w przyszłości znacznie mniej stabilne politycznie w związku z tym właśnie konfliktem. Jest to zresztą jedna z przyczyn, dla których samozwańczy zwycięzca interesującej nas wojny – Rosja – również powinien być uznawany za przegranego. Kiedy tylko w Moskwie podjęto decyzję o użyciu w konflikcie przeważających sił wojskowych, jej zwycięstwo było przesądzone. To jednak, czy udało się jej osiągnąć zamierzone cele, nie jest już takie oczywiste. Moskwa nie zorganizowała przecież tak szeroko zakrojonej akcji po to tylko, aby „powstrzymać” działania Gruzinów lub aby potwierdzić swoją pełną kontrolę nad dążącymi do separacji prowincjami. Jej celem było raczej skompromitowanie, a następnie zniszczenie rządu Micheila Saakaszwilego oraz wszystkiego, co sobą reprezentował. Cel ten miał swoje odzwierciedlenie zarówno w podjętych przez Rosjan działaniach zbrojnych, jak i w uwagach ministra Ławrowa do sekretarza Rice, w rozmowie z którą stwierdził, że „odejście Saakaszwilego” jest jednym z warunków zatrzymania rosyjskiej ofensywy. Sformułowana już po wojnie przepowiednia prezydenta Miedwiediewa, zgodnie z którą Saakaszwili miał być „politycznym trupem”, także była wyrazem nadziei na to, że uda się w końcu odsunąć gruzińskiego prezydenta od władzy, nawet w momencie, gdy rosyjskie czołgi nie kontynuowały już ofensywy. Tego celu nie udało się jednak Rosjanom osiągnąć.

W samej Rosji nastroje wojennego triumfu wynikającego z sukcesów rosyjskich wojsk szybko ustąpiły miejsca niepokojom wywołanym przez wycofywanie zachodniego

kapitału i globalny kryzys ekonomiczny, co miało spory wpływ na stan rosyjskiej gospodarki. I chociaż Moskwie udało się wyjść z wojny bez nałożenia na nią przez państwa zachodnie jakichkolwiek sankcji, jej międzynarodowy wizerunek został niewątpliwie poważnie nadszarpięty. Mimo że przygotowany w ramach UE raport Heidi Tagliavini odpowiedzialność za otworzenie ognia przypisywał Gruzinom, zawarte w nim ustalenia zupełnie zaprzeczały takiej narracji na temat wojny, jaką z uporem usiłowali narzucić Rosjanie. Raport odrzucał rosyjskie zarzuty dotyczące czystek etnicznych [których dokonywać mieli na obywatelach Federacji Rosyjskiej Gruzini – przyp. tłum.] jako „pozbawione zarówno podstawy prawnej, jak i jakichkolwiek materialnych dowodów”. Otwarcie stwierdzano również, że Moskwa, wbrew swoim deklaracjom, nie przeprowadziła w regionie interwencji humanitarnej. W części podsumowującej podkreślano natomiast nielegalny charakter wręczania rosyjskich paszportów mieszkańcom Abchazji i Osetii Południowej, czego celem było stworzenie tej grupy społecznej, którą następnie Rosja oficjalnie miałyby chronić w trakcie wojny. W raporcie zwracano również uwagę na to, że Rosjanie mieli prawo bronić swoich „sił pokojowych” w regionie – nawet jeżeli *de facto* od dawna przestały one reprezentować w regionie społeczność międzynarodową, a stały się czymś w rodzaju wyciągniętego ramienia neoimperialnej polityki Moskwy. Jednocześnie jednak, co szczególnie podkreślano, reakcja militarna Rosjan „nie może być uznana za choćby w przybliżeniu odpowiadającą zagrożeniu, wobec którego stanęły rosyjskie siły pokojowe w południowej Osetii”. Najmocniej reputację Moskwy nadszarpywały jednak zawarte

w raporcie stwierdzenia, zgodnie z którymi ani Abchazja, ani Osetia Południowa nie miały prawa odłączać się od Gruzji, a decyzja Moskwy o uznaniu ich niepodległości była nielegalna w świetle prawa międzynarodowego.

Nikt nie powinien patrzeć na Rosję Władimira Putina po tej wojnie w ten sam sposób, jak czynił to przed jej wybuchem. Zachowanie Rosji w trakcie tego kryzysu jest kolejnym z czynników, które mają poważny wpływ na stopniową zmianę opinii wśród państw zachodnich odnośnie tego, jak należy układać relacje na linii Zachód – Rosja.

Wreszcie, Moskwa widziała w tej wojnie rodzaj przysłowiowego „straszaka”. Chciała powstrzymać Zachód przed dalszym rozszerzaniem NATO, a państwa znajdujące się w jej pobliżu – przed podejmowaniem starań o uzyskanie członkostwa w Sojuszu Północnoatlantyckim. Karząc przedstawianego jako *bête-noire* Saakaszwiliego, Rosjanie wysyłali czytelny sygnał do przywódców pozostałych byłych republik sowieckich, pokazujący im, co może się wydarzyć, gdyby również oni podjęli próby ściślejszego związania się z zachodnimi instytucjami. Wojna miała wybić im tego typu pomysły z głowy. W praktyce inwazja na Gruzję może jednak doprowadzić do dokładnie odwrotnych skutków, demonstrując w niezmiernie klarowny sposób, dlaczego sąsiedzi Rosji powinni szukać bezpieczeństwa oraz zabezpieczenia swojego położenia w zachodnich instytucjach politycznych i ekonomicznych. Jak Zachód odpowie na to wyzwanie? – to kolejna kwestia otwarta. Może się jednak okazać, że posunięcie Moskwy doprowadzi do odwrotnych od zamierzonych skutków.

Nie zmienia to faktu, że również państwa zachodnie nie wyszły z wojny bez szwanku. Spora część debaty na temat przyczyn wojny koncentrowała się oczywiście na błędach popełnionych przez Gruzinów oraz toksycznej osobowości prezydenta Saakaszwilego, nienawiści, którą żywili do niego Putin i inni rosyjscy przywódcy, jak również tkwiących głębiej pod powierzchnią ambicjach Moskwy. Mimo to, zachodni politycy powinni przejrzeć się w zwierciadło i uczciwie ocenić popełnione przez siebie błędy, które przyspieszyły wybuch wojny. Pierwszy błąd stanowiło to, że nie byliśmy gotowi zainwestować odpowiedniej ilości środków w akcję typu *peacekeeping*, która pomogłaby doprowadzić do pokojowego rozwiązania konfliktu. Błędem było również naciskanie na uznanie niepodległości Kosowa bez wdrożenia jakiegokolwiek planu mającego ustabilizować wymykającą się stopniowo spod kontroli sytuację w Gruzji. Kolejny błąd to sposób przebiegu debaty na temat ewentualnego członkostwa w NATO na szczycie w Bukareszcie, co było swoistym punktem zapalnym, który doprowadził do eskalacji konfliktu i, w dalszej perspektywie, do wybuchu wojny.

Również Gruzja zapłaciła cenę za brak zdecydowania i jedności w działaniu państw zachodnich. Ten brak jedności jest oczywiście ściśle związany z kryzysem w stosunkach transatlantyckich, który pojawił się w efekcie wojny w Iraku. Tego zerwania nigdy nie udało się cofnąć w czasie urzędowania administracji Busha. Tymczasem podzielony Sojusz Północnoatlantycki był dla Moskwy zachętą do działania. Gdy doszło do wybuchu wojny, Francja, reprezentując Unię Europejską, interweniowała dyplomatycznie, by uratować Gruzję. Działania podję-

to jednak bardzo późno, a podpisane zawieszenie broni nie było ani jasne, ani sprawiedliwe. Czy podjęta w Waszyngtonie decyzja o wycofaniu się z roli lidera państw zachodnich była słusznym posunięciem, mającym nie doprowadzić do eskalacji napięć na linii USA – Rosja i zapobiec nowemu kryzysowi kubańskiemu, czy też raczej stanowiła odzwierciedlenie słabej pozycji kończącej swoją kadencję w Białym Domu amerykańskiej administracji? – to kwestia, którą z pewnością będą roztrząsali historycy. Jedno jest pewne: była to chwila, w której Zachód nie zdał egzaminu.

Często słyszę pytanie: co należało zrobić inaczej? Czy można było uniknąć wojny? Myślę, że tak. Najlepszym sposobem na jej uniknięcie było rozmieszczenie w regionie prawdziwie neutralnych sił pokojowych. Szersza obecność misji ONZ i OBWE stworzyłaby bardziej przejrzystą sytuację, zminimalizowała ryzyko łamania ustalonych zasad przez którąkolwiek ze stron oraz zmieniła całą dynamikę sytuacji politycznej. Dzięki temu społeczność międzynarodowa uzyskałaby pewien wpływ nie tylko na przywódców separatystycznych prowincji, ale również na Gruzinów i Rosjan – ograniczając choćby możliwość rozszerzania swojej obecności wojskowej w terenie przez tych ostatnich. Pomysły dotyczące przeprowadzenia takich właśnie szeroko zakrojonych misji pokojowych były formułowane przez niektórych dyplomatów, szybko jednak rezygnowano z wdrożenia ich w życie, gdyż wydawały się niezmiernie trudne do zrealizowania. Mimo to, po wojnie, w ramach wynegocjowanego przez Sarkozy'ego i Miedwiediewa zawieszenia broni, Unia Europejska rozmieściła przecież w regionie kilkuset obserwatorów. Gdy-

by znajdowali się na miejscu już wiosną 2008 roku, historia zapewne potoczyłaby się inaczej.

Pomóc mogła również lepsza dyplomacja. W trakcie kluczowych wiosennych i letnich miesięcy Moskwa w sposób oczywisty testowała zarówno Gruzinów, jak i ich sojuszników – i odpowiedź Zachodu na te prowokacje była po prostu zbyt słaba. Protesty państw zachodnich przeciwko działaniom Rosjan miały niemal wyłącznie charakter rytuału, pustego gestu i nie prowadziły do wspólnego działania mającego powstrzymać bieg wydarzeń. Nie zawarto w nich żadnych ostrzeżeń ani nie określono żadnych konsekwencji. Co więcej, nie zostały poparte jasnym komunikatem na najwyższym szczeblu, który uświadomiłby Moskwie, że jej posunięcia przeciwko Gruzji stanowią pogwałcenie najbardziej fundamentalnych reguł, na których opierał się system bezpieczeństwa międzynarodowego w Europie. Zachód nie musiał wcale grozić przystąpieniem do wojny, by skutecznie wpłynąć na postawę Rosji. Gdyby przemówiono dostatecznie jasno (i, co nie mniej ważne, jednym głosem), że wszelkie działania przeciwko Gruzji będą miały jak najbardziej wymierne konsekwencje polityczne i ekonomiczne, wojny być może udałoby się uniknąć. Rosyjskie siły zbrojne przestały zbliżać się do Tbilisi w sierpniu, gdy tylko Stany Zjednoczone zadeklarowały możliwość poważnego przemyślenia samych założeń swojej polityki wobec Rosji.

Wojna w Gruzji może więc również wyznaczać koniec pewnego okresu, który rozpoczął się ponad dwie dekady wcześniej, gdy Michaił Gorbaczow po raz pierwszy powiedział o konieczności zbudowania nowego europejskiego domu. Budowa nowego pozimnowojennego ładu

w Europie – ładu, który opierać się miał na wartościach demokratycznych i wspólnych interesach – była wielkim eksperymentem. W ramach tego eksperymentu próbowano stworzyć nową społeczność państw, w której Rosja należałaby do tej samej rodziny, co zachodnie demokracje. Pomimo faktu, że Moskwa oddalała się od tego kursu już od kilku lat, wojna rosyjsko-gruzińska wyznacza nową cezurę – formalne zerwanie Rosji z Zachodem. Po zakończeniu konfliktu rosyjscy komentatorzy, jeden za drugim, podkreślali, że obydwu stron nie łączą już żadne wspólne wartości, a Moskwa po prostu nie chce już stać się częścią Zachodu. W pewnym sensie stosunek Rosji do państw zachodnich zatoczył więc koło – od przychylności, przez neutralność, przybrał w końcu agresywną, antyzachodnią postać.

Mamy zatem do czynienia z ostatnim aktem dramatu, który rozpoczął się wraz z upadkiem żelaznej kurtyny dwadzieścia lat wcześniej. Ten okres to historia naszych [zachodnich – przyp. tłum.] prób stworzenia nowego, pozimnowojennego demokratycznego pokoju, opartego na integracji Zachodu, któremu udało się przełamać wewnętrzne podziały i niechęci. Jest on ściśle związany z procesem konsolidacji demokracji w środkowej i wschodniej Europie, a także z przychylną polityką wobec Rosji, którą starano się złączyć z zachodnią społecznością międzynarodową. Jest to historia wspaniałego sukcesu i częściowej porażki. I z pewnością jest to również opowieść o tym, jak Rosja, powoli, lecz zdecydowanie, zaczęła odwracać się od Zachodu i przyjęła własną wersję strategii wypierania i powstrzymywania, skierowaną głównie przeciwko jego instytucjom. Ten dramat trwa nadal, a wojna rosyjsko-gruzińska stanowi tylko najnowszy jego akt.

Wszystko zaczęło się od upadku komunizmu w państwach środkowo-wschodniej Europy i w Związku Radzieckim. Nowa Europa wyłoniła się z pokojowych rewolucji 1989 roku. Do Zachodu wróciły w ten sposób narody odcięte od niego na dobre pół stulecia za sprawą dominacji sowieckiej. Tak powstała wizja kontynentu wolnego od podziałów. Chodziło o stworzenie zupełnie nowej architektury bezpieczeństwa międzynarodowego, w której demony geopolityki zostałyby wyegzorcyzmowane, a konflikty zbrojne byłyby nie do pomyslenia.

Cel twórców rewolucji z 1989 roku stanowiło więc zabezpieczenie nowo zdobytej wolności i niepodległości poprzez ścisłe związanie wschodniej części kontynentu z jego częścią zachodnią. Chcieli móc cieszyć się takim samym poziomem bezpieczeństwa i dobrobytu, z jakiego korzystano na Zachodzie – chcieli zatem również stać się członkami instytucji, które gwarantowały te właśnie sprawy. Zrealizowanie w praktyce wizji zjednoczonej Europy miało być równoznaczne z przekreśleniem dziedzictwa II wojny światowej, kiedy to megalomańskie plany Hitlera pozwoliły Armii Czerwonej znaleźć się w samym sercu Europy, a Związek Radziecki mógł narzucić swoją wolę oraz instytucje polityczne wschodniej części kontynentu. Pozwolenie tym państwom na ponowne połączenie z Europą było więc czymś w rodzaju moralnego imperatywu, który miał zapewnić Europie – po dwóch wojnach światowych i ponad czterech dekadach zimnej wojny – pokój.

Zbudowanie takiego porządku stało się więc głównym celem polityki zagranicznej w latach 90. – i to nie tylko dla rządów państw europejskich, ale również dla Stanów Zjednoczonych. Debata dotycząca przeszłości

Europy w sposób nieuchronny splotła się z debatą o tym, jaką rolę w Europie będą w przyszłości miały do odegrania Stany Zjednoczone oraz Sojusz Północnoatlantycki. Czy NATO – przez dekady zmuszone radzić sobie z zagrożeniem ze strony Sowietów – spełniło już swoje założenia? Czy należało rozwiązać tę organizację? Czy jej celem było pokonanie komunizmu, czy też uczynienie z Europy bezpiecznego kontynentu? Czy można było przetransformować instytucje stworzone w czasie zimnej wojny w taki sposób, by po jej pomyślnym zakończeniu pomagały związać w jedną całość obydwie części podzielonego do niedawna kontynentu? Czy należało – i czy w ogóle można było – utrzymać jedność państw zachodnich z okresu zimnej wojny w nowej formie sojuszu i wobec zagrożeń nowego rozłamu w stosunkach międzynarodowych?

Jednym z najważniejszych tematów dyskusji na temat przyszłości Zachodu było miejsce, jakie miała w niej zająć Rosja. Impuls przeprowadzenia demokratycznych zmian na kontynencie przyszedł przecież od ruchów opozycyjnych wobec komunistycznej władzy, takich jak polska Solidarność czy czeska Karta 77. Jednak w oczywisty sposób dopiero decyzje Michaiła Gorbaczowa pozwoliły na to, by historia faktycznie zmieniła swój bieg, i sprawiły, że Moskwa nie wykorzystwała swojej siły zbrojnej w momencie, gdy komunistyczne władze upadały w kolejnych państwach środkowej i wschodniej Europy. Również zapal i determinacja Borysa Jelcyna, żeby wyzwolić samych Rosjan spod jarzma komunizmu i imperialnej tradycji, miały ogromny wpływ na rozpad samego Związku Radzieckiego dwa lata później. Zachód zwyciężył w zimnej wojnie w tym sensie, że udało się obronić wartości libe-

ralnej demokracji. Jednak to odważne decyzje rosyjskich przywódców, takich jak Gorbaczow czy Jelcyn, sprawiły, że epokowy konflikt zakończył się w pokojowy sposób, praktycznie bez przelewu krwi. Europa i Stany Zjednoczone nie mogły mieć więc wątpliwości, że również Rosja musiała zostać w jakiś sposób włączona do nowego systemu bezpieczeństwa. Pytanie dotyczyło tego, jak należało to zrobić.

Początkowo na Zachodzie liczono na to, że Rosja – w swoim czasie i we własnym tempie – powtórzy po prostu ten sam rodzaj ewolucji w stronę liberalnej demokracji, jaką przeszły państwa środkowej i wschodniej Europy. Podstawowy impuls zachodniej strategii miał wymiar integracyjny – chodziło raczej o to, by Rosję włączać do budowanych struktur, aniżeli ją z nich wykluczać. Ci z Rosjan, którzy utrzymują dzisiaj, że strategia Zachodu miała na celu poniżenie Moskwy, po prostu mówią nieprawdę. Można oczywiście roztrząsać wiele szczegółowych kwestii wokół tego tematu – to, czy Zachód był nazbyt powściągliwy, czy wykorzystywał nieodpowiednie mechanizmy bądź instytucje. Nie może być jednak żadnych wątpliwości co do samej intencji: wspierania i zachęcania Rosji, by demokratyzowała swoje państwo, a z czasem przyłączyła się do struktur Zachodu.

Pytanie, jak to osiągnąć, było przedmiotem gorących dyskusji – niektóre z nich trwają do dzisiejszego dnia. Prowadziły one również do szeregu decyzji, które stworzyły w latach 90. fundamenty takiego systemu bezpieczeństwa w Europie, jaki dzisiaj znamy. Pierwszym takim krokiem było podpisanie karty paryskiej w 1990 roku. Formułowała ona pewien zbiór zasad i reguł, w oparciu

o które chciano zbudować nowy pozimnowojenny ład polityczny w Europie. Najbardziej podstawową zasadą był zakaz doprowadzania do zmian przebiegu granic między poszczególnymi państwami przy użyciu siły. Do innych ważnych zasad należało prawo do równego bezpieczeństwa, do swobodnego zawierania sojuszy oraz odrzucenie myślenia kategoriami sfer wpływów. Zaakceptowanie przez Moskwę tych zasad było wyraźnym sygnałem, że również państwo rosyjskie chciało być częścią nowej, wolnej od podziałów Europy i, szerzej, Zachodu.

Pytanie brzmiało jednak: jak przekuć tę nakreśloną z epickim rozmachem wizję w rzeczywistość? Czy OBWE, Unia Europejska i NATO miały odegrać kluczową rolę w procesie sklejanego kontynentu w jedną całość? W pierwszym odruchu chciano oprzeć się przede wszystkim na OBWE, szybko jednak okazało się, że ta organizacja nie będzie w stanie udźwignąć ciężaru tak wielkiego zadania. Unia Europejska również wydawała się atrakcyjnym kandydatem, ale bardzo boleśnie rozczarowała w sprawie Bośni, obnażając swoje słabości i niezdolność do stawienia czoła najbardziej palącym kwestiom bezpieczeństwa międzynarodowego. Dopiero wtedy wszyscy zwrócili swój wzrok na NATO. Oczywiście, było sporo ironii w tym, że to właśnie Sojusz Północnoatlantycki – a więc jedna z najważniejszych instytucji okresu zimnej wojny – miał teraz odegrać kluczową rolę w budowie nowej struktury bezpieczeństwa europejskiego. Nowe demokracje nie chciały jednak tylko powrotu do Europy. Chciały również połączyć się ze Stanami Zjednoczonymi, widząc w nich gwaranta swojego bezpieczeństwa narodowego. NATO to właśnie mogło zapewnić.

Państwa zachodnie przychylnie reagowały na ambicje krajów środkowej i wschodniej Europy, przeprowadzając jednocześnie znacznie szerzej zakrojony proces transformacji i reorganizacji zarówno Sojuszu Północnoatlantyckiego, jak i Unii Europejskiej. Owe przekształcenia składały się z trzech posiadających historyczne znaczenie kroków: NATO otworzyło się na nowych członków z Europy Środkowo-Wschodniej, co z kolei ułatwiło rozszerzenie Unii Europejskiej; Sojusz przejął na siebie również nowe misje mające na celu utrzymanie pokoju w regionie Bałkanów, a także na całym kontynencie europejskim; wreszcie, stworzono nowe podstawy partnerskiej współpracy z dawnym przeciwnikiem z okresu zimnej wojny – Rosją, czego dowodem był akt założycielski Rady NATO-Rosja z 1997 roku.

Sojusz nie próbował już więc, jak to czynił w okresie zimnej wojny, powstrzymać Rosji, ale chciał wciągnąć ją do współpracy, uczynić partnerem Zachodu. Dlatego też w wojskowym wymiarze procesu rozszerzania NATO uwzględniano również niepokoje strony rosyjskiej. Obronna komponenta Sojuszu stała się praktycznie pusta, wyprana z treści, gdy w NATO uznano, że nie ma potrzeby rozmieszczania sił wojskowych ani broni nuklearnych na terenie nowych państw członkowskich, aby system kolektywnej obrony mógł należycie funkcjonować. Zamiast tego, w ramach Sojuszu postanowiono oprzeć się na integracji z Zachodem, odpowiedniej infrastrukturze oraz innych wzmocnieniach, które miały zagwarantować spełnienie obietnic wiążących się z członkostwem w jego strukturach. Był to kolejny dowód na to, że rozszerzanie Sojuszu miało na celu powiększenie sfery

stabilności i pogłębienie integracji systemu bezpieczeństwa w Europie, nie zaś stworzenie nowego zagrożenia u samych granic Rosji.

Czy nie zabezpieczyliśmy się jednak na wypadek, gdyby Moskwa zdecydowała się pójść w niekorzystnym dla nas kierunku? Oczywiście, że tak. Nikt nie mógł przecież przewidzieć, jaki będzie ostateczny wynik dramatycznych przemian, do których dochodziło w Rosji, ani jak wyglądał będzie jej nowy, postkomunistyczny rząd – a przecież już w połowie lat 90. sytuacja zaczęła stawać się coraz bardziej niestabilna. Niektórzy obawiali się nawet, że Rosja pragnie zbliżenia z NATO, aby zdestabilizować Sojusz od środka. Celem przyjętej przez państwa zachodnie strategii było więc wypracowanie jak najlepszego porozumienia między obydwoma stronami, pozostawiając jednocześnie otwarte pole manewru na wypadek, gdyby historia potoczyła się mimo wszystko inaczej, niż się tego spodziewano. Kiedy w NATO zdecydowano, by nie rozmieszczać sił wojskowych i broni nuklearnej na terytorium nowych państw członkowskich, zadbaliliśmy o to, aby ta jednostronna decyzja Sojuszu była możliwa do zmiany, jeśliby zaszła taka konieczność. Tym sposobem w dyplomatycznym języku próbowaliśmy przekazać drugiej stronie nasze nadzieje na to, że sytuacja międzynarodowa pozostanie stabilna, zachowując jednocześnie możliwość zmiany strategii, gdyby postawa Rosji okazała się wroga.

Strategia ta okazała się niezwykle skuteczna w procesie budowania demokracji w Europie Środkowo-Wschodniej oraz w tworzeniu nowego systemu bezpieczeństwa na całym obszarze kontynentu. Zapewne prawdziwe będzie stwierdzenie, że nigdy nie był on bardziej stabilny na

przestrzeni kilku poprzednich stuleci. Choć stosunki z Rosją często pozostawały dość napięte, obydwu stronom udało się osiągnąć kompromis przy pierwszej rundzie rozszerzenia NATO. Ci, którzy utrzymywali, że rozszerzenie będzie jednoznaczne z nowym konfliktem na linii Zachód – Moskwa, nie mieli racji. Stworzono nowe podstawy współpracy w ramach NATO i UE, dzięki czemu nie doszło do żadnego załamania w relacjach z Rosją. Często zapomina się również dzisiaj o tym, że Rosjanie słabiej sprzeciwiali się drugiej rundzie rozszerzenia Sojuszu niż pierwszej. NATO odpowiedziało na taką postawę ofertą dalszego zacieśniania współpracy. Ujmując rzecz w największym skrócie, wyglądało na to, że przyjęta strategia sprawdzała się doskonale.

To właśnie do wspomnianej powyżej powiększającej się szybko społeczności młodych demokracji chciał dołączyć nowy rząd Gruzji, który doszedł do władzy na fali rewolucji róż z 2003 roku. Przyczyny tej rewolucji były przede wszystkim wewnętrzne. Rosyjskie teorie spiskowe, każące widzieć zarówno rewolucję róż, jak i ukraińską pomarańczową rewolucję z 2004 roku jako farsy sterowane przez amerykańskie organizacje pozarządowe, zupełnie ignorują głębokie pragnienie obydwu społeczeństw, by móc cieszyć się taką samą wolnością, takim samym dobrobytem i bezpieczeństwem, jakie panują w świecie transatlantyckim. Gruzja chciała zbliżyć się do Zachodu dokładnie z tych samych przyczyn, ze względu na które państwa Europy Środkowej i Wschodniej wzmacniały swoje więzi z zachodnimi instytucjami dekadę wcześniej. Próbowwała znaleźć bezpieczną osłonę dla swojego kruche go demokratycznego eksperymentu, przeprowadzanego

w regionie, w którym aż roiło się od despotów. Zakończone sukcesem poszerzenie NATO i Unii Europejskiej w Europie Środkowo-Wschodniej, potocznie określane jako „Big Bang”, dostarczyło pobudzającego wyobraźnię przykładu, że jest to możliwe.

W Tbilisi spoglądano zwłaszcza na przypadek państw bałtyckich, głównie ze względu na to, że znajdowały się one w podobnym do Gruzji położeniu w czasach sowieckich. Celem Gruzinów było więc pójście w ich ślady. Politykom w Tbilisi zależało przede wszystkim na członkostwie w NATO, ze względu na niebezpiecznego sąsiada, jakim była Rosja. Prawdziwym celem Gruzji było jednak również zbliżenie z Europą i członkostwo w UE. Kiedy prezydent Saakaszwili udał się na swoją pierwszą wizytę do Waszyngtonu w lutym 2004 roku, wypytywał o możliwość uzyskania dla swojego kraju prowadzącego w dalszej perspektywie do członkostwa w Sojuszu Północnoatlantyckim MAP-u. Przypominało to pierwsze wizyty w Białym Domu przywódców państw Europy Środkowo-Wschodniej wiosną 1993 roku, podczas których ku wielkiemu zdziwieniu ówczesnego prezydenta Billa Clintona deklarowali oni, że głównym celem prowadzonej przez ich państwa polityki zagranicznej było przystąpienie do NATO. W symbolicznym geście gruziński rząd zabierał na swoje delegacje również flagę Unii Europejskiej, chcąc zademonstrować w ten sposób swoje przywiązanie do reprezentowanych przez nią wartości.

Trzy czynniki zadecydowały jednak o tym, że droga Gruzji do wstąpienia do zachodnich instytucji okazała się o wiele bardziej stroma i wyboista, od tej, którą musiały przebyć państwa Europy Środkowo-Wschodniej. To one

zdecydowały również o szerszym kontekście, w jaki wpięła się gruzińsko-rosyjska wojna z sierpnia 2008 roku. Pierwszą i najważniejszą zmianą było objęcie władzy w Rosji przez Władimira Putina i jego decyzja o niepogłębianiu integracji z Zachodem. Gruzjińskie aspiracje zderzyły się więc z rosyjskim rewizjonizmem; z Rosją, która w coraz mniejszym stopniu zainteresowana była zbliżeniem z Zachodem, w coraz większym zaś stawiała się autokratyczna i skoncentrowana na euroazjatyzmie. W Moskwie ponownie zaczęto tworzyć obraz wrogich sił zachodnich, stojących u bram państwa rosyjskiego. Pomogło to wzmocnić nacjonalistyczne sentymenty oraz poczucie rosyjskiej wyjątkowości i wielkości jej polityki zagranicznej.

Debata dotycząca tego, dlaczego właściwie tak się stało, jest niezmiernie istotna. Czy rozszerzenie NATO i Unii Europejskiej o państwa środkowo-wschodniej części kontynentu faktycznie pchnęło Rosję ku antyzachodniej postawie, jak sugerują niektórzy komentatorzy? Czy raczej Rosja zaczęła zmieniać w ten sposób swoją politykę z przyczyn wewnętrznych, niemających wiele wspólnego z tym, co działo się na Zachodzie, za to ściśle związanych z autokratycznymi dążeniami Putina oraz jego afirmacją nacjonalistycznej ideologii stanowiącej legitymizację posiadanej władzy? W tej debacie należą do tych, których można by określić mianem „pozbawionych wyrzutów sumienia zwolenników rozszerzenia”. Uważam, że Zachód wykorzystał historyczną okazję do stworzenia nowej stabilności politycznej w środkowej i wschodniej części Europy dzięki rozszerzeniu NATO i Unii Europejskiej.

Przychylnie nastawienie wobec Rosji również było dobrym postępowaniem. Moskwa otrzymała okazję do zbudowania nowego strategicznego partnerstwa z Zachodem. Państwa zachodnie być może nie uczyniły wszystkiego, co było w ich mocy w tym wymiarze, ale polityczna wola zacieśnienia współpracy z Moskwą z pewnością była autentycznym motywem ich działań. Podejmowane próby nie zakończyły się powodzeniem, ponieważ to strona rosyjska zdecydowała się pójść w innym kierunku. Gdy z czasem Rosja stawała się coraz bardziej autokratycznym i nacjonalistycznym państwem, coraz wyraźniej widziała również zagrożenia płynące dla niej z prozachodnich aspiracji Gruzji. W efekcie, sprzeciw Moskwy wobec działań Tbilisi był bez porównania mocniejszy i bardziej zdecydowany, aniżeli cokolwiek, czego byliśmy świadkami w odniesieniu do państw Europy Środkowo-Wschodniej w latach 90.

Drugą przyczynę stanowiło to, że Tbilisi nie była Pragą, a Kaukaz Południowy nie był Europą Środkowo-Wschodnią. Różnica nie tkwiła jedynie w geografii. Gruzja położona była w tej bardziej „dzikiej”, a nie tylko szerzej zdefiniowanej Europie<sup>147</sup>. Była znacznie biedniejszym państwem, o słabiej osadzonych instytucjach demokratycznych. Musiała dawać sobie radę z innymi, znacznie głębszymi problemami. Znajdowała się jakąś dekadę z tyłu, jeśli chodzi o rozwój ekonomiczny i polityczny. Miała przed sobą jeszcze sporo do zrobienia, a problemy, którym musiała stawić czoła, były niezmiernie skomplikowane. Z tego, że Gruzja znajdowała się w gorszym położeniu aniżeli poprzedni kandydaci [do członkostwa w zachodnich strukturach – przyp. tłum.], nie wynikało

jednak wcale, iż należało poświęcić jej mniej uwagi. Przeciwnie. W żadnym innym wypadku nie było to bardziej prawdziwe aniżeli w kwestii „zamrożonych konfliktów”. Na początku lat 90. Stany Zjednoczone i Szwecja wspólnie starały się przekonać Moskwę do wycofania swoich wojsk z państw bałtyckich. Uczyniło to przyszłe aspiracje tych państw do członkostwa w NATO i UE możliwymi do realizacji. Nie wywierano na Moskwę takiej presji w kwestii wycofania wojsk czy opuszczenia baz znajdujących się na terytorium Gruzji. Zamiast tego, pozostawiono Gruzinów samych wobec konfliktów i napięć, których samodzielnie nie byli w stanie rozwiązać i które stanowiły potężną przeszkodę na drodze do dalszej integracji z Zachodem.

Wreszcie trzecia, najważniejsza różnica polegała na tym, że Gruzja mogła cieszyć się jedynie częścią tego poparcia, z którego korzystały państwa Europy Środkowo-Wschodniej dekadę wcześniej. Zmęczenie rozszerzeniem stawało się szybko jednym z najpoważniejszych problemów zarówno w NATO, jak i w Unii Europejskiej. Obydwie te instytucje musiały sobie poradzić z wyzwaniem wynikającym z przyjęcia do swoich struktur kilkunastu nowych państw. Kiedy Europejczycy mówili o zjednoczeniu Europy, nie mieli na myśli Tbilisi, ale Pragę, Warszawę i Budapeszt. Nawet jeżeli sami Gruzini uważali swoje państwo za integralną część Europy i byli przekonani, że mają prawo połączyć się z Zachodem, wielu polityków zachodnich po prostu nie zgadzało się z takim stanowiskiem. Gruzja miała więc pecha, gdyż starała się zbliżyć z Zachodem w okresie, gdy stawał się on politycznie bardziej podzielony, a nie zjednoczony. W latach 90. Stany

Zjednoczone były w Europie niezmiernie popularne, a państwa Europy Środkowo-Wschodniej wiele zyskały dzięki zachodniej jedności i współpracy. Tymczasem Gruzja usiłowała zintegrować się z Zachodem w momencie, kiedy państwa członkowskie NATO były głęboko podzielone wokół kwestii wojny w Iraku, Stany Zjednoczone cieszyły się najmniejszą popularnością od dziesięcioleci, a kondycja stosunków transatlantyckich znajdowała się w historycznym dołku.

Połączenie tych wszystkich czynników w całość dobitnie pokazuje, jak bardzo łatwopalna była cała sytuacja. Gruzińskie starania o zbliżenie z Zachodem podejmowano w tym samym czasie, gdy Rosja zdecydowała się od niego odwrócić. Załamaniu w stosunkach transatlantyckich towarzyszyły nowe napięcia na linii USA – Rosja. Połączenie stopniowego wzrostu napięcia w samej Gruzji z zaognieniem kluczowych relacji między Stanami Zjednoczonymi, Europą i Rosją tworzyło isticie wybuchową mieszankę. I chociaż wszyscy mogli dostrzec sygnały ostrzegawcze, nie użyto mechanizmów, które zostały stworzone po to właśnie, by można było zapanować nad tego typu sytuacją. W efekcie, porażkę poniosła nie tylko Gruzja, ale cały system bezpieczeństwa w Europie.

Z tej właśnie przyczyny książka ta dotyczy nie tylko przeszłości, ale i przyszłości. Co stanie się teraz? Prawda jest taka, że żadnego z konfliktów, które doprowadziły do wybuchu wojny rosyjsko-gruzińskiej w sierpniu 2008 roku, nie udało się dotąd rozwiązać. Gruzja wciąż jest zdeterminowana, by integrować się z Zachodem; Rosja natomiast wciąż twardo się temu przeciwstawia. Ciągłe wymachiwanie przez Moskwę szabelką jest również naj-

lepszym dowodem na to, że jej przywódcy nie porzucili swoich planów zdestabilizowania sytuacji w Gruzji i doprowadzenia do zmiany rządu w tym kraju. W tym czasie Rosjanom udało się również uniemożliwić zwiększenie obecności misji obserwacyjnych UE czy OBWE w terenie. Około 200 obserwatorów z ramienia Unii Europejskiej to bardzo niewiele, jak na linię mającą skutecznie oddzielić Moskwę od Tbilisi.

Konflikt między Rosją a Zachodem jest zatem wciąż żywy, nawet jeżeli dyplomaci starają się stworzyć odwrotne wrażenie w publicznych wystąpieniach. NATO potwierdziło swoją deklarację mówiącą, że Gruzja stanie się któregoś dnia państwem członkowskim Sojuszu, pomimo ostrych protestów Moskwy przeciw nawet najdrobniejszym krokom w tym kierunku. Jednocześnie nie ma między Rosją a Zachodem zgody w kwestii tego, jakie prawa, odpowiedzialności i zasady powinny rządzić wzajemnymi relacjami między państwami, których dotyczy spór. To zupełnie tak, jak gdyby wszystko, co udało się wypracować na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat, zostało nagle wyrzucone przez okno lub w jakiś przedziwny sposób się zdematerializowało.

Ostatni rozdział tej opowieści nie został zatem jeszcze napisany – a jego treść zależała będzie nie tylko od tego, co wydarzy się między Tbilisi i Moskwą, ale również od wniosków, jakie wyciągną państwa zachodnie z opisaney w tej książce wojny. Czy raz jeszcze potwierdzimy, że chcemy realizować w praktyce zasady sformułowane w Hel-sinkach, mówiące choćby o prawie każdego państwa do zawierania sojuszy z pełną swobodą? Czy będziemy nadal utrzymywali, iż aspiracje Gruzji są zasadne, a Moskwy

– nie? Czy może raczej zachodni przywódcy zdecydują, że rosyjskie roszczenia dotyczące jej sfery wpływów powinny zostać uwzględnione, proces rozszerzania NATO musi zostać zatrzymany, a architektura bezpieczeństwa europejskiego – przebudowana w taki sposób, by odpowiadać również potrzebom Moskwy?

Z punktu widzenia Gruzji możliwe jest tylko jedno rozwiązanie. Bez względu na to, jak niesprawiedliwe było kończące wojnę porozumienie o zawieszeniu broni, mimo zalewu gruzińskich uchodźców oraz dziurawych linii granicznych z Abchazją i Osetią Południową, Tbilisi musi pożegnać się z myślą o odzyskaniu kontroli w utraconych prowincjach w przewidywalnej przyszłości. Musi stworzyć w porozumieniu ze społecznością międzynarodową długofalową politykę opartą na nieuznawaniu wspomnianych prowincji za niepodległe państwa, przewidzianą na całe lata, a być może nawet dekady. Istnieją precedensowe sytuacje, z których może wyciągnąć wnioski, spoglądając choćby na to, w jaki sposób państwa zachodnie potrafiły radzić sobie z podobnymi problemami. Polityka Zachodu wobec państw bałtyckich czy sprawa Niemiec Wschodnich mogą tu służyć za przykłady. Gruzja powinna wciąż zabiegać o zjednoczenie kraju, jednocześnie jednak odrzucając możliwość użycia siły do realizacji owego celu. Musi zaprzestać prób delegitymizowania tego, co się stało, i odbijania na drodze politycznego sporu tego, co utraciła w wojnie z Rosją. Zamiast tego, Gruzja musi ponownie skoncentrować swoją energię na przeprowadzaniu demokratycznych reform, które uczyniły z niej tak atrakcyjnego partnera w regionie przed kilkoma laty. Gruzini przywódcy muszą raz jeszcze zamienić tę część swojego

kraju, która znajduje się pod ich kontrolą w rodzaj regionalnego tygrysa, przede wszystkim poprzez odwrócenie obecnych, niekorzystnych trendów w gospodarce. Tylko w ten sposób Gruzja będzie mogła odbudować swoją pozycję polityczną i moralną, przyciągnąć do kraju zachodnich inwestorów, rozwinąć gospodarkę i przekonać zachodnich partnerów, że któregoś dnia również Abchazja i Osetia Południowa zdecydują się połączyć z resztą kraju, jeżeli tylko historia stworzy im taką możliwość. W ostatecznym rozrachunku Gruzini będą musieli również porozumieć się w jakiś sposób ze swoim północnym sąsiadem – Rosją. Geograficzne położenie ich państwa nie ulegnie przecież zmianie.

Na początku lat 90. były estoński prezydent Lennart Meri podczas jednego ze spotkań zaskoczył Borysa Jelcyna, pytając go o czarodziejski dywan. Kiedy Jelcyn zapytał, co właściwie Meri miał na myśli, estoński polityk odparł, że najlepszym sposobem na rozwiązanie bilateralnych napięć między ich państwami było jego zdaniem przeniesienie Estonii gdzieś na północną część Oceanu Atlantyckiego, jednak jednocześnie wydawało mu się, że to rozwiązanie miało niewielkie szanse realizacji. Meri próbował w ten sposób uzmysłwić rosyjskiemu przywódcy, że Estończycy doskonale wiedzieli, iż będą musieli w jakiś sposób koegzystować z Rosjanami. Nie inaczej ma się rzecz w przypadku Gruzji. Zadanie to jest jednak obecnie znacznie trudniejsze, aniżeli było jeszcze przed wojną. Bardzo wielu Gruzinów jest wrogo nastawionych wobec Rosjan i wierzy, że Moskwa nigdy nie zaakceptuje niepodległości i suwerenności ich państwa. Normalizacja stosunków między obu państwami wydaje się więc nie-

możliwa dopóty, dopóki Moskwa będzie realizowała strategię zmierzającą *de facto* do dokonania zmiany władzy w Tbilisi. Pojawią się jednak nowi przywódcy i nowe pokolenia, a stare rany zagoją się z czasem. Gruzinom będzie jednak znacznie łatwiej unormować ich relacje z Rosją, jeżeli otrzymają odpowiednie gwarancje bezpieczeństwa od Zachodu i nawiążą z nim ściślejszą współpracę.

Jaka powinna być zatem w moim odczuciu przyszła postawa państw zachodnich? Przede wszystkim, musimy wrócić do naszych zasad. Musimy pamiętać o tym, w jakim celu stworzyliśmy kartę paryską, zapewniającą każdemu państwu europejskiemu równe bezpieczeństwo, prawo do swobodnego zawierania sojuszy, oraz dlaczego odrzuciliśmy myślenie kategoriami sfer wpływów jako podstawę przyszłego systemu bezpieczeństwa na kontynencie. Otóż spisaliśmy te wszystkie zasady, ponieważ krwawa historia Europy nauczyła nas, że myślenie kategoriami sfer wpływów nie stwarza realnego bezpieczeństwa na scenie międzynarodowej oraz że zmuszanie narodów, by wchodziły z kimś w sojusze wbrew swojej woli, jest doskonałą receptą na niestabilność i wojenny kataklizm. Przyjęliśmy te zasady po to, by móc chronić słabsze państwa przed agresywnym działaniem ze strony państw silniejszych. Nasi przywódcy wierzyli, że w ten sposób uda się stworzyć trwałe fundamenty dla demokratycznego pokoju na całym kontynencie. Nie zostały one napisane wyłącznie z myślą o państwach środkowej i wschodniej Europy. Ich znaczenie miało być uniwersalne, miały obowiązywać wszędzie – od Vancouver aż do Władywostoku. Rosja również na nie przystała. Z tego powodu ich łamanie nie może pozostać bez konsekwencji.

Powinniśmy zdać sobie sprawę z tego, że udzielanie poparcia prodemokratycznym przełomom w państwach bezpośrednio sąsiadujących z Rosją nie jest częścią problemu, lecz częścią jego rozwiązania. Otwarcie drzwi NATO i Unii Europejskiej dla państw z Europy Środkowo-Wschodniej było naszą odpowiedzią na ich pragnienie stania się częścią Zachodu i współdzielenia nie tylko korzyści, ale i obowiązków wynikających z członkostwa w owych instytucjach. Choć decyzja ta była w swoim czasie kontrowersyjna, okazała się triumfem prawdziwego politycznego przywództwa i wizjonerstwa, tworząc na kontynencie taką polityczną stabilność, jakiej nie zaznano na nim od wieków. Powinniśmy ponadto pamiętać, że realizowana w latach 90. strategia odniosła skutek również z powodu swoistego odrodzenia na Zachodzie jego potęgi i celu. Była ona wyrazem znacznie szerszej wizji Europy i demokratycznego Zachodu. I to właśnie owa jedność państw zachodnich była kluczem do sukcesu – jej rozpad zaś jest bez wątpienia jedną z głównych przyczyn naszych dzisiejszych problemów.

Dlatego też odbudowanie owej jedności musi być drugim krokiem na drodze do stworzenia nowej strategii. Wybór Baracka Obamy na stanowisko prezydenta Stanów Zjednoczonych obudził nadzieje na to, że Ameryka i Europa mogą ponownie zacieśnić wzajemne więzy i zreformować Sojusz Północnoatlantycki w taki sposób, by odpowiadał on na wyzwania nowych czasów. Oprócz poradzenia sobie z poważnymi problemami w takich miejscach, jak Afganistan i Pakistan, szeroko rozumiany Bliski Wschód, czy z pojawieniem się Chin jako nowej potęgi we wschodniej Azji, obecna administracja amerykań-

ska musi również naprawić to, co popsuło się w NATO i stworzyć nową wizję jego funkcjonowania. Nowa strategia wobec wschodniej części Europy musi stanowić jej istotny element. Właściwa reakcja na wojnę rosyjsko-gruzińską będzie musiała polegać na powrocie do zasad wyłożonych w karcie paryskiej oraz na poszerzaniu demokracji w Europie, jako głównym celu działania.

Historia Europy nauczyła nas już wielokrotnie, że odchodzenie od zasad liberalnej demokracji w nadziei na opanowanie w ten sposób autorytarnych mocarstw, nie jest dobrym przepisem na długotrwałą stabilność polityczną. Przywódcy Sojuszu muszą raz jeszcze zebrać w sobie całą polityczną wolę i rozbudzić swoją wyobraźnię w dziedzinie strategii, by odbudować i rozszerzyć demokratyczne instytucje Zachodu. Jest sprawą absolutnie kluczową, aby drzwi do NATO pozostały otwarte dla nowych potencjalnych członków – zarówno tych, położonych na terenie Eurazji, jak i tych znad Morza Czarnego. Będzie to tym bardziej istotne, jeżeli, co wydaje się prawdopodobnym scenariuszem, drzwi Unii Europejskiej zaczną się powoli zamykać. Taka strategia musi zakładać jednak również, oczywiście, podjęcie działań mających na celu odbudowanie relacji z Rosją. Musimy jednak z absolutną jasnością określić, jakie interesy rosyjskie uważamy za uprawnione, a jakie nie. Moskwa ma pełne prawo dbać o to, by żadne zagrożenie nie pojawiło się u jej granic. Nie może jednak rościć sobie prawa również do tego, by mieszać się w wewnętrzne sprawy swoich sąsiadów, próbować obalać rządy bądź odmawiać wspomnianym krajom prawa do posiadania własnych aspiracji w dziedzinie polityki zagranicznej.

Dzisiejsza Moskwa nie pragnie oczywiście stać się częścią Zachodu. Jak twierdzi, chce pójść w kierunku euroazjatyckim. Jednak pewnego dnia któryś z rosyjskich przywódców dojdzie do wniosku, że to droga donikąd, jestem o tym przekonany. Jest we mnie dość historycznego optymizmu, by wierzyć, że prawdziwymi partnerami, z którymi Rosja powinna nawiązać ścisłą współpracę, są państwa zachodnie. Już obecnie można przecież utrzymywać, że jedyna stabilna granica, jaką posiada Moskwa, to właśnie jej granica zachodnia. A jest ona stabilna właśnie dlatego, że udało się stworzyć w ramach NATO i UE podstawy dla demokratycznego pokoju na kontynencie. W którymś momencie Rosja będzie zatem musiała zwrócić się na zachód, spróbować zacieśnić z nami stosunki i, prędzej czy później, zintegrować się z naszymi instytucjami. W przeciwnym razie grozi jej ryzyko pójścia w ślady Związku Radzieckiego. Wiem, że tego typu zmiana wyda się wielu nieprawdopodobna, jeżeli weźmiemy pod uwagę to, z jaką Rosją mamy dziś do czynienia. Pomimo tego, strategia państw zachodnich musi zakładać próbę uczynienia takiego rozwoju wydarzeń bardziej prawdopodobnym, jednocześnie pozostając wierna swoim zasadom. Musimy wysłać jasny komunikat mówiący, że na Zachodzie jest miejsce dla Rosji wyznającej te same zasady, które my wyznajemy, i przestrzegającej tych samych reguł postępowania na arenie międzynarodowej, których my przestrzegamy. I kiedy ten dzień nadejdzie, musimy mieć w sobie dość śmiałości, by wykorzystać nadarżającą się okazję.

Takie jest wyzwanie, jakie mamy przed sobą – Gruzja, Rosja i Zachód. Najodpowiedniejszym epilogiem rosyjsko-gruzińskiej wojny z 2008 roku byłoby ponowne

skoncentrowanie się Stanów Zjednoczonych i Europy na zbudowaniu stabilnej demokracji w Gruzji i na znalezieniu nowych metod bliższego związania Tbilisi i całego regionu wokół Morza Czarnego z Zachodem. Musimy to zrobić, jednocześnie budując relacje z Rosją w taki sposób, który skłoni jej przywódców do ponownego przemyślenia tego, jakie naprawdę są jej interesy w regionie i jakie korzyści może jej przynieść demokratyczny pokój. Jasne potwierdzenie, że powyższe cele są wciąż podstawowe dla strategii Zachodu, byłoby najlepszym dowodem na to, że wyciągnięto odpowiednie wnioski z tytułowej małej wojny, która wstrząsnęła światem.

## Nota bibliograficzna

Niestety, bardzo niewiele jak dotąd książek w języku angielskim poświęcono wojnie rosyjsko-gruzińskiej z sierpnia 2008 roku. Znakomitą historię całego regionu nakreślił Neal Ascherson w swojej książce *Black Sea* (Jonathan Cape Ltd, UK 1995<sup>148</sup>). Podobnie rzecz się ma z publikacjami Charlesa Kinga: *The Ghost of Freedom: A History of the Caucasus* (Oxford University Press, New York 2008<sup>149</sup>) oraz *The Black Sea: A History* (Oxford University Press, New York 2004<sup>150</sup>). Klasyczną pozycją poświęconą upadkowi Związku Radzieckiego oraz związanym z nim konfliktom na peryferiach dawnego imperium (w tym tych dotyczących Abchazji oraz Osetii Południowej) pozostaje książka Jacka Matlocka – *Autopsy on an Empire: The American Ambassador's Account of the Collapse of the Soviet Union* (Random House, New York 1995). Z kolei w *Georgia Diary* Thomasa Goltza (M.E. Sharpe, United States 2006) znakomicie oddane zostały realia wojny i politycznego chaosu, jaki rozpełtał się na Kaukazie Południowym w latach 90. ubiegłego stulecia.

Ewolucję polityki w samej Gruzji od momentu odzyskania przez to państwo niepodległości można znaleźć

w zredagowanej przez Brunona Coppietersa i Roberta Legvolda *Statehood and Security: Georgia after the Rose Revolution* (MIT University Press, Cambridge, MA 2005). Warto sięgnąć także po *The Making of the Georgian Nation* Ronalda Grigora Suny'ego (Indiana University Press, Bloomington 1994) oraz *The New Caucasus* Edmunda Herziga (Royal Institute of International Affairs, London 1999). Dwa tomy esejów wydane pod redakcją tego ostatniego przez German Marshall Fund – *A New Euro-Atlantic Strategy for the Black Sea Region* (German Marshall Fund, Washington, DC 2004) oraz *Next Steps in Forging a Euro-Atlantic Strategy for the Wider Black Sea* (German Marshall Fund, Washington, DC 2006) rzucają sporo światła na toczącą się w ostatnich latach debatę dotyczącą polityki państw zachodnich wobec Gruzji oraz szeroko rozumianego basenu Morza Czarnego. Niedługo po zakończeniu pracy nad tą książką Svante E. Cornell i S. Frederick Starr opublikowali doskonałą książkę poświęconą wojnie rosyjsko-gruzińskiej, zatytułowaną *The Guns of August 2008: Russia's War in Georgia* (M.E. Sharpe, Armonk, New York and London 2009). Gdy książka ta ukazywała się drukiem, Unia Europejska wydała raport IIFFMCG (Independent International Fact-Finding Mission on the Conflict in Georgia), której przewodniczyła ambasador Heidi Tagliavini. Raport ten, wraz z innymi załączonymi do niego dokumentami, będzie istnym skarbcem wiedzy dla historyków zajmujących się w przyszłości tym tematem.

Większość źródeł, z których korzystałem przy pisaniu tej książki, ma publiczny charakter. Są dostępne dla wszystkich. Niektóre części opierałem jednak na rozmow-

wach i wywiadach z wysokimi pracownikami administracji Stanów Zjednoczonych, UE i Gruzji. W większości przypadków rozmowy te były dokumentowane. Niekiedy proszono mnie jednak o to, abym nie upubliczniał danych swoich rozmówców. Nieraz przeprowadzałem serię wywiadów z tą samą osobą. W wielu przypadkach umożliwiałem tym osobom odświeżenie pamięci, poprzez przejrzenie korespondencji listowej i e-mailowej, memorandumów czy innych dokumentów dotyczących przedmiotu naszej rozmowy. Dzięki temu udało mi się odtworzyć przebieg kilku kluczowych dla całej wojny dyskusji znacznie lepiej, aniżeli byłbym to w stanie zrobić w pojedynkę. Wszędzie tam, gdzie było to możliwe, starałem się konfrontować ze sobą dostępne mi źródła, aby w ten sposób uczynić zadość wymogom historycznej rzetelności.

W Stanach Zjednoczonych wśród moich rozmówców znaleźli się: Judy Ainsley, Matt Bryza, Daniel Fata, Daniel Fried, Stephen Hadley, Jim Jeffries, Condoleezza Rice, Mark Simakovsky, Damon Wilson oraz Joseph Wood. Spośród polityków europejskich swój czas zechcieli mi poświęcić: Carl Bildt, Sorin Ducaru, Martin Erdmann, Terri Hakala, Christoph Heusgen, Bernard Kouchner, Jean-David Levitte, Hans-Dieter Lucas, Rolf Nickel, Henne Schuwer, Peter Semneby, Alex Stubb i Heidi Tagliavini. Po stronie gruzińskiej natomiast moimi rozmówcami byli: Dawid Bakradze, Gela Bezuaszwili, Batu Kutelia, Iwane Merabiszwili, Irakli Okruaszwili, Micheil Saakaszwili, Ekaterine Tkeszelaszwili, Szota Utiaszwili, Grigol Waszadze oraz Temur Jakobaszwili.

Wielu amerykańskich i europejskich urzędników oraz polityków przeglądało poszczególne rozdziały tej

książki, sprawdzając adekwatność mojego opisu. Szczególnie wsparli mnie w tym wymiarze Matt Bryza, Dan Fried, John Tefft i Damon Wilson, a także Carl Bildt, Radek Sikorski i Jean-David Levitte, którzy sprawdzili niektóre fragmenty tekstu. Mariusz Handzlik oraz prezydent Lech Kaczyński byli uprzejmi przejrzeć część dotyczącą przebiegu szczytu NATO w Bukareszcie, w której opisałem zaangażowanie prezydenta w dyskusje, jakie się tam toczyły.

Książka ta z pewnością wyglądałaby inaczej, gdybym nie miał dostępu do kilku dodatkowych źródeł. W Gruzji parlament przeprowadził niezależne śledztwo mające ustalić przyczyny wojny. Zapisy zeznań wysokich przedstawicieli gruzińskiego rządu przed Tymczasową Komisją ds. Agresji Zbrojnej oraz Innych Działań Rosji Przeciwko Terytorialnej Integralności Gruzji stanowią ważne źródło i są dostępne online w językach gruzińskim, rosyjskim i angielskim. To samo dotyczy oficjalnego raportu gruzińskiego rządu na temat wojny, zatytułowanego *Raport Rządu Gruzji w sprawie agresji Federacji Rosyjskiej przeciwko Gruzji*. Wiele z informacji, które rząd Gruzji przekazał IIFFMCG, również zostało udostępnionych autorowi.

Z niniejszego wykazu źródeł wynika jasno asymetria, jaka istnieje między Gruzją a Rosją w ich podejściu do publicznej debaty na temat przyczyn wybuchu wojny oraz akademickich starań o dotarcie do jej prawdziwych korzeni. Gruzjiński rząd zaprezentował w tym przypadku rzadko spotykany poziom transparentności, czego nie daje się powiedzieć o Rosji. Autor odczuł zresztą wspomnianą asymetrię na własnej skórze. Przeprowadzenie wywiadów z wysoko postawionymi urzędnikami rosyjskimi okazało

się niemożliwe. Odrzucano moje propozycje w tej sprawie, co było równoznaczne z brakiem komentarza odnośnie gruzińskiej czy amerykańskiej wersji kluczowych wydarzeń. Kilku niezależnych rosyjskich analityków zgodziło się jednak przeczytać i skomentować wstępne wersje pojedynczych rozdziałów.

Wiele niejasności dotyczących wojny między Rosją a Gruzją dotyczy polityki prowadzonej przez Moskwę. Dla treści tej książki z pewnością byłoby więc korzystne dokładniejsze zrozumienie perspektywy Kremla. Rosja potrzebuje również wewnętrznej, otwartej debaty na temat przyczyn wojny. Choć nie miałem możliwości wykorzystania wielu rosyjskich źródeł, być może niniejsza książka zachęci samych Rosjan do rozmawiania z większą otwartością o tym, co i dlaczego się wydarzyło. Opowieść ta wciąż czeka na swojego autora.



# Podziękowania

Chciałbym podziękować Craigowi Kennedy'emu, prezydentowi German Marshall Fund of the United States (GMF), za to, że umożliwił mi napisanie tej książki. Craig był nie tylko moim szefem, ale i przyjacielem. Wraz z resztą zespołu GMF stworzyli sprzyjające twórczej pracy warunki, dzięki którym mogłem rozwinąć idee zaprezentowane na kartach tej książki. Karen Donfried, wiceprezydent GMF, również była dla mnie ostoją i wsparciem w trakcie wszystkich – lepszych i gorszych – chwil mojej pracy nad tą książką. Badania GMF dotyczące regionu czarnomorskiego w pełni przyczyniły się do poszerzenia mojej wiedzy na temat wydarzeń w Gruzji oraz w państwach z nią sąsiadujących.

Chciałbym również podziękować Richardowi C. Holbrooke'owi oraz Strobe'owi Talbottowi za ich przyjaźń i wsparcie dla tego projektu. Richard od samego początku był moim towarzyszem broni w sprawie Gruzji. Podobnie jak ja, dostrzegał zbliżające się zagrożenie zanim jeszcze doszło do rosyjsko-gruzińskiej wojny 2008 roku. Ze Strobem Talbottem poznaliśmy się w połowie lat 90., gdy pracowaliśmy w Departamencie Stanu i zmagaliśmy

się z problemem zbudowania nowej, wolnej i żyjącej w pokoju Europy. Nasze dyskusje na temat Rosji oraz jej polityki wobec państw sąsiednich miały nieocenione znaczenie dla moich własnych przemyśleń. Uwagi Richarda i Strobe'a na temat wstępnych wersji tej książki również były dla mnie ogromnie istotne.

Chciałbym również podziękować za wsparcie i pomoc moim przyjaciółom z Gruzji. Wielu z nich udzieliło wywiadów, pomogło je zorganizować lub dotrzeć do niezwykle istotnych źródeł, szczegółowo przedstawionych w bibliografii. Szczególnie chciałbym tu podkreślić mój dług wdzięczności wobec Natalii Kancheli, Daniela Kunina, Alexa Rondelego, Szoty Utiaszwilego oraz Temura Jakobaszwilego. Nie inaczej rzecz się ma również w przypadku szeregu innych kolegów i przyjaciół po obu stronach Atlantyku, którzy musieli radzić sobie z moimi nieraz natarczywymi pytaniami i krytycyzmem, czytali różne fragmenty wstępnych wersji tej książki bądź też debatowali i spierali się ze mną w kwestii oceny omawianych wydarzeń. Czasami nasze debaty ciągnęły się do późnych godzin nocnych, a rozmowę umilało nam gruzińskie wino. Muszę więc wspomnieć w tym miejscu Carla Bildta, Matta Bryzę, Dana Frieda, Alexa Rondosa, Petera Semneby'ego, Johna Teffta oraz Damona Wilsona.

Oczywiście, to autorzy otrzymują pochwały – i są krytykowani – za to, co zawarli w swoich pracach. Jednak samo napisanie książki wymaga ogromnego nakładu pracy oraz wsparcia innych osób. Moja asystentka Iveta Kruma wykonała znakomitą pracę, pomagając mi zorganizować zadania, ustalając mnóstwo szczegółów i faktów oraz sprawdzając wstępne wersje tekstu, jak również tłu-

macząc rosyjskojęzyczne źródła. Jej wkład w ten projekt jest nie do przecenienia. Chciałbym również podziękować mojej zastępcy w Brukseli, dr Corinnie Horst, która przejęła ode mnie część zajęć w Brukseli, dzięki czemu mogłem skoncentrować się na zakończeniu pracy nad niniejszą książką w uzgodnionym terminie.

Mój agent, Andrew Stuart, wykazał się prawdziwym profesjonalizmem, pomagając mi przez cały czas pisanie tej książki. Jake Kilisvitch oraz cały zespół wydawniczy Palgrave MacMillan działali z rzadko spotykaną sprawnością i było dla mnie prawdziwą przyjemnością móc z nimi pracować. Mój przyjaciel Dietmar Mueller-Elmau był na tyle uprzejmy, że udostępnił mi cichy i wygodny zamek Elmau w Bawarii, gdzie mogłem dokonać końcowych poprawek w tekście.

Napisałem tę książkę, walcząc z nawrotem raka. Decyzja, by tak właśnie uczynić, wynikała ze wsparcia, jakie otrzymałem od moich lekarzy, którzy zachęcali mnie, bym nadal, mimo trwającej terapii, realizował swoje pasje i marzenia. Chciałbym więc bardzo podziękować profesorowi Michaelowi Keatingowi z Wydziału Leukemii w M.D. Anderson Cancer Center w Houston oraz doktorowi Ericowi van den Neste z Centre d'Hematologie w Cliniques Universitaires Saint-Luc w Brukseli. Profesor Keating jest przewodniczącym transatlantyckiego forum lekarzy próbujących znaleźć lek na tę odmianę raka. Nie mogę przecenić znaczenia jego wizji, inspiracji oraz niewzruszonej przyjaźni.

W ostatnich słowach tej książki chciałbym z głębi serca podziękować mojej żonie Barbarze i synowi Erikowi za ich wsparcie, cierpliwość oraz poczucie humoru na

przestrzeni ostatniego roku. Dzięki nim to, co z początku zdawało się szalonym pomysłem, okazało się prawdziwym i, co ważniejsze, doprowadzonym do pomyślnego końca projektem. Raz jeszcze wytrzymali szereg podróży w odległe rejony świata, wizyty gruzińskich przyjaciół w naszym domu oraz długie, trwające nieraz do białego świtu rozmowy z najprzeróżniejszymi gośćmi, z którymi wspólnie staraliśmy się poszerzyć granice wolności w tym, małym, ale jakże pięknym kraju położonym nad wschodnim brzegiem Morza Czarnego. Im właśnie pragnąłbym zadedykować tę książkę.

*Elmau, Niemcy  
sierpień 2009*

# Przypisy

<sup>1</sup> W rzeczywistości Groucho Marx miał powiedzieć: „Nie chcę należeć do klubu, który chciałby mieć mnie za członka” – przyp. tłum.

<sup>2</sup> Książka ta doczekała się również swojej polskiej edycji: Ronald D. Asmus, *NATO. Otwarcie drzwi*, Muza, Warszawa 2002 – przyp. tłum.

<sup>3</sup> W oryginale *surge* – nazwa strategii wojskowej opracowanej dla wojsk amerykańskich w Iraku celem ustabilizowania sytuacji w tym kraju – przyp. tłum.

<sup>4</sup> W trakcie wyborów w Stanach Zjednoczonych obie główne partie, republikańska i demokratyczna, tradycyjnie organizują na kilka miesięcy przed wyborami spektakularne konwencje, mające zaprezentować ich kandydata na urząd prezydencki – przyp. tłum.

<sup>5</sup> Chodzi o *Paryską kartę nowej Europy*, podpisaną 21 listopada 1990 roku w Paryżu na szczycie państw Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Ze strony polskiej jej sygnatariuszem był premier Tadeusz Mazowiecki – przyp. tłum.

<sup>6</sup> Gra słów: w oryginale chodzi o „wilder and not wider Europe” – przyp. tłum.

<sup>7</sup> Właściwie Cicely Isabel Fairfield (1892–1983), znana pisarka szkocko-irlandzkiego pochodzenia – przyp. tłum.

<sup>8</sup> Na temat przechwyconych przez Gruzinów ski wywiad informacji zob. Christopher John Chivers, *Georgia Offers Fresh Evidence on War's Start* (Dan Bilefsky, Christopher J. Chivers, Thom Shanker,

and Michael Schwirtz), „New York Times”, 16 września 2008. Zapisy rozmów są dostępne na stronie: [http://graphics8.nytimes.com/packages/pdf/world/2008/09/20080916\\_Georgia\\_Transcript.pdf](http://graphics8.nytimes.com/packages/pdf/world/2008/09/20080916_Georgia_Transcript.pdf)

<sup>9</sup> W armii rosyjskiej pułk składa się z trzech batalionów, a także oddziałów artylerii, wywiadu i logistycznego. Czasami bywa dodatkowo wspomagany przez batalion czołgów. W sumie w jego skład wchodzi więc około 550 żołnierzy.

<sup>10</sup> Rozmowy te odbyły się odpowiednio o 3:43 i 3:47 w nocy. Autorowi udostępniono kopie ich zapisów. Pierwsza rozmowa toczyła się między głównodowodzącym rosyjskich sił pokojowych majorem generałem Maratem Kułachmetowem i jego gruzińskim podwładnym, generałem brygady Mamuką Kuraszwilim. W drugiej z Kułachmetowem rozmawiał zastępca Kuraszwilego, Mamuka Tomaszwili.

<sup>11</sup> Materiały zawierały jedną tylko stronę podstawowych informacji na temat gruzińskich sił wojskowych – ile było w nich żołnierzy, jaka było wielkość budżetu obronnego oraz jak wyglądało rozmieszczenie pięciu gruzińskich brygad (z uwzględnieniem rodzaju uzbrojenia, jakim dysponowały). Podawano w nich również dane dotyczące domniemyanych mocnych i słabych stron gruzińskich sił wojskowych. Do stron „mocnych” zaliczono fakt, że wielu z żołnierzy przeszło szkolenia z NATO-wskimi instruktorami, było wyposażonych w nowoczesną broń ze Stanów Zjednoczonych, Francji i Turcji, a także to, że 2. i 3. brygada miały doświadczenie bojowe z NATO zdobyte w ramach działań w Iraku i Kosowie. „Słabymi” stronami miały być natomiast: niski poziom dyscypliny, różnice w poziomie wyszkolenia żołnierzy, ich kondycja psychiczna, a także skłonność do nadużywania alkoholu oraz zawierania niekonwencjonalnych związków. W dokumencie sugerowano nawet, że wielu żołnierzy wolało odbywać swoją służbę w Iraku w związku z dodatkowymi pieniędzmi, z którymi się to wiązało, zamiast realizować w praktyce „agresywne plany wojskowe Saakaszwilego i jego popleczników”.

<sup>12</sup> Następujące oddziały rosyjskie miały zostać rozmieszczone w północnej części tunelu: 135. i 693. pułk 19. dywizji 58. armii; 104. i 234. pułk 76. dywizji lotnictwa; 217. pułk 96. dywizji lotnictwa oraz 31. Specjalny Pułk Lotnictwa.

<sup>13</sup> Cyt. za: Andrey Illarionov, *The Russian Leadership's Preparation for War 1999–2008*, [w:] Svante E. Cornell & S. Frederick Starr (red.), *The Guns of August 2008: Russia's War in Georgia*, M.E. Sharpe, New York and London 2009, s. 49-84. Illarionov jest byłym doradcą ekonomicznym Kremla, który z czasem stał się członkiem opozycji wobec obecnych władz rosyjskich i na własną rękę próbował przeprowadzić w regionie misję wyjaśniającą okoliczności, w których doszło do wybuchu wojny.

<sup>14</sup> Zob. artykuł Julii Łatyniny, w którym opisuje, jak części 135. i 693. Zmotoryzowanego Pułku Strzelców zostały rozmieszczone w Osetii Południowej przed 7 sierpnia: Julija Łatynina, *200 km tankow. O rossijsko-gruzińskiej wojnie. Czast' 2*, 20 listopada 2008 [online]. Dostępny na stronie: <http://ej.ru/?a=note&id=8587>. Zob. także tekst Andrieja Illarionowa: *Another Look at the August War*, zaprezentowany w Hudson Institute (Center for Eurasian Policy) w Waszyngtonie 12 września 2008 roku, dostępny na stronie: <http://www.hudson.org/files/documents/Andrej%20Illarionov%20speech.pdf>; jak również wywiad z nim opublikowany w piśmie „Echo Moskwy” 24 października 2008, dostępny na stronie: <http://www.echo.msk.ru/programs/razvorot/548457-echo/>

<sup>15</sup> Aktywizacja tzw. ochotników była centralnie zaplanowaną inicjatywą, zrealizowaną przez regionalne i powiatowe komisariaty położone na północnym Kaukazie. Większość z „ochotników” została przypisana do 19. dywizji piechoty 58. armii lub do batalionu północnoosetyjskiego. Reszta podpisywała kontrakty bezpośrednio z osetyjskim ministerstwem obrony. To ostatnie działanie było więc nielegalne.

<sup>16</sup> W oryginalnym tekście powoływano się na kapitana rosyjskiej armii, Denisa Sidrystyja, który opisywał, że jego oddział stacjonował w południowej Osetii w pobliżu parku przyrodniczego, a następnie, 7 sierpnia, otrzymał rozkaz udania się do Cchinwali. Kapitan Sidrystyj został poważnie ranny w trakcie walk w mieście i najprawdopodobniej znajdował się w kolumnie rosyjskich wojsk, na które natknęły się oddziały gruzińskie, wkraczając do miasta 8 sierpnia. 135. pułk 58. armii nie wchodził w skład wojsk mają-

cych prawo zgodnie z obowiązującymi umowami znajdować się w Osetii Południowej w ramach stacjonujących tam sił pokojowych. Zob. artykuł Iriny Żyrnowej: *Žyžn prodolžajetsia*, „Krasnaja Zwiezda”, 3 września 2008.

<sup>17</sup> Na podstawie wywiadu z Gelą Bezuaszwilim, szefem gruzińskiego Departamentu Wywiadu Zagranicznego. O tych faktach mówił również, zeznając przed Tymczasową Komisją ds. Agresji Zbrojnej oraz Innych Działań Rosji Przeciwko Terytorialnej Integralności Gruzji. Zeznania dostępne na stronie: [http://www.parliament.ge/index.php?lang\\_id=ENG&sec\\_id=1329&info\\_id=20940](http://www.parliament.ge/index.php?lang_id=ENG&sec_id=1329&info_id=20940)

<sup>18</sup> Gleb Pawłowski, gospodarz programu moskiewskiej telewizji *Realna Polityka* oraz zatwardziały zwolennik prowadzonej przez Kreml polityki, sugerował w lutym 2006 roku, że gruziński prezydent był „wojennym podżegaczem”. Z jego wypowiedzi wynikało również, że najlepszym rozwiązaniem sytuacji byłoby usunięcie go. „Jedna kula kosztuje znacznie mniej niż wojna” – powiedział w transmitowanym w ogólnokrajowej telewizji programie 18 lutego 2006 roku.

<sup>19</sup> Zapisy przechwyconych rozmów zostały udostępnione autorowi.

<sup>20</sup> W wywiadzie udzielonym później rosyjskiej prasie, sekretarz Rady Bezpieczeństwa Narodowego Osetii Południowej, Anatolij Barankiewicz (z pochodzenia Rosjanin) opisał swoje przybycie do biura prezydenta Kokojty'ego podczas bitwy o Cchinwali i znalezienie w nim telefonu posiadającego specjalne bezpośrednie połączenie z Kremlem. Wydarzyło się to w momencie, gdy Kokojty opuścił już swoje biuro. Zob. *Nie miasto etomu priezidentu w Južnoj Osetii*, „Kommiersant”, 4 grudnia 2008 [online]. Dostępny na stronie: <http://www.kommersant.ru/doc.aspx?DocsID=1089120>

<sup>21</sup> Zob. noty prasowe opublikowane przez Ministerstwo Prasy i Mass Mediów Osetii Południowej oraz Agencję Informacyjną RES 7 sierpnia 2008, dostępne na stronie: <http://cominf.org/node/1166477896>

<sup>22</sup> Said Tsarnajew, czeczeński niezależny fotograf współpracujący z Reutersem, przybył do Cchinwali 7 sierpnia z zamiarem robienia zdjęć pejzaży i miasta (była to część większego projektu, nad

którym właśnie pracował). Jak później wspominał, „odkryliśmy, że w hotelu było już 49 rosyjskich dziennikarzy. Razem z nami, było tam więc w sumie mniej więcej 50 osób. Byłem jedynym przedstawicielem zagranicznej agencji informacyjnej. Wszyscy pozostali byli przedstawicielami rosyjskich mediów i przybyli na miejsce trzy dni przed nami, zupełnie, jak gdyby wiedzieli, że coś miało się wydarzyć”. Cyt. za: Brian Whitmore, *Scene at Russia-Georgia Border Hinted at Scripted Affair*, Radio Free Europe/Radio Liberty, 23 sierpnia 2008.

<sup>23</sup> Pierwsze przypuszczenia na temat tego, że Rosjanie rozmieścili prawdopodobnie batalion swoich wojsk poprzedniego wieczora, uwiarygodniło telewizyjne wystąpienie przywódcy abchaskich separatystów, Siergieja Bagapsza, który potwierdził wkroczenie oddziałów rosyjskich z Kaukazu Północnego do Osetii Południowej. Jego wypowiedź nadała później państwowa rozgłośnia radiowa o 16:00 7 sierpnia. Według BBC Monitoring Bagapsz powiedział: „Rozmawiałem z prezydentem Osetii Południowej. [Sytuacja] jest teraz mniej stabilna. Batalion wojsk ze zmilitaryzowanego obszaru na północnym Kaukazie wszedł na terytorium [Osetii Południowej – przyp. tłum.]”. Zob. *Abkhaz Leader Says Russian Troops Deployed in South Ossetia*, BBC Mon Alert FS1 Fsu-Pol gv, 9 sierpnia 2008.

<sup>24</sup> Zob. artykuł pułkownika Roberta Hamiltona w *The Bear Came Through the Tunnel: An Analysis of Georgian Planning and Operations in the Russo-Georgian War* (niepublikowany manuskrypt). Pułkownik Hamilton był szefem Biura Współpracy ds. Obrony od lipca 2006 do 2008 roku. Obecnie pracuje jako analityk ds. armii USA w CSIS (Center for Strategic and International Studies) w Waszyngtonie.

<sup>25</sup> Populacja Cchinwali oficjalnie wynosiła 30 tysięcy mieszkańców. Liczba ta pochodziła jednak jeszcze z czasów Związku Radzieckiego. Według niektórych źródeł na początku sierpnia 2008 w mieście mieszkało mniej więcej 15 tysięcy osób. Szacunkowe dane mówiące o tym, że po ataku w stolicy pozostało ok. 3–4 tysięcy mieszkańców, zostały udostępnione przez lokalne władze Osetii Południowej.

<sup>26</sup> Na podstawie wywiadu z ministrem Temurem Jakobaszwilim. Ówczesny szef połączonych sztabów gruzińskich sił zbrojnych, generał brygady Zaza Gogawa, potwierdzał odbycie takiej rozmowy telefonicznej z prezydentem Saakaszwilim w swoich zeznaniach przed specjalną komisją badającą przyczyny wybuchu wojny. Zob. zapis jego zeznań dostępny na stronie: [http://www.parliament.ge/index.php?lang\\_id=ENG&sec\\_id=1315&infoJd=21045](http://www.parliament.ge/index.php?lang_id=ENG&sec_id=1315&infoJd=21045)

<sup>27</sup> Wspomniany wewnętrzny raport wywiadowczy został udostępniony autorowi. Zawiera on wiadomość mailową, która dotarła do Rady Bezpieczeństwa Narodowego o godzinie 1:44 w nocy i która natychmiast została przekazana prezydentowi. Poza doniesieniami o obecności wojsk rosyjskich w Cchinwali zawierała również drugą istotną informację. Mówiła mianowicie o powołaniu od 1 sierpnia w stan najwyższej gotowości 12. Dywizji Wołgogradzkiego Zmotoryzowanego Pułku Strzelców. Donoszono, że miał on być gotów na przybycie do Osetii Południowej w terminie do 11 sierpnia. To tylko kilka przykładów informacji wywiadowczych, na podstawie których politycy w Tbilisi doszli do wniosku, że działania Rosjan stanowiły elementy szerzej zakrojonej operacji wojskowej. Również Julija Łatynina stoi na stanowisku, że jej rozpoczęcie planowano kilka dni później. Zob. Julija Łatynina, dz. cyt.

<sup>28</sup> Amerykańska sekretarz stanu Condoleezza Rice użyła tego terminu, chcąc opisać dokonywaną przez Rosjan inwazję, podczas przemówienia na temat relacji amerykańsko-rosyjskich w Mayflower Hotel w Waszyngtonie na konferencji zorganizowanej przez German Marshall Fund of the United States 18 września 2008. Dostępne na stronie: <http://2001-2009.state.gov/secretary/rm/2008/09/109954.htm>. W swoich zeznaniach przed Izbą Reprezentantów asystent sekretarz stanu Dan Fried powiedział natomiast, że „u źródeł tego konfliktu – a w szczególności napięcie pomiędzy Gruzją oraz Abchazją i Osetią Południową – leżą skomplikowane czynniki. Wszystkie strony pomyliły się w swoich przewidywaniach”. Cała treść zeznań Frieda przed Komisją ds. Zagranicznych z 9 września 2008 dostępna na stronie: <http://foreignaffairs.house.gov/110/fri090908.pdf>

<sup>29</sup> Doskonałą ilustracją tego, jak Rosjanie i Południowoosetyjczycy interpretowali przyczyny wybuchu wojny jest broszura „Operation «Tsminda Veli»: Genocide of Ossetians”. Została ona udostępniona autorowi przez rosyjskiego przedstawiciela przy UE w Brukseli. Oficjalnie została jednak wydana przez Niezależny Związek Dziennikarzy Kaukazu Wspierających Ofiary Ludobójstwa.

<sup>30</sup> Pierwszą próbę zniszczenia mostu Gupta podjął niewielki oddział gruzińskiej floty powietrznej 8 sierpnia. Następnie przeprowadzono drugi atak przy użyciu pocisków PION (kaliber 203 mm). Wreszcie, w trzecim ataku użyto zbudowane w Izraelu GRADLAR-y wykorzystujące amunicję kasetową. Wtedy też doszło do starcia z oddziałami rosyjskimi.

<sup>31</sup> Stolica prowincji Szida Kartli we wschodniej Gruzji – przyp. tłum.

<sup>32</sup> O zabicie 2 tysięcy mieszkańców Cchinwali Gruzinów jako pierwszy oskarżył prezydent Osetii Południowej, Eduard Kokojty, stwierdzając 9 sierpnia: „Zwracamy się do organizacji międzynarodowych, aby zauważyły mające tu miejsce ludobójstwo. Tak wielkie straty są niemożliwe do przecenienia, w przypadku tak niewielkiego narodu, jak Południowoosetyjczycy”. Zarzut został następnie powtórzony 10 sierpnia w oficjalnych doniesieniach południowoosetyjskiej agencji informacyjnej „RES” – dostępne na stronie: <http://cominf.org/en/node/1166477989>. 9 sierpnia rosyjski ambasador w Gruzji Wiaczesław Kowalenko również wspominał, że „w Cchinwali zginęło minimum 2 tysiące cywilów”. Zob. choćby informacje na stronie: [http://www.russiatoday.com/Top\\_News/2008-08-09/The\\_Georgian\\_war\\_minute\\_by\\_minute\\_August\\_9.html](http://www.russiatoday.com/Top_News/2008-08-09/The_Georgian_war_minute_by_minute_August_9.html)

<sup>33</sup> W wywiadach przeprowadzonych później przez Human Rights Watch mieszkańcy Osetii Południowej usprawiedliwiali podpalanie i łupienie gruzińskich wiosek aktem zemsty za tysiące ofiar po stronie Osetyjczyków, które miały zginąć w wojnie zgodnie z doniesieniami rosyjskich mediów.

<sup>34</sup> Dane komisji śledczej rosyjskiej Prokuratury Generalnej zob. *Ustanowleny licznosti 162 pogibszych žytielej Jużnoj Osietii*, RIA Nowosti, 23 grudnia 2008, dostępne na stronie: <http://www>.

rian.ru/society/20081223/157895855.html. Dane zebrane przez „Memoriał” zob. *Special Press Release by Memorial Human Rights Centre*, 11 września 2008, dostępne na stronie: <http://www.memo.ru/2008/09/19/1909082.htm>. Dane południowoosetyjskiej komisji badającej sprawę zbrodni wojennych zob. *Spisok pogibszich žytielej Južnoj Osietii* na stronie: <http://www.osetinfo.ru/spisok>

<sup>35</sup> Wypowiedź dostępna na stronie: <http://www.sweden.gov.se/sb/d/587/a/109203>

<sup>36</sup> Informacje te zostały potwierdzone na południowej konferencji prasowej misji OBWE zorganizowanej 8 sierpnia. Kilka osób naciskało na rzecznika OBWE Ryana Gista, aby zatelefonował do przedstawiciela rosyjskich sił pokojowych i sprawdził, czy jacykolwiek żołnierze wchodzący w skład ich oddziałów faktycznie zostali zabici. Próbowano w ten sposób zweryfikować gruzińskie zapewnienia o unikaniu ostrzału rosyjskich sił pokojowych. Rzecznik strony rosyjskiej potwierdził, że nie było żadnych ofiar.

<sup>37</sup> Z prywatnej korespondencji autora z generałem brygady Kuraszwilim.

<sup>38</sup> Telefon ten został wykonany 23 minuty po północy, 8 sierpnia. Autorowi udostępniono jego zapis.

<sup>39</sup> Zob. wpis na blogu Aleksandra Wiktorowa: <http://kgrr.livejournal.com/23331.html>

<sup>40</sup> Zob. nekrolog porucznika Olega Galawanowa: „7 sierpnia porucznik O. Galawanow wypełniał rozkaz określenia celów oraz ew. zmiany ognia artyleryjskiego. Jego stanowisko obserwacyjne znajdowało się na dachu budynku batalionu rosyjskich sił pokojowych na południowych obrzeżach miasta. W owej chwili, tj. w nocy z 7 na 8 sierpnia, było to najniebezpieczniejsze miejsce na całym mieście, ponieważ armia gruzińska próbowała zniszczyć przebywające tam siły pokojowe”. Dostępny na stronie: <http://www.osradio.ru/news/genocid/eid/14326.html>

<sup>41</sup> W wywiadzie zatytułowanym *Nie miasto etomu priezidientu w Južnoj Osietii*, opublikowanym w „Kommiersancie” 4 grudnia 2007 [online], Anatolij Barankiewicz opisywał, jak znalazł się w kwaterze głównej sił pokojowych, a następnie, używając jej jako schronienia, przygotował stanowiska obronne w budynkach cy-

wilnych, aby można z nich było przeprowadzić atak na oddziały gruzińskie. Opowiadał również o tym, jak wraz ze swoimi ludźmi wysadzili w powietrze co najmniej trzy gruzińskie czołgi, które przejeżdżały w pobliżu, nie dokonując ostrzału jego oddziału ani kwatery głównej rosyjskich sił pokojowych. Dostępny na stronie: <http://www.kommersant.ru/doc.aspx?DocsID=1089120>

<sup>42</sup> Zob. Christopher J. Chivers and Ellen Barry, *Accounts Undercut Claims by Georgia on Russia War*, „New York Times”, 7 listopada 2008.

<sup>43</sup> Gruzja posiada sieć ośrodków monitoringu sejsmicznego, w tym jedno w wiosce Kechwi, położonej nieopodal północnej granicy gruzińskiej enklawy, mniej więcej 7 kilometrów od Cchinwali. Łączność z satelitami została przez Rosjan odcięta około północy 7 sierpnia. Jest to jeszcze jedna z poszlak wskazujących na to, że atak Moskwy przygotowano znacznie wcześniej i dokładnie skoordynowano. Mimo to zebrane dane zostały przechowane i udało się poddać je analizie. Zapis nagrania sejsmicznego potwierdził, że gruzińskie wioski w pobliżu Kechwi były mocno ostrzeliwane 7 sierpnia, również w kluczowym kilkugodzinnym okresie, gdy strona gruzińska ogłosiła zawieszenie broni. Ostrzał stał się jeszcze bardziej intensywny w godzinach wieczornych oraz tuż przed 23:35, gdy rozpoczęła się ofensywa oddziałów gruzińskich. Dokładniejsza analiza danych pozwoli ustalić jakiego dokładnie rodzaju artylerii używano do ostrzału gruzińskich wiosek. Autor posiada list z 25 kwietnia 2009 roku od dr. Zuraba Dżawachiszwilego, dyrektora Gruzjińskiego Ośrodka Pomiarów Sejsmicznych, który potwierdza prawdziwość powyższych stwierdzeń.

<sup>44</sup> Zob. zeznania gruzińskiego ministra obrony Dawida Kezeraszwilego przed parlamentarną komisją badającą przyczyny wojny, dostępne na stronie: [http://www.parliament.ge/index.php?lang\\_id=ENG&sec\\_id=1315 &info\\_id=21693](http://www.parliament.ge/index.php?lang_id=ENG&sec_id=1315 &info_id=21693)

<sup>45</sup> Wystrzeliwuje amunicję seriami, w postaci „kiści” (stąd oryginalna nazwa anglojęzyczna: *cluster munition*). Wiele małych ładunków nie wybucha od razu, lecz leży na ziemi i eksploduje później, gdy zostają poruszone – przyp. tłum.

<sup>46</sup> Rodzaj działa artyleryjskiego – przyp. tłum.

<sup>47</sup> W połowie października Human Rights Watch opublikowała raport na temat używania broni kasetowej przez Rosjan i Gruzinów. Choć Moskwa stanowczo zaprzeczała, HRW udało się zgromadzić miażdzące dowody wskazujące wyraźnie, że siły rosyjskie faktycznie z niej korzystały, w tym w gęsto zamieszkanym obszarach, co stanowiło oczywiste pogwałcenie prawa międzynarodowego. W raporcie ustalono również, że Gruzini wykorzystywali broń kasetową w gęsto zaludnionych, przylegających do Cchinwali obszarach, takich jak „Wierchnij Gorodok”. Jednocześnie stwierdzano jednak, że nie było jasne, czy użycie w tych miejscach przez Gruzinów broni kasetowej było intencjonalnym działaniem, czy też większość pocisków była niesprawna (znaleziono wiele niewypałów). Strona gruzińska aktywnie współpracowała z HRW przy przygotowywaniu raportu. Rosjanie odmówili współpracy. Zob. *Georgia: More Cluster Bomb Damage Than Reported*, Human Rights Watch, 4 listopad 2008.

<sup>48</sup> Zdjęcia satelitarne są dostępne w internecie na stronie: [http://unosat.web.cern.ch/unosat/asp/prod\\_free.asp?id=101&All=on](http://unosat.web.cern.ch/unosat/asp/prod_free.asp?id=101&All=on)

<sup>49</sup> Około 130 tysięcy Gruzinów opuściło swoje wioski w ciągu wojny. Większość z nich zamieszkiwała tereny graniczące z Osetią Południową i po zakończeniu konfliktu mogła powrócić do swoich domów. Około 25 tysięcy Gruzinów z południowej Osetii nie mogło jednak tego zrobić. Czystki etniczne, łupieże oraz podpalania wiosek zostały udokumentowane przez Human Rights Watch. 12 sierpnia na przykład przedstawiciele HRW sami byli świadkami zniszczeń, których dokonywano w gruzińskich wioskach. Udało im się sfotografować dymiące zgłiszcza spalonych wiosek w regionie Tamaraszeni. Przeprowadzono wywiady z mieszkańcami tych regionów, którzy to potwierdzili, jak również z członkami osetyjskich bojówek, którzy otwarcie przyznawali się do podpalania gruzińskich wiosek w celu wypędzenia ich mieszkańców ze wspomnianych terenów. Jak powiedziała potem Rachel Denber, wicedyrektor oddziału HRW zajmującego się Europą i Azją Środkową, „wszystkie te elementy tworzą jasny i przekonujący obraz zbrodni wojennych i przykładów łamania praw człowieka. Powinny one przekonać rosyjski rząd, że musi podjąć próbę pociągnięcia do odpowiedzialności tych, którzy są za te wydarzenia odpowie-

dzialni”. Dostępne publicznie zdjęcia UNOSAT-u pokazują, jak palono gruzińskie wioski również na długo po zakończeniu konfliktu – 10,12,13,17,19 i 22 sierpnia. Zob. *Georgia: Satellite Images Show Destruction, Ethnic Attacks* – dostępne na stronie: <http://www.hrw.org/en/news/2008/08/27/georgia-satellite-images-show-destruction-ethnic-attacks>

<sup>50</sup> Zob. Richard C. Holbrooke, *David and Goliath: Putin Tries to Depose a Neighbor*, „Washington Post”, 27 listopada 2007.

<sup>51</sup> Zob. np. Alex Rondos, *What Side Are We On?*, „International Herald Tribune”, 8 maja 2008.

<sup>52</sup> Ronald D. Asmus, *A War the West Must Stop*, „Washington Post”, 15 lipca 2008.

<sup>53</sup> Do znakomitych szkiców osobowości Saakaszwilego należą: Melik Kaylan, *Georgia in the Time of Misha*, „Travel + Leisure”, wrzesień 2007; Gideon Rachman, *Lunch with the FT: Mikheil Saakashvili*, „Financial Times”, 26 kwietnia 2008 [online]. Dostępny na stronie: <http://blogs.ft.com/rachmanblog/2008/04/lunch-with-the-ft-mikheil-saakashvili>. Sam Saakaszwili opisał swoje życie oraz poglądy w wywiadzie-rzece, który przeprowadził z nim Raphaël Glucksmann, zob. *Je vous parle de liberte*, Hachette Littératures, Paris 2008.

<sup>54</sup> Więcej na temat kwestii zasobów energetycznych, możliwości stania się faktycznie niepodległymi państwami przez kraje takie jak Gruzja oraz przyczyn wojny zob. Svante Cornell, *Pipeline Power: The War in Georgia and the Future of the Caucasian Energy Corridor*, „Georgetown Journal of International Affairs” zima 2009, Vol. 10, No. 1, s. 131-139.

<sup>55</sup> Dwa doskonale źródła opisujące rolę, jaką odegrała Gruzja przy upadku Związku Radzieckiego to Jacka F. Matlocka Jr. *Autopsy on an Empire: The American Ambassador's Account of the Collapse of the Soviet Union*, Random House, New York 1995 oraz Charlesa Kinga, *The Ghosts of Freedom: A History of the Caucasus*, Oxford University Press, Oxford, New York 2008.

<sup>56</sup> Wspomina Ascherson: „Muzeum Narodowe nie zostało spalone, ale splądrowano je i zdewastowano. (...) Żołnierze dopuszczają się tego typu czynów we wszystkich okupowanych miastach. Jednak przypadek archiwów państwowych był inny. Budy-

nek położony był na samym skraju morza. Jego dach zapadł się, a środek zamienił się w stertę gruzów. Zimowego dnia 1992 roku biała, nieoznakowana łada z czterema mężczyznami z Gruzińskiej Gwardii Narodowej w środku podjechała do budynku. Otworzyli ogień i wrzucili granaty do wnętrza gmachu. Mały chłopiec, jedno z wielu bezdomnych dzieci mieszkających na ulicach, został zmuszony do pomagania w rozprzestrzenianiu pożaru, podczas gdy grupa obywateli Suchumi desperacko próbowała przebić się przez kordon i ocalić chociaż niektóre książki i dokumenty. W archiwum znajdowały się najrzadsze i najcenniejsze dokumenty piśmienne z historii Abchazji, a także stosunkowo świeżej daty dokumenty rządowe i administracyjne. (...) Jak stwierdzono później w przygotowanym w Atenach raporcie, «historia regionu została obrócona w pył». Powyższy fragment pochodzi z nowej, zmienionej wersji książki Aschersona, zawierającej osobny rozdział poświęcony Abchazji – *Black Sea: The Birthplace of Civilisation and Barbarism*, Vintage Books, London 2007, s. 253-254.

<sup>57</sup> Dobre podsumowanie rozwoju ekonomicznego Gruzji w tym okresie można znaleźć choćby w artykule byłego premiera Lado Gurgienidze'a: *Georgia's Search for Economic Liberty: A Blueprint for Reform in Developing Economies*, „American Enterprise Institute” czerwiec 2009, No. 2.

<sup>58</sup> W całości ten fragment brzmi tak: „Każde państwo ma prawo do równego bezpieczeństwa. Potwierdzamy prawo każdego państwa członkowskiego do swobodnego wyboru lub zmiany swojej polityki bezpieczeństwa, w tym zawierania porozumień i sojuszy. Każde państwo posiada również prawo do neutralności. Każde państwo członkowskie uszanuje prawa wszystkich pozostałych państw w tym wymiarze i nie będzie wzmacniało własnego bezpieczeństwa ich kosztem. W ramach OBWE żadne państwo, grupa państw ani organizacja nie może rościć sobie prawa do rozstrzygania kwestii dotyczących pokoju i stabilności wśród państw OBWE ani nie może uznawać jakiegokolwiek części OBWE za swoją sferę wpływów”. Zob. *Kartę bezpieczeństwa europejskiego* podpisaną na szczycie OBWE w Stambule w listopadzie 1999 roku dostępną na stronie: <http://www.osce.org/documents/mcs/1999/11/4050en.pdf>

<sup>59</sup> Wystąpienie Lorda Robertsona w podrzymskiej bazie powietrznej Pratica di Mare dostępne na stronie: <http://www.nato.int/docu/speech/2002/s020528r.htm>. Wystąpienie Putina na konferencji prasowej dostępne na stronie: <http://www.nato-russia-council.info/HTM/EN/documents28may025.shtml>. Wystąpienie Busha zaś dostępne na stronie: <http://www.nato-russia-council.info/HTM/EN/documents28may026.shtml>

<sup>60</sup> Zob. Władimir Putin, *Annual Address to the Federal Assembly of the Russian Federation*, kwiecień 2005, dostępne na stronie: [http://archive.kremlin.ru/eng/speeches/2005/04/25/2031\\_type-70029type82912\\_87086.shtml](http://archive.kremlin.ru/eng/speeches/2005/04/25/2031_type-70029type82912_87086.shtml)

<sup>61</sup> Zob. Ivan Krastev, *Russia's Post Orange Empire*, 20 październik 2005, dostępne na stronie: <http://www.opendemocracy.net/node/2947>. Zob. także: Ivan Krastev & Fyodor Lukyanov, *The EU, Russia, and the Wider Black Sea Region*, 16 październik 2007, Black Sea Paper Series, No. 4, dostępne na stronie: <http://www.gmfus.org/>; Ivan Krastev, *The Crisis of the Post-Cold War European Order: What to Do about Russia's Newfound Taste for Confrontation with the West*, marzec 2008, Brussels Forum Papers, dostępne na stronie: [http://www.gmfus.org/brusselsforum/2008/doc/krastev\\_web.pdf](http://www.gmfus.org/brusselsforum/2008/doc/krastev_web.pdf)

<sup>62</sup> Zob. raport Human Rights Watch, *Singled Out: Russia's Detention and Expulsion of Georgians*, październik 2007, dostępny na stronie: <http://www.hrw.org/sites/default/files/reports/russia1007webwcover.pdf>

<sup>63</sup> Na podstawie rozmowy z byłą sekretarz stanu USA Condoleezza Rice.

<sup>64</sup> Zob. Brian Rohan, *Saakashvili „Planned S. Ossetia Invasion”: Ex-minister*, 14 wrzesień 2008, dostępne na stronie: <http://www.alertnet.org/thenews/newsdesk/LD123780.htm>.

<sup>65</sup> Od angielskiego skrótowo MAP – *Membership Action Plan*; chodzi o plan działań, których realizacja miała umożliwić danemu państwu członkostwo w Sojuszu – przyp. tłum.

<sup>66</sup> Kolacja z udziałem Ławrowa i Bezuaszwilego odbyła się w przeddzień spotkania Współpracy Ekonomicznej Państw Morza Czarnego (BSEC) w Stambule, pod koniec czerwca 2007 roku. Artykuł, który stanowił jej wyciek, znajdzie czytelnik tutaj: Wła-

dimir Sołowjew, Władimir Nowikow, *Mieżgosudarstwiennyj pierieworot*, „Kommiersant”, 25 czerwiec 2007, dostępny na stronie: <http://www.kommersant.ru/doc.aspx?DocsID=777492>

<sup>67</sup> Znakomicie historię skomplikowanej i wielowarstwowej polityki, jaką państwa Zachodnie prowadziły w sprawie Kosowa wobec Rosji, ukazuje John Norris w: *Collision Course: NATO, Russia and Kosovo*, Praeger Publishers, Westport 2005. Zob. także relację z pierwszej ręki spisaną przez Strobe'a Talbotta o jego negocjacjach z Moskwą: Strobe Talbott, *The Russia Hand: A Memoir of Presidential Diplomacy*, Random House, New York 2002.

<sup>68</sup> Zob. Oksana Antonenko, *Russia and the Deadlock over Kosovo*, „Survival” jesień 2007, Vol. 49, No. 3, s. 91-106.

<sup>69</sup> Na temat interwencji NATO w Kosowie zob. Ivo H. Daldler & Michael E. O'Hanlon, *Winning Ugly: NATO's War to Save Kosovo*, Brookings Institution Press, Washington D.C. 2000 oraz Wesley K. Clark, *Waging Modern War: Bosnia, Kosovo, and the Future of Combat*, Public Affairs, New York 2002. Więcej informacji na temat samego Kosowa zawiera natomiast książka Tima Judah, *Kosovo: War and Revenge*, Yale Nota Bene, Connecticut 2000.

<sup>70</sup> Doskonałe podsumowanie debaty toczącej się wokół różnic między sprawą Kosowa a kwestią „zamrożonych konfliktów” w Abchazji zob. Zeyno Baran and Thomas de Waal, *Abkhazia-Georgia, Kosovo-Serbia: Parallel Worlds?*, opracowanie wydane przez Open Democracy News Analysis i dostępne pod adresem: [http://www.opendemocracy.net/democracy-caucasus/abkhazia\\_serbia\\_3787.jsp](http://www.opendemocracy.net/democracy-caucasus/abkhazia_serbia_3787.jsp)

<sup>71</sup> Zob. zapis konferencji prasowej Władimira Putina dla rosyjskich i zagranicznych mediów z 31 stycznia 2006 roku dostępny na stronie: [http://archive.kremlin.ru/eng/text/speeches/2006/01/31/0953\\_type82915type82917\\_100901.shtml](http://archive.kremlin.ru/eng/text/speeches/2006/01/31/0953_type82915type82917_100901.shtml)

<sup>72</sup> Zob. *Report of the Special Envoy of the Secretary-General on Kosovo's Future Status*, dostępny na stronie: <http://www.unosek.org/docref/report-english.pdf>. Zob. także analizę planu Ahtisaari: The International Crisis Group, *Kosovo: No Good Alternatives to the Ahtisaari Plan*, Europe Report, No. 182, 14 maja 2007.

<sup>73</sup> Zob. artykuł oraz wspomnienia niemieckiego ambasadora Wolfganga Ischingera i Matthiasa Lüttenberga, *Eine Bruecke zwi-*

*schen Serbien und Kosovo?*, dostępne na stronie: <http://www.security-conference.de/medienberichte/kosovo.php>. Ambasador Ischinger był niemieckim przedstawicielem w tzw. trójce, a Lüttenberg był jego asystentem.

<sup>74</sup> Asmus nawiązuje tutaj do znanego angielskiego powiedzenia: „Beauty is in the eye of the beholder” („Piękno jest w oku patrzącego”) – przyp. tłum.

<sup>75</sup> Zob. Władimir Putin, *Speech at the 43rd Munich Security Conference on Security Policy*, 10 lutego 2007, dostępna na stronie: <http://www.securityconference.de/konferenzen/rede.php?sprache=en&id=179>

<sup>76</sup> Zob. Mike Eckel, *Putin Warns West over Kosovo Dispute*, The Associated Press, 22 luty 2008, dostępny na stronie: <http://www.thefreelibrary.com/Putin+warns+West+over+Kosovo+dispute-a01611463534>

<sup>77</sup> Zob. Marina Pieriewozkina, *Moskwa otwiewit NATO Abchazijej*, „Niezawisimaja Gazieta”, 14 kwietnia 2008, dostępny na stronie: [www.ng.ru/printed/209407](http://www.ng.ru/printed/209407)

<sup>78</sup> Podobieństwa w tym, jak Rosjanie myśleli oraz jaką stosowali retorykę w sprawach wojen w Gruzji i w Kosowie zostały natychmiast dostrzeżone przez Strobe’a Talbotta, który w czasach administracji Clintona był odpowiedzialny za rozmowy ze stroną rosyjską w trakcie konfliktu kosowskiego. Zob. Strobe Talbott, *Russia’s Ominous New Doctrine?*, „Washington Post”, 15 sierpnia 2008.

<sup>79</sup> Warszawskie przemówienie prezydenta Busha z czerwca 2001 roku na temat poszerzenia NATO dostępne jest na stronie: <http://edition.cnn.com/2001/ALLPOLITICS/06/15/bush.warsaw.trans/index.html>

<sup>80</sup> Argumenty popierające taką tezę czytelnik może znaleźć w: Ronald D. Asmus & Bruce R Jackson, *The Black Sea and the Frontiers of Freedom*, „Policy Review”, czerwiec–lipiec 2004, nr 125; Ronald D. Asmus, Konstantin Dimitrov & Joerg Forbrig (red.), *A New Euro-Atlantic Strategy for the Black Sea Region*, The German Marshall Fund of the United States, Washington, D.C. 2004 oraz Ronald D. Asmus (red.), *Next Steps in Forging a Euroatlantic Stra-*

*tegy for the Wider Black Sea*, The German Marshall Fund of the United States, Washington, D.C. 2006.

<sup>81</sup> „Zaspokajania” – co jest aluzją do ugodowej polityki brytyjskiego premiera Neville’a Chamberlaina stosowanej wobec hitlerowskich Niemiec pod koniec lat 30. – przyp. tłum.

<sup>82</sup> Rosyjska dziennikarka znana z krytycznych wobec rządu Putina publikacji, w szczególności zaś krytyki prowadzonej przez Rosjan wojny przeciw Czeczenom – przyp. tłum.

<sup>83</sup> To międzynarodowa organizacja humanitarna, niosąca pomoc medyczną ludziom znajdującym się na terenach, gdzie doszło do wybuchu konfliktów zbrojnych, epidemii czy katastrof naturalnych – przyp. tłum.

<sup>84</sup> Zob. przemówienie Merkel podczas corocznej konferencji niemieckich sił zbrojnych z 10 marca 2008 roku, dostępne na stronie: [http://www.bundestkanzlerin.de/nn\\_915660/Content/DE/Archiv16/Rede/2008/03/2008-03-10-rede-merkel-kommandeurtagung.html](http://www.bundestkanzlerin.de/nn_915660/Content/DE/Archiv16/Rede/2008/03/2008-03-10-rede-merkel-kommandeurtagung.html)

<sup>85</sup> Zob. *President Bush Meets with President Saakashvili of Georgia*, Office of the Press Secretary, 19 marca 2008, dostępny na stronie: <http://georgewbush-whitehouse.archives.gov/news/releases/2008/03/20080319-4.html>

<sup>86</sup> Zob. zapis konferencji prasowej prezydentów Busha i Putina ze szczytu w Lublanie, 19 czerwca 2001 roku, dostępny na stronie: <http://www.ljubljana-summit.gov.si/en/index.html>

<sup>87</sup> Chodzi o jedną z najsłynniejszych rewolwerowych potyczek w historii Dzikiego Zachodu. Doszło do niej w miasteczku Tombstone w stanie Arizona w 1881 roku, a jej bohaterem był szeryf Wyatt Earp. Historia ta doczekała się wielu hollywoodzkich ekranizacji – przyp. tłum.

<sup>88</sup> Zob. *President Bush and President Yushchenko of Ukraine Exchange Luncheon Toasts*, Office of the Press Secretary, 1 kwietnia 2008, dostępny na stronie: [http://georgewbush-whitehouse.archives.gov/news/releases/2008/04/images/20080401-4\\_d-0404-1-515h.html](http://georgewbush-whitehouse.archives.gov/news/releases/2008/04/images/20080401-4_d-0404-1-515h.html)

<sup>89</sup> Bush wygłosił te uwagi po swoim spotkaniu z de Hoop Schefferem w Marriott Grand Hotel w Bukareszcie. Zob. *Pre-*

*sident Bush Meets with NATO Secretary General Jaap de Hoop Scheffer*, Office of the Press Secretary, 2 kwietnia 2008, dostępny na stronie: [http://georgewbush-whitehouse.archives.gov/news/releases/2008/04/images/20080402-4\\_d-0727-1-515h.html](http://georgewbush-whitehouse.archives.gov/news/releases/2008/04/images/20080402-4_d-0727-1-515h.html)

<sup>90</sup> Na temat szczytu w Madrycie zob. *Head-to-Head at Madrid?*, [w:] Ronald D. Asmus, *Opening NATO's Door: How the Alliance Remade Itself for a New Era*, Columbia University Press, New York 2002, s. 212-250 (polskie wydanie: Ronald D. Asmus, *NATO. Otwarcie drzewi*, dz. cyt.).

<sup>91</sup> Fragmenty przemówienia Putina w ramach NAC w Bukareszcie (kwiecień 2008) dostępne są na stronie: <http://www.unian.net/eng/news/news-247251.html>

<sup>92</sup> Cyt. za: Helene Cooper, Christopher J. Chivers & Clifford J. Levy, *US Watched as a Squabble Turned into a Showdown*, „New York Times”, 18 sierpnia 2008.

<sup>93</sup> Zob. *Russian Federation Withdraws from Regime of Restrictions Established in 1996 for Abkhazia*, Information and Press Department of the Russian Ministry of Foreign Affairs, 6 marca 2008, dostępny na stronie: [http://www.mid.ru/brp\\_4.nsf/sp/79C58F476CAEC4E8C32574040058934C](http://www.mid.ru/brp_4.nsf/sp/79C58F476CAEC4E8C32574040058934C)

<sup>94</sup> Zob. oficjalny dokument wydany w tej sprawie przez rosyjską Dumę 21 marca 2008 roku na stronie: [www.duma.gov.ru](http://www.duma.gov.ru)

<sup>95</sup> Zob. *On the Reply of President of Russia Vladimir Putin to the Messages of President of Abkhazia Sergey Bagapsh and President of South Ossetia Eduard Kokoity*, Information and Press Department of the Russian Ministry of Foreign Affairs, 3 kwietnia 2008, dostępny na stronie: [http://www.mid.ru/brp\\_4.nsf/e78a48070f128a7b43256999005bcbb3/af03c091ee962106c3257424002c1427](http://www.mid.ru/brp_4.nsf/e78a48070f128a7b43256999005bcbb3/af03c091ee962106c3257424002c1427)

<sup>96</sup> Zob. uwagi Andrieja Iłarionowa: *Another Look at the August War*, dz. cyt.

<sup>97</sup> Tamże.

<sup>98</sup> Zob. *The Russian President's Instructions to the Russian Federation Government with Regard to Abkhazia and South Ossetia*, Information and Press Department of the Russian Ministry of Foreign Affairs, 16 kwietnia 2008, dostępny na stronie: [http://www.mid.ru/brp\\_4.nsf/0/B75734BAC2796EFBC325742D005A6F7C](http://www.mid.ru/brp_4.nsf/0/B75734BAC2796EFBC325742D005A6F7C)

<sup>99</sup> Zob. *Report of UNOMIG on the Situation of 20 April Involving the Downing of Georgian Unmanned Aerial Vehicle over the Zone of Conflict*, 26 maja 2008, dostępny na stronie: [http://www.reliefweb.int/rw/RWFiles2008.nsf/FilesByRWDocUnidFilename/MUMA-7F34PW\\_fullreport.pdf/\\$File/fullreport.pdf](http://www.reliefweb.int/rw/RWFiles2008.nsf/FilesByRWDocUnidFilename/MUMA-7F34PW_fullreport.pdf/$File/fullreport.pdf)

<sup>100</sup> Zob. Andrey Illarionov, *The Russian Leadership's Preparation for War, 1999–2008*, dz. cyt., s. 69.

<sup>101</sup> Miasto w zachodniej Gruzji, położone na Nizinie Kolchidzkiej – przyp. tłum.

<sup>102</sup> Przeprowadzone po wyborach badania wykazały, że kwestie związane z dostępnością pracy oraz zwalczaniem bezrobocia były uznawane za najistotniejsze przez 52% gruzińskich obywateli, podczas gdy sprawy Abchazji i Osetii Południowej jako najważniejsze wskazało 25% respondentów, czyniąc z nich trzeci co do istotności czynnik. Innymi słowy, ćwierć głosujących twierdziła, że odzyskanie wspomnianych terytoriów było z ich punktu widzenia jedną z dwóch najważniejszych kwestii, jakie miały wpływ na to, jak oddawano głosy. Mniej więcej 89% Gruzinów uważało, że „doprowadzenie do postępów w sprawie odzyskiwania tych ziem i ich ponownej integracji ze strukturami państwa było niezmiernie istotne”. Jedynie 44% było jednak zdania, że należało w związku z tym przystąpić do natychmiastowych (tj. w ciągu najbliższych 12 miesięcy) działań.

<sup>103</sup> Ministrowie obrony państw NATO-wskich i Rosji spotkali się 10 maja 2008 roku. Komentarz na temat „przewidywań” rosyjskiego generała znajdzie czytelnik w artykule Johna Vinocura: *Georgia is Focal Point in US-NATO-Russia Tension*, „New York Times”, 5 maja 2009.

<sup>104</sup> Zob. np. *Russian Railroad Troops Enter Abkhazia to Help Rebuild Roads*, RIA Novosti, 31 maja 2007, dostępne na stronie: <http://en.rian.ru/russia/20080531/108953337.html>. Zob. także: *Russia Sends 300 Troops to Abkhazia*, „New York Times”, 1 czerwca 2008.

<sup>105</sup> Zob. *Russia Illegally Deploys New Troops in Abkhazia; Georgia Calls for Immediate Withdrawal, Condemns Reckless Escalation*, serwis informacyjny rządu gruzińskiego, 31 maja 2008, dostępny na stronie: [www.president.gov.ge](http://www.president.gov.ge)

<sup>106</sup> Wywiad przeprowadzony z byłym doradcą sekretarza stanu ds. Europy i Eurazji Danem Friedem 7 stycznia 2009.

<sup>107</sup> Zob. *Remarks by Secretary Rice and Georgian President Saakashvili*, 10 lipca 2008, dostępny na stronie: <http://www.america.gov/st/texttrans-english/2008/July/20080710161637gmnanahcub0.3613092.html>

<sup>108</sup> Zob. Nikołaj Makarow, cyt. za: Interfaks, 30 grudnia 2008, dostępne na stronie: <http://www.interfax.ru/politics/txt.asp?id=54787&sw=%EC%E0%EA%E0%F0%EE%E2&bd=28&bm=12&by=2008&ed=31&em=12&ey=2008&secid=1446&mp=0&p=1>

<sup>109</sup> Autorzy Project Grey Goose konkludują: „Odnosnie możliwości zaangażowania rosyjskiego rządu w ataki internetowe na stronę gruzińskiego rządu w lipcu i sierpniu 2008 roku dostępny materiał dowodowy wskazuje na wysokie prawdopodobieństwo udziału GRU i/lub FSB w planowaniu i kierowaniu całą inicjatywą za pośrednictwem Nashi [antyfaszystowskiego ruchu rosyjskiej młodzieży – przyp. tłum.] oraz dzięki używaniu tzw. *crowdsourcingu*. Miało to ukryć ich zaangażowanie w całą akcję”. Zob. *Project Grey Goose Phase II Report: The Evolving State of Cyber Warfare*, 20 marca 2009. Prawne implikacje tych ataków dla NATO zostały przeanalizowane w: *Cyber Attacks against Georgia: Legal Lessons Identified*, Cooperative Cyber Defense Center of Excellence (CCDCOE), Tallin, Estonia, listopad 2008.

<sup>110</sup> Szczegóły dotyczące zaangażowania Izraelczyków czytelnik znajdzie w: Barak Ravid & Amos Harel, *Russia Declares Itself Ready to Make Peace with Georgia*, „Haaretz”, 11 sierpnia 2008, dostępny na stronie: [www.haaretz.com/hasen/spages/1009946.html](http://www.haaretz.com/hasen/spages/1009946.html)

<sup>111</sup> Zob. Paweł Felgengauer, *Eto była nie spontannaja a splanirowannaja wojna*, „Nowaja Gazeta”, 14 sierpnia 2008 [online]. Dostępny na stronie: [www.novayagazeta.ru/data/2008/59/04.html](http://www.novayagazeta.ru/data/2008/59/04.html) lub *The Russian-Georgian War Was Preplanned in Moscow*, „Eurasia Daily Monitor”, 15 sierpnia 2008, Vol. 5, No. 156.

<sup>112</sup> Cyt. za: *Did Russia Plan Its War with Georgia?*, Radio Free Europe/Radio Liberty, 16 sierpnia 2008.

<sup>113</sup> Zob. zeznanie Geli Beżuaszwilego przed gruzińską komisją parlamentarną badającą przyczyny wojny z 25 października 2008,

dostępne na stronie: [http://www.parliament.ge/index.php?lang\\_id=ENG&sec\\_id=1329&infoid=20940](http://www.parliament.ge/index.php?lang_id=ENG&sec_id=1329&infoid=20940)

<sup>114</sup> Wywiad przeprowadzony z Aleksandrem Lomają. Lomaja wspomina również o tej rozmowie w swoich zeznaniach przed gruzińską komisją parlamentarną badającą przyczyny wojny z 27 października 2008 roku – dostępne na stronie: [http://www.parliament.ge/index.php?lang\\_id=ENG&sec\\_id=1329&info\\_id=21134](http://www.parliament.ge/index.php?lang_id=ENG&sec_id=1329&info_id=21134)

<sup>115</sup> Odnośnie szczegółów gruzińskich planów zob. znakomity esej pułkownika Roberta E. Hamiltona, dz. cyt. Hamilton stał na czele amerykańskiego Biura Współpracy ds. Obrony, działającego w regionie od lipca 2006 do 2008 roku.

<sup>116</sup> Tamże.

<sup>117</sup> Wywiad z Stephenem Hadleyem, byłym doradcą ds. bezpieczeństwa narodowego.

<sup>118</sup> Zob. na przykład esej Pawła Felgengauera, *After August 7: The Escalation of the Russia-Georgian War*, [w:] Svante E. Cornell & S. Frederick Starr (red.), *The Guns of August 2008: Russia's War in Georgia*, M.E. Sharpe, New York and London 2009, s. 171.

<sup>119</sup> Wywiad z byłą sekretarz stanu Condoleezą Rice z 19 maja 2009.

<sup>120</sup> Cyt. za: Omid Memarian, *Saakashvili Asked to Step Down*, Inter Press Service News Agency (IPS), 12 sierpnia 2008.

<sup>121</sup> Zob. zapis wystąpienia Saakaszwilego z 11 sierpnia dostępny na stronie: <http://www.civil.ge/eng/article.php?id=19051&search=>

<sup>122</sup> Zob. *President Bush Discusses Situation in Georgia*, dostępne na stronie: <http://georgewbush-whitehouse.archives.gov/news/releases/2008/08/20080816-1.html>

<sup>123</sup> Cyt. za: Samantha Shields, *Russian Pullout Fulfills Georgia Pledge*, „Wall Street Journal”, 9 października 2008 [online]. Dostępny na stronie: <http://online.wsj.com/article/SB122345021244814657.html>

<sup>124</sup> Dobre sprawozdanie z przekonań Sarkozy'ego dotyczących Rosji z okresu przed wyborami daje wywiad, który przeprowadzili z przyszłym prezydentem Francji Pascal Bruckner, André Glucksmann, Michaël Prazan oraz Yasmina Reza i który ukazał się w „Le Meilleur des mondes” jesień 2006, nr 2. Lunch, podczas którego czo-

łowi francuscy eksperci zajmujący się sprawami rosyjskimi dyskutowali z Sarkozyem na temat strategii, jaką należało przyjąć (koncentrowanie się na Miedwiediewie zamiast na Putinie), został opisany przez Vincenta Jauverta w *Sarko le Russe: histoire secrete d'un revirement*, „Le nouvel observateur”, 13 listopada 2008. Bardziej ogólne omówienie toczącej się we Francji debaty – zob. Laure Mandeville, *Russie: l'empire contre-attaque*, „Politique internationale” jesień 2008, nr 121 [online]. Dostępny na stronie: [http://www.politiqueinternationale.com/revue/article.php?id\\_revue=121&id=752&content=synopsis](http://www.politiqueinternationale.com/revue/article.php?id_revue=121&id=752&content=synopsis)

<sup>125</sup> W połowie listopada, podczas uroczystości w Pałacu Elizejskim, Sarkozy szczylił się mówiąc: „Pamiętam, jak w przeddzień wylotu do Moskwy zadzwonił do mnie amerykański prezydent i powiedział: «Niech pan tam nie jedzie. Oni [Rosjanie] chcą zająć Tbilisi. Są oddaleni od celu tylko o 40 kilometrów. Niech pan tam nie jedzie, niech pan ich tylko publicznie potępi»”. Cyt. za: AFP, 13 listopada 2008 – dostępne na stronie: <http://afp.google.com/article/ALeqM5g4Xu-k5Pg5t-BswZ-H22uBExGLQQ>. Biały Dom zaprzecza, by takie słowa kiedykolwiek padły.

<sup>126</sup> Cyt. za: Gleb Pawłowski w dyskusji *Vseh pod tribunal?*, Radio Echo Moskwy, 12 sierpnia 2008, dostępna na stronie: <http://echo.msk.ru/programs/klinch/533352-echo/>

<sup>127</sup> Rozmowę tę przytacza Jauvert w *Sarko le Russe*. Rzecznik Putina, Dmitrij Peskow kilkakrotnie potwierdzał, że istota „wypowiedzi Putina została adekwatnie oddana we wspomnianym artykule”. Cyt. za: Steve Gutterman, *Putin Described Hanging Georgian Leader*, Associated Press, 14 listopada 2008.

<sup>128</sup> Wywiad z francuskim ministrem spraw zagranicznych Bernardem Kouchnerem.

<sup>129</sup> Zob. zapis konferencji prasowej Miedwiediewa i Sarkozy'ego w Moskwie 12 sierpnia 2008, dostępny na stronie: <http://www.un.int/russia/new/MainRoot/docs/warfare/state-mentl20808en4.htm>

<sup>130</sup> Zob. *Text of Bush's Statement on the Georgia Conflict*, AFP, 13 sierpnia 2008.

<sup>131</sup> Cyt. za: Steven Lee Myers & Thom Shanker, *Bush Aides Say Russia Actions in Georgia Jeopardize Ties*, „New York Times”, 15

sierpnia 2008 [online]. Dostępny na stronie: <http://www.nytimes.com/2008/08/15/world/europe/15policy.html>

<sup>132</sup> Zob. John McCain, *We are All Georgians*, „Wall Street Journal”, 14 sierpnia 2008.

<sup>133</sup> Zob. *Bush and Georgia*, „Wall Street Journal”, 13 sierpnia 2008.

<sup>134</sup> Zob. zapis konferencji prasowej Saakaszwilego i Rice z 15 sierpnia 2008, dostępny na stronie: <http://www.president.gov.ge/?l=E&m=0&sm=2&st=10&id=2712>

<sup>135</sup> Wywiad z byłą sekretarz stanu Condoleezza Rice z 19 maja 2009.

<sup>136</sup> Obecny wiceprezydent w administracji Baracka Obamy – przyp. tłum.

<sup>137</sup> Do 5 września 2008 roku armia rosyjska stworzyła około 30 nowych punktów kontrolnych, które nie istniały w momencie podpisywania zawieszenia broni. Zdecydowana większość z nich znajdowała się poza strefami bezpieczeństwa w Abchazji i Osetii Południowej.

<sup>138</sup> Zob. *Medvedev's Statement on South Ossetia and Abkhazia*, „New York Times”, 26 sierpnia 2008 [online]. Dostępny na stronie: <http://www.nytimes.com/2008/08/27/world/europe/27medvedev.html>

<sup>139</sup> Zob. Dmitry Medvedev, *Why I Had to Recognize Georgia's Breakaway Regions*, „Financial Times”, 27 sierpnia 2008.

<sup>140</sup> Zob. wywiad prezydenta Miedwiediewa dla pierwszego kanału rosyjskiej telewizji z 31 sierpnia 2008, dostępny na stronie: [http://www.kremlin.ru/eng/speeches/2008/08/31/1850\\_type82912type82916206003.shtml](http://www.kremlin.ru/eng/speeches/2008/08/31/1850_type82912type82916206003.shtml)

<sup>141</sup> *Saakashvili „No Longer Exists” as Georgia's President: Medvedev*, AFP, 2 września 2008, dostępny na stronie: <http://www.thefreelibrary.com/Saakashvili+'no+longer+exists'+as+Georgia's+resident:+Medvedev-a01611633503>

<sup>142</sup> Zob. Steven Erlanger, *European Union Struggles to Hold Moscow to Promises*, „International Herald Tribune”, 7 września 2008 [online]. Dostępny na stronie: <http://www.nytimes.com/2008/09/07/world/europe/07iht-union.4.15954445.html>

<sup>143</sup> Zob. zapis konferencji prasowej Miedwiediewa i Sarokzy'ego w zamku Meiendorf pod Moskwą, dostępny na stronie: <http://>

[www.kremlin.ru/eng/speeches/2008/09/08/2208\\_type82912type82914type82915\\_206283.shtml](http://www.kremlin.ru/eng/speeches/2008/09/08/2208_type82912type82914type82915_206283.shtml)

<sup>144</sup> Zob. wypowiedzi prezydenta Sarkozy'ego podczas konferencji prasowej z prezydentem Saakaszwilim, dostępne na stronie: <https://pastel.diplomatie.gouv.fr/editorial/actual/ael2/bulletin.gb.asp?liste=20080911.gb.html&submit.x=8&submit.y=8&submit=consulter>

<sup>145</sup> Tamże.

<sup>146</sup> Obydwa państwa uznały niepodległość Osetii Południowej i Abchazji we wrześniu 2009 roku. 16 grudnia dołączyła do nich jeszcze Republika Nauru (państwo wyspiarskie położone w zachodniej części Oceanu Spokojnego) – przyp. tłum.

<sup>147</sup> W oryginale: „wilder and not wider Europe” – przyp. tłum.

<sup>148</sup> Wydanie polskie: Neal Ascherson, *Morze Czarne*, Zysk i S-ka, Warszawa 2002 – przyp. tłum.

<sup>149</sup> Wydanie polskie: Charles King, *Widmo wolności. Historia Kaukazu*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2010 – przyp. tłum.

<sup>150</sup> Wydanie polskie: Charles King, *Dzieje Morza Czarnego*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2006 – przyp. tłum.



# Indeks

- Adamkus, Valdas 226-229, 356  
Adeiszwili, Zurab 54  
Adriatycka trójka 223  
Ainsley, Judy 413  
Alasania, Irakli 259, 266, 275  
Albright, Madeleine XVIII  
Ascherson, Neal 107  
Atatürk, Kemal 96  
Băseșcu, Trajan 227-229  
Baker, James 111  
Bakradze, Dawid 55, 184, 319-322, 360, 413  
Bałujewskij, Jurij 259  
Beria, Ławrientij 94  
Bezuaszwili, Gela 55, 144-148, 413,  
„Big Bang” 398  
Bildt, Carl 5, 74, 108, 243-248, 261, 320-321, 413
- „Black Sea” (Ascherson) 107  
Bokeria, Giga 55  
Boczan-Charczenko, Aleksandr 175  
Brown, Gordon 230  
Bryza, Matt 261, 266, 275, 315, 319-322, 326, 366, 413  
Szczyt NATO w Bukareszcie X-XI, 2, 43, 85, 190-242, 244,  
246, 248, 251, 270, 414

- Burdżanadze, Nino 29,99
- Bush, George W.  
Szczyt NATO w Bukareszcie, i, 194-242, 243  
Konflikt wewnątrz Administracji w związku z Gruzją, i, 211-214  
dyplomacja, i, XVIII  
„program wolności”, i, 98-101  
Gruzja, i 84-86, 256  
Niemcy, i 113-117  
Irak, i 4, 389  
Kosowo, i 259, 331  
MAP, i 190-195, 199, 208, 211-239  
Miedwiediew, i 73, 341  
Merkel, i 203-206, 215  
NATO, i VIII, 214  
Rada NATO-Rosja, i 117  
Putin, i 119, 212-213, 230-235, 241-242  
Rosja, i 306-307  
Wojna rosyjsko-gruzińska, i 309, 315-318  
Saakaszwili, i 246-247, 353-354  
Sarkozy, i 209, 343-346
- Chamberlain, Neville 91
- Karta 77, 392
- Karta bezpieczeństwa europejskiego (1999) 115
- Karta paryska (1990) 10, 22, 115, 196, 393, 406
- Czeczenia XVII, 36, 157, 300, 319,
- Cheney, Dick 324,
- Czernomyrdin, Wiktor 160,
- Chirac, Jacques 208-209, 329
- Clinton, Bill XVIII, 27, 164, 185, 196, 201, 398,
- Clinton, Hillary 100
- Broń kasetowa 81-82
- Collins, Jim 158
- Cypr 176, 245
- Dawid IV Budowniczy 96, 128
- de Hoop Scheffer, Jaap 212, 225-226, 228-232, 252
- „Dyskoteka dla pokoju” 143

- Dzindzić, Zoran 163  
Donfried, Karen 417  
Ducaru, Sorin 227, 413  
Erdmann, Martin 231, 413  
Fata, Daniel 413  
Fotyga, Anna 227  
Fried, Daniel 5, 263, 273, 282, 287, 314, 413  
Szczyt G-8 (2007) 174  
Gamsachurdia, Zwiad 103-105  
Gates, Robert 212-213, 217, 362  
German Marshall Fund (GMF) XXI, 30, 107,  
Godmanis, Ivars 356  
Gogawa, Zaza 426  
Gorbaczow, Michał 96, 103, 389  
System GRAD 80, 82  
Gruszko, Aleksandr 230  
Gusarow, Jewgienij 157  
Hadley, Stephen 212, 225, 263, 309, 323-324  
Hakala, Terri 413  
Heusgen, Christoph 413  
Holbrooke, Richard C. 86, 100, 181, 417  
Iłarionow, Andriej 38  
Ilves, Toomas 356  
Ischinger, Wolfgang 175  
Izrael 47, 64, 138, 246, 255, 292, 305  
Karta OBWE przyjęta podczas szczytu w Stambule (1999), 115, 251  
Jackson, Bruce 5  
Jeffries, Jim 413  
Połączone Siły Pokojowe (JPKF) 46, 60, 111  
Kaczyński, Lech 227, 229, 356, 414  
Kalandadze, Grigorij 58  
„Kawkaz 2008” 36  
Kennedy, Craig 98, 417  
Kezeraszwili, Dawid 54, 56, 63  
Chaburdzania, Walerij 121  
Kurylew, Anatolij 311

- Kohl, Helmut 200-201  
Kokojty, Eduard 47, 49, 71, 125-126, 143, 145-146  
Kosowo  
    Gruzja, i 41-42, 385  
    niepodległość XVII-XVIII, 1, 22  
    NATO, i 195, 281, 388  
    Precedens ustanowiony przez 105-129  
    Rosja, i 41, 233-238  
    USA 259, 331  
    Zachód, i 3, 58  
Kouchner, Bernard 210, 335, 337-340, 345, 348, 351, 353, 357  
Kozyriew, Andriej 111  
Krastew, Iwan 2  
Kułachmetow, Marat 35, 45, 59, 61, 76-77  
Kuraszwili, Mamuka 35, 76-77, 302,  
Kutelia, Batu 57, 413  
Ławrow, Siergiej 70, 144-147, 344, 384  
Lenin, Włodzimierz XV  
Levitte, Jean-David 336, 339, 345, 348, 365, 413  
Lomaja, Aleksander, 54, 277, 280, 297  
Lucas, Hans-Dieter 413  
Łużkow, Jurij 129  
Macedonia 167, 182, 223-224  
Mannerheim, Carl Gustaw 96  
McCain, John 100, 363  
Lekarze Bez Granic 210  
Plan działań na rzecz członkostwa (MAP) 143, 150, 153, 190-195, 199, 208, 211-239  
  
Meri, Lennart 405  
Merkel, Angela 203-207, 210-211, 214-216, 221, 228-230, 243-244, 332  
Miles, Richard 99  
Milošević, Slobodan 7, 74-75, 151, 155-156, 158-162, 168, 186  
Pakt Ribbentrop-Mołotow 95  
Konferencja ds. bezpieczeństwa w Monachium 180, 205, 219

## NATO

- Bush, i VIII, 214
- Kosowo, i 195, 281, 388
- Organizacja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (OBWE), i 156-157, 196
- Putin, i 117-121, 156, 180-183
- Rice, i 184-187, 225
- Rada NATO-Rosja (NRC) 117
- Akt założycielski Rady NATO-Rosja (1997) 116
- Newski, Aleksander 158
- Nikel, Rolf 413
- Nixon, Richard 18
- „Niżnij Gorodok” 60, 78
- Nogaideli, Zurab 141
- Rada Północnoatlantycka (NAC) 225, 251
- Obama, Barack 4, 26, 363, 407
- Okruaszwili, Irakli 137-139, 413
- Operacja „Burza” 138, 247,
- Pomarańczowa rewolucja 28, 119, 197, 379, 397
- Organizacja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (OBWE)
  - karta paryska (1990) 294
  - dyplomacja z Rosją 10-12, 388-389
  - karta stambuńska (1999) 251, 294
  - Kosowo, i 168-170
  - Jej marginalizacja 88
  - NATO, i 156-157, 196
  - działania pokojowe, i 110-116, 152-153, 394
  - Rosja, i 38, 373-374, 405
  - Wojna rosyjsko-gruzińska, i 19-21, 254-255, 336-339
  - Osetia Południowa, i 46-48
  - Tbilisi, i 77-78, 133-134
  - przestępczość zorganizowana 98, 126-128, 276-281
- Politkowska, Anna 209
- Popow, Jurij 59
- Prichodko, Siergiej 348
- Projekt Sanakojewa 142

## Putin, Władimir

- państwo autorytarne, i 217
- szczyt NATO w Bukareszcie, i 230-241, 254-255
- Bush, i 119, 212-213, 230-235, 241-242
- Zawieszenie broni, i 333-347
- Francja, i 208-209, 333-347
- Kosowo, i 160-161, 165, 173-177
- MAP, i 230-232
- NATO, i 117-121, 156, 180-183
- Rice, i 127, 184, 217
- wojna rosyjsko-gruzińska, i XVI-XVII, 291-294
- Saakaszwili, i XVI, 42, 50-53, 120-127, 130, 176, 181-183, 209, 241, 245, 276, 333, 344, 378, 387
- Sarkozy, i 333-355
- Separatyści, i 125, 144-146, 252
- Cchinwali, i 60
- USA, i 125, 205-210, 255, 306-307, 327-332
- Poglądy po wojnie 384-386, 398-399
- Zachód, i 9, 41-42, 378-380

## Rice, Condoleezza

- Nawoływanie do zawieszenia broni 70
- Gruzja, i 5-6, 364-367
- Niemcy, i 202-204
- Ławrow, i 384
- MAP, i 230-238
- NATO, i 184-187, 225
- Putin, i 127, 184, 217
- wojna rosyjsko-gruzińska, i 273-292, 311- 316
- Saakaszwili, i 246
- Sarkozy, i 363-365

## Robertson, Lord 117

- Tunel Rokijski XVII, 33-34, 36-38, 40, 55-56, 63-64, 66, 109, 288, 305, 311-314, 323, 340
- Rewolucja róż 18, 28, 92, 97, 99, 114, 119, 120-122, 129, 171, 198, 378-379, 391, 397
- Rühe, Volker 200

- Rurua, Nick 55
- Saakaszwili, Micheil
- Próby działań dyplomatycznych 243-286
  - szczyt NATO w Bukareszcie, i 199-217, 241-242
  - zawieszenie broni z Rosją 327- 372
  - zimna wojna z Rosją 93-103, 114-148
  - decyzja by wejść z Rosją w konflikt zbrojny 15-89
  - Kosowo, i 172, 176-187
  - Wojna rosyjsko-gruzińska, i 287-410
- Sanakojew, Dmitrij 142-145, 280
- Sarkozy, Nicolas
- Szczyt NATO w Bukareszcie, i 243-244
  - Bush, i 209, 343-346
  - Zawieszenie broni z Rosją 340-365
  - Gruzja, i 356-365
  - Stosunki międzynarodowe 175, 228-238, MAP, i 230-238
  - Miedwiediew, i 336, 348-349, 368-374, 388
  - Putin, i 333-355
  - Rosyjsko-gruzińska wojna, i XI, 325-336
- Schröder, Gerhard 201-203, 207
- Schuwer, Henne 413
- Semneby, Peter 28, 261, 316, 320, 413
- Szewardnadze, Eduard XVII-XVIII, 94-96, 99, 105-106, 121, 378
- Sikorski, Radosław 226-227, 414
- Simakovsky, Mark 413
- Soczi, spotkanie w, 218-220, 240-241, 245, 278-279
- Partia Socjaldemokratyczna (SPD) 204
- „Solidarność” 392
- Soros, George 100
- Stalin, Józef 94, 98, 102, 234
- Steinmeier, Frank-Walter 204, 207, 214, 244, 269, 270-271, 275, 282, 284-285
- Stubb, Alex 337-339, 345, 348, 413
- Tagliavini, Heidi 382, 385, 413

Tefft, John 31, 248, 287, 314, 320-321, 326, 414, 418  
Tkeszelaszwili, Ekaterine 338, 413  
Traktat z Karsu (1921) 145  
Ugulawa, Gigi 54  
Misja Obserwacyjna ONZ w Gruzji (UNOMIG) 255-256, 370, 403  
bezzałogowe aparaty latające (UAV) 255  
Utiaszwili, Szota 413  
Waszadze, Grigol 48, 79-80, 260, 277-280  
Wierchnij Gorodok 60, 76, 78, 82  
Zbrodnie wojenne 168-169  
Wilson, Damon 413-414, 418  
Wojna fińsko-rosyjska (1939-40) 96  
Wisner, Frank 175  
Wood, Joseph 413  
Jakobaszwili, Temur 6, 59-62, 287  
Jelcyn, Borys  
Demokracja, i 393  
Estonia, i 196-201  
Europa, i 12  
Kosowo, i 160-162  
NATO, i 116, 159, 201, 231  
Putin, i XVII, 118  
Tbilisi, i 378  
USA, i XVIII, 111  
Zatulini, Konstantin 185  
Żwania, Zurab 29, 99, 101-102



Tytuł oryginału

*A Little War that Shook the World: Georgia, Russia, and the Future of the West*

Copyright © Ronald D. Asmus

Przekład: Jan Tokarski

Redakcja i korekta: Magdalena Jackowska, Wojciech Przybylski

Projekt okładki, układ typograficzny i skład: rzeczyobrazkowe.pl

Dziękujemy za pomoc w przygotowaniu niniejszej publikacji:  
Andrzejowi Bobińskiemu, Michałowi Baranowskiemu,  
Wojciechowi Góreckiemu i Maciejowi Wituckiemu.

Copyright © Polish edition 2010-2018 by Fundacja Res Publica  
im. Henryka Krzeczковского

ISBN 978-83-910975-8-8

Druk: Drukarnia Gemtext Sp. z o.o., ul. Puławska 34, 05-500 Piaseczno

Fundacja Res Publica im. Henryka Krzeczковского

Gałczyńskiego 5, 00-362 Warszawa

www.res.publica.pl, redakcja@res.publica.pl, tel. 22 826 05 66

Analiza pierwszego, po okresie zimnej wojny, zbrojnego konfliktu Wschodu z Zachodem, wyjaśniająca historyczne przyczyny, odkrywcza dla studiów geopolitycznych i napisana we właściwym czasie przez osobę wyjątkowo dobrze wiedzącą, co na prawdę miało miejsce, a także dobitnie prezentująca stanowisko autora, doskonała lektura!

**Zbigniew Brzeziński**

Ron Asmus przez ponad 20 lat naszej znajomości był wyjątkowym analitykiem, dyplomatą i ekspertem zajmującym się Europą Środkową i Wschodnią. Jego książki powinny być lekturą obowiązkową dla wszystkich, którym zależy na Europie i jej sąsiadach. Nie wolno jej pominąć w analizie rosyjsko-gruzińskiego konfliktu z sierpnia 2008 r.

**Madeleine K. Albright**

Jest to wspaniała opowieść, obowiązkowa lektura dla wszystkich zainteresowanych amerykańską polityką zagraniczną i przyszłością naszych stosunków z Europą i Rosją.

**Richard C. Holbrooke**

Książka ta stawia twarde i niewygodne pytania, których na Zachodzie wiele osób nie chce słyszeć.

**Adam Daniel Rotfeld**

Wiarygodna i przekonująca.  
„Financial Times”

Szczegółowa... imponująca.  
”Foreign Affairs”

ISBN 978-83-910975-8-8



9 788391 097588 >

biblioteka republiki nowej

**respublica**

NOWA